

JERZY REGULSKI

Życie splecione z Historią





Fundacja Rozwoju
Demokracji Lokalnej

im. Jerzego Regulskiego



Moim Dzieciom, Wnukom i Prawnuczkom

Wstęp

6 czerwca 1989 roku wracałem po wyborach do Warszawy. Zatrzymał nas patrol milicji. Jechaliśmy trochę za szybko. Świeży mandat senatorski zrobił mocne wrażenie. Nie tylko nas puścili, lecz także złożyli życzenia: „Jedźcie szczęśliwie. Ale ostrożnie i nie za szybko. Bo jeszcze wiele zakrętów macie do pokonania. I wy, i cała Polska razem z wami”. To były prorocze słowa.

Ale aby dożyć tego dnia, musiałem też przejść przez wiele wiraży naszej historii. Dziewięćdziesiąt lat to szmat czasu. Moje życie przypadło na pontyfikat ośmiu papieży i panowanie czworga brytyjskich monarchów, chociaż Elżbieta II jest królową ponad 60 lat. Żyłem w czterech zupełnie różnych Polskach. Najpierw w tej Drugiej, międzywojennej Rzeczypospolitej, która zginęła dramatycznie w mrokach zawieruchy wojennej. Potem przyszedł okres okupacji i Polski Podziemnej, a następnie Polska Ludowa, niby-niepodległa, w której okazałem się wrogiem wszystkiego, co niby-dobre. I dopiero gdy w wieku 65 lat powinienem był iść na emeryturę, powstała Polska naprawdę niepodległa i okazało się, że Ona ciągle mnie potrzebuje.

Te kolejne zmiany były jednocześnie końcami kolejnych epok. Najpierw odszedł stary, przedwojenny świat, zniszczony przez rozbuchany faszyzm. A potem dobił go komunizm. Niszczono ludzi, niszczone instytucje, a przede wszystkim niszczone wartości, które mi wpajano w domu. Nowy wspaniały świat miał być całkiem inny, ale zamiast niego powstawały jakieś karykatury. Jednak ten świat też się rozleciał i zaczął się wyłaniać następny, jeszcze niezdarne, ale dynamiczny, odrzucający wszystko, co dawne i nie mieszczące się w komputerze. Trudno dziś przewidzieć, jaki on będzie, gdy osiągnie stabilizację.

Zmieniałem zawody. Byłem inżynierem i budowałem domy. Później byłem urbanistą, planując budowę całych miast i tworząc ich teorię. Aż się nagle okazało, że jestem ekonomistą i specjalistą od spraw samorządu. A potem stanąłem wobec największego wyzwania, gdy polecono mi realizować to, czego się domagałem. Byłem więc chyba politykiem, chociaż nie jestem tego całkiem pewien, tak czy owak,

wpłynąłem na niektóre wydarzenia historyczne i transformację Polski. Ale ten okres też minął i zostałem dyplomatą. A kiedy już miałem nadzieję, że przejdę na spokojną emeryturę, wtedy okazało się, że jestem ciągle potrzebny, aby doradzać, jak wzmocnić polską samorządność. I to jest dla mnie największą nagrodą. Stało się jasne, że to, co robiłem, miało jakiś sens i było potrzebne. Czy może być większa satysfakcja?

Opisanie życia splecionego z Historią i meandrującego wśród jej wirydy nie jest jednak łatwe. W najtrudniejszych okresach nie można było robić notatek. Musiałem się opierać na własnej pamięci i jakichś strzępach dokumentów czy wspomnień. Spojrzenia wstecz zawsze grożą zniekształceniem dawnej rzeczywistości. Ale też pozwalają na uwypuklenie tych spraw czy wydarzeń, które były kluczowe, nawet z dzisiejszego punktu widzenia. I dlatego nie mogłem sobie odmówić różnych refleksji na temat wielu współczesnych poglądów i opinii uznawanych za obowiązujące. Spojrzenie na nie z pewnego dystansu prowadzi często do zupełnie innych wniosków i ocen. Uważam to nie tylko za swoje prawo, ale nawet za obowiązek. Mitologizacja historii to jest jej zakłamywanie.

Podjęcie decyzji o tym, które ze wspomnień należy opublikować, nie było proste. Nie było łatwe rozstrzygnięcie, co dla Czytelnika może być interesujące i co warto odnotować jako przyczynek historyczny. Nie zawsze pokrywa się to z odczuciami subiektywnymi. Co było ważne dla mnie, nie zawsze jest istotne czy ciekawe dla innych. I tu nieocenioną pomoc wyświadczył mi Janek Skórzyński, dokonując wyboru tekstów spośród wielu moich notatek i opracowując je w sposób pozwalający na ich publikację. Jestem mu za to bardzo wdzięczny.

Jak wspominałem, opisanie długiego życia nie jest łatwe. Ale jego przeżycie było trudniejsze. Zdarzały się duże kryzysy i małe uciążliwości dnia codziennego. Należało je pokonać. Moje życie wpisało się w wirydy polskiej historii. Zaczynałem jako dziecko zamożnego domu przedwojennej elity gospodarczej. Ale dojrzałem w więzieniu mokotowskim i później żyłem z nalepką „wroga klasy robotniczej”. I to nie było życie lekkie. Władza wielokrotnie dawała mi znać, gdzie moje miejsce. Ciągłe szykany i stałe podejrzenia, że każdy mój ruch jest wrogi dla ustroju, bardzo utrudniały życie. A te szykany trwały kilkadziesiąt lat! Ciężko było żyć i pracować. Wymagało to dużej siły i odporności, którą miałem tylko dzięki wsparciu najbliższych i dzięki poczuciu wartości wyniesionych z tradycji rodzinnej.

Nie mam możliwości wymienienia tu wszystkich przyjaciół, którzy mi pomagali w najtrudniejszych momentach mego życia. Większość z nich już odeszła. Wspomnę tylko Dankę Gotowskiego, zmarłego 30 lat temu, który wywarł ogromny wpływ na mój sposób myślenia w ciągu ćwierćwiecza naszej przyjaźni i którego pomoc była bezcenna podczas wielu kryzysów, jakie przyszło mi pokonać.

WSTĘP

Ale słowa najgłębszej wdzięczności muszę wyrazić swemu największemu przyjacielowi, mojej żonie Dance, z którą właśnie obchodzimy sześćdziesiątą piątą rocznicę małżeństwa. Wraz ze mną podejmowała najważniejsze decyzje i razem przeżywaliśmy wszystkie nasze sukcesy i kłopoty. Jeśli nie występuje na każdej stronie tej książki, to chciałbym, aby Czytelnik pamiętał, że Ona zawsze tam jest. Dziękuję też naszym dzieciom, Joannie i Michałowi, że są takie, jakie są, i że są moimi wielkimi przyjaciółmi, choć życie podzieliło nas oceanem. I cieszę się naszymi wnukami, Annemarie, Tomkiem i Pawłem, ich sukcesami. A także prawnuczkami, Beatą i Gemmą, które rozpoczęły następne pokolenie naszej rodziny. Długie życie daje tę wielką radość spotkań czterech pokoleń. Cieszę się swoim życiem.



Herb „Rawicz” w *Herbach rycerstwa polskiego* Bartosza Paprockiego, 1584

1.

Korzenie

W

ypada zacząć od historii rodziny, a jest ona długa¹. Znam z imienia wszystkich swoich przodków od blisko 600 lat, od chwili założenia ksiąg majątkowych w Polsce. Władali oni nieprzerwanie aż do końca XVIII wieku włościami w Regulach na obecnych przedmieściach Warszawy. Możliwe więc było odtworzenie całej genealogii. Ale korzeni rodu wolno doszukiwać się znacznie dawniej, choć to są już domniemania czy nawet legendy.

W końcu pierwszego tysiąclecia, po południowej stronie Alp, gdzieś na granicy obecnej Austrii i Słowenii, miał swoje siedziby potężny ród słowiański, który jako symbol przyjął niedźwiedzia. Łacińska nazwa zwierzęcia – ursus – dała podstawę nazwie rodowej. U schyłku X wieku jedna z gałęzi tego niedźwiedziego rodu przekracza Alpy i osiedla się w Czechach. Zmienia się pisownia, a w ślad za nią wymowa jego nazwy. Teraz jest już notowany w kronikach jako „Vrs”. Wkrótce ród się rozgałęzia i obejmuje coraz większe włości, nadając im nazwy od swego imienia. Dokumenty wymieniają osadę Wrsovicih (dzisiejsze Vršovice, dzielnica praska), mówią o „państwie” Werszowców nad Ohrzą².

Potężny ród angażuje się w spory i walki z panującym domem Przemyślidów, stanowiąc stronnictwo propolskie i przyczyniając się do objęcia władzy w Czechach przez Bolesława Chrobrego. Po jego ustąpieniu z Pragi Werszowcy utrzymują z Polską stałe kontakty, kiedy więc w XII wieku muszą z Czech uciekać, to uciekają do Polski. Bolesław Krzywousty dobrze ich przyjmuje i nadaje dobra w województwie rawskim. Tu się osiedlają, tworząc linię mazowiecką swojego rodu.

¹ Opis, który tu podaję, opiera się na studiach i poszukiwaniach mego Ojca Janusza, na posiadanych przez niego dokumentach rodowych (zwłaszcza na rękopiśmiennym opracowaniu Czesława hr. Pruszyńskiego *Osadnictwo Rawitów na Mazowszu*) oraz na wyborze dokumentów archiwalnych sporządzonym przez Aleksandra Włodarskiego pt. *Materiały do monografii rodu Falk-Regulskich herbu Ciołek* (Warszawa 1925).

² Zob. *Codex diplomaticus et epistolaris regni Bohemiae*, t. I, Ed. G. Friedrich, Praga 1904-1907, s. 377.

KORZENIE

Tutaj też na nowo kształtuje się herb, na którym oprócz starodawnego niedźwiedzia pojawia się postać kobieca, początkowo stojąca, a potem siedząca na zwierzęciu. Jan Nepomucen Bobrowicz pisze: „Przybyli z Czech [w latach] 1100-1108. Werszowici-Rawici, odznaczeni niedźwiedziem, na którym dziewczica siedzi, z krzyżem wojennym Rawą. Znaleźli przytułek i opatrzenie, a hasło Rawa stało się ich rodzin nazwą”³.

Z Rawskiego posuwają się Rawici ku Wiśle i w drugiej połowie XII wieku u przeprawy rzecznej rycerz Warsz zakłada osadę, nazwaną od jego imienia Warszawą⁴, na drugim zaś brzegu zakłada prawdopodobnie Pragę, nazwaną tak od stolicy czeskiej, z którą wiązały się dzieje poprzednich pokoleń Werszowców⁵. Warsz, syn Męciny, w 1189 roku jest jednym z najbliższych dostojników Kazimierza Sprawiedliwego, a jego syn Goworek około roku 1194 – piastunem i palatynem Leszka Białego⁶. Rawici pojawiają się również na dworze jego brata Konrada po objęciu przez niego w 1199 roku władzy na Mazowszu.

Z upływem czasu stan posiadania rodu poszerza się o tereny pobliskie. Nowym osadom Rawici nadają nazwy przypominające im miejsca, które musieli opuścić, uchodząc z Czech. To tłumaczy podobieństwa, jakie można dostrzec w nazewnictwie historycznych okolic Pragi i Warszawy. Oto parę przykładów:

NAZWY CZESKIE

Bozeh
Czernuszek, Czernus
Czirnkow
Knesivici
Otwici
Pencih, Pencice
Police
Radeiovice
Rakovice
Raszin, Rassin
Rehly, Regleh
Tvorcov, Tovorcove
Ujezd
Wirbno

NAZWY POLSKIE

Bożęcin
Czernaków
Czerniaków
Książenice
Otwock
Pęcice
Polików
Radziejowice
Rakowiec
Raszyn
Reguły
Tworki
Jazdów, Ujazdów
Wierzbno

³ J.N. Bobrowicz, *Herby w Polsce*, [w:] K. Niesiecki, *Herbarz polski*, wyd. J.N. Bobrowicz, t. I, Lipsk 1839-1846, s. 512.

⁴ Zob. Cz. Pruszyński, *op. cit.*, s. 2.

⁵ Zob. *ibidem*, s. 6.

⁶ Zob. *ibidem*, s. 3.



RÓD
 WĘRSZOWCÓW-RAWICZÓW
 GAŁĄZ
 FALK-REGULYKICH
 z Regul. Ziemi Warszawskiej
 LITWA
 KAWALERÓW CEPAŁYCHA FRANCYSKIEGO



Mapa okolic Warszawy 1:12,000
[Petersburg? przed 1845. region Topogr. Sztabu?]



Rosyjska wojskowa mapa okolic Warszawy
wydana przez Wojenno-Topograficzny
Oddział Głównego Sztabu Armii,
Petersburg, przed 1845. Strzałką zaznaczona
wieś Reguły. Źródło: polona.pl

Jedną z tych osad są Reguły położone przy starej drodze z Warszawy do Rawy. Werszowcy-Rawici osiedlili się tutaj zapewne już na przełomie XIII i XIV wieku. W latach 1421–1430, gdy zostały założone księgi ziemskie, w Regułach mieszkają trzech dorośli bracia: Piotr, Mikołaj i Falisław. Z tych ksiąg wyłaniają się imiona kolejnych mieszkańców Reguł, ich powiązania majątkowe i stosunki. Nie wiemy wszakże, jak wielu z nich w 1410 roku walczyło na polach Grunwaldu pod chorągwią ozdobioną godłem Rawa, nie wiemy też, czy w 1413 roku brali udział w zjeździe horodelskim, gdzie pośród 47 rodów polskich odnotowano obecność Rawitów⁷.

Wraz z rozwojem rodu jego gałęzie przybierały przydomki. Gałąź, z której pochodzę, też otrzymała taki wyróżnik. Mój protoplasta Falisław miał syna o tym samym imieniu, którego dla odróżnienia nazywano zdrobniale Falkiem. Od jego przezwiska wszyscy następcy dodawali do swych imion, a potem nazwisk przydomek Falk, stąd i nasza linia w późniejszych wiekach nosiła nazwisko Falk-Regulscy. Przydomek wyszedł z użycia dopiero w XX wieku.

Rzadką możliwość odtworzenia tak długiej genealogii zawdzięczamy przede wszystkim temu, że moi przodkowie twardo trzymali się ziemi rodowej – aż do końca XVIII stulecia, czyli przeszło pięć wieków. A ówczesny stan posiadania panów na Regułach był znaczny. Z opisów granic można domniemywać, że było to co najmniej siedem tysięcy hektarów zwartej przestrzeni pól i lasów. Gospodarzyli tu moi antenaci: wspomniany Falisław i jego kolejni potomkowie – Falk, Derśław, Jan, Jakub, Krzysztof, Maciej, Jan, Andrzej, Feliks.

Dopiero w 1770 roku Feliks Falk, podstoli łomżyński i wiceregent grodzki lwowski, a w późniejszym okresie mecenas trybunału lubelskiego, sprzedał swoją część Reguł szwagrowi Stanisławowi Ziay-Regulskiemu i przeniósł się w Lubelskie, gdzie posiadał majątek Wielki Las pod Kurowem. Portret Feliksa Falka zachował się w naszej rodzinie, dzięki czemu jest on najstarszym przodkiem o znanej nam twarzy.

Nasza gałąź pochodzi od jego trzeciego, najmłodszego syna, Józefa Franciszka Ignacego Falk-Regulskiego, który urodził się 7 października 1773 roku we wsi swego ojca. Uczeń sławnego liceum w Krzemieńcu na Wołyniu, a następnie Korpusu Kadetów w Warszawie, rozpoczął jako siedemnastolatek burzliwą karierę wojskową w IV pułku piechoty Buławy Koronnej. Jako adiutant polowy bierze udział w powstaniu kościuszkowskim, walczy z wojskami pruskimi pod Szczekocinami, a później w obronie Warszawy. Po upadku powstania emigruje i wstępuje do Legionów Polskich we Włoszech. W latach 1800 i 1801 jest osobistym adiutantem ich dowódcy, generała Dąbrowskiego. Uzyskuje jego przyjaźń i uznanie. W roku 1808 obejmuje dowództwo II Pułku Piechoty Legii Nadwiślańskiej i wraz z nim uczestniczy w kampanii hiszpańskiej. Podczas oblężenia Saragossy wdziera się do miasta przez otwór wykuty w murach, stojąc na czele 80 grenadierów. Pada ranny, lecz zostaje wyniesiony przez żołnierzy na zewnątrz.

⁶ Zob. J.N. Bobrowicz, *iop. cit.*, s. 496, 505..



Płk Józef Falk-Regulski w mundurze komendanta Korpusu Kadetów w Kaliszu, 1816

Prawie przez pięć lat walczy w Hiszpanii, po czym bierze udział w wyprawie moskiewskiej w 1812 roku. Walczy pod Borodino i nad Berezyną. Krzyż z relikwiami, który miał wówczas ze sobą, jest jedną z moich najcenniejszych pamiątek rodzinnych. Za waleczność i zasługi wojenne Napoleon nagroził go w 1812 roku tytułem Kawalera Cesarstwa Francuskiego (przysługuje on też potomkom Józefa), herbem Falk⁸ oraz roczną dotacją, której nigdy wszakże nie dostał. Pułkownik był również kawalerem wielu innych orderów, np. Legii Honorowej, komandorii św. Stanisława oraz Krzyża Virtuti Militari. Poza tym otrzymał od cesarza, w dowód jego osobistego uznania, piękny złoty zegarek, pokryty niebieską emalią i okolony sznurkiem pereł. Niestety, nie dotrwał on do naszych czasów.

Po upadku Napoleona pułkownik wraca do Polski i obejmuje komendanturę Korpusu Kadetów w Kaliszu. Jednak nie mogąc pogodzić się z rządami księcia Konstantego i rusyfikacją kadetów, w 1824 roku przechodzi na emeryturę (ma wtedy 51 lat), przez co popada w niełaskę władz.

Żeni się dopiero po zakończeniu wojen i powrocie do kraju. W wieku 42 lat zaślubił szesnastoletnią pułkownikównę Bibianę Podczaską herbu Rola, córkę poprzedniego komendanta Korpusu Kadetów w Kaliszu. Z małżeństwa tego urodziły się dwie bezpotomne córki oraz jedyny syn Bronisław, którego ojcem chrzestnym został generał Henryk Dąbrowski, upamiętniony w polskim hymnie państwowym.

Po zakończeniu służby wojskowej pułkownik zamieszkał w Warszawie przy nie istniejącym obecnie fragmencie ulicy Kredytowej, łączącym dzisiejszy plac Małachowskiego z ulicą Marszałkowską. Zmarł 24 lipca 1851 roku i został pochowany na Powązkach. Jego grób jest zwieńczony pomnikiem w formie żelaznego krzyża, opartego na czterech symbolicznych kulach armatnich z nazwami największych bitew, w których uczestniczył: Szczekociny, Saragossa, Toledo, Berezyna.

Piszę tu o nim szerzej, ponieważ Józef Falk-Regulski stał się osobą symboliczną w naszej rodzinie. Był bohaterem walk o Polskę, nośnikiem patriotyzmu, a także uznanym autorytetem. Dzięki niemu w rodzinie istniał silny kult napoleoński. Pułkownik stanowił też symbol sukcesów rodziny, ważny dla utrzymania tej tradycji w trudnych czasach porażek, jakie miały nastąpić.

Wojny napoleońskie ostatecznie zakończyły ziemiański okres w dziejach mojej rodziny. Już w następnych pokoleniach nie posiadała ziemi, ale tradycje i dążenia do własności były żywe i dawały o sobie znać.

⁸ Herb Falk, nazwany tak od przydomka rodowego, przedstawia tarczę w poprzek na trzy części podzieloną: w górnej – w polu srebrnym kogut galijski czerwony, zwrócony w prawo, w prawych szponach trzymający pioruny; w środkowej – w polu czerwonym krzyż Legii Honorowej; w dolnej – w polu złotym cztery lufy karabinowe z bagnietami, jedna nad drugą, w prawo do wieży czarnej o dwóch basztach skierowane, wyobrażające zdobycie Saragossy. Nad hełmem korona. Labry czerwone z obramowaniem zielonym, srebrem podbite z prawej strony, a złotem z lewej.



Nagrobek płk. Falka-Regulskiego na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie



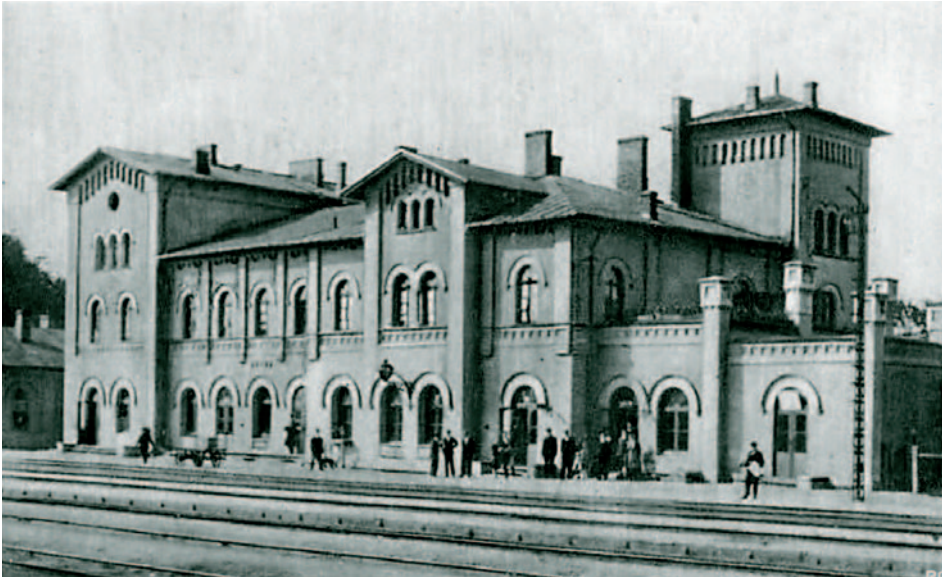
B

Bibianna z Podczaskich Falk-Regulska, żona pułkownika, z synem Bronisławem oraz wnuczętami – moim dziadkiem Juliuszem i jego siostrą Józefą, 1866

Syn Józefa, Bronisław, próbował szczęścia w administracji, ponieważ jednak władze rosyjskie pozwalały Polakom obejmować wyłącznie niższe stanowiska, doszedł szybko do szczytu możliwości jako zastępca naczelnika powiatu wieluńskiego. Zmarł w wieku pięćdziesięciu kilku lat. Jego jedyny syn, a mój dziadek, Juliusz, urodził się w Wieluniu w 1854 roku i wychowywany był przez swą babkę pułkownikową, która zastąpiła mu wcześniej zmarłą matkę. Wyrósł w atmosferze kultu dla epoki napoleońskiej, dla otoczonych nimbem bohaterstwa zmagających się z okupacją rosyjską. Powstanie 1863 roku przeżył jako chłopiec młody, ale już rozumiejący dramat, jaki się wokół rozgrywał. W dwudziestym piątym roku życia zajmuje poważne stanowisko dyrektora młynów w Warszawie. Ciągnie go wszakże do pracy samodzielnej i wkrótce zakłada jedną z pierwszych w stolicy fabryk odlewów i wyrobów żelaznych (w rejonie obecnej ulicy Śniadeckich), lokując w niej cały majątek. Przedsiębiorstwo dobrze się rozwija. W 1884 roku Juliusz żeni się z Bronisławą Chodakowską, córką zamożnego warszawskiego przedsiębiorcy budowlanego.

Panna, oprócz posagu, wniosła swą urodę, energię i silny charakter. Pierwszy rok małżeństwa minął im w dostatkach i weselu, ale zaraz potem na rodzinę spadło nieszczęście. Juliusz zaangażował się w dostawy powozów i bryczek do Rosji, jednak ponieważ nabywcy nie uregulowali należności, fabryka popadła w trudności finansowe, które doprowadziły do likwidacji przedsiębiorstwa, a tym samym do utraty całego majątku. W celu uregulowania zobowiązań musieli sprzedać wszystkie cenniejsze przedmioty. Mimo to młoda para wykazała wielki hart ducha. Dziadek przyjął pracę na kolei, będącej wówczas symbolem postępu i nowoczesności. Wiąże się to z wyjazdem na prowincję: początkowo do Zawiercia, a później do Kutna, które stanowiło ważny węzeł kolejowy, obsługujący bogate tereny rolne Kujaw. Dziadek objął odpowiedzialną funkcję zwiadowcy tej stacji.

W pierwszych latach małżeństwa przychodzi na świat trzech synów. Najpierw bliźnięta, Bronisław i Józef, wkrótce po nich Janusz, mój Ojciec. Wiele lat potem rodzi się czwarty syn, Tadeusz, a jeszcze później – Alicja. Utrzymanie tak licznej rodziny to ogromny ciężar, jeśli chce się zachować poziom życia odpowiadający tradycji rodzinnej. Tymczasem spotyka Dziadka kolejny zawód. W 1897 roku umiera brat jego matki, Gustaw Krzywiec-Okołowicz, stary kawaler posiadający wielką fortunę odziedziczoną po swym ojcu. Ponieważ był bezdzietny, cały majątek miał przekazać memu Dziadkowi, jako swojemu siostrzeńcowi i najbliższemu krewnemu. Zapisał go jednak człowiekowi zupełnie obcemu, noszącemu to samo nazwisko. Strata była tym większa, że rozporządził w testamencie również majątkiem własnej siostry (a więc matki Dziadka), którym zarządzał po jej śmierci na podstawie ustnego porozumienia.



Kutno, dworzec kolejowy, pocztówka z początku XX w.

Dziadkowie przeżyli więc po raz drugi katastrofę materialną. Żyli nadal w trudnych warunkach, ciężko pracując, ale biorąc czynny udział w życiu społecznym oraz towarzyskim. Utrzymanie kontaktów z warstwą ziemiańską miało podstawowe znaczenie, ich utrata groziła bowiem pauperyzacją.

Dla urzędnika kolejowego nie było to jednak łatwe. Dziadkowie mieszkali w budynku przy stacji Kutno, nie dysponując ani służbą, ani końmi, które wówczas stanowiły jedyny środek lokomocji, i mając tylko skromne dochody. Ostatecznie udało im się te kontakty utrzymać. Oczywiście pomocą była rodzinna tradycja ziemiańska, uznane szlachectwo, a także napoleoński tytuł potwierdzający przynależność do wyższej klasy społecznej oraz zasługi przodków. Aktywność towarzyska i kultura osobista dopełniły reszty.



Rodzina Regulskich: Juliusz z żoną Bronisławą, jej siostrą Marią Maciejewską oraz synami. Stoją od lewej: mój Ojciec Janusz, Bronisław, siedzą (od prawej) Józef i najmłodszy Tadeusz, 1905

Pierwsza wojna światowa zmieniła wszystko. Dziadkowie wegetują w Kutnie wraz z córką i najmłodszym synem. Trzej starsi synowie znajdują się w Rosji. Ojciec i stryj Bronisław zostają zmobilizowani do carskiej armii. Stryj Józef pracuje na kolei i jest ewakuowany wraz z taborem kolejowym do Rosji przed nadchodzącą armią niemiecką. Niemieckie władze okupacyjne przejmują kontrolę nad kolejami. Już nie ma wywozu buraków i zboża ani też nikt nie przywozi do Kutna towarów na sprzedaż. Kolej obsługuje front, a do tego nie są potrzebni lokalni pracownicy, zawsze podejrzani o sprzyjanie wrogom. Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości Dziadkowie przenoszą się do Warszawy. Już wtedy mój Ojciec się wzbogaca i przejmuje rolę głowy rodziny. Następuje zmiana pokolenia, ale i całej epoki. Powstała Polska, o której marzyli. Wszystko staje się nowe.

Dziadek umiera w roku 1924 roku, na cztery miesiące przed moimi narodzinami. Na jego pamiątkę dano mi na drugie imię Juliusz. Babka przeżyła go o wiele lat – umarła dopiero w 1948 roku. Odegrała w moim dzieciństwie ważną rolę.



Janusz Regulski, Komandor Automobilkłubu, przy samochodzie Chrysler C7 Airstream, lata 30. Fot. NAC

2. Ojciec

Muszę tu poświęcić trochę miejsca Ojcu⁹. On był tym, który przejął pałeczkę w sztafecie pokoleń. W jego cieniu dojrzywałem i kształtowałem swoją osobowość. Był to jeden z wielkich ludzi Dwudziestolecia, budujących II Rzeczpospolitą. Ojciec przyszedł na świat w 1887 roku. Dzieciństwo upłynęło mu w Kutnie. Do szkoły średniej został wysłany do Warszawy, do znanego gimnazjum Edwarda Rontalera. Zapewniało ono możliwość dobrego życiowego startu, ale chesne i utrzymanie na stacji w Warszawie było kosztowne. Dziadkom pomogła rodzina. Ojciec wzrastał więc w świadomości, że koszty wychowania jego i braci przekraczają możliwości finansowe rodziców, a pomoc rodziny nie będzie trwać wiecznie. Szybko zatem musiał stać się niezależny. Nauczyło go to koncentracji wysiłku dla osiągnięcia celu w jak najkrótszym czasie.

Szkoła Rontalera znajdowała się przy dzisiejszej ulicy Śniadeckich. Było to jedno z najlepszych gimnazjów prywatnych, w którym panowały surowe zasady porządku i dyscypliny. Uczeń miał się nie tylko uczyć, lecz także zachowywać zgodnie z określonymi regułami. W szkole, mimo rosyjskiego języka wykładowego i ścisłego nadzoru administracji rosyjskiej, silny był duch polskiego patriotyzmu. Rok 1905 przyniósł wrzenie rewolucyjne, które objęło również młodzież. Zaczęła się ona domagać wprowadzenia języka polskiego do szkół, a gdy tego odmówiono, rozpoczęła strajk.

Ojciec jako uczeń jednej z ostatnich klas był mocno zaangażowany w jego organizację. Opowiadał mi, jak wraz z grupą kolegów wtargnęli do sąsiedniej szkoły żeńskiej, przerwali prowadzone tam lekcje i odesłali przerażone panienki do domów.

Strajk zakłócił dotychczasowe funkcjonowanie szkół. Maturę Ojciec musiał zrobić już jako ekstern. Ale właśnie wtedy otworzyła się niespodziewanie szansa. Dziadkowie otrzymali spadek, który umożliwił im sfinansowanie studiów za granicą dwóm z czterech synów. Wybór padł na najstarszego Bronisława i na mego Ojca, gdyż oni

⁹ Swoje wspomnienia ogłosił drukiem, zob. J. Regulski, *Blaski i cienie długiego życia*, Warszawa 1980. Kończą się one na obłężeniu Warszawy w 1939 roku. Ze względów zrozumiałych Ojciec nie mógł opublikować wspomnień z późniejszych okresów, szczególnie z pobytu w więzieniu.

byli najlepiej przygotowani. Wyjechali do Liège w Belgii, gdzie Ojciec zaczął studiować ekonomię, a stryj – inżynierię. Ojciec w ciągu trzech lat uzyskał licencjat, ale jego dyplom zawiera stopnie raczej średnie. Kiedy w rozmowach z nim lekko się podśmiewałem, że jednak nie był wzorowym studentem, wyjaśniał mi, że musiał wygrać wyścig z czasem. Jego studia stanowiły ogromne obciążenie dla finansów rodziny, uważał więc za swój obowiązek, aby korzystać z tej pomocy jak najkrócej. Stopnie miały znaczenie drugorzędne. Liczył się czas, no i dyplom oczywiście. Hierarchizacja celów, orientacja na realizowanie konkretnych zadań i docenienie znaczenia czasu – wszystko to stanowiło zasady, których przestrzegał przez całe życie. I które w dużym stopniu mi przekazał.

Po powrocie do kraju powstał dylemat, co robić dalej. Dziadek miał dla niego przygotowaną posadę w banku w Kutnie, jednak Ojciec odrzucił tę propozycję. Postanowił szukać szczęścia na własną rękę. Pojechał do Hamburga. W tym wielkim porcie otwartym na świat spodziewał się znaleźć swoją szansę. Dziadek czuł się zawiedziony. Ofiarował mu 50 rubli, zapowiadając, że nie może dać nic więcej. Ale Ojciec nie chciał małej stabilizacji w prowincjonalnym mieście.

Pierwszy okres w Hamburgu był bardzo trudny. Ojciec podejmował się różnych prac. Przez pewien czas zarabiał pakowaniem jaj wysyłanych statkami do Ameryki przez firmę polskiego Żyda pośredniczącego w handlu z Ukrainą. Jednak po roku, znając już dobrze język i niemiecki sposób pracy, dostał się do AEG, wielkiej firmy elektrycznej, która wyszukiwała najzdolniejszych i prowadziła własną szkołę dyrektorów. Ci wybrańcy zaczynali od najniższego szczebla. Ojciec zaczął od noszenia narzędzi i drabiny za monterami. Na każdym stanowisku pracowali po parę tygodni, przerzucani z miasta do miasta, systematycznie obejmując coraz odpowiedzialniejsze funkcje. Byli obserwowani, a raporty pisane przez ich przełożonych dotyczyły nawet najbardziej osobistych sfer życia. Po dwóch latach pracy w takim rygorze jedynie nieliczni wytrzymywali presję. Spośród nich wybierano ludzi na stanowiska kierownicze.

Mając 25 lat, Ojciec otrzymał polecenie przeprowadzenia kontroli w oddziale AEG w Łodzi, a następnie zwolnienia dyrektora i zajęcia jego miejsca. Dla tak młodego człowieka było to bardzo wysokie stanowisko i wielkie wyzwanie. Nie jest łatwo zwolnić znacznie starszego od siebie człowieka i zastąpić go w taki sposób, aby uzyskać zaufanie pracowników i móc później efektywnie z nimi pracować. Ojciec zdał ten egzamin. Młody, przystojny, dobrze zarabiający dyrektor oddziału poważnej firmy wkrótce znalazł się w centrum łódzkiej elity towarzyskiej.

Wybuch pierwszej wojny światowej przerwał jednak świetnie zaczynającą się karierę. Ojciec został zmobilizowany do rosyjskiej armii i skierowany na front. Zaczęła się blisko czteroletnia gehenna. Aż do wybuchu rewolucji rosyjskiej był cały

czas na pierwszej linii frontu, odniósł rany w Karpatach, walczył na Wołyniu i na froncie rumuńskim. Jako adiutant, szef sztabu pułku, a następnie dywizji uzyskiwał kolejne awanse i odznaczenia. Ale i zdobywał doświadczenie, będąc często zmuszonym do zastępowania swoich dowódców – kniaziów, którzy woleli pić, niż wydawać rozkazy.

Mógł się pochwalić wszystkimi orderami bojowymi, dostępnymi młodszemu oficerowi. Uczestniczył w wielu ciężkich bojach, zwiadach, atakach. W 1916 roku brał udział w ofensywie Brusilowa na Wołyniu. Kilkanaście kilometrów od pozycji jego jednostki po stronie przeciwnej walczyły Legiony. Nie jedyny to raz, gdy Polak walczył przeciw Polakowi. Ojca bardzo denerwowały późniejsze opisy walk, w których autorzy, wychwalając bohaterstwo Legionów, obrzucali wojska rosyjskie wszelkimi rodzajami epitetów. „Ruscy żołdaci” należało do łagodniejszych. „Ja też byłem jednym z tych żołdatów” – mówił z żalem. Jednostronność ocen historycznych i naginanie ich do aktualnych potrzeb nie od dziś należy do niedobrych polskich zwyczajów.

Rewolucja rosyjska zastaje Ojca na froncie rumuńskim. Podejmuje on wysiłek stworzenia Związku Żołnierzy Polaków. Dociera do I Korpusu Polskiego generała Józefa Dowbor-Muśnickiego i zostaje adiutantem II dywizji, stacjonującej w Zubcowie, daleko od ośrodka Korpusu. W czasie prób połączenia sił sztab dywizji aresztują bolszewicy. Ojciec spędza kilka tygodni, wraz z pięcioma innymi oficerami, uwięziony w wagonie towarowym na stacji w Orszy, a później w Mohylowie. Każdego dnia grozi im śmierć ze strony rewolucyjnych band. Jest najmłodszy rangą, ale najsilniejszy psychicznie, staje się nieformalnym przywódcą grupy. Zawiadamia wartę, że więźniowie zawiązali komitet i że on, w imieniu tego „sowietu”, żąda przekazania ich centralnym władzom. Formalnie nie byli bowiem więźniami, tylko internowanymi. Komenda dworca nie bardzo wiedziała, co ma z nimi zrobić, więc chętnie wysłała ich do Piotrogradu (jak wówczas nazywał się Petersburg). Tam zostali przekazani do dyspozycji złowieszczej policji politycznej bolszewików, tzw. Czeka (Nadzwyczajna Komisja do Walki z Kонтrewolucją i Sabotażem). W wyniku bezpośredniej i dramatycznej rozmowy z jej szefem, Feliksem Dzierżyńskim, Ojciec uzyskał prawo do pobytu w Piotrogradzie pod warunkiem codziennego meldowania się.

Ojciec sądził, że fakt, iż byli Polakami, przyczynił się do łagodnego ich potraktowania przez Dzierżyńskeigo. Mógł ich przecież po prostu kazać rozstrzelać. Tymczasem zaś polecił wystawić całej grupie odpowiednie zaświadczenia i osobiście je podpisał. Widziałem to, które dotyczyło Ojca. Niestety, zaginęło w czasie drugiej wojny światowej. Na dole kartki Dzierżyński postawił kreskę grubym niebieskim ołówkiem. Ojciec nigdy się nie dowiedział, co ona znaczyła. A mogła oznaczać wszystko, dlatego nigdy się tym zaświadczeniem nie legitymował. Oczywiście, nigdy się też nie zameldowali w Czeka.

Zimą 1918 roku przeszli przez linię wojsk niemieckich w Estonii. Tam Ojciec został aresztowany jako szpieg rosyjski, udało mu się jednak wyjść i z tej opresji. Pod konwojem odstawiono go do Warszawy.

Wrócił do Łodzi. Miejscowe środowisko przywitało go z entuzjazmem. Mało kto wierzył, że żyje, ale wszyscy pamiętali jego działalność zawodową, dzięki czemu łatwo odzyskał pozycję społeczną, jaką cieszył się przez wojnę. Po tych czterech latach był jednak innym człowiekiem. Miał lat 30. Widział ludzkie tragedie, mordy i pożary. Widział rewolucję i barbarzyństwo. Patrzył śmierci w oczy. I wiedział, że jeśli przeżył, to nie tylko dzięki szczęściu, lecz także dzięki własnej zaradności. Zawsze mówił, że w życiu trzeba mieć szczęście, ale też powinno się mu dobrze pomagać, bo samo nic do rąk nie padnie. Trzeba łapać w lot okazję, a to znaczy, że powinno się być do tego przygotowanym. Wiedział doskonale, jak wielką wartość ma pomoc i sympatia innych ludzi. Bez niej pewnie by tych lat nie przeżył. Ale wiedział również, że należy na nią zapracować. Trzeba zasłużyć na zaufanie. Trzeba ludzi szanować. Nauczył się przywidywania ruchów nieprzyjaciela oraz trudności, które samemu przyjdzie pokonywać. Był gotów do odgrywania wielkich ról, jaki mu los przeznaczy. I był silny poczuciem własnej siły.

Po wojnie Ojciec nie wrócił już do AEG. Rozstał się z nią w konflikcie, gdyż firma nie wywiązała się ze zobowiązań wobec jego rodziców, którym – jako rodzicom zmobilizowanego oficera – przysługiwała pomoc finansowa. Dało się to w pewnym stopniu zrozumieć, gdyż firma była niemiecka, a on był oficerem armii rosyjskiej, zatem wrogiem. Ojciec przeszedł do konkurencyjnego Siemensu.

Ogromna część elektrowni na terenach powstającego państwa polskiego należała do Niemców. W gronie polskich przemysłowców narodziła się więc myśl, że elektrownie powinny być przejęte przez polskich właścicieli. Dla Ojca nie ulegało wątpliwości, że zaopatrzenie energetyczne jest warunkiem rozwoju kraju i że kluczowe znaczenie będą miały inwestycje w energetykę. Stał się jednym z inicjatorów polskiej grupy kapitałowej, która podjęła się zadania wykupu elektrowni z rąk niemieckich.

Należało się spieszyć. Niepewna sytuacja polityczna skłaniała inwestorów do wycofywania się z terenów już utraconych przez Niemców. Było jasne, że wkrótce sytuacja się ustabilizuje, nastroje uspokoją, a ceny będą coraz wyższe. Dlatego niezwłocznie powołano spółkę akcyjną Siła i Światło, która została zarejestrowana już 8 grudnia 1918 roku, jako pierwsza spółka w niepodległej Polsce. Organizatorzy przechodzili do niej sukcesywnie, w miarę jak powstawały potrzeby i możliwości. Ojciec objął początkowo stanowisko dyrektora handlowego. Z biegiem czasu Siła i Światło rozrosła się w potężny koncern z udziałem kapitału belgijskiego.

W roku 1918 roku Ojciec miał już 31 lat i chciał założyć rodzinę. Wyłączyły się rodzinne swatki. Jego ciotka była żoną Stefana Maciejowskiego z Zawiercia, którego bratanica Halinka właśnie skończyła 18 lat, więc wszyscy uznali, że stanowiłaby świetną partię. Ojcu ta sugestia przypadła do serca, gdyż panienka była ładna, miła i mądra. Jej z kolei odpowiadał mężczyzna owiany legendą żołnierza i mający przed sobą dobrze zapowiadającą się karierę. W listopadzie 1919 roku zawarli ślub w Warszawie.

Ojciec Haliny, Ignacy Maciejowski, pochodził z rodziny ziemiańskiej, która przez wiele stuleci żyła i pracowała na Lubelszczyźnie. Jego matką była córka tajnego radcy dworu pruskiego Gustawa Adolfa von Tschoppe, wychowana po śmierci rodziców przez ciotkę w Polsce, więc w dużym stopniu spolonizowana. Po jej wczesnej śmierci mój pradziadek Władysław ożenił się z wdową, panią Starczewską, z domu księżną Golicyn. Posiadała duży majątek na granicy Wołynia i Polesia. Dojeżdżali się koleją do Kowla, a potem 12 godzin końmi! Kontakty rodzinne były więc utrudnione. Kiedy pradziadek zmarł, jego dzieci nie mogły odziedziczyć majątku, gdyż były Polakami i katolikami, a to wykluczało możliwość dziedziczenia po osobie prawosławnej i Rosjance.

Nie mogę pominąć tu pewnego wydarzenia, do którego doszło wiele lat później, w czasie okupacji hitlerowskiej. Mój Dziadek i jego brat Stefan byli synami rodowitej Niemki, a więc powinni być zapisani co najmniej jako volksdeutsche. Stefan szedł pierwszy do urzędu wyrabiać kenkartę. Namawialiśmy go, aby podał fałszywe nazwisko matki. „Ja nigdy nie kłamałem!” – wykrzyknął oburzony. Bardzo więc denerwowaliśmy się, czekając na jego powrót z urzędu. Wrócił wesoly i opowiedział, że jak się urzędnik zapytał o nazwisko matki, to odpowiedział zgodnie z prawdą, pomijając jedynie „von”. A potem obrzucił urzędnika, gdy ten go się zapytał o pisownię. I w dokumencie miał wpisane nazwisko matki: Czop. Jak zmiana kilku liter zmienia rzeczywistość!

Wśród Polaków po powstaniu styczniowym ślub z Rosjanką przyjmowany był ze zgorzleniem. Mój Dziadek nigdy nie uznał tego małżeństwa swego ojca o miał o nie wielką pretensję. Natomiast chętnie nawiązywał do niemieckiej krwi matki. Dziadek nie otrzymał żadnego majątku, więc pracował w przemyśle. Powoli awansując, bez studiów, jedynie na podstawie zdobywanych umiejętności praktycznych, został dyrektorem tkalni w Zakładach Włókienniczych w Zawierciu. To było poważne stanowisko, łączące się z wysokimi dochodami. Dziadkowie mieli zatem duży dom i co roku jeździli z dziećmi za granicę do Francji i Szwajcarii. Cieszyli się wysoką pozycją społeczną w środowiskach przemysłowych i inteligenckich w Zagłębiu Dąbrowskim. Dopiero wojna poderwała ich sytuację. Zakłady Włókiennicze przestały produkować, a inne inicjatywy gospodarcze Dziadka i posiadane zasoby pozwoliły wejść w nową, powojenną rzeczywistość w dobrej kondycji materialnej.



Fabryka Towarzystwa Zakładów Przędzalni Bawełny, Tkanin i Bielarni „Zawiercie” S.A. ,
poniżej hala produkcyjna, lata 30. Fot. NAC.



Dom Dziadków był pełen dziewiętnastowiecznych tradycji. Babka zawsze ubierała się w ciemnych kolorach, kontynuując żałobę po powstaniu 1863 roku. Nosiła też tylko ciemną biżuterię. Miarę jej uczuć patriotycznych stanowiła żelazna obrączka. Oryginalną, złotą, przekazała na Skarb Narodowy powstającej Polski.

Matka ukończyła gimnazjum w Zakopanem, a później w Warszawie parokrotnie podejmowała próby studiów uniwersyteckich, jednak obowiązki i pokusy życia towarzyskiego i prowadzenia domu otwartego wiodły do ich zaniechania. W sierpniu 1920 roku przyszła na świat moja starsza siostra Hanna. Ofensywa bolszewicka zbliżała się do Warszawy. Matka wyjechała więc do swych rodziców do Zawiercia, aby być dalej od frontu. Ojciec zgłosił się na ochotnika do wojska.

Doświadczenia Ojca z lat wojny i rewolucji bolszewickiej ukierunkowały jego sposób myślenia. Uważał, że podstawowym zadaniem wszystkich obywateli jest ustabilizowanie powstającego państwa. Bez stabilizacji nie dało się myśleć nie tylko o rozwoju, ale nawet o przetrwaniu. Polska nie miała wtedy przyjaciół wśród mocarstw europejskich. Była skazana na własne siły, powinna je więc spożytkować na kluczowe sprawy. Dlatego z ogromnym niepokojem i dezaprobatą patrzył Ojciec na akcje Piłsudskiego na wschodniej granicy. Miał w oczach bezkresne obszary rosyjskie i ogromne masy ludzi tam mieszkających. Widział też stopień rozbudzonych emocji i barbarzyństwa. Zdawał sobie sprawę ze słabości Polski, dlatego uważał, że nie należy angażować się w tamtym kierunku, opierając się na mrzonkach, jakimi były aspiracje niepodległościowe Ukrainy. Próby odtworzenia tego państwa zostały zniszczone przez wojska Białych, głównie przez Denikina w jego marszu na północ. Toteż Ojciec sprzeciwiał się operacji kijowskiej, która odciągała nasze siły od granic zachodnich. Jednak gdy Tuchaczewski zagroził Warszawie, Ojciec natychmiast zgłosił się do wojska. Został kierownikiem I oddziału w Kwaterze Głównej Naczelnego Wodza. Przeprowadził osobistą inspekcję oddziałów wzdłuż dolnej Wisły. Był przerażony ich słabością wobec nadchodzącej armii sowieckiej. Ale wielokrotnie później podkreślał swoje uznanie wobec zdolności dowódczych Piłsudskiego i jego sukcesu, tak często kwestionowanego. Chciano go zastąpić cudem nad Wisłą i śmiercią księdza Skorupki. Niestety, nigdy Polacy nie potrafili uznać własnych sukcesów ani osób, którym je zawdzięczają.

W czasie tej paromiesięcznej służby spotkał się po raz pierwszy z legionistami, co zaważyło na jego negatywnym stosunku do całej grupy, a także do Piłsudskiego. Ojciec miał duże doświadczenie wojskowe. Zakończył wojnę w stopniu kapitana, odpowiadającym w rosyjskim wojsku polskiemu majorowi. Tymczasem znalazł się wśród pułkowników, których jedynym doświadczeniem było częste dowodzenie małym oddziałem strzeleckim lub działalność w POW. Wielu z nich uważał za ignorantów, zadufanych w swoich rzekomych umiejętnościach.

Dawni oficerowie armii carskiej byli przez legionistów traktowani niechętnie i często poniżani. Ojciec odczuł to na sobie. Zakwestionowano dokumentację jego służby wojskowej, sporządzoną przez dowództwo I Korpusu generała Dowbor-Muśnickiego. Zachowała się jego korespondencja z władzami wojskowymi w tej sprawie. W rozmowach ze mną wielokrotnie powracał do tego tematu, był tym głęboko zraniony. Podano bowiem w wątpliwość jego prawdomówność. W grudniu został zmobilizowany na wniosek Ministerstwa Przemysłu. Potrzebowano go na polu gospodarki. Ale niesmak kontaktów z legionistami pozostał.

Ojcu zupełnie obce były porywy romantyczne. Zawsze z nimi walczył. „To nie ma sensu, nie tędy droga” – wielokrotnie mówił. Nie lubił polskiej martyrologii, uważał, że trzeba tworzyć, budować. Był rzecznikiem dziewiętnastowiecznej filozofii pozytywistycznej: praca organiczna, sprawna organizacja, celowość działania, technika, wolność gospodarza – to zasady, którymi się kierował. Głębokie poczucie współodpowiedzialności za świeżo odzyskane państwo sprawiało, że za najwyższe zadanie uważał pracę na rzecz Polski. I to nie były puste słowa.

Nie należał nigdy do żadnej partii. Nie znosił działalności politycznej, zwłaszcza w wydaniu polityków lat dwudziestych. Wielokrotnie w rozmowach powracał do zabójstwa Narutowicza jako do przykładu ilustrującego, do czego może doprowadzić rozpasanie polityków usiłujących grać na emocjach społecznych.

Ta zbrodnia miała szczególne znaczenie dla pokolenia ludzi tworzących zręby niepodległego państwa, będącego realizacją ich marzeń. Warcholstwo w Sejmie przeżywał głęboko. Ale widział, że mimo tych gier kraj powoli się stabilizuje. Wysoko oceniał reformę Grabskiego, która umożliwiła rozwój gospodarczy.

Jednakże zamach stanu dokonany w 1926 roku przez Piłsudskiego brutalnie unaoczniał, iż państwo nie jest jeszcze stabilne. Ojciec zdecydowanie potępiał zamach. Jego zmysł państwowy nie mógł zaakceptować załamania siłą legalnej władzy. Mój stryj Bronisław, wówczas już pułkownik, ruszył na odsiecz rządowi wraz z oddziałami poznańskimi. Nie dotarli na czas, a stryj na szereg lat poszedł w odstawkę i z awansem generalskim musiał czekać na śmierć Piłsudskiego.

Walki uliczne w Warszawie przetoczyły się przez Marszałkowską, gdzie mieszkaliśmy. Wiadomym znakiem po nich była dziura w suficie salonu, którą dobrze pamiętam. Podobno służąca wychyliła się przez okno, żeby zobaczyć, jak strzelają, i ktoś do niej strzelił – chybiając na szczęście.

Szybko rozwijająca się kariera Ojca i wzrastające dochody umożliwiły mu wynajęcie tego dużego mieszkania przy Marszałkowskiej 85. Miało sześć pokoi. Na prawo od wejścia – duży salon z oknami od ulicy. Obok gabinet, który jednak nie służył Ojcu, gdyż Ojciec nigdy nie pracował w domu. Dalej sypialnia, też od ulicy. Od podwórza były dwa mniejsze pokoje sypialne, w których spały dzieci, kiedy przyjeżdża-



Przewrót majowy – posterunek wojskowy na rogu Marszałkowskiej i Nowogrodzkiej oraz tłum przyglądających się ludzi, 1926. Fot. NAC



liśmy do Warszawy. Dalej stołowy ze śmiesznym narożnym oknem, wychodzącym w kącie podwórka, za nim kuchnia, spiżarnia, pokój służącej i wyjście na kuchenną klatkę schodową. Klatka kuchenna to coś, co dziś już nie istnieje. A wtedy było istotnym elementem każdego domu. Frontową klatką chodzili właściciele mieszkań, ich rodziny i goście. Służba używała klatki kuchennej. Nią też odbywał się transport wszelkich towarów. Ona miała połączenie z piwnicami, w których składowano węgiel i kartofle. Noszenie węgla na wyższe piętra łączyło się z dużym wysiłkiem. A węgiel był konieczny zarówno do palenia w kuchni, jak i do ogrzewania mieszkania piecami kaflowymi. Lodówki były na lód. Do mieszkań co kilka dni przynoszono bloki lodu wycięte w zimie ze stawów i przechowywane w lodowniach ziemnych. Rozbite na mniejsze kawałki bloki wrzucało się do odpowiedniego przedziału specjalnej komódki, będącej lodówką. W pozostałych częściach, oddzielonych od lodu ściankami z blachy, kładziono to, co miało być chłodzone.

Posiadanie telefonu uchodziło za coś wyjątkowego, ale myśmy telefon mieli. Numery składały się z czterech cyfr, co oznaczało, że w Warszawie mieszkało jedynie kilka tysięcy abonentów. Nie było książek telefonicznych. Każdy miał zapisane numery osób, do których miał interesy. Pamiętam, jak kiedyś przyszli znajomi i jeden z nich miał pilny interes zawodowy. Koniecznie musiał się z kimś porozumieć. Ale nie pamiętał numeru. Ktoś powiedział: „Po co się martwisz? Powiedz telefonistce nazwisko, ona cię połączy”. I rzeczywiście – panienska w centrali natychmiast połączyła. Nawet nie musiała nigdzie zaglądać.

Dążenie do nowinek technicznych było powszechne. Na rogu Hożej i Marszałkowskiej znajdował się bar. Dla zwiększenia zainteresowania właściciel wprowadził innowację. W ścianie zrobił dziurę, gdzie należało wrzucić monetę, i wtedy automatycznie z kraniku leciała do podstawionego kieliszka wódka. Ale jak głosiła plotka, to nie był automat, tylko za ścianą siedział kelner, który otwierał kranik. Podobno kiedyś chciał zaoszczędzić i nalał jedynie połowę kieliszka. Zdenerwowany klient zastukał w ścianę i krzyknął: „Te, dolej!”. Wtedy zza ściany odezwał się głos: „Tu się nie gada. Tu automat”.

* * *

Siła i Światło stawała się jedną z najpoważniejszych polskich grup finansowych działających na rzecz elektryfikacji kraju. Polski rynek kapitałowy był słaby. Nie istniały kapitały wystarczające do prowadzenia działalności inwestycyjnej na skalę, o jakiej myślał Ojciec. Zarazem obawiał się on kapitału obcego, spekulacyjnego, nastawionego wyłącznie na szybki zysk. Taki kapitał nie służył rozwojowi. Ojciec wielokrotnie przytaczał przykład Elektrowni Warszawskiej (będącej własnością

Francuzów), która nie chciała inwestować w rozwój sieci, a tym samym ograniczała dostęp do energii elektrycznej, blokując rozwój. Przeciwstawiał się on więc sprzedaży akcji Siły za granicę. W końcu po paroletnich staraniach znalazł rozwiązanie. Większościowy pakiet akcji kupili Belgowie, ale jednocześnie stworzono bardzo misterny system wzajemnych uwarunkowań, które gwarantowały zarządowi autonomię w podejmowaniu decyzji.

Znaczenie grupy rosło i rosła pozycja Ojca. Powoli stawał się osobą decydującą, co zostało potwierdzone formalnymi zmianami. Wprowadzono jednoosobowy zarząd z Ojcem jako prezesem. Stał się motorem rozwoju Siły i Światła, która podejmowała coraz to nowe inicjatywy. Wybudowała kolejkę EKD do Grodziska, Milanówka i Włoch, stworzyła miasto ogród Podkowę Leśną, kupiła fabrykę kabli w Bydgoszczy i rozpoczęła budowę nowej w Lubartowie, w ramach programu COP. Powstał holding skupiający kilkanaście dużych spółek, takich jak elektrownie, tramwaje i koleje dojazdowe, kopalnia węgla i fabryki produkujące na rzecz elektryfikacji.

Ojciec był zafascynowany rozwojem i nowoczesnością. Uważał, że jest to droga do wydostania się z biedy i nadrobienia opóźnień wywołanych rozbiorami. Pamiętał dobrze warunki, jakie istniały w carskiej Rosji, widział, co to jest bolszewizm. Twierdził, że Polska musi się związać z Zachodem, ale w tym celu trzeba zmniejszyć dzielącą nas od niego różnicę w poziomie rozwoju. Uważał więc za niezbędne unowocześnienie gospodarki, jej rozwój i współpracę z firmami zachodnimi. Ojciec był fanatykiem dobrej i uczciwej pracy, a wrogiem wszelkich działań pozornych, kręactwa i gadulstwa. W tych sprawach potrafił być brutalny, obnażając działania nierzetelne. Wiele wymagał od siebie i od innych. Nie znosił, gdy ludzie starali się usprawiedliwić swe błędy czy nieudolności jakimiś nadzwyczajnymi powodami. Zawsze mi powtarzał: „Bądź dla siebie sędzią, a nie adwokatem”.

W połowie lat trzydziestych ramy grupy Siła i Światło stały się dla Ojca zbyt wąskie. Reprezentując zaprzyjaźniony kapitał belgijski, przeprowadził zakup papierni Mirków w Jeziornie pod Warszawą, a później papierni Klucze. Przed samą wojną wszedł również do zarządu zakładów metalowych w Ostrowcu Świętokrzyskim. Pamiętam, że kiedyś zrobiłem listę wszystkich jego funkcji. Wyszło ich coś ponad trzydzieści – członkostw zarządów, rad nadzorczych i stanowisk w organizacjach przemysłowych. Był człowiekiem-instytucją, uważanym przed wybuchem wojny za jednego z najważniejszych ludzi w przemyśle polskim.

Na następnej stronie: końcowy przystanek EKD (w roku 1951 nazwę zmieniono na WKD) na ulicy Nowogrodzkiej, blisko skrzyżowania z Marszałkowską, lata 30. Fot. NAC



50

50

SPÓŁKA AKCYJNA
„SIŁA i ŚWIATŁO”
 W WARSZAWIE

SOCIÉTÉ ANONYME
„FORCE et LUMIÈRE”
 À VARSOVIE

Kapitał akcyjny Zł 2.600.000, podzielony na 52.000 akcji, na okaziciela, wartości nominalnej po Zł 50.—

Capital social 2.600.000 Zlotys, reparti en 52.000 actions, au porteur, de valeur nominale de 50 Zlotys chacune.

N° 025734

AKCJA ACTION

NA ZŁOTYCH PIĘCDZIESIĄT DE CINQUANTE ZLOTYS

ZŁ 50 ZL

WARTOŚCI NOMINALNEJ VALEUR NOMINALE

NA OKAZICIELA

AU PORTEUR

Rada Zarządzająca:
 Le Conseil d'Administration:

W. Gębior *J. Surowski*

Buchalter: *W. Selwey* Kasjer: *St. Stanisławski*
 Comptable: Caissier:

WARSZAWA, 1925 R.

50

50

Akcja spółki Siła i Światło, 1925

Zadziwiające jest, że znajdował czas na sprawy pozazawodowe. Pierwsze spośród jego licznych hobby stanowił automobilizm. Już w początku lat dwudziestych kupił pierwszy samochód, tatrę. Potem już zawsze mieliśmy samochody. Najpierw jeden, potem dwa, a był i moment, że mieliśmy trzy. Ojciec zaczął uczestniczyć w wyścigach i rajdach. Posiadał nawet polski rekord szybkości, który wynosił dziewięćdziesiąt kilka kilometrów na godzinę! Jako przewodniczący komisji sportowej Automobilklubu Polskiego był komandorem wszystkich większych imprez, reprezentował Polskę w międzynarodowej organizacji automobilowej. Poświęcał wiele czasu, aby stworzyć z Automobilklubu silną organizację, zdolną do przeprowadzania dużych imprez. Jako wiceprezes klubu Ojciec faktycznie nim kierował, gdyż prezesura miała charakter honorowy i była ofiarowywana ministrom komunikacji.

Pasja automobilowa znalazła ujście w wielkich wyprawach turystycznych. W ciągu corocznych podróży Rodzice objechali całą Europę, a także północną Afrykę¹⁰. To były zupełnie inne warunki niż obecnie: nie istniały autostrady, a ówczesne drogi dziś uznalibyśmy za fatalne. Na przełęczach alpejskich musieli się wspinać drogami budowanymi dla jucznych zwierząt, a bezdroża Atlasu czy Sahary pokonywać trasami karawan. Pasją automobilizmu przejęła się także moja Matka, która zaczęła startować w zawodach i wkrótce stała się jedną z najlepszych polskich automobilistek.

Po kilku latach fascynacji automobilizmem otworzyło się nowe pole zainteresowań Ojca – łowiectwo. Pasjonował go udział w polowaniach na grubego zwierza: wilki, sarny, jelenie, kozice w Alpach. Upolował nawet niedźwiedzia w Karpatach Wschodnich. Jego wyjazdy na polowania stały się nieodłącznym elementem życia naszej rodziny. Należał do kilku kół łowieckich na Polesiu i wyjeżdżał tam parę razy do roku. Były to polowania zaplanowane z dużym wyprzedzeniem albo zupełnie nagłe, w odpowiedzi na telegram, że w jakimś ostępie na Polesiu wilki zostały osaczone. Gdy w zimie spadły śniegi, starano się wilki zlokalizować, aby je ofladrować (czyli otoczyć fragment lasu, gdzie się znajdowały, fladrami, tzn. linkami z przy-mocowanymi czerwonymi chorągiewkami, których wilki bardzo się bały). Wtedy do Warszawy przychodziły elektryzujące telegramy. Ojciec i jego przyjaciele rzucali wszystko. W ciągu paru godzin musieli wyjechać, aby po dwóch dniach dojechać na miejsce, w serce Polesia, i stanąć do rozprawy z wilczym stadem.

Ojciec był świetnym strzelcem. Pamiętam, że do jego popisowych numerów należało ścinanie drzew strzałami z karabinu myśliwskiego. Na ogół drzewko o średnicy pnia około 10 centymetrów ścinał trzema strzałami. Wystartował kiedyś dla zabawy w mistrzostwach w strzelaniu myśliwskim do ruchomych celów – dzika, jelenia. Zupełnie nieoczekiwanie zdobył mistrzostwo Polski. Potem startował już corocznie

¹⁰Podróże te opisała moja Matka, zob. H. Regulska, *Samochodem przez dwudziestolecie*, Warszawa 1994.



X Międzynarodowy Rajd Automobilklubu Polski, 1937 rok.
Komandor rajdu Janusz Regulski dopuszcza do startu kierowcę Franciszka Kawalę
w samochodzie Fiat.
Fot. NAC



Prezes Komisji Sportowej Automobilklubu Polski Janusz Regulski (z prawej)
wręcza puchar kierowcy rajdowemu Aleksandrowi Mazurkowi,
marzec 1938. Fot. NAC.

i tych tytułów nzbierał wiele. Ostatnią jego pasją przed wojną był golf. Powstał wtedy klub w Powsinie i Ojciec, który uwielbiał wysiłek fizyczny, zaczął regularnie tam jeździć. W tej dziedzinie nie miał już jednak sukcesów.

Ale nie tylko sam uprawiał sport. Starał się zachęcić do niego innych, przede wszystkim młodzież. W połowie lat trzydziestych zainicjował i sfinansował doroczny konkurs dla młodych tenisistów. Odbyły się trzy kolejne edycje. W 1939 roku połowa polskiej reprezentacji tenisowej składała się z jego triumfatorów. Wśród nich znaleźli się Czesław Spychała i Ksawery Tłoczyński. W latach sześćdziesiątych podobny turniej stworzył Bohdan Tomaszewski, znany dziennikarz. Nie mam wątpliwości, że była to kontynuacja turnieju mego Ojca, bo Tomaszewski też w nim startował i nawet doszedł do finału. Szkoda tylko, że nigdy nikt nie wspomniał, iż już istniał pierwowzór, na którym się opierał. Ojciec zawsze chętnie się dzielił swoim dorobkiem i zawsze się cieszył, jeśli inni wykorzystywali go z pożytkiem społecznym.

Wychowywałem się pod wpływem tej wyjątkowej osobowości. Uznałem wiele jego zasad za własne i starałem się nimi w życiu kierować. Dużo mu zawdzięczam. Jednak gdy się dorasta, trzeba tworzyć własny świat i przestać się porównywać, bo to prowadzi zawsze do wniosku, że jest się gorszym. Ale wyzwolenie się spod wpływu takiej osobowości nie jest łatwe. W pewnym okresie życia było to dla mnie wielkie wyzwanie. Jednak od początku tworzyłem swoją karierę samodzielnie. Zresztą jego świat już wtedy leżał w gruzach. A on sam, gdy zaczynałem być samodzielnym, siedział w więzieniu.



Od lewej: Ksawery Tłoczyński, Neumannówna, Zofia Sidówna i Czesław Spychała.
Fot. NAC



Jerzy Regulski w 1932 roku

3.

Dzieciństwo (1924-1931)

P

okój wypełniali ludzie. Stali za mną, a ja stanowiłem ośrodek zainteresowania. Byłem wysoko. Prawie na wysokości ich twarzy. Coś ze mną robili, ale nie interesowałem się tym.

Po lewej stronie znajdowało się okno, a za oknem, w alei wysadzonej drzewami, stał ON – samochód Rodziców, marki Métallurgique. Wspaniała czarna karetka z kwadratowym dachem i ze wspaniałymi dwoma reflektorami na przodzie. Interesował mnie tylko ON. Reszta się nie liczyła.

To był mój chrzest... Najdawniejsze wspomnienie, jakie zachowało się w mojej pamięci. Chrzest w kancelarii parafialnej kościoła św. Barbary na Koszykach w Warszawie. Ten budynek stał i nadal stoi przy małej uliczce wysadzonej starymi drzewami, łączącej teren kościoła z ulicą Nowogrodzką obok budynku Romy. Był rok 1927. Miałem już wtedy trzy lata.

Urodziłem się w lipcu 1924 roku w Zarybiu na pograniczu dzisiejszej Podkowy Leśnej, która wówczas jeszcze nie istniała. Był podobno ciepły dzień. Ojciec kazał szybko zaprzęgać siwki do bryczki i przywieźć z odległego o kilka kilometrów Brwinowa panią doktor Tarwidową. Wszystko odbyło się bez problemów, chociaż miałem podobno wielką głowę. „Mały będzie filozofem” – ogłosiła nasza kucharka.

Rodzice kupili Zarybie rok przed moim urodzeniem. Ojciec mówił, że tworzy sobie miejsce na starość. Ale nie sądzę, żeby mówił to na serio. Miał wtedy dopiero 35 lat i właściwie rozpoczynał karierę. Myślę raczej, iż była to chęć nawiązania do ziemiańskich tradycji rodzinnych sprzed półtora wieku. Wówczas jeszcze pokutowało przekonanie, że posiadanie ziemi dodaje prestiżu rodzinie, że trzeba łączyć życie miejskie z możliwością wypoczynku na wsi.



Moja Matka Halina przed domem w Zarybiu
przy samochodzie belgijskiej marki Métallurgique, 1925

Ale chyba najważniejsze były dwa inne powody. Jeden czysto osobisty: Ojciec kochał budować, tworzyć nowe rzeczy. I chciał stworzyć nowoczesne gospodarstwo wiejskie. W dodatku była to świetna inwestycja. Zarybie graniczyło z terenami, gdzie wkrótce – przy walnym udziale prowadzonej przez Ojca spółki Siła i Światło – miała powstać Podkowa Leśna i kolej EKD. Było oczywiste, że wartość wszelkich inwestycji na tych terenach wzrośnie wielokrotnie. Stanowiło to dobre zabezpieczenie starości, również finansowe.

Napisałem, że Ojciec kupił Zarybie. To nieprawda. Ojciec je stworzył. W 1922 roku Rodzice nabyli jedynie pół hektara gruntu z dwoma niewielkimi budynkami i jakimiś zabudowaniami gospodarczymi w Żółwinie przy polnej drodze idącej z Brwinowa. Następnie zaczął skupować grunty we wsi. Gdy miał już ich sporo, zebrał grupę rozsądnych gospodarzy i zainicjował program komasacji. Przekleństwem rolnictwa w Polsce jest rozproszenie gruntów poszczególnych gospodarstw. Tradycja nakazywała bowiem dzielenie każdego pola pomiędzy wszystkich spadkobierców, aby było sprawiedliwie i aby uniknąć sporów. W efekcie powstawały wąskie paski gruntu, często szerokości paru metrów, a poszczególne gospodarstwa składały się nawet z kilkudziesięciu odrębnych i rozproszonych poletek. W tej sytuacji sprawne gospodarowanie nie było możliwe. Rząd wprowadził specjalne ułatwienia dla komasacji gruntów, a więc wymiany pól pomiędzy właścicielami, dzięki której miały powstać zwarte gospodarstwa. Nie było to jednak łatwe przekonać tradycyjnych gospodarzy, którzy obawiali się utraty majątku, a nie umieli sobie wyobrazić korzyści. Trudno było nawet uzyskać zgodę wsi na dokonanie pomiarów. Mierniczych wielokrotnie przepędzano z pól. Ale Ojcu udało się przeprowadzić nowy podział i zmusić chłopów, aby go zaakceptowali, a potem zaczęli uprawiać swoje nowe działki. Kilka lat później gospodarze uznali zasadność całej operacji, a Ojciec stał się we wsi autorytetem.

Rodzice weszli w posiadanie swartego obszaru 40 hektarów, pięknie położonego w zakolu lasów. Wkrótce powstały nowe zabudowania gospodarcze wokół podwórka wraz z budynkiem mieszkalnym dla służby folwarcznej. Założono wodociąg z własnej studni głębinowej i kanalizację. Powstały szklarnie odpowiadające najnowocześniejszym wzorom. Ojciec sprowadzał maszyny i wyposażenie, aby Zarybie stało się wzorowym gospodarstwem rolnym i ogrodniczym. W efekcie zyskało z biegiem lat uznanie jako dostawca pomidorów, chryzantem i fiołków alpejskich.

Przebudowane zostały również domki mieszkalne. Połączono je w jeden duży budynek. Powszechnie nazywano go pałacem, bo rzeczywiście to było pałacowe założenie. Główne wejście znajdowało się pod kolistym tarasem, wspartym na łuku kolumn z jońskimi kapitelami. Wchodziło się do dużego hallu, w którym głównym meblem był bilard karambolowy. Ojciec bardzo lubił grać i dobrze mu to szło. W lewej części hallu mieściła się klatka schodowa, przechodząca na pierwszym



KTP

2092



30981

XII A.20

1929

10m

PRZEWODNIK

PO KOLEI ELEKTRYCZNEJ
WARSZAWA - GRODZISK

Cena 50 gr.

b.24729204

Droga przy przystanku prowadzi na lewo do Zarybia i Żółwina, na prawo do Brwinowa.

Na km. 25.4 przystanek na żądanie Podkova Leśna Zachodnia.



Stacja
w Podkowie Leśnej.

Miasto Ogród Podkova Leśna (patrz plan) zostało założone w 1925 r. przez p. St. Lilpopa, Sp. Akc. „Siła i Słońce”, Sp. Akc. „Elektryczne Koleje Dojazdowe”, i Bank Związku Spółek Zarobkowych. Plan zabudowy wykonał architekt



Klub sportowy w parku, w Podkowie Leśnej.

A. Jawornicki; park publiczny zakładany jest według planów miejskiego ogrodnika m. Warszawy p. L. Danielewicz, w parku klub sportowy (według projektu arch. Dzierżanowskiego) restauracja, place tenisowe i t. p.



Stacja EKD w Podkowie Leśnej, lata 30. Fot. polona.pl

piętrze w galerię otaczającą otwartą, dwupiętrową przestrzeń. Ściany zawieszono były trofeami myśliwskimi – rogami jeleni, saren i kozic, kolekcją wypchanych pięknych batalionów, skórami dzików i wilków. Dalej, na lewo, znajdował się duży salon, a na wprost wejścia pokój marokański z kominkiem, umeblowany skórzanymi pufami i niskimi kanapami, przykrytymi kilimami, które Rodzice przywieźli z Afryki. Na stolikach stały naczynia do parzenia kawy, a na ścianach wisiały kindżały, hełmy tropikalne i piękne makaty. Pokój był półmroczny, chłodny i stanowił świetne miejsce do wypoczynku w upalne lato. Ale był także przytulny zimą, gdy palił się kominek.

Obok mieściła się wielka jadalnia. Znajdowały się w niej dwa stoły. Mniejszy, okrągły, przy którym mogło usiąść sześć, osiem osób, stał w dużym wykuszu i służył do posiłków rodzinnych. Drugi – wielki, podłużny – zajmował środek pokoju. Oferował ponad 20 miejsc, dlatego używano go podczas przyjęć. Wielkie krzesła z wysokimi oparciami, wykraczającymi wysoko ponad głowy siedzących i rozszerzającymi się ku górze, były piękne, ale stanowiły przekleństwo dla służących, którzy musieli wykonywać ekwilibrystyczne sztuki, aby precyzyjnie się między tymi oparciami, podając gościom półmiski. Dwa duże kredensy były w tym samym stylu. W jednym z nich stały piękne wazy szklane z weneckiej fabryki Salviati.

Na pierwszym piętrze mieściły się pokoje sypialne. Sypialnie moja i siostry znajdowały się nad samym wejściem i było z nich wyjście na taras. Rodzice mieli swoje pokoje od ogrodu, stanowiły one wyodrębniony apartament z łazienką. Pokój matki był słoneczny, miał złotą tapetę i specjalnie wykonane meble w stylu art déco. Gabinet Ojca był ciemniejszy, z granatowymi tapetami, ciężkimi meblami mahoniowymi i dużymi kanapami. Wokół pokoju wisiało kilkadziesiąt sztychów wydanych w Wilnie w XIX wieku jako ilustracja do pamiętników Jana Chryzostoma Paska. Przy gabinecie znajdowała się ciemnia fotograficzna. Ojciec spędzał w niej wiele czasu, wywołując swoje zdjęcia. Fotografia była wówczas czymś bardzo nowym, jedną z dziedzin symbolizujących postęp techniczny.

W Zarybiu ciągle przybywało jakichś nowinek. Ojciec był fanem postępu techniki. Pamiętam dobrze pierwsze radio, które przywiózł z zagranicy. Wielkie pudło stało na odrębnym stole, a na nim duży głośnik. Z boku znajdowała się dźwignia umożliwiająca przełączanie na fale długie, średnie i krótkie. A pośrodku walec, którym zmieniało się długość fal w poszukiwaniu radiostacji. Nie było ich wówczas wiele, ale wciąż powstawały nowe. Dlatego na tym walcu umieszczono pasek papieru, na którym ołówkiem zaznaczało się uruchamiane stacje. Pamiętam nasze emocje, gdy odkrywaliśmy nowe i pasek powoli zapełniał się zapiskami.

Pamiętam też pierwszą lodówkę elektryczną. Wielka szafa, w połowie zajęta przez silnik i inne urządzenia. Dla nas ewenement stanowiły szufladki, w których można było uzyskać lód. Prawdziwy lód! Do tej pory lód przynosiło się z lodowni

w ogrodzie. Była to piwnica obsypana ziemią tak, że tworzyła sztuczny pagórek. Tam składało się bloki lodu wycięte ze stawów w zimie. Zalane wodą, tworzyły jedną wielką bryłę, którą od ciepła izolowało się narzuconą słomą. Przynoszenie lodu stanowiło zawsze wielką atrakcję. A teraz wystarczyło pójść do lodówki – do frigidaire’a, jak to się mówiło, używając nazwy producenta.

Ten zabieg językowy warto odnotować. Postęp przynosił coraz to nowe urządzenia, które nie miały nazwy. Zanim upowszechniła się nazwa „samochód”, mówiło się: auto. Na odkurzacz – electrolux, a na lodówki, jak wspomniałem – frigidaire.

Prawe skrzydło parteru zajmowały kuchnia, pomieszczenia gospodarcze i pokoje dla służby. W jednym z tych pokoi było biuro mego stryja zarządzającego majątkiem. Bardzo lubiłem stryja Józefa, którego częściej w tym czasie widywałem niż mego Ojca i który mi trochę Ojca zastępował. Często chodziłem do kancelarii, jak ten pokój nazywano, i spędzałem tam wiele czasu, słuchając opowieści stryja i bawiąc się biurowymi drobiazgami. Kiedyś wpadł mi w ręce stempel – datownik, jakie wówczas istniały. Przesuwało się kauczukowe paski z cyframi, z których można było skomponować kolejne daty. Zafascynowało mnie to i stryj zaczął pokazywać, jak się zmienia dni, miesiące i w końcu lata. Przesuwaliśmy paski, aż doszliśmy do ostatniej możliwości: rok 1939. Dalej już dat nie było. Zapytałem poważnie, co będzie dalej – czy to będzie koniec świata? Stryj się zaśmiał: „Po prostu kupimy nowy stempel”. Mylił się. Stempla nie kupiliśmy i to był koniec świata. Tamtego świata.

Domem zarządzała z ogromną energią nasza Babka, a opiekę sprawowała nad nami Rozalia Kamińska, zwana popularnie Runią. Przyszła do nas, gdy miałem niecałe dwa lata. I została w naszej rodzinie aż do swej śmierci w 1951 roku. Była moją drugą matką, szczególnie w długim okresie, gdy pod jej opieką mieszkalem w Rabce.

W Zarybiu tętniło życie rodzinne. Rodzice często przyjeżdżali nie tylko, aby z nami być, ale także aby rozbudowywać dom i gospodarstwo. Dojazd był jednak trudny. Jeździło się koleją parową do Brwinowa, a stamtąd końmi do Zarybia. W sumie podróż wielogodzinna. Stopniowo coraz częściej używano się samochodu, ale każdy przyjazd wiązał się z ryzykiem. Trzeba było przejechać z Nadarżyna przez Lasy Młochowskie drogami gruntowymi, których nikt nie utrzymywał.

Drogę więc się wybierało w zależności od pogody i pory roku. Inaczej się jeździło po deszczu, gdy kałuże groziły zalaniem silnika, a inaczej w czasie suszy, gdy zwały piasku stwarzały trudne do pokonania bariery.

Co roku na wiosnę, gdy zeszły śniegi, Rodzice przynosili się na stałe do Zarybia i pozostawali tam aż do późnej jesieni, kiedy dojazdy do Warszawy stawały się trudne. Przenosił się wtedy cały dom, ze służbą i wszystkimi rzeczami. To było zawsze wielkie wydarzenie. Zmieniał się zupełnie rytm życia. Dom stawał się pełny. Ciągłe goście i zjazdy rodzinne, najdziwniejsze zabawy. Mam w ręku fotografię z biegiem w workach. W przyległym do parku lasku wykopany był staw, w którym nie tylkośmy się kąpali, ale i urządzali wyścigi w baliach. Jeśli ktoś tego nie próbował, to trudno mu zrozumieć, jak ciężko jest spowodować, aby balia nie kręciła się w kółko, lecz posuwała do przodu. Niestety, woda w tym stawie nie chciała się utrzymywać, dlatego wkrótce go zasypano i zastąpiono boiskiem do siatkówki. Był też kort tenisowy i plac do krokieta, bardzo eleganckiej gry, polegającej na przetaczaniu drewnianych kul za pomocą młotków przez szereg bramek.

Później Ojciec zbudował również stanowisko do strzelania z dubeltówki do rzutków wyrzucanych specjalną maszyną w powietrze. Urządzano nawet zawody, w których brali udział najlepsi strzelcy polscy. Nasz kuzyn, major Stefan Sztukowski, należał do ścisłej czołówki światowej, będąc członkiem drużyny, która zdobyła mistrzostwo świata.

Gdy Rodzice zajmowali się automobilizmem, ich znajomi pasjonowali się lotnictwem. Mam do dziś wykonane przez nich zdjęcia lotnicze Zarybia. Raz młody przyjaciel Rodziców, Widacki, przyleciał awionetką, a gdy lądował na łące, skapotował, przewracając się przez nos na plecy. Na szczęście nic mu się nie stało. Awionetkę wywieziono końmi do Warszawy. Na pamiątkę tego wydarzenia ofiarował Rodzicom połamane śmigło. Wiózł je samochodem do Zarybia w następną niedzielę.

Ale ponieważ padał deszcz, Widacki, jadąc przez las, wpadł w kałużę i zalał silnik. Do Zarybia dojechał dziwny pojazd. Para dzielnych koni ciągnęła samochód, z którego okna wychodziło śmigło. Było dużo śmiechu. Wszyscy wierzyli w postęp, ale jednak konie pozostawały najpewniejszym środkiem lokomocji!



Droga z Reguł do Pruszkowa w fatalnym stanie, lata 30. Fot. NAC



Zarybie widziane z samolotu: w głębi dom mieszkalny,
z prawej zabudowania gospodarcze, 1928

DZIECIŃSTWO

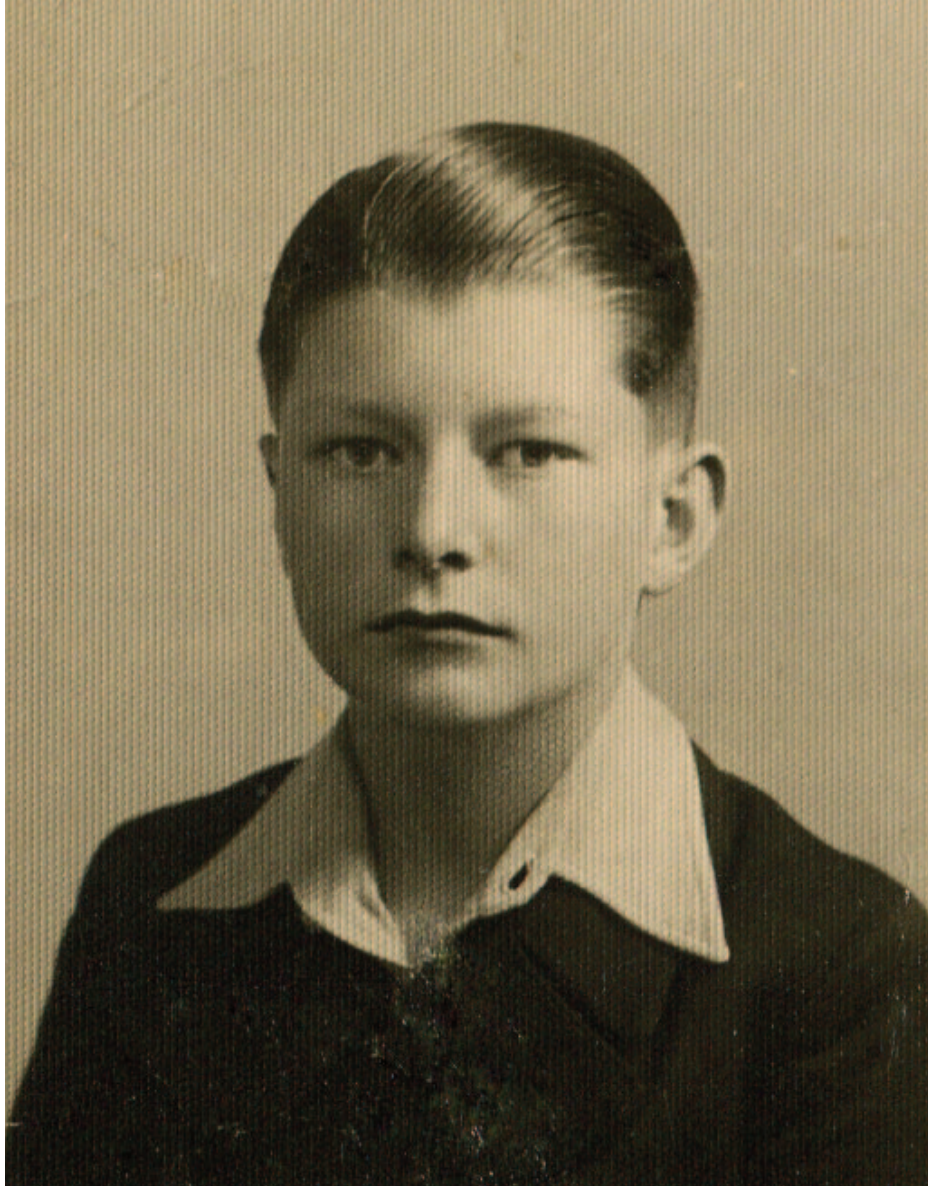
Ten mój dziecinny świat zakończył się w 1931 roku. W marcu Rodzice wyjechali samochodem do Afryki, a ja zachorowałem. Grypa i jakieś powikłania, które pociągały za sobą następne. W końcu wynikło zapalenie ucha środkowego i zagrożenie mózgu. Lekarze ordynują natychmiastową trepanację czaszki, nie kryjąc daleko idących zagrożeń. A kontaktu z Rodzicami nie ma. Zebrała się rada rodzinna, gdyż nikt indywidualnie nie chciał podjąć decyzji. Operację wykonano. Leżałem w najlepszej klinice Omega, w Alejach Jerozolimskich. Ale ówczesna medycyna była jeszcze w powijakach. Przez wiele lat nie mogłem się wyzwolić z zapachu eteru, którym mnie usypiano, ani z uczucia duszenia się pod maseczką, którą tym eterem polewano. Ale wszystko się udało.

Depesze wysyłane do Rodziców gdzieś po drodze ginęły. Pierwsza, którą dostali w Biskrze na granicy Sahary, brzmiała krótko: „Operacja się udała. Niebezpieczeństwo dla życia minęło”. Był to dla nich szok, bo nie wiedzieli, co się komu stało. Przerwali podróż i wracali prosto do Warszawy, ale i tak zajęło im to cały tydzień.

Zaczęła się długa rekonwalescencja i rehabilitacja. Wozili mnie do różnych lekarzy w Warszawie, Krakowie i Rabce. Kąpali, masowali i robili jakieś zabiegi. Na cierpiałem się bardzo. Ówczesne techniki szpitalne pochodziły z innej epoki. Wszystko było związane z bólem. Ale powoli wracałem do zdrowia. Tylko przekonanie, że jestem słabym dzieckiem, stało się powszechne. I tak już pozostało przez następne dziesiątki lat.



Klinika Omega
w Alejach
Jerozolimskich 51,
lata 30.
Fot. Referat
Gabarytów



Jerzy w roku 1939

4.

**Dorastanie w Warszawie i Rabce
(1932-1938)**

Nie mogłem pójść do szkoły w normalnym terminie, w 1931 roku. Moja choroba to wykluczyła. Poszedłem dopiero jesienią 1932 – od razu do drugiej klasy. Szkoła pani Chełmońskiej mieściła się w zaułku ulicy Czackiego. To była mała elitarna szkoła dla dzieci z dobrych domów. Panowała tam domowa atmosfera. Było jedynie pięć klas, mimo że ówczesna szkoła powszechna trwała sześć lat. Poziom intelektualny dzieci pozwalał program trzeciej i czwartej klasy przerabiać w jeden rok.

Nie było mowy, aby dzieci w moim wieku chodziły same po ulicy. Odprowadzali nas starsi. Wielu kolegów przyjeżdżało samochodami, co wówczas stanowiło luksus. Mnie odprowadzała Runia. Mieszkaliśmy blisko, przy placu Piłsudskiego, na rogu Ossolińskich i Wierzbowej, gdzie dzisiaj stoi bardzo nowoczesny budynek. Mieszkanie na Marszałkowskiej zrobiło się zbyt ciasne, aby nas wszystkich pomieścić, bo Rodzice postanowili ściągnąć nas do Warszawy na stałe. Dom w Zarybiu zamykano na zimę. Stryj Józef, który prowadził gospodarstwo, wybudował sobie własny dom koło Zarybia, a moja Babka przeniosła się do sióstr franciszkanek na Solec.

Na Ossolińskich było siedem pokoiów, nie licząc pomieszczeń dla służby. To pozwalało sprostać wymaganiom reprezentacyjnym. Z wejściowego przedpokoju wchodziło się do ogromnego salonu. Miał chyba 50 metrów kwadratowych. Otwierał ciąg pokoiów z oknami wychodzącymi na plac Piłsudskiego. Dalej mieścił się mały buduar, gabinet Ojca i sypialnia Rodziców. Od wejścia w prawo znajdował się drugi ciąg z oknami od podwórza. Najpierw był pokój Hanki, potem mój i stołowy, za którym zaczynał się labirynt małych pomieszczeń kuchennych, spiżarni, schowków, służbówek. A także wyjście na klatkę kuchenną.

Na następnej stronie: kamienica przy Ossolińskich 8 (z lewej).
Na pierwszym planie pomnik księcia Józefa Poniatowskiego



W domu stale zatrudnione były kucharka i pokojowa. Runia opiekowała się mną, a do Hanki przychodziła codziennie Francuzka, pani Séance. Nazywaliśmy ją po cichu „Singe” (czyli małpa). Uczyła nas oboje francuskiego. W okresie aktywności sportowej Ojca samochodami zajmował się szofer. Później nie było potrzeby zatrudniania własnego szofera, za to przybył jeszcze chłopak. Mówiło się o nim „strzelec”, bo opiekował się bronią Ojca i jeździł z nim na polowania. Poza tym obsługiwał Ojca i pomagał przy przyjęciach.

Ojciec miał wszystko dobrze zorganizowane, z rannym ubieraniem się włącznie. Odznaczał się niesłychaną punktualnością. Od chwili obudzenia się do wyjścia z domu wszystkie czynności były ustalone i zautomatyzowane. Prawy but Ojciec wkładał sam, a w tym czasie lewy nakładał mu strzelec. Elegancy panowie zawsze wtedy chodzili w getrach zakrywających wierzch buta i skarpetkę wokół kostki. Raz się zdarzyło, że Ojciec był szybszy i strzelec nie zdążył założyć getra na „swoją” nogę. Ojciec do biura poszedł w jednym getrze, nie wiedząc o tym. Siedząc przy biurku i sięgając po coś w dół, zobaczył, że getra nie ma. W myślach się skrzywił, bo nie lubił takich wpadek. Po chwili schylił się w drugą stronę. Patrzy – getr jest. To go uspokoiło. Ale za chwilę znowu zauważył, że getra jednak nie ma. Gdy sekretarka wprowadzała jakiegoś gościa do gabinetu, Ojciec wyskoczył zza biurka, wołając: „Mam getry czy nie mam?!”. Gość był bardzo skonfundowany. Cała ta przygoda przeszła do legend rodzinnych.

Życie towarzyskie było bardzo intensywne. Pozycja społeczna i zawodowa Rodziców przyciągała wiele osób. Stosunki towarzyskie miały w tych latach ogromne znaczenie. Istniał cały system weryfikacji. Ludzie o nadwerżonej opinii nie mieli szansy, żeby cieszyć się szacunkiem. Aby zostać członkiem Automobilklubu, należało przejść balotaż, a więc tajne głosowanie specjalnej komisji. Jedna czarna kulka powodowała odrzucenie kandydata. Uzyskiwał prawo do korzystania z usług Klubu w zakresie technicznym czy prawnym, ale nie miał wstępu do lokalu klubowego.

Równie trudno było nawiązać kontakty prywatne. Pamiętam, jak Ojciec mówił, gdy opowiadał mi o różnych ludziach: „Jego w domach się nie przyjmuje”. Tak brzmiał niepisany wyrok, kwalifikujący daną osobę do kategorii ludzi niespełniających kryteriów etycznych. Oczywiście pozycja zawodowa czy sytuacja materialna też grały rolę, ale sprawa standardów etycznych miała znaczenie podstawowe. Wśród znajomych moich Rodziców było dużo osób o wiele mniej zarabiających. Ojciec często im pomagał w znalezieniu pracy czy rozwiązaniu kwestii materialnych, ale najdrobniejsze naruszenie zasad wykluczało daną osobę z kręgu znajomych. Wystarczyło nie zapłacić weksla w terminie czy wdać się w podejrzaną transakcję.

Nawiązanie kontaktu towarzyskiego przebiegało według ścisłej procedury. Punkt wyjścia stanowiło złożenie pierwszej wizyty. Składał ją młodszy starszemu. Młody człowiek albo młode małżeństwo przychodziło o piątej po południu. Nie było w zwyczaju zawiadamiać o tym wcześniej. Telefonów nie używało się jeszcze powszechnie. Lokaj czy pokojowa przyjmowali od nich bilety wizytowe i prosili do salonu. Mężczyzna składał dwa bilety, dla pani i pana domu. Panie składały tylko jeden – dla pani. Pokojowa zносиła bilety na tacy do państwa. Jeśli chcieli przyjąć wizytę, to szli do salonu. Cała wizyta trwała 15 minut. Ani minuty dłużej! Jeśli nie chcieli gości widzieć, pokojowa wracała i mówiła, że panią boli głowa lub coś podobnego. Wtedy wizytujący wychodzili.

Potem rozgrywał się drugi etap. Gdy wizyta została przyjęta, konieczna była rewizyta. Jeżeli nie została dokonana w ciągu tygodnia, oznaczało to, że próba nawiązania kontaktów towarzyskich została odrzucona. To był afront. Ale jeśli wizytujący mierzyli zbyt wysoko, ryzykowali taką sytuację. Każdy musiał dokładnie przemyśleć swoje kroki. Stosunki towarzyskie z wybitnymi ludźmi stanowiły ważne umocowanie własnej pozycji. Natomiast zostać odrzuconym było bardzo źle, bo wszyscy się o tym dowiadawali. Nawiązywanie kontaktów pomiędzy osobami o wysokiej pozycji sprowadzało się na ogół, jak to mówiono, do rzucenia kart. Ludzie na świeczniku nie mieli czasu ani też ochoty składać piętnastominutowych wizyt. Ci ważniejsi, którym wizytę składano, nie musieli osobiście rewizytować mniej ważnych. Wystarczało wysłać im przez gońca swoje wizytówki. Tu też obowiązywał rytuał. Wizytówka z zagiętym rogiem oznaczała, że jej właściciel przybywa osobiście, wizytówka niezagięta – że dostarcza ją goniec.

Z naszego mieszkania przy Ossolińskich, położonego na prestiżowym pierwszym piętrze, roztaczał się widok na cały plac Saski, który później przemianowano na plac Piłsudskiego. Po prawej stronie widzieliśmy bramę do Pałacu Brühla, gdzie mieściło się Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Dalej widniała prosta bryła Pałacu Saskiego, siedziby Sztabu Generalnego. Przed nim pomnik księcia Józefa. Jeszcze dalej, aż do Królewskiej, ciągnął się rząd kamienic. Za Królewską widać było kawałek bocznej elewacji Pałacu Kronenberga, znajdującego się przy placu Małachowskiego. Nad budynkiem Sztabu górowała wielka kopuła kościoła ewangelickiego. Na wprost naszych okien, po drugiej stronie placu, stały parterowe budynki, w których mieścił się Instytut Propagandy Sztuki. Po lewej stronie widziało się Hotel Europejski i wojskową Komendę Miasta, spoza nich zaś wychylały się wieże kościoła Wizytek. Przez plac przejeżdżały autobusy. Były wielkie, wysokie, marki Samua, ze śmiesznymi wklęsłymi nosami, jak gdyby na siłę wciśniętymi do wnętrza pojazdu. Dwie linie, A i A bis, kursowały z placów Teatralnego i Zamkowego aż do placów Zbawiciela i Unii Lubelskiej.



Plac Marszałka Piłsudskiego, 1934. Z prawej Pałac Saski z Grobem Nieznanego Żołnierza i pomnikiem księcia Józefa Poniatowskiego.

Na dolnym zdjęciu południowo-zachodni narożnik placu w 1934 roku, widoczne m.in.: kamienica przy ul. Królewskiej 6, pałac Kronenberga i pawilon Instytutu Propagandy Sztuki.

W głębi gmach „Zachęty” i kościół ewangelicko-augsburski przy pl. Małachowskiego.

Fot. Niderlandzkie Archiwum Narodowe /kolekcja Van de Poll





Autobusy linii H i A (z lewej francuska Somua, z prawej Chevrolet) stojące na pl. Teatralnym, 1937-39. Fot. NAC

Autobus Somua na pl. Teatralnym, 1934.
Fot. Niderlandzkie Archiwum Narodowe /kolekcja Van de Poll



Na placu zawsze coś się działo. Zmiany warty przed Grobem Nieznanego Żołnierza odbywały się co dwie godziny. Szybko zresztą spowszedniały, tak jak hejnał spowszedniał krakowiakom. Największe wydarzenia to święta 3 Maja i 11 Listopada. W maju odbywała się wielka rewia wojskowa. Plac zastawiony był uszeregowanymi oddziałami. Przyjeżdżali marszałkowie i generalicja. Grały orkiestry, odbywały się marsze. Było na co popatrzeć przez cały dzień, zawsze mieliśmy wtedy wielu gości.

Nasze okna stanowiły najlepsze miejsca do obserwacji. 11 Listopada wypadal znacznie skromniej. Nie było wojska, manifestowały organizacje cywilne.

Zupełnie inny nastrój panował 1 Maja. Tego dnia musieliśmy siedzieć w domu. Wszyscy wiedzieli, że będą manifestacje, które zawsze kończą się bójkami. Sam plac stanowił miejsce spokojne. Trudno się było bić przed Sztabem i Grobem. Ale zawsze obserwowaliśmy zwiększony ruch handlarzy lasek. Kije potrzebne są do walki, a zawsze znajdowali się tacy nieprzezorni, co niczego ze sobą nie wzięli albo zgubili czy połamali. Więc zapotrzebowanie na laski było pewne i już od rana dało się zauważyć handlarzy z pękami lasek, którzy swój towar zachwalali.

Nie bardzo wiedziałem, kto z kim się bije ani dlaczego. Ale widziałem przechodzące grupy z okrzykami, a raz nawet bójka wybuchła pod naszym domem. Główni adwersarze – komuniści i socjaliści – występowali pod czerwonymi, prawie identycznymi sztandarami. Do bójek wkraczali też anarchiści pod czarnymi chorągiewkami. Czasami zjawiały się także grupy żydowskie, ale one na ogół nie wychodziły daleko poza teren swego miasta.

Kilkaset metrów od nas zaczynało się to inne miasto. Granica była wyraźna. Na Bielańskiej przebiegała koło Banku Polskiego, 100 czy 200 metrów od Opery. Dalej, za rogiem przy Tłomackiem, znajdowała się siedziba gminy żydowskiej i Wielka Synagoga, a więc ośrodek kultury tamtego miasta. Ulicę Senatorską granica przecinała tuż za kościołem św. Antoniego. Pasaż Luksemburski, kryta galeria handlowa, odbiegająca od Senatorskiej w kierunku Niecałej, mieścił się w strefie granicznej. Przeplatały się tu sklepy polskie i żydowskie. Szydly w jidysz pojawiały się w tej strefie jeszcze nieśmiało, dalej już zaczynało się miasto żydowskie. Tam się nie chodziło – bo po co? To już było inne miasto. Odmienność przejawiała się we wszystkim. Inni ludzie i inaczej ubrani. Chałaty, jarmułki, pejsy i brody były tu czymś normalnym i powszechnym. Obowiązywał kolor czarny. A przede wszystkim posługiwano się innym językiem. Nie rozumiałem, co ludzie mówią ani co jest napisane na szyldach. Tylko gdzieniegdzie widoczny był szyld z polskim napisem. Ale zbitka dwóch całkowicie różnych języków, z odmienną strukturą i logiką, tworzyła przedziwną poetykę. Pamiętam takie napisy, jak „Krawiec dwupciowy” (!), czy inny, mający już elementy reklamy: „Maca tanio, bo w podwórzu”.

Moja wiedza o tym mieście była fragmentaryczna. Nie chodziłem tam, ale przejeżdżało się przez nie w drodze na cmentarz Powązkowski. Groby odwiedzaliśmy dwa, trzy razy w roku. Czasami trzeba się było udać na pogrzeb. Jechaliśmy wówczas samochodem Bielańską i dalej Nalewkami, a więc przez główne ulice getta. Za każdym razem rozpląszczaliśmy z siostrą nosy na szybach samochodu, żeby zobaczyć jak najwięcej. Wszystko było inne, a więc ciekawe. Szczególnie jeden z szyldów budził nasze zainteresowanie, mieliśmy bowiem wątpliwości, czy brzmi on: „Tu się pierze”, czy też: „Tu są pierze”. Spieraliśmy się o to z moją siostrą zaciekle. Ja byłem za pralnią, ona za handlem pierzem. Za każdym razem wypatrywaliśmy tego szyldu. I za każdym razem spór się zaogniał.

Żydowskie miasto żyło inaczej. Na ulicach pełno ludzi, którzy bardziej biegali, niż chodzili. Wszyscy byli zaaferowani, pokrzykiwali, pchali jakieś wózki, nosili paczki. Szczególnie mnie frapowały stada pędzonych gęsi. Środkiem jezdni wolno kroczyło wielkie stado popędzane witkami przez chłopców w jarmułkach i chałatach. Wyjaśnił mi to dopiero po latach jeden ze starych robotników na mojej budowie. On też zarabiał na pędzeniu gęsi, jeśli transport przyszedł w sobotę, gdy Żydzi świętowali szabas. Otóż getto było wielkim odbiorcą gęsi. Może dlatego jedna z głównych ulic nosiła nazwę Gęsiej? Pierzyny stanowiły nieodzowny element wyposażenia wszystkich żydowskich domów. Szyldy PIERZE PUCH były widoczne co kilka domów. Żywe gęsi do Warszawy przywożono wagonami towarowymi na stację przy ulicy Towarowej. Stamtąd musiano je przetransportować do getta. Oczywiście najtańszy sposób to przepędzić je na ich własnych nogach. Przemarsz trwał kilka godzin, bo gęsi nie lubią chodzić szybko.

Problem stanowiło też to, że gęsia łapa nie jest przystosowana do chodzenia po bruku. Stąd gęsi trzeba było obuć, aby przygotować je do tego parokilometrowego spaceru. Robiono to tak, że przepędzano gęsi przez rozlaną smołę, a potem przez rozsypany piasek. Na ich łapach powstawały w ten sposób buty, które umożliwiały ów marsz.

Granica między miastami przebiegała też przez Ogród Saski. Nasza część przylegała do tyłów Pałacu Saskiego. Część zachodnia, przyległa do Żelaznej Bramy, należała już do miasta żydowskiego. Obie części były bardzo wyraźnie rozdzielone. Miejsce naszych zabaw stanowił kąt ogrodu przy Królewskiej, mniej więcej naprzeciwko Zachęty. Tu spotykaliśmy się po szkole. Opiekunki siadały na ławkach, a my rozpoczynaliśmy grę w piłkę, w Indian czy jakieś inne zabawy. Ale bardzo pilnowaliśmy, aby nie przekroczyć granicy. Po drugiej stronie panowały inne reguły i bawiły się inne dzieci. Tam był inny świat.

Na następnej stronie:

Nalewki – uliczny sprzedawca grzebieni i podwiązek, 1934. Fot. NAC



Raz w jakichś pogoniach zapędziliśmy się za daleko. Ni stąd, ni zowąd stanął przed nami rząd dzieci żydowskich. Zatrzymaliśmy się niepewnie. Nie byliśmy już na swoim terenie. Zapadła chwila napiętej ciszy. I nagle oni zaczęli rozmawiać między sobą, pokazywać na nas palcami, strasznie się zaśmiewać. Mówili w jidysz i niczego nie rozumieliśmy. Zaczęliśmy też coś mówić, ale oni to rozumieli i komentowali między sobą, zaśmiewając się z nas. Wycofaliśmy się jak niepyszni. Byliśmy w gorszej sytuacji. Oni nas rozumieli, a sami mogli się ukryć za tarczą nierozumianego przez nas języka.

Wspomniana granica między dwoma miastami była nieprzekraczalna nie tylko w sensie fizycznym, lecz także społecznym czy psychologicznym. Dwa miasta, dwa światy istniejące obok siebie, całkowicie różne, nie do zintegrowania. Ten fakt mnie i moim kolegom wydawał się równie oczywisty, jak normalny. Tak było i nikt nie chciał tego kontestować ani zmieniać. Napięcia istniały w świecie dorosłych. Stały się dla mnie dostrzegalne znacznie później, gdy już byłem starszy, a i konflikty stały się wtedy ostrzejsze, bo ruchy nacjonalistyczne w Europie przybierały na sile.

Nie było więc wrogości między obiema częściami Ogrodu Saskiego. Ale była obcość. Nic mnie nie łączyło z drugim miastem. A dzieliło wiele. Nie chodziło o religię czy stroje. Istotą była bariera języka i niemożność porozumienia. Porozumienie zależało od drugiej strony. Od tego, czy oni będą chcieli mówić po polsku. Myślę, że właśnie język najbardziej dzielił oba społeczeństwa.

Żydzi żyli w Polsce od wielu pokoleń. Ta ziemia należała tak samo do nich, jak i do innych nacji, w tym Polaków. Ale to nie było ich państwo. Oni stanowili zawsze mniejszość i taką musieli pozostawać. Czy stworzenie państwa polskiego, na którym tak zależało Polakom, było dla Żydów ważne? A może przynosiło zagrożenia większe niż państwa Habsburgów, Hohenzollernów czy nawet carów z ich pogromami? Z kim Żydzi mieli się integrować – z Polakami, Austriakami czy Rosjanami?

W Polsce istniały wielkie getta, skupiające tysiące Żydów, rozsiane między ludnością polską. Ale to nie były izolowane od siebie światy, mimo że obce sobie. Występowało wiele styczności między nimi i tam iskrzyło. Oczywiście podstawowe znaczenie miała styczność ekonomiczna – tu interesy były bardzo różne. To zróżnicowanie, a także inne, kulturowe, wykorzystywano niestety politycznie. Obok naturalnych sprzeczności powstawały i te wytworzone sztucznie. I niestety one przykryły istotne problemy. Na antysemityzm okresu przedwojennego patrzymy poprzez burdy narodowców, a ignorujemy to, co najważniejsze – rzeczywiste sprzeczności różnych kultur i narodów, które skazane były przez historię na mieszkanie na wspólnej ziemi. Patrząc wstecz, nie widzę możliwości pozytywnego ich rozwiązania w ówczesnej Polsce.



Ulice dzielnicy żydowskiej, 1934. Fot. Niderlandzkie Archiwum Narodowe /kolekcja Van de Poll



Mieszkałem z Rodzicami na Ossolińskich i chodziłem do szkoły pani Chełmońskiej dwa lata. Nie bardzo wiem, dlaczego w 1934 roku uznano, że powinienem wyjechać do Rabki. Pojechałem wraz z Runią. Mieszkaliśmy w pensjonacie. Chodziłem na spacery i leżakowałem po parę godzin dziennie. To było strasznie nudne. Kładłem się na leżaku niezależnie od pogody i wdychałem rabczańskie zdrowe powietrze. Jak był mróz, to leżałem w worku futrzanym.

Całą piątą klasę przerobiłem z przychodzącymi nauczycielkami, a na koniec roku zdawałem egzamin w miejscowej szkole powszechnej.

Oczywiście kontynuowałem lekcje francuskiego. Nauka języków obcych znajdowała się w domu zawsze w centrum uwagi. Rodzice biegle władali francuskim. Ojciec znał także rosyjski i niemiecki i domagał się ich znajomości również od dzieci. Trzeba było znać francuski, jako język kultury, i niemiecki, jako język techniki. Ustalono, że niemieckiego będę się uczył w szkole, a francuskiego w domu. Do wybuchu wojny opanowałem oba języki zupełnie dobrze. Niemiecki bardzo mi się przydał w okresie okupacji. O angielskim przed wojną nikt nie myślał. Zacząłem się go uczyć w czasie okupacji, wbrew wszelkiej logice. Ale wtedy robiło się właściwie wszystko wbrew logice. Po wojnie nie było okazji, aby używać obcych języków, i ich znajomość zaczęła u mnie zanikać. Dopiero znacznie później okazało się, że są one potrzebne. I wtedy zrozumiałem, jak ważne jest zakodowanie języków w chłonnej pamięci dziecka. Później wystarczy wyciągnąć je z głębokiej pamięci i odświeżyć umiejętności, które się posiadało nie wiadomo kiedy, tak jak umiejętność czytania czy liczenia.

Wracam do Rabki. Tylko dwa wydarzenia odbiły się w mej pamięci. Pierwszy to challenge lotniczy, wielkie zawody zakończone sukcesem Żwirki i Wigury. Drugim była śmierć Piłsudskiego. Pamiętam, jak miejscowy klub legionistów, do którego należał właściciel pensjonatu, przygotowywał się do pogrzebu i udziału w sypaniu kopca na Sowińcu. Patrzyłem na to z dystansu. U nas w domu Piłsudski nie był bohaterem, a według mego Ojca w ostatnim okresie swego życia hamował rozwój kraju, bo w jego cieniu rządzą dawni legioniści, zupełnie nieprzygotowani do tej roli. W pamięci pozostał mi fakt śmierci i pogrzebu, ale nie miało to dla mnie żadnego wydzźwięku emocjonalnego.

W latach trzydziestych Ojciec pokochał polowania. Dwukrotnie wziął mnie na swoje wyprawy. Pierwszy raz pojechaliśmy na kozły do Derażnego koło Równego na Wołyniu.



Rabka, 1938. Fot. NAC

To był majątek Romana Potockiego, przyjaciela mego stryja Bronisława. Jechaliśmy z Warszawy samochodem we trójkę, ze strzelcem Ojca. Jechało się prawie 500 kilometrów drogami niemal sprzed stulecia. Do Brześcia wszystko szło dobrze, jednak nie wzięliśmy tam benzyny. Ojciec odłożył to do następnej miejscowości, ale się okazało, że to jakaś zapadła wieś. O stacji benzynowej nikt nie słyszał i nie bardzo nawet wiedział, o co chodzi. Jakiś chłop powiedział, że dziedzic we dworze ma samochód. Zajechaliśmy do niego. Powiedział, że następna stacja jest dopiero w Kowlu, ponad 100 kilometrów dalej. Odlął parę litrów benzyny, żeby do Kowla starczyło.

Ruszyliśmy i wtedy się zaczęło. Silnik się dusił i co chwilę stawał. Ojciec dolewał benzyny do gaźnika i na trochę starczało. Ale tylko na trochę. Żeby się nie zatrzymywać, do gaźnika włożono rurkę gumową, która została przeciągnięta przez otwory wentylacyjne w kłapie silnika. Strzelec, ubrany we wszystkie palta i swetry, leżał nad przednim kołem i silnikiem, popuszczając benzynę z butelki przez rurkę do gaźnika. I tak przeturlaliśmy się te kilometry do Kowla. Tam w jakimś warsztacie rozebrali gaźnik, który został zapchany paprochami wlanymi wraz z benzyną od dziedzica. Do Derażnego dojechaliśmy następnego dnia.

Jeździliśmy przez ponad tydzień po okolicznych lasach. Dojechaliśmy nawet do ówczesnej granicy w Korcu. Pamiętam szosę idącą do Związku Sowieckiego. Po naszej stronie jej nawierzchnia była jasna. Droga używana. W pewnym miejscu szosa zamieniała się w zieloną łąkę zarosłą burzanami. Po tamtej stronie już nikt nią nie jeździł.

Na sarny polowano z podjazdu. Małą konną bryczką jeździło się po lesie. Gajowi wiedzieli, gdzie można spotkać sarny. Gdy je zobaczono, Ojciec wyskakiwał, a bryczka znów ruszała, pilnie obserwowana przez stado. Bryczka zatrzymywała się dalej, a Ojciec skradał się na odległość strzału. Raz się udawało, kiedy indziej stado uciekało. Zastrzelony kozioł to nie był miły widok, szczególnie gdy nie ginął od razu. Ale wśród myśliwych i gajowych wyrażanie jakichkolwiek wątpliwości byłoby nie na miejscu.

W drodze powrotnej też mieliśmy pełno przygód, choć nieco monottonnych. Po prostu ciągle łapaliśmy gumy. Po drogach jeździło mnóstwo wozów konnych. Było ich znacznie więcej niż samochodów oczywiście. Wozy miały to do siebie, że gubiły gwoździe. A samochody je łapały. W każdym samochodzie trzymano dwa koła zapasowe, gotowe do wymiany, poza tym wozilo się kilka dętek, wentyli i innych niezbędnych elementów, więc pierwsze przebite opony przyjmowaliśmy jako coś normalnego. Po dwóch wymianach trzeba było już koła montować. Ale przy pięciu dalszych musieliśmy dętki kleić. Późną nocą dojechaliśmy do Białej Podlaskiej, zmieniwszy przedtem koła 10 razy! Następnego dnia do Warszawy dojechaliśmy już bez kłopotów.



Derby warszawskie na torze wyścigów konnych na Służewcu, lipiec 1939.
Od prawej: generał Bronisław Regulski, hrabia Józef Potocki z żoną Krystyną,
hrabina Róża Mycielska, hrabia Roman Potocki. Fot. NAC

Zupełnie inna była podróż na Polesie na głuszce. Kółko myśliwskie Ojca dzierżawiło tereny wokół wioski Koziki, kilkadziesiąt kilometrów na wschód od Iwacewicz, miasteczka na szosie za Brześciem. Ojciec tam jeździł w okresie Wielkanocy. Jego przyjazd obchodzono jak święto. Organizował i finansował zawsze imprezę dla miejscowej szkoły. Było jakieś jedzenie, ciasta. W Kozikach spotkałem po raz pierwszy dzieci Poleszuków. Bardzo się do mnie garnęły, stanowiłem niesłychaną atrakcję. Tymczasem nie mieliśmy żadnych wspólnych zainteresowań, żadnych wspólnych punktów odniesienia. Entuzjazmowałem się wtedy rozwojem lotnictwa i samochodów. Właśnie pobito jakieś kolejne rekordy szybkości. Usiłowałem im o tym coś opowiedzieć. Ale jak można mówić o setkach kilometrów na godzinę, gdy jedynym punktem odniesienia jest szybkość furmanki konnej? Żeby im uświadomić te wielkości, odwołałem się do odległości od nich do Warszawy. Na to padło pytanie: „A ta Warszawa to gdzie jest?”. Dla większości z nich najdalszy wyjazd był do sąsiedniego miasteczka. Życiowa podróż na odległość kilkunastu kilometrów.

Na cietrzewie polowało się z budki zrobionej z krzaków na łące. Podchodziłem też głuszca. To niesamowita przygoda. Głuszc, wielki ptak, ważący kilkanaście kilo, sypia na drzewach. Jest nieprawdopodobnie czujny. Najmniejszy hałas powoduje jego przeniesienie się gdzie indziej. Można go podejść na odległość strzału tylko wówczas, gdy idzie się w takt jego pieśni godowej. W czasie jednej z faz tokowania podnoszą się pióra głuszca, a skóra nasuwa na uszy. Można wtedy wykonać trzy kroki, a potem znowu trzeba zastygnąć w bezruchu, niezależnie od tego, jak się ma ustawione nogi. A trzeba pamiętać, że poleskie lasy były bagienne, pełne leżących gałęzi i podmokłych dziur. I tak, skacząc od pieśni do pieśni, trzeba było się do niego zbliżyć. Oczywiście najpierw należało go odnaleźć w lesie. To bez miejscowych podprowadzaczy nie było możliwe.

Po dwóch latach pobytu w Rabce Rodzice postanowili zrobić ze mnie mocnego człowieka. Zostałem wysłany do Rydzyny, starego zamku rodziny Sułkowskich w Poznańskim. Zorganizowano tam gimnazjum i liceum na wzór angielskiego Eton, małe i bardzo elitarne. W sześciu klasach uczyło się około 100 chłopców. Dzień był w pełni zorganizowany. Pobudka o siódmej albo i wcześniej. Pierwsze dwie klasy spały w wielkiej zamkowej sali balowej. Tylko starsze klasy miały prawo do mniejszych pokoi. Mycie, gimnastyka i apel. Wszystko prowadzone przez prefektów, czyli uczniów z najstarszych klas, bez nauczycieli. Przy apelu odczytywano kary za naruszenia regulaminu. Przekroczenia mogły być różne, od brudnych butów czy złego posłania łóżka aż do naprawę dużych wybryków. Za papierosy czy alkohol z miejsca wylatywało się ze szkoły. Wylecieć można też było po prostu w wyniku negatywnej oceny charakteru czy postępu w nauce. Na początku roku ciągle kogoś ubywało.



Zamek w Rydzynie w latach 30. Fot. NAC

Uczniowie w czasie zajęć. Fot. Fundacja Sułkowskich/Archiwum Państwowe w Lesznie



Najmniejszą karą było czyszczenie butów prefektem. W zależności od popełnionego grzechu dostawało się polecenie wyczyszczenia jednemu, dwóm albo i czterem starszym uczniom. A ponieważ każdy zgodnie z regulaminem musiał mieć co najmniej cztery pary butów, przeznaczonych na różne okazje, więc mogliśmy dostać zadanie wyczyszczenia kilkunastu par. Bardziej dotkliwa była karna musztra.

Odbывała się co czwartek. Delikwentów ubranych w sportowe stroje prefekt ganiał po parku i tarzał w błocie. Po dwóch godzinach umorusany delikwent musiał spędzić następne dwie, myjąc siebie, piorąc ubranie i doprowadzając się do porządku. Mnie raz tak przegonili. Ale miałem szczęście. Było sucho.

Sport i ciągle ćwiczenia zmuszały do wysiłku. Byłem trochę słabszy od innych, ale jakoś szło. Organizm jednak zaprotestował. W listopadzie dostałem szkarlatyny. Wróciłem na Boże Narodzenie do domu. I oczywiście pojechałem znowu do Rabki. W Rabce rozpocząłem szkołę od półroczna. Nie było problemu z nadgonieniem. Rodzice wynajęli mieszkanie, Runia prowadziła dom, a ja poszedłem do tamtejszego gimnazjum. Moi koledzy mieszkali albo w internacie przy szkole, albo w drugim, prowadzonym przez bernardynów. Zaledwie kilku uczniów było miejscowych, przede wszystkim górali, którym pan Wieczorkowski, właściciel i dyrektor szkoły, oferował naukę za darmo albo po specjalnej cenie.

Rabka stanowiła jedno z uzdrowisk odwiedzanych przez ortodoksyjnych Żydów. Zawsze była tam grupa rabinów, wśród nich wielu bardzo wysoko postawionych w hierarchii religijnej. Chodzili po parku w dużych czarnych kapeluszach albo lisich czapach, za każdym razem otoczeni grupą asystentów dbających o to, aby nie dotknął ich jakiś goj. Raz chłopiec z mojej klasy założył się, że dotknie jednego z tych rabinów. Rozpędził się i głową naprzód wpadł pomiędzy grupę, starając się przebić do środka. Nie udało mu się. Asystenci byli uważni i chłopak zarobił tylko kilka kukuśniców. Ten wyczyn spotkał się z ogólnym potępieniem. Jeśli oni nie chcą mieć z nami nic wspólnego, to nie wolno ich do kontaktów zmuszać. Mają do tego prawo. Żadne ataki już się nie powtórzyły. Ale ostentacyjnie odwracaliśmy głowy, gdy ich mijaliśmy. Nie chcą mieć kontaktów z nami, to my też nie chcemy. Obcość się pogłębiała. Ale nie było wrogości. Przynajmniej z naszej strony.

To, że Żydzi nosili inne stroje, wydawało się nam normalne. Chałaty i pejsy były atrybutami powszechnymi i nie budziły zdziwienia czy jakiejś niechęci. Ot, po prostu ludzie inaczej ubrani. Tak samo nikt się nie dziwił, że górale noszą cyfrowane portki. Każda grupa miała prawo do własnych strojów. Tylko ten obcy język...

Kiedy siedziałem w Rabce, nastąpiły zmiany w Warszawie. Dom na Ossolińskich został sprzedany i nowy właściciel wymówił Rodzicom mieszkanie. Ojciec postanowił wybudować własny dom, aby nikt go nie mógł wyrzucić. Wybudował go przy alei Przyjaciół. Niestety, niedługo tam mieszkaliśmy. Najpierw wyrzucili nas Niemcy,

DORASTANIE

a potem dom zabrali komuniści. Ale to dalsza historia. Ojciec wybudował też willę w Juracie. Strasznie pokochał morze i w ostatnich latach przed wojną spędzaliśmy tam wszystkie wakacje. Willa była świetnie położona, przy głównej ulicy łączącej plażę z mołem, nad zatoką. Miała trzy pokoje sypialne – dla Rodziców, dla Hanki, która zawsze przywoziła jakąś swoją przyjaciółkę, i dla mnie. Za każdym razem była z nami pokojówka, która spała we wnęce przy kuchni.

W 1937 roku Rodzice postanowili pokazać nam kawałek świata. Pojechaliśmy we czwórkę samochodem do Włoch. To było wielkie przeżycie. Zatrzymaliśmy się najpierw w Wiedniu. Tam dostałem pierwsze w życiu długie spodnie! Był to ewenement. W tamtych czasach chłopcy chodzili w krótkich spodenkach, z ciepłymi pończochami w zimie. Albo też w pumpach pod kolana. Długie spodnie to już był atrybut dorosłości. Później przejazd przez Alpy świeżo otwartą drogą przez Grossglockner i nocleg w górskim hotelu nad lodowcem. I dalej do Cortiny, i przez Dolomity do wypoczynkowej miejscowości położonej na przełęczy Mendola koło Bolzano. Spędziliśmy tam 10 dni. A potem droga powrotna dłuższą trasą nad jeziorem Garda, przez Padwę i Wenecję. Trzymam w ręku swój pierwszy paszport, wydany, gdy miałem 13 lat.

W następnym roku wróciłem z Rabki do Warszawy. Miałem już 14 lat. Rozpoczął się nowy okres w moim życiu.



Jurata – domek letniskowy prezydenta RP Ignacego Mościckiego, podobny dom przy ulicy Mestwina należał do rodziny Regulskich, 1937. Fot. NAC



Loda Halama, 1934. Fot. Niderlandzkie Archiwum Narodowe /kolekcja Van de Poll

5.

**Przed końcem
starego świata
(1938-1939)**

W

1938 roku zapadła decyzja, że wracam do Warszawy. Dom przy alei Przyjaciół był gotów. Nasze mieszkanie znajdowało się na czwartym, ostatnim piętrze. Zajmowało je całe. Było otoczone szerokim tarasem, bo przepisy architektoniczne nakazywały odsunięcie tego piętra, aby nie zaciemniać mieszkań po drugiej stronie ulicy. Z naszych okien roztaczał się wspaniały widok na Aleje Ujazdowskie i dalej, aż za Wisłę, ponad drzewami ogrodu przy pałacyku Sobańskich.

Główną oś mieszkania stanowiła amfilada pięciu pokoi. Zaczynała się od pokoju stołowego. Stały tam jasne meble, czeczotka, niektóre były już w naszej rodzinie od blisko 100 lat. Tylko stół był nowoczesny. Miał dwustronny blat: albo jasne drzewo, albo czerń. Na co dzień jedliśmy na tej jasnej stronie, natomiast na przyjęcia odwracano blat, ponieważ koronkowe serwety pięknie wyglądały na czerni. Pośrodku kładziono jeszcze lustra, na których stawiano wazony z kwiatami. Na starej komodzie stała wielka kryształowa bola. Mieściła kilkanaście litrów. Wlewało się w nią wiele butelek wina, soki, dokładało ananas i tak powstawał modny wówczas kruszon, którym się gości częstowało przy wejściu.

Sąsiednim pokojem był salon. Stał tam fortepian, na którym kiedyś podobno Matka grywała, wisiały piękne obrazy. Rodzice bardzo lubili polskie malarstwo dziewiętnastowieczne – Józef Brandt, Juliusz Kossak, Stanisław Wyspiański, Leon Wyczółkowski, Jacek Malczewski, szkice Matejki i Michałowskiego. Nie pamiętam całej listy, a była długa. Dalej znajdował się buduar ze starymi meblami chippendale’owskimi. Duże rozsuwane drzwi dzieliły go od sypialni matki, w kolorze niebieskim. Za nią była garderoba z wielkim lustrem, które przy otwarciu wszystkich drzwi przedłużało amfiladę.

Na następnej stronie: dom Regulskich, aleja Przyjaciół 8 w Warszawie, projektu Jerzego Gelbarda i Romana Sigalina, zbudowany w latach 1937–38



Ojciec miał swój własny, jak się śmialiśmy, apartament. Dwa połączone pokoje, których ściany zastawione były półkami z książkami. Stała tam szafka z bronią. Na ścianach wisiały trofea myśliwskie, w tym skóra niedźwiedzia upolowanego w Karpatach i stare dyplomy rodzinne.

Pokoje mój i siostry znajdowały się na piątym piętrze. Dom przylegał bowiem do sąsiedniej wysokiej kamienicy i nakazano nam zakryć jej ślepą ścianę. Nasze mieszkanie obejmowało więc pomieszczenia na dwóch najwyższych piętrach. Na podwórzu znajdował się garaż. W tym czasie Rodzice mieli dwa samochody. Ojciec jeździł chryslerem. Duża i droga maszyna, bardzo nowoczesna. Pamiętam, że jednym z istotnych powodów wybrania tego modelu było to, że Ojciec mógł na tylnym siedzeniu siedzieć w cylindrze na głowie, co przy wyjazdach na przyjęcia we fraku okazywało się bardzo praktyczne. W większości samochodów było to jednak niemożliwe. Matka miała lancję. Małą, ale szybką i zwrotną. Jeździła nią na rajdy.

Niższe piętra domu zajmowały luksusowe, jak na ówczesne wymagania, mieszkania. Średnie komorne wynosiło 100 złotych od pokoju. To była pensja nauczyciela! Istniała więc nadzieja, że koszty inwestycji zamortyzują się szybko. Okazała się jednak płonna. Nikt nie przewidział, że wybuchnie wojna, a po niej przyjdą Sowieci.

Właściwie po raz pierwszy zamieszkałem wtedy na stałe z Rodzicami. Wyszedłem spod opieki mojej kochanej Runi. Miałem 14 lat, a więc byłem w okresie dorastania. Już nie dziecko, ale jeszcze nie dorosły. Służba w domu zaczęła do mnie mówić „paniczu”. Ale czułem się strasznie samotny. Prawdziwie przyjacielski kontakt z Rodzicami tworzył się powoli i właściwie nawiązałem go dopiero po kilku latach, już jako człowiek dojrzały.

Moja siostra, cztery lata starsza ode mnie, wchodziła w życie dorosłe. Jeśli mnie gdzieś zabierała, to tylko na zasadzie przyzwoitki. Różnica wieku była za duża, a dotychczasowe doświadczenia życiowe też nas bardzo różniły.

Ona była już po dwóch latach szkoły we Francji, a ja po paru latach w Rabce. Kolegów nie miałem, bo skąd ich miałem mieć? Spędzałem więc dużo czasu samemu. Kilka razy na tydzień po południu przychodził do mnie student germanistyki. Rozmawialiśmy po niemiecku. Trochę pomagał w lekcjach, choć tego ani nie lubiłem, ani nie potrzebowałem. Czasami szliśmy do muzeum. Moją pasją było kino. Chodziłem do kina namiętnie, raz albo i dwa podczas każdego weekendu.

Zostałem zapisany do Szkoły Towarzystwa Ziemi Mazowieckiej. Mieściła się na Klonowej, w części budynku obecnie zajmowanego przez Szkołę im. Narcyzy Żmichowskiej. To była dość elitarna szkoła, chodziły do niej dzieci z zamożnych domów inteligenckich. W jednej klasie znalazłem się z Marcinem Czerwińskim, bratem

Na następnej stronie: moja Matka



stryjecznym mojej Matki, a więc ze swoim wujem. On był świetnym humanistą, miał same piątki z polskiego i łaciny. Ja z łaciny byłem absolutnym ignorantem. Zawsze dostawałem z klasówek dwóje (czyli obecne jedynki). Raz strasznie podpadłem z religii. Dostałem dwóję na okres. Coś niesłychanego, bo z religii zawsze dostawało się piątki. A było to tak: ksiądz tłumaczył, że jeśli dzień postu lub piątek wypada w święto albo w niedzielę, to nie ma postu. Zapytałem więc księdza, czy jak piątek wypadnie w niedzielę, to post jest, czy go nie ma. Zastanowił się i odpowiedział, że postu nie będzie. Klasa wybuchła śmiechem, a ja zarobiłem dwóję.

W szkole organizowano lekcje tańca. Trzeba było umieć tańczyć, aby być dobrze widzianym w towarzystwie. Szkoła miała porozumienie z żeńskim gimnazjum. Panienki przychodziły do nas, bo u nas była lepsza sala. Raz na tydzień spędzaliśmy wspólnie wieczór w szkole. Tańczyło się tango, fokstrotę, walca wiedeńskiego i angielskiego. Po lekcji panienki zabierali rodzice i opiekunowie, więc tylko raz czy dwa udało nam się odprowadzić niektóre do domów. Wszystko było pod kontrolą, musiało być zgodne z konwenansem. W czasie lekcji tańca żadne żarty nie były dopuszczalne.

Zaprzyjaźniłem się z Jurkiem Bauerem, z którym dzieliłem ławkę, i z Kotem Mroczkowskim. W klasie miałem kolegów różnych religii. Byli żydzi i ewangelicy. Jurek był ewangelikiem. Przyjaźniłem się też z Jurkiem Gruberem, synem dyrektora naczelnego PKO. Bardzo się lubiliśmy i żadnemu z nas ta odmienność nie przeszkadzała. Nie budziła ona sprzeciwu ani nawet zainteresowania. W gimnazjum w Rabce też miałem w klasie żydowskich kolegów. To, że nie chodzili na lekcje religii, było oczywiste i nie wywoływało komentarzy. Było to równie normalne jak to, że niektórzy dostawali zwolnienia z gimnastyki, jeżeli byli chorzy czy jakoś fizycznie upośledzeni. Wszyscy w szkole używaliśmy tego samego języka, nie istniały różnice kulturowe.

Mój Ojciec był głową całej rodziny, mimo że miał starszych braci. Jego najbliższym przyjacielem był brat Bronisław, wówczas już generał i zastępca pierwszego wiceministra spraw wojskowych. Po śmierci Piłsudskiego i przeniesieniu się do Warszawy miał on bardzo silną pozycję w wojsku. Był absolutnie bezpartyjny. Ożenił się z Zofią Wajcht, z pierwszego małżeństwa Daszewską. Od wielu lat łączył ich powszechnie znany romans, jednak uznali, że ona może się rozwieść dopiero wtedy, gdy jej dzieci dorosną. Stosunki z Janem Daszewskim, pierwszym mężem Zosi, były przyjacielskie. Często gościł u nich i u moich Rodziców. Najmłodszy syn Zofii, Kazio Daszewski, poszedł do wojska i został pilotem myśliwskim. Zginął w bitwie o Anglię.

Gen. Bronisław Regulski (z prawej) podczas wizyty francuskiego generała Louisa Faury, czerwiec 1939. Fot. NAC



Duet braci Regulskich, mego Ojca i stryja Bronka, miał silną pozycję, zarówno towarzyską, jak i na rynku polityczno-zawodowym. Ojciec reprezentował biznes, a stryj wojsko. To dawało bardzo mocną podstawę. Pozostali bracia mieli też ugruntowaną pozycję. Najmłodszy Tadeusz po dłuższym okresie pracy w EKD objął stanowisko wicedyrektora ekonomicznego Philipsa w Polsce. Philips otwierał fabryki w Warszawie i chciał mieć w zarządzie człowieka z kontaktami. A wojsko chciało mieć u Philipsa swego zaufanego człowieka, bo zawarło z tą firmą poważne kontrakty na dostawy sprzętu. Tadeusz spełniał warunki idealnie. Kupił posiadłość w Grodzisku i tam rezydował z żoną

Marysią (z domu Gnoińską) i dwójkiem dzieci. Józef, bliźniak Bronisława, rezydował w Podkowie Leśnej, we własnym domu koło Zarybia, i zarządzał nim w imieniu Ojca. Miał żonę i wówczas jednego syna. Ich siostra, najmłodsza z całego rodzeństwa Lilka, miała trzech mężów. Wychowywała się w domu rodziców, a różnica wieku z moim Ojcem powodowała, że była dla niego prawie jak córka. Bardzo młodo wymogła zgodę na małżeństwo z Ignacym Makomaskim, młodzieńcem atrakcyjnym, ale bez zawodu. Był pilotem amatorem, uprawiał automobilizm. Małżeństwo trwało niedługo. Drugim jej mężem został Staś Zieliński, ziemianin, właściciel Skępego koło Lipna. Również pilot amator. Prowadzili dom otwarty. Na polowania przyjeżdżała do nich śmietanka towarzyska z Warszawy. Na zachowanych zdjęciach widzę Rydza-Śmigłego i wielu generałów. Ten dom wkomponowywał się świetnie w pozycję towarzyską Ojca i Bronka. Ale małżeństwo również nie przetrwało długo. Obaj byli mężowie mojej ciotki zginęli później jako piloci w Anglii. Trzecim mężem Lilki został inżynier Jerzy Ślewiński. To małżeństwo było udane, przetrwało wojnę i trudne czasy emigracji.

Przez nasz dom przewinął się w tym okresie młodszy brat Matki, Tadeusz Maciejowski. Skończył politechnikę w Wiedniu, wrócił do Warszawy i zaczął pracować u Philipsa. Rodzice Matki mieszkali nadal w Zawierciu. W Warszawie mieszkał jeszcze wuj mojej Matki, Konrad Czerwiński, wykładowca SGH i właściciel małej fabryczki na Woli, gdzie produkował elementy rur do przesyłu gorącej wody według swego patentu. Jego synem był Marcin, o którym już pisałem i jeszcze będę pisał. Muszę tu dodać, że u nas nie mówiło się „wujku” ani „ciociu”. Ojciec tego nie cierpiał. My z moją siostrą, jako najstarsi z młodszego pokolenia, mówiliśmy do wszystkich po imieniu. Tak też tu o nich piszę.

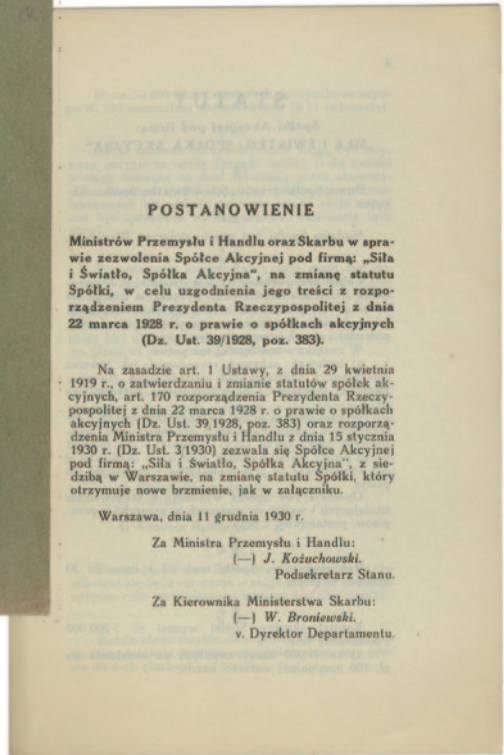
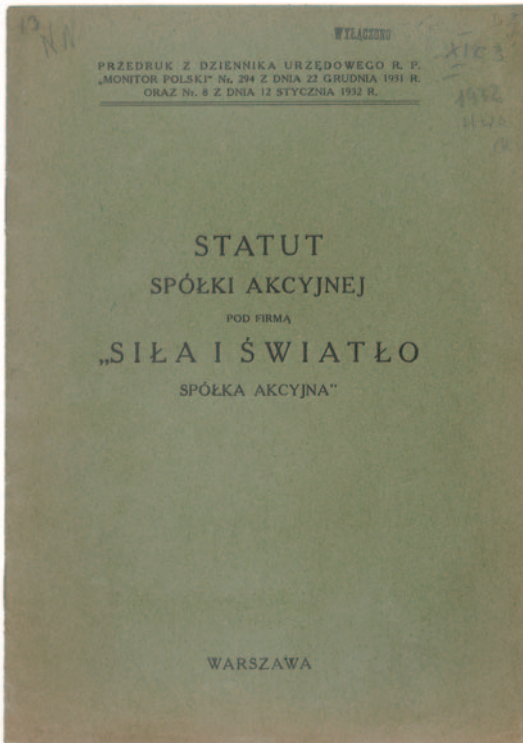
W tym czasie Ojciec był już znaną i szanowaną postacią. Mówili o nim „rebe”, gdyż odgrywał rolę arbitra w wielu sporach, a także służył radą ludziom będącym w kłopotach czy stojącym przed życiowymi decyzjami. Cieszył się wysokim prestiżem ze względu na czystość postępowania i pełną niezależność.

Jako człowiek o cechach przywódczych nigdy nie należał do żadnej partii, dbał o niezawisłość myślenia, miał niezwykle jasne i niezmiennie kryteria postępowania. Jego pozycja zawodowa była bardzo mocna. Zarządzał jednoosobowo koncernem Siła i Światło, poważną grupą finansową, do której należało kilkanaście dużych przedsiębiorstw. Sam zaczął być instytucją w świecie finansowym, gdy przejął w imieniu grupy polsko-belgijskiej pakiet kontrolny papierni w Mirkowie. A w ostatnim roku przed wojną wszedł do zarządu Zakładów Ostrowieckich. Lubiano go jako szefa, ponieważ szanował ludzi, choć był bardzo wymagający. Mimo kryzysu i związanych z nim napięć z pracownikami nie dochodziło w grupie Siły do strajków. Styl zarządzania był paternalistyczny, oparty na metodach wyuczonych w Niemczech. Ale Ojciec dodał do nich umiejętność współpracy z ludźmi, którym zawsze okazywał opiekę i wyrozumiałość.

Mam w ręku fotografię z 1935 roku, gdy delegacja polskiego przemysłu wręcza na Zamku prezydentowi Mościckiemu czek na milion złotych z przeznaczeniem na pomnik Piłsudskiego. W opisie do tego zdjęcia wymienione są nazwiska i branże gospodarce: Regulski – energetyka, Falter – węgiel, Wierzbicki – przemysł itd. Na tle innych postaci działających w gospodarce polskiej Ojciec wyróżniał się szeroką działalnością społeczną i sportową.



Mój Ojciec (z lewej) oraz minister Piasecki u prezydenta Mościckiego na Zamku Warszawskim: dyskusja o motoryzacji kraju, 1936



Statut spółki Siła i Światło
www.polona.pl

Na następnej stronie: siedziba spółki przy ul. Marszałkowskiej 94.
Fot. Referat Gabarytów



Był wielkim patriotą. Mam pokwitowanie z kancelarii Rydza-Śmigłego i podziękowanie za prywatny dar Rodziców na Fundusz Obrony Narodowej w wysokości 500 dolarów w zlocie. Pół kilo złota ofiarowane 29 sierpnia 1939 roku, na trzy dni przed wybuchem wojny! W tym pokoleniu, które wychowało się pod zaborami i które marzyło o wolnej Polsce, a odzyskanie niepodległości uważało za największy dar z Nieba, poczucie odpowiedzialności za kraj było bardzo silne. Przeświadczenie, że każdy obywatel jest zobowiązany do pracy i poświęceń dla utrzymania niepodległości, stanowiło podstawę wszelkich ocen. Również w domu moich Rodziców obowiązywał etos państwowości polskiej.

Miało to wpływ na dobór i ocenę przyjaciół, kontakty towarzyskie i zawodowe. Pytanie, czy dana osoba postępuje zgodnie z interesem społecznym, stanowiło kryterium kluczowe. Postępowanie każdego miało odpowiadać standardom moralnym i nie mogło być skierowane przeciwko interesom państwa i społeczeństwa.

Nigdy nie padła natomiast jakakolwiek uwaga negatywna dotycząca pochodzenia, nie mówiąc już o religii. Ojciec był Europejczykiem, co nie było wówczas powszechne. Studia w Belgii, praca w Niemczech, wojna w Rosji, a później stałe kontakty z Zachodem, zarówno zawodowe, jak i związane z automobilizmem, spowodowały, że miał głębokie zrozumienie dla różnic kulturowych i narodowych oraz ogromną dla nich tolerancję. Każdy mógł się cieszyć jego zaufaniem, byle tylko zachowanie takiej osoby odpowiadało standardom. Jednocześnie patriotyzm Ojca mocno łączył się z poczuciem polskości. Było to zrozumiałe, bo wychowywał się w okresie rusyfikacji, gdy walka o utrzymanie tradycji i języka należała do społecznych obowiązków.

Nasz dom stanowił jeden z istotnych ośrodków życia towarzyskiego. Wśród gości przewijają się nazwiska ważnych w tej epoce osób. Ministrowie Ulrych, Bobkowski, Piasecki, Kościalkowski, generałowie, ludzie przemysłu. Zachowała się księga *lunches and dinners*, w której odnotowano wszystkie przyjęcia. A było ich dużo. Zapisane są listy osób, rozmieszczenie przy stole, jeśli przyjęcie było siedzące, menu, a także stroje. Bo należało pamiętać, jaką suknię włożyła Matka i jacy ludzie mogli ją wtedy oglądać (a panie – zapamiętać).

Ojciec przestrzegał swojej bezpartyjności. Nigdy by się nie zgodził podporządkować swoje poglądy komukolwiek. Jednocześnie odnosił się bardzo krytycznie do ówczesnej sceny politycznej. Pamiętam rozmowę Rodziców przed wyborami w 1938 roku. Na kogo głosować? Socjaliści odpadali. Byli zbyt daleko od poglądów Ojca. Sanacja również. Jediną alternatywę stanowiła Narodowa Demokracja. Dzisiaj patrzy się na nią przez pryzmat antysemitycznych publikacji Dmowskiego. Ale wówczas postrzegano ją jako tradycyjną partię warszawskiej inteligencji. A nośnikami antysemityzmu to były partie radykalne, takie jak ONR czy Falanga.



Janusz Regulski, dyrektor koncernu „Siła i Światło”
wręcza gen. Tadeuszowi Kasprzyckiemu
czek na 75 tysięcy złotych na obronę narodową,
listopad 1938. Fot. NAC

ADIUTANT PRZYBOCZNY I SZEF SEKRETARIATU
GENERALNEGO INSPEKTORA SIŁ ZBROJNYCH

WARSZAWA, DN. 29.VIII.39 R.
AL. UJAZDOWSKIE 1A-CENTR. TEL. 804-40. WEWN. 25-60.

Nr.2953/FON.

JWPaństwo

Januszostwo Regulscy

w miejscu

Aleja Przyjaciół Nr.8

Z polecenia Pana Marszałka Śmigłego-Rydza
mam zaszczyt złożyć uprzejme podziękowanie za
patriotyczny czyn, wyrażony ofiarą na Fundusz
Obrony Narodowej.

Pięćset dolarów w złocie przekazano Szefowi
Gabinetu Ministra Spraw Wojskowych - poz.2953
z dnia 29.VIII.1939 r. -

Adiutant Przyboczny i Szef Sekretariatu
GENERALNEGO INSPEKTORA SIŁ ZBROJNYCH

Motkowski Edward
s.t.a.

Mój Ojciec nie lubił legionistów. A Piłsudskiemu pamiętał zamach majowy na konstytucyjne władze, a także proces brzeski i obóz w Berezie. Ale najbardziej Ojca denerwowała polityka gospodarcza. Uważał, że wyjście z ówczesnego kryzysu było wynikiem aktywności przemysłu, a rząd nie spełniał swojego zadania. Nie istniała właściwa współpraca rządu i kapitału prywatnego. Krytycznie odnosił się do koncepcji Centralnego Okręgu Przemysłowego, a właściwie do uzasadnienia jego powstania. Jak głoszone, wynikało ono z konieczności zapewnienia przemysłowi bezpieczeństwa. I dlatego nakazano, między innymi, aby przenieść fabrykę Kabel Polski z Bydgoszczy do Lubartowa. Ojciec twierdził (i jak przyszłość wykazała, miał rację), że Lubartów nie gwarantuje większego bezpieczeństwa niż Bydgoszcz. A koszty przenosin są duże i te środki powinny być zużytkowane w inny sposób.

Ojciec był krytyczny w stosunku do rządzących, ale utrzymywał z nimi kontakty – nie tylko dlatego, że wymagała tego pozycja zawodowa, lecz także dlatego, że szanował wybrane władze. Mówił mi wielokrotnie, że należy mieć własne zdanie i można krytycznie oceniać rządzących, ale zawsze trzeba pamiętać, że są to władze naszego państwa, trzeba je szanować i wspierać, nawet jeśli nie w pełni z nimi się zgadzamy.

Na Boże Narodzenie i Sylwestra 1938 pojechaliśmy do Zakopanego. Mieszkaliśmy w istniejącym do dziś Carltonie, jednym z najelegantszych wówczas pensjonatów. Wszyscy byli dumni z niedawno uruchomionych kolejek na Kasprowy i na Gubałówkę. Stanowiły one duże osiągnięcie techniczne. Jeździliśmy na nartach, ale to był zupełnie inny sport niż obecne narciarstwo. Nie było wyciągów i zjazdów. Były za to urocze wycieczki turystyczne na nartach, przez leśne drogi, polany i hale.

Podstawową atrakcją stanowiło życie towarzyskie. Zwyczaj *five o'clock* dziś zaginął. A wówczas popołudniowy dancing między piątą a siódmą był kluczową formą życia towarzyskiego. W Zakopanem chodziło się do Watry na Krupówkach. Wieczorny dancing po godzinie ósmej można było wybierać między Gubałówką, Jaszczurówką a Bristolem. Czasami nawet organizowano wyprawę saniami do Siedmiu Kotów na Cyrhli. Raz pojechaliśmy w większym towarzystwie do Jaworzyny, tego fragmentu Tatr, który został przyłączony do Polski wraz z Zaolziem. Moja siostra, dziewiętnastolatka, znajdowała się w centrum zainteresowania młodych ludzi. Ja byłem jeszcze za młody, aby w tym wszystkim uczestniczyć, ale na popołudniowe dancingi chodziłem. Raz czy drugi nawet zatańczyłem z panienkami w moim wieku – według wzorów dorosłych.



Hotel Bristol w Zakopanem, 1927. Fot. NAC

Wagonik kolejki na Gubałówkę, 1938. Fot. NAC





Kolej linowa na Kasprowy Wierch, lata 30. Fot. NAC

Zima w Warszawie 1939 roku wydawała się jakaś inna niż poprzednie. Karnawał był gorący. Moja siostra miała swoje wejście w życie dorosłe: pierwszy bal w Bristolu z paroma innymi debiutantkami. Już posiadała własnego adoratora, który wkrótce złożył oficjalne oświadczyzny. Józef Cybulski, właściciel majątku Dawidy, dziś już w granicach Warszawy. Ojciec opierał się jednak zbyt wczesnemu małżeństwu. Miał w pamięci małżeństwa swojej siostry Lilki.

Życie toczyło się w zasadzie normalnie. Wiosną odbył się trzeci z kolei turniej tenisowy o puchar Ojca w warszawskim Lawn Tennis Clubie na Agrykoli. Miejsce spotkań elit stanowił także świeżo otwarty tor wyścigów konnych na Służewcu. Byłem tam, na zamkniętej trybunie członkowskiej, kilkakrotnie. Sporty wyraźnie dzieliły się według klas społecznych. Miałem album fotografii z działalności klubu wojskowego w Równem, którego prezesem był Broniek. Widać w nim, że oficerowie i ich rodziny brały udział w turniejach tenisowych, zawodach hipicznych czy biegach narciarskich. A żołnierze grali w piłkę nożną i biegali na wyścigi. Nigdy te grupy się nie mieszały.

Sytuacja polityczna w Europie szybko się zaostrzała. Bardzo silnie przeżyliśmy konferencję w Monachium i aneksję Sudetów. Studiowałem mapę. Po włączeniu Austrii Niemcy wyciągały zaborcze ramiona na wschód. Dwa obejmowały Czechosłowację. Widzieliśmy, jak się zamykają, wchłaniając ten kraj. Z przerażeniem patrzyłem, jak dwa inne obejmują Polskę. Sekwencja wydawała się oczywista. Ale odrzuciłem te myśli. Nie chciałem przewidywać, co się stanie. Na jesieni przyłączono do Polski Zaolzie. Młodzież przyjęła to entuzjastycznie. Starsi byli znacznie ostrożniejsi w ocenach. Mieliśmy w szkole wizytę uczniów z jednej ze szkół z Zaolzia. Jeden z chłopców nocował u mnie w domu. Dla nich to było wielkie przeżycie. Czuli się Polakami i chcieli żyć w Polsce.

Dziś, gdy wspomina się ówczesną polską akcję przeciw Czechosłowacji, to potępia się ją jako współpracę z Hitlerem. Jest to uzasadniona ocena, szczególnie w świetle późniejszych wydarzeń. Ale nie uwzględnia się ówczesnych nastrojów. W powszechnej pamięci jeszcze była wtedy interwencja wojskowa Czechosłowacji przeciw Polsce z 1919 roku. Podział dawnego księstwa cieszyńskiego, będącego odrębną jednostką administracyjną w monarchii habsburskiej, został dokonany przez miejscowe elity pomiędzy powstającą Czechosłowacją i Polskę. Ale wkrótce potem wojska czeskie zaatakowały bezbronny obszar i zaanektowały całe Zaolzie, które miało należeć do Polski. Polska opinia to pamiętała i jednoznacznie potępiała. Istniało więc moralne uzasadnienie rewanżu. Tylko moment był fatalny.

Rozbudzony nacjonalizm dawał o sobie znać. Przez wiele lat wmawiano wszystkim, że Polska jest mocarstwem i nawet powinna mieć kolonie. Liga Morska i Kolonialna osiągała sukcesy. I wtedy nagle niektórzy uznali, że przyszedł moment, aby te marzenia realizować. Zaolzie miało być pierwszym krokiem. W Warszawie, a pewno



Zajęcie Zaolzia - wkroczenie wojsk polskich do Jabłonkowa, 1938. Fot. NAC

Plakaty informujące o zajęciu Zaolzia. Fot. NAC



i w innych miastach, odbywały się uliczne manifestacje. Obok nas, na Koszykowej, mieściła się ambasada Czechosłowacji. Była ona celem wielu demonstracji. Któregoś wieczora tłum szedł Alejami Ujazdowskimi, aby skrócić w Koszykową. Tam już stał kordon policji mający ochronić ambasadę. Utkwiły mi w pamięci okrzyki: „Marsz na Żyda i na Czecha!”. Zastanawialiśmy się następnego dnia z kolegami, co mieli wspólnego Żydzi z Zaolziem. Nie mogliśmy znaleźć odpowiedzi.

Niestety, w tym czasie w Polsce rozwijały się już akcje antysemitki. Zaczęła się niebezpieczna segregacja ławkowa na uczelniach. Byłem za młody, aby te sprawy do mnie docierały. Ich ślady spotkałem dopiero kilka lat później, gdy w budynkach Politechniki istniały jeszcze ławki dla Polaków, oznaczone „BP” (Bratnia Pomoc) i dla Żydów, oznaczone „WP” (Wzajemna Pomoc).

Zdarzały się też manifestacje przyjacielskie pod poselstwem węgierskim, bo uzyskaliśmy wspólną granicę, a do Węgrów Polacy zawsze czuli sympatię. W domu mieliśmy nowego lokatora. Zamieszkał u nas *attaché militaire* nowo otwartego poselstwa litewskiego po wymuszonym przez Polskę nawiązaniu stosunków dyplomatycznych. Bardzo sympatyczny oficer, zięć prezydenta Smetony.

To był okres ważnych wydarzeń dyplomatycznych. Rodziców stale zapraszano. Moja Matka wspomina w pamiętnikach¹¹ udział w przyjęciu na cześć Ribbentropa. Po oficjalnej części minister spraw zagranicznych Józef Beck w gronie znajomych głośno mówił o swoich stosunkach z Niemcami i szansach na dobre dla Polski rozwiązanie. Matka się wtedy głośno zapytała: „A czy można Niemcom tak wierzyć?”. Zapadła cisza, a rozdrażniony Beck odpowiedział, że bez wzajemnej wiary nie można prowadzić polityki. Rodzice dobrze znali Becka. Ojciec poznał go w 1920 roku w czasie swej krótkiej służby w Kwaterze Głównej. Moja Matka przez pewien czas przyjaźniła się z jego pierwszą żoną. Kiedyś nawet razem pojechaliśmy na wakacje do Ciechocinka. Jędrzej Beck, syn z pierwszego małżeństwa, był w moim wieku. A później moja siostra blisko się przyjaźniła z Bubą Burhardt-Bukacką, córką drugiej żony Becka, i często bywała u nich w rezydencji na tyłach Pałacu Brühla.

Dobrze pamiętam przemówienie Becka z 5 maja 1939 roku. To było wstrząsające przeżycie. Siedzieliśmy wszyscy przy radiu i przeżywaliśmy każde jego słowo. Uniesienie patriotyczne było ogromne. Rozumieliśmy, że nadchodzi czas próby. Ale nikt nie sądził, że będzie tak tragiczna. Wierzyliśmy w siłę Wojska Polskiego. Przecież ciągle widzieliśmy plakaty ją dokumentujące, a przed każdym filmem oglądaliśmy migawki z szarżującymi kawalerzystami i karabinami maszynowymi na taczankach. Coraz więcej młodych ludzi zjawiało się u nas w mundurach. Moja siostra bardzo lubiła się z nimi pokazywać.

¹¹ Zob. H. Regulska, *Tamte lata, tamte czasy. Wspomnienia z II wojny światowej*, Wrocław 1988.



Raut w Poselstwie Łotwy w Warszawie, od lewej: attaché wojskowy Poselstwa Litwy w Polsce płk Alojzy Valusis z małżonką (córką prezydenta Litwy Antanasa Smetony) i wiceminister spraw zagranicznych Polski Jan Szembek, wrzesień 1938. Fot. NAC.



Minister Józef Beck z drugą żoną, Jadwigą z d. Salkowską, 1934.
Fot. Niderlandzkie Archiwum Narodowe

Warszawa, Ministerstwo Spraw Zagranicznych w pałacu Brühla.
Fot. Henryk Poddębski/polona.pl





Jadwiga Beck, 1934. Fot. Niderlandzkie Archiwum Narodowe

Na wakacje pojechaliśmy normalnie, najpierw do Zarybia, a potem do Juraty. Jak co roku, przyjechali do nas w odwiedziny państwo Chodaccy. On był polskim komisarzem w Gdańsku. Napięcie polityczne spowodowało, że w 1939 roku nie pojechaliśmy, jak w latach poprzednich, do nich do Gdańska. Już zresztą od kilku lat samochodem z Warszawy nie jeździło się przez Gdańsk, lecz okólną drogą wprost do Gdyni.

Moja Matka zarządziła, że 15 sierpnia wszyscy powinni być w Zarybiu. Wróciliśmy więc całą rodziną z Juraty, także Dziadkowie zostali ściągnięci z Zawiercia, ze swymi najcenniejszymi rzeczami. Zarybie było przygotowywane na wojnę, chociaż nikt nie wiedział, jak to będzie. W przyległym do domu lasku wykopano rów, w którym mieliśmy się chować. Nikt nie wiedział kiedy ani przed czym, ale kazano kopać rowy. Uszczelniliśmy też jedną z piwnic dla ochrony przed gazami bojowymi. Uczyliśmy się wkładać maski przeciwgazowe, każdy miał swoją. Matka gromadziła zapasy jedzenia i w Zarybiu, i w Warszawie.

Wszyscy byli bardzo pewni siebie i spokojni o przyszłość. Ale napięcie rosło z każdym dniem, a wraz z nim skrzętnie ukrywana niepewność. Mój stryj generał przyjeżdżał kilkakrotnie do Zarybia. Zamykali się z Ojcem na długie rozmowy. Nie były one przyjemne. Ojciec nic o nich wtedy nie mówił. Było to zrozumiałe. Dotyczyły spraw państwowych, do których obaj mieli dostęp. Dopiero później powiedział, że Broniek miał bardzo pesymistyczne nastawienie i bardzo, jak się potem okazało, realnie oceniał możliwości naszej armii. Otóż możliwości naszego oporu na granicy oceniał jedynie na kilka dni. Uważał, że należy oddać Niemcom zachodnią Polskę i skoncentrować obronę na linii Wisły. Ale to przeczyłoby ówczesnej polityce mocarstwowej.

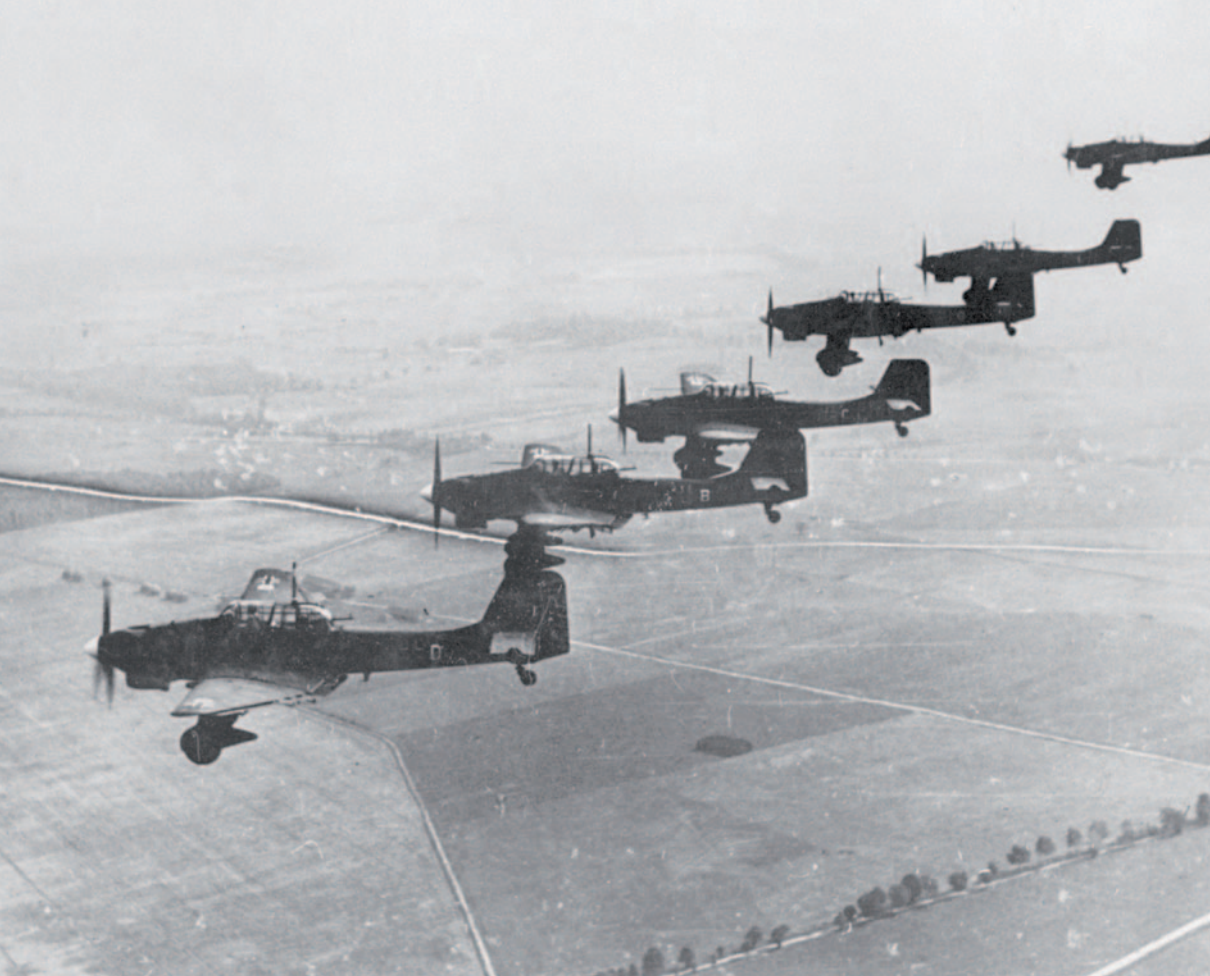
Aż przyszedł 1 września.



Kolejka po maski przeciwgazowe i papier do zabezpieczania okien przed sklepem Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej przy ul. Świętokrzyskiej 12 w Warszawie, 1939. Fot. NAC

Pokaz obrony przeciwlotniczo-gazowej na ulicy Grochowskiej w Warszawie. W oddali fabryka Wedla, marzec 1939. Fot. NAC





Niemieckie bombowce Ju 87 B nad Polską, wrzesień/październik 1939
Fot. Bundesarchiv Bild 183-1987-1210-502

6.

Wojna
(1939-1941)

P

ierwszego września był piękny dzień. Byliśmy wszyscy w Zarybiu. Rano wstrząsnęła nami wiadomość – wojna wybuchła! Ojciec pojechał natychmiast do Warszawy. My zostaliśmy z Matką i Dziadkami. Przyszedł stryj Józef. Staliśmy przed domem. Słyszeliśmy samoloty lecące nad Warszawę i złowieszcze meldunki w radiu: „Uwaga, uwaga, nadchodzi”. I dalej zaszyfrowane współrzędne położenia. A potem: „Uwaga, uwaga, przeszedł”. Nie wiedzieliśmy kto ani gdzie. Ale mieliśmy świadomość, że nadchodzi niebezpieczeństwo.

I nagle od lecącego klucza samolotów jeden zakręca, leci nad nami. Patrzymy na niego i widzimy, że coś się od niego odłącza. Ktoś woła: „Ulotki, ulotki!”. Ale słyszemy, złowrogi, choć dotąd nieznany świst. To bomby. Rzucamy się w kierunku domu. Słyszę wybuch i czuję podmuch w plecy, gdy jestem w drzwiach. Następują dalsze wybuchy, ale już nieco dalej. Popłoch. Czujemy swąd dymu. Może to gazy, przed którymi nas straszono. Ktoś krzyczy, żeby zakładać maski, ktoś woła, żeby uciekać do piwnicy. Powoli się uspokajamy. Samoloty odleciały. Cisza. Bomba spadła kilkadziesiąt metrów od domu, w ogrodzie, przebiła rurę doprowadzającą wodę do domu. Kilka innych bomb spadło w Podkowie. Nic nikomu nie zrobiły, ale spowodowały panikę. Zastanawiano się, dlaczego właśnie tu je zrzucono. Podejrzanie padło na nasze szklarnie, że wyglądają jak fabryka. Sąsiedzi zażądali, aby je przykryć gałęziami.

Po południu Ojciec wrócił z Warszawy i zaczęły się dyskusje, co należy robić. Przede wszystkim Ojciec się zastanawiał, w jakiej formie powinien spełnić swój obowiązek patriotyczny. Zdecydował, że zgłosi się do wojska jako ochotnik. Miał już ponad 50 lat i nie został objęty mobilizacją.

W niedzielę wieczorem przenieśliśmy się do Warszawy. W dzień było niebezpiecznie, bo samoloty ciągle latały. Jechaliśmy przez Okęcie koło palących się zakładów Škody, tego dnia zbombardowanych. Było to straszne, pierwsze wojenne doświadczenie.

Ulokowaliśmy się w domu w alei Przyjaciół. Musiałem odstąpić swój pokój Dziadkom i wynieść się do pokoju rezerwowego na szóste piętro. Jak się okazało, nie na długo.

Warszawę ogarniała panika. Zarządzono totalną ewakuację, która wkrótce zamieniła się w generalną ucieczkę. Kto mógł, wyjeżdżał na Wschód. Broniek wyjechał z dowództwem. W ślad za mężem wyjechała Zosia, żona Bronka, z córką Anetą i z Lilką. Wyjechał też Tadeusz wraz z żoną i dwójką swych dzieci w ramach ewakuacji zakładów Philipsa. Z nimi pojechała Irena, żona Józefa, z synkiem Julkiem. Ewakuowano wszystkie instytucje państwowe, nawet policję. Miasto stanęło na pograniczu chaosu i anarchii, bo od zachodu napływała fala uciekinierów z Poznania i Pomorza.

Ojciec wahał się, co robić. W poniedziałek nawiązał kontakt z wojskiem. Ale prezydent Warszawy, Starzyński, zwrócił się do niego o zorganizowanie Straży Obywatelskiej i objęcie jej kierownictwa. Był to dowód zaufania, jakim się Ojciec cieszył, a jednocześnie uznania jego zdolności organizacyjnych. Ta propozycja dawała możliwość wykonania konkretnej i odpowiedzialnej pracy, która była społeczeństwu potrzebna, a więc spełnienia obowiązku obywatelskiego.

Musieliśmy zorganizować życie na nowo¹². Ojciec codziennie rano wyjeżdżał do komendy Straży. Początkowo urzędował w Ratuszu, ale po paru dniach komenda została przeniesiona na Czackiego, do budynku banku blisko Świętokrzyskiej. Dziś na tym miejscu jest skrzydło Ministerstwa Finansów. Została tu wmurowana tablica pamiątkowa dla uczczenia Ojca i pięciu tysięcy członków Straży.

Matka i siostra zaczęły pracować jako wolontariuszki w szpitalu polowym na Mokotowskiej, w budynku plebanii kościoła Zbawiciela. Dziś jest tam teatr. Razem z nami mieszkali Dziadkowie Maciejowscy. Ojciec przywiózł swoją Matkę od sióstr z Solca. Po kilku dniach przyjechał do nas z Zarybia końmi z fornalem stryj Józef. Nie mógł wytrzymać sam w Podkowie. Konie stały na ulicy, aż je pozabijały bomby i pociski. Potem stanowiły źródło zaopatrzenia. Wszyscy wycinali mięso. Zjawił się też stryj Stefan Maciejowski, brat Dziadka. Następnie przybiegła nasza kuzynka Zofia Malewska, która pracowała w Automobilkubie na Szucha i tam mieszkała. Pewnej nocy dom zaczął się palić i musiała uciekać. Jeśli jeszcze dodać do tej listy Runię, kucharkę i pokojówkę, była to w sumie dość liczna gromadka. Powoli ukształtował się podział pracy. Józio zajmował się bezpieczeństwem. Zorganizowano służbę

¹² Moja Matka prowadziła dziennik wydarzeń. Został on później opublikowany, zob. H. Regulska, *Dziennik z oblężonej Warszawy: wrzesień – październik – listopad 1939 r.*, Warszawa 1978.

wartowniczą i przez całą dobę dwie osoby stały u wejścia na naszą ślepą ulicę, kontrolując przychodzących. Ja odgrywałem rolę porządkowego. Pilnowałem dziadków i domu.

Przenieśliśmy się do piwnicy. Trudno było żyć podczas oblężenia na najwyższym piętrze z wielkimi oknami. Nasza rodzina zajęła pralnię i suszarnię. Porozkładane materace na ziemi pokrywały prawie całą powierzchnię. Byliśmy i tak w dobrej sytuacji. Lokatorzy domu gnieździли się we wspólnym pomieszczeniu i na korytarzu piwnicznym. Do mieszkania na czwarte piętro chodziliśmy rzadko. Za każdym razem wiązało się to z wielkim napięciem. Ciągłe było słycać strzały i wybuchy. Wielkie okna, za którymi rozciągała się ciemność, rozświetlana tylko coraz większymi pożarami, ziały grozą.

Sytuacja stawała się coraz trudniejsza. Ostrzał się nasilał. Naokoło paliły się domy. Matka i Hanka przestały chodzić do szpitala. Łączyło się to ze zbyt dużym ryzykiem. Ojciec jednak jeździł do komendy, jakoś znajdując drogę wśród ruin i gruzów. Wreszcie w samochód uderzył pocisk artyleryjski i lancia zakończyła żywot na Wierzbowej. On jakimś cudem ocalał.

Nasz dom też został w końcu trafiony. Był nalot. Stałem koło szybu windy, słuchałem wybuchów i wycia silników samolotów. Aż nagle huknęło. Dom się zakłócił. Kurz zasłonił wszystko. Słyszałem sypiący się nad głową gruz. I ten hałas schodził coraz niżej, coraz bliżej nas w piwnicy. Cały struchlałem, czekając, czy dom wytrzyma i czy gruz nas nie zasypie. To były straszne sekundy. Jednak powoli hałas zanikł. Dom wytrzymał, choć uderzenie było silne. Duża bomba uderzyła w ścianę i po niej ześlizgnęła się w dół. Wybuchła na ulicy, tworząc wielometrowy lej. Narożnik domu zawisł w powietrzu. Jednocześnie trzy mniejsze bomby uderzyły w dach i nasze mieszkanie. Widok był straszny – dziury w dachu i wielka dziura w podłodze salonu, meble połamane i pospychane wybuchem w różne kąty. Wszystko przysypane warstwą gruzu i pyłu. Okropny szok, a zarazem poczucie nieważności przedmiotów materialnych. Bo co to ma za znaczenie, że uległy zniszczeniu meble, jeśli my przeżyliśmy!

To wtedy zaczęło się to wielkie przewartościowywanie. Co innego stawało się wartością podstawową. Nieważny okazał się majątek, liczyło się tylko przeżycie. Nie ten był bogaty, kto miał pieniądze w banku czy nieruchomości, ale ten, kto miał worek mąki czy ćwiartkę z konia. Bo już nie chodziło o meble, obrazy czy pieniądze, ale o życie – swoje i innych.

Oblężenie zbliżało się do końca. Jeszcze tylko dwa, trzy dni po zbombardowaniu domu trwały walki. Potem nastąpiła cisza. Ludzie wyszli na ulice, szukając krewnych i przyjaciół, oglądając zniszczenia i starając się na nowo organizować życie. I szukając żywności, wody i tylu innych rzeczy potrzebnych do życia. Straż Obywatelska musiała się przystosować do nowej sytuacji. Groźba rabunków wzrosła,

bo ustało niebezpieczeństwo ostrzału. Armia przechodziła do niewoli. Wymagało to poważnej organizacji i załatwienia wielu spraw. Jednym z ostatnich rozkazów generał Rómmel odznaczył Ojca Krzyżem *Virtuti Militari* za jego działalność w okresie oblężenia.

Myśmy musieli też na nowo zorganizować swoje życie. Musieliśmy gdzieś mieszkać. Nasze mieszkanie i dom nie nadawały się do zamieszkania. Na szczęście ocalało mieszkanie stryja Bronisława na Nowym Świecie pod numerem 7. To było duże, sześciopokojowe mieszkanie. Ale i nas było dużo. Wraz z kucharką i pokojówką – 14 osób, w tym piątka dziadków, którzy mieli ponad 75 lat, a ciotka Chodecka już blisko setkę. Musieliśmy się przenieść na Nowy Świat. Tylko jak to zrobić? Odległość niewielka, ale transportu absolutny brak. Udało się gdzieś zdobyć jakiś wózek. Ojciec wynajął dwóch silnych mężczyzn i zaczęliśmy przeprowadzkę. Trwała kilka dni. Nie wiem, ile razy odbyłem tę drogę. Na ogół trzy, cztery razy dziennie, nosząc różne rzeczy czy pchając wózek. Ale w końcu się udało i jakoś się zmieściliśmy, chociaż do łazienki stały ogonki.

Wkrótce trochę się rozluźniło. Hanka wymusiła na Ojcu zgodę na małżeństwo. W tych warunkach trudno było odmawiać. Ślub się odbył na początku listopada i Hanka przeniosła się do męża do Dawid. Niedługo też zmarła ciotka Chodecka. Jej pogrzeb na Powązkach miał bardzo przejmujący charakter. A ciotka Malewska wyjechała do rodziny do Torunia.

Mieszkanie było nieuszkodzone, w pełni umeblowane i wyposażone. Mieliśmy wiele szczęścia, jeśli popatrzyć na losy innych ludzi. Zaraz zaczęły się wizyty bliższych i dalszych znajomych, którzy szukali kontaktów i wiadomości o innych. W pamięci mi pozostała wieczorna wizyta dowódców Armii Poznań, która przebiła się do Warszawy, a nazajutrz miała składać broń. Przyszli do mieszkania Bronka, aby się o niego spytać i pożegnać się z przyjaciółmi. Szli do obozów na długie lata.

Mój Ojciec zaraz rozpoczął działania na rzecz odbudowy domu. Znalazł się architekt i firma, która zabezpieczyła dom przed zimą. Właściwa odbudowa zaczęła się na wiosnę i następnej jesieni wróciliśmy z powrotem na Przyjaciół. Niestety, nie na długo.

Ojciec nadal pełnił funkcję komendanta Straży. Zaczynało być nerwowo. Zaraz po wejściu do Warszawy oficerowie Wehrmachtu przyszli do komendy na inspekcję. Zabrali karabiny i broń i przeprowadzili drobiazgowe śledztwo, chcąc sprawdzić, czy Straż brała udział w walkach.

Gdyby doszli do takiego wniosku, byłby to wyrok na wszystkich jej członków. Cywili traktowali bezlitośnie, jeśli uznali, że angażowali się w walki. Na szczęście Ojciec wprowadził szczegółową ewidencję broni i naboju. Jeśli ktokolwiek choć raz wystrzelił ze służbowego karabinu, musiał pisać raport z wyjaśnieniami. Ten porządek



Janusz Regulski z opaską Straży Obywatelskiej, 1939,
w : M. Drozdowski *Alarm dla Warszawy*, 1969

zaimponował Niemcom. A ponieważ Ojciec nie tylko znał niemiecki, ale i umiał z Niemcami rozmawiać, więc inspekcja skończyła się dobrze. Uznano Straż Obywatelską za organizację cywilną i kazano im funkcjonować jeszcze przez kilka tygodni. Ale to był taniec na linie. Ojciec przez szereg tygodni chodził bardzo ciepło ubrany, aby być gotowym na wypadek aresztowania.

Zaraz po przeprowadzce mieliśmy chwilę nerwów. Któregoś ranka zadzwonił ktoś do drzwi. Poszedłem otworzyć. Przed drzwiami stało dwóch żandarmów. „Vater da?” Pamiętam ten zwrot do dziś. Okazało się, że każą natychmiast opuścić wszystkim mieszkanie i nie wracać do wieczora. Po dyskusji zrobili wyjątek dla najstarszych babek, pod warunkiem że będą siedziały w pokoju od podwórza, nie będą palić światła i nie podejną do okna. Okazało się potem, że były to przygotowania do parady zwycięstwa, na którą przyjechał Hitler.

Niedawno dowiedziałem się, że w budynku po drugiej stronie Nowego Światu zgromadzono wielką ilość materiałów wybuchowych, które planowano wysadzić, gdy Hitler będzie przejeżdżał ulicą. Do wybuchu nie doszło, ale skóra mi cierpnie na myśl, jaka byłaby reakcja Niemców i ile osób straciłoby życie.

Ale zachowanie Niemców zmieniło się, gdy władzę od wojska przejmowało gestapo. Pierwszym dramatycznym przeżyciem było aresztowanie Starzyńskiego. Po jego mowach w czasie oblężenia nikt nie miał wątpliwości, że Niemcy mu nie darują. Przed poddaniem miasta wielokrotnie z najbliższymi współpracownikami i z Ojcem zastanawiał się, co ma robić. Rozważał zejście do konspiracji, ucieczkę, a nawet samobójstwo. W końcu zdecydował się zostać, aby być razem z Warszawą i jej mieszkańcami.

Wzorem, o którym wspominał, był burmistrz Brukseli, który pozostał w mieście w czasie pierwszej wojny. Ale to byli inni Niemcy. W czasie jego aresztowania Ojciec był w Ratuszu i akurat wszedł do sekretariatu, gdy wyprowadzali Starzyńskiego z jego gabinetu. Minęli się w drzwiach.

Zaczęła się okupacja. I wszystko się zmieniło. Zarybie przetrwało, ale zostało całkowicie obrabowane. W czasie oblężenia Warszawy stacjonował tam oddział wojska. Dom był opuszczony i pozostawał pod opieką służby folwarcznej. Jako trofea zdobywców wyjechało do Niemiec wszystko, co miało jakąkolwiek wartość – trofea myśliwskie, meble i urządzenia pokoju marokańskiego, kryształ i srebro stołowe. Zostały tylko cięższe meble. Wszystkie pokoje były zasłane słomą, na której spali żołnierze.

Szukaliśmy wiadomości, kto przeżył. Tadeusz wraz z rodziną wylądował w Budapeszcie i zdecydował się jechać dalej do Francji, do Philipsa. Tam osiadł. Po upadku Francji znalazł się na Riwierze i był kierownikiem domu dla polskich uchodźców w Hyères. Wrócił do Polski dopiero w 1946 roku, razem z Marysią oraz swymi dziećmi,

Elżunią i Andrzejem. Irenka, żona Józia, zawróciła do kraju z Budapesztu. Broniek znalazł się szybko we Francji. Sikorski ściągnął go z Rumunii, pamiętając jego postawę z 1926 roku, gdy szedł bronić rządu przed zamachem Piłsudskiego. Powierzono mu dowództwo i organizację III Dywizji Polskiej. Nie zdążył jej jednak zorganizować i nie weszła ona do boju.

Natomiast nie mieliśmy wiadomości o losie Zosi i Lilki. Dopiero w grudniu zjawily się któregoś wieczora brudne i obdarte. Przeszły gehennę, uciekając przed bolszewikami z Derażnego, majątku Potockich, w którym się schroniły. Przez Lwów wróciły do Polski w jakimś transporcie repatriantów. Wkrótce udało się im uzyskać zezwolenie na wyjazd z kraju dzięki pomocy dyplomatów włoskich, którzy załatwili im wizy. Stamtąd pojechały do Francji i połączyły się ze swymi mężami. Jednak nie zagnały długo spokoju. Katastrofa Francji zmusiła wszystkich do dalszej ucieczki.

Bronkowi w dramatycznej ucieczce przed Niemcami udało się zaokrętować gdzieś na południu i dostać do Anglii. Również udało się to jego żonie Zosi. Tam powierzono mu bardzo szczególną funkcję – polskiego *attaché militaire* przy rządzie angielskim. Broniek, ze swoją umiejętnością kontaktów z ludźmi, obyciem i wielką kulturą osobistą, świetnie się do tego nadawał. Świadczyły o tym m.in. jego bezpośrednie kontakty z wieloma osobistościami. Miał bardzo dobre stosunki towarzyskie z księciem Kentu. Odziedziczyłem po stryju złote spinki, które przy jakiejś okazji otrzymał od księcia.

Do Anglii przedostali się również pozostali członkowie rodziny. Lilka ze swoim mężem Jurkiem Ślewińskim. On jako saper był w wojsku, a Lilka zgłosiła się do Pomocniczej Służby Kobiet i całą wojnę przeżyła w mundurze. W mundurze chodził także Tadeusz Maciejowski, brat Matki. Do Anglii przedostał się też Kazio Daszewski, syn Zosi Bronkowej z pierwszego małżeństwa. Był lotnikiem i później zginął nad Niemcami jako pilot myśliwski polskiego dywizjonu.

W Warszawie powoli układaliśmy swoje nowe życie. Uruchomiono szkoły. Budynek na Klonowej został spalony, więc moja szkoła skorzystała z zaproszenia żeńskiej pensji na placu Unii. Ale szczęście trwało krótko. Wszystkie szkoły zamknęli Niemcy. Co robić? Miałem ukończone trzy klasy gimnazjum, do małej matury brakowało roku. Z kolegami podjęliśmy decyzję, że będziemy się uczyć sami. Cała klasa zorganizowała się w małe grupki. Spotykaliśmy się w różnych mieszkaniach i podzieliliśmy się odpowiedzialnością za poszczególne przedmioty. Mnie przypadła matematyka. Przez kilka miesięcy uczyłem jej moich kolegów, a oni usiłowali mnie nauczyć łaciny, polskiego i innych przedmiotów. Wkrótce jednak sprawy wzięli w swoje ręce nauczyciele. Utworzyły się komplety i rozpoczęła się regularna nauka. Spotykaliśmy się na ulicy Oleandrów w mieszkaniu państwa Więckowskich, właścicieli fabryki wody sodowej. Drugim lokalem było mieszkanie przy Narbutta u rodziców naszego kolegi, którego nazwiska nie pamiętam.

I wreszcie trzeci lokal na Dolnej, poniżej kościoła św. Michała, w mieszkaniu rzemieślników, których syn z nami chodził do klasy. Niestety, już nie spotkałem swoich przyjaciół z poprzedniego roku. Ani Jurka Bauera, ani Kota Mroczkowskiego. I nigdy się nie dowiedziałem, co się z nimi stało.

Ale został wprowadzony obowiązek pracy. Bez odpowiednich zaświadczeń groził wyjazd na roboty do Niemiec. Ojciec zatrudnił mnie więc w Sile i Świetle jako pomoc biurową. Bardzo ten angaż potraktowałem serio. Ojciec też go tak traktował. Obowiązywała mnie praca od dziewiątej do piętnastej, chociaż mogłem wychodzić na lekcje – byłem dumny, mogąc samodzielnie opłacać koszt swoich kompletów. Mam więc ciągłość zatrudnienia od grudnia 1939 roku! I kiedy niedawno ZUS przeliczał moją emeryturę, okazało się, że mam zaliczonych 68 lat jako okresy składkowe!

Tajna nauka funkcjonowała sprawnie, bez kłopotów. Terror nie rozpoczął się jeszcze wówczas na dobre. Pod koniec roku dostaliśmy stopnie na papierku. Ale nie chciałem kontynuować tajnego nauczania w następnym roku. Zdecydowaliśmy z Ojcem, że pójdę do oficjalnej szkoły. Legitymacja uczniowska zawsze trochę chroniła, a poza tym nikt nie wiedział, jak długo jeszcze będzie trwać okupacja. Należało przygotowywać się do życia i pracy w takich warunkach, jakie istniały. Uczyłem się od Ojca pragmatyzmu i realizmu.

Zgodnie z wcześniejszymi założeniami wybraliśmy kierunek techniczny. Ale wybór budowlanki był dość przypadkowy. Antoni Ponikowski, dawny premier i profesor miernictwa na Politechnice, zorganizował szkołę, aby dać zatrudnienie profesorom i wykładowcom Wydziału Inżynierii Politechniki. A Ponikowski był skoligacony z rodziną mojej Matki. Więc kontakt był oczywisty. Technikum początkowo mieściło się na Pankiewicza. Wchodząc tam, zupełnie niespodzianie natknąłem się na grupę moich kolegów ze szkoły podstawowej pani Chełmońskiej: Olgierda Kuzkego i Remiego Domańskiego. Olgierd pochodził ze spolonizowanej rodziny niemieckiej. Dziadek, rodowity Niemiec, miał pełne obywatelstwo reichsdeutscha. Spośród jego synów jedynie ojciec Olgierda opowiedział się za polskością i odrzucił wszelkie propozycje niemieckie. Wszyscy jego bracia podpisali volkslistę. Byli i czuli się Niemcami. To zaowocowało później tragicznymi wydarzeniami.

Spotkanie to miało dla mnie wielkie znaczenie. Olgierd i Remi mieszkali cały czas w Warszawie i po skończeniu szkoły powszechnej poszli do ewangelickiego gimnazjum Reja. Olgierd był ewangelikiem. Ale dlaczego Remi też się tam znalazł? Teraz weszli całą grupą do tego samego technikum co i ja. Zostałem włączony do ich grupy koleżeńskiej, złożonej z chłopców i dziewcząt. Kilka z nich było też dawnymi uczennicami Chełmońskiej – Zosia Cękalska, Krysia Ehrenkreutz, Marysia Hładki. Zaczęliśmy się widywać, chodzić na randki i prowadzić w miarę normalne

życie nastolatków w okupowanej Warszawie. Byliśmy bardzo młodzi i ciągle jeszcze pełni optymizmu. Chyba pierwszy raz w życiu miałem przyjaciół. Niestety, nie trwało to długo.

Nasze technikum szybko przeniesiono na Wspólną przy Chałubińskiego. A ponieważ myśmy też się przenieśli z powrotem na aleję Przyjaciół, to moja codzienna droga bardzo się wydłużyła. Chodziłem na piechotę wzdłuż Koszykowej do Emilii Plater, a następnie skręcałem we Wspólną. Wiosną przeniesiono nas do gmachu Wydziału Architektury na Koszykową. Tam czuliśmy się o wiele lepiej. Przeprowadzka była dość śmieszna. Nie istniały firmy przewozowe, a szkoła nie miała zresztą pieniędzy, więc wszystko nosili uczniowie – biurka, krzesła, szafy. Trwało to kilka dni i było zabawne patrzeć, jak chodzą procesje z krzesłami przez Emilii Plater i Koszykową. Wygłupialiśmy się setnie. Robiło się postoje, rozsiadając się na stołach na środku ulic. Było fajnie.

W tym budynku na Koszykowej ukończyłem liceum budowlane, tu otrzymałem dyplom technika budowlanego, a w sąsiednim pokoju wiele lat później odbierałem tytuł doktora i w tym samym gmachu uzyskałem tytuł doktora habilitowanego. Zabawne skojarzenia.

W listopadzie 1939 roku Hanka wyszła za mąż i przeniosła się do Dawid. Wtedy to była wieś. Nie było tam elektryczności! Żyło się przy lampach naftowych. Często tam jeździłem. Ale to była skomplikowana podróż. Jechało się tramwajem na koniec Puławskiej. Na rogu obecnej Wilanowskiej znajdował się dworzec kolejki grójeckiej. Wsiadało się w pociąg i jechało kilka przystanków do Grabowa. I dalej już na piechotę trzy kilometry do Dawid przez Krasnowolę. Ja na ogół jeździłem na rowerze, różnymi drogami wiejskimi, przez Wyczółki i Gorzkiewki, które wtedy były zwykłymi wsiami. W Dawidach po raz pierwszy dosiadłem konia. Tam pierwszy raz przeskoczyłem rów. I tam pierwszy raz wypadłem z siodła.

Józek miał samochód, chevroleta, którego garażował w Warszawie na podwórku domu swojej siostry na rogu Wilczej i Emilii Plater. Ale teraz jeździć samochodami Polacy nie mieli prawa. Józek postanowił więc przeciągnąć samochód końmi do Dawid. Żeby tam czekał na lepsze czasy. Przejazd miał się odbyć wieczorem, aby mniej zwracać uwagę. Przyjechały konie z wozem. Samochód przywiązano do wozu łańcuchem i ruszyliśmy w drogę. Fornal na wozie, a my z Józkem i Hanką w samochodzie. Przejechaliśmy całą Puławską w spokoju. Minęliśmy wyścigi i już widzieliśmy Grabów, gdzie mieliśmy skręcić na boczną drogę. I wtedy minął nas samochód. Zatrzymał się przed nami. Wyskoczyło kilku cywili. Niemcy z sąsiedniej wsi Nowej Iwicznej, gdzie mieszkało wielu volksdeutschów z rodzin dawnych osadników. Rozmowa była krótka i nawet bez krzyków. Po prostu odczepili samochód od wozu, przyczepili do swojego i odjechali. A my dokończyliśmy podróż końmi.

Do Dawid jeździłem również wcześniej, jeszcze przed wybuchem wojny Józek prowadził dużą oborę i sprzedawał mleko w Warszawie. Tak jak na innych obszarach, w Dawidach handel bydła znajdował się w rękach kupców żydowskich. Jednym z najważniejszych handlarzy w rejonie Piaseczna był Majdan. Bardzo sympatyczny, układny, ale w interesach twardy. Uczestniczyłem jako obserwator w różnych transakcjach. To były trudne negocjacje. Przyjeżdżało kilku kupców, ale szybko porozumiewali się ze sobą w jidysz i zostawał tylko jeden. On, który dyktował cenę. Solidarność kupców była nie do ruszenia. Konkurencja nie istniała.

Chociaż wiedzieliśmy, że Majdan nie jest uczciwy w interesach, to wszyscy go bardzo lubili. Gdy przyszli Niemcy, kupcy zniknęli. Nieco później przyjechała ciężarówka z jakimś towarem. Na niej przyjechał Majdan i kilku innych Żydów, którzy zostali w getcie wynajęci przez jakąś firmę jako robotnicy. Majdan był w świetnym humorze. Praca poza gettem stanowiła szansę na przeżycie. Podszedłem do niego na boku i zapytałem, czy mogę coś dla niego zrobić. Odpowiedział ze śmiechem, że niczego nie potrzebuje, że jest mu dobrze. Nic nawet nie chciał wziąć z żywności. Nie widziałem go więcej.

Zima 1939 roku była wyjątkowo sroga. Mrozy spadały do minus 30 stopni. Szczególnie trudno znosili to ludzie, których pozbawiono normalnych warunków do życia. Dotyczyło to przede wszystkim wysiedlonych z Poznańskiego i z innych terenów wcielanych do Rzeszy. Jedną z takich grup stanowili profesorowie i wykładowcy z Uniwersytetu Poznańskiego. Jako elita inteligencji byli szczególnie źle traktowani. Wyrzucano ich z ich mieszkań w ciągu kilku minut, nie pozwalając nic ze sobą zabrać, oprócz jednej walizki czy tobołka. A potem wysyłano do Generalnej Guberni i dalej musieli radzić sobie sami. Więc przywiezieni do Warszawy, tułali się bez odzieży, pieniędzy i jakiegokolwiek nadziei. Natknęła się na nich moja Matka, która zawsze była pierwsza do niesienia pomocy. Zorganizowała więc dla nich zbiórkę pieniędzy, ubrań i wszystkiego, co było potrzebne do życia. Należało działać legalnie. Zarejestrowała zatem w Radzie Głównej Opiekuńczej (jedyniej legalnej polskiej organizacji charytatywnej podczas okupacji) komisję opieki nad wysiedloną inteligencją. Nie można przecież było powiedzieć, że chodzi o profesorów! Tego Niemcy by nie znieśli. Spośród wysiedlonych utworzono zarząd, który koordynował działalność i rozdział pomocy. Cała praca opierała się na zaufaniu i przyjaźni. Podstawową rolę odgrywali profesorowie Roman Pollak, Adam Skalkowski i Władysław Kowalenko.

Opieka nad tą grupą stanowiła jedno z podstawowych zadań, jakie wyznaczyła sobie Matka. A to było zadanie trudne, bo nie wystarczało dostarczać im żywności. Należało ich usamodzielniać. Najłatwiej było z profesorami nauk ścisłych. Nawiązali kontakty z warszawskim środowiskiem nauczycielskim i zaczęli uczyć na tajnych kompletach i powstałym w Warszawie tajnym Uniwersytecie Ziemi Zachodnich.



Wysiedlenie Polaków z Wielkopolski – Kraju Warty w 1939 roku.
Bundesarchiv, R 49 Bild-0137

Przesiedleni Niemcy bałtyccy otrzymują w Kraju Warty domy po wysiedlonych Polakach
Bundesarchiv, Bild 183-E12315



Ale ciągle pozostawali ludzie, którzy nie mieli z czego żyć i którzy nie bardzo wiedzieli, jak to nowe życie organizować. Dotyczyło to przede wszystkim historyków i innych humanistów. Powoli jednak wszystkim się ułożyło. Niektórzy profesorowie dostali zaproszenia do majątków ziemskich, aby spisywać genealogię rodziny w zamian za utrzymanie. Sukces tej akcji był ogromny. W podzięce, już po zakończeniu wojny i odtworzeniu Uniwersytetu Poznańskiego, Matka otrzymała dziękczynny adres uchwalony i podpisany przez członków Senatu. Niestety, aresztowanie Ojca uniemożliwiło jej osobiste odebranie tego wyróżnienia.

Podczas pierwszego roku okupacji Niemcy sukcesywnie przykręcali śrubę. Pierwszym szokiem był nakaz noszenia przez Żydów opasek z gwiazdą Dawida. Ojciec odszukał starego Natansona, dawnego prezesa papierni w Mirkowie. Odnalazł go w jego kamienicy na Smolnej. Został już usunięty ze swego mieszkania, ale znalazł przytułek u swego dozorczy w jego stróżówce. Siedział na fotelu, w jakimś szlafroku, z długą rozczochraną brodą i opaską na rękawie. Obraz tragiczny, jeśli się wspomni jego pozycję w Jeziornie. Natanson nie wytrzymał tego szoku. Zmarł jeszcze tej zimy. Getto zostało mu oszczędzone.

Wielkim szokiem była masakra w Wawrze w święta Bożego Narodzenia. To wskazywało na kierunek polityki okupanta. W pierwszych dniach maja 1940 roku z naszego balkonu na Nowym Świecie widziałem pierwszą uliczną łapankę. Niemcy zablokowali skrzyżowanie z Alejami Jerozolimskimi i wszystkich ładowali na stojące ciężarówki. Patrzyliśmy na to, przyciskając się do muru, aby nas z dołu nie zauważyli. Podobno była to łapanka siły robotczej dla budowy obozu w Oświęcimiu.

Z wojennych frontów nadchodziły tylko złe wiadomości. Całą zimę czekaliśmy na wielką ofensywę aliantów na Zachodzie. Byliśmy pewni, że wiosna przyniesie zwycięstwo. Tymczasem kwiecień przyniósł klęskę w Danii i Norwegii, a maj i czerwiec katastrofę we Francji. Gdy po upadku Francji szliśmy z Ojcem Alejami Jerozolimskimi rano do biura, zapytałem, czy to już koniec wojny i czy Niemcy pozostaną u nas na zawsze. Ojciec mnie uspokoił. „Poczekaj, a zobaczysz, jak alianci zaczną wchodzić do Europy różnymi drogami” – powiedział. Jego wiara i pewność stanowiły dla mnie rękojmię, że tak się stanie. W najtrudniejszych momentach wracałem myślami do tej rozmowy i uspokajałem się. Ojciec nie mógł się mylić.

W okresie okupacji rola Ojca jako człowieka powszechnego zaufania nabrała specjalnego znaczenia. Przedsiębiorstwa musiały pracować. Nie wolno było ich zatrzymać. Dawały ludziom środki do życia i papiery chroniące przed wywózką do Niemiec. Oznaczało to jednak konieczność kontaktów z władzami okupacyjnymi, a często współpracę z firmami niemieckimi. Ludzie stawali wobec poważnych dylematów, co wolno, a czego nie wolno czynić. To były dylematy sumienia, często związane z zagrożeniem życia. Przychodzili więc z tymi problemami do Ojca,

by wskazał, co robić. Znał Niemców znakomicie, był swego rodzaju ekspertem od tego, jak z nimi postępować.

Początkowo Siła i Światło funkcjonowała prawie normalnie. Nadzorowane przez nią przedsiębiorstwa Niemcy pozabierali, ale Ojciec utrzymywał biuro. Pracowało w nim kilkunastu pracowników. Ojciec uważał, że firma ma obowiązek moralny o nich dbać. Do Siły należały jeszcze działki w Podkowie Leśnej i inne zasoby, które sukcesywnie sprzedawano, aby pokryć koszty. Była oparciem dla wielu ludzi, przykrywką dla różnych spraw i kontaktów. Chodziło też o utrzymanie instytucji. Spółka niczym nie dysponowała, więc Niemcy nie interesowali się nią. W innych firmach wprowadzali komisarycznych zarządców – treuhänderów. Dłuższy czas dawało się tego uniknąć. Aż któregoś dnia, to był już rok 1942 lub 1943, zjawił się znajomy sprzed wojny, hrabia Mycielski, i pokazał zarządzenie o utworzeniu zarządu komisarycznego oraz swoją nominację na to stanowisko. To był prawdziwy szok – jak taki człowiek mógł przyjąć taką rolę ze strony okupanta. Oczywiście on tłumaczył, że się tego podjął ze względu na ochronę Siły i Światła, bo Niemcy chcieli dać tu kogoś innego itd. Takie tłumaczenia były nagminne, gdy ktoś chciał usprawiedliwić decyzję o współpracy z okupantem.

Jesienią 1940 roku wróciliśmy do domu w alei Przyjaciół. Nasz duży chrysler przeżył obłączenie w garażu na Przyjaciół. Ale było oczywiste, że przechować go tam nie będzie można. George Golembiowski, mąż Lody Hałamy, który miał obywatelstwo szwajcarskie, zaproponował, że wywiezie samochód do Szwajcarii. Ojciec się zgodził, bo go znał wcześniej. Zawarto formalną umowę sprzedaży za symboliczną cenę. Golembiowski wyjechał, a gdy wrócił, przyszedł do Ojca i zapłacił sumę wymienioną w umowie, która przez ten czas, w wyniku inflacji, zbliżyła się do zera. Takie to interesy robiono, wykorzystując okoliczności.

Na lato przenieśliśmy się do Zarybia. Dom musiał teraz zarabiać, aby utrzymać rodzinę. Zaczęto więc wynajmować pokoje. Było bardzo wielu chętnych wśród przyjaciół i znajomych Rodziców. Skończyły się wyjazdy na wakacje, a ludzie potrzebowali oddechu poza miastem. Szczególnie dużo osób przyjeżdżało zawsze w soboty wieczorem, gdy wszyscy chcieli się odprężyć. Moje stanowisko było wtedy za barem. Było naprawdę wesoło i, co ważniejsze, przynosiło nam to dochody.

Ojciec zawsze myślał o rozwoju i chciał stworzyć stały hotel, który funkcjonowałby też po wojnie. Nastąpiła duża przebudowa domu. Powstało kilkanaście pokoi z umywalkami. Na wiosnę 1941 roku dom był gotów i liczba mieszkańców bardzo się zwiększyła. Ale Ojciec chciał więcej. Zaczął więc budować drugi pawilon. Wybudowano już piwnice, ale wtedy budowa stanęła i nigdy potem nie była kontynuowana. Jako uczeń technikum budowlanego przeszedłem na tej budowie pierwszą praktykę, ucząc się murowania ścian. I to jedyna korzyść z tego przedsięwzięcia. Okupacja stawała się coraz trudniejsza.



Jerzy Regulski w 1944 roku

7.

**Studia i okupacja
(1942-1944)**

R

ok 1942 był dla mnie przełomowym rokiem okupacji. Złożyło się na to kilka różnych spraw: rozpoczęcie studiów na podziemnej Politechnice, samodzielne życie w Warszawie (bo cała rodzina przeniosła się do Zarybia), zaostrzenie terroru okupacyjnego i moje zaangażowanie w konspirację. Wszystkie te wydarzenia stworzyły nowe wyzwania, którym musiałem sprostać. Czułem się już dorosłym. Skończyłem 18 lat.

Pierwszym wyzwaniem była dla mnie nowa szkoła. Ukończyłem technikum. Z dumą podpisywałem się jako technik na planie budynków gospodarczych w Zarybiu, który zrobiłem dla Ojca. Ale musiałem się uczyć dalej. Niespodziewaną szansą stała się dwuletnia Państwowa Wyższa Szkoła Techniczna, otwarta w głównym gmachu Politechniki i oparta na zespole profesorskim uczelni. Poszedłem na Wydział Inżynierii, kontynuując trochę przypadkowo wybrany kierunek. Nieźle przeszedłem egzaminy wstępne i zacząłem życie studenta. Było to życie podwójne, szkoła bowiem działała w dwóch zupełnie różnych wymiarach. Pierwszy, oficjalny, pod niemieckim dyrektorem realizował program dla takich trochę lepszych techników. Drugi, tajny, obejmował program normalnej Politechniki.

To była dziwna szkoła. Dyrektor – Niemiec. Profesorowie – Polacy. Studenci też. Cztery wydziały, ponad tysiąc młodych ludzi i w dodatku zaangażowanych w konspirację. Udają, że studiują szkółkę techniczną, a robią program Politechniki. Niemiecki dyrektor musiał się czegoś domyślać, ale przymykał oko. Wciąż zdarzały się aresztowania. Bywały naloty gestapo na szkołę, ale nieszkodliwe. Pamiętam jedną zabawną sytuację. Pośród różnych modeli i eksponatów przy gmachu fizyki stała stara armata. Koledzy bardzo się z nią lubili fotografować. Przy jednym z chłopców gestapo znalazło takie zdjęcie – wybuchła afera, przeprowadzono dochodzenie, na szczęście niegroźne: skończyło się wywiezieniem armaty przez Niemców.

Uczyły mnie sławy przedwojennej Politechniki Warszawskiej. Fascynujące były wykłady Mariana Lalewicza z historii architektury, który gładząc abakus doryckiego kapiteła, mówił, że przeżywa to tak, jak gdyby gładził ramię kobiety. Fantastycznie się słuchało, tylko że potem musieliśmy ten abakus wykreślić, przekroić i przeniknąć innymi formami geometrycznymi czy architekturnymi. To już nie było romantyczne, lecz bardzo wymagające i trudne. Świetnie wykladał Kazimierz Zarankiewicz. Jego wykłady z mechaniki teoretycznej pamiętam jako pełne swady i temperamentu. Wstrząsał swoją bujną siwą czupryną. Z tyłu głowy miał czarną kępkę włosów, tworzącą zabawną łatkę. Nazywaliśmy go, z wielką sympatią, „nasz łaciaty”. Nie stronił od anegdot i dowcipów. Kiedyś, gdy tłumaczył wpływ zmiany skali przedmiotu na jego istotę, powiedział, że przecież kanapa z szyną i kanapka z szynką to są dwie różne rzeczy, mimo że dokonano tylko zdrobnienia.

Każdy z profesorów tworzył swoją własną atmosferę. Wacław Paszkowski, jeden z najlepszych polskich żelbeciarzy, był nastawiony niesłychanie pragmatycznie. Został później moim promotorem i bardzo się lubiliśmy. Powtarzał mi ciągle: „Pamiętaj. Zaprojektujesz najwspanialszą konstrukcję świata i ją wykonasz. Ale potem nie dopilnujesz dekarza, pokaże się zaciek w kącie sufitu i wszyscy powiedzą, że nic nie potrafisz i że jesteś kiepskim inżynierem. Ludzie patrzą na detal, a nie na całość. To znacznie łatwiej krytykować i łatwiej pokazać swoją rzekomą mądrość”. Te słowa wspominałem wielokrotnie, gdy wielkie reformy państwa krytykowano z zupełnie nieistotnych powodów, które były „odkrywane” przez rzekomych specjalistów, atakujących to, co sami potrafili zrozumieć, a nie obejmujących istotnych celów i problemów wprowadzanych zmian.

Naszym postrachem był profesor Otto, prowadzący geometrię. Nie dał się nigdy nabrać. Mieliśmy na wydziale dwóch bliźniaków. Identycznych. Uczyli się tylko połowy kursu, wzajemnie zastępując się na egzaminach, nawet ustnych. Aż trafiła kosa na kamień, czyli na Ottę. Wezwał ich na egzamin obu jednego dnia. Wziął pierwszego indywidualnie na przesłuchanie. A kiedy wychodził, złapał go za rękę i piórem zrobił krechę na dłoni, aby nawet w drzwiach nie mogli się zamienić. Pech bliźniaków polegał na tym, że ten pierwszy zdawał nie za siebie, tylko za tego drugiego. I bardzo dobry stopień zarobił ten, który mało co umiał, a ten rzeczywiście mądry dostał ledwie dostatecznie.

W zespole nauczającym byli też starsi inżynierowie, których wiedza opierała się na doświadczeniach sprzed wielu lat. Uczyli nas np. wzorów na siłę pociągową zaprzęgów konnych, bo za ich czasów tylko koń ciągnął. Pamiętam, jak jeden z inżynierów, którzy kończyli jeszcze carskie szkoły, opowiadał, że jego ojciec, też inżynier, budował kolej transsyberyjską. „Panie – mówił, przeciągając z rosyjska – to był bogaty człowiek, miał trzy kochanki, wszystkie w brylantach!”

Profesorowie chcieli wykształcić nas na pełnych inżynierów. Ale jak to zrobić, jeśli do dyspozycji były tylko dwa lata i brakowało laboratoriów i wielu podstawowych pomocy? My też chcieliśmy zaliczać program Politechniki. Ale to po prostu nie było możliwe. Pracowałem po kilkanaście godzin dziennie, jednak nie byłem w stanie opanować całego materiału. Musiałem ustalić priorytety. Jak zawsze pociągała mnie praktyka, więc postanowiłem, że najważniejsze są dla mnie przedmioty praktyczne. I te programy realizowałem solidnie. Studia pochłaniały mi dużo czasu. Najgorzej wspominam kreślenie. Wówczas obowiązywała zasada, że inżynier musi umieć kreślić. Trzeba więc było kreślić dziesiątki arkuszy, pełnych wykresów i schematów. Musiało to być wykreślone pięknie i opisane jasnym, czytelnym i ładnym liternictwem, co wymagało wielu godzin pracy. Mój pragmatyzm nie akceptował takiej straty czasu, gdy brakowało go na rzeczy, według mnie, ważniejsze. Więc nie miałem sukcesów kreślarskich, ale jakoś zaliczałem.

Całe godziny pochłaniały obliczenia. Liczyło się na piechotę, z pomocą ręcznie kręconych maszynek na cztery działania. A litanie równań do rozwiązania przy projektowaniu bardziej złożonych konstrukcji to były nieskończone długie. Udało mi się wypożyczyć z biura Siły i Światła cud ówczesnej techniki, arytmmetr elektryczny. Opanowałem go wyśmienicie, reagując nie tylko na jego wskazania, ale nawet na głos. Oszczędzałem dzięki temu wiele czasu i budziłem zazdrość u kolegów.

W szkole wspomagaliśmy się wzajemnie, oszukując profesorów, jak się dało. Studencka pomysłowość nie zna granic. Na jeden z najdziwniejszych sposobów wpadłem sam. Starszy inżynier sprawdzał listę, więc musieliśmy chodzić na zajęcia. Ale potem wskazywał palcem i wywoływał do odpowiedzi na oko, a nie według listy. Więc trzeba było być na początku, a potem zniknąć, żeby nie zapytał. Ćwiczenia odbywały w małej salce na pierwszym piętrze, obok głównego wejścia. Za oknem znajdował się parapet szeroki na półtora metra. Więc jak pan inżynier sprawdził listę i odwracał się do tablicy, to ja wskakiwałem na okno, wyłączyłem na zewnątrz na parapet i rozkładałem inną robotę. Kiedyś inżynier zainteresował się nawet, kto siedzi za oknem, ale mu koledzy powiedzieli, że to ktoś z innej grupy. Jakoś te ćwiczenia zaliczyłem. Miałem 100 procent obecności i żadnej dwóji. Zawsze z rozrzwinieniem patrzę na ten parapet, gdy przechodzę koło Politechniki.

Ale to wszystko nie wystarczało. Byłem dobry ze wszystkich przedmiotów technicznych. Kochałem statykę. Rozumiałem konstrukcje stalowe i żelbet. Ale geometria analityczna stała się dla mnie nie do przebycia. Z wykresną jakoś szło, choć z trudem. Z matematyką straciłem kontakt na poziomie całek i różniczek. Nie miałem żadnych szans, by ją zdać. Ale jak ukończyć Politechnikę, nie zaliczywszy matematyki? Zbawienna okazała się nasza koleżeńska spółdzielnia. Wykłady odbywały się w nie istniejącym już dziś wielkim audytorium na pierwszym piętrze głównego gmachu.

Tam też odbywały się egzaminy pisemne. Mieliśmy opracowany system wzajemnej pomocy. Z tyłu znajdowały się dwa wejścia i balkon, dało się też dostać pod podłogę amfiteatru. A w podłodze były dziury. Więc jakimś cudem pozdawałem wszystkie egzaminy. I z tych przedmiotów, które lubiłem, i z tych, których nie bardzo rozumiałem.

Miałem wtedy, chyba jedyny raz w życiu, grupę zaprzyjaźnionych kolegów. Było nas dziewięciu i stanowiliśmy silny zespół, wzajemnie się uzupełniając. Przyjaźniłem się przede wszystkim z Olgierdem Kuzkiem. Remi Domański po uzyskaniu dyplomu technika budowlanego przeniósł się na tajną szkołę medyczną i został później znanym lekarzem. Blisko byłem też z Włodkiem Jentschem i jego kuzynem Mietkiem Więckowskim oraz parą kuzynów z Ożarowa: Stefanem Machlejdem, synem komisarza policji, oraz Gutkiem Gottschalkiem. Po nazwiskach widać, że pochodzili z rodzin imigracyjnych i prawie wszyscy przeszli przez ewangelickie gimnazjum Reja. Do naszej grupy należał też trochę starszy kolega Janek Sztuke, który zaczął jeszcze studia przed wojną. Niestety, historia rozbiła tę grupę. Nasze życiorysy skrzyżowały się w biegu tylko na krótko i niebawem życie pokierowało losem każdego z nas inaczej.

Pierwszy odszedł Olgierd Kuzke. Gestapo aresztowało go w maju lub czerwcu 1944 roku. Przyszli też po Włodka Jentscha, ale nie złapali go. Więc musiał się zapaść gdzieś pod ziemię. Olgierd podobno został bardzo szybko rozstrzelany na Palmirach. Zaraz potem zaczęło się powstanie i z większością nie zobaczyłem się już nigdy.

Wielokrotnie zastanawiałem się, co mi dały studia. Życie i moje zmieniające się zainteresowania spowodowały, że wielokrotnie zmieniałem wykonywane zawody. Umiejętności nabyte w czasie studiów przydawały mi się bardzo krótko. Ale czy studia były całkiem nieprzydatne? Podczas tych studiów nauczyłem się przede wszystkim inżynierskiego realizmu, logicznego myślenia, myślenia opartego na faktach i świecie rzeczywistym. Trzeba się podporządkowywać prawom fizyki i w ich ramach szukać właściwych rozwiązań, bo w technice nie ma miejsca na myślenie życzeniowe i naginanie rzeczywistości do własnej wizji świata. Tą zasadą kierowałem się wielokrotnie później, gdy przyszło mi uczestniczyć w zmianach organizacji państwa. Zawsze się koncentrowałem na tym, co mogę zmienić. I zawsze starałem się dostosować do tego, czego zmienić nie mogłem. Niestety, tej oczywistej zasady często politycy nie respektują.

Inżynier buduje struktury, które muszą być stabilne i wytrzymać wszelkie negatywne zewnętrzne oddziaływania. Tak jak budowla ma być stabilna, tak też każda instytucja, konstrukcja prawna czy gospodarcza musi przetrwać działanie sił, które chciałyby ją zniszczyć. Musi być przygotowana do konfrontacji z kryzysami i wrogimi zachowaniami. Trzeba je umieć przewidywać, budować konstrukcje

i mechanizmy zapewniające jej wewnętrzną siłę, aby się mogła obronić. Należy zapewniać zgodne działanie wszystkich jej elementów. W istocie zarówno w konstrukcjach budowlanych, jak w projektowaniu instytucji społecznych i mechanizmów gospodarczych obowiązują te same zasady.

Fascynowała mnie statyka, a szczególnie rozkład sił w złożonych konstrukcjach. Czasami stawiałem krzesło na jednej nodze i zastanawiałem się, jak pracują jego poszczególne części, które w takiej sytuacji były jednocześnie ściskane, zginane, skręcane i ścinane. Lubiłem przesuwac obciążenia na projektowanych kratownicach i analizować, jak się zmieniają siły w ich poszczególnych elementach. Było dla mnie fascynujące odkrywać te długie łańcuchy wzajemnych związków i powiązań, które powstawały w wyniku zmieniających się układów sił zewnętrznych. I stwierdzać, że rzeczywiste zagrożenia powstawały wcale nie tam, gdzie się mogłem spodziewać, ale w zupełnie innych miejscach, często bardzo oddalonych, gdzie następowało skumulowanie negatywnych zjawisk, przenoszonych przez różne łańcuchy przyczyn i skutków.

Myszę, że właśnie dzięki tym studiom nad kratownicami łatwiej mi było potem zrozumieć złożoność wielkich systemów, jakimi są miasta, i programować reformy funkcjonowania organizmów społecznych i instytucjonalnych, mając na względzie te łańcuchy wzajemnych powiązań i sprzężeń. I poszukiwać punktów potencjalnych zagrożeń, które mogą występować i zniszczyć efekty wprowadzanych zmian.

* * *

Wróćmy jednak do dawnych lat. Aleja Przyjaciół znalazła się w dzielnicy niemieckiej. Od początku 1942 roku, a nawet wcześniej, Niemcy zaczęli przejmować kolejne mieszkania. Byliśmy jednymi z ostatnich, bo mieszkanie było za duże na potrzeby normalnych pracowników niemieckich. W końcu jednak znalazł się zainteresowany. Stiegler – austriacki przedstawiciel BMW, kierujący zakładem na Okęciu – przejął mieszkanie jako świetlicę załogi BMW, ale tak było tylko w teorii. W rzeczywistości zajął z żoną tylko nasze pokoje dziecinne na piątym piętrze, a mieszkanie podstawowe pozostawił nam. Zamieszkałem w pokoju Ojca. Hanka, która się rozwiodła w tym czasie, też tu mieszkała, gdy była w Warszawie. Dom prowadziła Runia.

Cała rodzina przeniosła się do Zarybia. Tam żyło się nieporównywalnie łatwiej. Mieliśmy całe gospodarstwo do dyspozycji, więc o jedzenie nie musieliśmy się martwić. A dom przynosił dochody. Po przebudowie znajdowało się w nim około 20 pokoiów sypialnych. Kilka zajmowaliśmy my, ale ogromna większość została wynajęta.

W lecie 1942 roku przeżyliśmy pierwsze mocne uderzenie gestapo. Aresztowano mojego stryja Józefa. To był niezwykle odważny człowiek. Nie wiem, w co się zaangażował. Po osadzeniu na Pawiaku też działał na rzecz innych. Został sanitariuszem i wykorzystywał tę funkcję jako listonosz grypsów i organizator przepływu informacji. Potem zesłano go do Auschwitz, a jeszcze później do Mauthausen. Uwolniony przez Amerykanów, ważył 48 kilogramów. Wrócił do Polski w 1945 roku, żeby poznać swoją córeczkę Urszulkę, która się w międzyczasie urodziła. Po aresztowaniu stryja zarząd gospodarstwa przejął Feliks Offierski, uciekinier z Poznańskiego, na którym ciążył wyrok niemiecki. Na rolnictwie trochę się znał. Studiował je na Uniwersytecie Poznańskim przed wojną. Pracował bardzo efektywnie, a jednocześnie dowodził lokalną placówką przyjmowania zrzutów alianckich. Ale o tym za chwilę.

W lecie 1942 roku zorganizowaliśmy zawody sportowe. To była jakaś próba odwracania się od rzeczywistości i na przekór wszystkiemu poszukiwania radości życia. Powstały dwie drużyny. Nasza, zarybska, do której przyłączyła się młodzież z sąsiedniej części Podkowy i Młochówka, w tym też nasza sąsiadka Maria Kwaśniewska, brązowa medalistka w rzucie oszczepem z olimpiady berlińskiej. Jako profesjonalistce nie pozwolono jej brać udziału w konkursie lekkoatletycznym, grała tylko w drużynie siatkówki. Drugą była drużyna Lilpopów, która wystąpiła pod nazwą Flegminek, nawiązującą do młodego Lilpopa, znanego ze swej flegmy. Reprezentowali Podkowę Zachodnią. Dołączyły do niej Marysia i Teresa Iwaskiewiczówny ze Stawiska.

Tutaj mała dygresja. Podkowa powstała jako spółka Siły i Światła, Banku Spółek Zarobkowych oraz Stanisława Lilpopa, który był właścicielem folwarku Wilhelmów, zajmującego teren późniejszej Podkowy. Jego jedyna córka Anna wyszła za mąż za Jarosława Iwaskiewicza wbrew opinii ojca. Iwaskiewicz był kimś obcym w tej rodzinie i serdecznie nielubianym. Nie miał wystarczających dochodów, był więc na utrzymaniu teścia, co powodowało dodatkowe napięcia. Stary Lilpop postanowił odseparować się od zięcia. Przekazał Iwaskiewiczowi dom w Stawisku oraz swoje udziały w Podkowie Leśnej. Iwaskiewicz zaczął nimi dysponować i z nich się utrzymywać. To spowodowało kontakty biznesowe z Siłą i Światłem. Ale Ojciec mój nie chciał mieć kontaktów towarzyskich z Iwaskiewiczem – miał o nim nie najlepszą opinię. Opinia ta pogłębiła się w latach komunizmu, gdy Ojciec i nasza rodzina znaleźli się na czarnej liście, a Iwaskiewicz głosił chwałę systemu i odgrywał rolę wyroczni w sprawach kultury i literatury reżimowej.

Ale wróćmy do naszej Olimpiady 1942. Przez kilka tygodni w każdą sobotę i niedzielę odbywały się zawody. Sędzią głównym został mój Ojciec. Byli kapitanowie obu drużyn, asystenci, sędziowie poszczególnych konkurencji i cały aparat liczący punkty. Konkurencje były dziwne, dostosowane do warunków, chęci i umiejętności. Mieliśmy więc pływanie na stawach w Żółwinku, siatkówkę, skoki wzwyż i w dal,

rzut kulą, czyli kamieniem, zawody rowerowe, mecz krykieta i mnóstwo innych. Ja występowałem razem z Andrzejem Głowczewskim i Rysiem Majewskim w drużynie rowerowej. Mieliśmy trzy konkurencje. Kilkusetmetrowy sprint aleją w Stawisku, cross-country w Zarybiu oraz zawody zręcznościowe. Najzabawniejsze były właśnie te ostatnie. Objeżdżało się kilka razy w kółko klomb przed domem, wykonując różne zadania. Za każde dotknięcie nogą ziemi leciały punkty karne. Leciały też za niewykonanie wyznaczonych, i to wcale nie łatwych zadań. Na przykład trzeba było, przejeżdżając między stolikami, poprzestawiać na nich butelki, przesiąść się na drugi rower, podnosić coś z ziemi. Najtrudniejsze zadanie to rozebranie się na rowerze – należało zdjąć trzy części garderoby: jakąś kurtkę, koszulę i spodnie. Nie dotykając nogą ziemi! A na koniec przejeżdżało się pod altaną i przez pociągnięcie sznura wylewało się sobie cały kubek wody na głowę. Śmiechu było co niemiara.

W końcu wygrała drużyna Flegminka, ale tylko jednym punktem, więc przegraliśmy honorowo. Oni też odebrali puchar ufundowany przez Ojca. Było dla mnie wielką satysfakcją, gdy po wielu latach spotkałem jednego z naszych ówczesnych przeciwników, który mi powiedział, że ma ten puchar u siebie w domu.

Mieszkałem w Warszawie w alei Przyjaciół razem z Hanką, jeśli była w stolicy. Zaangażowała się po uszy w konspirację w Narodowych Siłach Zbrojnych (NSZ). Nie wiem, jak ona tam trafiła. Zdaje się, że dodatkowym bodźcem był jej dowódca, major Piotr, z którym się bardzo lubili. Przyjacielem Piotra był Zygmunt – dziwna, ale i frapująca postać. Jak się po wojnie dowiedzieliśmy, nazywał się Pisarzewski. Był Żydem i członkiem NSZ. Osobliwe połączenie, ale okazuje się, że wszystko jest możliwe. Razem z Zygmuntem robili najdziwniejsze operacje, zjawiali się o dziwnych porach dnia, a czasami i nocy. W domu mieliśmy magazyn jakichś papierów i materiałów. A także powielacz i ciągle coś się kręciło. Głównym magazynierem była nasza Runia. Dawaliśmy jej jakieś paskudztwa do schowania i mówiliśmy: „Schowaj. Jak cię złapią z tym, to cię powieszają”. A ona brała i gdzieś chowała. Potem mi powiedziała, że jej najlepszy schowek był w rynnicy sąsiedniego domu, gdzie mieszkali Niemcy. Wkładała tam papiery z naszego balkonu.

Mieszkanie w samym środku dzielnicy niemieckiej łączyło się z niebezpieczeństwami. Któryś z Niemców mógł się do nas przyczepić przy jakiegokolwiek okazji. Mieszkaliśmy przecież przy samej siedzibie policji kryminalnej na św. Teresy (obecnie Ministerstwo Sprawiedliwości) i w pobliżu alei Szucha. Pewne momenty były naprawdę niepokojące. Na przykład podczas sowieckiego nalotu na Warszawę Niemcy oszaleli. Biegali po ulicy, strzelali. Patrzyli, czy okna są zaciemnione. Gdyby któremuś z nich przyszło do głowy poszukać Polaków, to nasz los mógłby być fatalny.

Hanka zaproponowała mi wejście do NSZ. Zgodziłem się bez żadnych zahamowań. Było dla nas oczywiste, że każdy Polak powinien gdzieś się zaangażować, aby uczestnicząc w podziemnym państwie, spełniać swój obowiązek obywatelski. Wielokrotnie rozmawialiśmy o tych sprawach w domu. Opinia Ojca zawsze miała dla nas największe znaczenie. A Ojciec był pragmatykiem, zdolnym do zimnej oceny, opartej na realnej sytuacji. Uważał, że działalność polskiego ruchu oporu jest potrzebna i państwo podziemne musi istnieć, aby organizować społeczeństwo. Było to konieczne wobec narastających zagrożeń. Sądził jednak, że polska działalność podziemna nie ma, bo nie może mieć, wpływu na wynik wojny. A więc podstawowy wysiłek powinno się włożyć w przetrwanie i ograniczenie zniszczeń Polski. Nie chodziło jedynie o zniszczenia materialne. O sile kraju decydują ludzie, więc trzeba w jak największym stopniu zachować ich potencjał i kształcić młodzież, aby być gotowym do podjęcia pracy nad odbudową po zakończeniu okupacji. To, jak uważał Ojciec, było moim głównym obowiązkiem wobec Polski. Przynależność do podziemnej armii stanowiła oczywisty obowiązek, ale uważał, że nie powinienem nadmiernie angażować się w akcje podziemia. „Priorytet to nauka i przygotowanie do odbudowy kraju” – powtarzał. Uważał, że przyszłość Polski będzie rozstrzygana po okupacji, a nie w czasie wojny.

Myślę, że właśnie w tych latach kształtowały się zasady, którymi później kierowałem się w życiu. Moi amerykańscy przyjaciele mówili, że jestem *goal-oriented* – zorientowany na cele. To chyba dobre określenie. Zawsze starałem się sobie wyznaczać cele, a wśród nich priorytety, na których koncentrowałem wysiłki, odsuwając na dalszy plan inne sprawy. Czasami moi przyjaciele mieli do mnie pretensje, dlaczego nie zajmuję się tą czy inną sprawą – przecież to takie ważne. W odpowiedziach bywałem nawet brutalny. „Tak, to ważne – mówiłem – ale ja się tym zajmować nie będę”. Nieraz się obrażali. Ale ja wiem, że jak się chce coś zrobić, to trzeba skoncentrować wszystkie dostępne siły na wybranym zadaniu. Nie wolno ich rozpraszać. Trzeba umieć powiedzieć „nie”. Zawsze mnie denerwowało, gdy ludzie pracują w jodelkę. To znaczy idą najpierw wzdłuż głównego toru, ale nie potrafią się go trzymać i zaczynają schodzić na tory boczne, w boczne gałązki. W końcu gubią się w nadmiarze słusznych celów.

Ojciec też zaangażował się w konspirację. Ale miał specyficzną sytuację i bardzo określone poglądy. Przede wszystkim był wielkim autorytetem i z jego zdaniem wszyscy się liczyli. Ze względu na wiek już nie nadawał się do działań czysto wojskowych. Miał do nich zresztą ambiwalentny stosunek. Chciał myśleć o przyszłości i odbudowie kraju. Bardzo negatywnie odnosił się do polityków dawnego obozu piłsudczykowski. Uważał ich za nieuków. Źle oceniał też naszych dowódców wojskowych. Świeże doświadczenia 1939 roku w pełni tę ocenę uzasadniały. Wielu

Na następnej stronie: Ojciec w Zarybiu, 1942



uważał za bufonów przekonanych o swej wiedzy i inteligencji, ale w rzeczywistości o niskim poziomie intelektualnym i, przede wszystkim, o braku poczucia odpowiedzialności. Przykłady dowódców, którzy pozostawiali swoje armie i dywizje, szybko się ewakuując na tyły, były w powszechnej pamięci. Zdarzały się oczywiście wyjątki. Wysoką renomę miał u niego np. Rowecki. To był człowiek otwarty, który rozumiał zmieniający się świat i nowoczesną technikę. Mało kto pamięta, że był twórcą i dowódcą drugiej naszej brygady zmotoryzowanej. Gdy wybuchła wojna, brygada Roweckiego była jeszcze w fazie organizacji, ale odegrała rolę w walkach, chociaż została rozbita nad Wisłą.

Ojciec głęboko wierzył w ostateczną klęskę Niemiec i myślał przede wszystkim o przyszłości. Obawiał się, żeby nie powrócił do władzy obóz sanacji. A gdy słuchało się głosów z Londynu, tego się wykluczyć nie dało. Walka w łonie emigracyjnego rządu była ostra i nikt nie wiedział, jak zostanie rozstrzygnięta. Dziś się o tym nie pamięta. Ojciec utrzymywał kontakty z Delegaturą Rządu i Komendą Główną AK, ale nie chciał wejść w żadne struktury, które ograniczyłyby mu swobodę myśli i działań. A wówczas istniały różne alternatywy. Wiele grup dyskutowało o przyszłym ustroju. Ojciec włączył się wraz z innymi przedstawicielami świata przemysłu do organizacji, która przyjęła nazwę Służba Cywilna Narodu i w ramach której zajmował się koncepcją przyszłej organizacji gospodarczej kraju. Była to grupa związana z ruchem narodowym, a swoje koncepcje opierała na założeniu o koordynacji działań państwa i prywatnej gospodarki. Państwo miało wspierać przedsiębiorców w realizacji podstawowych celów, ale nie ingerować w gospodarkę bezpośrednio.

Myślę, że istotną rolę we wciągnięciu Ojca do tej organizacji odegrał Jerzyk Iłłakowicz¹³, jedna z bardziej aktywnych osobistości politycznych Grupy Szańca¹⁴ i NSZ. Rodzina Iłłakowiczów, właściciele majątku Łaziska w Lubelskiem, była skoliigacona z rodziną żony mego stryja, a moja Matka przyjaźniła się z żoną Jerzyka, Renią – wybitnie piękną kobietą, polską Matą Hari. Osoba o nieprawdopodobnej odwadze i zaangażowaniu, była aresztowana przez gestapo. Udało się spowodować jej zesłanie do Majdanka, co miało ją uchronić przed śledztwem i torturami na Szucha. Stamtąd została wykradziona przez kolegów przebranych za gestapowców. W 1943 roku jej ciało znaleziono na Polu Mokotowskim. Została zastrzelona, prawdopodobnie przez bojówkę komunistyczną.

Na następnej stronie: Irena Iłłakowiczowa w scenie „Motocykl”, 1937. Fot. NAC

¹³ Jerzy Iłłakowicz (1908–1984) – działacz ONR, członek Grupy Szańca oraz Komitetu Wykonawczego Organizacji Polskiej (tajnego kierownictwa Szańca), szef Centralnego Wydziału Finansowego NSZ. Na przełomie lat 1944–1945 przedostał się na Zachód. Zmarł w USA.

¹⁴ Grupa Szańca – grupa polityczna utworzona w październiku 1939 przez działaczy przedwojennego ONR celem kontynuowania działalności w warunkach konspiracyjnych. Jej trzon stanowiła tajna Organizacja Polska, a organem prasowym był „Szaniec”, wydawany w latach 1939–1945.



Wstąpiłem do NSZ i byłem skierowany do podchorążówki. Nie interesowała mnie jakakolwiek działalność polityczna. Uczestnictwo w organizacji wojskowej uważałem za swój obowiązek. Na politykę nie miałem ani ochoty, ani czasu. Uczestniczyłem w szkoleniu wojskowym i po roku zdałem egzamin. Zostałem starszym strzelcem podchorążym i mianowano mnie dowódcą drużyny chłopców w internacie na Senatorskiej. Zacząłem z nimi szkolenia, ale to już była wiosna 1944 roku i wiele nie zrobiliśmy.

Organizowano też dla nas wykłady polityczne. Niektóre spotkania były ciekawe. Wtedy po raz pierwszy zetknąłem się z dyskusjami o ustroju państwa i o problemach społecznych. Żądanie granicy na Odrze i Nysie Łużyckiej bardzo nam się podobało. To było proste i oczywiste. Natomiast rozważania ustrojowe były dla nas trudno zrozumiałe. I abstrakcyjne. Sugestie, aby głowa państwa nosiła tytuł Piasta, przyjmowaliśmy z uśmiechem. Nie bardzo chwytałyśmy sens ustroju korporacyjnego, na wzór tego, jaki w Portugalii stworzył Salazar. Nie byliśmy do takich dyskusji przygotowani, więc puszczaliśmy te rozważania mimo uszu.

Natomiast sugestie jakiejś formy monopartii wydawały się nam wówczas interesujące. Żyliśmy pod okupacją. Było jasne, że po wojnie trzeba będzie wykonać gigantyczną pracę nad odbudową kraju. Potrzeba zorganizowania wspólnego wysiłku całego społeczeństwa wydawała się oczywista. Wierzyliśmy w powszechną dobrą wolę, a nasza wiedza na temat zasad i zagrożeń demokracji była właściwie bliska zeru.

NSZ opierały się na ideologii przedwojennego ONR, partii nacjonalistycznej i antysemickiej. Hasło „Polska dla Polaków” nadal więc w tych wykładach podtrzymywano, chociaż zmieniły się okoliczności, a tym samym treść tego hasła. W roku 1943 nikt nie śmiał podnosić haseł antysemickich. Holocaust był w pełnej realizacji, a powstanie w getcie właśnie upadło. Byliśmy pod zbyt silnym wrażeniem tego zbiorowego morderstwa i własnej bezsilności, aby mu przeciwdziałać. Przedwojenne problemy polsko-żydowskie odeszły w przeszłość, przestały istnieć. Nie wracano w naszych spotkaniach do nich. Natomiast pojawiła się sprawa ukraińska. Zjawiali się ludzie, którzy w walkach na Wschodzie uczestniczyli. I ona stawała się głównym problemem w dyskusjach dotyczących mniejszości.

Te wszystkie wykłady i koncepcje w warunkach okupacji to była zupełna abstrakcja. Ale szkolenia dawały okazję do dyskusji i to się liczyło. Nie wydaje mi się, aby nas wychowywano na nacjonalistów. Chcieliśmy po prostu wolnej Polski i po to byliśmy w organizacji wojskowej. A że trafiliśmy do NSZ, to właściwie przypadek. Szło się tam, gdzie miało się kontakt przez przyjaciół, a mało kto był tak zorientowany w polityce i przywiązany do jakichkolwiek programów. A zmieniać organizację nie było łatwe i miało zawsze posmak nielojalności w stosunku do kolegów.

W czasie podchorążówki otarłem się o śmierć. Na szkolenia używaliśmy w niedzielę biura Siły i Światła na Marszałkowskiej. Mieliśmy do dyspozycji cały duży lokal, wiele pokoi i nawet przeciwpożarowe skrzynie z piaskiem, które wykorzystywaliśmy jako modele terenu. Latem 1943 roku w niedzielę rano wracałem z Zarybia do Warszawy na zbiórkę. Jako materiał do nauki dostałem schemat pistoletu z opisem instrukcji. Miałem go przywieźć z powrotem. Ubierając się rano, długo się zastanawiałem, gdzie tę instrukcję schować. Kładłem do buta, za skarpetkę, ale jakoś mi to nie pasowało. Wkładałem w różne miejsca i wyjmowałem i nie mogłem się zdecydować. Pierwszy raz przeżywałem takie niezdecydowanie. W końcu wziąłem książkę, obłożyłem gazetą i pod jedną z okładek włożyłem instrukcję. Wsiadłem do kolejki. Zająłem miejsce z przodu wagonu, zaraz za przedziałem dla Niemców. Kolejka ruszyła, a ja spokojnie zacząłem czytać książkę. Nagle za Otrębusami pociąg stanął. Cały skład otoczyła żandarmeria. Weszli wszystkimi drzwiami. „Nie ruszać się!” Wejściem naprzeciwko mnie wszedł młody oficer. Od tyłu szli cywile, wszystkich legitymując i rewidując. Oficer dłuższą chwilę czekał. Ale ponieważ tamci posuwali się powoli, to zaczął sam działać. Byłem najmłodszy, więc zaczął ode mnie. Najpierw musiałem okazać dowody tożsamości. Potem zaczął mnie macać. Oczywiście złapał za skarpetki i kazał buty zdjąć. Później wziął moją książkę i patrząc mi w oczy, zaczął odwijać gazetę. Zdjął jedną okładkę – tę, pod którą nic nie było. A potem rzucił mi książkę na kolana, nie zaglądając dalej. Gdy zbliżyli się cywile, powiedział: „Ja już ich sprawdziłem”. Wysiedli. Kolejka ruszyła. Nie wiedziałem, co się stało, ale jestem przekonany, że ten oficer musiał wyczuć przez gazetę, że pod nią był schowany inny papier. Najwyraźniej nie chciał go znaleźć. Jestem pewien, że uratował mnie świadomie.

Życie w Warszawie stawało się coraz trudniejsze. Niebezpieczeństwo czyhało wszędzie. Kiedyś przechodziłem Mokotowską przez skrzyżowanie z Piękną, a tu jakieś blokady. Żandarmeria. Ciężarówka. Strzały. Starłem się jak najszybciej zniknąć. Okazało się, że kilka domów dalej, na murze wypalanej ambasady niemieckiej przy Piusa, przeprowadzano uliczną egzekucję więźniów z Pawiaka. To wydarzenie utkwilo mi w pamięci, bo to była pierwsza egzekucja. Później takie sprawy spowszedniały. Egzekucje się powtarzały, a uliczne łapanki, strzały, pościgi stały się codziennością. Zaczęliśmy się przyzwyczajać do niebezpieczeństw, niepewności i stałego zagrożenia. Ciągle ktoś ginął. Ludzkie życie traciło na wartości. Stało się to dramatyczną normą.

Któregoś dnia poszedłem odebrać zamówione zdjęcia legitymacyjne do zakładu fotograficznego na Marszałkowskiej koło Żurawiej. Otwieram drzwi, a w środku pełno Niemców. Gestapo przeprowadza rewizję. Zamarłem. Natychmiast dwóch się przy mnie znalazło. Wciągnęło do środka i zamknęło szybko drzwi, aby z zewnątrz nikt nie widział, co się dzieje. Na szczęście nic ze sobą nie miałem. Sprawdzili tylko kwit,

z którym przyszedłem. Roztrzęsionym właścicielom kazali mi wydać zdjęcia i wypuścili. Mam to zdjęcie schowane do dziś. A przecież w tzw. kotłach ten, kto wszedł, bywał na ogół aresztowany i szczegółowo sprawdzany. Rzadko wypuszczany. Mnie się udało.

Narastał dramat getta. Jeździłem pod jego murami tramwajem ulicą Chłodną, pod mostem, który łączył Małe i Duże Getto. Widziałem tłumy Żydów przelewające się przez ten most, aż Małe Getto stało się tak małe, że już nie graniczyło z Dużym. Jeździłem też Okopową i widziałem stojące w oczekiwaniu na możliwość przekroczenia „aryjskiej” ulicy konduktu pogrzebowe odprowadzające zmarłych na cmentarz. Stali często godzinami, aż policja zamykała ruch na Okopowej, pomagając oczekujących wrzaskiem, aby szybko przewieźli ciała. Pewnego dnia nasz tramwaj zatrzymano i ze zgrozą obserwowałem to straszne pohańbienie elementarnych praw ludzkich.

Podczas powstania w getcie słup dymu i ognia palącego się miasta bił w niebo przez trzy tygodnie. Byliśmy wszyscy wstrząśnięci tym dramatem i własną bezradnością. Przejeżdżałem kilkakrotnie przez plac Krasińskich na Żoliborz i widziałem to opisane w wierszach wesołe miasteczko. Pod murem stały jakieś budy i karuzele. Ale kręciły się tylko w oczach poety. Stały opuszczone, bo przecież pod ten mur każdy bałby się podejść. To groziło zastrzeleniem. Mury getta były otoczone strefą bezpieczeństwa, której granic nikt nie odważyłby się przekroczyć. Licentia poetica w tym przypadku przekroczyła granice rozsądku.

Pensjonat w Zarybiu dawał dobre przykrycie dla różnych form konspiracji. Mieśliśmy nawet na przechowaniu Anglika, który uciekł z obozu. Z tymi Anglikami był straszny kłopot. Oni uciekali i oczekiwali od Polaków pomocy. Ale nie zdawali sobie sprawy ze stopnia zagrożenia. Jemu groziło powtórne zamknięcie w obozie jenieckim, gdzie nie było Anglikom bardzo źle. Polaków za pomoc jeńcom rozstrzeliwano. Wiele osób poniosło śmierć przez taką głupotę i niefrasobliwość.

Nasz administrator, Janek Tessmer (czyli Feliks Offierski), został dowódcą komórki przyjmującej zrzuty. Cały zespół pracowników gospodarstwa był zorganizowany jako jeden oddział. W noc zrzutów wyjeżdżały nasze i inne wozy konne na wyznaczone miejsce. Tam przyjmowano zrzuty, a załadowane na wozy kontenery wieziono nocą pod zbrojną obstawą czasami aż kilkanaście kilometrów do różnych magazynów. Zarybie było jednym z nich. Kontenery chowano w słomie i powoli rozładowywano, przepakowywano w mniejsze paczki i wywożono sukcesywnie do odpowiednich miejsc. W budynkach zarybskich zawsze można było znaleźć dziwny sprzęt, raczej nie nadający się do robót rolnych – skrzynki granatów, moździerze, pistolety.

Mieszkańcy Warszawy obserwujący płonące getto
Warszawa stolica Polski, Społeczny Fundusz Odbudowy Stolicy, wyd. II, Warszawa 1949



Most nad ul. Chłodną łączący dwie części getta, luty 1942. Fot. NAC

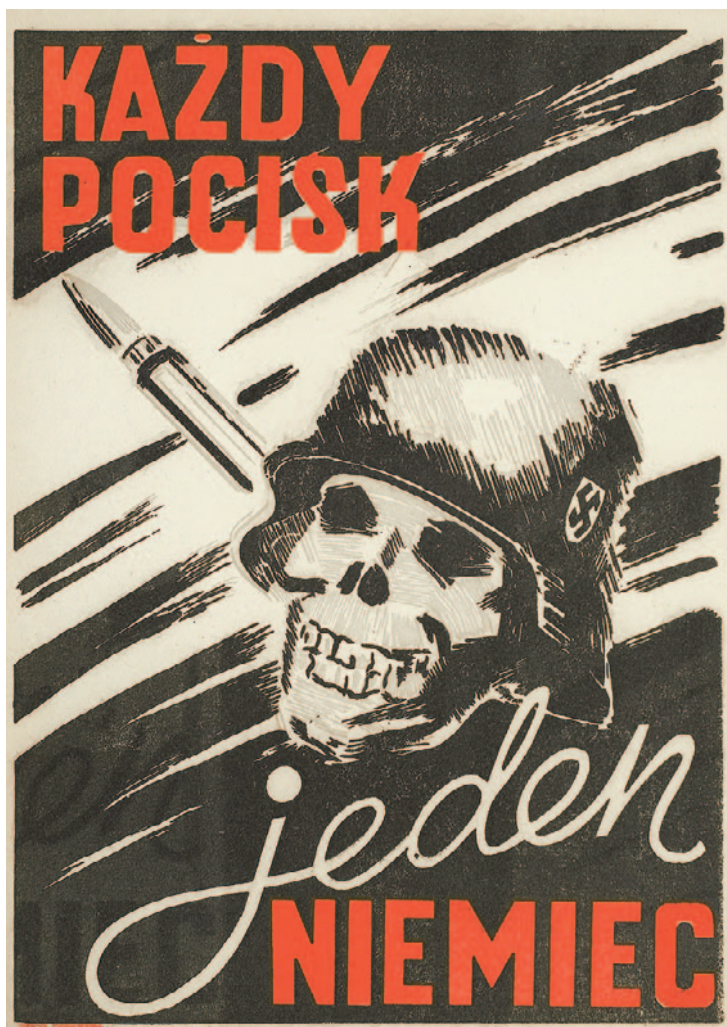
Na następnej stronie:
mieszkańcy Warszawy obserwują płonące getto, 1943,
w : *Warszawa stolica Polski*, 1949



Razem z Hanką bardzo chcieliśmy wziąć udział w odbiorze zrzutu. Janek musiał uzyskać na to zgodę swoich przełożonych. W końcu uzyskał. Mieliśmy odbierać zrzut w listopadzie 1943 roku. Któregoś wieczora zatelefonowano do mnie z Zarybia. Rozkaz był wyraźny: „Idź spać do ciotki!”. Nic nie rozumiałem, ale o nic się nie pytałem, tylko przeniosłem się na noc do dawnej stróżówki, w której na parterze mieszkała nasza kuzynka Zofia Malewska. Dopiero nazajutrz dowiedziałem się szczegółów. Gestapo chciało aresztować Stanisława Froelicha. Mieszkał w Podkowie i tam przyjechali po niego, ale go nie zastali, bo akurat był u nas w Zarybiu. Wtedy Niemcy się podzielili. Część została, a dwóch wybrało się do nas. Chyba nie zdawali sobie sprawy z odległości, bo taki ponadkilometrowy spacer po nocy, w lesie, nie oświetlonymi ulicami stanowił poważne ryzyko. Kiedy doszli do Zarybia, byli solidnie przerażeni. I tu się rozpoczął ciąg wydarzeń jak w filmie gangsterskim. Zaczęli się dobijać do drzwi, głośno krzycząc. Usłyszała to moja Matka, która natychmiast wypuściła Froelicha tylnym oknem do ogrodu. Pobiegł w noc, ale zamiast schować się w krzakach i przeczekać najście, poleciał do swego domu i tam wpadł prosto w ręce oczekujących gestapowców. Wkrótce zginął w ulicznej egzekucji na Puławskiej. Krzyk Niemców usłyszała też nasza kucharka. Ponieważ Janka Tessmera nie było w domu, wbiegła do jego pokoju, żeby zobaczyć, czy nie ma tam czegoś trefnego. Niemiec stojący przed domem zobaczył, że się zapaliło i zgasło światło. Gdy weszli do domu, to natychmiast polecili do tego pokoju i zaraz spod łóżka wyciągnęli pistolet. I wtedy zaczęli się bać na dobre. Była noc, wielki dom, mnóstwo kręcących się osób, pistolet, a ich tylko dwóch, oddalonych od swoich o co najmniej kilometr. Wycofali się jak najszybciej. Ale spisali dane Janka i rozkazali, aby natychmiast stawił się w gestapo. Tymczasem Janek poszedł po Hankę na stację kolejki, aby ją przyprowadzić do Zarybia. Nie poszli jednak główną drogą, ale boczną, równoległą do niej, aby nikogo nie spotkać. Właśnie tą ulicą szli Niemcy z Zarybia i natknęli się na nich. „Ręce do góry!” Obszukali Janka, ale nie wylegitymowali. Ucieszyli się, że nie stanowił dla nich zagrożenia, i poszli, nie zapytawszy o nazwisko. Gdyby zapytali, to Janek by już pewno nie żył, bo nie sądzę, aby chcieli go aresztować i po nocy prowadzić. Trzeba było działać natychmiast. Przede wszystkim zmobilizowano wszystkie siły i wywieziono całe magazyny broni na pola, gdzie je pozakopywano w ziemi. Dopiero po paru tygodniach zaczęła się ich ewakuacja. Janka wysłano gdzieś spać i czekano, czy przypadkiem Niemcy nie wrócą w większej sile. Nie wrócili. Następnego dnia rozpoczęły się starania, aby sprawę jakoś utopić. Ktoś z konspiracji załatwił Ojcu wizytę w gestapo. W tym czasie były różne drogi kontaktów. Poszedł i zwałił wszystko na Janka. Niemcy jakoś to tłumaczenie przyjęli. Pamiętam, że z Matką czekaliśmy na jego powrót w małej kawiarence na rogu Koszykowej i 6 Sierpnia. Wrócił. Ale na kilka tygodni wyjechaliśmy całą rodziną do Rokotowa pod Sochaczew, majątku Wacka i Anety Dąbrowskich. Janek zaś wyjechał do partyzantki. Przeżył wojnę, ale niestety zaraził

się jakąś złośliwą chorobą od krowy, której pomagał się ocielić. Skróciło mu to znacznie życie.

Ale wróćmy do szkoły. Budynki były nieopalone, brakowało węgla. W czasie mrozów ogłaszano przerwę i wtedy nadrabialiśmy zapóźnienia. Natomiast w lecie nie było wakacji. Zakończenie studiów miało nastąpić we wrześniu 1944 roku. Nie wiedziałem, co będę robić dalej. W końcu lipca dano nam tydzień wolnego, aby przygotować się do końcówki. Myślę, że ta przerwa była związana z wydarzeniami na froncie, który zbliżał się do Warszawy. Niemców ogarniała panika. Pojechałem do Rodziców do Podkowy i tam dostałem ciężkiej grypy. 30 lipca poszedłem do łóżka. A 1 sierpnia w Warszawie zaczęło się powstanie...



Plakat powstańczy, 1944

8.

Powstanie warszawskie
i koniec okupacji
(1944-1945)

W

witrynie księgarni Gebethnera na rogu Sienkiewicza i Zgody wystawiona była mapa terenów wschodnich, na której czerwony sznur obrazował przemieszczanie się Niemców w głąb ZSRR. Przesuwano go przez 1941 i 1942 rok. Potem się zatrzymał, aż wreszcie mapę zlikwidowano – bo zaczął się odwrót. Front zaczął iść na zachód i nieuchronnie zbliżał się do nas. Gdy był daleko, wszyscy interesowali się jedynie kwestią, jak przeżyć. Teraz coraz częściej stawiano pytanie: „Co będzie dalej?”.

W lecie Rosjanie wkroczyli na niekwestionowane polskie ziemie. W lipcu front był już tuż-tuż. Napięcie dochodziło do zenitu. W Zarybiu dyskusjom nie było końca. Atmosfera trochę jak na Titanicu. Poczucie pełnego zagrożenia, a jednocześnie ogromna chęć życia. Ja byłem wtedy dwudziestolatkiem. Mówiono, że przystojnym. A wśród naszych lokatorów było wiele pań nieco starszych, ale pełnych temperamentu. A noce były gorące.

Każdy trochę inaczej myślał o przyszłości i do niej się szykował. Ojciec miał spotkanie z Borem w końcu lipca. Wrócił i powiedział, że Bór mu oświadczył, iż powstania nie będzie. Ojciec bardzo pozytywnie to ocenił. Uważał, że powstanie udać się nie może, a przyczyni się do strat, które będą nie do odrobienia. Nie widział żadnych szans, aby dzięki powstaniu Polska mogła cokolwiek uzyskać na scenie politycznej. Matka do powstania się szykowała. Była zaangażowana w służbę pomocniczą Pomoc Żołnierzowi. Panie miały przygotować kuchnię i zaopatrzenie dla walczących. Hanka chodziła swoimi ścieżkami i nic o jej planach nie wiedziałem. Ja się specjalnie nie angażowałem w przygotowania. Robiłem swoje na Politechnice,

gdzie zbliżałem się do finału. Ale było oczywiste, że muszę zniknąć z alei Przyjaciół. Pozostawanie w dzielnicy niemieckiej było nie do pomyślenia.

Ostatnie dni lipca były gorące. Gdy Czerwoni z całym impetem szli naprzód, Niemców ogarnęła prawie panika. Ze wschodu na zachód przez miasto toczyły się pojazdy, wozy, ciężarówki. Stiegler z naszego mieszkania wyjechał w popłochu. Wcześniej wysłał swoją żonę, a teraz wyjechał sam, zabierając naszą dawną pokojówkę, która służyła jako dozorczyńni. Była ładną blondynką.

Ale nagle wszystko się zmieniło. Ruch przez miasto się odwrócił. Kolumny znów ruszyły na wschód. Nie bardzo wiedzieliśmy, co się dzieje, ale stało się jasne, że Niemcy zaczęli opanowywać sytuację. I wtedy wybuchło powstanie...

1 sierpnia koło trzeciej po południu Ojciec spokojnie wsiadł do kolejki i wrócił z Warszawy do Zarybia, przekonany, że powstania nie będzie. Ja leżałem z grypą w łóżku. Matka i Hanka zostały w mieście. Matkę wybuch zastał na placu Napoleona, w mieszkaniu pani Potworowskiej. Została tam parę pierwszych dni, usiłując zorganizować kuchnię żołnierską. Na początku to się udało. Ale wkrótce kuchni już nie było. Przeniosła się na Złotą przy Żelaznej, do Hanki, która wylądowała w kompanii „Warszawianka II”, broniącej Domu Kolejowego na Żelaznej. Tam przetrwały do końca powstania w tragicznych warunkach, gdyż Matka przeszła ciężkie zapalenie płuc i tylko cudem wyzdrowiała. Los pani Potworowskiej był tragiczny. Przeniosła się do domu Wedla na Zgody i tam wraz z całą rodziną Wedłów zginęła pod gruzami zawałonej kamienicy.

W Zarybiu zostaliśmy z Ojcem i z naszą kuzynką Janką odpowiedzialni za całą gromadkę naszych dziadków. Widzieliśmy słup dymu nad miastem. Dochodziły wieści o masakrach. Nie wiadomo było, co się dzieje z najbliższymi. Kiedyś Ojciec wrócił wstrząśnięty z pola. Wraz z dymem nadleciał z Warszawy jakiś nadpalony strzępek, chyba z książeczki do nabożeństwa. Ojciec z trudem odczytał: „módlcie się za nami”. I strzępek rozpląnął mu się w rękach.

Jedna z pierwszych pokazała się w Zarybiu Runia. Była na Przyjaciół. Niemcy natychmiast wyciągnęli wszystkich Polaków i zagnali na Szucha. Tam zrobiono selekcję. Mężczyzn rozstrzelano. Kobiety wygoniono na szosę w kierunku Raszyna. Runia przez tydzień podróżowała na piechotę, podwożona furmankami, aż dotarła do kolejki i nią do Podkowy w fatalnym stanie. O Matce i Hance wiadomości nie było. Ojciec wziął jakieś zaświadczenie od miejscowego oddziału Rady Głównej Opiekuńczej i zgłosił się do obozu w Pruszkowie, przez który Niemcy ewakuowali ludność warszawską. Oświadczył, że jest przedstawicielem Podkowy i ma za zadanie przejmować tamtejszych mieszkańców, którzy przypadkiem znaleźli się w Warszawie. Udało się. Dostał stałą przepustkę i prawo do chodzenia po obozie. Komendantem obozu był miłośnik safari: wspomnienia Ojca z Afryki i jego nieskazitelny niemiecki pomogły mu uratować z obozu wielu ludzi.

Ja rządziłem domem, gdy jego nie było. Janka zarządzała jedzeniem. A ludzi przybywało w strasznym tempie. Przychodzili znajomi i nieznajomi. Coś trzeba było z nimi robić, bo przecież nie można ich było odprawić od drzwi. Więc najpierw lokowaliśmy ich po wolnych pokojach. Ale zaczęli się też pokazywać lokatorzy, którzy te pokoje wynajmowali właśnie po to, aby mieć schronienie w takiej sytuacji. Parter domu zamieniliśmy więc na jedno wielkie legowisko. Przyniesiono masę słomy, którą wyłożono podłogi, i na niej ludzie spali. W końcu i na niej zabrakło miejsca. W domu w pewnej chwili mieszkało około 200 osób. Nikt zresztą naprawdę nie wiedział ile. Nie wystarczyło jednak dać komuś schronienie. Przecież ci ludzie nie mieli co jeść. Większość była przez nas żywiona. W wielu przypadkach prosiliśmy jedynie, aby w zamian za tę pomoc pomagali nam w domu albo w gospodarstwie. Prowadziłem nawet jakiś rejestr. Reakcje były bardzo różne. Jakaś nauczycielka angielskiego dawała mi lekcje. Inne osoby chodziły w pole, żeby coś zbierać. Inne pomagały w kuchni i porządkach domowych. Ale były i takie, które czuły się obrażone i nic robić nie chciały.

Minął sierpień, zaczynał się wrzesień. Sytuacja powstania stawała się beznadziejna. Zrzuty alianckie nie mogły mieć na nią wpływu. Kiedyś obserwowaliśmy wielki rajd dzienny lecący ponad Zarybiem nad Warszawę. Samoloty leciały powoli i statecznie, w otoczcze wybuchających pocisków artylerii przeciwlotniczej. To robiło wrażenie. Niemcy też nie próżnowali. Podkowa i okolice stały się wielkim zgromowieniem ludności z Warszawy i potencjalnym zagrożeniem. Próbowali więc wywozić ludzi gdzieś dalej i zaczęli łapanki. Wszyscy, którzy mieli warszawskie kenkarty (wydawane przez Niemców dowody tożsamości), ryzykowali, że będą wywiezieni na roboty do Niemiec, a w każdym razie jak najdalej od Warszawy. Ten los spotkał naszą Runię, którą gdzieś złapali, wsadzili do pociągu towarowego, wozili kilka dni po Gubernatorstwie, aż wraz z innymi starszymi osobami wyrzucili ją za Krakowem, w Kalwarii Zebrzydowskiej. Wróciła po przeszło tygodniu.

Zagrożenie dla młodszych było znacznie większe. Mieliśmy też kontrole i łapanki w Zarybiu. Kiedyś, gdy przyszli, uciekłem do lasu i tam przesiedziałem, aż sobie poszli. Moja legitymacja szkolna z Warszawy byłaby dowodem, że nie mam co robić w Podkowie i że przede wszystkim powinienem jechać na roboty do Niemiec. Nadawałem się świetnie – miałem 20 lat! Żeby mieć jakikolwiek dokument, zostałem zarejestrowany jako pracownik gospodarstwa Zarybie. Dostałem legitymację ze starostwa w Sochaczewie. Jednak Ojciec uznał, że nie można ryzykować i że powinienem wyjechać. Zdecydowaliśmy, że pojedę do Częstochowy, do tamtejszej Komendy Okręgu NSZ. Ale przedtem Jerzyk Iłakowicz zaprowadził mnie do ogrodu i złożył mi propozycję przystąpienia do tajnej organizacji politycznej, która kierowała Grupą Szańca. Nazywała się Organizacja Polska i, jak się później dowiedziałem, miała cztery poziomy wtajemniczenia. Oczywiście zaczynałem od poziomu najniższego: „S” – Sekcja.

Zostałem zaprzysiężony i byłem gotów do wyjazdu. Miałem zamieszkać u państwa Rządzkowskich. On był dyrektorem Banku Handlowego w Częstochowie i bliskim znajomym Ojca jeszcze z lat przed pierwszą wojną w Łodzi. Pojechałem w końcu września. Zostałem przyjęty przez Rządzkowskich i stałem się etatowym pracownikiem Komendy Okręgu NSZ. Powierzono mi funkcję adiutanta komendanta, którym był Stanisław Kasznica¹⁵.

Mała dygresja na temat podróżowania. Warszawski węzeł kolejowy nie funkcjonował. EKD chodziła tylko do jednego z przystanków podwarszawskich, a w drugą stronę do Milanówka i Grodziska. Podróż do Częstochowy miała więc wiele etapów. Najpierw kolejką do Grodziska. Tam przesiadka na podmiejski pociąg do Skierniewic, gdzie można było się przesiąść na jedyny pociąg pospieszny w Gubernatorstwie, który przez Częstochowę szedł do Krakowa. Odcinek między tymi miastami przebiegał przez tereny włączone do Reichu, więc jechał bez żadnego przystanku, obstawiony przez żandarmów. Ale największy problem polegał na tym, by do tego pociągu wsiąść. To było jedynie kilka wagonów raz na dzień, a chętnych tysiące. Walka zaczynała się już w Grodzisku. Gdy podstawiano pociąg, ruszał szturm. Przebyłem tę trasę pięć razy. Raz w Grodzisku w ogóle nie dostałem się do wagonu. Siadłem między wagonami na jakiejś desce opartej na zderzakach i rozparłem się na nich nogami. Siedziało się całkiem wygodnie, ale nie wytrzymałem napięcia nerwowego. Nogi miałem w powietrzu i między nimi, metr niżej, przesuwaly się tory i ziemia. Nie mogłem się ruszyć, ciągle bałem się, że wpadnę między wagony. Dojechałem do Żyrardowa i przeniosłem się na stopień wagonu. Było znacznie gorzej. Stałem i trzymałem się uchwytów w drzwiach. Słupy przy torach przesuwaly się bardzo blisko za moimi plecami. Było zimno, bo przewiewał mnie wiatr, ale dało się jechać.

W Częstochowie państwo Rządzkowscy przyjęli mnie miło. Zamieszkałem w ich mieszkaniu na piętrze, nad biurami Banku Handlowego przy Piłsudskiego, prawie naprzeciwko dworca. Zostałem zaproszony do stołu jak członek rodziny. Nocowałem w wielkim salonie, który był miejscem zamieszkania wszystkich gości. W każdym kącie ktoś koczował, prowadząc swoje własne gospodarstwo.

Zgłosiłem się do komendanta. Zostałem skierowany do komórki przerzutów. Zjawiało się mnóstwo ludzi, których przierzucaliśmy do partyzantki, do Brygady Świętokrzyskiej NSZ. Nasza komórka mieściła się na Katedralnej. Ludzie zgłaszali się

¹⁵ Stanisław Kasznica (1908–1948) – prawnik, polityk i wojskowy, działacz ONR–ABC, członek Tajnej Organizacji Polskiej. Odznaczony Krzyżem Virtuti Militari za kampanię wrześniową 1939. Podczas okupacji jeden z przywódców Grupy Szańca i Związku Jaszczurczego, członek Służby Cywilnej Narodu, dowódca okręgu częstochowskiego, a następnie poznańskiego NSZ. W latach 1945–1947 komendant główny NSZ. Aresztowany przez UB, skazany na śmierć. Wyrok wykonano w więzieniu mokotowskim w Warszawie.



Stanisław Kasznica po aresztowaniu. Fot. AIPN

z hasłami, a my wskazywaliśmy im następne punkty kontaktowe na drodze do lasu. Musieliśmy tę całą masę warszawiaków jakoś rozlokować i pochować po oddziałach partyzanckich. Wielu z nich miało lewe papiery i znajdowało się na listach osób poszukiwanych przez Niemców. Bardzo różni to byli ludzie. Pamiętam młodzieńkiego księdza, gdzieś z Wołynia czy spod Lwowa. Przedstawił się jako Mróz. Blondynek, który uzbroił całą swoją wieś (mieli kilka cekaemów), otoczoną wsiami ukraińskimi. Opowiadał mi: „Jak kiedyś Ukraińcy przyszli i zamordowali nam kilku ludzi, to myśmy im za to spalili parę wsi”. Ale gdy Ukraińcy znów zaatakowali, musieli uciekać. Schowali się w lesie i zorganizowali obóz partyzancki. A potem przebijali się do Polski. Poszedł do Brygady, a później z nią na Zachód.

Następnie zostałem adiutantem komendanta. Była to funkcja bardziej odpowiedzialna. Przyjąłem wówczas pseudonim „Jacek”. Kasznica mieszkał przy ulicy Koziej. Biuro Komendy założyliśmy niedaleko, na ulicy Warszawskiej, w małym żółtym budyneczku na pierwszym piętrze. Pracowałem z dwiema łączniczkami. Szczególnie miła była Krysia...

Był to okres częstych konsultacji kierownictwa NSZ i kierownictwa politycznego Grupy Szańca. Przyjeżdżali różni ważni ludzie, których musieliśmy obsługiwać. Ojciec kiedyś pojechał do Krakowa na rozmowy i wracając, zatrzymał się w Częstochowie.

Należałem do osób zaufanych i mogłem ich spotykać. I trochę słuchać, o czym rozmawiają. Poznałem wtedy Zygmunta Broniewskiego¹⁶, komendanta głównego NSZ, a także inne osobistości, np. Michała Poboche, komendanta okręgu warszawskiego, z którym mnie później los złączył w więzieniu. Prowadzono rozmowy na temat strategii NSZ po wejściu Armii Czerwonej na ziemie polskie. Było oczywiste, że NSZ zostaną uznane za jednego z głównych wrogów. Zdecydowano więc o skonsolidowaniu wszystkich oddziałów partyzanckich w ramach Brygady Świętokrzyskiej i podjęciu próby ewakuacji na Zachód. Również niektórzy z liderów mieli próbować przedostać się tam na lewych papierach, aby trafić pod okupację zachodnich aliantów. Natomiast struktury organizacyjne w kraju miały przejść do głębszej konspiracji. Chciano w tym celu poprzetrzucać ludzi i wykorzystując możliwość objęcia organizacją Wielkopolski i Śląska, Kasznica wraz ze swą komendą miał się przenieść do Poznania. Kierunki tych działań były oczywiste, dylematy sprowadzały się do decyzji, kto będzie się przedzierał na Zachód, a kto zostaje na miejscu. Rzecz jasna, rozwiązania wymagały także sprawy techniczne. A one były bardzo skomplikowane.

¹⁶ Zygmunt Broniewski (1890–1949) – ziemianin, właściciel majątku Garbów między Lublinem a Puławami. W czasie okupacji komendant okręgu lubelskiego Związku Jaszczurczego i NSZ. W latach 1944–1945 komendant główny NSZ. W 1945 roku wycofał się w ślad za Brygadą Świętokrzyską NSZ na Zachód. Dowódca Polskich Oddziałów Wartowniczych, utworzonych w Niemczech z żołnierzy NSZ. Zmarł na emigracji we Francji.

W październiku i listopadzie sytuacja trochę się uspokoiła. Warszawiacy jakoś się zainstalowali. Fronty stały i życie zaczęło się stabilizować, choć było bardzo dalekie od tego, co się uważa za normalność. Niemcy nie podejmowali żadnych spektakularnych akcji. Starali się tylko utrzymać spokój. No i zaopatrywać swój kraj w siłę roboczą. Na ulicach były stałe kontrole, wylapujące ludzi bez pracy i bez odpowiednich papierów. Ja się legitymowałem delegacją z Zarybia jako pracownik, który przyjechał po zakupy. Kilka razy mnie legitymowali i jakoś się udawało.

Zostałem też skierowany do środowisk młodzieżowych. W mieście było mnóstwo młodzieży, która nie wiedziała, co robić, a robić coś chciała. Próbowaliśmy organizować jakieś wykłady uniwersyteckie i kluby dyskusyjne, bo to nie był moment na działania wojskowe. Niewiele z tego wyszło, ponieważ już było za późno. Grudzień, Święta, a zaraz potem ofensywa radziecka. Miałem też za zadanie przygotować ileś mieszkań na wypadek dalszych potrzeb. Zanurzyłem się w środowisko pośredników i wynajmowałem, ile się dało. A nie było to łatwe, bo niemal wszystko, co nadawało się do zamieszkania, było już zajęte. Trochę kwater znalazłem, ale się okazało, że już nie są potrzebne. W połowie grudnia spotkała mnie całkowita niespodzianka. Dostałem nominację oficerską na podporucznika NSZ. Było to dla mnie duże wyróżnienie i dowód uznania dla mojej pracy.

W listopadzie pojechałem do Zarybia. Zobaczyłem Matkę, która uciekła z transportu ewakuującego ludność cywilną. Była w złym stanie, ale żyła i to się liczyło. Hanka poszła do obozu z wojskiem. Przychodziły od niej później okazjonalne wiadomości o przesuwaniu jej coraz głębiej do Niemiec. Chorowała, ale udało się jej przeżyć. Jeszcze raz odwiedziłem Zarybie na święta Bożego Narodzenia. Była Wigilia, a następnego dnia w naszym stołowym odbyło się święto dla miejscowego oddziału Wehrmachtu. Niemcy złożyli nam propozycję nie do odrzucenia, że nie mają odpowiednio dużej sali i u nas zorganizują sobie święto. Powiesili na ścianie swastykę i przyszli w kilkudziesięciu na bardzo smutne Święta. Wszyscy już przecież wiedzieli, czym to się skończy, a oni nie tylko utracili swoją butę, ale byli po prostu bardzo zmęczonymi ludźmi. Wszystko przebiegło grzecznie i bez żadnych dysonansów. Nadchodziły inne czasy.

Wróciłem do Częstochowy i poszedłem na Warszawską. Na parterze zatrzymali mnie mieszkańcy. „Proszę tam nie iść. Tam nie ma nikogo!”. Nie przejąłem się tym w pierwszym momencie. Wiedziałem, gdzie są klucze, i mogłem sam wejść. „Niech pan tam nie idzie! Byli Niemcy. Zabrali pannę Krysę!” Spadło to na mnie jak grom z nieba. Zakręciłem się, wyszedłem i przez pół godziny kręciłem się po małych uliczkach, żeby sprawdzić, czy nikt mnie nie śledzi. Poszedłem do komendanta. Rzeczywiście, był nalot. Krysia została aresztowana. Podjęto próby jej odnalezienia, aby jej pomóc. Nie wyglądało to źle. To nie była sprawa gestapo, tylko jakaś akcja policyjna. Jednak nigdy nie dowiedziałem się niczego o jej dalszych losach. Po dwóch tygodniach na froncie ruszyła ofensywa i wszystko się zawaliło.

Wiadomość o kolejnej ofensywie nas zelektryzowała. Front na Wiśle runął. Warszawa zajęta, Niemcy w pełnym odwrocie. Czekaliśmy, co się stanie dalej. Któregoś wieczora strzały artyleryjskie stały się słyszalne. Wieczorem do miasta wjechała z rozpędem grupa czołgów, które szarżowały aleją Najświętszej Marii Panny w stronę Jasnej Góry. Nie doszły daleko. Wszystkie zostały rozbite i spalone na odcinku kilkuset metrów za mostem nad torami. Nastął spokój. Południowa część miasta znajdowała się już w rękach Sowietów, podczas gdy obszar za torami był ciągle niemiecki. Nasz bank mieścił się między nimi. Czekaliśmy przez całą noc, nie śpiąc, w pełnym napięciu. Rano był już spokój. Niemcy się wycofali i Sowietci zajęli całe miasto. Ale dwa dni później przez jedno z przedmieść przemaszzerował duży oddział niemiecki, który odcięty od swoich, starał się do nich dołączyć. Przeszedł spokojnie, bez walki.

Rano wyszedłem na miasto zobaczyć, co się stało i co się dzieje. Widok rozbitych czołgów w alei był straszny. Na ulicy leżały trupy. Największe wrażenie zrobił na mnie trup czołgisty starającego się wyrwać z palącego się czołgu. Wisiał wywieszony do połowy z wieżyczki. Spalony, potwornie zniekształcony, przypominał jakiś szary, bezkształtny wór. Najbardziej przejmujące były jego ręce, wyciągnięte w poszukiwaniu ratunku. Poszedłem do naszego lokalu. Teraz już Niemcy nie grozili. Na Garibaldiego grupa sowieckich żołnierzy otaczała jakiegoś Niemca. Było ich z dziesięciu Azjatów ze skośnymi oczami. Niemiec, wysoki, górował nad nimi. Szarpali go na wszystkie strony, zdzierając z niego, co się tylko dało. A on stał zupełnie bezwolny, całkiem zdesperowany. Gdy pół godziny potem wracałem tą drogą, Niemiec już nie żył. Leżał pod murem zastrzelony, bo już nie był potrzebny. I nic nie było do zrabowania. Dziwna była ta Armia Czerwona. Nie widziałem zwartych maszerujących oddziałów. Widziałem albo grupy czołgów lecących do przodu, albo jakieś grupy przypominające raczej dezertów niż regularną armię. Kiedyś widziałem mały wózek zaprzężony w biednego konika, z obdartym żołnierzem w środku, który jechał samotnie na Zachód. Po co? Tego nikt nie wie.

Łaziliśmy po budynkach opuszczonych przez Niemców. Przypadkowo natknęliśmy się na grupę Żydów, którym udało się przetrwać jako więźniowie czy robotnicy przy jednej z fabryk częstochowskich. Byli przerażeni i nie mogli wyjść z szoku. Pierwsze godziny na wolności, pierwsze godziny bez stałego zagrożenia śmiercią. Chciałem z nimi nawiązać kontakt, porozmawiać, pomóc. Ale to było niemożliwe. Krzyczeli na mnie i machali rękami, wypychając z pomieszczenia, które uznali za swoją warownię. Oni też musieli wrócić do człowieczeństwa po okresie, gdy nie byli traktowani jak ludzie. Potrzebowali czasu.

W najbliższą niedzielę poszedłem na Jasną Górę. Gdy po mszy w kaplicy z cudownym obrazem zaśpiewaliśmy „Boże, coś Polskę” i „Ojczyznę wolną pobłogosław, Panie”, to nie było osoby, która by nie płakała. Po pięciu latach niewoli i stałego

zagrożenia śmiercią zaświtało światło w tunelu. Niestety, szybko zgasło. Ale ta msza, ta pieśń, ten nastrój pozostaną w mojej pamięci jako jedno z najsilniejszych przeżyć. Gdy więc dzisiaj, w 2013 roku, słyszę na Krakowskim Przedmieściu śpiew: „Ojczyznę wolną racz nam wrócić, Panie”, to ogarnia mnie daleko idące obrzydzenie. Obrzydzenie do tych polityków, którzy z niskich pobudek, dla swoich interesów podważają wolność, jaka została nam dana, i którzy podważają największą wartość, jaką jest własne państwo, tylko dlatego, że obywatele nie chcą, aby oni nim rządili. Jest mi żal ludzi, którzy dają się ogłupiać. Ale na myśl mi przychodzą słowa z Ewangelii: „Wybacz im, bo nie wiedzą, co czynią”. Oni nie wiedzą albo już zapomnieli, co to znaczy niewola.

Kilka dni później nastąpiła likwidacja Okręgu. Postanowiono się ewakuować, bo było jasne, że komuniści mają nas rozpracowanych i wyłapią natychmiast. Dostałem polecenie udania się do Podkowy w celu przekazania informacji i nawiązania łączności, a potem miałem dołączyć do Kaszniczy do Poznania. On pojechał bezpośrednio z Częstochowy. Zebraliśmy dokumenty do metalowej skrzyni. Zakopaliśmy ją w piwnicy jednego z domów po zachodniej stronie Warszawskiej, na samym jej początku. Niestety, nie zapisałem jego numeru. Przekazałem później tę informację prezydentowi Częstochowy, ale bez efektów. Domy przez te następne blisko pół wieku pozmieniały się bardzo.

Wyruszyliśmy w stronę Warszawy wraz z łączniczką Toską. Wyszliśmy na szosę i staraliśmy się złapać jakąś okazję. Przede wszystkim liczyliśmy na ruskie ciężarówki. Ale po odstaniu paru godzin ruszyliśmy na piechotę. Wzdłuż drogi szedł jeden długi szereg ludzi. Warszawiacy. Uszliśmy tego dnia około 20 kilometrów. Pod wieczór zaczęła się strzelanina. Jakaś potyczka z zagubionymi oddziałami niemieckimi. W popłochu wycofaliśmy się i weszliśmy do domku nieopodal drogi. Przyjęto nas gościnnie, dano jeść, pozwolono spędzić noc. Była zima. Spaliśmy na słomie na podłodze. Nagle w środku nocy podniósł się krzyk. Mężczyzna, który spał obok, właśnie wyszedł z więzienia i, jak się okazało, był cały zawszony. Wszy łączyły wszędzie i drugą część nocy spędziliśmy na ich wyłapywaniu, aby nie opanowały nas całkowicie.

Rano wymarsz dalej. W Radomsku wpadliśmy na herbatę pod wskazany nam adres naszej komórki. I dalej w drogę. Nie było żadnych szans, żeby się z kimś zabrać. Szosa była pełna ludzi idących na północ. Stale przejeżdżały kolumny samochodów wojskowych, pędzono żołnierzy niemieckich połapanych w lasach.

Los Niemców był ciężki. Wzdłuż drogi co chwila leżały trupy. Sowietci łapali jeńców, doprowadzali do drogi, tam ich obrabowywali i rozstrzeliwali. W pewnym momencie mijaliśmy kolejną kolumnę. Niemcy szli w ordynku, a naokoło konwojenci z bagnietami na karabinach. Nagle z naprzeciwka nadjechała ciężarówka. Kierowca zatrzymał się, wychylił z szoferki i krzyknął: „Oni mi zabili matkę i ojca!”. I zaczął strzelać z pepeszy. Chyba strzelał nad głowami, bo nie trafił nikogo. Ale jeńcy wpadli

w panikę. Zaczęli biegać, padać, krzyczeć. Strażnicy zareagowali, strzelając, wrzeszcząc, bijąc kolbami i kłując bagnietami. To był straszny widok. Uciekliśmy do rowu, aby nie oberwać. Zamieszanie trwało z pół godziny, zanim opanowano kolumnę, by mogła dalej ruszyć. Wrogie emocje w stosunku do Niemców można było spotkać wszędzie. Solidnie na nie zasłużyli.

Na wieczór doszliśmy do Kamieńska. Przyjęto nas w domku kolejarzy i ugoszczono kolacją. Trzeci dzień rozpoczął się jak zwykle marszem ku Warszawie. Ale tym razem szczęście nam sprzyjało. Na jakiejś górze zrównał się z nami wózek zaprzężony w konia, na którym już siedziało sporo osób. Po pertraktacjach udało się nam uzyskać zgodę, aby się do nich dotrzeć. Na wieczór trzeciego dnia byliśmy w Piotrkowie. Ktoś nam powiedział, że ze Skierniewic przyjechała lokomotywa z dwoma wagonami i że następnego dnia będą wracać. Zaczęliśmy więc z Toską penetrować stację. W końcu na bocznym torze znaleźliśmy lokomotywę i ulokowaliśmy się w wagonach, licząc, że to właśnie o te chodzi. Udało się, chociaż siedzieliśmy tam w mrozie kilka godzin. W końcu maszynista zapalił parowóz i wtedy tłum ruszył. Ale myśmy byli już w środku. Po paru godzinach przejechaliśmy 40 kilometrów do Kuluszek. Tam powiedziano nam, że pociąg dalej nie idzie. Może pojedzie jutro. Więc znowu szukanie miejsca do spania. W ciągu tej całej podróży nie spotkaliśmy się z odmową. A przecież wędrowały tysiące, jeśli nie dziesiątki tysięcy osób. I wszyscy wszystkich przyjmowali na noc bez żadnych opłat i karmili, czym mieli. Następnego dnia znowu poszukiwania pociągu.

Udało się, jedziemy. I nagle na jakiejś stacyjce słyszę rozmowę z maszynistą. Ktoś mówi: „Panie mechaniku, cofnij się pan tym pociągiem trochę pod mój dom, bo mam ciężki towar i trudno mi go tu dociągnąć!”. Targi trwały przez chwilę, a potem pociąg spokojnie pojechał do tyłu kilkaset metrów, towar załadowano i interes zakończył się sukcesem.

Do Skierniewic dojechaliśmy późną nocą. To był już piąty dzień naszej podróży. Na szczęście mieliśmy tam kontakt organizacyjny. Musieliśmy przejść prawie całe miasto, ale w zamian mieliśmy noc w łózkach, dobrą kolację i przyjacielską pogawędkę. To było nam bardzo potrzebne. Szósty dzień podróży okazał się ostatnim. Na głównej ulicy ruszały właśnie jakieś ciężarówki. Ktoś powiedział, że jadą w kierunku Warszawy. Ruszyliśmy za nimi. Udało mi się dopaść jednej z nich. Skoczyłem i chwyciłem się skrzyni. Ktoś podał rękę, ktoś podciągnął i okazało się, że jadę. Ale kiedy się obróciłem, Tośki nie było. Została na ulicy. Ona szła w trochę innym kierunku, mieliśmy się i tak lada chwila rozstać. Ale zawsze to bardzo przykro rozstawać się bez słowa pożegnania. Takich rozstań miałem wtedy dużo. Za dużo.

Ciężarówka rzeczywiście jechała do Warszawy, ale ja musiałem wysiąść wcześniej, koło Siestrzenia, aby przez pola dojść do Zarybia. Był oczywiście problem, jak ciężarówkę zatrzymać, bo to zależało od humoru kierowcy i mogłem dojechać

tam, gdzie nie chciałem. Na szczęście w pewnym momencie ciężarówka stanęła. Zdecydowałem się wysiąść, chociaż ze dwa kilometry musiałem dojść szosą dodatkowo.

Skręciłem w boczną szosę, a potem w jeszcze mniej widoczne drogi. Na skróty polami. Wszędzie leżał śnieg. Koniec stycznia. Wszystko białe. Szedłem w śniegu do pół łydki. Było coraz ciężiej, a miałem do przejścia kilka kilometrów. Ale doszedłem. W Zarybiu znalazłem się koło południa. Kiedy otwierałem furtkę przy bramie, odniosłem wrażenie, że otwieram furtkę do nowego etapu życia. A kiedy zatrzasnąłem ją za sobą, to było to jak zamknięcie tego etapu, który właśnie przeżyłem.



Cegielka na odbudowę Warszawy, sierpień 1945, polona.pl

9.

Zaraz po wojnie
(1945)

Limą 1945 roku Podkowa, wraz z sąsiednim Milanówkiem, stała się niemal stolicą Polski. Nazywano wówczas Podkowę małym Londynem. Tu koncentrowało się życie polityczne. Tu przebywali najważniejsi gracze, tu podejmowano decyzje i szukano wyjścia z sytuacji bez wyjścia. W Zarybiu też działo się dużo. Mieszkali u nas Korbońscy¹⁷, którzy stanowili podstawowe ogniwo w łączności AK i Delegatury Rządu z Londynem. Zjawiały się różne osobistości, aby uzgadniać dalsze postępowanie. W dokumentach procesu szesnastu w Moskwie znajduje się zeznanie Jasiukowicza¹⁸, który mówi: „W końcu lutego lub na początku marca bieżącego roku [tj. 1945] w miasteczku Podkowa Główna pod Warszawą, w majątku Regulskiego »Zarybie« (pensjonat) miałem konspiracyjne spotkanie z Okulickim¹⁹”.

Dowiedziałem się o tym po przełomie politycznym 1989 roku, gdy takie dokumenty zaczęły być publikowane. Ojciec o tym zeznaniu nie wiedział. A nie ulega wątpliwości, że miało ono wpływ na jego losy. To był właściwie wyrok, że musi być uwięziony.

¹⁷ Stefan Korboński (1901–1989) – adwokat, polityk Polskiego Stronnictwa Ludowego i podziemnego Stronnictwa Ludowego, szef Kierownictwa Walki Cywilnej. W 1945 r. pełnił obowiązki delegata Rządu RP na Kraj. Po wojnie poseł na Sejm z ramienia PSL. W 1947 r. w obawie przed aresztowaniem wraz z żoną Zofią wyjechał potajemnie za granicę. Działacz PSL na emigracji. Odznaczony Krzyżem Virtuti Militari.

¹⁸ Stanisław Jasiukowicz (1882–1946) – polityk obozu narodowego, w l. 1942–1943 przewodniczący Stronnictwa Narodowego w konspiracji, zastępca delegata Rządu RP na Kraj, członek Krajowej Rady Ministrów. Aresztowany w marcu 1945 przez NKWD, sądzony w Moskwie w procesie przywódców Polski podziemnej, tzw. procesie szesnastu. Skazany na pięć lat, zmarł najprawdopodobniej w więzieniu na Łubiance.

¹⁹ Leopold Okulicki (1898–1946) – generał, oficer zawodowy, ostatni komendant główny AK. W 1945 r. w procesie szesnastu otrzymał najwyższy wyrok – 10 lat więzienia. Zginął w więzieniu na Łubiance.

Główne miejsce życia towarzyskiego stanowił baraczek na początku alei Lipowej, gdzie mieściła się kawiarnia Pod Lipkami. Tam się wszyscy spotykali, dyskutowali i tworzyli najdziwniejsze prognozy. Ale życie szło swoim torem i było brutalne. Front się oddalał i władza krzepła. Wkrótce pokazała, do czego jest zdolna. Podstępne porwanie kierownictwa Delegatury Rządu i Armii Krajowej przez NKWD (w marcu 1945 roku w Pruszkowie) jednoznacznie wskazało linię jej polityki.

W dniu zakończenia wojny, 8 maja, wybuchł entuzjazm, ale ten nastrój szybko opadł. Wojna się skończyła, lecz wewnętrzne zagrożenie rosło. Zaczął się exodus na Zachód. Powstało wiele kanałów przerzutowych przez zieloną granicę. Wyjeżdżał ten, kto się obawiał o przyszłość i kto miał taką możliwość. Jerzyk Hłakowicz wyjechał wcześniej. Potem przemknął przez Zarybie Sobociński, jeden z liderów Szańca²⁰. UB bardzo go szukało, ale udało mu się wyjechać. W Zarybiu długo mieszkał jego ojciec, starszy już pan inżynier, prowadzący na Politechnice zajęcia z kolejnictwa, które zresztą musiałem u niego zaliczyć. Starszy Sobociński też nieco później wyjechał do Stanów. Dostaliśmy od niego list z Chicago, w którym się dziwił, że „tyle tu automobili jeździ w jedną i drugą stronę”.

Przez chwilę Ojciec także się zastanawiał, czy nie powinniśmy emigrować. Miał wszelkie możliwości, aby to zrobić. Nie brakowało mu środków, a w Brukseli czekali zaprzyjaźnieni Belgowie, chcący się nami zaopiekować. Miał tam zresztą pewne środki finansowe, przygotowane na czarną godzinę. Ale wyjazd z kraju, który jest zniszczony i który trzeba odbudowywać, to nie było rozwiązanie zgodne z filozofią życiową Ojca. Decyzja o pozostaniu była ostateczna. Zadecydowaliśmy też z Ojcem o moim wycofaniu się z konspiracji. Nie widzieliśmy sensu jej kontynuacji ani jakichkolwiek szans powodzenia. Kanałami łączności wysłałem do Kaszniczy odmeldowanie się i prośbę o zwolnienie. Zostałem w Zarybiu, aby kończyć studia. I to była słuszna decyzja.

Do głównych tematów dyskusji w tamtych dniach należała ocena powstania warszawskiego. Co do jednej tylko sprawy istniała opinia jednolita: nasze społeczeństwo zdało nieprawdopodobnie trudny egzamin. Dowodów bohaterstwa było nieskończenie wiele. Poczucie wspólnego celu i wzajemnego zaufania tworzyło atmosferę współpracy i współdziałania, która pozwoliła przeżyć wielu ludziom potrzebującym pomocy. Natomiast ocena samej decyzji o powstaniu była na ogół drugocząca. Było to zrozumiałe: ludzie stracili majątek, a także wielu swoich bliskich.

²⁰ Bolesław Sobociński (1906–1980) – logik, filozof, działacz ONR, członek kierownictwa Organizacji Polskiej. W 1945 r. wyjechał do USA, tam wykładał na katolickim Uniwersytecie w Notre Dame. Zabawna jest historia jego rzekomego pseudonimu. Miał on wadę wymowy i strasznie seplecił. Kiedyś, mówiąc o nalocie sowieckich samolotów, powiedział: „I wtedy było takie sstrassne bum!”. Zabrzmiało to tak śmiesznie, że zaczęto go przezywać „Bum”. Bardzo tego nie lubił. A potem UB zrobiło z przezwiska pseudonim, bo nie mogło dojść jego pseudonimów rzeczywistych. Ja ich też nie znałem.

Wszyscy musieli na nowo budować swoje życie. Uważano więc powszechnie, że dowództwo nie miało prawa wydać na śmierć ćwierci miliona osób, w sytuacji gdy nie istniały żadne szanse na osiągnięcie sukcesu. Było przecież oczywiste, że bez ciężkiej broni nie jest możliwe pokonanie bunkrów broniących niemieckich budynków. Wszelkie ataki były skazane na niepowodzenie. O tym dowódcy musieli wiedzieć – realna ocena własnych możliwości należała do ich obowiązków. Naiwnością też było oczekiwanie na istotną pomoc zewnętrzną. Wiedzieli, co Sowieci zrobili z AK na Wołyniu czy w Wilnie. Wiedzieli więc, czego mogą się spodziewać. Właściwie nie wiadomo, czego oczekiwali. Marzyło się im, że opanują Warszawę i przywitają wkraczającą Armię Czerwoną w wolnym mieście? Jeśli tak myśleli, było to szczytem naiwności i myślenia życzeniowego.

* * *

Wielokrotnie zastanawiałem się nad mechanizmami kształtującymi pamięć społeczną. Dlaczego Bór jest traktowany jak bohater narodowy, a ulice i mosty nazywane są jego imieniem? Przecież on ponosi odpowiedzialność za jedną z największych klęsk narodowych, za zniszczenie stolicy i śmierć setek tysięcy ludzi. Dlaczego czcić jego pamięć? Ale w Polsce czcimy na ogół klęski, kochamy się nurzać w swoich nieszczęściach i przegranych. A nie lubimy chwalić się tym, co zrobiliśmy i z czego powinniśmy być dumni. Decyzja rządu emigracyjnego o mianowaniu go naczelnym wodzem, w chwili gdy szedł do niewoli, była przedziwna. Wynikała z rozbicia politycznego emigracji, które uniemożliwiało uzyskanie zgody na wybór kandydata w Londynie. Ale jeśli się mianuje wodzem człowieka, który idzie do niewoli, a więc nie będzie mógł spełniać swojego zadania, to oczywisty jest wniosek, że nie chce się prowadzić dalej wojny. A przecież chyba nie o to chodziło.

W 1945 roku istniała w Podkowie całkowita zgoda co do negatywnej oceny decyzji o powstaniu. Niektórzy mówili, że było ono konieczne, bo gdyby nie wydano rozkazu, to wybuchłoby spontanicznie. Tę tezę powtarzano później wielokrotnie. Nie sądzę jednak, żeby tak było. Oznaczałoby to wyłamanie się spod rozkazów. Tymczasem nasze organizacje wojskowe były bardzo zdyscyplinowane. Oczywiście mogły się zdarzyć incydenty i prowokacje. Ale sądzę, że podstawowy problem stanowił brak koncepcji zakończenia konspiracji w warunkach, jakie zaistniały. Nie przygotowano się na nie, tkwiąc w świecie życzeń, a nie rzeczywistości.

Wybuch powstania był na pewno zgodny z interesami Sowietów. Oczyścił im przedpole. Wkraczali do kraju rozbitego, zniszczonego i pozbawionego organizacji, a więc ułatwił opanowanie Polski. Oczywiście opanowałyby ją też wtedy, gdyby Warszawa nie była zniszczona. Ale może miałyby większe trudności, bo społeczeństwo

było zorganizowane. Możliwe, że represje byłyby większe, bo musieliby liczyć się z silniejszym oporem. Być może więcej ludzi pojechałoby na zesłanie, więcej zostałoby aresztowanych. Ale nie zginęłoby ćwierć miliona, miasto zostałoby ocalone i zachowane byłyby wartości materialne świadczące o naszej historii. Zachowałaby się w dużej mierze struktura społeczna i ciągłość ruchu.

* * *

Zaczęły się podróże do Warszawy. Ludzie wracali tam, aby szukać resztek swego dobytku, kontaktu z bliskimi, a także mieszkania. Ojciec był w Warszawie jeszcze w listopadzie czy grudniu. Dostał zgodę od Niemców na zabranie dokumentów Siły i Światła. Pojechał końmi z Zarybia z żandarmem niemieckim jako konwojentem. Odwiedzili budynek Siły, częściowo zawalony, ale także aleję Przyjaciół. Był także w banku Pod Orłami przy ulicy Zgoda, gdzie spółka miała swój pokój pancerny w skarbcu. Zostały tam złożone także niektóre nasze cenne przedmioty. Ale sejf został rozpruty materiałem wybuchowym. Zabrano, co było cenniejszego, ale pozostały nasze obrazy i inne przedmioty, które nie znalazły uznania u rabusiów. Ojciec więc wrócił z pełną furą najróżniejszych rzeczy, były tam portrety naszych przodków i dyplom Napoleona nadający rodzinie tytuł Kawalerów Cesarstwa Francuskiego.

Pojechałem i ja do Warszawy. Była to poważna wyprawa. Jechało się kolejką do stacji Raków. Tam pociąg kończył bieg. Wszyscy wysiadali i albo maszerowali parę kilometrów do miasta, albo przesiadali się na platformy konne, które stanowiły jedyną formę komunikacji publicznej. Na mieście utworzyło się kilkanaście punktów przesiadkowych, do których się dojeżdżało, aby później wybrać platformę jadącą tam, gdzie chcieliśmy. Zajmowało to całe godziny. Tylko niektóre ulice były przejezdne; inne, zawalone gruzem, trudno było nawet przejść. Odcinek Koszykowej między Mokotowską a Marszałkowską był zawalony całkowicie. Szło się ścieżką zupełnie jak w górach. Dom na Przyjaciół przetrwał bez uszkodzeń, jednak mieszkania splądrowano. U Ojca w pokoju boazeria była pozrywana, sejf w ścianie został rozbity. Wszystko, co było łatwo zabrać, zginęło. Ale ciężkie meble stały na miejscu, a nawet kilka mniejszych udało się odnaleźć. Dom został przydzielony Ministerstwu Spraw Zagranicznych.

Siła i Światło powoli konała. Budynek od strony Marszałkowskiej zapadł się spalony. Jeszcze przez chwilę Siła mogła zarządzać tą swoją nieruchomością. Usunięto resztki zniszczonej frontowej części budynku i powstały plac wydzierzawiony na parterowe, prymitywne sklepy, szumnie nazywane pawilonami. Skrzydło od Nowogrodzkiej ocalało. Parter wynajęto znanej cukierni Szwajcarska. Jednak wkrótce Siła przestała istnieć. Wszystkie jej spółki zależne zostały przejęte przez państwo.



Robotnicy podczas brukowania ulicy Marszałkowskiej, w tle ruiny kamienicy spółki Siła i Światło przy ul. Marszałkowskiej 94 róg Nowogrodzkiej 30, 1948. Fot. NAC

Rysunek propagujący zniesienie senatu oraz napis „Głosuj 3 x tak” na ślepej ścianie zburzonej kamienicy przy ul. Marszałkowskiej 91/93. W tle z prawej kamienice pod nr 88, 90 i 92 oraz odbudowywana kamienica firmy „Siła i światło” (Marszałkowska 94 róg Nowogrodzkiej 30).
Fot. NAC



Personel się rozplynął. Pozostały więc tylko działania likwidacyjne. Resztę działek w Podkowie sprzedano, a środki spożytkowano na odprawy dla pracowników.

Miałem 20 lat, więc nadawałem się w sam raz do wojska. Nie chciałem iść. Wojna zbliżała się do końca i to nie była moja wojna. Musiałem się jednak zarejestrować. Komenda była we Włochach. Pojechałem tam. W jakiejś willi znajdowało się biuro. Tłum potworny. Kilku umundurowanych funkcjonariuszy, którzy dość bezradnie załatwiali zgłaszających się ludzi. Godziny minęły, zanim dostałem potwierdzenie zgłoszenia. Co robić dalej? Przecież każdego dnia mogą mnie wezwać. Zacząłem więc zmieniać adresy. Ktoś zameldował mnie gdzieś na Grochowie. To była wielka wyprawa. Chyba zajęła ze dwa dni. Musiałem pojechać do Warszawy. Potem przeprawić się przez most pontonowy przy ruinach mostu Poniatowskiego. Dojść na Grochów. Dostać jakąś kartę z administracji i zameldować się na komendzie. Potem zawiadomiłem Włochy, że zmieniłem adres. W takich sytuacjach Grochów pisał do Włoch, żeby przekazali mu moją ewidencję. Włochy już mnie powołać nie mogły, a Grochów jeszcze nie, bo nie miał moich dokumentów. A że poczta, nawet ta wojskowa, ledwie funkcjonowała, więc kilka tygodni spokoju było zagwarantowane. Potem ten model powielałem. Wymeldowałem się na Politechnikę do Lublina. I znowu dokumentacja wędrowała. A wczesną jesienią zameldowałem się na Przyjaciół i zgłosiłem do komendy Warszawa-Śródmieście. Okazało się wtedy, że to dla nich było już za dużo. Moja ewidencja nie mogła za mną nadążyć i gdzieś się zgubiła. I o to chodziło, bo wojna się skończyła i już następowała demobilizacja.

Moim priorytetem stało się skończenie studiów. Szkoła, do której chodziłem, przestała istnieć, wszystkie jej dokumenty zginęły. Indeksy nie istniały. Należało zgromadzić zaliczenia przedmiotów na nowo. A nie było to łatwe. Ogromna większość studentów nie miała żadnych dokumentów potwierdzających zaliczenia egzaminów i ćwiczeń. Zaczął się szaleńczy wyścig o podpisy. Było dobrze, jeśli profesor przeżył powstanie i był w Warszawie. Na ogół nas pamiętali. Wtedy uzyskanie podpisu było łatwe i odbywało się często w atmosferze przyjacielskiej. Wszyscy cieszyli się, że przeżyli. Gorzej, jeśli profesor sobie nie bardzo przypominał studenta albo miał wątpliwości, czy pamięta go z tego, że zdał, czy z tego, że oblał. Odbywały się więc całe przedstawienia. Przyprawiano świadków, pokazywano jakieś pamiątki czy inne „dokumenty”. Pamiętam, jak jeden z kolegów przyniósł jako dowód wspólne zdjęcie profesora z całą grupą studentów, w której on również stał. A gdy profesor zapytał, co z tego wynika, ten odpowiedział: „Stoję blisko pana, a pan się śmieje. Gdybym egzamin u pana oblał, to profesor by się nie śmiał”. Takie argumenty działały. Bo co biedni profesorowie mieli robić? Kazać wszystko zdawać od początku?

Ja też chodziłem i wkrótce miałem zaliczone prawie całe cztery lata i wykorzystywałem wszelkie okazje, aby zaliczać to, czego mi brakowało. Chyba w marcu

przyszła wiadomość, że otwarto Politechnikę Warszawską w Lublinie. Postanowiłem się tam zapisać. Ważna była legitymacja, ale także możliwość kontynuacji studiów. Jeździłem tam raz na miesiąc, bo właściwie nie bardzo miałem po co. Uruchomiono dwa pierwsze lata. Mnie zarejestrowano na piątym semestrze, na którym praktycznie nie było żadnych zajęć. Ale jakiś jeden czy dwa przedmioty udało mi się zaliczyć. Postawiłem sobie za cel, aby skończyć Politechnikę w wieku 21 lat, a więc przed wakacjami 1946 roku. I było to realne.

Niestety, nasza grupa przyjaciół już nie istniała. Dowiedziałem się, że Gutek Gottschalk zmarł w obozie jenieckim na gruźlicę. Jego kuzyn Stefan Machlejd stał się Szkotem, jako Steven McLeod. Kiedyś jedna z gałęzi tego klanu wyemigrowała do Europy i przemieszczała się na wschód, zmieniając nazwisko. Stefana uznano za potomka tej gałęzi i przyjęto do klanu. Widziałem go raz w Warszawie, gdy przyjechał ze swymi dziećmi w szkockich spódniczkach pokazywać im przejściową ojczyznę ich ojca. Mietek Więckowski skończył studia, wylądował w Kanadzie i miał dobrze prosperującą firmę budowlaną. Janek Sztuke pracował w Belgii, ale, zdaje się, szło mu kiepsko. Mietek ściągnął go później do swojej firmy. W kraju pozostałem tylko ja i nasz dziewiąty kolega, którego nazwiska nie potrafię odtworzyć. Ale jemu też nie powiodło się najlepiej. Nie skończył studiów. Spotkałem go raz przypadkowo kilka lat później. Pracował jako technik gdzieś na budowie. I znowu zostałem sam, bez kolegów i przyjaciół.

Wciągnęło mnie życie studenckie, które się zaczynało formować. Moim luksusem było to, że nie miałem problemów finansowych i miałem gdzie mieszkać, więc mogłem działać społecznie. A potrzeby były ogromne. Wiosną podjęliśmy inicjatywę odtworzenia istniejącego przed wojną studenckiego stowarzyszenia Bratnia Pomoc. Tak zwane bratniaki istniały na wszystkich uczelniach. Z jednej strony stanowiły one reprezentację studentów w stosunku do władz akademickich, a z drugiej organizowały życie studentów, wspomagając ich w różny sposób w rozwiązywaniu życiowych spraw. W maju, w jakimś opuszczonym lokalu, zrobiliśmy zebranie i zostałem wybrany do zarządu. Powołanie organizacji i wybór zarządu wcale nie był łatwym zadaniem. Istniało kilka wyraźnie odrębnych grup studenckich, często dość antagonistycznie do siebie nastawionych i mających sprzeczne interesy. Jedną byliśmy my z dawnej, oficjalnie działającej Państwowej Wyższej Szkoły Technicznej, studenci już ostatnich lat. Istniała też grupa studentów zarejestrowanych w Lublinie, która już zaczęła się przenosić się do Warszawy. Ale to byli studenci pierwszych dwóch lat. Studenci architektury uczęszczali w czasie okupacji do szkoły technicznej, która stanowiła przykrywkę Wydziału Politechniki. Architekci uważali się za trochę lepszych od innych, a zwłaszcza od „głupich inżynierków”. A jeszcze była masa zupełnie niezrzeszonych studentów, którzy nadciągali z różnych kierunków, mieli różny dorobek i życiorysy.



Gmach Główny Politechniki Warszawskiej w 1945 roku

W końcu udało się skompletować zarząd. Prezesem został mój dobry kolega Bogdan Koy, a jednym z wiceprezesów Tadeusz Linowski, który – wysiedlony z Warszawy – mieszkał u nas w Zarybiu. Do zarządu weszła też Krysia Bierutówna, córka Bieruta, którą wzięliśmy, aby mieć dobry dostęp do jej taty. Mnie powierzono odpowiedzialne stanowisko przewodniczącego komisji kwalifikacyjnej, zajmującej się organizowaniem pomocy materialnej dla studentów. Mieliśmy rozdzielać sprawiedliwie pomoc, ale aby coś rozdzielać, trzeba najpierw to zdobyć. Zadań przybywało w zastraszającym tempie i wkrótce stałem się jedną z najważniejszych osób w zarządzie, bo do mnie wszyscy przychodzili zarówno po pomoc, jak i z inicjatywami, jak tę pomoc zdobywać. Stałem się jednym z najbardziej znanych studentów.

Kluczowy problem stanowiły domy akademickie. Te, które przetrwały, były pozajmowane przez najróżniejsze instytucje, które nie miały zamiaru ich opuszczać. Więc prowadziliśmy różne akcje. Sukcesem skończyły się próby odzyskania małego domu dla studentek na Polnej. Była ogromna konkurencja innych uczelni, ale udało się zakwaterować tam parę osób. Odzyskano również dom na Górnośląskiej, tuż poniżej schodów. Tam władzę objął samowwano jeden student – władzę dyktatorską. Decydował, komu przydzielić mieszkanie. System miał prosty. Jak się ktoś zgłaszał, a chętnych były kolejki, to przyjmował wszystkich i każdemu wyznaczał miejsce w sali na betonie, nie dając mu nic do spania. Dziewczynom dawał z łaski koc, ale nie siennik. Codziennie w nocy sprawdzał, czy rzeczywiście kandydat śpi. Jak wytrzymał trzy noce, to student uznawał, że naprawdę nie ma gdzie mieszkać, i dawał mu przydział na łóżko. Żadnych komisji kwalifikacyjnych nie potrzebował.

Inauguracja roku akademickiego odbyła się bardzo uroczyście. Gdzieś na Śląsku znaleziono przedwojenny sztandar Politechniki. Zostałem wyznaczony na chorążego, co było oczywistym zaszczytem. Zebraliśmy się na Lwowskiej. Pod numerem 7 był wtedy rektorat. Dostałem sztandar do ręki. I wtedy powstał problem, jak mogę go nieść, nie mając na głowie czapki Bratniaka Politechniki. Odznaką studenta była przecież czapka uczelni. Stanowiła ona przedmiot dumy i honoru. Politechnika miała czapki okrągłe (Uniwersytet – rogatywki), brązowe z czarnym otokiem. Kolory sznurków odpowiadały wydziałom. Problem został rozwiązany w sposób dość brutalny. Jakiś student przyszedł w starej przedwojennej czapce, więc zaraz mu ją zdjęto z głowy i wsadzono na moją.

Ruszyliśmy w pochodzie zrujnowaną Nowowiejską. Najpierw poczet sztandarowy, potem rektor Warchałowski i senat, profesorowie, pracownicy i studenci. Szliśmy do kościoła Zbawiciela na mszę. Ale kościół był rozbity, a nabożeństwa odbywały się w sali parafialnej, gdzie dziś jest Teatr Współczesny. Ołtarz znajdował się na scenie. Stanęliśmy ze sztandarem obok ołtarza. Do mszy służyły cztery osoby: profesor, asystent, pracownik techniczny i student. Ta msza była wielkim przeżyciem. Mieliśmy poczucie, że zaczynamy nowy etap życia.



Plac Zbawiciela, 1948.
Fot. NAC

Potem przeszliśmy w pochodzie do gmachu architektury, który nie był bardzo zniszczony, więc zdążono go wyremontować. Czapkę musiałem niestety oddać. A taki byłem dumny, że choć przez chwilę mogłem ją mieć na głowie! Poczuliśmy się naprawdę studentem.

Rozpoczęcie roku zmieniło nasze zadania i sposób działania. Zaczęliśmy się starać o oddanie nam dawnego budynku Bratniaka, istniejącego do dziś na rogu Koszykowej i Chałubińskiego. O dziwo się udało. Zamierzaliśmy tam uruchomić stołówkę i stworzyć ośrodek życia studenckiego.

Inauguracja nauki na warszawskich uczelniach jesienią 1945 roku uwidoczniła wszystkie problemy zburzonego miasta. Na Politechnice uruchomiono tylko kilka kierunków. Ale nawet te kierunki nie miały wystarczającej liczby sal. Architektura była w luksusowej sytuacji, ponieważ dysponowała własnym budynkiem. Mój zaś Wydział Inżynierii Lądowej korzystał z sali w liceum na Rakowieckiej. Tramwaje ani autobusy nie funkcjonowały. Chodziło się całymi kilometrami na piechotę. Innych wydziałów nie otworzono, bo nie było gdzie, nie mówiąc już o najbardziej elementarnym wyposażeniu. Studenci mechaniki czy energetyki nie chcieli jechać do Łodzi, jak im proponowano. Wszyscy żądali udostępnienia sal w gmachach rządowych, zwrotu ocalałych domów studenckich, remontu budynków uczelni.

Drugi powód protestów to reguły rekrutacji na studia. Zarządzono egzaminy wstępne, a to wzburzyło studentów, bo zróżnicowania pomiędzy nimi były ogromne. Trudno wymagać od studenta, który ledwo wrócił z jakiegoś obozu, aby przystępował do egzaminu, konkurując z innym, który nie przeszedł jego gehenny. Byli świeżo upieczeni maturzyści z nielegalnych kompletów, którzy mieli wszystko dobrze poukładane w głowie. Ale byli też maturzyści sprzed pięciu lat, którzy wrócili z partyzantki. Byli wreszcie studenci, którzy zaczęli studia na tymczasowej politechnice w Lublinie. Żądano przyjęcia wszystkich.

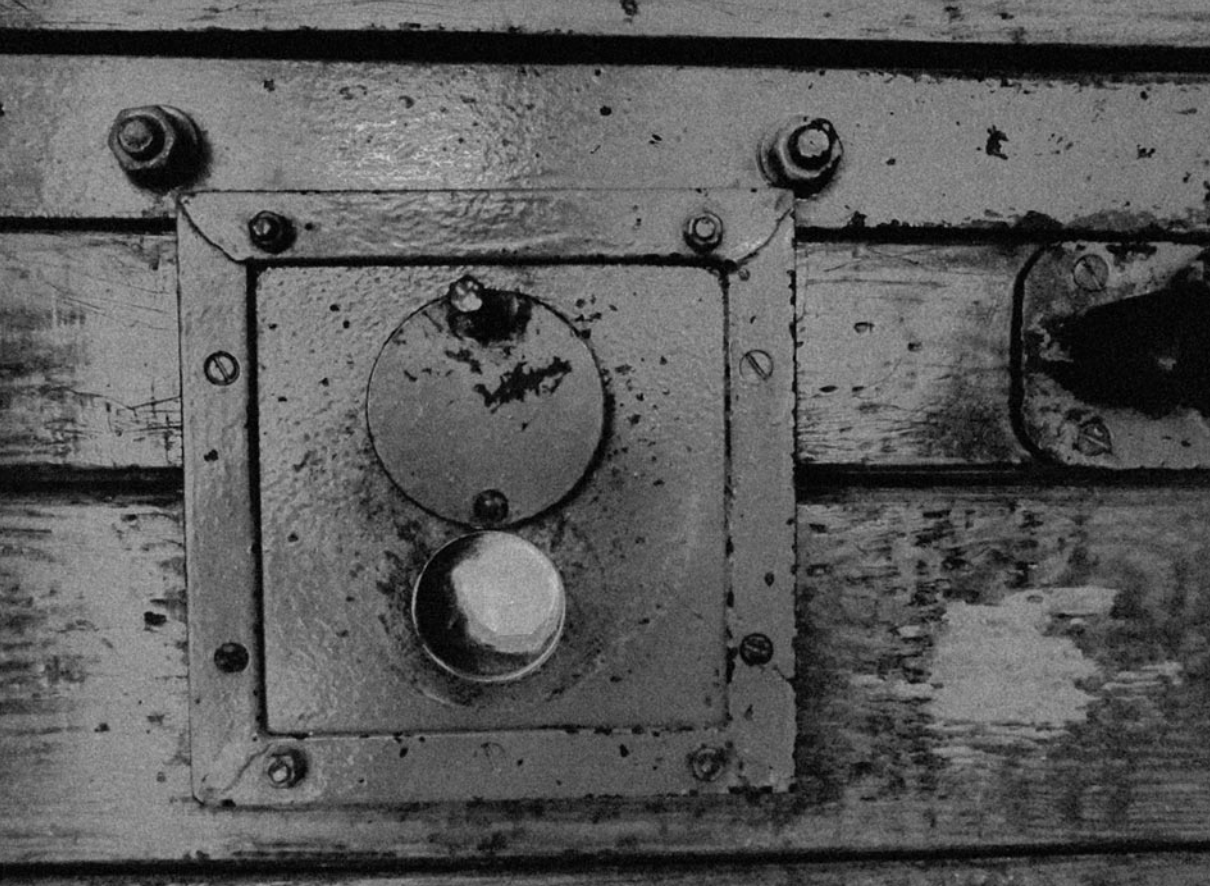
Pod Belwederem odbyła się spontaniczna manifestacja. Powstał popłoch, że zaczną się represje. Uruchomiliśmy więc Krysię Bierutową. Bierut zgodził się przyjąć delegację studentów i wysłuchać naszych żalów. Przewodniczył Bogdan Koy. Poszliśmy do Belwederu chyba w piątkę. Bierut przyjął nas na pierwszym piętrze, na jakiejś zdezelowanej kanapie. Była herbata i ciasteczka, miło i obiecująco. Przeprosiliśmy za manifestację, ale przedstawiliśmy sytuację studentów i nasze postulaty. Przeprosiny przyjął i obiecał zająć się sprawą pozytywnie. Nie wiem, co z tego wyniknęło. Pewno niewiele. Moje losy potoczyły się bardziej dramatycznie.

Wraz z uruchomieniem uczelni odnowiły się nasze kontakty polityczne. Wypisałem się z NSZ, ale pozostałem członkiem organizacji politycznej. Powstała sekcja akademicka, w której zebrano członków Organizacji Polskiej z różnych szkół. Szefem został Tolek Symonowicz, asystent z UW, który stał w hierarchii partyjnej wyżej – na poziomie C. Nie było nas wielu – od 5 do 10 osób. Nasze pierwsze zebranie

ZARAZ PO WOJNIE

odbyło się w zniszczonym gmachu geografii UW przy Krakowskim Przedmieściu. Staliśmy w jednym z pokoiów, nie mając nawet gdzie usiąść. Pokoje były puste i zagruzowane. Opowiadałem o wizycie u Bieruta i niepokojach studenckich. To był początek października. Za dwa tygodnie spotkaliśmy się w mieszkaniu jednego z nas, gdzieś na Puławskiej. Zaczęliśmy rozmowę o tym, co należy robić, ale już niczego zrobić nie zdążyliśmy.

Jednym z członków sekcji był Tadeusz Linowski, mój kolega z Wydziału. Mieszkał w Zarybiu, w dawnym pokoju marokańskim, wraz z trzema innymi panami. Około 1 listopada zjawilo się UB. Mnie wtedy w domu nie było. Chodzili po domu, czegoś szukali i w końcu aresztowali Tadeusza. Nikt nie wiedział dlaczego. Spodziewano się, że lada chwila wróci. Ale sprawy miały się potoczyć zupełnie inaczej.



Wizjer w drzwiach do celi X Oddziału więzienia przy Rakowieckiej

10.

W więzieniu
(XI 1945 – X 1946)

P

iętnastego listopada 1945 roku był dniem deszczowym i pochmurnym. Jak co dzień, przyjechałem do Warszawy z Podkowy, gdzie wówczas mieszkałem. Zaszedłem na chwilę do hotelu Polonia, w którym mieściły się biura ambasady brytyjskiej. Dałem młodemu sekretarzowi ambasady list do przekazania drogą dyplomatyczną do mojej siostry w Londynie. Nawiązaliśmy kontakty towarzyskie z młodzieżą z kilku ambasad. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, jak bardzo to będzie niebezpieczne.

Poszedłem na Politechnikę zaliczyć przedmioty, których mi brakowało do absolutorium, ale przede wszystkim, aby urzędować w biurze Bratniaka. Wieczorem mieliśmy posiedzenie zarządu. Spotkaliśmy się, jak zawsze, w lokalu rektoratu, który mieścił się w budynku mieszkalnym przy Lwowskiej 7. Wydarzenia tego wieczoru odtwarzałem i analizowałem wielokrotnie. Ale trudno mi ustalić związki pomiędzy nimi. Staram się więc odnotować fakty.

Najpierw w czasie posiedzenia studentka architektury Jadwiga Guzicka powiedziała, że musi wyjść. Nie było w tym nic dziwnego, dopiero później zrozumiałem znaczenie tego faktu. Należała ona do partii i angażowała się w tworzenie nowego systemu. Miałem z nią szereg lat później kontakty, budując projektowane przez nią budynki. Nawiązałem kiedyś w rozmowie do tych wydarzeń. Nie przyznała się wprost, ale nie zaprzeczyła, że odegrała wówczas nieprzyjazną dla mnie rolę. Niedługo później był dzwonek do drzwi i wywołano mnie z posiedzenia. Nieznana mi młoda dziewczyna chciała czegoś, ale nie bardzo wiedziała czego. Zadawała mi jakieś pytania, których nie rozumiałem. Tyle osób ciągle mnie zaczepiało, że nie bardzo się zdziwiłem. Pozbyłem się jej i wróciłem do roboty.

Posiedzenie się skończyło koło siódmej wieczorem. W parę osób szliśmy Poznańską wśród ruin zburzonych domów. W pewnym momencie minęło nas kilku mężczyzn idących ostrym krokiem, jakoś arogancko zaglądając nam w twarz. Na rogu Nowogrodzkiej pożegnałem kolegów i wsiałem do wagonu kolejki EKD, która miała wówczas końcową stację pod budynkiem poczty na Nowogrodzkiej.

Przeszedłem prawie cały wagon, szukając wolnych miejsc, i gdy dochodziłem do jego końca, przeciwnymi drzwiami weszli dwaj mężczyźni i cicho, lecz twardo powiedzieli: „Proszę z nami”. Automatycznie zrobiłem dwa dalsze kroki, wyszedłem na platformę wagonu. Stanęli blisko, zasłaniając mnie przed wzrokiem innych osób. Błyskawiczny ruch rąk po całym moim ciele w poszukiwaniu broni. I rozkaz: „Idziemy”. Wsadzili mnie do samochodu, w którym siedziała niedawna interesantka. Spojrzałem na nią. „My się znamy”. Panienska jakoś się skurczyła, a jeden z agentów krzyknął: „Już was wszystkich mamy”. Niby że ona również jest aresztowana.

Pojechaliśmy na Koszykową, gdzie właśnie instalowało się Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego. Zabrali, co miałem w kieszeniach, i zamknęli mnie w celi. Byłem sam. Cella dość duża i zupełnie pusta. Prycza drewniana, ale bez jakiegokolwiek siennika, nie mówiąc już o kocu. Gołe deski. Zamurowane okna. Dostałem zupę i zapadła cisza. Następnego dnia nic się nie dzieje. Kolejne dni są też całkowicie puste. Jedyne wyjścia to spacery korytarzem do ubikacji, gdzie mogłem zimną wodą przetrzeć oczy. O takich rzeczach, jak ręcznik czy mydło, nie było nawet co marzyć. Budynek ministerstwa przystosowano do innych celów. W czasie wojny mieściła się tam siedziba niemieckiej policji kryminalnej i były rozbudowane podziemia z celami dla więźniów. Patrzyłem na ten budynek często, gdyż dotykał prawie naszego domu przy alei Przyjaciół. Poczucie, że jestem więziony tak blisko własnego domu, stwarzało dodatkowe napięcie. Strażnikami byli repatrianci z Francji, członkowie organizacji komunistycznych. Zachowywali się raczej kulturalnie i nie dopuszczali się szczególnych złośliwości. Ale byli absolutnymi fanatykami komunizmu. Uważali mnie za wroga, któremu należy się kara. Cieszyło ich, że siedzę.

Musiałem jakoś zorganizować sobie życie. Podstawową sprawą było, jak się układać na deskach pryczy, aby dało się spać czy odpoczywać. Nie było to łatwe. Ale jakoś się udało. W końcu byłem inżynierem. Nie miałem nic własnego, z wyjątkiem ubrania, w którym mnie zatrzymano. Na szczęście zostawiono mi płaszcz.

Z tych dni zostały mi w pamięci dwa problemy. Pierwszy to buty. Wówczas w modzie były długie buty, tzw. oficerki. Były obcisłe, ściśle przylegały do łydek. Zdejmowało się je za pomocą specjalnej aparatury, takiego drewnianego konika, a wciągało z użyciem specjalnych haków. Powstał więc problem. Co robić? Jeśli butów nie zdejmę, to wskutek ucisku cholew prawdopodobnie nogi mi spuchną i nie będę mógł w ogóle chodzić. A jeśli zdejmę, to jak je włożę z powrotem? Po dwóch dniach zaryzykowałem zdjęcie butów. Z desek z pryczy zbudowałem odpowiednie urządzenie, które pozwoliło mi buty ściągnąć. Zrobiłem masaż, dałem nogom odpocząć i przez kilka godzin naciągałem buty po centymetrze z powrotem. W ciągu dwóch tygodni, jakie spędziłem w tej piwnicy, ściągnąłem buty dwa, może trzy razy. Jakoś moje nogi przeżyły, a moi opiekunowie nie zorientowali się w problemie.

Druga sprawa miała wymiar raczej groteskowy. W jakimś załamku kieszeni płaszczka znalazłem kawałek ołówka i kawałek starej gazety. Były to jedyne narzędzia, które mogły mi pomóc w wypełnieniu czasu. Ale jak wykorzystać kawałek gazety, a właściwie jej margines, aby zająć jak najwięcej czasu? Myślałem dość długo. I postanowiłem spisywać wszystkie znane dowcipy i anegdoty. Oczywiście nie chodziło dosłownie o ich spisanie. To byłoby niemożliwe. Po prostu numerowałem je i sygnalizowałem kilkoma literami, żeby oszczędzić miejsce. Spisałem ich około setki – to było świetne zadanie. Udało mi się wyrzucić ten skrawek papieru do toalety, gdy mnie z Koszykowej zabierano do więzienia. Mógłbym mieć kłopoty z wyjaśnieniem śledczym tych szyfrów. Nie wiem, czy uwierzyliby, że to moje anegdoty.

Dopiero po tygodniu czy nawet 10 dniach wyprowadzono mnie z celi do biur na wyższych piętrach, tylko żeby spisać personalia. Wtedy doznałem jednego z silniejszych wrażeń, które będzie ze mną już zawsze. Zobaczyłem Aleje Ujazdowskie. Były białe, zasypane śniegiem. Nie wiedziałem, że spadł. Z celi nie mogłem nic zobaczyć. I to był pierwszy szok. Zdałem sobie sprawę, co to znaczy być odizolowanym od świata. W Alejach był normalny ruch. Widziałem młodą matkę, jak z wysiłkiem popychała wózek z dzieckiem po śniegu. I to straszne uczucie, że życie się toczy normalnie – a mnie tam już nie ma. Że można z człowiekiem zrobić wszystko i nikt się o tym nie dowie ani nie zwróci na to uwagi. Że świat toczy się dalej bezwzględnie, niezależnie od losu jednostki. Nikt z nas indywidualnie nic nie znaczy. To poczucie własnej znikomości, a właściwie zrozumienie swego miejsca w świecie, było wtedy dla mnie szokiem, ale i objawieniem. Bo przecież zawsze myślimy, że jesteśmy ośrodkiem wszystkiego. To jedna z lekcji, jaką mi dało życie – lekcja pokory. A miałem wtedy jedynie 21 lat!

Po dwóch tygodniach wezwano mnie po raz drugi. Znowu spisano protokół, wsadzono do samochodu i przewieziono na Rakowiecką do więzienia mokotowskiego, a razem ze mną – jednego z moich kolegów. Oczywiście o żadnej rozmowie nie było mowy. Przeszliśmy długimi korytarzami. Szczęk zamykanych za nami krat robił silne wrażenie. Ale po tych tygodniach w piwnicy byłem w wisielczym humorze. Przynajmniej słońce widziałem.

Weszliśmy do jakiegoś pokoiku. Za stołem siedział oficer. Inny stał za nim. Zdjąłem z głowy kapelusz, z uśmiechem powiedziałem „Dzień dobry panom” i puściłem z góry kapelusz na stół śledczego. Stojący obok oficer prawie rzucił się na mnie. „Zachowujcie się jak więzień!” – wrzasnął i puścił całą wiązanek obietnic, co ze mną, „paniczykiem”, zrobią.



Było to moje pierwsze spotkanie z osławionym Różańskim, szefem Departamentu Śledczego MBP²¹. Humor mi jakoś uleciał, a ciarki przeszły po grzbiecie. Wchodziłem w nową rzeczywistość – należało ją zaakceptować i się do niej przystosować. Wybór nie został mi dany.

Znalazłem się w pawilonie śledczym. Był to budynek wydzielony i niełączyący się z pozostałymi częściami więzienia. Więzienie w więzieniu. Pozostawał on jedynie w gestii bezpieczeństwa, gdzie tylko śledczy stanowili prawo. Trzy pierwsze kondygnacje tworzyły Oddział X. Wokół wewnętrznej przestrzeni biegły galerie, z których wchodziło się do niewielkich, kilkuosobowych cel. Część z nich wykorzystywano jako gabinety śledczych, czyli miejsca przesłuchań. Ostatnią kondygnację zajmował odrębny Oddział XI. Były to tylko cele jednoosobowe, które kiedyś stanowiły izolatki. Zostałem tam zaprowadzony. Otworzono jedno z drzwi i wszedłem do wnętrza.

Drzwi się z hukiem za mną zatrzasnęły. Cella miała ze cztery metry długości, ale tylko półtora szerokości. Na przeciwległej ścianie znajdowało się zakratowane okno, nawet spore, ale dość wysoko. Pod oknem mały stolik i dwa żelazne taborety przymocowane do ściany. Na ścianie metalowa składana prycza z siennikiem i kocem. Przy wejściu na ścianie mały wieszak, a pod nim nocnik. Żadnych sanitariatów nie było.

W celi siedział człowiek. Na dźwięk otwieranych drzwi z zaciekawieniem wstał od stołu i podszedł w moim kierunku. Przez chwilę staliśmy naprzeciwko siebie bez słowa. Potem z uśmiechem przywitał mnie. Był to pułkownik Rudkowski, pseudonim „Rudy”, lotnik, skoczek spadochronowy, który kilkakrotnie odbył podróż do Anglii i z powrotem, szef lotnictwa na kraj w dowództwie Polskich Sił Zbrojnych w Londynie. Człowiek z niesamowitym życiorysem. Już nie pamiętam, w ilu więzieniach siedział, ale było ich dużo. Najzabawniejsze było, jak opowiadał, że w wielu państwach najpierw dostawał order i inne honory, a potem łądował w kryminalne. Jestem mu bardzo wdzięczny. Pomógł mi stworzyć własną filozofię życia w więzieniu i sposób na przetrwanie śledztwa. Miałem wówczas 21 lat i niewielkie doświadczenie życiowe. Sytuacja, w jakiej się znalazłem, wymagała rozsądku, odwagi i spokojnych decyzji. Tylko jak je podejmować pod stałą presją i w ciągłym szoku?

Parę godzin później nagle otworzyły się drzwi i więzień Niemiec, bo oni byli wykorzystywani jako pomoc fizyczna, wniósł wielką paczkę. Czego tam nie było! Jedzenie i smakołyki, a co najważniejsze – kaptcie, bielizna i spodnie. Mogłem się pozbyć tych nieszczęsnych wysokich butów i bryczesów, a także odesłać do domu do prania już sfatygowaną bieliznę. Ale najbardziej liczył się sygnał, że Rodzice

21 Józef Różański (właśc. Józef Goldberg; 1907–1981) – działacz komunistyczny, oficer NKWD i MBP. W latach 1947–1959 dyrektor Departamentu Śledczego MBP; nadzorował najważniejsze śledztwa polityczne doby stalinizmu, osobiście uczestnicząc w przesłuchaniach i torturach. W czasie odwilży po śmierci Stalina odwołany ze stanowiska. W 1955 r. skazany na 5 lat więzienia, w powtórnym procesie w 1957 r. skazany na 15 lat, w 1964 r. ułaskawiony przez Radę Państwa.



X Oddział więzienia mokotowskiego, ostatnie piętro to XI Oddział, lata 60. Fot. AIPN

wiedzą, gdzie jestem, bo to znaczyło, że mogą podjąć starania o zwolnienie. To nawiązanie łączności z domem miało ogromne znaczenie psychologiczne. Wiedzieli, gdzie jestem – to było dla mnie najważniejsze. Wtedy nie można było się dowiedzieć, gdzie się znajduje osoba uwięziona, inaczej niż przez przynoszenie paczek. Jak więzień był, to jego nazwisko znajdowało się na liście i paczkę, według bardzo restrykcyjnych przepisów, przyjmowano. A jak go nie było, to nie przyjmowano. To był sposób na odnajdywanie ludzi.

Zacząło się codzienne życie więźnia. Należało się przyzwyczaić do stałej kontroli oddziałowych przez judasza w drzwiach. Podchodzili cichutko i nigdy nie było wiadomo, kiedy się w judaszu pojawi oko. Dzień zaczynał się o szóstej rano strasznym waleniem kluczymi o drzwi. Musieliśmy natychmiast się ubrać i zlikwidować posłanie. W jednoosobowych celach znajdowała się jedna prycza. Więc gdy było dwóch lub więcej więźniów, to wszyscy musieli spać na podłodze, na siennikach, które na dzień układało się na pryczy. Dwóch więźniów spało względnie wygodnie, chociaż sienniki to były raczej papierowe worki zawierające trochę szezki. Problemy zaczynały się przy trójce więźniów. Szerokość celi nie pozwalała, aby jednocześnie cała trójka leżała na wznak. Jeden musiał leżeć na boku, aby zajmować mniej miejsca. Gdy ktoś przekręcał się z boku na bok (a nie można wytrzymać całej nocy na jednym boku, leżąc praktycznie na betonie), pozostali byli budzeni, bo wszyscy musieli się obracać jednocześnie.

Rano po obudzeniu oddziałowy otwierał drzwi, abyśmy mogli zabrać buty i wierzchnie ubranie, które trzeba było wieczorem wyłożyć na korytarz. Niemiec przynosił to, co nazywano śniadaniem. A potem zaczynały się wyjścia do łazienki. Ta sprawa wymaga omówienia, bo stanowiła podstawowy problem. Oddział XI obejmował prawie 60 cel, bez wody i klozetów. Na końcu korytarza znajdowała się łazienka i w.c., gdzie kolejno celami wypuszczano więźniów w ten sposób, aby nie mogli się zobaczyć. Przysługiwały trzy wyjścia dziennie. Najważniejsze było ranne, wtedy należało się umyć. Wyjście z celi, dojście do dość odległej łazienki, skorzystanie z niej i powrót do celi zajmowało sporo czasu. Średnio dawano pięć minut. A to oznaczało, że cały oddział potrzebował pięciu godzin. Zatem jeśli pierwsza cela poszła około siódmej, wtedy ostatnia miała szansę dostać się tam około południa. W praktyce było to zawsze później. Strażnicy robili sobie zabawy. Ogłosili, że musi być sprawiedliwość, więc codziennie zaczynali wypuszczać z innego końca. Oznaczało to, że codziennie szliśmy o innej godzinie. A załatwianie potrzeb fizjologicznych błyskawicznie, na komendę, ciągle o innych porach stwarzało problemy. Nocniki, jakie mieliśmy w celach, nie były duże i jeśli ich objętość wystarczała dla jednej osoby, to już dla trzech absolutnie nie. Wylewaliśmy je więc za okno, chociaż było to zabronione i karane. Ale innego wyjścia nie było.

Gdy wychodziliśmy do łazienki, klawisze często robili rewizję w celi. Czasami polegała ona tylko na oglądaniu tego, co jest w celi, ale niekiedy był to tzw. kipisz, a więc rewizja wszystkiego. Przy okazji potrafili wyrzucić słomę z sienników, jedzenie z pudełek na kupę, żeby zrobić nam jak największy kłopot i szkodę. Po powrocie zastawaliśmy wszystko poprzewracane. Trzeba było od nowa wszystko układać, oddzielać słomę od jedzenia, czyścić celę, słomę wkładać do sienników i pozbierać wszystkie żdźbła z podłogi, bo robiono straszne awantury o każdy śmieć.

Klawisze byli różni. Wszystko zależało od ich humoru i wytycznych, które dawali im śledczy. Jeden oddziałowy, rosyjski Żyd, był wyjątkowo wredny. Wyładowywał na nas wszystkie swoje kompleksy. Nie znosił inteligentów i Polaków, chociaż mówił po polsku. Pamiętam, raz przyszedł do celi w czasie mrozów i tak po przyjacielsku się pyta: „Zimno, prawda?”. „Oj, strasznie zimno, panie oddziałowy!” A na to zaczyna się drzeć: „Zimno wam, takie owakie...” – i tu następowała więzanka. „Szmaty w garść! Podłogę czyścić! Ruchu! Ruchu! Będzie wam ciepło!” Zmuszał nas do czyszczenia betonu szmatami, żeby się świecił.

Nie mieliśmy kontaktów z nikim poza strażnikami. Obsługę wykonywali Niemcy. Oni nosili jedzenie, roznosili paczki i sprząтали korytarze. Wiem, że w tym czasie w sąsiednich celach siedzieli prominenci hitlerowscy, później straceni. Kiedyś z daleka zobaczyłem Fischera, gubernatora warszawskiego. Niemcy mieli lepiej niż my – prowadzono przeciw nim normalne postępowanie sądowe, bez tortur czy jakichś specjalnych utrapień.

Obiad był koło południa, kolacja o szóstej i spać. Wtedy zaczynały się przesłuchania. Z reguły pobudka była około dziewiątej, gdy człowiek już usnął. Wybudzony z pierwszego snu, poganiamy przez oddziałowego, musiał się szybko ubierać i był prowadzony na dół do cel, gdzie urzędowali śledczy. Tam okna pootwierane, śledczy zakutani w płaszcze i szaliki – a więźnia w lekkim ubraniu sadzano na sedesie jako na właściwym dla niego miejscu (w celach na Oddziale X były klozety). Zaproszenie na krzesło stanowiło dowód wyjątkowej łaski. Oczywiście, jak się siedziało, to nie było najgorzej. Gorzej, gdy kazali stać twarzą do ściany, bez ruchu, w postawie na bacność przez kilka godzin.

Ale nawet w najlepszych warunkach po paru godzinach człowiek się trzął jak osika z zimna i szoku. Przesłuchania nie były łatwe, krzyk przeplatał się z przyjacielskimi opowieściami, jaki pan śledczy jest miły, ale co mi będzie musiał zrobić, jeśli nadal nie będę chciał z nim współpracować. Przyznanie się do win, popełnionych czy nie, to miał być, według niego, dowód patriotyzmu. Odmawianie zaś podporządkowania się ich żądaniom stanowiło dowód zdrady.

Dziś, kiedy czytam o warunkach, w jakich siedzieli ludzie w późniejszych latach, ogarnia mnie dziwne uczucie. To są nieporównywalne światy. Słyszę, że nasi opo-

zycjoniści nie tylko czytali książki, ale nawet je pisali! A gdyby u mnie znaleźli kawałek papieru, nie mówiąc o ołówku, to bym poszedł siedzieć do karceru i stłukliby mnie na kwaśne jabłko. Kiedy słyszę o skarżeniu się na krótkie spaceru, przypomina mi się, że na spacer nie wyszedłem przez pół roku.

O co byłem oskarżany? To, że w okresie okupacji należałem do Narodowych Sił Zbrojnych, nie mogło być podstawą do formalnego oskarżenia. Tym bardziej że po powrocie z Częstochowy zupełnie nie miałem kontaktów organizacyjnych. Jednak uruchomienie szkół akademickich w Warszawie zainicjowało odbudowę życia studenckiego. Kilku członków Organizacji Polskiej, do której należałem, weszło w skład władz studenckich Bratnich Pomocy. Zaczęliśmy nawiązywać kontakty. Jakoś się o tym dowiedziało UB. Moją sprawę pogorszył fakt, że Tadeusz Linowski, jeden z moich kolegów z Politechniki, którego aresztowali w Zarybiu kilka tygodni przede mną, załamał się. Opowiadał bez żadnych zahamowań, co robiliśmy, o czym rozmawialiśmy i co mieliśmy zamiar robić. A więc już na starcie byłem całkowicie rozszyfrowany.

Na początku śledczy też starali się mnie przekonać do współpracy „w imię obowiązku patriotycznego”. Ja zaprzeczyłem wszystkiemu. Moja wersja wydarzeń opierała się na twierdzeniu, że rzeczywiście na spotkaniach byłem, ale nie jako członek jakiegokolwiek organizacji, tylko jako osoba zaproszona, by opowiedzieć o wizycie u prezydenta Bieruta.

Opowiadałem więc o tym kolegom, co było prawdą. Ale śledczy chcieli, żebym się przyznał do przynależności organizacyjnej i abym doniósł na innych. Dla mnie to było nie do przyjęcia, bo elementarne poczucie lojalności zobowiązywało do milczenia.

Napięcie między mną a moim śledczym zaczęło więc narastać. Zwiększał się też stres, któremu nie mogłem się poddać. Ale to bardzo trudno zachować spokój, gdy wszystko jest nastawione, aby ciebie złamać. I jesteś zupełnie sam. Dlatego nieocenioną pomocą były dla mnie rozmowy z pułkownikiem Rudkowskim i jego rady. Przyjąłem kilka prostych, ale niesłuchanie pomocnych zasad. Pierwsza to przekonanie, że zawsze się mogę przyznać do wszystkiego, ale nie muszę tego robić od razu. Zakładanie z góry, że człowiek nigdy się nie przyzna, stwarza niesłuchane obciążenie psychiczne. Natomiast założenie, że nie wyklucza się żadnego zachowania, tylko wybór odkłada się w czasie, stwarza pewien komfort psychiczny. Równocześnie jednak twardo postanowiłem, że nie zmienię zeznań w czasie przesłuchania. Człowiek jest wtedy tak fizycznie i psychicznie skotłowany, że może popełnić straszne głupstwa. Więc sobie powiedziałem, że mogę zmienić zeznania, ale tylko po przemyśleniu tego w celi, a nie pod presją śledczego. Oczywiście takie założenia są dobre w granicach fizycznej wytrzymałości. Na szczęście w moim przypadku nigdy nie została ona przekroczona.

Chodziło też o odpowiednie nastawienie do śledczego. Otóż Rudy kazał mi myśleć, że śledczy, gdy wrzeszczy i nawet gdyby mi robił fizyczną krzywdę, naprawdę nie jest taki zły. On to robi po prostu dla pieniędzy i kariery. A więc należy na jego zachowanie spojrzeć jako na pewnego rodzaju cyrk i nie traktować tego jako jego osobistego zaangażowania przeciwko własnej osobie. To założenie było niesłychanie pomocne. Gdy śledczy zaczynał się wydzierać, to sobie mówiłem: „Cyrk się zaczyna”, i udawałem, że się strasznie boję, ale w duchu starałem się nie brać tego zbyt serio.

Przesłuchania zaczęły się dość szybko. Najpierw były łagodne, potem coraz ostrzejsze. Budzono mnie w nocy, czasami dwa albo i trzy razy. Krzyk, wymyślania. Zdawałem sobie sprawę, że musi być coraz gorzej. Omawialiśmy z Rudym, co mnie może spotkać. Tworzyliśmy różne scenariusze. A więc jak się zachowywać, gdyby mnie zaczęli bić. Na ogół ludzie uciekają jak najdalej od bijącego i wtedy ma on dobre pole do zadawania ciosów. Tymczasem ustaliliśmy, że trzeba odwrotnie – powinienem lecieć na śledczego, aby nie miał zamachu. Wtedy nie może bić mocno i dobrze wyprowadzać ciosów. Trzeba krzyczeć i płakać, że boli. On powinien mieć satysfakcję i uwierzyć, że mnie złamał. Spodziewaliśmy się, że mogą mnie wsadzić do karceru. To była ciemna piwnica (z temperaturą bliską zewnętrzną), do której człowieka zamykano nagiego, nawet na kilka dni. Zastanawialiśmy się, co można przeszmygłować, aby ułatwić sobie przetrwanie, i uznaliśmy, że najważniejsze są kapcie, bo mogą stanowić istotną izolację stóp od betonu.

I rzeczywiście, przyszli po mnie rano w Sylwestra. Zaprowadzili na parter pod schody i oddziałowy kazał się rozbierać. Zrealizowałem cały przemyślany scenariusz. Najpierw zdjąłem kapcie, skarpetki, spodnie i kalessony. Potem nałożyłem kapcie, chociaż oddziałowy od razu powiedział: „Nie zakładajcie, bo i tak musicie je zdjąć”. Oczywiście mu przytaknałem i zacząłem długo go przekonywać, że nie powinien mnie tam wsadzać. Trwało to tak długo, że na mnie huknął, abym się pospieszył, bo już go czas naglił. Zrzuciłem wtedy szybko górną część garderoby i szybko wszedłem do karceru, żeby tych kapci nie zobaczył. Udało się.

Stałem nago pośrodku piwniczki w absolutnej ciemności i tylko rękami masowałem całe ciało. Było zimno. Nawet bardzo. Nogą wyszukałem jakieś naczynie, które mogło służyć do celów fizjologicznych. Ale po każdorazowym użyciu podłoga stawała się mokra. Naczynie więc albo nie miało dna, albo było dziurawe. Stało się w kałużach własnego moczu. Czas płynął. W pewnym momencie otworzyły się drzwi. Pokazał się w nich oddziałowy. „Będziecie mówić prawdę?” Powstał problem, jak ochronić kapcie. Gdybym wyszedł z karceru albo nawet za bardzo się zbliżył do drzwi, oddziałowy mógłby zobaczyć kapcie i kazać mi je zdjąć. A w miarę jak marziłem, coraz bardziej doceniałem to, że je mam. Więc z daleka zacząłem wołać: „Będę mówił”, i zaraz dodawałem: „Ja cały czas mówiłem prawdę”. Oddziałowy szybko powiedział: „To sobie siedź”, i zatrzasnął drzwi. Znowu ogarnęła mnie ciemność i chłód.

Zmęczenie dawało o sobie znać coraz bardziej. Zaduch parującego moczu czułem już mniej. Zresztą zapach nie był istotny. Istotne było przetrwanie. Głodu nie odczuwałem wcale, choć od szeregu godzin nic nie jadłem ani nic nie piłem. I znowu po jakimś czasie drzwi się otwały i powtórzyła się scena ochrony kapci. Problem kapci stał się sprawą podstawową. Bo o co innego mogłem grać?

Wreszcie za trzecim razem usłyszałem rozkaz: „Wychodzić!”. Podeszedłem do drzwi i klawisz zobaczył kapcie. „Kto ci na to pozwolił? Zdejmować!” Zdjąłem, ale usłyszałem komendę: „Ubierać się!”. Wróciłem do celi. Była już noc. W karcu przesiedziałem 14 godzin. Byłem całkowicie zaskoczony – 14 godzin! W absolutnej ciemności i ciszy, odcięty od jakichkolwiek sygnałów zewnętrznych, człowiek całkiem traci poczucie czasu. To straszne uczucie zawieszenia w pustce. Cieszę się, że tylko raz je przeżyłem. Dobrze rozumiem torturowanych więźniów, którym przez ciszę i ciemność zupełnie zakłócano normalny tryb funkcjonowania organizmu. W celi Rudy czekał na mnie z niepokojem. Ucieszył się, gdy wróciłem. Mieliśmy odłożoną na taką okazję porcję boczku z mojej paczki. Kazał mi natychmiast zjeść, aby odbudować straty ciepła, i położył pod wszystkimi kocami i pal-tami, jakie mieliśmy w celi. Organizm dwudziestolatka jest jednak odporny. Nawet kataru nie dostałem.

Podczas świąt Bożego Narodzenia na kilka dni zaprzestano przeszuchań, a w pierwszy dzień Świąt każdy dostał całego śledzia. To był najwspanialszy śledź w moim życiu. Normalnie jedzenie było okropne. Trudno to nawet nazwać jedzeniem. Kawałek chleba i zupa, jeśli tak można określić pół litra wody, w której pływała marchew przekrojona wzdłuż na połowę. Długo na takim jedzeniu nie dało się wytrzymać. A tu nagle śledź dla każdego. Oczywiście wystąpiły trudności techniczne z jego skonsumowaniem. Każdy z nas miał tylko miskę i łyżkę. Noże i widelce były absolutnie zakazane. Jak obrać śledzia z ości w misce za pomocą łyżki? Wydaje się to trudne, ale jeśli człowiek chce, to wszystko potrafi.

Jednak Świąta to był trudny okres. Przez okno widzieliśmy choinki w domach przy alei Niepodległości. Domy te zamieszkiwali wybrani i pewni towarzysze, którzy gwarantowali, że nie będą się w żaden sposób porozumiewać z więźniami. Ale ubowcy też obchodzili Świąta, pierwsze Świąta w rzekomo wolnej Polsce. I oni mieli choinki. Niedobrze było na nie patrzeć. Pilnowaliśmy się bardzo, aby nie wpaść w melancholię i depresję. Jeden z tematów absolutnie zakazanych stanowiło myślenie o tym, co się dzieje na wolności, czy o tym, co bym robił, gdybym znajdował się poza tymi murami. To był inny świat i o nim nie należało myśleć, jeśli chciało się przetrzymać więzienie.

Na następnej stronie:
podziemne korytarze więzienia przy Rakowieckiej



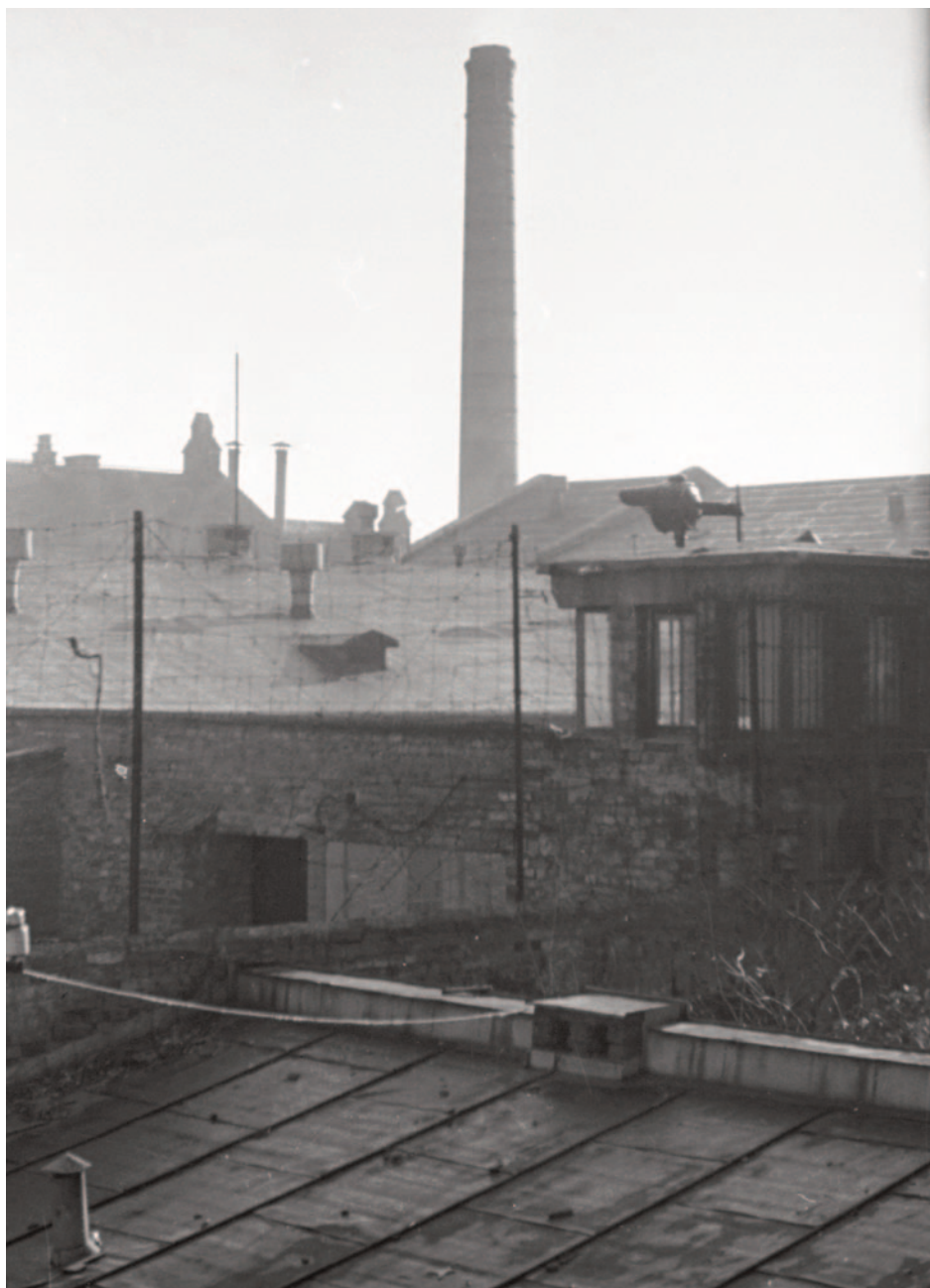
W nowym roku śledztwa rozpoczęły się z rozmachem, aby więźniowie nie odczuli zbyt długo przerwy świątecznej. Znowu wymyślania, wrzaski i groźby. Jeszcze dwukrotnie prowadzili mnie do karceru, kazali się rozbierać, ale w ostatniej chwili zaprowadzili do celi z powrotem.

Moim śledczym był podporucznik Bronisław Szymański, Polak gdzieś z głębi Rosji. Mówił zniekształconym polskim. Inni śledczy nazywali go „Bronka”. Nie-sympatyczna postać, chociaż nie był sadystą. Podlegał porucznikowi Ludwikowi Serkowskiemu. On awansował w MBP i jest odnotowany w historii tej instytucji. Nie muszę dodawać, że niezbyt chlubnie. Serkowski przychodził czasami na przesłuchania i zachęcał Szymańskiego do bardziej stanowczego traktowania. Raz przyszedł również Różański, który wygłosił do mnie mowę, a Szymańskiemu udzielił reprimendy za zbyt łagodne prowadzenie śledztwa. Słuchałem tego, siedząc na kiblu i trzęsąc się z zimna.

W styczniu nastąpiło jedno przykre wydarzenie. Którejś nocy nagle Szymański krzyknął: „Ja wiem, dlaczego tak się opierasz. Ciebie Rudkowski tego uczy”. Kazał mnie natychmiast przenieść do innej celi. W środku nocy wróciliśmy na oddział i przeniesiono mnie do innej celi. Nawet z Rudym nie miałem czasu zamienić paru słów. Uścisk dłoni musiał wystarczyć. Dwa lata później, już na wolności, spotkałem się z nim na kawie. Jednak trudno już było wrócić do tamtych chwil i tamtego nastroju.

Tym razem zostałem osadzony w celi samotnie. Zdać się mogłem tylko na siebie. Za to było wygodniej. Miałem własną prycę i zawartość całej paczki do swojej dyspozycji. Poprzednio dzieliliśmy się z Rudym, który paczek nie dostawał. Ale samotność w celi nie jest łatwa. W tak trudnych momentach człowiek potrzebuje wymiany myśli czy po prostu kontaktu z kimś. Było mi ciężko, a śledztwo prowadzono z nie-słabnącym tempem. Śledczy nieustannie domagał się przyznania do win popełnionych i niepopelnionych. Chciał sukcesu, a ja mu go utrudniałem. Stałe groźby i krzyki, zmęczenie chłodem, zarywane noce. W dzień obowiązywał zakaz spania, ściśle egzekwowany przez oddziałowych. Pod koniec stycznia obchodziłem swoje dwudzieste piąte przesłuchanie w ciągu niespełna dwóch miesięcy. Zaczynałem być zmęczony, ale z uporem nie zmieniałem stanowiska. Nie należałem do żadnej organizacji i nie mam nic do powiedzenia o kolegach. A aresztowanych było coraz więcej.

Nagle nastąpił zwrot. Przestali mnie wzywać. Przeprowadzili dość formalną konfrontację z Tadeuszem Linowskim, tym kolegą, który zgodził się sypać. Gdy zaczął mi tłumaczyć, że trzeba mówić prawdę, bo to dobre dla Polski, krzyknąłem: „Kłamiesz!”. Myślałem, że śledczy mnie zabije, tak się na mnie rzucił, krzycząc, że obrażam kolegę. Ale to już był inny nastrój. Jak się mi wydaje, wtedy zapadła decyzja, że będziemy mieli proces półjawny, bo władzom nie zależało na zniszczeniu nas, tylko na skompromitowaniu w oczach studentów warszawskich. Mieliśmy być przestrogą dla innych.



Zabudowania więzienia przy Rakowieckiej, widoczna wieżyczka strażnicza i komin więziennej kotłowni, ok. 1960. Fot. NAC

Po kilku tygodniach samotności dodano mi towarzysza. Obaj byliśmy zaskoczeni, gdy do celi wszedł Michał Pobocha, jeden z szefów NSZ. Znaliśmy się jeszcze sprzed powstania i obawialiśmy jakiegoś podstępu. Ale chyba nie o to chodziło. Śledczy powiedział Pobosze, że dodali go do mnie, żeby się trochę odżywił. On nie dostawał paczek i był w złym stanie fizycznym po 250 (!) przesłuchaniach. Jak bardzo był wygłodzony, mogłem się przekonać natychmiast. Moje paczki były tak bogate, że nie zjadałem wszystkiego, tylko to, co lepsze. Resztę odkładałem i miałem całą puszkę boczku, który mi przysyłano, a którego ja nie lubiłem. Boczek ten mienił się już wszystkimi kolorami tęczy. Jak Michał go zobaczył, to się na niego rzucił. Moje ostrzeżenia, żeby jadł powoli, w obawie przed zatruciem, na nic się nie zdały. W ciągu kilku godzin pochłonął blisko kilogram tłustego i mocno nadpsutego boczku. Pan Bóg był łaskawy, że nic mu się nie stało. Później mówił, że był to najwspanialszy dzień od chwili jego aresztowania. Został skazany na kilkanaście lat więzienia. Siedział długo. Spotkałem go dopiero po 50 latach, gdy był około dziesięćdziesiątki i miał zweryfikowany stopień pułkownika.

Zrobiło się przyjemniej, bo mieliśmy wielu wspólnych znajomych i wiele wspólnych tematów. Po kilku tygodniach przybył nam trzeci współlokator. Młody chłopak, partyzant z Białostockiego. Dla niego to też był już komfort. Przeszedł więzienia w piwnicach lokalnych urzędów bezpieczeństwa, bicie, poniewierkę, głód i mróz. Teraz miał już spokój, ciepło i udział w moich paczkach. Wracał do życia.

Mieliśmy jeszcze czwartego towarzysza. W sąsiedniej celi numer 7 był więziony Czarny, dowódca Polskiej Armii Ludowej, lewicowej organizacji wojskowej z czasów hitlerowskiej okupacji, ale nie podporządkowanej Moskwie. Nie pamiętam jego autentycznego nazwiska. Organizacja ujawniła się i chciała nawiązać współpracę z władzami. Początkowo przyjmowano go wszędzie z honorami. Przyjmowali go również generałowie rosyjscy. Aż któregoś dnia w czasie wizyty poproszono go do drugiego pokoju, a potem, już mniej grzecznie, skuto kajdankami i rzucono na koks w kotłowni. Przeleżał tam parę dni i po różnych przejściach wylądował na Mokotowie. Tutaj od kilku miesięcy nikt z nim nie rozmawiał. Dostawał paczki i siedział.

Moi poprzednicy w naszej celi numer 8 obluźowali śrubę przytrzymującą łóżko. Ta sama śruba przechodziła przez ścianę i trzymała analogiczne łóżko w sąsiedniej celi. Jeśli się więc odkręciło nakrętkę z mojej strony, to Czarny mógł wyciągnąć śrubę na swoją stronę i powstawał otwór o średnicy około centymetra, łączący obie cele. Można było dzięki temu łatwiej rozmawiać. Raz usiłowaliśmy obejrzeć swoje twarze, jednak to było trudne. Za mała średnica. Ale otwór wykorzystywaliśmy do zaopatrzenia. W paczkach otrzymywałem papierosy, które nie były mi potrzebne. A on ciągle miał ich za mało. Organizowaliśmy ich przerzut, nabijając je na drut wyjęty z łóżka.

Względny spokój, jaki wtedy zapanował, skłaniał do przemyśleń. Zastanawiałem się wielokrotnie, czy można ludzi osądzać za zachowanie w trudnych sytuacjach. Większość kolegów współoskarżonych ze mną w tym samym procesie poszła na jakieś kompromisy ze śledczymi. Do niektórych miałem wtedy poważne zastrzeżenia, jednemu kilka lat później odmówiłem podania ręki. Rozmawiałem jednak z ludźmi poddawanyimi torturom i naciskom trudnym do zniesienia. Mój dowódca, którego byłem adiutantem w Częstochowie, został skazany na śmierć i wyrok wykonano. Nad wieloma więźniami wisiała groźba śmierci albo wieloletniego więzienia. I wtedy powiedziałem sobie, że nie mogę sądzić zachowań ludzi, którzy znaleźli się w warunkach naprawdę ekstremalnych. Nikt nie może określać, gdzie są granice wytrzymałości innych. Ale to nie oznacza, że mogę dziś akceptować opowieści o konieczności podporządkowania się żądaniom służb specjalnych pod rzekomą presją i zagrożeniem. Czy strach wszystko usprawiedliwia, jeśli nic poważnego – więzienie, karcer ani bicie – tak naprawdę człowiekowi nie groziło?

Wróćmy jednak do tamtych czasów. Następne miesiące były łatwiejsze. Przesłuchania się skończyły. Michała wzywano rzadko, Partyzanta wcale. Zbliżała się wiosna. Zaczęliśmy nawet dostawać gazetę. Oczywiście komunistyczny „Głos Ludu”. Zajmowaliśmy się typowymi zajęciami więźniów. Michał rzeźbił w chlebie. Zrobiliśmy sobie szachy. A nawet układaliśmy wiersze. Jeden z nich odtworzyłem z pamięci. Nie mieliśmy wtedy ani papieru, ani ołówka. Wszystkiego trzeba się było uczyć na pamięć. Przydało się to po wielu latach.

*Reakcyjni ci panowie,
co się władzy sprzeciwiali,
w Mokotowie zamieszkali
i „Głos Ludu” tam czytali.*

*I czytali o reakcji,
co się mieści w PSL-u,
co wciąż bruździ demokracji,
choć własnego nie ma celu.*

*Stalin mądry, Churchill głupi,
Tito kocha demokrację,
Franco znów Hiszpanię łupi.
A Gomułka? Ten ma rację!*

W WIĘZIENIU

*Gandhi Indii chce wolności,
w Ameryce czarnych biją,
Ley powiesił się ze złości,
a Sowietci dobrze żyją.*

*W Anglii bieda jest straszliwa,
w Indonezji ciągle wojna,
za to Polska jest szczęśliwa,
za to Polska jest spokojna.*

Nie jest to wielka poezja. Ale był to dobry sposób na zabicie czasu, a także okazja do rozmów i żartów, których tak bardzo potrzebowaliśmy.

Któregoś dnia do celi wpadła mysz. Była zastraszona i po rurze wdrapała się aż pod sufit. Chcieliśmy ją obłaskawić, ale zbyt się bała. Żywe stworzenie w celi jakoś zmieniło nastrój. Przypomniały mi się różne filmy, w których galernicy i skazańcy przyjaźnili się z jakimiś zwierzątkami. Niestety, po kilku dniach uciekła, gdy byliśmy wyprowadzeni do łazienki.

Wprowadziliśmy porządek, dzieląc się obowiązkami. Jeden z nas był nocnikowym. Zajmował się porządkiem, sprzątaniami podłogi i nocnikiem. To była najgorsza funkcja. Jedyne narzędzie do sprzątania stanowił kawałek starego niemieckiego munduru, który się zwijało w twarde rulon i którym szorowało się beton podłogi tak, aby się błyszczał. Maszerowanie do łazienki z pełnym nocnikiem w rękę też nie należało do przyjemnych. Drugi z nas był kuchennym, odpowiedzialnym za zapasy żywnościowe i wydzielanie zapasów przeznaczonych danego dnia do zjedzenia. A trzeci był hrabią. Hrabia nie tylko nic nie robił, ale musiał być też obsługiwany przez innych. Mógł mieć swoje zachcianki, jak prawdziwy hrabia, i trzeba było mu je spełniać. Codziennie następowała rotacja. Więc gdy się aktualny hrabia zanadto rozzuchwalał, to natychmiast pacholki przypominały mu, jaki będzie jego los za dzień czy dwa. Tak się żyło, kiedy śledczy o nas zapominali.

W połowie kwietnia kazano zabrać mi rzeczy i wyjść z celi. Pojęcie „zabrać rzeczy” jest trochę mylące. Żaden z więźniów nie miał własnych rzeczy. Ja byłem w wyjątkowej sytuacji, bo dzięki paczkom z domu dysponowałem dodatkowym swetrem i kilkoma chustkami do nosa. To były luksusy. Rzeczy więźnia sprowadzały się na ogół do miski, łyżki, głęboko schowanego kawałka blachy z puszek, służącego jako nóż, figurek ulepionych z chleba i do zaoszczędzonych resztek jedzenia. Każdy więzień starał się mieć jakieś osobiste skarby, które gromadził po to, aby mieć jakąkolwiek własność. Gdy spojrzeć z zewnątrz, to było żałosne. Ale tak bardzo potrzebne. Nie wziąłem ze sobą swego jedzenia. Ja dostawałem paczki, a koledzy nie, więc im zostawiłem nasze zapasy.

Wraz z grupą kilku innych więźniów politycznych przeniesiono nas do cel ogólnych, które dzieliliśmy z kryminalistami. Wkrótce po tym odczytano mi akt oskarżenia i miałem pierwsze spotkanie ze swoim adwokatem. Zbliżał się proces, a więc nie musiałem być już w izolacji. Miejsce w pawilonie śledczym potrzebne było dla innych.

Cela kryminalna była duża, mieściła się na trzecim piętrze głównego budynku. Przy drzwiach wisiała tablica z jej charakterystyką: „Może się pomieścić dwudziestu kilku więźniów. Mieści się...” – i tu wpisywano aktualny stan. Zwykle to było blisko 70. Na środku celi znajdował się długi stół. Wokół niego nieprzerwany ciąg więźniów odbywał ciągłą wędrówkę, tzw. kierat. Wzdłuż obu długich ścian były przymocowane łóżka. Na dzień podnosiło się je i mocowało pionowo do ścian. Na noc się opuszczało. Oczywiście nikt nie miał swego łóżka do dyspozycji. Ludzi było przecież znacznie więcej niż łóżek. Łączono je więc drutami, na których też się kładło sienniki. Gdy i tych miejsc zabrakło, więźniowie spali pod stołami. Miejsce wyznaczał celowy, który był absolutnym władcą w celi. Służba więzienna wybierała go spośród kryminalistów umiejących utrzymać porządek. Wokół celowego tworzyła się grupa współwładców, którzy mieli uprzywilejowaną pozycję. Trzeba było im się opłacać i dbać o ich przychyłność.

W celi obowiązywała ścisła hierarchia. Liczyło się kilka elementów. Przede wszystkim długość pobytu w więzieniu. Kto siedział dłużej, ten był wyżej notowany. Drugi czynnik to charakter przestępstwa. Za niekwestionowany autorytet uchodził siedzący z nami kasiarz. To najwyższa półka w świecie złodziejskim. Bo samego określenia „złodziej” nie traktowano jako obraźliwego. To było określenie zawodu i jako takie wymagało szacunku, tak jak inżynier czy lekarz. Kto myślał inaczej, mógł się spodziewać najgorszego. Ale złodziej złodziejowi nierówny. Jeśli więc kasiarz stał na czele hierarchii, to na jej dole byli złodzieje „na wydrę”, czyli wyrwający damskie torebki.

Kieszonkowcy to już wyższa specjalność. Wiele z ówczesnych złodziejskich specjalności dziś nie istnieje – „gołębiarze”, specjalizujący się w kradzieży suszonej na strychach bielizny, albo inni, okradający wozy chłopów jadących na targ.

W naszej celi najgorzej traktowano chłopca oskarżonego o zabójstwo żony. Był silny, ale ciemny i zamknięty w sobie. Bandyta, a nie zawodowy złodziej, być może ograniczony umysłowo. Traktowali go strasznie. Poniewierali nim i używali do najgorszych posług, musiał spać w najgorszym miejscu. On posłusznie, choć z zaciętą twarzą, wykonywał polecenia. Ale myślę, że z radością zabiłby kilku prześladowców, gdyby miał po temu okazję. Pewnego dnia do celi wprowadzono księdza. Nie chciał powiedzieć, o co go oskarżają, ale nie był więźniem politycznym. Więźniowie księży szanują, lecz istniał przesąd, że jak ksiądz jest w celi, to będzie w niej wyrok śmierci. Powiało więc chłodem. Jednak szybko wszyscy się uspokoiili, że na śmierć skazą pewnie chłopca, więc problem był z głowy.

Z księdzem była zaraz awantura. Codziennie rano odbywał się apel. Musieliśmy się ustawiać w piątkach, żeby ułatwić liczenie, i według wzrostu, żeby mały nie mógł się chować między wysokimi. Pierwszego dnia służbę miał ten oddziałowy rosyjski Żyd, o którym już pisałem. Od razu po wejściu przyczepił się do księdza, już nie pamiętam o co, i zaczął wykrzykiwać jakieś inwektywy. Że tu nie kościół ani bóżnica, że trzeba się zachowywać jak więzień. Wyzwierał się na księdza długo. Jednak reakcja celi była jednolita, bo przecież księdza trzeba szanować. Najpierw martwa cisza, potem lekki szum. Celowy wystąpił przed szereg i oświadczył, że to on odpowiada tu za porządek i że ksiądz sprawuje się dobrze. Napięcie rosło. Klawisz popatrzył po oczach i wyszedł.

W celi kwitł handel, a nawet rzemiosło. Jeden z więźniów był szewcem i robił wszystkim kapcie na skórzanej podeszwie i z sukiennymi wierzchami. Były bardzo wygodne. Mogliśmy je kupić za papierosy czy żywność.

Skąd on brał materiał, tego nikt nie wiedział. Ale miał i zamówienie wykonywał w ciągu kilku dni. Ja byłem bogaty. Paczki przychodziły, dzieliliśmy się nimi w grupie więźniów politycznych, trochę zawsze oddawałem grupie celowego. Przede wszystkim papierosy, których nie paliłem.

Do celi wprowadzono nas sześciu politycznych. Byliśmy pierwszą grupą z pawilonu śledczego. Więźniowie wiedzieli o nim dużo, więc to, że przeszliśmy przez niego oraz że mamy już za sobą dłuższy staż więzienny, dało nam dość wysoki stopień w hierarchii i dużą niezależność. Nie mieszano się do nas. Chociaż zdarzały się konflikty. Mycie odbywało się w miednicach rozstawianych na ławkach. Codziennie rano ustawiały się kolejki, każdy miał swoje parę minut. Któregoś dnia, gdy zbliżałem się do miednicy, z drugiej strony podszedł jeden z ważnych pomocników celowego, powiedział po przyjacielsku: „wyp...”, i zabrał miednicę. Była to chyba próba podporządkowania naszej grupy, bo akceptacja takiego zachowania tworzy precedens. Mnie trafił szlag, wyrwałem mu ją, oblewając go wodą. Cela zamarła. To oznaczało wypowiedzenie wojny. Utworzyło się od razu koło, bo musiało się skończyć bójką. Nie miałem w tym starciu żadnych szans, nie byłem silny ani nie umiałem się bić. Naraziłem się na skatowanie. Jednak zagrała solidarność. W mojej obronie wystąpiła cała grupa, a do bójki wystąpił najmocniejszy z nas. Zwarli się mocno, ale inni natychmiast zaalarmowali oddziałowego, który wpadł i bójkę przerwał. Napięcie jeszcze trwało. Kolejki do miednic się rozleciały. Ale niezależność i pozycja naszej grupy została utrzymana.

Ten mój obrońca miał jakąś paskudną sprawę o udział w zbrojnych grupach walczących z reżimem. Bał się kary śmierci i z tą obawą musiał żyć wiele miesięcy. Po swojej rozprawie, która trwała jedynie parę godzin, czekał na wyrok cały tydzień. Staraliśmy się odwracać jego myśli, bo nic innego nie mogliśmy zrobić. Po ogło-

szeniu wyroku wrócił do celi rozpromieniony. Od progu wołał oszalały ze szczęścia: „Dostałem 15 lat! Cudownie!”. Zrobił święto w celi, rozdając wszystkim, co tylko miał, aby cieszyli się z nim razem. Jakież względne bywają oceny!

Największy przywilej dla więźniów stanowiła możliwość pracy. Stałą pracę mogli uzyskiwać więźniowie po wyroku. Takich w naszej celi nie było. Ale więźniów używano do prac doraźnych. Przychodził oddziałowy i wołał, że tylu a tylu jest potrzebnych, i wymieniał przydatne kwalifikacje. Rzucali się wtedy chętni do drzwi. Klawisze robili sobie zresztą zabawy. Raz zawołali, że potrzeba czterech silnych i jednego lekkiego. Kiedy kandydaci się do drzwi rzucili, ustawili ich w rzędzie, zaczęli badać mięśnie, mierzyli wzrost, żeby był równy. A jak wybrali po godzinie szczęśliwców, to okazało się, że chodzi o wymianę żarówki na korytarzu. Czterech silnych musiało podnieść tego lekkiego i po pięciu minutach byli w celi z powrotem.

Przeprowadzka do cel ogólnych zmieniła moje życie. Uzyskałem możliwość codziennych spacerów. Po wielomiesięcznym siedzeniu w celi była to duża zmiana. Również cotygodniowa wycieczka do łaźni stanowiła ewenement. Ale najważniejszą sprawą stanowiły widzenia. Rodzice dostali prawo do widzenia raz na miesiąc. Mały pokój był podzielony na dwie części. Rozdzielały je dwie równoległe ścianki, oddalone od siebie o metr. Pomiedzy nimi chodził strażnik, a więzień mógł patrzeć i usiłować rozmawiać z rodziną przez siatki umieszczone w obu ściankach. Naraz wpuszczano kilku więźniów. Do każdego z nich mogło przyjść po kilka osób. Więc jak wszyscy naraz zaczęli rozmawiać, to wrzask robił się tak wielki, że nic nie dało się usłyszeć.

Miałem też pierwsze widzenia z adwokatem. To już były rozmowy przy stoliku, ale zawsze w obecności klawisza. Miało to głównie znaczenie psychologiczne, bo utrudniało ustalenie linii obrony. Rodzice cały czas intensywnie starali się doprowadzić do mego zwolnienia. Wiadomo było, że rola adwokatów jest znikoma i że liczą się tylko osobiste dojscia. Matce udało się uzyskać szereg wizyt u różnych, bardzo wysoko postawionych osób, m.in. u Róžańskiego. Podobno obiecał, że potraktują mnie łagodnie. Ale co to naprawdę znaczyło, tego nikt nie wiedział.

W maju 1946 roku rozpoczął się półjawnny proces naszej grupy. Półjawność polegała na tym, że proces odbywał się w więzieniu i wstęp za przepustkami mieli przedstawiciele organizacji studenckich, prasa i po jednym członku rodziny. Po wielu latach dowiedziałem się, że wśród reporterów był Władysław Bartoszewski, który jeszcze wówczas był wolny i pracował dla „Gazety Ludowej”, organu prasowego opozycyjnego PSL. Na ławie oskarżonych siedziało nas 13 osób. Głównym oskarżonym był Tolek Symonowicz, asystent Uniwersytetu i organizator studenckiego koła członków Organizacji Polskiej. Potem byli przedstawiciele władz Bratniej Pomocy ze wszystkich uczelni warszawskich. Wreszcie dodano pięciosobową

grupę studentów, członków NSZ, oskarżonych o próbę zamachu na jakiegoś wysokiego urzędnika reżimu, żydowskiego pochodzenia. Tej grupy nie znałem wcześniej, a jej związek z nami był iluzoryczny. Rozumiałem, że władze chciały pokazać, do czego jesteśmy zdolni. Zresztą sama próba zamachu była bardzo niejasna – ani z aktu oskarżenia, ani z zeznań świadków nie rysowała się logiczna całość. Podobno mieli go zabić, więc poszli do jego domu na Kruczą. Zadzwonili, otworzył im on sam. Mimo że go znali, zapytali się elegancko, czy jest w domu. On odpowiedział, że go w domu nie ma. Wtedy oni grzecznie powiedzieli „przepraszam” i sobie poszli. Nic nie rozumiałem z tych zeznań. Ale też nikomu nie zależało, aby to logicznie wyglądało.

Jako jedyny do niczego się nie przyznałem. Pozostali koledzy zeznawali różnie. Niektórzy przyznawali się do wszystkiego, a nawet więcej, i kajając się przed sądem, prosili o wyrozumiałość. Inni przyznawali się częściowo, starając się zmniejszyć swój udział. Proces trwał kilka dni. To było bardzo przyjemne. Dużo ludzi, dużo wrażeń. Ogłoszono wyroki. Najwyższy dziesięć lat, potem coraz niżej. Ja dostałem tylko rok, i to nie za udział w organizacji, ale z tzw. artykułu „wiedział – nie powiedział”, czyli za to, że mając wiadomości o przestępczej działalności innych, nie dałem znać władzom. Ci, którzy się przyznali, dostali po dwa, trzy lata, ale w zawieszeniu, i zaraz po procesie poszli do domu.

Mnie wyroku nie zawieszono, więc poszedłem siedzieć dalej. Musiałem czekać na wynik apelacji. Ale już było spokojniej. Wiedziałem, że w najgorszym razie czeka mnie jeszcze kilka miesięcy. Żałowałem tylko straty czasu.

Minęło lato, mijała jesień, a wyniku apelacji nie było. I nagle jednego dnia w początkach października otworzyły się drzwi i oddziałowy zawołał: „Regulski, na wolność!”. W takich przypadkach wszyscy rzucają się na szczęśliwca, zasypując go prośbami do spełnienia na wolności. Oddziałowy krzyczy, żeby się pospieszyć. Delikwent zbiera rzeczy, rozdaje wszystkie skarby, gromadzone w celi, które mogą się przydać innym, i szybko leci do drzwi. A tam czekają już na niego koledzy, aby zgodnie ze zwyczajem kopnąć go w siedzenie, żeby pamiętał i nigdy nie wracał do celi. Oczywiście nikt nie chce wracać, ale kopniaki bywają mocne, więc trzeba się jakoś chronić. Ja kopniaka dostałem i na szczęście nigdy tam nie wróciłem. Sąd Najwyższy zawiesił wykonanie końcówki wyroku, który zresztą odsiedziałem prawie cały. Ale to była ważna dla mnie decyzja. Wychodziłem jako więzień śledczy, a nie jako ten, który odsiedział wyrok. Dzięki temu, że tych kilku tygodni nie odsiedziałem, wyrok był po paru latach kasowany i mogłem występować jako osoba niekarana.

Znów przechodziłem przez ciąg krat i furt. Zamykały się za mną ze szczękiem. Ale tym razem szedłem w innym kierunku, czułem, że jednocześnie otwiera się przede mną świat. Przed bramą na Rakowieckiej czekali na mnie Rodzice. Wsiadliśmy do służbowego samochodu Ojca i pojechaliśmy do Zarybia.

18

Więzienie

Karta zwolnienia.

WIEZIENIE W MOKOTOWIE

Więzień śledczy

Reguński

z Krak.

zwolniony został

dzisiaj o godz. z aresztu prewencyjnego i udaje

się do Podkorny-Losnij

dnia 30 września 1946 r.

Księga więźniów I

Nr. 1684/46

Naczelnik Więzienia

M. S. № 10 wr -1131-41.

Karta zwolnienia z aresztu.

Karta zwolnienia z więzienia, 1946

Dziś przechodzi przez Polskę szal lustracji, poszukiwania agentów i tajnych współpracowników dawnych służb bezpieczeństwa. Polowanie na te czarownice stało się igraszką w rękach młodych ludzi, którzy ani nie żyli w czasach PRL, ani nie mają dużego pojęcia, jak to życie wyglądało. Łatwo jest ferować wyroki, łatwo być moralistą rozstrzygającym zza biurka, co było właściwe, a co moralnie złe w warunkach, które zna się jedynie z książek. Znacznie trudniej jest takie wyroki ferować tym, którzy tamtego życia zaznali i pamiętają wszystkie uwarunkowania, którzy sami musieli dokonywać trudnych, często dramatycznych wyborów. Moje osobiste doświadczenia skłaniają do kilku refleksji.

Siedząc w więzieniu, byłem blisko ludzi doprowadzonych przez śledczych do granic wytrzymałości. To wtedy sobie powiedziałem, że nie mam moralnego prawa do oceniania ich zachowań. Nie można określić, gdzie są granice wytrzymałości innych osób – wątpliwe, aby ktokolwiek miał do tego prawo. Ludzie w więzieniu sypali innych. Czy wolno dla ratowania swego życia poświęcić drugiego człowieka? Kodeks karny dopuszcza zadanie śmierci w obronie własnej. A więc uznaje, że życie własne ma dla każdego człowieka większą wartość niż życie drugiego. Oczywiście w śledztwach zachodziła bardziej złożona i przez to mniej wyrazista zależność. Człowiek, którego sypiący poświęcał dla obrony życia czy zdrowia własnego, nie zagrażał bezpośrednio niczyjemu życiu. Złożenie na niego zeznania było czymś w rodzaju okupu danego w zamian za życie swoje. Kiedy i w jakich warunkach taki postępek może być usprawiedliwiony? Na to odpowiedzi nikt nie może udzielić.

Ale te dywagacje wolno prowadzić tylko wtedy, gdy rzeczywiście istniało zagrożenie życia, gdy przez tortury doprowadzano do granic wytrzymałości ludzkiej. Takie sytuacje w Polsce istniały w okresie terroru stalinowskiego. Ale nie w okresach późniejszych. Ludzie nie musieli ratować samych siebie, donosząc na innych. Jeśli to robili, to dla własnych interesów. Wszelkie próby usprawiedliwienia siebie i swojego postępowania rzekomym przekonaniem, że ujawnienie działań innych osób, a tym samym ich oskarżenie, jest uzasadnione wyższymi celami, patriotyzmem, chęcią uspokojenia kraju czy pojednania władzy z opozycją, są naiwne albo dowodzą, że ktoś przechodził do obozu władz komunistycznych. Takie wyjaśnienia były dla mnie zawsze niewiarygodne i traktowałem je jako chęć usprawiedliwienia słabości. Dlatego gdy mój dawny kolega, który w śledztwie sypał wszystkich, po wyjściu z więzienia przyszedł do mnie, nie podałem mu ręki i nie przyjąłem jego wyjaśnień. Jemu śmierć nie groziła, a usprawiedliwianie się wyższymi celami było po prostu śmieszne. Gdyby przyszedł i wprost powiedział: „Złamali mnie, wybacz”, może bym mu wybaczył. Ale po co robić z siebie bohatera, gdy jest się po prostu człowiekiem słabym?

Mogę rozgrzeszyć ludzi rzeczywiście zagrożonych utratą życia i doprowadzonych do przekroczenia granic wytrzymałości. Mogę też zrozumieć zachowania ludzi, którzy podejmując współpracę, w jakiś sposób poświęcali się dla dobra innych. Sam to przeżywałem, gdy szereg lat później musiałem wybierać między zdrowiem córki a czystością zachowań. Wybraliśmy z moją żoną Danką tę drugą wartość, ale wielokrotnie później zastanawiałem się, czy miałem prawo takiego wyboru dokonać. Czy nie powinienem się być ześwinić dla dobra dziecka? Czy wolno było ryzykować szczęście i zdrowie dzieci dla zasad?

Dziś mogę też rozgrzeszyć tych, którzy w przypadkowy sposób wpadli w sidła UB i nie umieli się z nich wyplątać. Ktoś coś niósł i go złapali, jakiś uczeń zaangażował się w ulotki, nie bardzo zdając sobie sprawę ze skali niebezpieczeństwa. Podpisał coś, z czego później z trudnościami się wyplątywał. Trzeba być wyrozumiałym dla ludzkiej słabości, niefrasobliwości czy po prostu głupoty. Jednak nie może być wybaczenia dla osób świadomie podejmujących współpracę, która zawsze była szkodliwa dla innych. Z pogardą słucham dziś wyjaśnień ludzi tłumaczących to jakimiś wyższymi względami, chęcią spenetrowania ubecji czy ewangelizacją ubeków. Mam wrażenie, że po prostu kpią ze mnie, bo nie wierzę, aby byli aż tak głupi. A jeśli ktoś sprzedał się za paszport, to dowodzi tylko, że łatwo się sprzedaje. Trudno cenić kogoś, kto się sam nie ceni.

A co z lustracją? Czy te wszystkie historie z przeszłości powinny być ujawnione i ocenione według dzisiejszych kryteriów? Odpowiedź nie jest łatwa, wymaga bowiem skonfrontowania kilku sprzecznych kryteriów. Najpierw problem sprawiedliwości i odpowiedzialności za krzywdy. Nie ulega wątpliwości, że system komunistyczny wyrządził ludziom wiele krzywd. Ale ten system realizowali ludzie i za jego skutki ponoszą ludzie odpowiedzialność. Dziś cały impet lustracyjny jest kierowany na współpracowników ubecji. Rzeczywiście donosiciele odegrali paskudną rolę i w dużym stopniu przyczynili się do licznych nieszczęść. Bez ich udziału system nie mógłby być taki, jaki był. Ale nie donosiciele tworzyli ten system. Oni współpracowali z legalną instytucją, jaką była Służba Bezpieczeństwa. Jeśli chcemy ich potępić, to przede wszystkim trzeba potępić tych, którym donosili i którzy ich do tego zmuszali czy namawiali. A więc logiczną konsekwencją piętnowania współpracowników powinno być uznanie ubecji za organizację przestępczą i potępienie ludzi, którzy w niej pracowali. Bo przecież mieli oni pełną świadomość przestępczego charakteru swojej działalności. Być może niektórzy z nich byli idealistami i sądzili, że ich paskudna działalność służy realizacji idei. Ale czy nawet najbardziej szczytny cel może uświęcać środki? Oczywiście nie i za podjęcie się przestępczej działalności powinni ponosić konsekwencje.

Założenie, że trzeba indywidualnej osobie udowodnić dokonanie przestępstwa, jest szczytne, ale mam wątpliwości, czy w tym wypadku słuszne. Skazuje się przecież ludzi za udział w mafii czy innych organizacjach przestępczych, mimo że ich wyodrębnione działania nie stanowiły przestępstwa. One stały się przestępstwem tylko dlatego, że były elementami szerszych działań i służyły przestępczym celom. Uważam, że zachodzi tu pełna analogia z funkcjonowaniem Służby Bezpieczeństwa. Nawet jeśli któryś z jej pracowników bezpośrednio nie torturował nikogo ani nie popełniał czynów przestępczych, to popełniał przestępstwo, uczestnicząc w organizacji o takim celu. Oczywiście te rozważania mają dziś całkowicie abstrakcyjny charakter. Dziś już nie ma szans, aby UB uznać za organizację przestępczą. Mogę tylko wyrazić z tego powodu żal.

Ale jeśli chcemy potępiać funkcjonariuszy bezpieczeństwa, to trzeba się zastanowić, komu oni służyli. Bo przecież UB nie było instytucją niezależną. Służba Bezpieczeństwa była przez kogoś zorganizowana i komuś służyła. Oczywiście można się usprawiedliwiać, że stanowiła ona emanację systemu sowieckiego i jej dysponentów należy szukać jedynie poza granicami kraju. Na pewno jest w tym twierdzeniu wiele racji. Ale czy całkowicie można wyeliminować odpowiedzialność naszych krajowych władców? Myślę, że nie. A więc oni też powinni być potępieni za to, że UB istniało i działało tak, jak działało. Jeśli więc potępiamy donosicieli, to powinniśmy potępić również tych, którym donosili, i tych, dla których to donosicielstwo organizowano.



11.

**Na wolności
– Danka**

Końcówka 1946 roku i następny rok 1947 to był dziwny okres zupełnie nieuzasadnionego optymizmu. Władza ludowa się umocniła. Praktycznie kończyła się wojna partyzancka, w czasie której władza pokazała, jak bardzo potrafi być brutalną. Wszyscy wiedzieli, czego się można po niej spodziewać. Procesy polityczne, i ten moskiewski, i te w Polsce, pokazały wyraźnie jej charakter. Ale jednocześnie po okresie okupacji wszyscy chcieli jak najszybciej odbudowywać zniszczony kraj i wierzyli, że będzie to możliwe. Wszyscy oczekiwali interwencji aliantów w obronie polskiej demokracji i suwerenności. Wszyscy oczekiwali, że coś się zdarzy. Społeczeństwo bardzo się uaktywniło. Wszyscy coś chcieli robić. Wielokrotnie wyśmiewane społeczne odgruzowywanie Warszawy często świadczyło o autentycznym zaangażowaniu ludności. A budowa „parterowej Warszawy” przez indywidualnych kupców była wyrazem wiary, że jakoś w tym systemie da się żyć.

Na taką atmosferę trafiłem po powrocie do Zarybia. Trudno opisać, co się wtedy działo. Wszyscy całowali mnie i ściskali. Dostawałem listy i depesze. To był dla mnie powrót do normalnego świata. Zarybie bardzo się zmieniło w ciągu tego roku. Ludzie, którzy wylądowali tam po powstaniu, już się rozplnęli po kraju. Pozostali tylko członkowie rodziny i paru staruszków, którym trzeba było zapewnić opiekę. W dalszym ciągu mieszkała trójka Dziadków Maciejowskich. Dom odzyskiwał charakter domu rodzinnego.

Cały parter został jednak zajęty na biura, bo zapał Ojca do pozytywnych działań nie pozwolił mu pozostać na uboczu życia publicznego. Wojna zniszczyła wszystko, co do tej pory zbudował. Siła i Światło ulegała powolnej samolikwidacji. Sprzedawano pozostałe działki w Podkowie.

Ocalałe skrzydło domu w Warszawie, od ulicy Nowogrodzkiej, zajęła kawiarnia Szwajcarska, która straciła swoją siedzibę na rogu Szpitalnej i Zgody. Tam też moja Matka otworzyła gabinet kosmetyczny Anik. Miał on być jednym ze źródeł zarobku. Jednak jak życie pokazało, wcale nie jest łatwo prowadzić nawet tak mały interes. Matka codziennie jeździła do zakładu, prowadziła kasę i administrację. Klientek było nawet dużo, ale gabinet dochodu nie przynosił.

Likwidowanie Siły i Światła to nie było pole pracy dobre dla Ojca. On lubił się zajmować nie tym, co się kończy, tylko tym, co nowe. A wraz ze zniszczeniem Warszawy i całej infrastruktury komunikacyjnej w jej otoczeniu powstały nowe potrzeby transportowe. Ludzie musieli mieszkać tam, gdzie istniały mieszkania, a pracować też tam, gdzie była praca. Wszyscy więc ciągle znajdowali się w ruchu, ale środki transportu były ubogie. Kolej niewydolna, tory i sieć zniszczone. O samochodach nikt nawet nie mógł marzyć. Ojciec postanowił więc stworzyć sieć autobusowej komunikacji podmiejskiej. Oparcie stanowiła EKD, której siedziba została przeniesiona do Podkowy Leśnej. Uruchomiono Wydział Komunikacji Pomocniczej, popularnie zwany Wykopem, i Ojciec stanął na jego czele. Biura Wykopu zostały ulokowane w Zarybiu, co pozwalało też podreperować budżet domowy.

Wykop uzyskał prawo wykorzystania ciężarówek, jakie Polska otrzymywała z demobilu armii amerykańskiej w ramach programu UNRRA. Były one przerabiane na małe autobusy, które mogły przewozić około 20 osób. Prymitywny barak w Alejach Jerozolimskich naprzeciwko hotelu Polonia pełnił funkcję dworca. Starą fabrykę na Złotej przerobiono na zajezdnię i warsztaty. W ciągu kilku miesięcy komunikacja ruszyła, a jej sieć objęła całą lewobrzeżną strefę podmiejską, od Modlina, przez Żyrardów i Mszczonów, aż do Piaseczna i Góry Kalwarii. Przedsiębiorstwo rozwijało się świetnie, prowadzone doświadczoną ręką Ojca i grupy fachowców, których potrafił zebrać. Nastrój optymizmu i chęci do życia udzielił się także mnie. Nawet nie bardzo chciałem wypoczywać po więzieniu. Ale Rodzice naciskali, abym gdzieś wyjechał. EKD dostała parę domów wypoczynkowych na Ziemiach Zachodnich. Pojechałem do Kudowy. Dwa tygodnie minęły błyskawicznie. Spotkałem jakieś miłe dziewczyny. Łatwo było zawrzeć znajomość. Potem okazało się, że znacznie trudniej jest ją zakończyć.

W Warszawie na nowo organizowałem sobie życie. Dom na Przyjaciół został objęty formalnie przez Rodziców, ale faktycznie był zarządzany przez MSZ. Rodzice dostali jednak prawo użytkowania części swego mieszkania i ja ją objąłem. Miałem do dyspozycji trzy, a właściwie cztery wielkie pokoje i wspaniałą łazienkę. Ale kuchni nie było. Więc zrobiło się ją właśnie w łazience. W ówczesnej sytuacji w Warszawie stanowiło to niebywałą luksus.



Prowizoryczny dworzec autobusowy Elektrycznych Kolei Dojazdowych (EKD) w Alejach Jerozolimskich naprzeciwko hotelu Polonia – widoczne ciężarówki przerobione na autobusy, 1947. Fot. NAC

Już nie wiem, skąd otrzymałem kontakt do pana Adama, który zaczął przychodzić jako sprzątac i pomoc domowa. To była niezwykła postać. Malutki, zakładał wielki fartuch i bardzo poważnie zajmował się domem. Był uporządkowany w niebывałym stopniu. Mówił, że zostawił żonę, bo była „nieakuratna”. Miałem więc własnego lokaja – pierwszy i ostatni raz w życiu.

Powrót na wolność pozwolił mi na kontynuację studiów. Chciałem je jak najszybciej skończyć i zacząć normalne życie zawodowe dorosłego człowieka. A byłem już dorosły. Rok więzienia w wieku 21 lat może bardzo przyspieszyć dojrzewanie i rozwój pewnych cech charakteru. Myślę, że w dużym stopniu wykształcił on we mnie upór, który odegrał ważną rolę, gdy musiałem się przeciwstawiać losowi i oporowi wobec zmian, jakich dane mi było dokonywać.

Gdy siedziałem w więzieniu, przyszło do domu potwierdzenie mego świadectwa dojrzałości. Został zweryfikowany mój dyplom technika, wydany w czasie okupacji, i dostałem prawo do ubiegania się o przyjęcie na studia, które właśnie już kończyłem. Matury nigdy jednak nie zdobyłem. Nie wiem, czy mam prawo uważać się za inteligenta. Takie to były dziwne czasy.

Na Politechnice wszyscy powitali mnie entuzjastycznie. Byłem jednym z pierwszych, którzy przeszli przez więzienie. Do pracy w Brataniaku nie wróciłem. Zarząd składał się już z innych, młodszych i pełnych zapału studentów. Moi koledzy pokończyli studia albo wyjechali z Warszawy. Zostałem znowu sam.

Skoncentrowałem się więc na swoich studiach. Ale należało załatwić formalności. Poszedłem do dziekana, którym był profesor Wierzbicki. Bardzo sympatycznie mnie przyjął. Okazało się jednak, że dziekanat nie ma żadnych dokumentów dotyczących moich studiów i zaliczeń. Wszystkie zaliczenia notowano na kartce, która pełniła funkcję indeksu i którą nosiłem przy sobie. Przed aresztowaniem ów indeks był prawie pełen, brakowało mi jednego czy dwóch zaliczeń. Przepadł jednak w aktach śledztwa. Nigdy go nie odzyskałem. Znalazłem się w sytuacji pierwszorzecznika, który nie ma żadnego zaliczenia. Cały dorobek się rozplynął.

Podjąłem próbę namówienia dziekana, aby generalnie zaliczył mi to, co miałem zdane. Ale musiał mi odmówić. Nie miał do tego prawa i kazał mi na nowo wszystko zaliczać u poszczególnych wykładowców. Wziąłem od sekretarki nowy druk i zwróciłem się do niego: „Panie dziekanie, proszę o pierwszy wpis!”. I tu nastąpiła niespodziewana reakcja. „A jakieś dowody pan ma?” – zapytał. Trochę mnie zatkało. Przecież wiedział, że nie mam. Odpowiedziałem w dość dramatycznej formie. Jeśli on ma wątpliwości, to jak zareagują inni profesorowie? Czy mam więc zaczynać studia od początku? Zastanowił się przez chwilę i bez słowa wpisał zaliczenie.

Rozpoczęła się mordęga obchodzenia kilkudziesięciu wykładowców. Zacząłem od najpoważniejszych, tych, którzy mnie znali i prowadzili przedmioty na wyższych latach. Poszedłem do Ponikowskiego, Paszkowskiego, Żenczykowskiego, Zaraniewiczza, Otty – miło mnie przyjęli i wpisali zaliczenia. Potem zacząłem chodzić do tych, których znałem mniej i którzy nie mieli takiej wysokiej pozycji. Ale wpisywali, bo już były inne podpisy ważniejszych profesorów. W końcu musiałem iść do tych, których nie znałem. Z wykładowcami od przedmiotów z pierwszych lat nie było kłopotu: jak widzieli zaliczenia z przedmiotów z lat wyższych podpisane przez sławy, to sami też wpisywali swoje zaliczenia. Ale napotykałem trudności. Niektórzy profesorowie objęli katedry w ciągu mego pobytu w więzieniu i ani ja ich, ani oni mnie nie znali zupełnie. Największy kłopot miałem z profesorem Hildebrandtem, który objął katedrę konstrukcji stalowych. Nie znałem go i okazał się odporny na moje tłumaczenia, że już dwukrotnie zaliczyłem przedmiot – w Państwowej Wyższej Szkole Technicznej oraz w Lublinie. Wytargowałem, że nie muszę chodzić na wykłady i ćwiczenia, ale muszę wykonać projekty i zdać egzamin. Tak się więc złożyło, że konstrukcje zaliczałem trzy razy! Ale dostałem piątkę, co było uznane za ogromny sukces.

Patrzę dziś na ten swój indeks z rozrzewnieniem. Mam wpisane zaliczenie z 32 przedmiotów i 34 ćwiczeń. Ale mam z tego tylko dziewięć stopni za egzaminy i pięć za projekty. Na 66 podpisów, w 52 kratkach figuruje magiczne „zalicz.”, wpisane tylko dlatego, że mi uwierzyli. Bez żadnych dowodów. Mieli zaufanie. A co by było, gdyby nie mieli? Tego sobie nie umiem wyobrazić.

Obok kwestii studiów potrzebowałem nowych pól, na których mogłem działać. I nowych znajomości, bo znowu znalazłem się sam. Nie miałem ani kolegów, ani nawet znajomych. Otworzyło się wówczas pole automobilizmu. Ojciec, wraz z kilkoma innymi przedwojennymi członkami, odtworzył Automobilklub, objął jego kierownictwo i zaczął odbudowywać działalność sportową. Ja też zapisałem się do klubu, zorganizowałem Sekcję Młodych i zostałem jej przewodniczącym. To była dość dziwna organizacja. Młodzi ludzie garnęli się, aby chociaż się dotknąć samochodów, których przecież nie było. Ale Sekcja też ich nie miała i proponowała młodym uczestniczenie w organizacji imprez w charakterze wolontariuszy. Tyle że tych wolontariuszy wykorzystywano do kontroli biletów czy do innych funkcji pomocniczych, niewiele mających wspólnego z samochodami.

Ja także uczestniczyłem w przygotowywaniu różnych imprez, m.in. wyścigów samochodowych, które zostały zorganizowane na czworokacie: Aleje Ujazdowskie, Agrykola, Myśliwiecka i Piękna. To było wtedy duże wydarzenie.

Ludzie się cieszyli, że coś się dzieje, nie bardzo patrząc, jakie to samochody się ścigają. A one były bardzo dziwne, przypadkowe, takie, jakie przetrwały okupację.

Nadawały się raczej do muzeów niż na tor wyścigowy. Ale jeździli, wyły i robiły szum. Wszyscy się cieszyli nawet tymi pozorami normalności.

Byłem też sekretarzem pierwszego ogólnokrajowego rajdu, rozegranego na trasie Warszawa – Szczecin – Karpacz – Zakopane – Warszawa. Jechałem w wozie komandora, którym był oczywiście Ojciec. Odpowiadałem za prowadzenie całej punktacji i wszystkich obliczeń. Po drodze samochody miały do przejścia wiele różnych prób szybkości i zręczności. A ja zbierałem protokoły i liczyłem punkty. Najwięcej miałem roboty wieczorami po zakończeniu etapów, gdy trzeba było podsumować dzień i ogłosić wyniki, na które wszyscy czekali. Kiedy przyjeżdżaliśmy na metę etapu, czekał cały miejscowy komitet organizacyjny i zapraszano nas na uroczystą kolację. Pytany, czego potrzebuję, odpowiadałem, że kogoś z jakimś arytмомetrem do liczenia punktów. Powodowało to na ogół konsternację i natychmiastowe zniknięcie wszystkich, którzy najpierw deklarowali pomoc. Pamiętam, jak po przyjeździe do Zakopanego, w czasie uroczystej kolacji na Gubałówce, siedziałem samotnie przy bocznym stoliku, licząc punkty do późnej nocy. Takie jest życie, tę naukę też dobrze zapamiętałem. Jeszcze dziś z dużą ostrożnością podchodzę do wszelkich deklaracji pomocy, dopóki nie zobaczę rzeczywistych chęci do pracy, a nie tylko do deklaracji. Trzeba liczyć jedynie na siebie.

Nauczyłem się oczywiście prowadzić samochód. Właściwie to umiałem już to robić od dawna. W takiej rodzinie jak moja umiejętność tę ma się niemal od urodzenia. Prowadziłem już przed wojną. Oczywiście byłem wtedy za młody, aby uzyskać prawo jazdy, ale już coś umiałem. Teraz się douczyłem, wykorzystując samochód, którym Ojciec dysponował w Wykopie, i zdałem egzamin na prawo jazdy. Jeździłem wielokrotnie z Ojcem na dłuższe podróże służbowe po Polsce, gdy przejmował ciężarówkę w różnych miejscach.

Miałem wtedy możliwość prowadzenia na dłuższych trasach. Byliśmy też razem na pierwszych Targach Poznańskich w maju 1947 roku. To był dla mnie szok, gdy przechodziłem przez pawilony, w których wystawiano produkty Zachodu. A przecież to nie były produkty z najwyższych półek, bo polski rynek jeszcze nie istniał.

Wyjście na wolność zmusiło mnie do uregulowania szeregu spraw formalnych. Jedną z nich stanowiła konieczność rejestracji wojskowej. Poszedłem więc do komendy miejskiej. Moje dawne rejestracje ciągle gdzieś krążyły i ślad po nich nie został. Ale to nie było istotne, bo w międzyczasie powstały nowe regulacje i należało zacząć wszystko od początku. Cała moja kariera okupacyjna ujawniła się w czasie śledztwa i procesu. Miałem więc ten luksus, że mogłem, a właściwie musiałem mówić prawdę. Jakiś kapral wyciągnął druki ankiet i zaczął je wypełniać. A ja mu dyktowałem. Imię... Nazwisko... Data urodzenia... Wreszcie doszedł do pytań o działalność wojskową w czasie okupacji. Mówię więc: „Podporucznik NSZ”. Na to kapral zbladł, pióro wypadło mu z ręki. Powiedział tylko: „Nie ruszać się!”. I po-

leciał do dowódcy. W tym czasie NSZ były uważane za największego wroga systemu. Ciągłe były wiadomości o walkach, partyzantce, procesach i wyrokach. To, że ktoś głośno mówi, że był w NSZ, wyglądało na samobójstwo. Po chwili kapral wrócił. I kręcąc głową, powiedział: „Kazali pisać”. Wypełniliśmy ankietę do końca, ale sprawa dopiero się zaczęła.

Ponieważ miałem stopień oficerski, podlegałem weryfikacji. W moim przypadku była to farsa. Przecież było jasne, że mego stopnia wojsko nie uzna. Procedury należało jednak przejść. Skierowano mnie na rozszerzone badania lekarskie, które przechodzą oficerowie, a potem wezwano przed komisję. Za stołem siedziało z 10 osób. Połowa w mundurach, połowa cywile, po wyglądzie widać, z jakiego są resortu. Wszyscy patrzyli na mnie ze zdziwieniem, że taki jak ja chodzi wolno, a nie siedzi w kryminalu. Przewodniczący pułkownik, ruski w polskim mundurze, z trudnością wysławiał się po polsku: „Ta wy, padparuczyk. Ta wy chcecie, żeby wam ten stopień nadać”. Odpowiedziałem wprost: „Wcale o to nie proszę, pułkowniku”. Znowu pełne zdziwienie. A ja przecież wiedziałem, że to farsa i wcale nie chciałem uznania stopnia. Komisja się naradziła i pułkownik oświadczył, że Wojsko Polskie nie może uznawać stopni nadanych przez wrogie organizacje. Podziękowałem ładnie i sobie poszedłem.

Wkrótce zostałem wezwany do urzędu i jakiś podoficer wręczył mi książeczkę wojskową, a w niej było napisane, że jestem „osobą objętą ewidencją oficerską w stopniu szeregowca”. I przez wiele lat miałem spokój. Dopiero w okresie odwilży po roku 1956 dostałem wezwanie i sierżant w komendzie przywitał mnie bardzo oficjalnie. Stojąc, w poczuciu wagi swej misji, oświadczył: „Obywatelu, zostaliście zrehabilitowani”. Zaśmiałem się lekko i zadałem mu głupie pytanie, czym byłem w przeszłości i z jakiego powodu mnie rehabilituje. Trochę go to speszyło, ale sprawę załatwił szybko: „Czym byliście, to byliście. Ale teraz jesteście!”. Takiej argumentacji nie sposób było się oprzeć. Byłem więc pełnoprawnym podporucznikiem i znowu miałem spokój. Aż któregoś dnia, kilka lat później, dostałem wezwanie na sześciotygodniowe ćwiczenia. Na swoje szczęście akurat nabawiłem się lumbago. Dostałem więc zaświadczenie lekarskie i z nim się zgłosiłem na komendę. Przyjmujący mnie oficer bardzo się zmartwił. „Co za szkoda. A taki ładny przydział miałem dla pana. Do wojsk rakietowych”. A widząc moją zdziwioną minę, wyjaśnił: „Ziemia – łopata – powietrze. Dowódca plutonu przy budowie torów tramwajowych na Okęciu”. Poszedłem do domu i na tym zakończyły się moje przygody wojskowe.

Wakacje 1947 roku zapowiadały się pięknie. Ale nigdy nie sądziłem, że zdecydują o moim życiu! Pojechałem do Ustki, do domu wypoczynkowego EKD. Pełen entuzjazmu, radośnie patrzyłem na życie. Szczególnie wtedy, gdy obiekt patrzenia był miły. Już na peronie w Słupsku, gdy czekaliśmy na miejscowy pociąg do Ustki, w oko wpadły mi dwie studentki, które też tam jechały. Kiedy poszedłem na spacer



Ustka w 1950 roku. Fot. NAC

Ustka – budynek FWP, punkt rozdzielczy wczasowiczów, 1950. Fot. NAC



na molo, znowu je spotkałem. Oczywiście takiej okazji nie można było przegapić, więc pogadaliśmy sobie.

Dowiedziałem się, że w Ustce jest letni obóz studentów medycyny, a jego kierownik to Jurek Kober, mój kolega ze szkoły powszechnej. Zaraz tam poleciałem. Studenci zajmowali kilka sąsiadujących ze sobą domów. Między nimi chodził dyżurny strzegący bezpieczeństwa. Akurat był nim w tym momencie Stefan Dreszer, który stanowił antytezę wartownika. Poznałem go wtedy i wkrótce stał się naszym wielkim przyjacielem. Ale to już dalsza przeszłość.

Wskazał mi pokój kierownictwa. Wszedłem i uściskałem się z Jurkiem. Nie widziałem go przeszło 10 lat. W tym pokoju było wszystko. Tam spali ci najważniejsi. Tam znajdowało się też biuro obozu. Jurek urzędował cały czas, bo obóz dopiero się zaczynał, więc wiele rzeczy należało załatwić. Ja miałem dużo czasu, dlatego siadłem na czymś łóżku, a potem wprost się na nim położyłem. Ale co chwila ktoś wchodził, witał się, a ja bardzo grzecznie zlażem z łóżka, ścisnąłem dłonie i się przedstawiałem. Zaczęło mnie to męczyć i gdy weszła kolejna studentka, to pomyślałem sobie, że dosyć elegancji, i z łóżka pomachałem ręką, wołając „cześć”. No, zaczęło się! Dziewczyna stanęła pośrodku pokoju i po prostu mnie zwymyślała. Że ona nie akceptuje takiego zachowania, że nie jest przyzwyczajona, aby ją tak traktowano, że powinienem wiedzieć, jak się zachować, i umieć się przedstawić oraz przywitać! Zglupiałem. Zerwałem się z łóżka, zacząłem się kajać i przeproszać. Przeprosiny przyjęto, ale zostałem od razu właściwie ustawiony. I to na całe życie!

Oczywiście po takim starcie moje zainteresowanie Dziewczyną wzrosło. Szczególnie, że była bardzo interesująca i bardzo miła. Zaczęliśmy rozmawiać i wtedy się okazało, że mieszka też w Podkowie. Ale żeby się poznać, musieliśmy przyjechać do Ustki. Po południu pierwsze lody zostały przełamane i przyjęła moje zaproszenie na tańce wieczorem. I to była moja kolejna wpadka. Bo zaraz po pierwszym tańcu oświadczyła, że zapraszanie kogoś na tańce, jak się tańczyć nie umie, graniczy z arogancją. Już nie pamiętam całego przemówienia. Nie było ono długie, ale bardzo wyraźnie określało, co o mnie myśli.

Mimo to zaczynaliśmy się lubić. Sytuacja jednak okazała się skomplikowana również na innym polu. Okazało się bowiem, że Danką bardzo się interesował, i to z wzajemnością, Remi Domański, mój kolega ze szkoły powszechnej, który w międzyczasie przeniósł się na medycynę i właśnie zbliżał się do dyplomu. Byliśmy z Remim zaprzyjaźnieni i jakoś było mi niemiło wchodzić mu w paradę. Ale to w końcu Danką dokonała wyboru i sprawa z Remim rozwiązała się poza moim udziałem.

A z Danką lubiliśmy się coraz bardziej. Dwa tygodnie w Ustce stworzyły już taki klimat, że do Warszawy wracaliśmy razem, zatrzymując się jeszcze po drodze w Sopocie i Gdańsku. Tu konieczna jest dygresja. Danką Domiczek, bo ona była tą Dziewczyną, pochodziła z rodziny lwowskiej. Jej ojciec Gustaw został ściągnięty

do Warszawy w początkach lat dwudziestych, gdy zaczęto budować instytucje państwowe i w Warszawie brakowało doświadczonych urzędników. Oni byli tylko w Galicji, bo tylko tam Polacy mieli dostęp do administracji. Gustaw został szefem kancelarii Trybunału Administracyjnego i tę wysoką i odpowiedzialną funkcję sprawował do wybuchu wojny, organizując sądownictwo administracyjne w kraju. Po przeprowadzce do Warszawy był współzałożycielem Kolonii Staszica wzdłuż Filtrowej i tam, we własnym domu, osiadła cała rodzina.

Rodzina Domiczków, sądząc po nazwisku, ma prawdopodobnie czeskie korzenie. Od kilku pokoleń mieszkali we Lwowie. Dziadek Danki, Karol, tam się urodził w 1841 roku. Był komisarzem policji i miał wielki temperament. Jak głosi legenda rodzinna, założył się, że przejedzie z Gródka do Lwowa szybciej końmi niż pociągiem. Zakład wygrał. Cztery konie padły. Jego temperament wyrażał się w podbojach sercowych. Porwał, oczywiście za jej zgodą, hrabiankę z węgierskiej rodziny Jereny. Rodzina nigdy nie uznała tego mezaliansu, całkowicie ich wydziedziczyła i zerwała kontakty. Ale małżeństwo się udało, chociaż finansowo nie było łatwo. Mieli dziesięcioro dzieci, a Gustaw, ojciec Danki, był ich ostatnim.

Gustaw zaczął karierę administracyjną jeszcze przed pierwszą wojną. W 1911 roku ożenił się z Heleną Kuczkowską z bardzo zamożnej lwowskiej rodziny szlacheckiej, która potrafiła znaleźć swoje miejsce w zmieniających się warunkach społecznych i gospodarczych. Jej ojciec, Antoni Kuczkowski, zrobił duży majątek na handlu ze Wschodem. (Jest pochowany na Cmentarzu Łyczakowskim). W nowe państwo polskie rodzina wkraczała więc z poważnym majątkiem. Babcia była m.in. właścicielką willi, a właściwie podmiejskiej rezydencji z wielkim ogrodem przy przedwojennej ulicy Długosza 8, obecnej Cyryla i Metodego. Gdy rodzina przenieśli się do Warszawy, Babcia sprzedała tę willę metropolicie Szeptyckiemu, a pieniądze przekazała Matce Danki i jej bratu. Matka kupiła za to pensjonat w Tatarowie, drugi wydzierżawiła w Worochcie i oba prowadziła z dużym sukcesem aż do wojny. Danka była jej najmłodszym dzieckiem – siódmym z kolei!

Wybuch drugiej wojny w dużej mierze zniszczył tę rodzinę, tak jak wiele innych. Ojciec Danki został ewakuowany z Warszawy wraz z Trybunałem, oparł się na Węgrzech i spędził całą wojnę w Budapeszcie, uczestnicząc w organizacji ruchu kurierskiego do Polski przez góry. Jeszcze wiele lat po wojnie przyjeżdżało do niego wielu zasłużonych kurierów z tego okresu. Wraz z nim przeszedł na Węgry brat Danki, Andrzej. Gdy Ojciec został na Węgrzech, Andrzej, który miał wtedy 17 lat, przedostał się do Anglii i zaczął służbę w marynarce. Pływał przez całą wojnę. Uczestniczył w wielu bitwach i akcjach, powoli awansując. Został zdemobilizowany jako podporucznik. Niestety, jego los potoczył się tragicznie, mimo że przeżył wszystkie bitwy. Gdy poznałem Dankę, rodzina oczekiwała jego powrotu do kraju. Nagle w 1947 roku Andrzej zaginął w nieznanych okolicznościach, gdzieś na trasie

między Niemcami, Belgią i Francją. Jego odnalezienie stało się jednym z celów życia Ojca, którego Andrzej był jedynym synem. Poszukiwania nie przyniosły żadnych rezultatów. Nigdy nie dowiedzieliśmy się niczego o jego losie.

Wojna Dankę zastała wraz z Matką w Worochcie. Wydawało się, że tam będzie najbezpieczniej. Parę miesięcy przetrwały w swoim pensjonacie, ale uciekły z jedną walizką, gdy dano im znać, że są na liście do wywózki na Wschód. Pojechały do Lwowa i tam udało się im dostać do ostatniego transportu osób z Warszawy, jaki Sowieci wypuścili w maju 1940 roku do Generalnej Guberni. Rodzina została rozproszona. Kuczkowscy wraz z Babcią wyjechali do Warszawy. Babcia Jereny wylądowała w Lublinie i tam wkrótce zmarła. Kilkoro z rodzeństwa Gustawa już nie żyło. Część rodziny została we Lwowie. Nie znamy ich losów. Możemy się jedynie domyślać z napisów na rodzinnym grobowcu na Cmentarzu Łyczakowskim, że nie były łatwe. Karol, starszy brat Ojca Danki, będący majątnym przedsiębiorcą, oraz jego żona i wnuczka zmarli w ciągu kilku miesięcy, w czasie pierwszej, bardzo ciężkiej zimy sowieckiej okupacji. Czy to ślad jakiejś tragedii rodzinnej? Nie wiemy, co się stało z synową Karola, która była Żydówką. Inny brat, Albin, aresztowany przez Niemców, został zamordowany w okrutny sposób w Dachau. Prochy pochowano w Lublinie.

Powstanie zniszczyło resztę majątku Domiczków, ich domek na Filtrowej został spalony. Dostarczyło też dramatycznych przeżyć Dance i jej Matce. Obie wylądowały w Podkowie, raczej z przypadku niż z celowego wyboru, bez środków do życia. Matka była osobą niesłychanie zaradną, jednocześnie trochę naiwną, ale umiejącą nawiązywać kontakty i przyjazną ludziom. I zaczęła się chwycić wszystkiego, co pozwalało przeżyć. A Danką, jak mi opowiadała, chodziła paść kozę właścicieli domu, w którym ich przygarnięto. Ta koza szczególnie lubiła akacje obrastające płot Zarybia. Śmiałyśmy się, że dobrze, że ja jako właściciel Zarybia nie złapałem jej z kozą w szkodzie na swoim płocie!

Drogę do sukcesu rozpoczęły od rozwożenia ciastek produkowanych przez innych. Potem zaczęły je same robić, aż w końcu Matka Danki wykupiła restaurację Scarlett koło stacji Podkowa Główna. Dokonała zmiany jej wystroju, nawiązując do *Przemiętło z wiatrem* i Scarlett O'Hary. Restauracja ta stała się jednym z symboli powojennej Podkowy, punktem, gdzie nie tylko można było dobrze zjeść, ale i wszystkich spotkać. Rodzice Danki kupili też działkę z domkami zbudowanymi z drewna i dykty. Domki znajdowały się w dość opłakanym stanie, ale były własne! Matka osiągnęła ogromny sukces. Bez żadnych środków w ciągu stosunkowo krótkiego czasu stworzyła dość solidne podstawy ekonomiczne rodziny. Ojciec Danki, Gustaw, wrócił z Węgier i zaczął pracować w odbudowywanym sądownictwie administracyjnym, aż go po paru latach z niego wyrzucili jako „klasowo obcego”. Z całego rodzeństwa Danki pozostały dwie najstarsze siostry. Maryla wylądowała w Niemczech, a Zocha w Szczecinie.

Danka zdała maturę w Milanówku, już po powstaniu, i zapisała się na medycynę. Ale po zaliczeniu pierwszego roku uznała, że to nie jest to, czego szuka. Później wielokrotnie bardzo się cieszyłem, że nie mam żony lekarki. To straszny zawód, jeśli chce się go traktować jako powołanie, bardzo trudny do pogodzenia z życiem rodzinnym.

Gdy wróciliśmy do Podkowy, w pełni skoncentrowałem się na studiach. Postawiłem sobie za cel ukończenie ich do grudnia. Uważałem to za konieczne, ale nigdy nie przypuszczałem, że gdybym ich wtedy nie skończył, to może nie skończyłbym ich wcale. Przeprowadziłem się do Zarybia. Nie zachodziła potrzeba codziennych kontaktów z Politechniką, a tu byłem obsługiwany, dostawałem jeść i mogłem się w pełni skoncentrować na pracy. Pracowałem po 10 godzin dziennie! Nawet wspólne spacerunki z Danką ograniczyliśmy. Chociaż lubiliśmy się coraz bardziej, to uzgodniliśmy spotkania dwa razy na tydzień i tylko wieczorami, aby nie zarywać najlepszego czasu na pracę w ciągu dnia.

Danka ostatecznie zrezygnowała z medycyny. Zapisała się na dziennikarstwo, które było na Akademii Nauk Politycznych (ANP). W tym okresie optymizmu i wiary w przyszłość nie zdawała sobie sprawy, co owa nazwa będzie wkrótce oznaczać. Dojeżdżała codziennie do Warszawy, bardzo starannie studiując.

Wziąłem temat pracy dyplomowej z konstrukcji żelbetonowych, bo bardzo lubiłem i szanowałem profesora Paszkowskiego. Ale same obliczenia ram i belek nie były interesujące. Rozszerzyłem więc temat. Projektowałem zajezdnię autobusów dla wymyślanego przedsiębiorstwa komunikacji podmiejskiej lewobrzeżnej Warszawy. Oczywiście miałem świetną podstawę w Wykopie. Dostałem od nich wszelkie materiały, a dyrektor techniczny, inżynier Przedpełski, służył mi swoją radą i pomocą. Obliczyłem zapotrzebowanie na przewozy na całym łuku od Modlina do Góry Kalwarii i wyliczyłem liczbę autobusów. A następnie wyliczyłem liczbę stanowisk przeglądowych, naprawczych, parkingowych, opierając się na systemie wprowadzonym w Wykopie. Powstał ładny program zajezdni, na podstawie którego opracowałem projekt obiektu. Ale to dopiero początek – najprzyjemniejszy. A potem trzeba było zacząć projektować konstrukcje i poszczególne jej elementy. Liczyć i, co najgorsze, kreślić. Zebrało się blisko 10 metrów kwadratowych tych rysunków! A wówczas kreśliło się ołówkiem na kalce. Wszystko musiałem narysować i opisać! To była straszna praca.

Ale udało się! W listopadzie złożyłem pracę, a 7 grudnia odbyła się jej obrona w budynku przy Lwowskiej 7. Opowiadałem głównie o organizacji przedsiębiorstwa autobusowego i systemie przeglądów technicznych. O żelbecie nie starczyło już czasu powiedzieć. Później jeden z członków komisji powiedział mi, że to był rzadki

przypadek, gdy dowiedział się od studenta czegoś zupełnie nowego. 12 grudnia Rada Wydziału nadała mi stopień inżyniera (po zmianie ustaw zweryfikowano go jako „magister inżynier”). Wchodziłem w życie zawodowe.

Święta Bożego Narodzenia stanowiły więc ostatni okres wolności studenckiej. Tym większej, że już studia miałem za sobą, a nie powstały nowe zobowiązania i wyzwania. Pojechaliśmy z Danką na zimowy obóz medyków do Borowic w Karikonosze. Nie byliśmy medykami, więc wynajęliśmy wraz z kilkoma innymi osobami odrębny dom, w którym założyliśmy niezależną kwaterę. Ale żyliśmy na obozie. Było fantastycznie. Ciągłe się coś działo. Zabawy, wycieczki, narty. W Sylwestra urządzono bal przebierańców. Nasza grupa osiągnęła niebywały sukces. Przebrałiśmy się za rodzinę. Danka była ojcem, Pafnucym, ja – matką, Pelagią, a dwoje innych studentów przebrało się za dzieci, oczywiście też z zamianą płci. Ucharakteryzowaliśmy się tak dobrze, że nikt nie mógł nas zidentyfikować. Ta rodzina, Pafnucy i Pelagia, długo funkcjonowała w pamięci medyków.

Obóz się skończył, ale nam się nie spieszyło do powrotu. Zostaliśmy jeszcze trochę, chodząc po górach i śpiąc w schroniskach. Byliśmy na Śnieżce, spaliśmy w Samotni, nad Wielkim Stawem, byliśmy w starych ruinach Kynastu. Pozostało kilka zdjęć. Na jednym z nich Danka biega wkoło starej studni. Już nie pamiętam, czego legenda dotyczyła, ale panienka musiała tę studnię siedem razy okrążyć. Danka to z całą rzetelnością wykonała. Chyba to pomogło, bo potem w życiu było nam razem dobrze. A ten pobyt był wprost cudowny.

Ale wszystko się kończy. Wkrótce dał o sobie znać stalinizm. Wchodziliśmy w najczarniejszy okres naszej historii.



Jerzy Regulski w 1948 roku

12.

**Ojciec w więzieniu
Ślub – Inżynier
(1948-1950)**

W

rok 1948 wkraczałem pełen optymizmu. Skończone studia. Dumny tytuł inżyniera. Lubiła mnie miła i ładna dziewczyna. Jak się wydawało, świat stał przede mną otworem. W połowie stycznia zacząłem pracować.

Filozofia mego Ojca była oparta na założeniu, że karierę zawodową trzeba budować od podstaw, od najniższego szczebla, by zrozumieć i opanować cały mechanizm. On sam przecież zaczynał od pomocnika elektryka. Miałem propozycję asystentury na uczelni, ale uważałem, że najpierw trzeba popracować bezpośrednio w produkcji, zmierzyć się z rzeczywistością, na resztę będzie czas potem. Przecież miałem dopiero 23 lata.

Zostałem kierownikiem doświadczalnej betoniarni w jednym z państwowych przedsiębiorstw budowlanych. Mieściła się na trasie dzisiejszej alei Jana Pawła II przy Hali Mirowskiej. Słowo „doświadczalna” w nazwie wiele obiecywało, ale bardzo odbiegało od rzeczywistości. Była to mała betoniarnia, która produkowała elementy do betonowych domków doświadczalnych, budowanych na terenie dzisiejszego stadionu Skry. Teoretycznie miały te domki służyć jako poligon doświadczalny dla budownictwa z elementów betonowych, pomagając w znalezieniu metod wykorzystania gruzu, z którym coś trzeba było zrobić. W rzeczywistości chodziło o wybudowanie domków dla wybranych inżynierów z instytutu badawczego, a nie o żadne eksperymenty.

Odziedziczyłem wykaz elementów, formy do ich produkowania i receptury kruszyw. Miałem parę stołów wibracyjnych i kilkunastu ludzi. Ale nikt z tych naukowców ze mną się nie komunikował, tak że robota była rutynowa i idiotyczna. Wytrzymałem tylko trzy miesiące i wymówiłem pracę.

Chciałem pracować na rzeczywistej budowie. Skontaktowałem się ze Społecznym Przedsiębiorstwem Budowlanym, które stanowiło kontynuację przedwojennej spółdzielczości mieszkaniowej i jeszcze miało trochę niezależny charakter, grupując ludzi profesjonalnych. Rozmawiał ze mną inżynier Jaczynowski, człowiek

w sile wieku, który wrócił właśnie z obozu jenieckiego i też był pełen entuzjazmu. Przyjął mnie do pracy i w kwietniu przeszedłem na budowę osiedla na Kole. Ale przedtem nastąpiły inne dramatyczne wydarzenia.

W tym czasie na dobre zamieszkałem na Przyjaciół. Rano podróżowałem tramwajami do pracy. Potem jechałem na Nowy Świat do Automobilkлубu, gdzie się stołowałem w tamtejszej stołówce. To było łatwiejsze i dawało okazję do spotykania się z różnymi ludźmi. Danka też często tam przyjeżdżała. Przewodniczyłem Sekcji Młodych i bardzo chciałem, aby stała się ona miejscem spotkań i aktywnej pracy automobilowej młodzieży. Zainicjowałem cykliczne spotkania połączone z wykładami. Postanowiłem je rozpocząć własnym wykładem o historii wyścigów samochodowych. Bardzo solidnie się do niego przygotowywałem. Właśnie tego dnia, gdy przyjechałem do klubu na obiad, po którym miało się odbyć pierwsze spotkanie, przyszła wiadomość o aresztowaniu Ojca.

Został aresztowany poprzedniego dnia w nocy, gdy wraz z Matką wrócili z przyjęcia w Automobilkлубie, wydanego z okazji rocznicy utworzenia Armii Czerwonej w ZSRR (!). Władzom klubu chodziło o nawiązanie kontaktów z generałami radzieckimi, którzy mieli decydujący wpływ na sprawy motoryzacji. W Zarybiu na Rodziców czekali dwaj panowie. Przeprowadzili rewizję, zabrali dokumenty z biurka i kazali Ojcu ze sobą jechać. Tu nastąpiła sytuacja zupełnie jak z Mrożka. Oni przyjechali kolejką i przyszli na piechotę. Zapadła noc i nie mieli jak wrócić do Warszawy. Ojciec wziął więc swój samochód służbowy. Sam się odwiózł do więzienia!

Zastanawialiśmy się wielokrotnie, dlaczego został aresztowany i dlaczego właśnie wtedy. On sam łączył to ze swoją wizytą u pani Zambrowskiej, żony jednej z najważniejszych osób w państwie, Romana Zambrowskiego²². Została prezesem PKS, państwowego przedsiębiorstwa, które miało zmonopolizować komunikację autobusową w Polsce. Było oczywiste, że Wykop jest dla niej smacznym kąskiem. Zaprosiła Ojca i zaproponowała mu stanowisko wiceprezesa. Wykop miał zostać przekształcony w odrębną dyrekcję komunikacji podmiejskiej. Ojciec propozycję odrzucił, uważając, że Wykop działa bardzo efektywnie i włączenie go do powstającego molocha może mu tylko zaszkodzić. Ale utrzymywanie przedsiębiorstwa w gruncie rzeczy prywatnego było nie do zaakceptowania dla nowego reżimu, szczególnie że działało ono znacznie lepiej niż PKS. Kilka tygodni później Ojciec został aresztowany. Trudno stwierdzić, jaką w tym wydarzeniu rolę odegrała pani Zambrowska, ale jest oczywiste, że nie była to rola przyjazna. Naturalnie Wykop został wkrótce przejęty przez PKS.

²² Roman Zambrowski (1909–1977) – członek kierownictwa PPR i PZPR, w I.1945–1954 szefował Komisji Specjalnej do Walki z Nadużyciami i Szkodnictwem Gospodarczym.

Dziś jest jasne, że musiało się to tak skończyć, a nasze nadzieje z 1947 roku były całkowicie nieuzasadnione. System sowiecki wymagał nacjonalizacji przedsiębiorstw i roztoczenia nad nimi politycznej kontroli. Gdyby Ojciec propozycję przyjął, toby i tak poszedł do więzienia, tylko trochę później, za to z zarzutami o kradzież czy szpiegostwo. Przykłady innych ludzi, którzy uwierzyli w możliwość współpracy, wyraźnie na to wskazują. Ojciec stanowił zagrożenie dla systemu. Nie bezpośrednio, bo nawet dla ubeków było oczywiste, że nie podejmie żadnej działalności antypaństwowej, ale dlatego, że był osobistością cieszącą się zaufaniem społecznym i osobą opiniotwórczą. Dlatego we wrześniu 1939 roku Starzyński powołał go na komendanta Straży Obywatelskiej. Był osobą, wokół której gromadzili się ludzie. Nazywano go nawet rabinem, bo tyle osób szukało u niego rady i pomocy. Jego rodowód polityczny nie pozostawiał wątpliwości, że komunistą nie jest i nigdy nim nie będzie.

A zeznania w procesie moskiewskim wyraźnie wskazywały, że nasz dom był ośrodkiem spotkań ważnych osób. W aktach IPN znalazłem dowód na ten tok myślenia. Już po procesie i skazaniu Ojca zdecydowano się na otwarcie programu operacyjnego pod nazwą ASY. Objęto nim szereg osób, już wówczas uwięzionych, które, jak w dokumencie napisano, nie prowadziły działalności antyreżimowej, ale stanowią zagrożenie, bo ze względu na swoją pozycję społeczną mogą odegrać rolę kierowniczą w przypadku jakichś akcji z zagranicy.

Wiadomość o aresztowaniu Ojca spadła jak grom z jasnego nieba. Powstał dylemat, czy mam poprowadzić wykład, na który przyszło kilkanaście osób, czy też się z niego wycofać. Oczywiście odwołanie wykładu byłoby dla wszystkich zrozumiałe. Nikt nie mógł ode mnie wymagać, abym w takim stanie prowadził prelekcję. Ale mimo to zdecydowałem się go wygłosić. Przeważyło przekonanie, że zapraszając całe Koło, podjąłem w stosunku do tych ludzi zobowiązanie i że wykonanie tego zobowiązania jest moim obowiązkiem. Wielokrotnie się zastanawiałem nad tą decyzją. Ona była charakterystyczna i dla wielu moich późniejszych zachowań. Poczucie obowiązku zrealizowania podjętych zobowiązań stanowiło dla mnie zawsze podstawowe kryterium. Często spotykało się to ze zrozumieniem, ale równie często tego nie rozumiano, szczególnie gdy wiązało się to z dodatkową pracą lub koniecznością poświęcenia osobistych interesów – moich, ale czasami także cudzych.

Aresztowanie Ojca zmieniło całkowicie życie naszej rodziny. Matka stała się jej głową. Swoją zakład kosmetyczny zlikwidowała w grudniu. Powód był dziwny i początkowo nie braliśmy go poważnie. W połowie 1947 roku wróżka, której rad Matka słuchała, kazała natychmiast gabinet zlikwidować. Okazało się, że wróżka miała rację. Matka oszczędziła sobie wielu problemów, w czasie gdy musiała się skoncentrować na pomocy Ojcu. Ta sprawa w sposób oczywisty stała się jej prio-

rytetem. Rzecz jasna, niewiele można było zrobić, bo przecież tu nie chodziło o sprawiedliwość. Dobrze, że od początku wiedzieliśmy, gdzie jest Ojciec. To pozwalało na dostarczanie paczek, tak istotnych dla przeżycia w więzieniu.

Wynajęła adwokatów, ale oni też do niczego nie mieli dostępu. Ich bardzo wątpliwa rola mogła się zacząć dopiero wtedy, gdy powstanie akt oskarżenia. Zaczęła więc wędrowkę od drzwi do drzwi ministerstw i generałów, lokatorów z Przyjaciół, ludzi z Podkowy (w tym Iwaszkiewicza) oraz wszystkich przyjaciół i znajomych z Automobilkлубu i Związku Łowieckiego, którzy mogli mieć dostęp do władz. Wszędzie odbijała się od zamkniętych drzwi. Nikt nie chciał rozmawiać. Próby dostania się do Różańskiego tym razem się nie powiodły. Dawni przyjaciele Ojca z przemysłu nie mieli żadnych możliwości pomocy – część już siedziała, a część spodziewała się represji.

Zmieniła się radykalnie sytuacja w Zarybiu. Wykop się wyprowadził i pozbawił Matkę dochodu z wynajmu. Aresztowanie Ojca zostało odebrane przez lokalne pieski partyjne jako sygnał do ataku. Regulskich uznano za symbole kapitalizmu, które trzeba zniszczyć. Właśnie wprowadzono kwaterunek w Podkowie. A to oznaczało, że w domach o ponad 110 metrach kwadratowych powierzchni zaczęły obowiązywać normy powierzchni, którą mógł zajmować jeden człowiek. O tym, kto będzie mieszkał, decydował urząd wydający nakazy kwaterunkowe. Rola właściciela została sprowadzona do obowiązku utrzymania nieruchomości. Lokatorzy płacili za mieszkanie, ale to były symboliczne sumy, które oczywiście nie wystarczały na najprostsze wydatki, nie mówiąc już o remontach. Zaczęła się walka z władzami o utrzymanie jakiejś powierzchni na potrzeby rodziny i o zasiedlenie Zarybia ludźmi, z którymi można by żyć.

Pierwszą sprawą było zagospodarowanie parteru, zwolnionego przez biura Wykopu. Nadawał się świetnie np. na jakiś partyjny lokal czy dom kultury. I to było realne zagrożenie, bo w ten sposób mogli nas praktycznie pozbawić domu. Rozwiązanie znaleziono, zawierając umowę ze szpitalem psychiatrycznym w Tworkach. Szpital uruchamiał program rehabilitacji psychicznie chorych przez pracę i zdecydował się wynajmując za symboliczną opłatę parter Zarybia, aby zorganizować tam spanie dla wyselekcjonowanych pacjentów, których postanowiono zatrudnić w szklarniach przy kwiatach. Gospodarstwo rolne Ojcu udało się wcześniej wydzierżawić spółce nasiennej w Podkowie. Nikt nie przypuszczał, że dzięki temu Zarybie ocaleje.

Skład rodziny ograniczył się do najbliższych. Wraz z Matką mieszkali jej rodzice, Dziadkowie Maciejowscy, oraz brat Dziadka, stryj Stefan. Mieszkała też moja Runia. Służby już nie było. Wspierał moją Matkę zaprzyjaźniony z nami pułkownik Smolarski, który stał się członkiem tej gromadki. Po drugiej stronie ulicy mieszkała rodzina stryja Józefa, który przyjął Babkę Regulską. Nasze gospodarstwo w Zarybiu

musiało się ograniczać do coraz mniejszej liczby pokoi. Kolejne komisje nasyłane z urzędu miasta dokładnie wyliczały przynależne nam metry. Ani mnie, ani później mojej rodzinie nie przysługiwało prawo do powierzchni. Byliśmy zameldowani w Warszawie. Nawet wielki apartament Rodziców okazał się nie do utrzymania. Podzielono go murem na dwie części i straciliśmy bezpowrotnie pokój Matki, w którym ja się urodziłem.

Początkowo Matka miała do dyspozycji zasoby finansowe zgromadzone przez Ojca i chwilowo nie groziła nam nędza. Ta groźba stawała się jednak coraz poważniejsza wraz z przedłużaniem się nieobecności Ojca i nowymi działaniami władz. Kolejne uderzenie nastąpiło niebawem. UB zainteresowało się majątkiem Ojca i sąd wydał nakaz zabezpieczenia go na rzecz Skarbu Państwa. Zakładano, że Ojciec będzie skazany, a majątek skonfiskowany. Nakaz zabezpieczenia wydano, choć jeszcze nawet nie określono, o co Ojciec będzie oskarżony! Ale wówczas nikt się takimi drobiazgami nie przejmował. Każdy wiedział, że skoro go zamknęli, to będzie za coś skazany. Za co? To było nieistotne.

Któregoś dnia zjawił się u mnie w mieszkaniu w Warszawie przedstawiciel władz z papierem w ręku i zawiadomił, że sąd nakazał przepadek mienia Ojca, a on przyszedł je zabezpieczyć. Zaprotestowałem, że ja tu mieszkam i że duża część ruchomości należy do mnie. Facet był sympatyczny i czuł się bardzo nieswojo w związku z wykonywanym zadaniem. Zdawał sobie jasno sprawę, że Ojciec przestępcą nie był, a przepadek mienia jest formą represji. Powiedział mi wprost, abym posegregował rzeczy, swoje przeniósł do mojego pokoju, a Ojca pozostawił w drugim. I spokojnie usiadł, patrząc w okno. Zacząłem więc szybko przenosić do siebie co wartościowsze rzeczy. Nawet w tamtych czasach ludzie potrafili zachowywać się przyzwoicie.

Część rzeczy opisał i wycenił. Podpisałem, że przejmuję nad nimi opiekę i odpowiedzialność. Ceny były raczej symboliczne, a Matka była współwłaścicielką tych ruchomości, więc po pewnym okresie wykupiliśmy je od państwa, aby się pozbyć niewygodnego współwłaściciela. Zawsze bowiem istniało niebezpieczeństwo, że zrobią jakąś kontrolę, czegoś nie znajdą i będziemy mieli proces o bezprawne zniszczenie własności państwowej. Pomysłowość władz była wtedy ogromna. Podobnie udało się wykupić zajęte ruchomości w Zarybiu. Gorzej, że zajęto połowę wszystkich przychodów. Spółka i wszyscy lokatorzy połowę czynszów musieli odtąd wpłacać na konto urzędu, co poważnie zagroziło egzystencji Rodziny. Zajęto też willę w Juracie należącą do Rodziców.

W kwietniu zmieniłem pracę. Przeszedłem do przedsiębiorstwa budującego osiedle na Kole. Było to osiedle eksperymentalne, projektowane przez małżeństwo architektów Syrkusów, bardzo lewicujących, wprowadzonych w najwyższe kręgi europejskich socjalistów i żydowskich intelektualistów. Osiedle stanowiło realizację

przedwojennych idei osiedli robotniczych i jednocześnie pierwszą próbę zastosowania nowych rozwiązań materiałowych. Zostałem kierownikiem budowy nowego budynku. Stanowiło to poważne wyzwanie. Wszystkiego musiałem się uczyć. Na szczęście dostałem dobrego majstra, starego i bardzo doświadczonego. Ale obciążenie było wielkie. Chociaż nie miałem żadnych istotnych osiągnięć, spotkałem się z ogromnym zaufaniem Jaczynowskiego, który był szefem grupy robót budującej Koło.

Wyrażało się to szybką sekwencją awansów. Początkowo zaangażowano mnie na stosunkowo niską pensję. Nagle prawie co miesiąc zacząłem dostawać podwyżki! Za każdym razem, gdy odbierałem wypłatę, dostawałem więcej, tak że wkrótce zarabiałem zupełnie nieźle.

W roku 1948 Sowiety podjęły próbę zjednania sobie zachodnich środowisk intelektualnych. Tam ciągle istniał mit nowego wspaniałego świata, który komunizm chce zrealizować. Wielu naiwnych myślicieli sądziło, że ich obowiązkiem jest go wspierać, potępiając tych, którzy się temu przeciwstawiali. Aby uzyskać mocny głos tego środowiska, zorganizowano we Wrocławiu Kongres Inteltektualistów w Obronie Pokoju. Zjechały się sławy z całego świata. Syrkusowie odgrywali na nim bardzo eksponowaną rolę, jako przedstawiciele Polski, architekci i międzynarodowi działacze socjalistyczni sprzed wojny. Po Kongresie grupa jego uczestników przyjechała do Warszawy – Syrkusowie ich obwozili. Któregoś dnia zjawili się na budowie wraz z Pablem Picassem. Była to sensacja. Chodzili z budowy na budowę. Przyszli też do mnie. Wymieniliśmy kilka słów bez znaczenia. Szybko podsunąłem Picassowi nasz dziennik budowy, aby się podpisał. Za chwilę poszedł dalej, a ja w dzienniku znalazłem tylko miejsce po wyrwanej kartce. Ktoś był szybszy.

Poszli potem do biura budowy, które się mieściło w jednym, już prawie gotowym mieszkaniu. Picasso wszedł na jakiś stółek i z rozmachem narysował na całej ścianie węglem sylwetkę Syrenki warszawskiej z młotkiem murarskim zamiast miecza w ręce. Pojechali. A myśmy przez kilka dni oglądali ten rysunek. Wkrótce wróciło wszystko do normy. O rysunku powoli zapominano. Aż tu nagle, kilka tygodni potem, zjechała cała delegacja panów w czarnych garniturach, pytających właśnie o niego. Z trudem przypominano sobie, o co chodzi. Sprawa nabrała międzynarodowego wymiaru. Picasso w jakimś wywiadzie w Paryżu powiedział, że narysował Syrenkę na murach odbudowywanej Warszawy. Zrobiła się awantura w MSZ, bo nikt o niczym nie wiedział.

I powstał problem, co z tym zrobić. Za kilka tygodni budynek miano przekazywać lokatorom i właśnie malarze przystępowali do malowania ścian. Co zrobić z rysunkiem? Kazano go zabezpieczyć i zakazano malowania tej ściany. Ale wtedy zaczęła się awantura z lokatorem. To było małe jednopokojowe mieszkanie, a rysunek zajmował główną ścianę w tym jedynym pokoju. Najpierw lokator zrobił



Osiedle WSM Koło-Wschód, blok przy ul. Ringelbluma 2 podczas budowy. Z lewej pod zadaszeniem maszyna do kruszenia gruzu (domy wznoszono z wytwarzanych na miejscu bloczków z gruzobetonu), 1948. Fot. NAC

awanturę, bo pomalowano mu tylko trzy ściany. W dodatku Syrenka miała bardzo obfite kształty kobiece, więc żona lokatora oświadczyła, że z gołą babą mieszkać nie będzie! Ale nie mieli wyboru – albo mieszkanie z babą, albo żadne. Więc się wprowadzili. A potem mieli dodatkowe utrapienie, bo ta Syrenka stała się punktem w programach wycieczek. Więc ciągle ktoś do nich przychodził. W końcu, jak słyszałem, zastawili malunek szafą, a wycieczki wyganiali. Syrenka Picassa zakończyła życie kilka lat później podczas kolejnego remontu, gdy przestano się nią interesować i nikt nie zwrócił uwagi na to, że ją po prostu zamalowano.

Wczesną jesienią dostałem nowe zadanie. Społeczne Przedsiębiorstwo Budowlane uzyskało zlecenie na budowę osiedla Młynów wzdłuż Górczewskiej, między powstającą Trasą W-Z (dziś Solidarności) a Żytnią, od nie istniejącego już placu Kercelego aż poza Młynarską. Pierwsze budynki miały powstać przy W-Z, obok obecnej Towarowej, i budowa miała się sukcesywnie przesuwać na zachód. Powierzono mi zorganizowanie pierwszego kierownictwa budowy. Zadanie zostało uznane za pilne, bo za niecały rok miano otworzyć Trasę i te budynki musiały być gotowe.

Tym razem to już była naprawdę samodzielna praca i duża odpowiedzialność. Byłem sam gospodarzem na wydzielonym terenie. Był on całkowicie pusty. Jedynie przy Kercelaku, jak się ten plac nazywało przed wojną, znajdowało się wielkie zwalowisko gruzu, który miał być zużyty w budowie. Istniejąca obok szkoła budowlana wybudowała jakieś baraki, które od nich odkupiliśmy, i dzięki temu mieliśmy w miarę dobre warunki na swoje biuro. Ale poza tym trzeba było wszystko zaczynać od nowa.

Kiedy dziś patrzę na wyposażenie budow i maszyny, którymi dysponują, to uświadamiam sobie nieprawdopodobne zmiany, jakie nas dzielą od tego, jak się budowało wówczas. Nie mieliśmy nic. Podstawowy środek transportu stanowił wóz konny. Nie było wind. Materiały wnosili ludzie po tzw. sztagach, czyli pochylniach z desek, na które nabijano poprzeczne listwy jako niby-stopnie. Szczególnie fascynująca, ale wyniszczająca była praca koźlarzy – robotników wnoszących cegły. Normą było 20–30 cegieł, a więc ponad 100 kilogramów! Koźlarz układał je sobie na kozie, czyli nosidle będącym prostą deską zakładaną na plecy. Z tym ciężarem, lekko balansując w celu utrzymania równowagi, koźlarz maszerował do góry. Jedyna maszyna, jaką dostałem do dyspozycji, to betoniarka. Beton robiło się na miejscu, w naszym przypadku wykorzystując gruz. Nie było koparek. Wykopy wykonywali ręcznie robotnicy, a ziemię wywoziły furmanki. Podziemia budynków budowało się z gruzobetonu wylewanego w drewnianych szalunkach. Wyżej mur był z cegły. Wszystkiego brakowało, budowało się prymitywnie, a terminy gonily. Należało wykonywać plany i święcić różne święta oddawaniem budynków do użytku. Ja oddałem swój pierwszy budynek 22 lipca 1949 roku, oczywiście żeby uczcić



Budowa osiedla Młynów przy ul. Górczewskiej na warszawskiej Woli, 1949. Fot. NAC

ówczesne święto narodowe. Potem poszły następne. Gdy okazało się, że warszawskie budownictwo nie wykonało planu za ten rok, powołano specjalną komisję rządową z wiceszefem Państwowej Komisji Planowania na czele i z udziałem bezpieki, która wszędzie węszyła sabotaż. Zrobiło się dość groźnie. Komisja jeździła po budowach, prowadziła przesłuchania i dochodzenia. Były różne przykre konsekwencje, chociaż nie słyszało się o aresztowaniach.

Przyjechali i do nas. Na szczęście mieli spóźnienie i zabawili tylko chwilę. Wezwali nas na wieczór do Komisji na plac Trzech Krzyży. Poszliśmy, wszyscy kierownicy budów. I zaczęło się. Ich nie interesowało to, że wszystkiego brakowało. Tylko pytania, co kto zrobił, gdy nie dostarczano mu zamówionych materiałów czy też nie dostawał dokumentacji. Większość odpowiadała, że pisała, monitowała i czekała.

To Komisję doprowadzało do szału. Krzyk, a ubiaki tylko notują. Ciarki chodzą po plecach. W końcu przyszła i moja kolej. Miałem na sumieniu dwa grzechy: jeden nieoddany budynek i nieoddaną kotłownię osiedlową, co blokowało zasiedlenie wielu innych obiektów. Budynku nie oddałem, bo nie dostarczano mi materiałów. Miałem jednak poważny argument. Mianowicie w tym czasie w mieszkaniach instalowano przenośne kuchenki węglowe, dostarczane przez fabryki. Ale ich nie było. Uzgodniliśmy więc z inspektorem nadzoru, że wykorzystamy uczniów z sąsiedniej szkoły rzemieślniczej, którzy w ramach ćwiczeń zbudują nam kuchenki z kaffi. I tak wyposażyliśmy dwa budynki. To był duży argument na moją obronę. Ale desek podłogowych nie mogłem zastąpić czymś innym. Więc budowa się opóźniła.

Z kotłownią była sprawa trudniejsza. Dokumentację dostałem dopiero w lecie i wtedy dowiedziałem się, gdzie ma ona być wybudowana i że ma być mocno zagłębiona w ziemię. Należało wykonać sześciometrowe wykopy bezpośrednio przy istniejących i zamieszkałych domach. To było niebezpieczne i trudne zadanie. Musieliśmy przeprowadzić wiele robót zabezpieczających, a wykonanie głębokich wykopów też trwało. Nie było koparek. Kopało się ręcznie, a ziemię wywoziły z wykopu konne furmanki. Przedstawiłem trudności i jakoś przyjęto moje tłumaczenia. Wróciłem do domu w nocy wykończony. Miałem w pamięci niedawne więzienie. A teraz pokazano mi, jak łatwo tam jest wrócić. UB było wszędzie.

Podjąłem pracę na budowie, ale chciałem utrzymać kontakt z uczelnią. Złożyłem więc podanie o pół etatu asystentury i wybrałem Katedrę Budownictwa Ogólnego, prowadzącą przedmiot podstawowy, z którego byłem najślabszy. Chciałem się douczyć. Od jesieni 1948 roku zacząłem prowadzić ćwiczenia. Katedrą kierował profesor Żencykowski, który należał do autorytetów budowlanych. Nie miał łatwego charakteru, ale był inteligentny i kulturalny. Inteligentny i kulturalny był też zespół asystentów. Na tle ówczesnego chamstwa stanowił on jakąś enklawę. Dla mnie to było szczególnie ważne ze względu na otoczenie, w jakim pracowałem na co dzień.

Niestety, moja kariera naukowa zakończyła się dość szybko. Zatrudnienie każdego pracownika musiało być zatwierdzone przez wydział kadr Ministerstwa. I to dotyczyło nawet prostych asystentów. Procedury trwały długo. Dopiero wiosną, a więc po prawie całym roku akademickim, który przepracowałem w Katedrze, bardzo zmartwiony profesor Żenczykowski powiedział mi, że ma dla mnie złą wiadomość, bo w kadrach wręczyli mu kopię pisma z Ministerstwa, że nie zgadzają się na moją pracę z młodzieżą. Byłem wrogiem klasowym. Pożegnałem się więc z Politechniką jeszcze tego samego dnia.

Charakterystyczna była forma tego pisma, które otrzymałem z rektoratu. Potworzono treść pisma z Ministerstwa, dodając jedynie krótki dopisek, adresowany do mnie. Stanowiło to wyraźny znak, że tak rektor chciał podkreślić, iż robi tylko to, co im każą, i nie chce, aby go identyfikować z tymi poczynaniami. Był rok 1948. Zaczynała się akcja eliminacji nieprawomyślnych. Ja przecież byłem po więzieniu, a Ojciec właśnie został zamknięty. Dla takich osób nie przewidziano miejsca na uczelni, ponieważ istniało ryzyko, że zarażą młodzież swymi poglądami. Do instytucji naukowych mogłem powrócić dopiero po kilkunastu latach.

Nasz ślub z Danką rysował się coraz bliżej. Dość szybko zdecydowaliśmy, że nam razem będzie dobrze. Aresztowanie Ojca spowodowało jednak pewien problem. Czy było dopuszczalne żenić się, gdy on siedział? Przecież mieliśmy ciągle nadzieję, że to nie potrwa długo. Nikomu do głowy nie przychodziła myśl, że to będzie trwało siedem lat! I tak czekaliśmy, odkładając decyzję. Dopiero w 1949 roku postanowiliśmy, że dalsze czekanie nie ma sensu i, niestety, życie musi iść naprzód.

Ustaliliśmy, że pobieramy się wiosną. Danka twardo postawiła warunek, że ślub nie może odbyć się w maju. Podobno to źle wróży. Więc kwiecień. Ale tu wystąpiła trudność. Danka dostała ataku ślepej kiszki i zabrali ją do szpitala na operację. Jak się śmiałem, dostałem ją wyremontowaną! W efekcie jedyną datą był 30 kwietnia. W tym dniu obiecaliśmy sobie w kościele w Podkowie, że będziemy się kochać. I tę obietnicę staramy się dotrzymywać już przez 65 lat.

Wesele zorganizowaliśmy w Zarybiu. Ale wyprawiła je Matka Danki, wykorzystując swoje umiejętności i aparat restauracyjny Scarlett. Stoły rozstawiliśmy w hallu na parterze. Zjechała się cała rodzina. Była Babka Regulska, Dziadkowie Maciejowscy. Obaj żyjący w kraju bracia Ojca, Józef i Tadeusz, wraz z żonami i dziećmi. Oczywiście nie zabrakło i naszej Runi, która bardzo przeżywała zjawienie się „konkurentki”, przejmującej nade mną kontrolę. Było jeszcze kilku rezydentów mieszkających w domu. Była też cała rodzina Danki: jej Rodzice oraz starsza siostra Zosia Czarnota-Bojarska z mężem i synem. Z folwarku przyszła delegacja pracowników z życzeniami, zupełnie jak gdyby się czasy nie zmieniły. Był to chyba ostatni zjazd w tym składzie. W ciągu najbliższych lat odeszło od nas pokolenie moich Dziadków.

Nad naszym ślubem ciążyły jednak dziwactwa tamtego okresu. 1 Maja był największym świętem w całym sowieckim obozie. Wszędzie odbywały się wielkie uroczystości i pochody. Uczestnictwo było obowiązkowe, szczególnie dla osób na kierowniczych stanowiskach. Nie do pomyślenia było, że pracownicy budowy idą, a ich kierownik jest nieobecny. Kiedy więc składałem prośbę o kilkudniowy urlop na ślub, to mój szef Jaczynowski postawił jasny warunek – absolutnie konieczna obecność na pochodzie! W mojej sytuacji politycznej, wiecznego podejrzanego, była to propozycja nie do odrzucenia, która w praktyce oznaczała, że muszę w noc poślubną wstać o czwartej rano, żeby o piątej wyjechać z Podkowy i być w Warszawie koło wpół do siódmej. Zbiórkę wyznaczono na budowie na siódmą rano. Ale komunikacja nie funkcjonowała i trzeba było iść na piechotę od Jeruzolimskich w kierunku Koła, bo tam wyznaczono spotkanie dla całego przedsiębiorstwa. Z góry założyłem, że nie zdążę, i rzeczywiście – spotkałem całą grupę już w rejonie Młynowa. I razem z nią z powrotem na Jeruzolimskie pod trybunę, która stała koło Brackiej.

Potem powrót do Podkowy na spotkanie z młodą żoną. Nieprzytomny zwałem się na łóżko i spałem do następnego rana jako ofiara budowy socjalizmu!

Studia dziennikarskie Danki okazały się niewypałem. ANP stawała się miejscem kształcenia kadr politycznych dla nowego systemu i coraz szybciej ewoluowała w kierunku szkoły politruków. Danką nie mogła się w tych ramach zmieścić. Skończyła pierwszy rok, ale w czasie drugiego postawiono wyraźne żądanie zapisania się do partii. Wiosną 1949 roku przestała chodzić na wykłady. Ale wtedy poszła do szpitala, a potem było wesele. Pytanie, co ma robić dalej, zostało na chwilę odłożone.

Mieszkanie na Przyjaciół było na owe czasy wprost luksusowe. Staraliśmy się je właściwie wyposażyć. Pan Adam ciągle do nas przychodził. Jednak w miarę jak w moje życie wkraczała Danką, narastały problemy. Podchodził do niej ze skrajną nieufnością, jak zresztą do wszystkich kobiet. Ale rozstaliśmy się dopiero, gdy spodziewaliśmy się urodzenia Joanny. Pan Adam powiedział, że albo w domu pieluszki, albo on. My, niestety, wybraliśmy pieluszki.

Któregoś dnia przeczytaliśmy ogłoszenie, że można występować o założenie prywatnego telefonu. Warunki były co prawda dziwne. Telefon włączano jedynie poza godzinami pracy biur i urzędów, a więc po czwartej po południu, i wyłączano o ósmej rano. Myśmy natychmiast wystąpili o przydział. Znajomi się z nas śmiali, bo przecież nikt nie miał telefonu i wieczorami nie było do kogo telefonować. Rzeczywiście stał nieużywany tygodniami, ale ładnie wyglądał na moim biurku. Po roku czy dwóch przestali go jednak wyłączać, a coraz więcej znajomych miało telefony. Tylko że później uzyskanie telefonu było bardzo trudne, ze względu na ogromne zapotrzebowanie. Wtedy to myśmy się z nich śmiali, że trzeba było inwestować wcześniej!

Pytanie o przyszłość Danki wróciło na jesieni, ale czuliśmy się zbyt bezradni, żeby na nie dobrze odpowiedzieć. Czasy były trudne. Danka miałaby bardzo poważny kłopot z dostaniem się na uczelnię. Już parę lat minęło od jej matury, więc startowanie do egzaminów konkursowych wymagałoby dużego przygotowania. A poza tym miałaby duże trudności polityczne. Przejęła obowiązki Regulskich, a do tego dochodziły jej własne, związane z przerwaniem studiów w ANP. W końcu i Danka, i ja zaczęliśmy chodzić na kursy księgowości – ona, żeby móc uzyskać jakieś umiejętności umożliwiające jej pracę biurową, a ja, ponieważ chciałem się czegoś nauczyć, aby łatwiej rozumieć, co mówi moja księgowka. Wkrótce Danka zaczęła pracować w księgowości w przedsiębiorstwie, gdzie i ja pracowałem.

Nad wszystkim ciążył brak nadziei na jakąkolwiek zmianę na lepsze. W takim nastroju trudno myśleć o inwestowaniu w przyszłość i wyborze odległych celów. Czuliśmy się jak szczury w klatce, która ze wszystkich stron ogranicza nasze możliwości i nad którą czuwa Wielki Brat, obserwujący bacznie nasze ruchy i w każdej chwili gotów do interwencji. Celem samym w sobie było przetrwanie. Ale co mieliśmy przetrwać? Swoje całe życie, bo przecież nie ustrój, który wydawał się niepodważalny. Więc się do niego adaptować? Ta potrzeba była oczywista. Ale to nie oznaczało, że ten ustrój mogliśmy uznać za własny. Szczęściem w tym wszystkim było to, że miałem zawód i pracę, która dawała nam środki do życia. Więc bezpośrednio nic nam nie groziło. Chociaż jak przeszłość wykazała, a przyszłość miała wkrótce potwierdzić, wcale to nie było takie pewne. Wielki Brat czuwał.

Zaprzyjaźniliśmy się z Główczewskimi, a w ich mieszkaniu na Chmielnej ciągle organizowano jakieś imprezy, zabawy, przebieranki. Życie towarzyskie było jednak bardzo utrudnione. Mało kto dysponował mieszkaniem nadającym się do przyjmowania gości. Lokali było mało i były opanowane przez nową klasę spekulantów, żyjących z niejasnych źródeł, ale żyjących dobrze. Oczywiście my nie mogliśmy się z nimi finansowo równać. Ale zaczynały się zarysowywać różnice w podejściu do nowego systemu. Lewicująca młodzież widziała w nim nadzieję na nadejście lepszego świata i szukała jakichś form współżycia z władzą. Wszyscy chcieli jakoś żyć, zakładać rodziny, pracować, zarabiać.

Zastraszanie też robiło swoje. Ludzie stawali więc wobec wyborów. I to wyborów trudnych. Myśmy mieli ten luksus, że zostaliśmy wpisani na listę wrogów. I byliśmy na niej przez kilka dziesiątków lat. Ten wybór zresztą akceptowaliśmy; Polska Ludowa sama wykluczyła sytuację, w której mogłem ją popierać.

Nasze mieszkanie na Przyjaciół było miłe, ale otoczenie stawało się coraz pasakudniejsze. Zarząd budynku przejęło Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego z przeznaczeniem na mieszkania dla swoich najwyższych urzędników. Było to dla nich wygodne, bo przecież centrala mieściła się przy sąsiedniej ulicy św. Teresy, przy której wszystkie budynki przejęte po niemieckiej policji kryminalnej zamie-

niono na biura i więzienie. Nowym dozorcą naszego domu został ubowiec, który chciał się wykazać sukcesami w walce z wrogami ludu. Natychmiast zaczęły się różnego rodzaju szykany – podglądanie przez okna z tarasu, wchodzenie do mieszkania podczas naszej nieobecności za pomocą podrobionych kluczy. I próby różnych prowokacji.

Pamiętam taki drobiazg. Dostawaliśmy paczki od mego wuja z Ameryki z ubraniem czy jakimiś delikatesami. I w jednej z nich między odzieżą znalazłem tzw. mieczyk Chrobrego, odznakę przedwojennego ONR. Nie bardzo rozumiałem, skąd on się tam wziął, bo nie sądzę, aby go ktoś z Ameryki w paczce przysyłał. Ale wrzuciłem go do biurka i tam sobie leżał. Oczywiście nigdy go nie używałem. Potem nagle zniknął. Zastanawiałem się, gdzie się podział. A tu nagle dozorca łapie mnie na schodach i niby w tajemnicy mówi, że na schodach pod moimi drzwiami znaleziono mieczyk i że będzie z tego straszna afera, bo to przecież wrogi symbol i dowód, że ja prowadzę nielegalną działalność. Zlekceważyłem tę opowieść, ale upewniłem się, że ktoś sprawdza, co mam w mieszkaniu.

Nasz dozorca szczególnie nie lubił Danki i robił jej afronty przy każdej okazji. Jeszcze przed ślubem nasłał na nas milicję pod pretekstem, że Dankka przebywa w mieszkaniu nielegalnie, bo nie jest tu zameldowana. Musiałem się wykupić łapówką. W końcu władze Ministerstwa postanowiły się nas pozbyć.

Jesienią 1950 roku dostałem telefon od administracji, że chcą ze mną rozmawiać. Kiedy się spotkałem z administratorem, powiedział, że chce mi pokazać moje nowe mieszkanie. Odpowiedziałem, że nie mam zamiaru się przeprowadzać. A on na to, że co mi szkodzi obojętnie. Zawiózł mnie na Elektoralną i pokazał małe dwupokojowe mieszkanie. Powtórzyłem, że nie chcę się przeprowadzać. Wtedy on po przyjacielsku mi sprawę wyjaśnił. Dom przejęło Ministerstwo Bezpieczeństwa Publicznego, będą tam mieszkać najwyżsi urzędnicy MBP, więc nikt obcy mieszkać tam nie może. Jeśli się zgodzę przeprowadzić, to oni załatwią wszystko, przewiozą, przeniosą telefon, poniosą wszystkie koszty. A jeśli nie, to wystąpią do władz miasta o przesiedlenie mnie. Wyprowadzą mnie z Przyjaciół tak czy inaczej. Tylko on nie gwarantuje, gdzie ani jakie mieszkanie dostanę. Może w Zielonce, a może w Kobylce. Propozycja więc była nie do odrzucenia. Przenieśli mnie bardzo elegancko. Ale kiedy poprosiłem o zaświadczenie, abym mógł usprawiedliwić swoją nieobecność w pracy w dniu przeprowadzki, on uśmiechnął się szeroko. „Proszę się nie martwić. Pana personalny o wszystkim jest poinformowany”.

W styczniu 1949 roku zostałem naczelnym inżynierem Zarządu Budowlanego, nowej, samodzielnej jednostki budującej osiedle Młynów wzdłuż Górczewskiej. Był to dla mnie istotny awans. Miałem niecałe 25 lat. Ta zmiana nastąpiła w związku z reorganizacją całego sektora budownictwa. Społeczne Przedsiębiorstwo Budowlane zostało upaństwowione, a jego jednostki włączono do ogólnopaństwowych

struktur. Zaczęliśmy się nazywać Zjednoczenie nr 1. Zarządy budowlane stanowiły nową formę organizacyjną. Były to półautonomiczne jednostki z własną księgowością, zatrudnieniem i daleko posuniętą odpowiedzialnością, szczególnie techniczną i organizacyjną. Dyrektorem został Jaczynowski, który mnie wziął na naczelnego inżyniera, czyli swego zastępcę technicznego. Przejęliśmy kilka budów prowadzonych dotąd przez inne przedsiębiorstwa. W sumie Zarząd zatrudniał około 1500 ludzi. Dzisiaj do wykonania tych robót wystarczyłoby kilkakrotnie mniej osób, wtedy wszystko opierało się na bezpośredniej, fizycznej pracy. Jaczynowski był doświadczonym inżynierem, jeszcze z przedwojenną praktyką. Przeszedłem dzięki niemu dobrą szkołę praktycznego zarządzania, ale przede wszystkim współpracy z ludźmi o różnym poziomie kultury i intelektu. Na budowie mieliśmy cały przekrój społeczeństwa. Od inteligencji technicznej aż po zupełne wyrzutki społeczne. W pewnym momencie wśród robotników spotkałem złodzieja, z którym razem siedziałem w więzieniu.

Z Jaczynowskim pracowało się nam świetnie. Niestety, po roku mianowano go naczelnym inżynierem w Centralnym Zarządzie Budownictwa, a więc w jednostce nadzorującej wszystkie przedsiębiorstwa ogólnobudowlane w Polsce. Wytrzymał tam kilka lat. Był pełen entuzjazmu i zapału do pracy, ale nie nadawał się do nowych warunków. Jego też w końcu system odwirował.



13.

**UB czuwa – Narodziny Joanny
Tatry, moja miłość**

Jesień roku 1950 przyniosła wielką wiadomość: Danka była w ciąży, następne pokolenie szykowało się do przyjścia na świat! Danka dobrze się czuła i nawet pojechaliśmy na wczasy pracownicze do Świeradowa. To był wtedy jedyny sposób spędzenia urlopu. Bardzo poważnie wyglądała, gdy kroczyła powoli w swojej pelisie po zaśnieżonych ulicach. Potomka spodziewaliśmy się w kwietniu. Miał się urodzić pod znakiem Barana. Jeszcze wtedy nie wiedzieliśmy, co to oznacza.

Przed kwietniem nastąpiły dwa ważne wydarzenia. Po pierwsze, sprawa Ojca nabrała pewnego przyspieszenia, chociaż trudno nazwać przyspieszeniem wniesienie aktu oskarżenia po trzech latach więzienia. Oskarżono go o współpracę z gestapo. Podstawę takiego stwierdzenia stanowiły zeznania kapusia, którego wstawili do jego celi i któremu opowiedział historię o znalezieniu broni w Zarybiu. Teza prokuratora była jasna: Ojciec był współpracownikiem, bo jakby nie był, toby go wtedy rozstrzelano. A jeśli żyje, to znaczy, że był agentem.

Nasz adwokat Lech Buczkowski uzyskał dostęp do akt i po raz pierwszy spotkał się z Ojcem. Rola adwokatów w tamtym okresie była dwuznaczna. Oczywiście bronili oskarżonych, czym się dzisiaj ich następcy mocno chwala. Ale przecież na to, aby uzyskać prawo do występowania w sądach, należało dostać zgodę władz. Aby ją dostać, trzeba było mieć zaufanie tych władz, ich przekonanie, że adwokat będzie się zachowywał właściwie. A więc z linią partii! Jakie zobowiązania podjęli i w jakich granicach wolno było się im poruszać, tego nikt z nas nie wiedział. Żaden z adwokatów nie cieszył się pełnym naszym zaufaniem. Byliśmy na nich skazani. Nie mogliśmy ich współpracy odrzucać.

Zawsze lepsze coś niż nic. Ale było jasne, że są to ludzie stojący w rozkroku między zobowiązaniami w stosunku do władz a poczuciem adwokackiej powinności obrony oskarżonego. Nie mieliśmy wątpliwości, że to pierwsze przeważało. Traktowaliśmy ich więc jako jawnych pośredników między nami a UB. W niezawisłość sądów nikt nie wierzył. Wybierało się zatem adwokatów według domniemania o ich dojsściach do ubowskich decydentów. Ale nic złego o mecenasie Buczkowskim nie mogę powiedzieć. Robił, co mógł, a że niewiele mógł, to nie jego wina.

Dostaliśmy wiadomość, że proces odbędzie się 21 lutego w sądzie wojskowym na Koszykowej. Proces był tajny, więc nikt z nas nie mógł być na sali. Ojca mieliśmy okazję zobaczyć jedynie w przejściu na schodach. Z Matką i Danką, która była w zaawansowanej ciąży, ustawiliśmy się na półpiętrze tak, aby móc na niego patrzeć możliwie długo. Adwokat uprzedził, żeby nie próbować dawać mu czegokolwiek i nic do niego nie mówić. Mogłoby to mieć bardzo niedobre skutki dla niego w więzieniu. Więc staliśmy i czekaliśmy. Przeszedł koło nas w asyście kilku strażników. Potem znowu czekaliśmy, aż będzie wracał po rozprawie. I znowu nas minął bez słowa, tylko patrzyliśmy na siebie.

Na pierwszym posiedzeniu zeznania składał tylko Ojciec. Prokuratura nie przedstawiła swoich świadków. Sąd szczególnie dopominał się o Kowalskiego, kapusia, na którego zeznaniach oparto oskarżenie, bo w trakcie śledztwa nie przeprowadzono nawet konfrontacji jego z Ojcem. Obrona zgłosiła Felka Offierskiego, żeby powiedział, jak było naprawdę. Rozprawę odroczone. Kolejna odbyła się 12 marca. Offierski zeznawał, ale to nie miało znaczenia. Natomiast Kowalskiego nie pokazano. UB zawiadomiło, że w ramach ekstradycji wydano go do ZSRR.

I znowu staliśmy na schodach, czekając na możliwość chociaż skrzyżowania z Ojcem wzroku.

Wyrok ogłoszono 14 marca. Wszystkich nas zaskoczył. Czternaście lat więzienia. Ojciec w chwili aresztowania miał 60 lat. Miał więc wyjść na wolność, gdy będzie miał 74. Ale czy w tym wieku można wytrzymać tyle lat w więzieniu? Taki wyrok oznaczał praktycznie dożywocie. To był straszny cios.

Apelację sąd rozpatrzył na posiedzeniu zamkniętym, bez udziału oskarżonego. A potem Ojciec, już jako więzień karny, został wysłany do Wronek. Wyrok miał swoje dobre strony. Oznaczał, że śledztwo zostało zamknięte i Ojciec wychodził z rąk śledczych. Kończyły się tortury, którym go poddawano. A jak się później dowiedzieliśmy, śledztwo miało ciężkie. Stosowano różne formy nacisku. Szczytem było, gdy przez kolejnych 17 nocy musiał stać na baczność bez ruchu, zimą przy otwartym oknie. Po kilku dniach nogi miał tak spuchnięte, że nie mógł nawet butów włożyć. Musiał więc stać z butami w ręku. Ale wszystko przetrzymał.

Przez pewien czas Ojciec siedział na Oddziale XI, tym samym, na którym ja siedziałem wcześniej. I to w celi numer 7, czyli sąsiadującej z moją, razem z Czarnym, z którym korespondowałem przez ścianę. Ta ciągłość naszych kryminalnych życiorysów miała też inny epizod. Oddając kiedyś w więzieniu na Rakowieckiej paczkę dla Ojca, spotkałem oddziałowego, którego znałem wcześniej z własnego więzienia. On mnie też pamiętał i nie mógł się powstrzymać od złośliwej uwagi, że siedział syn, teraz ojciec, co to za rodzina. Odpowiedziałem ze złością: „Tak, ja siedziałem, ale teraz chodzę po wolności, a pan ciągle w więzieniu. Nie zazdroszczę”. Trochę go zatkało.



Więzienie we Wronkach, lata 30. Fot. NAC

Na proces Ojca został też wezwany jako świadek Kasznica, komendant okręgu w Częstochowie, którego byłem adiutantem. Ale go nie dowieziono. Chyba rozstrzelano go wcześniej.

Drugie z wydarzeń, o których wspomniałem, dotyczyło mojej pracy. Jaczynowski został awansowany, a jego odejście w zasadniczy sposób zmieniało moją sytuację. Kto przyjdzie na jego miejsce? Było oczywiste, że nie zaproponują mi tego stanowiska. Byłem ciągle młody. Miałem swoje sukcesy, których nikt nie negował. Odwrotnie – ciągle mnie chwalono i często stawiano za wzór innym zarządom. Ale podstawowy problem stanowiła moja sytuacja polityczna. Byłem ciągle podejrzany i niepewny. Nie mogłem więc objąć samodzielnego stanowiska. Zgodnie z ówczesną polityką dyrektorem został człowiek z tzw. awansu społecznego. Ciesła, zaufany człowiek partii. Należał jednak do tych wyjątków, którzy zdawali sobie sprawę z rzeczywistych swoich umiejętności. Powiedział wprost: „Panie inżynierze, to się podzielimy pracą. Ja się zajmę stołówką i sprawami społecznymi, a pan tą resztą”. No i w wieku 25 lat zostałem w praktyce szefem przedsiębiorstwa zatrudniającego półtora tysiąca pracowników. Nasza współpraca układała się dobrze. Ja go szanowałem, informowałem o wszystkim ważnym i wyjaśniałem to, czego nie rozumiał. A on mnie w jakiś sposób chronił od ataków.

W tym czasie oceniano poszczególne jednostki w budownictwie na podstawie tzw. wskaźnika przerobu – wartości wykonanych robót w przeliczeniu na zatrudnionego. O koszty i zyski nikt się nie pytał. To było charakterystyczne dla epoki. Pieniądze się nie liczyły. Po prostu były. Liczyła się tylko produkcja, a więc budować jak najwięcej, a nie jak najtaniej.

Wykształciłem świetną metodę zwiększania przerobu, czyli w praktyce – kosztów. Budowaliśmy całą dzielnicę i trzeba było zajmować ulice. Można było ich zajmować więcej albo mniej. Kazałem jak najwięcej. Za zajęte powierzchnie musiałem płacić miastu. Ale otrzymywałem refundację tych kosztów od inwestora, któremu wystawiałem odpowiednie faktury. Zwiększałem więc przerób bez żadnego zatrudnienia! To był cudowny sposób. Oczywiście faktury trzymałem pod osobistą kontrolą i nikomu nie mówiłem o tym procederze. Ale miałem dzięki niemu zapewnione pierwsze miejsce w naszym przedsiębiorstwie w ocenach kwartalnych. Wszyscy byli zadowoleni, a my mieliśmy zagwarantowany spokój. Bo przecież nie można bić najlepszych!

To jest przykład dobrze ilustrujący, dlaczego system socjalistyczny musiał się zaważyć. Kiedyś później rozmawiałem z jednym z ekonomistów zachodnich, który chwalił socjalizm. Chciałem mu uzmysłwić, że się myli. Zapytałem się go, co robi, aby zwiększyć zyski. Odpowiedział, że jest oczywiste, iż zmniejsza koszty. Otóż w socjalizmie było odwrotnie. Według Marksa wartość towaru jest odbiciem

wartości pracy, jaką wykonano dla jego wytworzenia. Więc jeśli produkowało się drożej, to produkt był więcej wart. Nie warto oszczędzać czy podejmować wysiłku, aby obniżyć koszty, bo to obniżałoby cenę. Rynek był regulowany, więc nie miał wpływu na cenę. Ja też tak postępowałem, bo to wynikało z logiki systemu. Tylko że taka logika przekreślała zdolność systemu do przetrwania. Musiał zbankrutować.

Ale praca nie była łatwa. Chętnych do podłożenia nogi nie brakowało. Donosicielstwo było czymś powszechnym. Mieliśmy takiego faceta od BHP. Chodził po budowach i sprawdzał, czy wszystkie zabezpieczenia są zgodne z przepisami, chociaż nikt tego serio nie traktował. Czegoś takiego jak kaski ochronne, dziś powszechnie obowiązujące, nikt nawet na obrazku nie widział. Ten behapowiec to był właściwie obserwator policyjny. Nie krył się z tym, że jego marzeniem jest dostać się do UB, i chciał na to zapracować. Przeżył kiedyś rozpacz, gdy jego prośbę odrzucono z uzasadnieniem, że jest „ryzy, więc znaczny”. Był rzeczywiście rudy, a więc nie nadawał się do działań, w których trzeba utrzymać anonimowość. Bardzo się skarżył, że natura uniemożliwiła mu karierę. Takich jak on było wielu i wszyscy czekali, aż się innemu noga powinie.

Władze wzywały wszystkich do zwiększania wydajności pracy, bo z nią ciągle było źle. Uruchomiono cały ruch przodowników wyrabiających tysiące procent normy. Sam organizowałem pokazy, gdy murarze budowali w ciągu dnia całe piętra. Tyle że przygotowanie spektaklu zajmowało szereg poprzednich dni i oczywiście to się w sumie nie opłacało. Ale nie o koszty chodziło, tylko o wydarzenie, które można by opisać hasłem, że „cały naród buduje stolicę!”.

Drugi nurt to racjonalizacja, czyli szukanie oszczędności na materiałach. I tu miałem kiedyś niezły pasztet. Przyszedł do mnie taki młody, ale mało inteligentny technik, który prowadził budowę jednego z budynków, i zgłosił się do nagrody za oszczędność. Otóż on wybudował budynek, nie zbrojąc stropów, a teraz chce nagrody za oszczędność żelaza. Zamarłem – jak to nie zbroił stropów? Ano nie zbroił. Wtedy budowało się z tego, co było pod ręką. Właściwie każdy budynek miał inną konstrukcję. W jego budynku były stropy oparte na belkach stalowych, pomiędzy którymi wylano płyty betonowe, te zaś powinny być uzbrojone prętami stalowymi. Otóż nasz racjonalizator po prostu kazał wylewać te płyty bez zbrojenia.

Nie wiedziałem, co mam robić. Budynek stoi. Już położyli nawet na tych stropach częściowo podłogi, a tu grozi katastrofa budowlana. Zawołałem swego przyjaciela i dawnego kolegę z Politechniki, który był inspektorem nadzoru, i zaczęliśmy radzić, co robić. Właściwie powinien kazać rozwalić stropy i wylać je na nowo. Ale to oznacza jakąś niewyobrażalną awanturę, która nie wiadomo jak by się skończyła dla nas wszystkich. Podjęliśmy decyzję, żeby przeprowadzić próbne obciążenia. Wyznaczyliśmy kilka pomieszczeń i kazałem obciążyć podłogi wieloma warstwami cegieł,

aby ich ciężar podwójnie przekraczał obowiązującą normę. Przez kilka dni z niepokojem obserwowaliśmy stropy. I nic się nie wydarzyło. Zdecydowaliśmy zamieść sprawę pod dywan. Nie słyszałem, aby w tym budynku coś złego się stało. Ale niedoszłemu racjonalizatorowi wytłumaczyłem, aby swój wniosek schował, jeśli nie chce iść do kryminału.

Budynki były zasiedlane przez bardzo różnych lokatorów. Pamiętam, raz zawiadomiono mnie, że w jednym z lokali nowego budynku coś kapie z sufitu. Z jakością prac dekarskich mieliśmy stały problem. Kiedy deszcz padał, to gdzieś coś było zalewane. Idę więc wściekły na miejsce. Pierwsze zdziwienie – skarżą się mieszkańcy nie ostatniego, ale przedostatniego piętra. Nogi się ugięły, bo to oznacza, że pewno wyżej mieszkanie jeszcze jest niezajęte i z dachu się tak lało, że przelało się przez dwa stropy. Idę wyżej, dzwonię, otwierają mi drzwi. Pytam się, czy wszystko w porządku. Mówią, że tak i że nie mają żadnych pretensji. Coś tu nie gra. Mówię, że muszę obejrzeć całe mieszkanie.

Wpuszczają do kuchni i jednego pokoju, ale do drugiego nie chcą. Wchodzę prawie na siłę. I... zamarłem. Pokój był pusty. Cała klepka z podłogi na kupie w jednym kącie. A na środku pokoju koza, która spokojne załatwia swoje potrzeby pod siebie. Lokatorzy w płacz, że mieszkali w małym domku na obrzeżach Warszawy, że mieli ogródek i w nim kochaną kózkę. Ich działkę zabrano pod budowę jakiegoś osiedla, a im przydzielono to mieszkanie. I co mieli zrobić z kózką? Wzięli ją i po cichutku przeszwarzowali na ósme piętro, mimo że winda jeszcze nie chodziła. Uciekłem szybko. Zadzwoiłem piętro niżej i powiedziałem mieszkańcom, co im na głowę kapie. Chwycili jakąś szczotkę na kiju i polecieli rozprawić się z kozą i jej właścicielami. Jeszcze zanim wyszedłem z budynku, słyszałem potworne krzyki i jakieś łomotanie. Ale uciekałem szybko.

Początkowo zarządzanie tak dużą jednostką stanowiło poważne wyzwanie i koncentrowało całą moją uwagę. Z biegiem czasu stawało się rutyną. Pracę w wykonawstwie traktowałem jako przejściową szkołę życia i zarządzania. Ciągłe szukałem właściwej drogi dla siebie i swojej zawodowej przyszłości. Pociągały mnie wyzwania i szukanie sposobów ich rozwiązania. To szukanie zajęło mi zresztą całe życie. Ciągłe szukałem czegoś nowego i interesującego i w ślad za zmieniającymi się zainteresowaniami zmieniałem pracę i nawet kolejne zawody. Dziś trudno jest wręcz zrobić ich listę. Ale wtedy byłem inżynierem wykonawstwa i w gruncie rzeczy niewiele poza tym umiałem.

Kiedy mnie wyrzucili z Politechniki, znalazłem sobie pół etatu w biurze projektów. Pomógł przypadek. W Zarybiu mieszkał w okresie okupacji Zbyszek Oppman, przedwojenny inżynier i właściciel firmy budowlanej. Dawni przedsiębiorcy szukali swego miejsca. Do przedsiębiorstw wrócić nie mogli, bo już ich nie mieli. Zainicjowali więc opracowywanie projektów organizacji budowy wraz z dokumentacją

budowlaną. Miało to pewien sens, gdyż podejmowano próby usprawnienia budownictwa i jego uprzemysłowienia, jak wówczas mówiono. Chodziło o wprowadzenie lepszych metod zarządzania oraz nowych technologii opartych na elementach prefabrykowanych.

Włączyłem się do tej grupy. Zależało mi, żeby oprócz działalności praktycznej, coraz bardziej rutynowej, znaleźć jakąś platformę dla pracy intelektualnej. Mieć o czym myśleć, coś tworzyć i rozwiązywać istotne problemy. Zacząłem prowadzić zespół w biurze projektów.

Ale partia ani UB o nas nie zapomniały. Uderzenie przyszło nieoczekiwanie w kwietniu 1951 roku. Danka była jeszcze w szpitalu po urodzeniu naszej Joanny, gdy pewnego popołudnia zapukali do moich drzwi dwaj panowie. I z powagą wręczyli decyzję Rady Narodowej, że w ciągu dwóch tygodni mam mieszkanie opuścić, klucze oddać pod wskazany adres i wyprowadzić się z Warszawy. Byłem uznany za element społecznie niepożądany w mieście. Panowie wyjaśnili dodatkowo, że nie mam prawa mieszkać bliżej niż 100 kilometrów od Warszawy. Szok absolutny. Zupełnie nie rozumiałem, o co chodzi. To byłaby całkowita katastrofa. Zacząłem biegać po mieście. Miałem siedem dni na złożenie odwołania. Udało się mi dostać do ministra budownictwa, szefa resortu, w którym pracowałem. Roman Piotrowski był starszym inżynierem, członkiem dawnej PPS, w gruncie rzeczy sympatycznym człowiekiem. W trakcie rozmowy okazało się, że znał dobrze przed wojną mego stryja Tadeusza. Na moim odręcznie napisanym odwołaniu zapisał kilka słów poparcia. Ale dodał, że potrzeba też kierowników budowy w innych miastach. Może mnie więc z łatwością przenieść do Nowej Huty. Była to wątpliwa propozycja.

Próba mego wysiedlenia wpisywała się w szerszą akcję „oczyszczania” Warszawy. Podobną kilka miesięcy wcześniej przeprowadzono na Wybrzeżu. Z Trójmiasta wyrzucono wiele osób. Na szczęście okazało się, że taka akcja w Warszawie nie jest równie łatwa. Zbyt wiele wzbudziła protestów. Na złożone odwołanie dostałem po kilku tygodniach odpowiedź, iż zostało ono uwzględnione. Ale był to poważny szok, który jasno dawał do zrozumienia, że życie ludzkie zależy całkowicie od decyzji partyjnych.

Prezydium Rady Narodowej
w m.st. Warszawie
Nr. 131.940/8 / 51

Data 11. 11. 54

Orzeczenie wstępne

Ob. Begulski Jerzy..... wWarszawie.....
ul. Elektoralna..... Nr. 17 m. 3

Prezydium Rady Narodowej m.st. Warszawy na podstawie zlecenia Ministra Gospodarki Komunalnej postanawiającego opróżnienia niektórych lokali mieszkalnych w myśl art. 17 dekretu z dnia 21 grudnia 1945 r. o publicznej gospodarce lokalami /Dz.U.R.P. z 1950r. Nr. 36 poz. 343 / zarządza opróżnienie zajmowanego przez Obywatela lokalu mieszkalnego w Warszawie..... przy ulicy Elektoralnej..... Nr. 17 m. 3, składającego się z izb 3..... części lokalu mieszkalnego składającego się z 3.... izb.... i wzywa Obywatela do opróżnienia tego lokalu wraz z osobami wspólnie zamieszkującymi w.... lokalu nr. 3..... w terminie 14-dniowym od dnia doręczenia niniejszego orzeczenia.

Od orzeczenia tego służy odwołanie do Ministra Gospodarki Komunalnej za pośrednictwem Prezydium Rady Narodowej m.st. Warszawy w ciągu siedmiu dni po doręczeniu niniejszego orzeczenia.

MEMBRUM
RADY NARODOWEJ
Za Prezydium Rady Narodowej,

Stefan Łabędziński

Odwołanie należy składać osobiście w Wydziale Kwaterunkowym przy ul. Karłowicza
Nr. 20 pokój nr. /piętro 1 /

Joasia przyszła na świat 7 kwietnia. Wszystko odbyło się dobrze, bez jakichś specjalnych komplikacji. One zaczęły się dopiero potem. Nie muszę mówić, że Joaśka była kochanym dzieckiem, najpiękniejszym na świecie, była naszą wielką radością. Stawaliśmy się kompletną rodziną.

Nowa osóbką, choć niedużą, to zmieniła nasze życie i organizację mieszkania. Miało ono w sumie około 40 metrów kwadratowych. Większy pokój liczył całe 20 metrów i uważaliśmy go niemal za salę balową. Drugi pokój miał pewnie z 10 czy 12. Poza tym była mała kuchnia i mikroskopijna łazienka, w której znajdowała się wanna, taka siedząca, i klozet. I pół metra na stanie. Joanna zajęła mniejszy pokój jako swoje królestwo, a większy pokój przejął wszystkie pozostałe funkcje i służył jako sypialnia, gabinet, pokój stołowy i oczywiście miejsce przyjęć. Każdej z tych funkcji odpowiadał określony jego kawałek. Najzabawniejsze było, że największą powierzchnię zajmowało moje wielkie biurko, które odziedziczyłem po stryju generale. Nie wiem, jak się tam mieściło. Gdy się przeprowadziliśmy do domku na Gimnastyczną, to musiałem je sprzedać, bo nie mogłem na nie znaleźć miejsca. A tam się mieściło.

Nie chcieliśmy, aby Danka przerywała pracę. Zdecydowaliśmy się na zatrudnienie pielęgniarki, a potem opiekunki, bo nie mieliśmy z kim dziecka zostawiać. Był to duży wysiłek finansowy, ale zyskaliśmy większą swobodę. Danka niedługo potem zmieniła pracę. Zaangażowaliśmy ją jako asystenta do zespołu organizacji budowy, w którym pracowałem. Biuro znajdowało się na Królewskiej, dosłownie pięć minut od naszego mieszkania. A w dodatku warunki były nieporównywalne z tymi, w których pracowała dotąd w księgowości. Słowem: kulturalne otoczenie.

We wrześniu pojechaliśmy do Zakopanego. Mieszkaliśmy między Rondem a Bystrem w pensjonacie Orbisu. To było wówczas najlepsze możliwe zakwaterowanie. Taki socjalistyczny luksus dla ubogich. Ale ten pobyt otworzył nowy nurt naszego życia. Odkryliśmy Tatry, które stały się naszym hobby na całe życie. Zawsze dziękujemy to opiekunowi od turystyki w Orbisie. Był nim Kazio Dziób, który później stał się znanym działaczem zakopiańskim. On nam pokazał Tatry od tej strony, która nie jest dostępna dla dzisiejszych turystów. Całe Tatry były wtedy dostępne. Dopiero wprowadzano pierwsze rezerwy. Na halach pasły się owce i snuły się dymy z bacówek. Turystów było mało. I można było chodzić wszędzie, bo istniała sieć perci juhaskich, łączących hale i przełęcze. W górach w najdziwniejszych miejscach spotykało się gaździny z bańkami maślanki i zsiadłego mleka, czekające na okazję zarobienia paru złotych. Na ogół zawsze któraś siedziała na Zawracie.

Kazio miał nieograniczoną wiedzę o najrozmaitszych punktach z cudownymi widokami. Dziś są one niedostępne albo zapomniane. A przecież widok z Jaworzynki Miętusiej jest cudowny. To była jedna z naszych stałych wycieczek przez

wiele lat. Przez Staników Żleb w górę, a potem z Jaworzynki w dół na polankę za Kończystą Turnią. Chodziliśmy tam grywać w brydża! Cudowne miejsca, jak nie istniejąca już dzisiaj zakłeta kraina krasnoludków na Wantulach w górnej Miętusiej. Albo fantastyczny punkt widokowy na Spalenisku, na perci z polanki Jamy, nad Huciskiem w Chochołowskiej, do Hali Kominy Dudowe. Na tej odciętej od świata hali spędziłem kiedyś cały samotny dzień, leżąc na słońcu w ciszy przy szumiącym potoku i słuchając świergotania ptaków. Cudowne, niezapomniane dni.

Codziennie gdzieś chodziliśmy. Jeśli nie z Kaziem, to sami organizowaliśmy sobie jakieś wycieczki. Wtedy pierwszy raz przeszliśmy wszystkie progi Wąwozu Kraków, zdobywając pierwsze doświadczenia wspinaczkowe. Kazio wziął nas raz pod Mnicha. Ale tylko kilka bardziej doświadczonych i lepiej wyposażonych osób dopuścił do wspinaczki. Jednak najwspanialszą wycieczkę zrobił nam na zakończenie pobytu. Kazał się zameldować o świcie. O szóstej wyruszyliśmy całą grupą wraz z nim oraz Paryskimi, legendarnym małżeństwem, będącym esencją legendy Tatr i wiedzy o nich. Ruszyliśmy na Halę Gąsienicową przez Jaworzynkę, bo drogę przez Boczań uważano za szlak dla ceprów. A potem przez Dubrawiska do Doliny Pańszczyca i na Krzyżne.

Następnie przeszliśmy całą grań Wołoszyna. To była ostatnia okazja, bo właśnie ją zamykano, ogłaszając powstanie rezerwatu. Zeszliśmy koło Dziada na polanę pod Wołoszynem, a następnie przez Przysłop Waksmundzki i Psią Trawkę wróciliśmy o dziesiątej wieczorem do domu. Cudowne przeżycie.

Na zakończenie sezonu okazało się, że wychodziliśmy wystarczająco dużo punktów na brązową odznakę turystyczną. Byłem z niej bardzo dumny. Tak to się zaczęło. Tatry nas wciągnęły. Danka zapisała się do Klubu Wysokogórskiego, zaczęła jeździć na obozy treningowe, a także działać w klubie w Warszawie. Była redaktorem pierwszej gazetki klubowej. Gazetka nosiła tytuł „Krzesanica”, więc i Dankę tak nazywano. Mnie wspinaczka nie pociągała, ale pociągały góry. W ciągu następnych lat schodziłem całe Tatry.

Za rok już nie mieliśmy wątpliwości, gdzie pojechać. Umówiliśmy się we czwórkę z Józkiem Hlebowiczem i jego przyjacielem. Odkrywaliśmy nowe dla nas szczyty i widoki, zakątki gór. Przeszliśmy pierwszy raz Orlą Perć. Byliśmy na dziś zamkniętych szczytach, takich jak Żółta Turnia czy Wierch pod Fajki. Ale wtedy zamknięte były wszystkie granie graniczne, bo strzeżono granicy przed amerykańskimi wrogami. Trzeba było chodzić w grupach i z przewodnikiem. Mieliśmy trochę pieniędzy, więc wynajmowaliśmy przewodników tylko dla siebie. Wtedy przeszliśmy po raz pierwszy grań Tatr Zachodnich i zaczęliśmy tworzyć własne trasy. Byliśmy już samodzielnymi turystami. Zaczynaliśmy się w Tatrach czuć jak w domu.



Tatry, Wołoszyn. Fot. NAC

To były cudowne chwile oderwania się od naszej rzeczywistości. A ona nie była łaskawa. Jedna z przygód utkwiała mi szczególnie w pamięci. Moje biuro znajdowało się w starych budynkach przy ulicy Szlenkierów. Do domu miałem więc niedaleko, kilka przystanków tramwajem z Młynarskiej na Leszno (dziś aleja Solidarności). Wysiadałem na rogu Orlej i stąd już było kilka kroków. Którejś soboty, chyba w 1951 roku, jak zwykle wracałem do domu koło drugiej po południu. Wówczas w soboty się pracowało, ale tylko sześć godzin. Nazywało się to „angielska sobota”. Te dwie godziny krótszej pracy to była wielka przyjemność. Była wiosna czy wczesna jesień. Wtedy o takich wydarzeniach nie pisało się notatek, a dziś nie jest łatwo określić dokładny czas.

Właśnie na Orlej zatrzymał się przy mnie samochód i podeszło dwóch panów: „Panie Regulski, prosimy z nami”. Propozycja nie do odrzucenia. Zawieźli mnie na Żoliborz w ślepą końcówkę dzisiejszej ulicy Pogonowskiego. Wjechaliśmy do podziemnego garażu od ogrodu. Przeprowadzili mnie do sąsiedniej piwnicy. Było ich trzech. Zaprosili, abym usiadł na jakiejś ławce, i jeden z nich z szerokim uśmiechem powiedział: „No to sobie tutaj porozmawiamy trochę”. Sceneria przesłuchań z Mokotowa stanęła mi w oczach. Mogli mi zrobić wszystko. Z piwnicy żaden głos nie wydostałby się na zewnątrz. Ciarki po plecach przeszły. Jeszcze dobrze pamiętałem swoje więzienie. Od wyjścia na wolność upłynęło dopiero kilka lat, a fakt, że Ojciec ciągle siedział, sprawiał, iż poczucie zagrożenia więzieniem i przesłuchaniami było ciągle bliskie.

Jeden z nich wygłosił dłuższe przemówienie o roli UB i jego odpowiedzialności za budowę socjalizmu, w której wszyscy obywatele muszą pomagać. „Bo wróg czuwa”. I zakończył propozycją, abym również ten obywatelski obowiązek spełnił. Potem drugi, który grał rolę złego, krótko dopowiedział, że ja mam wiele grzechów na sumieniu i oni mnie, gnojka, załatwią tak, że... Tutaj nastąpiła krótka charakterystyka tego, co spotka mnie i moich bliskich. Było oczywiste, że nie mogę im wprost odmówić. To nie tylko pociągnęłoby przykre następstwa dla mnie i dla mojej rodziny, ale mogło też unicestwić wszelkie starania o zwolnienie Ojca. Trzeba było szybko szukać jakiegoś kompromisu. Odpowiedziałem też dłuższą perorą, że oczywiście jako obywatel czuję się w obowiązku współdziałać z policją w zakresie swoich funkcji zawodowych. Więc jestem gotów współdziałać z nimi w celu zapewnienia bezpieczeństwa prowadzonej przeze mnie budowy. Zignorowali moje zastrzeżenie i ten pierwszy od razu powiedział, że zawsze wiedział, iż jestem rozsądnym człowiekiem, zaprosili mnie na parter domu i nawet zaoferowali miękkie krzesło. To był oczywiście awans.

Dali mi kawałek papieru, pióro i kazali pisać, dyktując pojedyncze słowa: „Ja, Jerzy Regulski, zobowiązuję się do...”. Nie pamiętam dziś treści, ale chodziło o jakieś zakamuflowane zobowiązanie do współpracy, jakoś tak przewrotnie sformułowane,

że można było rozumieć je wieloznacznie. Pisałem słowo po słowie, ale jak zobaczyłem, do czego to zmierza, to powtórzyłem to, co powiedziałem w piwnicy, że jako kierownik budowy jestem zobowiązany do współdziałania ze wszystkimi organami państwowymi, ale tylko w zakresie bezpieczeństwa budowy.

Wywołało to ich wściekłość. Ten, który robił za złego policjanta, złapał mnie za kołnierza i rzucił w kierunku schodów. „Idziemy do piwnicy! Tam pogadamy!” – wrzasnął. Zaczęły się krzyki i wymyślenia. Chcieli mnie zastraszyć. Ja im ciągle powtarzałem, że jak będę wiedział o jakimkolwiek przestępstwie na budowie, to oczywiście dam im znać, bo to jest moim obowiązkiem obywatelskim. Ale oni się ze mnie śmiali. „Będziesz robił to, co ci każemy” – krzyczeli i obiecywali, co zrobią ze mną i co zrobią Ojcu w więzieniu. Jakoś o Dance i Joannie nic nie mówili.

Machali mi pięściami przed twarzą, popychali. No i cały czas wymyślali. Sytuacja stawała się trudna do wytrzymania. Ale przydały się moje doświadczenia z Mokołtowa. Trzeba znaleźć sposób na wyzwolenie się z tej presji. Pomyślałem sobie, że ich wiązanki są jednak prymitywne w porównaniu z tymi, którymi lubił się popisywać jeden z moich majstrów na budowie. Tamten był mistrzem. Puszczął wiąchy kilkunastominutowe, pełne kunsztownych, niepowtarzalnych sekwencji, niepozabawionych swoistej poetyki. A tutaj tylko ordynarny krzyk i stale powtarzające się frazy. Pomyślałem sobie, jak mój majster oceniłby ich popisy, i od razu zrobiło się mi lepiej. Ciągnęło się to długo. Gdy myśleli, że mnie przekonają, prowadzili mnie na parter do pokoju z oknem, a gdy stawiałem opór, sprowadzali do piwnicy. „Pisz – tu poleciała wiązanka – o tym bezpieczeństwie budowy”.

Potem mi dyktowali dalej: „Raporty będę podpisywał”. „A teraz wybierz sobie pseudonim” – powiedział mi któryś. Zaprotestowałem: „Po co pseudonim, przecież tu nie będzie nic tajnego. Będę się podpisywał nazwiskiem”. I znowu przekleństwa, groźby, wymyślenia. Ale już wszyscy byli zmęczeni. Oni też. Jeden z nich wziął pióro, postawił jakiś zygzak i jeszcze raz powiedział, co o mnie myśli. Zwolnili mnie, kiedy był już ciemny wieczór. Wróciłem tramwajem do domu.

Nie podpisałem żadnego zobowiązania do tajemnicy. Uważałem więc sprawę za jawną i służbową. Opowiedziałem o całym zdarzeniu swoim bezpośrednim przełożonym – dyrektorowi Zarządu, którego byłem zastępcą, oraz naczelnemu inżynierowi Zjednoczenia. Byli zaskoczeni i nie bardzo wiedzieli, jak się zachować. Doradzali mi, bym o tym głośno nie mówił. Sprawy bezpieczeństwa są zawsze poufne, a kontakty z UB tym bardziej.

Po paru tygodniach zatelefonował do mnie na budowę jakiś facet i zaprosił do mieszkania na osiedlu, które budowałem. Ktoś tam mieszkał, ale było to mieszkanie do kontaktów. Zaczął się pytać, co się dzieje na budowie. Ja mu opowiadałem, gdzie są dziury w płocie, przez które mi kradną materiały, i gdzie piją wódkę, bo to była plaga, która mogła spowodować duże problemy dla kierowników budowy. Budo-

waliśmy kilkadziesiąt budynków między Okopową a Płocką, wzdłuż Górczewskiej i sąsiednich ulic. Były to tzw. plomby, czyli budynki wypełniające wolne miejsca pomiędzy istniejącą zabudową. Nie dało się więc wydzielić i wygrodzić placów budowy. Mieszkańcy chodzili na skróty, powodując zagrożenie dla siebie i innych. Płoty ciągle niszczone, a złodziejstwo kwitło. Bezpieczeństwo stanowiło rzeczywiście wielki problem.

Wysłuchał i poprosił, abym to napisał w punktach. Mieliśmy tylko różnice terminologiczne. On się pytał o sabotaż i sabotażystów, ja mu odpowiadałem o kradzieżach i złodziejach. Po pewnym czasie odbyło się drugie spotkanie. Ja znowu o kradzieżach, pijaństwie, trudnościach zabezpieczenia rozrzuconych placów budowy, o paleniu ognisk, które mogą wzniecić pożar. A on zaczyna pytać o ludzi. Zbyłem te pytania. Wtedy zapytał się, czy pisuję do siostry, która żyła na emigracji w Londynie. Mówię, że nie. „To niedobrze. Powinien pan być dobrym bratem i do niej pisać. Proszę nam pokazywać te listy przed wysłaniem. My możemy mieć prośby, żeby pan coś dopisał”. To zaczynała być niebezpieczna sytuacja. Wyraźnie chcieli stworzyć jakąś prowokację, stworzyć fikcyjną organizację czy jakiś kanał przerzutu. Twardo odmówiłem. Nie piszę i pisać nie będę. I rzeczywiście przez szereg lat do siostry nie pisałem, co zresztą było bardzo negatywnie oceniane przez moich Rodziców.

Zapytał się, czy czegoś nie potrzebuję, bo on mógłby mi pomóc. Może jakiś drobny prezent? Wyjął z teczki butelkę. Udałem zdziwionego. Przecież kontakty z nim są moim obowiązkiem jako kierownika wielkiej budowy i za to otrzymuję pensję. Natomiast to jemu należy się wdzięczność naszej firmy za pomoc w utrzymaniu bezpieczeństwa budowy i w walce z kradzieżami. To może ja wystąpię do naszej dyrekcji, żeby mu przyznali jakąś gratyfikację? Trochę zgłupiał i dał spokój z prezentami.

Nasze kontakty urwały się chyba na trzecim spotkaniu. Facet mi wprost powiedział, że się na mnie zawiedli. O sprawach, które się dzieją na budowie, to oni więcej niż ja wiedzą i moje informacje są dla nich nieistotne. A to, że nie chcę z nimi współpracować, oznacza, że nie jestem patriotą, nie dbam o interes państwa, i za to jeszcze nieraz zapłacę. Tę obietnicę starali się spełniać wielokrotnie w przyszłości.

Joanna rosła, była coraz starsza i mądrzejsza. Razem z nią odkrywaliśmy świat na nowo. Była oczywiście najpiękniejszym dzieckiem na świecie, bardzo dobrze zorganizowanym i wykazującym mocny charakter. Była naszą wielką radością. Chociaż muszę się przyznać, że nie wywiązywałem się dobrze z obowiązków ojcowskich. Panicznie się bałem wziąć coś tak kruchego do ręki, żeby nie wykręcić nogi albo czegoś innego.

Wolałem patrzeć z boku na zmianę pieluszek i kąpanie, niż się samemu angażować. Danka po paru próbach przełamania mnie w końcu machnęła ręką.

Ale w miarę jak córka rosła, coś niedobrego się pokazywało. Miała trudności w chodzeniu i chodzić zaczęła dość późno. Lekarka, która się nią opiekowała, mówiła, że jest wszystko dobrze. Joanna miała już prawie dwa lata, gdy pewnego dnia Stefan Dreszer, nasz przyjaciel lekarz, zwrócił nam uwagę, że musi ona mieć jakieś kłopoty z biodrami. Uruchomił swoje kontakty z kliniką ortopedii profesora Grucy i wtedy się dopiero okazało, że nasza córka ma wrodzone zwicnięcie bioder! Praktycznie jej stawy biodrowe wisiały na mięśniach, bo główki kości udowych nie miały oparcia w panewce stawowej. Rozpacz! Weszliśmy w proces walki o jej biodra, który będzie trwał całe jej życie.

Pierwsza próba zreperowania stawów bezoperacyjnie polegała na unieruchomieniu Joanny w gipsie na kilka miesięcy. Rozłożyli jej nóżki tak, że wychodziły prostopadle do ciała w obie strony. Zbudowałem specjalny stojak, w który mogła być wstawiana i w którym mogła siedzieć pionowo. Miała też specjalną konstrukcję wózka na spacer. Wysłaliśmy ją z opiekunką do Zarybia na parę miesięcy, bo na wsi było jej lepiej niż w małym mieszkaniu i na ulicach. Tam mogła spędzać całe dnie na powietrzu. Trudno opisywać, co czuliśmy, patrząc na nią w tym gipsie. Ale byliśmy wtedy optymistami, mając nadzieję, że ta kuracja zakończy się sukcesem. Niestety, okazało się, że sukces był tylko chwilowy.

W tym okresie odeszła od nas Matka Danki. Przeurocza, przemiła i kochana osoba. Raka nie dało się jednak pokonać.

Moja praca na budowie była ciężka, wiązała się z ogromną odpowiedzialnością, a zarazem z całkowitym brakiem szans na wyrwanie się z niej. Przyszedł czas w pełni politycznego kierowania gospodarką, całkowitego zduszenia inicjatywy, efektywności, jakiegokolwiek sensownego zarządzania – czas absolutnej rutyny, zamknięcia się w powtarzaniu tych samych czynności. No i woda, coraz więcej wody naokoło i przy każdej okazji – wiadomo, budownictwo!

Absolutna degrengolada. Czuję, że muszę uciekać z tego Młynowa, że tam zginę. Uciec jednak nie było łatwo. Budownictwo było wtedy zmilitaryzowane. Szef miał prawo nakazem pracy zatrzymać w przedsiębiorstwie każdego, kogo uznał za niezbędnego. Nie można było ot tak sobie wymówić pracy. Opracowałem więc całą strategię. Uciekłem z tego Młynowa dzięki awansowi – wiadomo, że to jest dobra droga. Zostałem szefem wykonawstwa całego Zjednoczenia Warszawa-Północ, a więc superprzedsiębiorstwa prowadzącego budownictwo mieszkalne w całej dużej części miasta. Blisko 10 tysięcy zatrudnionych. To była duża odpowiedzialność. Ale nonsens polegał także na tym, że zgodnie z ówczesnymi pryncypiami ideologicznymi na eksponowanym stanowisku przysługiwała mi niższa pensja niż ta, którą otrzymywałem poprzednio, jako bezpośredni wykonawca.


RZECZPOSPOLITA POLSKA
MINISTERSTWO BUDOWNICTWA
Miast i Osiedli

Warszawa, dnia 30 maja 1953 r.
Telefon

L. dz. D-II-W-3-33/10711

Treść:

Obywatel inż. REGULSKI Jerzy
ZJEDNOCZENIE NR 1 BUDOWNICTWA MIEJSKIEGO

Warszawa
Al. Stalina Nr 27

NAKAZ PRACY
=====

Wypis z 5 VI 53
Regulski

Na zasadzie art. 1 i 3 Ustawy z dnia 7 marca 1950 r. o zapobieżeniu płynności kadr pracowników w zawodach lub specjalnościach szczególnie ważnych dla gospodarki społecznej (Dz.U.R.P. Nr 10, poz. 107) nakładam na Obywatela obowiązek pozostania na stanowisku Kierownika Działu Produkcji w Zjednoczeniu Nr 1 Budownictwa Miejskiego Warszawa do dnia 31 grudnia 1953 r.

Stosownie do art. 4 pkt 2 wyżej cytowanej Ustawy zachowuje Obywatel przez okres trzech miesięcy dotychczasowe uposażenie, a z dniem 1 września 1953 r. zaszerzkuje Obywatela do grupy uposażenia I - + dodatek funkcyjny 265 zł + wsp.premii 1,0.-



MINISTER

Regulski

Wykorzystałem to i napisałem, że obniżenie pensji traktuję jako wypowiedzenie warunków pracy, z której wobec tego rezygnuję. Pozostawało po cichutku przetrwać trzy miesiące ustawowego terminu wypowiedzenia pracy, który mijał 1 czerwca. W maju szefowie przedsiębiorstwa zaczęli mnie namawiać, bym wycofał wypowiedzenie. Pokątnie dowiedziałem się, że przygotowuje się dla mnie nakaz pracy. Dwa tygodnie przed końcem wypowiedzenia wziąłem urlop, z urlopu wysłałem zwolnienie chorobowe i schowałem się u Matki w Podkowie Leśnej. Gra szła o to, że w świetle prawa pracodawca miał obowiązek doręczyć mi ów nakaz w czasie trwania stosunku pracy, czyli przed 1 czerwca, ponieważ nie można zatrzymać w pracy kogoś, kto już nie pracuje. Personalny szalał. Nachodził mieszkanie w Warszawie. Przyjeżdżał do Podkowy, czatował w krzakach, a ja ukrywałem się na strychu. No i tego nakazu nie zdołał mi doręczyć.

Po krytycznym 1 czerwca, zgodnie z wcześniejszymi uzgodnieniami, podjąłem pracę w biurze projektów dla przebudowy centrum Warszawy. To była placówka świeżo utworzona w celu realizacji priorytetowego politycznego zadania. Powstawała tam pracownia, która miała przygotować organizację odbudowy całego otoczenia Pałacu Kultury oraz Marszałkowskiej aż do placu Zbawiciela.

Zacząłem pracować, ale był problem, ponieważ nie mogłem przedstawić dokumentu o zakończeniu pracy w poprzednim miejscu. Zwlekałem przez parę dni, wreszcie zaprosił mnie szef kadr. Powiedział: „Bardzo mi przykro, ale jednak nie mogę pana zatrudnić, mam polecenie...”. Nie było wyjścia, musiałem zgłosić się do poprzedniego biura. Nawet nie bardzo się nade mną pastwili. Ale to już nie było to samo co poprzednio. Czekałem na następną okazję.

W czerwcu wypadł jakiś długi weekend. Danką była na kursie taternickim na Hali Gąsienicowej. Postanowiłem pojechać. Następnego dnia po święcie miałem być w Katowicach na jakiejś naradzie na temat budowy Stadionu Śląskiego. Brałem udział w przygotowaniu projektu organizacji jego budowy. Pojechałem nocnym pociągiem, aby być rano w Zakopanem. Wpadłem do naszej bazy nad dworcem. Zaprzyjaźniliśmy się z właścicielką willi Psota i tam zostawialiśmy sprzęt, a także spaliliśmy, gdy schodziliśmy z gór do Zakopanego. Zostawiłem miejskie ubranie, przebrałem się i poleciałem na halę. Odnalazłem Dankę i przez cały dzień szwendałem się w ślad za kursantami po skałkach. Przespałem się wraz z nimi w Betlejemce na długiej wspólnej pryczy. Rano wraz z całym kursem poszliśmy przez Dolinę Kozią i Żlebem Kulczyńskiego na grań. Ten żleb stał się z biegiem lat jedną z moich ukochanych dróg. Strasznie go polubiłem. Potem poszliśmy granią, ponad szlakiem, na szczyt Koziego. Tam się z całą grupą pożegnałem. Ich zaczęły trenować, a ja poleciałem w dół do Pięciu i przez Szpiglasową do Morskiego Oka. Chciałem się tam przespać. Ze względu na późną porę wszystkie miejsca były już jednak zajęte. Nawet te na stołach w jadalni. Nie pozostawało nic innego, jak lecieć do Roztoki.

Tam mi się udało wyzebrać miejsce gdzieś w kącie. Rano już szedłem w dół. Dobrze mi się szło przez polanę pod Wołoszynem, Rusinową i wierch Poroniec. Zanim się spostrzegłem, byłem już w Bukowinie. Więc szedłem dalej, przez Galicową Grapę, aż znalazłem się w Poroninie. No to już było oczywiste, że polecę prosto na Gubałówkę, i tam dotarłem koło piątej po południu.

W sam raz, aby zjeść dobry obiad. Szybko zjechać na dół, z powrotem włożyć miejskie spodnie i wsiąść do nocnego pociągu do Katowic, żeby rano być gotowym do dyskusji zawodowych. Gdy dzisiaj wspominam te drogi, to nie mogę się nadziwić, skąd człowiek miał wtedy tyle siły. Ale miał i był dzięki temu szczęśliwy.

Okazja do wyjścia z wykonawstwa pojawiła się niespodziewanie. Zostałem skierowany przez swoje przedsiębiorstwo do komisji, która miała rekrutować absolwentów politechniki do pracy w budownictwie. Uczestniczył w niej również jakiś młody człowiek, pracownik kadr w ministerstwie. Gołym okiem było widać, że nie jest to jego jedyna posada i że ma coś wspólnego z wiadomym resortem. Pogawędziliśmy, opowiedziałem mu kiedyś o swoich kłopotach. Na to on mówi: „Niech pan napisze odwołanie do ministra, może uda się pana zwolnić, bo to biuro projektów też wystąpiło do nas o pana”. Napisałem. Pewnego wieczora ów młody człowiek przybiega do mnie do domu i mówi: „Proszę pana, nieszcześnie, okradli mnie! Wypiłem trochę, niosłem pieniądze partyjne... Teraz mnie z partii wyrzucą i to będzie dla mnie tragedia. Niech mi pan pożyczy, żebym mógł oddać”. Jestem człowiek roztropny, więc pytam: „Ile?”. Wymienił sumę, nie taką znowu dużą, około jednej trzeciej mojej pensji miesięcznej. Dałem. Tydzień później otrzymałem decyzję z podpisem ministra zwalniającą mnie z pracy w Zjednoczeniu. Oczywiście tej „pożyczki” nigdy mi nie zwrócił. Ale w ten sposób za marne pieniądze, legalnie, w sierpniu 1953 roku wyszedłem z wykonawstwa i znalazłem się z powrotem w biurze projektów. Tym razem kontakt z ubowcem dał pozytywne rezultaty.

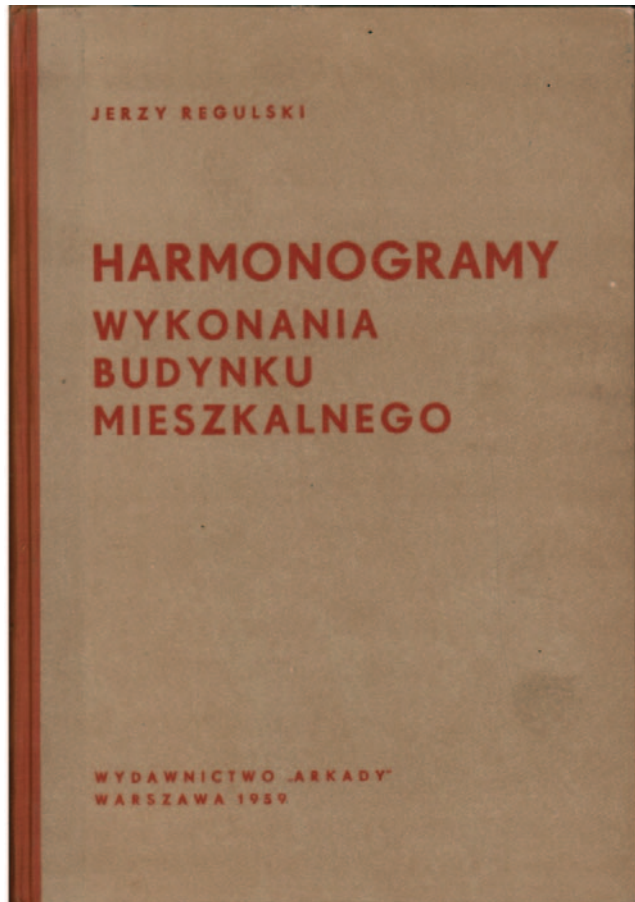
Poczułem się wolny. Wziąłem od razu w nowym biurze całomiesięczny urlop. Takiego luksusu nigdy dotąd nie miałem. Wziąłem plecak i wsiadłem do pociągu na Śląsk, zupełnie bez żadnego planu. Wylądowałem w Szczyrku. I zacząłem iść. Było cudownie. Byłem wolny. Nikt nic ode mnie nie chciał. UB zostało daleko. Mogłem robić, co chciałem, iść, dokąd chciałem. Pierwszą noc spędziłem pod Baranią Górą.



Już razem z Danką. Początek wędrówek tatrzańskich, Zakopane 1951

A potem szedłem na wschód. Przez Żywiecczyznę wszedłem pod Pilsko. A następnie wzdłuż granicy – niestety obchodząc ją wsiami, bo nie wolno się było do niej zbliżać. Zatrzymałem się na kilka nocy na Markowych Szczawinach pod Babią Górą. Trzeba było zrobić pranie. A potem znów na wschód przez Policę i dalej do Rabki, cały grzbiet Gorców do Czorsztyna, i dalej przez Pieniny do Szczawnicy. Postanowiłem tam zakończyć swój marsz. Zajął mi 11 dni. Zatoczyłem jeszcze koło przez Rytro, Radziejową wróciłem do Szczawnicy i tego samego dnia wylądowałem w Zakopanem w Psocie.

Ale to był dopiero półmetek mego zwariowanego urlopu. Umówiłem się z Jurkiem Głowczewskim i jego kolegami architektami w starym schronisku w Chochołowskiej. Spędziliśmy następne kilka dni, łażąc po dolinach i różnych zakazanych miejscach Tatr Zachodnich. Potem poszedłem na Gąsienicową, gdzie Danka twardo szkoliła się na obozie taternickim. Mieliśmy odpocząć parę dni przed powrotem do domu. Ale następnego dnia obudziliśmy się zasypani śniegiem. W nocy spadło ze 20 centymetrów. Nigdzie nosa nawet nie można wystawić. W dodatku nie byliśmy na taką pogodę przygotowani. Tylko lekkie buty. Zrozpaczeni czekamy, co stanie się dalej. Może będzie cieplej? Ale następnego dnia było jeszcze gorzej. Przysypało znowu sporo. Podejmujemy rozpaczliwą decyzję. Schodzimy na dół. Ale to wcale nie było łatwe. Nasze trampki przemokły w ciągu paru minut. Staramy się prawie biegiem dostać na Karczmisko i potem jak najszybciej w dół, w dolinę Jaworzynki. Byle niżej, bo tam mniej śniegu. Do Kuźnic docieramy z wodą chlupiącą w butach. Skafandry wytrzymały. Ale nogi... Zjeżdżamy na dół do Psoty, byle do ciepła i suchych butów! Jak zawsze, poszliśmy do miejskiej łaźni. Tym razem w wannach siedzieliśmy wyjątkowo długo. Trzeba było odtajać. Ale młode organizmy wszystko wytrzymały. Było cudownie i z nowym zapałem wracaliśmy do Warszawy, już do nowej pracy.



14.

Projektant – Ojciec wolny – Sprzedaż Zarybia
(1953-1959)

R

ok 1953 był rokiem zwiastującym nadejście zmian. Śmierć Stalina zakończyła okres terroru. Rysowała się szansa na złagodzenie metod sprawowania władzy. System się nie zmieniał. Nie zmieniały się też jego cele, ale zmiana stosowanych metod to była szansa na łatwiejsze życie. Ojciec to wyraźnie odczuł w więzieniu.

Dla mnie przejście do biur projektowych z przedsiębiorstwa budowlanego stanowiło też istotną zmianę. Zupełnie inne środowisko i inna forma pracy. O wiele większa swoboda i wysiłek intelektualny. Był to mój kolejny etap poszukiwania miejsca w życiu i zainteresowania zawodowego. Początkowo pracowałem w Mias-toprojekcie Śródmieście, biurze stworzonym specjalnie w celu zaprojektowania otoczenia Pałacu Kultury. W jego ramach mieli swoje pracownie główni architekci tego okresu. Nad wszystkimi sprawował kontrolę, merytoryczną i poprawności politycznej, Józef Sigalin, główny architekt Warszawy. Obowiązkowym stylem był soc-realizm, który miał łączyć elementy architektury narodowej z siłą socjalizmu. Bierut osobiście się tym interesował. Odbываły się cykliczne spotkania, na których układano z klocków różne kombinacje kompozycji urbanistycznych. Gospodarz, jak tytułowano Bieruta, miał decydującą pozycję. Po zakończeniu zebrania inwentaryzowano układ klocków i uznawano go za polityczną decyzję. Tak podobno przez przypadek zdecydowano, że hotel MDM, zamykający perspektywę Marszałkowskiej, będzie niski, odsłaniając wieże kościoła Zbawiciela, które wyglądają zza tego domu jak uszy zająca.

Po roku sytuacja się zmieniła. Powstało zapotrzebowanie na pracownię organizacji budowy w Miastoprojekcie Południe, bo właśnie na południu Warszawy postanowiono wprowadzać nieco nowsze technologie budowy i jako pierwsze wytypowano osiedle Wierzbno wzdłuż Odyńca i Wołoskiej. Budynki monitorowano z wielkich bloków gruzobetonowych. Było to rozwiązanie nowe i należało stworzyć całą technologię montażu. Zaproponowano mi objęcie kierownictwa pracowni. To już było ciekawsze. Musiałem opracować coś nowego, ustawić dźwigi, określić procedury montażu i jego bezpieczeństwa. Było o czym myśleć. Napisałem na ten temat cykl artykułów do prasy technicznej. To moje pierwsze publikacje.

Mieszkaliśmy na Elektoralej i do biur na Królewską mieliśmy 10 minut spaceru przez plac Żelaznej Bramy i Ogród Saski. To było wygodne, a w pewnym momencie stało się błogosławieństwem, bo wprowadzono nowe godziny pracy. Aby rozładować korki w komunikacji miejskiej, postanowiono poprzesuwać godziny pracy w różnych sektorach gospodarki. I biurom projektów wyznaczono godziny od szóstej do czternastej! Rozpoczynanie pracy o szóstej rano było obłądnym pomysłem. Wstawaliśmy o 5.30, wskakiwaliśmy w spodnie i biegiem do biura. Dopiero tam zaczynało się przygotowywanie i jedzenie śniadań. Niektórzy dopiero w biurze myli się i golili. Tak rano nikt nie był zdolny do jakiegokolwiek wysiłku umysłowego. Wszyscy laziali, gadali i powoli się budzili. Rzeczywista praca zaczynała się dopiero po paru godzinach. A trzeba pamiętać, że obowiązywała żelazna dyscyplina. Trzeba było punktualnie wejść do budynku, podpisać listę obecności i tłumaczyć się w przypadku jakiegokolwiek opóźnienia. Był to jeden z absurdów pracy socjalistycznej.

Warto wspomnieć jeszcze o jednym – tzw. socjalistycznym współzawodnictwie pracy. Ciągłe kazano wszystkim się ścigać, kto więcej zrobi. O jakości mówiono mało. Liczyło się, żeby było dużo. W biurach pracowano na akord. Zarabiano tym więcej, im więcej wykonano projektów. Myśmy tworzyli nową specjalność i mieli wpływ na ustalanie norm. Oczywiście staraliśmy się, aby były niskie, bo wtedy można więcej zarabiać. Nagle się okazało, że nasza pracownia zarabia dużo, a to znaczyło, że przekraczamy normy wielokrotnie.

Zaczęli z nas robić przodowników pracy! W 1956 roku dostałem nawet odznakę z portretem Pstrowskiego, górnika, który był symbolem tego współzawodnictwa w budowie socjalizmu. Myśmy po prostu chcieli dobrze zarabiać, a okazało się, że budujemy socjalizm!

W 1956 roku opublikowałem pierwszą książkę o harmonogramach budowy budynków mieszkalnych. Bawiło mnie układanie właściwego następstwa poszczególnych czynności i analizowanie wzajemnych zależności. Zainteresowałem się projektowaniem ścieżki krytycznej. Aby bowiem sprawnie zrealizować jakiegokolwiek zadanie, trzeba ustalić ciąg czynności, który decyduje o długości niezbędnego czasu. Bo wcale

nie jest tak, że trzeba przyspieszać wszystkie prace. Powinno się koncentrować uwagę tylko na tych, które warunkują rozpoczęcie następnych. Jeśli szybciej wykona się jakieś czynności, które nie należą do tej ścieżki krytycznej, to i tak będzie trzeba czekać, aż inne prace otworzą front dla następnego etapu. Nauczyłem się wtedy konieczności określania rzeczy ważnych i nierozpraszania wysiłku na rzeczy drugorzędne. Książka została przyjęta jako podręcznik w wielu szkołach i doczekała się drugiego wydania. Zapoczątkowała ona zresztą cały cykl. Moje kolejne publikacje dotyczyły planowania budowy osiedla mieszkaniowego, organizacji budowy miasta, a wreszcie koordynacji budownictwa w skali regionu.

Praca nad pierwszą książką była też dla mnie nauką redagowania tekstów. Redaktorem, który z ramienia wydawnictwa pracował wraz ze mną, był bardzo miły starszy pan z ogromną wiedzą zawodową. Postanowił mi ją przekazać. Robił to z całą bezwzględnością. To było straszne przeżycie. Płakałem i kłamałem go, gdy mi bez przerwy wyciągał jakieś sprzeczności. „Na stronie tej a tej użył pan tego terminu. A jego omówienie podaje pan dopiero trzy strony dalej. Proszę albo przesuwać definiowanie, albo zmienić sformułowanie”. Takich zarzutów miałem setki. Zmuszały mnie do zmian, których wcale nie chciałem i które psuły mi układ tekstu. Ale pan redaktor był nieustępliwy. Musiałem teksty zmieniać. Do dziś tę lekcję pamiętam i jestem za nią wdzięczny. To była kolejna praktyczna lekcja logiki.

Uprzemysłowienie budownictwa i wprowadzenie ciężkiego sprzętu na budowę stworzyło nowe wymagania w stosunku do architektów i urbanistów. Ryszard Karłowicz zwrócił się do mnie o napisanie krótkiego szkicu o tych wymaganiach. Była to dla mnie pierwsza praca studialna. Zapoczątkowała moją współpracę ze środowiskiem urbanistów i w jakiś sposób przesądziła o całym moim życiu zawodowym. Bo właśnie na tym polu znalazłem to, czego szukałem – swoje miejsce.

W tym czasie rozpoczęto opracowywanie ogólnych planów miast, niezbędnych zarówno ze względu na zniszczenia i konieczność odbudowy, jak i na nowe potrzeby rozwojowe. Nie było jednak ani aparatu, ani metod. Bolesław Malisz, który został wtedy głównym urbanistą kraju w nowo utworzonym Komitecie Urbanistyki i Architektury, powołał kilkusobowy zespół urbanistów regionalnych, którzy mieli się opiekować powstającymi pracowniami w różnych miastach. Zespół ten rozszerzył się o kilku specjalistów spoza kręgu architektów. Zostałem i ja do niego włączony, jako ekspert od budownictwa. Zacząłem się zastanawiać nad organizacją budowy w skali miasta. Później dołączono jeszcze szacowanie kosztów inwestycji proponowanych w planie. Były to pierwsze, nieśmiałe i niezbyt udane próby powiązania wizji urbanistycznych z realiami realizacyjnymi i ekonomią.

Wobec ogromu potrzeb organizowano tzw. uderzeniówki. Wyjeżdżaliśmy całą grupą na tydzień do danego miasta. W ciągu tego tygodnia powstawała koncepcja jego rozwoju i zarys procesu realizacji. Ukształtował się dość stały skład. Progra-

mowaniem rozwoju zajmowali się Staś Wyganowski, Andrzej Jędraszko i Halina Wiśniewska. Architekci to Stefan Sękowski, Krystyn Olszewski, Ryszard Karłowicz, Jurek Koziński, Maciek Nowakowski oraz Julek Wilski. Z kolei Ludwik Szklarek, Andrzej Trochimowski, Wojtek Suchorzeski i Janusz Rosada byli specjalistami od infrastruktury. Pierwsze spotkanie mieliśmy zimą 1956 roku w Kazimierzu, gdzie opracowaliśmy założenia planu Lublina pod kierownictwem Romana Dylewskiego, architekta miasta.

Później ten model powtarzany był wielokrotnie. Do roku 1964 uczestniczyłem w pracach nad planami dla wielu miast i regionów, takich jak Białystok, Bogatynia, Gdańsk, Gdynia, Górnośląski Okręg Przemysłowy, Gubin, Kalisz, Kielce, Koszalin, Lublin, Łódź, Ostrołęka, Poznań, Rzeszów, Wrocław czy Zagłębie Siarkowe. Te prace planistyczne jakoś napęłniały optymizmem. Planowało się z nadzieją, że będzie lepiej.

Początkowo w Miastoprojekcie prowadziłem pracownię i koncentrowaliśmy się na projekcie Wierzbna. Ale w miarę angażowania się w sprawy urbanistyczne moje zainteresowania zaczęły wychodzić poza zakres tego projektu. W końcu z przyjemnością przyjąłem propozycję Bolka Malisza, aby przejść na etat do jego zespołu w Komitecie. I wiosną 1958 roku zostałem urbanistą rejonu. Zaczynał się kolejny etap mego życia, ale znowu wchodziłem w niego samotnie. Nasz zespół składał się z architektów, którzy opiekowali się poszczególnymi rejonami kraju. Prawdziwymi urbanistami byli Stefan Sękowski, Krystyn Olszewski, Ryszard Karłowicz, Jurek Koziński, Maciek Nowakowski, Julek Wilski. Cztery pozostałe osoby specjalizowały się w poszczególnych sprawach: Staś Wyganowski i Halina Wiśniewska w programach rozwoju miast, Ludwik Szklarek w infrastrukturze i ja w budownictwie i kosztach. Znalazłem się jako zupełnie nowy człowiek w całkowicie obcym dla siebie środowisku.

Tymczasem Ojciec został przewieziony do Wroniek. To było ciężkie więzienie, ale już zarządzane przez Służbę Więzienną, a nie przez śledczych ubowskich. Powoli unormowało się tam jego życie. Dostał pracę w zakładzie szewskim jako kierownik organizacyjny i księgowy. Piękne wykorzystanie doświadczeń takiego człowieka, jakim był Ojciec.

Co miesiąc przysługiwało mu widzenie z jedną osobą. Na ogół Matka chciała jeździć sama. Czasami ja jeździłem. Kilka razy pojechał ktoś inny z rodziny, aby urozmaicić mu kontakty. Taki wyjazd to była cała operacja.

Wyjeżdżało się wieczornym pociągiem osobowym do Szczecina. Pociągi pociągowe we Wronkach nie stawały. Jechało się więc długo i do Wroniek przyjeżdżało się około pierwszej w nocy. Trzeba było uważać, żeby nie przespać tego przystanku. Potem szło się do jednego z domków kolejarskich naprzeciwko stacji, żeby się kilka godzin przespać. Kolejarze urządzili miejsca do spania właśnie dla osób, które od-

wiedziały więźniów. Rano herbata z kanapką i marsz do więzienia. Tam się czekało, aż Ojca sprowadzą do pokoju widzeń. To trwało parę godzin. Półgodzinne widzenie, nawet w dość dobrych warunkach. Przy stoliku, bez żadnych krat. No i powrót popołudniowym pociągiem, który był w Warszawie późnym wieczorem. Cała podróż zajmowała ponad 24 godziny.

W ciągu kilku lat tych podróży mieliśmy różne przygody. Moja Matka kiedyś wpadła w tzw. kocioł, zastawiony przez milicję w tym domu, gdzie miała nocować. Coś podejrzewali i czegoś szukali, więc zorganizowali kocioł. Kto wszedł, ten już nie wychodził, tylko musiał siedzieć. Matka siedziała tam ze trzy dni. Pozwolili tylko zatelefonować do domu, że nic się jej złego nie stało. Siedzieli w kilkanaście osób, bo nowych gości stale przybywało. Pod opieką milicjanta wychodziła do sklepu jedna z zatrzymanych osób, aby coś kupić do jedzenia. W końcu ich puścili. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, o co chodziło.

Z kolei mnie raz w pociągu okradli, gdy spałem. Ale to były drobiazgi. Najbardziej liczyła się możliwość spotkania z Ojcem. Byłem pełen podziwu dla jego odporności psychicznej i umiejętności adaptacji do warunków życia, jakie mu narzucano. Dla człowieka w tym wieku i z takim życiorysem to nie było łatwe. Ale nigdy nie słyszałem żadnej skargi, ani wówczas, ani po jego wyjściu na wolność.

Mojej Matce i całej rodzinie w Zarybiu nie żyło się łatwo. Koszty utrzymania domu i rodziny były duże, a dochody żadne. Matka usiłowała zarabiać. Zaczęła pracę w spółce nasiennej, która dzierżawiła Zarybie, jako laborantka. Było to żmudne, bo musiała iść codziennie rano dość daleko przez las. Ale najgorsze, że zatrula się jakimiś proszkami, którymi zabezpieczano próbki nasion przed myszami. Nabawiła się alergii, która ją męczyła do końca życia, i musiała przerwać tę pracę. A innej nie było.

W pewnym momencie ukazało się dno i jedynym wyjściem stała się sprzedaż kawałka lasu w Podkowie, który Ojciec kupił, gdy miasto powstawało. Zapisał to na imię mojej siostry, będącej wówczas jeszcze dzieckiem, i mówił, że to jest jej posag. Ponieważ te działki nie były zapisane na Ojca, więc nie zostały zajęte i można je było powoli sprzedawać.

W 1954 roku, jak zawsze, pojechaliśmy w Tatry. Danka na obóz, a ja łązić samotnie, gdzie się da. Tym razem miałem kompana. Poznałem młodego architekta z Krakowa, ale – jak każdy krakus – związanego z górami. Chodziłem z nim wiele po wsiach podhalańskich. Mieszkaliśmy u jego przyjaciół na strychu w Chochołowie. Poznawałem miejscowe życie i miejscowych dziwaków. A potem znów samotne wędrówki po dolinkach w Tatrach Zachodnich. Po kilkunastu dniach poszedłem do Danki nad Morskie Oko. Gdy przyszedłem, była na wspinaczce, a kilku jej kolegów obserwowało przez lunetę ją i jej partnerów, jak się wspinają po ścianie. Ja też sobie popatrzyłem, jak dzielnie się spisuje na Żabiej Lalce. Gdy oddałem lornetę,

wtedy ten, kto ją przejął, wrzasnął: „O Boże, lawina kamienna!”. Zamarłem. Przy lawinie człowiek jest bezradny. Wszystko zależy od szczęścia. Tym razem było z nimi. Lawina poszła sąsiednim żlebem. Jednak ten szok był tak poważny, że gdy Danka wróciła, poprosiłem ją, by jednak dała spokój ze wspinaczkami. Zgodziła się.

Jeszcze przed wyjazdem poszedłem z grupą na Mięguszwowiecki. Poszliśmy przez Bandzioch, Wielki Kocioł Mięguszwowiecki, pięknym zachodem na grań nad Cubryńską Przełęczą i dalej granią na szczyt. Piękna droga widokowa, choć miejscami dość eksponowana. Zeszliśmy przez przełęcz pod Chłopkiem, obchodząc szczyty nad Doliną Hińczową. To była moja najbardziej taternicka wyprawa. W pamięci też mi pozostało samotne łażenie po zboczach Miedzianego, wbrew wszystkim zasadom bezpieczeństwa. Bo nie powinno się chodzić samemu w góry. Zwłaszcza wtedy, gdy nie istnieje łączność telefoniczna. Gdyby się nogę skrzyło, to na pomoc nie byłoby nadziei. Ale młody człowiek zawsze wierzy w swoje szczęście. A dla mnie samotna włóczęga miała nieodparty urok. Dawała poczucie wolności i niezależności od wszelkich sił, które na co dzień tak bardzo wkraczały w nasze życie.

Powoli następowały zmiany polityczne. Ogłoszono amnestię i Ojcu zmniejszono karę o połowę, z 14 do 7 lat. I ta połówka nagle się zbliżyła. Pomogli adwokaci i odpowiednie postępowanie dość szybko przeprowadzono. Dostaliśmy wiadomość, że poszedł nakaz do więzienia, aby Ojca zwolnić. A Matka właśnie sprzedała ostatnią działkę. Rezerwy się kończyły i problem finansowy stawał się kluczową sprawą. Komunizm pozbawił naszą rodzinę całego majątku, który Ojciec gromadził. Nigdy nie zazналиśmy biedy czy nawet niedostatku, ale podstawy materialne musieliśmy tworzyć od początku.

Po Ojca ja pojechałem do Wronek, aby go odebrać. To było wielkie przeżycie. Ojca całkiem zaskoczyło, gdy oddziałowy zawołał: „Regulski, na wolność!”. I wtedy rozegrała się zupełnie nietypowa scena. Bo Ojciec nie rzucił się do wyjścia, jak robili to więźniowie, ale zażądał, żeby wyznaczyli jego następcę, któremu mógłby przekazać sprawę warsztatu szewskiego! Oddziałowy musiał go wyrzucić prawie na siłę!

Nasze spotkanie było spokojne, chociaż nam obu w gardle coś bulgotało. Przywitanie rodzinne odbyło się u nas na Elektorальной. Za późno było, aby jechać do Podkowy. Jakoś się wszyscy zmieściliśmy, choć to nie było łatwe. Ojciec był muzykalny i lubił muzykę. Właśnie kończył się konkurs chopinowski. Jeszcze w piątek, kładąc cię spać we Wronkach, Ojciec westchnął: „I znowu nie usłyszę Chopina...”. W sobotę przyjechał do Warszawy i Danka zaraz załatwiła bilet na koncert laureatów. Już nie zdążyła na niedzielę, ale w poniedziałek na powtórkę koncertu Ojciec już dotarł. To było jego pierwsze zetknięcie się z wolnym światem.

Bardzo szybko wszedł w nowy dla siebie świat. W krótkim czasie przejął kontrolę nad domem, ku radości Matki, ale również zaczął myśleć o przyszłości. Załatwił sobie meldunek w Warszawie, co było bardzo ważne. Osoby spoza Warszawy nie

mogły nawet marzyć o zameldowaniu się w mieście i miały utrudniony dostęp do pracy. A Ojciec chciał wrócić do życia w pełni. Chciał pracować i być użytecznym społecznie i zawodowo. Kluczowym problemem stało się więc mieszkanie. Żeby pracować, musiał w Warszawie mieszkać, a to w naszym mieszkaniu było niemożliwe. Należało zdobyć większy lokal. Ale jak? Na każde mieszkanie należało mieć przydział z urzędu, a jego udzielano w zależności od liczby zameldowanych osób. Po siedem metrów na osobę! Oczywiście nowych mieszkań nie było. Jedyną drogę stanowiło dokonanie zamiany, którą musiał zaakceptować urząd. Jakoś udało się znaleźć ludzi z dużym mieszkaniem na Spasowskiego na Powiślu. Mieszkały tam dwie rodziny, bardzo chcące się rozłączyć. Znaleźliśmy jakąś kawalerkę na Chocimskiej, której lokator planował wyprowadzkę z Warszawy, ale chciał dostać odstępną od kogoś zainteresowanego przejściem kawalerki. Jednak uzyskanie zgody urzędu nie było łatwe. Zabiegi trwały kilka miesięcy. W końcu dzięki znajomościom udało się i przeprowadziliśmy się w początkach 1956 roku.

Mieszkanie było świetnie zaprojektowane. Tylko że znajdowało się na parterze i w ogóle nie miało dostępu do słońca! A podziemne prądy wodne stwarzały niedobre warunki. Jak się potem dowiedzieliśmy, ciągle tam ktoś umierał. Nam się udało. Wpasowaliśmy się pomiędzy dwie śmierci. Dosłownie już w trakcie pertraktacji umarł poprzedni właściciel. A później, po naszej wyprowadzce, zmarł w kilka miesięcy po wprowadzeniu nasz następca.

Życie spowodowało, że Danka swojej obietnicy zakończenia wspinaczek musiała dotrzymać. W następnym roku okazało się, że będziemy mieli drugie dziecko. Chcieliśmy chłopca, aby była parka. Chłopiec przyszedł na świat, ale spowodował wiele kłopotów. Większą część ciąży Danka przeleżała z konieczności w łóżku, a jak przyszło co do czego, to wcale nie chciał się urodzić, tak mu było, widać, dobrze. Musieli zrobić cesarskie cięcie, i to dosłownie w ostatniej chwili. W dodatku wybrał sobie fatalny okres. Urodził się w lutym 1956 roku, w okresie strasznych mrozów. Danką opiekował się lekarz, który pracował w klinice w Aninie. Tam Michał zobaczył światło dzienne i tam z Danką leżeli parę tygodni. A ja do nich jeździłem. Oczywiście jeździło się tramwajem. Panował siarczysty mróz. Kiedyś, gdy wieczorem wracałem, na termometrze było poniżej 30 stopni.

Parę tygodni po powrocie Danki z Michałem przeprowadziliśmy się do nowego mieszkania. Danka przestała pracować. Nie była w dobrym stanie po tej trudnej ciąży. Miała też ogromną pracę do wykonania w związku z przeprowadzką i zorganizowaniem nowego domu. Bo nasze gospodarstwo gwałtownie się rozszerzyło. Przybył nie tylko Michał, choć wniósł on wiele nowego życia. Zamieszkał u nas Ojciec, a Matka, która mieszkała w Zarybiu, stała się dość częstym gościem.

Ojciec zaczął pracować w biurze projektów. Ale to nie mogło się skończyć sukcesem, gdyż nie pasował do ówczesnych biur i ludzi tam pracujących. Kultura pracy sprzed wojny była już bardzo odległa od mentalności pokolenia lat pięćdziesiątych. Kiedyś odwiedziłem go w biurze i było mi przykro patrzeć, jak się stara dostosować do istniejących warunków, jak wiele go to kosztuje i jak małe są szanse na znalezienie jakiegokolwiek porozumienia. Potem znajomi zaproponowali mu, aby został kierownikiem spółdzielni mieszkaniowej, w której budowali swoje domki. Okazało się to dobrym rozwiązaniem. Miał pełną samodzielność, a osobisty autorytet pozwalał mu na polubowne rozwiązywanie nieuniknionych sporów. Zakończył tę pracę wraz z likwidacją spółdzielni, gdy miał już ponad 80 lat!

Schorzenie Joanny dało znowu znać o sobie. W miarę jak rosła, następowały zmiany w stawach. Lekarze uznali, że obustronne operacje ortopedyczne bioder są konieczne i że powinny być przeprowadzone jeszcze przed pójściem Joanny do szkoły. Każda z operacji wymagała paru tygodni gipsu, a później rehabilitacji, więc obie to był wielomiesięczny proces.

To ostatecznie przesądziło, że Danka nie mogła zacząć żadnej pracy w najbliższym okresie. Operacji podjęła się sława polskiej ortopedii, profesor Gruca. Chyba przeprowadził ją dobrze, biorąc pod uwagę ówczesny stan wiedzy i możliwości techniczne.

Nasze życie i nasze problemy toczyły się w zmieniającej się rzeczywistości. Po śmierci Stalina nastąpił przewrót w Związku Sowieckim, sławny raport Chruszczowa i śmierć Bieruta. Nie żałowałem go. Dla mnie był symbolem wrogiego ustroju, ucisku, więzień i tortur. Ale gdy zorganizowano wjazd jego trumny do Warszawy, to poszedłem w Aleje Jerozolimskie, aby zobaczyć nie tyle kondukt, ile zachowanie ludzi. Stałem koło Brackiej z tyłu za tłumem i przyglądałem się ludziom. A ich reakcje nie były jednakowe. Pomijam całe wycieczki organizowane przez urzędy i fabryki, które znajdowały się pod nadzorem partyjnych towarzyszy. Oni byli bierni, cisi i tylko nieliczni manifestowali urzędową rozpacz. Ale mnie uderzyło to, że byli też ludzie pojedynczy, którzy szczerze lamentowali i rzeczywiście byli przestraszeni przyszłością. Odszedł nasz ojciec i opiekun, zostaliśmy sami. Co się stanie? Czy będzie wojna? Czy Niemcy znowu przyjdą? I te zachowania utkwiły mi w pamięci. Były one dowodem, jak bardzo można manipulować świadomością społeczną. A ówczesne władze robiły to efektywnie. Strach przed wojną był jeszcze silny, a obecność Sowieców tłumaczono jako konieczną obronę przed powrotem nazistów. I wielu ludzi, zupełnie otumanionych, straciło zdolność do logicznego myślenia i nie mogło sobie dać rady z oceną zachodzących wydarzeń.

Adam Gruca, chirurg-ortopeda.
Fot. NAC



A wkrótce potem były wydarzenia w Poznaniu, interwencja na Węgrzech, a następnie powrót Gomułki. Byliśmy z Danką pod Pałacem Kultury na jego historycznym wiecu. I z całym tłumem entuzjastycznie cieszyliśmy się z jego zapowiedzi. Wszyscy wtedy mu wierzyli. Zresztą nie było innego wyboru, a jego zapowiedzi gwarantowały przynajmniej koniec epoki terroru. Zaczynały się pokazywać jakieś pierwsze, jeszcze niesłychanie słabe oznaki przemian, przedwiosenne kwiatki wychodzące spod śniegu.

Dziś trudno nawet sobie wyobrazić, czym było to pierwsze 10 lat PRL. Walka o przetrwanie we wrogim państwie, bez żadnej nadziei na jakąkolwiek odmianę. Byle ciszej, byle dalej. Nastrój tamtego czasu dobrze odzwierciedla historia z moim prawem jazdy. Prowadzenia nauczyłem się jeszcze przed wojną, jako kilkunastolatek. W 1947 roku po wyjściu z więzienia wykorzystałem szansę, że Ojciec dysponował samochodem, i polepszyłem swoje umiejętności kierowcy w takim stopniu, że zdałem prawo jazdy. Miałem więc prawo jazdy, ale kontakt z samochodem straciłem wraz z uwięzieniem Ojca. A potem sama myśl, że nie tylko mogę kiedyś mieć samochód, ale nawet że będę miał kiedykolwiek okazję jakiś samochód prowadzić, była tak odległa od rzeczywistości, iż wydawała się wprost absurdalna. Sam dokument stanowił jakiś dowód nierealności i gdy wpadał mi do ręki, zawsze była okazja do kpin. Aż w końcu kiedyś potrzebowałem fotografii do biletu miesięcznego i bardzo nie chciało się mi iść do fotografa. Więc po prostu wyrwałem fotografię z tego prawa jazdy i skończyłem z absurdem. Wróciłem do rzeczywistości. W efekcie musiałem kilka lat później jeszcze raz na nowe prawo zdawać egzamin.

Ojciec wniósł rewizję od swego wyroku. Czasy się zmieniły. Narastał krytycyzm wobec wcześniejszych akcji UB. Wyrok był oparty na absurdalnych podstawach. Ojciec energicznie się zabrał do jego likwidacji i udało się to nad wyraz szybko. Wyrok całkowicie uchylono i stwierdzono, że właściwie nie wiadomo, dlaczego Ojciec siedział. A w ślad za uchycieniem wyroku można było uchylić zabezpieczenie mienia. Wszystkie nieruchomości zostały zwrócone. Najbardziej liczyło się oczywiście Zarybie. Sprawa domu na Przyjaciół wydawała się przegrana. Został formalnie wywłaszczony i nie było żadnych szans, żeby cokolwiek zdziałać. Na możliwość podjęcia działań w tej sprawie musiałem czekać 40 lat! Jednak podjęcie ich już w wolnej Polsce oznaczało tylko rozpoczęcie wojny z samorządową administracją, która wcieliła się w spadkobierców Bieruta i z uporem broniła jego decyzji. To jeden z tych wielu absurdów polskiej transformacji.

Sprawa willi w Juracie też była przegrana. Wprowadzono tam obowiązek kwaterunkowy. Willę przydzielono miejscowemu lekarzowi, dobrze osadzonemu w lokalnych układach. Smaczku dodał fakt, że Rodzice chcieli pojechać na krótki urlop do Juraty i poprosili znajomych o wynajęcie im pokoju. Jakież było ich zdziwienie, gdy okazało się, że wynajęli pokój we własnym domu! Sprawa willi została zakończona stosunkowo niedługo. Rodzice sprzedali ją za symboliczną sumę temu, kto nią



Władysław Gomułka przemawia na pl. Defilad w Warszawie, 24 października 1956

władał. Utrzymywanie fikcyjnego prawa własności pociągało tylko same obowiązki podatkowe i inne, bez możliwości czerpania jakichkolwiek korzyści.

Pozostawało Zarybie. Ono stało się bazą materialną Rodziców. Przypomniało mi się, jak Ojciec mówił, że traktuje Zarybie jako rezerwę na starość. Tu chciał mieszkać i gospodarować. Rzeczywiście, spełniło tę funkcję. Pozwoliło, aby Rodzice spędzili koniec swego życia we względnie dobrych warunkach. Ale to nie było to, o czym myślał Ojciec.

Decyzja o sprzedaży Zarybia była oczywista. Nikt z nas ani nie umiał, ani nie chciał gospodarować na roli w warunkach obowiązkowych kontyngentów i różnych presji politycznych. Ale jak to zrobić? Pierwszą czynność stanowiło wydzielenie pasa gruntów pod lasem i podzielenie ich na kilka półtorahektarowych działek. Na mniejsze nie wydawano zgody. Rodzice przepisali je na mnie i ja zacząłem je powoli sprzedawać. Potem przeprowadziłem podział całego terenu na mniejsze minigospodarstwa rolne. Pozostawał jeszcze dom i zabudowania gospodarcze. Z tym był kłopot, bo nabywców brakowało. Aby kupić dom i budynki z lokatorami posiadającymi przydziały kwaterunkowe – trzeba było być wariatem! Ale coś musieliśmy zrobić. Tak dalej nie można było żyć.

Dotychczas byliśmy całkowicie odizolowani od zagranicy. Nikt o wyjeździe gdziekolwiek nie mógł nawet marzyć. Taki przywilej był zarezerwowany tylko dla swoich. Ale zmiany polityczne uchyliły furtkę. Matka wystąpiła o paszport w celu odwiedzenia mojej siostry w Londynie.

I o dziwo, dostała go bez trudności. To było wielkie przeżycie. Poleciała samolotem na dwa miesiące. I wróciła z wrażeniami z innego świata. Nie istniały wówczas loty bezpośrednie. Samolot lądował po drodze w Amsterdamie. Tam złapała ją jesienna mgła i unieruchomiła na dwa czy trzy dni, a myśmy czekali na jej powrót z wielką rodzinną kolacją. Przelot z Amsterdamu jest krótki. Trwa tyle, ile potrzeba czasu na ugotowanie kury, która miała stanowić podstawowe menu. Każdy telefon powodował komendę „kura do garnka!”, aby za chwilę nakazać: „kura z garnka!”. W końcu, zdaje się, była niezłe ugotowana po tych kilku dniach. Ta opowieść przeszła do zestawu legend rodzinnych, a komendy „z garnka” i „do garnka” były używane wielokrotnie w sytuacjach niepewności. Ale Matka była emerytką i na niej nie ciążyły żadne zarzuty. Ja byłem w innej sytuacji.

Polacy są zawsze optymistami i lubią mierzyć siły na zamiary, a nie odwrotnie. Stąd kiedy w lecie 1956 roku powstała w biurze projektów myśl, żeby zorganizować pierwszą wizytę studialną we Francji, wszyscy się do idei zapalili. Opracowaliśmy zawodowy program wizyty w Paryżu, poświęcony urbanistyce i architekturze. Wybrano 30 osób spośród samodzielnych projektantów biura, w którym pracowałem, i zaczęliśmy przygotowywać podróż. Nie było to łatwe. Nasz ówczesny złoty był niewymienialny, a uzyskanie przydziału dewiz łączyło się z niesłychanymi trud-

nościami i sprowadzało się do jakichś znikomych sum. Nie mogły one wystarczyć na bilety, nawet kolejowe. Musieliśmy jechać autokarem, w który trzeba było zapakować wszystko, co się dało kupić w Polsce i zabrać ze sobą. Opracowaliśmy trasę. Przejazd przez Niemcy nie wchodził w ogóle w rachubę. Zimna wojna była u szczytu. Wyzaczyliśmy więc drogę przez Austrię i Szwajcarię, zbierając różnymi sposobami wiadomości o campingach, na których mieliśmy spać w namiotach.

Byłem ogromnie zaangażowany w przygotowania. Pomagała mi Danka, choć oczywiście nie mogła z nami jechać. Ale pozostawała jeszcze sprawa paszportów. Wyznaczono dzień, kiedy mieliśmy je odebrać w dziale personalnym Centralnego Zarządu Biur Projektowych, na trzy dni przed wyjazdem.

Poszliśmy całą grupą. Wywoływano kolejno uczestników. Wywołani wchodzili po kolei do pokoju, gdzie oficjalnie wręczano paszporty. Wychodzący entuzjastycznie pokazywali nieznanym dotąd dokument innym. Liczba stojących na korytarzu powoli się zmniejszała. Gdy zostało nas z pięć osób, wyszedł urzędnik i powiedział: „Więcej paszportów nie ma”. Zapadła cisza. „A kiedy będą?” „Nie wiadomo. Jak dowiozą, to będą. Proszę się dowiadywać”. Zupełnie załamani rozeszliśmy się do domów. Z wielkiego entuzjazmu nic nie pozostało. Następnego dnia poleciliśmy znów do tego biura. Kazali nam czekać na korytarzu. Ktoś pojechał po paszporty. Czekaaliśmy parę godzin, w nastrojach zmieniających się od nadziei do pełnej rezygnacji. Przywieziono dwa paszporty. Ale nie dla mnie. Nie wiadomo było, co robić. Czy kupować żywność i pakować się, czy też uznać, że szansa na tę wyśnioną przygodę jest już stracona?

Pozostała nadzieja ostatniego dnia. Powtórzyła się męka wielogodzinnego czekania na korytarzu. Przyniesiono tylko jeden paszport. Zostało nas dwóch z pustymi rękami. I znowu żadnej informacji. Jak paszporty będą, to będą. A jak ich nie będzie, to nie będzie. Dowiadujcie się. Jeszcze uzgodniliśmy z kolegami jakiś kontakt, na wypadek gdyby paszporty się zjawiły i dało się dogonić grupę pociągiem. Ale to już był tylko taki beznadziejny gest. Paszport mój nigdy nie doszedł.

Zostaliśmy w ten sposób przywołani do rzeczywistości. Dość brutalnie pokazano nam, gdzie jest nasze miejsce w tym kraju. Ale zmiany się dokonywały. Za rok powstała znów możliwość wyjazdu. Tym razem do Włoch. Mogliśmy pojechać razem z Danką. Złożyliśmy podania indywidualnie w Biurze Paszportowym. Po pewnym czasie dostałem wezwanie na rozmowę. Była dość krótka, a propozycja też jasna: paszporty dostaniemy, jeśli zobowiązę się do napisania po powrocie raportu o wszystkich wydarzeniach, w tym o rozmowach z innymi uczestnikami i o tym, co oni będą robić. Na taką propozycję jedyną możliwą odpowiedzią była rezygnacja z wyjazdu. Jeślibym odmówił, a przecież akceptować nie mogłem, to i tak paszportu byśmy nie dostali.

Lepiej więc było wycofać się samemu. Odpowiedziałem, że jest mi przykro, ale muszę zrezygnować, bo koszty okazały się za duże.

Porównanie tej rozmowy z tą sprzed kilku lat, gdy porwano mnie na ulicy i zawieziono do garażu na Żoliborzu, dobrze ilustruje ewolucję systemu, jaka nastąpiła w tym czasie. Okres terroru minął, ludzi już nie katowali tak jak dawniej, ale istota systemu pozostała ta sama.

Znowu więc porażka. Rozmawialiśmy o niej kiedyś później z Konstantym Łubieńskim, posłem i działaczem katolickim. Danka przyjaźniła się z jego żoną. Powiedział, że może spróbować jakiejś interwencji. Jak się później dowiedziałem, napisał do bardzo wysoko postawionej osobistości partyjnej, z którą miał bliskie kontakty. Skutek był pozytywny. W następnym roku zostaliśmy zaproszeni przez moją siostrę do Anglii i paszporty dostaliśmy.

Jechaliśmy tam wraz z moją siostrą i jej mężem, którzy wracali po swojej pierwszej wizycie u nas. Teraz my jechaliśmy do nich. Najpierw pociągami przez Berlin i Holandię, a z Hoek van Holland promem do Anglii i znów pociągami do Londynu. Cała podróż trwała półtorej doby. Tyle wrażeń po drodze! Pamiętam pierwszy szok w Berlinie Zachodnim – na dworcu handlarze sprzedają banany! I nikt się na nie szczególnie nie rzuca! U nas banan to był rarytas, którego dostanie graniczyło z cudem i było związane z różnymi zabiegami u sprzedawców w uprzywilejowanych sklepach. A jak się już banana dostało, to dzieliło się go na małe kawałeczki, aby rozdzielić najpierw między dzieci. A tu po prostu sprzedają i proszą jeszcze, żeby kupować!

Dwa miesiące w Londynie to było dla nas pierwsze poznanie świata zachodniego. Żeby mieć choć trochę własnych pieniędzy, Danka sprzedała jakąś swoją broszkę odziedziczoną po babce. Przywieźliśmy też kartki pocztowe z żołnierzami w starych mundurach, które ktoś skupował. Miałem trochę własnych kontaktów przez środowisko urbanistów i one pozwoliły nam zobaczyć nawet więcej, niż mogli nam zaferować siostra ze swoim mężem. Zwiedzałem budowę nowych miast, których wówczas kilka powstawało.

Widziałem ich organizację i dyscyplinę realizacji wielkich zamierzeń. To, czego brakowało nam wówczas i nadal nam tak brakuje. Podziwiałem też stabilność państwa i jego struktur. W akcie kupna domu mojej siostry w Londynie był zapis, że nie wolno jej tylną furtką (której już nie było) wypuszczać krów na pastwisko i że nie wolno jej również polować na króliki. Tymi warunkami ten teren obciążono 475 lat wcześniej, gdy został po raz pierwszy sprzedany.

Kilka lat później głośny był fakt wygaśnięcia tysiącletniego kontraktu dotyczącego użytkowania terenu pod katedrą westminsterską. Z wielką pompą przedłużono go na następne tysiąc lat. Ta ciągłość państwa była imponująca. Stanowiła dla mnie zupełnie nowe zjawisko w porównaniu z burzliwymi wydarzeniami w Europie.

Kazało mi to myśleć o państwie w perspektywie jego historii i przyszłości, a nie tylko bieżących wydarzeń.

Siostra prowadziła pracownię krawiecką wraz z jedną Angielką z *lower middle class*. Bywałem u nich w pracowni, mogłem się nasłuchać opowieści o angielskim spojrzeniu na świat, a szczególnie na kontynent. Partnerka mojej siostry nie potrafiła wielu spraw zrozumieć. Gdy słyszała wielokrotnie o powojennych zmianach granic w Europie, to któregoś dnia zapytała: „Ja się tak zastanawiam i nie mogę zrozumieć. Jeśli zmieniano granice, to przecież musiano wykopać nowe kanały. Kto to robił? To musiało dużo kosztować?”. Nie umiała sobie wyobrazić lądowej granicy! Granica to woda! Owa Angielka pod wpływem rozmów z moją siostrą zdecydowała się pojechać na wycieczkę samochodem do Francji. Najpierw z dumą przyniosła ulotkę informującą automobilistów, że na kontynencie, *against royal regulations* (wbrew królewskim przepisom), samochody jeżdżą po prawej stronie! Oczywiście, jedynie ważne są przepisy angielskie! Po powrocie, gdy siostra zapytała o wrażenia, to podstawowe znaczenie miał fakt, że we Francji krowy są strasznie brudne!

Inną opowieść przytoczył mi mój szwagier. Najtańszy środek dojazdu do Londynu stanowiła podróż statkiem „Batory”. Można było za nią płacić w złotychkach!

Kiedyś czekał na kogoś z Polski i wdał się w rozmowę ze stojącym obok Anglikiem. „Czy pan też na kogoś czeka?” – zapytał szwagier. „Nie, ale chciałbym zobaczyć naraz tylu komunistów. U nas na końcu ulicy mieszka jeden. Ale zobaczyć naraz trzy tysiące! To rzadkość”. Dla niego ówczesny Polak był oczywiście komunistą.

Wracaliśmy także pociągiem. To była dziwna podróż. Chcieliśmy zobaczyć jak najwięcej, bo nie wiedzieliśmy, kiedy znów wyjedziemy za granicę. I rzeczywiście musieliśmy na następny wyjazd czekać sześć długich lat! Postanowiliśmy więc jechać pociągiem tylko nocami, a w kolejne dni zatrzymywać się i zwiedzać. Nocą przepłynęliśmy kanał La Manche, śpiąc na promie. Na cały dzień zatrzymaliśmy się w Holandii. Mieliśmy kogoś, kto się nami zaopiekował. Cały dzień zwiedzania: Muzeum Rembrandta, objazd Amsterdamu łodziami i jeszcze inne rzeczy, które w natłoku wrażeń nie zostawiły śladu w pamięci. Potem noc w pociągu i nowy dzień na zwiedzaniu Berlina i na zakupach. Pamiętam, jak wielkim wrażeniem były ręczniki! Wydaliśmy na nie wszystkie pieniądze, jakie nam pozostały. Bo wówczas w Polsce nie było ręczników frotté. Wycieraliśmy się w bawełniane, które natychmiast stawały się mokre. A tu taki luksus! Byliśmy z niego bardzo dumni, a przyjaciele bardzo tych ręczników nam zazdrościli. Wróciliśmy do kraju pełni wrażeń i chęci do życia. Ale polska rzeczywistość szybko sprowadziła nas na ziemię.

Muszę tu jeszcze odnotować jedną bardzo ważną inicjatywę Ojca, która decydowała o dalszych naszych losach. Zapędzeni w bieżące sprawy, bez jakichkolwiek środków finansowych, zupełnie nie myśleliśmy o przyszłości. A Ojciec myślał. Odezwwał się w nim duch budowniczego. Zaczął szukać okazji, żeby zbudować własne

domki. I znalazł. Grupa architektów znalazła wolny teren w Warszawie na wówczas odległych peryferiach Mokotowa. Zaczęliśmy się starać o przydział terenu dla 16 osób. Udało się. W 1955 roku to były pierwsze przydziały dla indywidualnych osób, a nie dla spółdzielni. Dawano je przez krótki okres podczas odwilży politycznej. Dostaliśmy przydział, ale natychmiast powstały problemy, za co mamy budować i jak to robić. Pierwsze pieniądze przyszły ze sprzedaży działek w Zarybiu. Na kilka kolejnych lat spadło na mnie nowe zadanie. Ale udało się w 1960 roku wprowadzić się z Rodzicami do dwóch bliźniaczych domków. I to własnych!



Paryż, 1960. Fot. Niderlandzkie Archiwum Narodowe

15.

**Urbanista – Pierwszy samochód – Francja
(1959-1965)**

P

rzejście z biura projektów do Komitetu Urbanistyki i Architektury stanowiło dużą zmianę. Stałem się urzędnikiem państwowym i uczestniczyłem w tworzeniu nowej koncepcji planowania przestrzennego. Wchodziły w życie nowe technologie budowlane, wielka płyta, trzeba było do tego dostosowywać urbanistykę, zaczęło się projektowanie miast. Zmiany polityczne napawały nadzieją. Ale wstępowałem kolejny raz do zupełnie nowego środowiska. Znow byłem inny, z odmiennymi doświadczeniami i odmiennym sposobem myślenia. Musiałem ponownie nauczyć się rozumienia inaczej myślących ludzi. To nie było łatwe, bo z kolei oczekiwania w stosunku do mnie były duże. Architekci nie wykazywali zrozumienia dla spraw ekonomicznych. Myśleli przede wszystkim w kategoriach potrzeb społecznych, a nie możliwości ich realizacji. Uważali, że doświadczenie realizacyjne pozwoli mi związać planowanie z rzeczywistością i jej wszystkimi ograniczeniami. Ale skąd ja miałem wiedzieć, jak to zrobić? Dla mnie wówczas zarówno urbanistyka, jak i ekonomika były dziedzinami zupełnie nowymi. Nie bardzo było też skąd się uczyć, bo tworzyliśmy całkiem nową dziedzinę wiedzy i praktyki. Urbanistyka, jaka się wykształciła w krajach zachodnich, nie odpowiadała naszym potrzebom. Wszechobecność i wszechmoc państwa stwarzały nam możliwości nieosiągalne gdzie indziej. Przynajmniej teoretyczne. Okazało się bowiem, że podstawową barierą nie są prawa i interesy właścicieli gruntów, jak to jest na Zachodzie, ale niekompetencja i arogancja władz partyjnych przy jednoczesnej ich sile decyzyjnej. Urbanisci zaś czuli się reprezentantami interesów społeczeństwa, a nie członkami

aparatu państwa współodpowiedzialnymi za realizację swoich postulatów. Takie stanowisko spychało ich na pozycję nieodpowiedzialnych pięknoduchów, którzy malują ładne obrazki bez żadnego znaczenia dla rzeczywistości. Ale o tych problemach środowisko nie bardzo chciało dyskutować. Po prostu ich nie rozumiało. Ja też zrozumiałem je dopiero wiele lat później.

Wówczas nowe wyzwania mnie fascynowały. Czułem zarazem, że uprawiam amatorszczyznę. Nie miałem żadnego przygotowania do prowadzenia badań i studiów, nie posiadałem żadnego warsztatu, a w moim otoczeniu nie było nikogo, od kogo mógłbym się czegośkolwiek nauczyć.

W 1959 roku cały nasz zespół został przeniesiony do Instytutu Urbanistyki i Architektury. Instytut był czymś bardzo odległym od tego, co się dziś uważa za placówkę naukową. Był to zbiór ludzi inteligentnych, którzy znali się na urbanistyce i starali się ją stosować w warunkach socjalizmu i zauroczenia Corbusierem. Ale nie bardzo wiedzieli, na czym polegają badania naukowe. Nie rozumiano różnic między badaniami a projektowaniem. Na czele stał Adam Kotarbiński, architekt, syn wielkiego Tadeusza Kotarbińskiego, przesiąknięty filozoficznymi ideami ojca i domową atmosferą dyskusji. Ale był antytezą dyrektora instytutu, gdyż nie umiał zdefiniować celów, jakim ta instytucja ma służyć. Po paru latach został zastąpiony przez Bolesława Malisza. Bolek wykazywał znacznie lepsze przygotowanie do tej funkcji, jednak nie dysponował odpowiednimi ludźmi. Żeby Instytut stał się instytutem, należałoby dokonać wielkiej operacji wykształcenia pracowników, którzy zasługivaliby na miano naukowych. Ale to było nierealne.

Instytut dzielił się na dwie części – architektury i urbanistyki. Mnie ciągnęło do urbanistyki, ale nie bardzo mieli kim obsadzić część architektoniczną i mnie do niej przypisali. Musiałem poszukać tematyki, którą się chciałem zajmować. Poszedłem torem rozpoczętym moją książką o harmonogramach budowy. Następnymi krokami były książki o planowaniu budowy osiedla, miasta i w końcu o programowaniu budownictwa w skali regionu. Wchodząc do instytutu naukowego, musiałem też zacząć myśleć o swojej karierze.

Jeśli chciałem odgrywać jakąkolwiek rolę, musiałem zdobyć kolejne stopnie naukowe, zaczynając od doktoratu. Modna wówczas była typizacja w budownictwie. Postanowiłem się nią zająć.

Ale najważniejsze dla mnie wydarzenia rozwijały się na innej płaszczyźnie. Znalazł się kandydat na zakup domu w Zarybiu! Chęć zgłosili adwentyści. Jako Kościół nie podlegali obowiązkowi kwaterunkowemu. Mogli swobodnie dysponować swoją nieruchomością. Chcieli stworzyć seminarium duchowne i szkołę. Potrzebowali więc budynków wolnych od lokatorów. Przy akcie notarialnym dali nam jedynie dość skromną zaliczkę. Pozostałą sumę mieli wypłacać sukcesywnie, w miarę otrzymywania poszczególnych pokoi. Za każde wolne pomieszczenie ustaliliśmy cenę.

A termin był bardzo krótki. Już zaczynała się wiosna, a oni we wrześniu chcieli uruchomić szkołę! Dom i folwark zamieszkiwały 22 rodziny. Należało je wyprowadzić za obopólną zgodą. Więc trzeba było każdemu zorganizować życie na nowo. Oczywiście za nasze pieniądze. Musiałem się tym sam zająć. Wziąłem bezpłatny urlop na pół roku, przeprowadziłem się do Zarybia i zająłem się urządzaniem życia tych ludzi. Nie było to łatwe. Lokatorzy wiedzieli, że mamy pieniądze i że musimy ich przesiedlić. Więc wymagania finansowe rosły – w końcu dostali więcej pieniędzy, niż zostało dla nas.

Najstarszej rodzinie fornalskiej, która współtworzyła Zarybie, Ojciec dał działkę i pieniądze na wybudowanie domku. Inni wzięli pieniądze i sobie poszli. Najgorzej było z inteligentami, których Matka przyjęła do domu jako przyjaciół. Przez kilka lat użytkowali dom w sposób kulturalny, ale jak doszło do pieniędzy, to sytuacja się zmieniła. Mało kto chciał zawrzeć z nami jakieś rozsądne porozumienie i szukał kompromisu. Większość chciała jedynie dostać jak najwięcej. Ale do września przekazaliśmy prawie cały dom pusty. Tylko z dwoma lokatorami nie mogliśmy dojść do ładu i pozostawiliśmy ich adwentystom, rezygnując z pieniędzy za te pokoje.

Musieliśmy też zlikwidować cały dom. Tylko niewiele ze swoich mebli mogliśmy zmieścić na Gimnastycznej. Resztę trzeba było sprzedać, ale w większości po prostu rozdać, bo nikt nie chciał kupować. I dziś, gdy myślę o tamtych czasach, to uderza mnie, jak mało przywiązywaliśmy wagi do posiadania rzeczy materialnych. Rozdawałem lekką ręką przedmioty cenne, które należały do naszej rodziny już wiele lat, a nawet pokoleń. Ale wtedy to było naturalne. Ceniło się życie i możliwość egzystencji, a nie posiadanie takiego czy innego antyku. Tak wiele straciliśmy przez bomby, powstanie i rabunki, że gdyby żałować tych strat, to trudno by było ów czas w ogóle przeżyć.

Równolegle musieliśmy budować dom w Warszawie, aby Rodzice mieli się gdzie przenieść. Na Gimnastycznej był już dach, ale należało wykończyć wnętrze. A materiałów brakowało. Ich zdobycie wymagało ogromnego wysiłku, który spadał na mnie. Mieliśmy też kłopoty finansowe. Wzięliśmy kredyt, ale on pokrył jedynie trzecią część wydatków. Pozostałe środki musieliśmy zdobywać. Niby miały pieniądze wpływać z Zarybia, jednak synchronizacja terminów wydatków i dochodów nie była łatwa. Ciągłe balansowaliśmy na krawędzi, a nie było wówczas ludzi tak majątnych, żeby mogli pożyczyć.

Najgłębszy kryzys mieliśmy pod koniec 1959 roku. Na koniec grudnia musieliśmy wypłacić dość dużą sumę, a pieniędzy brakowało. W dodatku właśnie kupiliśmy samochód. To było niebywałe wydarzenie, trochę przypadkowe. Ojciec, wykorzystując swoje kontakty automobilowe, zapisał się na zakup škody i został umieszczony na liście. Stanowiło to duży sukces. Ale nagle zdarzyła się okazja kupienia wartburga. Ojciec nie chciał czekać, bo trudno mu było żyć bez samochodu. Kupił wartburga,

a mnie odstąpił swoje miejsce w kolejce po škodę. Odebraliśmy ją w listopadzie. Musiałem natychmiast zrobić prawo jazdy, bo przecież stare zniszczyłem. To była wielka radość, dzisiaj niewyobrażalna. Przeskok do innego życia. Jako jedni z pierwszych mieliśmy własny samochód.

I wtedy nadszedł kryzys. Konieczne są pieniądze na budowę, a nie ma ich skąd wziąć. Trzeba więc sprzedać samochód! Ten wymarzony, który spadł nam z nieba! Frustracja kompletna, ale rady nie ma. Uratował nas Ojciec Danki, sprzedając swoją działkę w Podkowie. Postanowił się podzielić tym dochodem z córkami. Nie były to duże pieniądze, ale nas uratowały.

Mieszkaliśmy nadal na Spasowskiego, czekając na wykończenie Gimnastycznej. Dzieci rosły. Joanna po operacjach czuła się dobrze. Stawała się bardzo rezolutną dziewczynką, maszerując do szkoły na Drewnianą. Michał zaczął swoją karierę przedszkolną w przedszkolu prywatnym na Raszyńskiej. Zapisaliśmy go tam ze względu na nasz nowy adres. Odbierałem go codziennie samochodem.

Znajomi śmiali się z nas, że wyprowadzamy się poza miasto, na prowincję. Rzeczywiście, wówczas Gimnastyczna była poza miastem. Chodził do niej tylko podmiejski autobus z MDM. Dojeżdżało się brukowanymi, wąskimi drózkami dawnego fortu. Do rogu Raclawickiej dochodziła jeszcze bocznicą kolejowa, był tam skład węgla i koks, który się kupowało do pieca centralnego ogrzewania. Na terenie obecnej Wołoskiej mieszkała stara kobieta z krową, która pasła się na poboczach dróg i dostarczała mleka. W połowie Gimnastycznej miał swoją norę dziki królik, bardzo lubiący kicać sobie wzdłuż drogi. A pewnej zimy, gdy już tam mieszkaliśmy, rano zobaczyłem całe stadko kuropatw, które przyleciały w poszukiwaniu jedzenia.

Cieszyliśmy się swoim domem. Trzeba go było jedynie wykończyć. Pierwsi przeprowadzili się Rodzice. W środku zimy, z przygodami, bo stara ciężarówka, którą udało wynająć, utknęła w błocie w Otrębusach. My wprowadziliśmy się na Wielkanoc 1960 roku. Kłopotów było co niemiara. Zgodnie z przepisami powinniśmy byli oddać miastu mieszkanie bez żadnych korzyści, mimo że za nie słono zapłaciliśmy poprzednim lokatorom. Należało coś wymyślić. Przeprowadziliśmy bardzo złożoną operację fikcyjnej wymiany z adwentystami, którzy kupili Zarybie. Udało się. Mieliśmy więc pieniądze na wykończenie wnętrza.

Ale wprowadzaliśmy się do pustych ścian. Wszystkie ubrania leżały na przecieradłach na podłodze, bo nie było szaf. Większość przywiezionych rzeczy nie wyszła z pudeł przez najbliższe dwa lata. Ale dom był wielki, wspaniały i przede wszystkim własny!

Rok 1958 przyniósł jeszcze jedno wydarzenie, które wpłynęło na bieg naszego życia. Poznaliśmy Magdę i Dankę Gotowskich. Ta znajomość rozwinęła się w wielką przyjaźń i stałe kontakty. Danek miał nieprawdopodobną zdolność do łączenia

ludzi, nawet o skrajnie różnych poglądach. I dlatego zawsze wokół niego kręciło się mnóstwo niezwykle interesujących osób. Był niesłychanie tajemniczy. Nikt nie wie, jak się naprawdę nazywał, skąd pochodził ani kiedy się urodził. Wszystkie tajemnice zabrał ze sobą do grobu. Pochodził ze wschodniej Polski. Kiedy się urodził, nie wiadomo. Według dowodu w 1928 roku, ale na pewno był starszy. Został wywieziony z Ojcem przez Sowietów, aż gdzieś pod Stalingrad. Ojciec zaginął, a on przez kilka miesięcy wracał do Lwowa. Tam działał w podziemiu. Po wojnie wylądował we Wrocławiu. Studiował. Siedział w więzieniu. Zesłano go do karnej kopalni.

Ożenił się z córką znanego poznańskiego prawnika o zdecydowanie endeckich poglądach, Bohdana Winiarskiego, który w latach sześćdziesiątych był prezesem Międzynarodowego Trybunału Sprawiedliwości w Hadze. W Warszawie Dankowie mieszkali na Żoliborzu. Byliśmy tam częstymi gośćmi. A potem, w rok czy dwa po nas, przenieśli się na Mokotów, na sąsiednią uliczkę. Teraz mieliśmy już prawie codzienny kontakt. Spotykaliśmy się wieczorami, aby grać w kanastę i dyskutować o wszystkim. Danek miał kontakty z całą Warszawą i wiadomości na każdy temat. To była dość dziwna przyjaźń, bo właściwie byliśmy – Danek i ja – bardzo różni. On otwarty i zaangażowany w sprawy polityczne, ja znacznie bardziej zamknięty, nastawiony na sprawy techniczne i pragmatyczne. O wiele bliżej mu było do Danki, z którą miał świetny kontakt. Ta przyjaźń miała wielki wpływ na nasze losy.

Nowy dom stwarzał warunki do kontaktów towarzyskich. Mogliśmy prowadzić życie bardziej otwarte. Rodzice mieszkali za ścianą, ale całkowicie samodzielnie. Byliśmy na swoim, a w pobliżu zamieszkało kilka znajomych rodzin. Czasem przyjęcia przeciągały się na parę dni, w ciągu których odwiedzaliśmy się wzajemnie kolejno w kilku domach – jak się śmiałyśmy – w opłotkach. Obok nas zamieszkali Poniżowie i Wędrychowscy. A jeśli jeszcze dorzucić Gotowskich, to cztery domy w odległości zaledwie kilku minut jeden od drugiego stanowiły dobrą bazę. Komunikacja się poprawiała, taksówki zaczęły funkcjonować, pojawiły się pierwsze samochody wśród znajomych, więc przyjęcia bywały huczne i wesołe.

W latach wcześniejszych nasze kontakty towarzyskie były kontynuacją znajomości z lat przedwojennych. Ale stopniowo zaczęły się uwypuklać różnice zapatrywań i wartości. Wielu naszych znajomych wykazywało jedynie zainteresowanie własnymi dochodami, podporządkowując im swoje postępowanie. W pewnym momencie Danką przecięła te kontakty. Dobrze na tym wyszliśmy. Wielu dawnych znajomych wtopiło się w istniejący system, odchodząc zupełnie od wartości, które były dla nas cenne. Na Gimnastycznej nawiązaliśmy nowe znajomości. Oprócz Danków Gotowskich do tego grona weszli Lesiowie Małachowscy, Julkowie Rogozińscy, Stefanowie Bratkowscy, Andrzejowie Sicińscy, Prączyńscy, Dorota i Duszan Poniżowie, Wędrychowscy, Tadeusz de Virion wraz ze swą pierwszą żoną, Zosia i Marysia Pelczar oraz Tadeusz Łodziana. Trudno wyliczyć wszystkich.

Z pewnymi osobami los związał nas bliżej. Pamiętam Krysię Małachowską, z którą dobrze się nam tańczyło. Jednego dnia powiedziała, że coś się z nią dzieje, bo jak sadziła kwiatki w ogrodzie, to nie mogła ich sadzić równo, wzdłuż jednej linii. Tak zaczęła się choroba (stwardnienie rozsiane), która powoli ją paraliżowała przez następne 30 lat. Próbowali z tym dramatem walczyć, niestety, bez sukcesu.

W centrum naszego zainteresowania ciągle pozostawały Tatry. Odwilż polityczna doprowadziła do ułatwień w przekraczaniu granicy.

Zaczęliśmy chodzić na Słowację, ale trzeba było z wyprzedzeniem rezerwować miejsca w schroniskach, co nigdy nie jest przyjemne, bo odbiera tę swobodę, która stanowi jedną z największych atrakcji włości górskiej. W 1958 roku zorganizowaliśmy kilkudniowy wypad, szwendając się między Staroleśną i Kaczą a Kieżmarską. Owocem tej wyprawy była nowa znajomość. Pod Łomnicą poznaliśmy Magdę i Jurka Jasińskich, z którymi potem spędziliśmy wiele czasu i w Warszawie, i w Tatrach. Szczególnie wbił mi się w pamięć wspólny dzień spędzony z nimi już w Polsce, w Dolinie Olczyskiej, na jedzeniu rydzów. Tam jest ich takie zatrzęsienie (tylko trzeba wiedzieć, gdzie szukać), że zbieraliśmy je koszami, potem smażyliśmy na kocherze i zjadaliśmy. Jak się skończyły, to szło się po następne. Skutek był oczywisty – chorowaliśmy przez trzy dni – ale było fajno!

Samochód wniósł w nasze życie ogromne zmiany. Mogliśmy się łatwo przemieszczać po Warszawie i zupełnie inaczej organizować wakacje. Już w 1959 roku wywieźliśmy dzieci do Kołobrzegu. Spędziliśmy z nimi kilka dni, a potem zrobiliśmy pierwszą w życiu wycieczkę z namiotem wzdłuż wybrzeża aż do jezior mazurskich. Parę lat później wybraliśmy się we trójkę z Hanką na zwiedzanie Dolnego Śląska i jego zamków. Podróż zakończyła się awarią samochodu. Škoda miała z tyłu poprzeczny resor. Pękł w nim jeden z pałków, czego nikt nie zauważył, a on powoli wysuwał się z uchwytów. Aż się wysunął całkowicie w drodze powrotnej do Warszawy. Rozjechanie się resoru spowodowało zerwanie przewodów hamulcowych. Gdy właściciel warsztatu wprowadzał samochód na miejsce przeglądowe, zgasł silnik i auto, pozbawione hamulców, stoczyło się bezwładnie do tyłu. Nic się poważnego nie stało. Tylko widok był niesamowity, bo otworzył się kufer, a z niego wystrzeliło w powietrze kilkadziesiąt rolek papieru toaletowego. Socjalizm nie mógł pokonać progę produkcji tego papieru. Nigdy nie można go było dostać. A nam się trafiło właśnie w jakiejś małej miejscowości. Kupiliśmy tyle rolek, ile się dało napchać do kufra. Gdy bagażnik się otworzył, wszystkie wystrzeliły w powietrze. Nie wiedzieliśmy, czy bardziej się przejmować samochodem, czy też bardziej śmiać się z tego widoku.

Wchodząc do Instytutu po powrocie z wakacji, natknąłem się na swego szefa Roberta Tauszyńskiego. „Czy mówisz po francusku?” – zapytał mnie. Odpowiedziałem, że nie, zgodnie ze swym najlepszym przekonaniem. „A to szkoda. Myślałem, że mówisz, i zgłosiłem twoją kandydaturę na stypendium we Francji”. Zupełnie

mnie zatkało. Takiej okazji nie wolno było przegapić. Gdy tylko odzyskałem głos, zacząłem głośno krzyżeć, że świetnie znam ten język. Poczułem się urodzonym frankofonem.

Była to częściowa prawda. W dzieciństwie w domu uczyłem się dwóch języków: niemieckiego, jako języka techniki, i francuskiego, jako języka kultury. Niemiecki przydał się w okresie okupacji, a francuskiego nie używałem przeszło 20 lat. Ale miałem mocne podstawy, więc zacząłem uruchamiać ten język. Przy każdej okazji i nawet bez okazji mówiłem do siebie po francusku, by przypominać sobie różne słowa. Szczególnie efektywne okazały się monologi podczas golenia rano. Okazało się, że słówka wracają – uruchomienie języka było względnie łatwe. Bez problemu przeszedłem wstępny egzamin w ambasadzie francuskiej i bardzo sympatyczni egzaminatorzy przyznali mi dodatkowo trzy miesiące stażu wstępnego na doszlifowanie języka. Szczególną atrakcją było to, że miałem ten okres spędzić w Paryżu, a nie w jakimś centrum na prowincji. A więc szykowałem się pełny rok w Paryżu!

Wymagało to jednak ogromnego wysiłku ze strony całej rodziny. Stypendium było śmiesznie małe – 800 franków miesięcznie, czyli około 150 dolarów. Za te pieniądze miałem się utrzymać, opłacając koszty mieszkania. Francuzi taką wysokość ustalili w założeniu, że stypendium ma pokryć jedynie różnicę kosztów utrzymania we Francji i w rodzinnym kraju. Stypendyści z innych krajów otrzymywali również diety od swoich rządów i pełne pensje w rodzinnych instytucjach, które ich delegowały. Tymczasem nam nie tylko nic nie dopłacano, ale jeszcze potrącano połowę pensji wypłacanej w Polsce, uznając przyznanie stypendium za wielki zysk i prestiż.

Powstał więc problem, jak ja mam się utrzymać we Francji za równowartość stu kilkudziesięciu dolarów, a także jak ma się utrzymać Danką z dziećmi w Polsce za swoją niewielką pensję z Politechniki i jedynie pół mojej, bez moich dodatkowych zarobków. Przecież nawet z moimi pełnymi dochodami z trudem wiązaliśmy koniec z końcem. Jednak szansa była tak wielka, że nie zastanawialiśmy się nad tymi problemami. Jakoś to będzie.

W tym okresie rozwiązał się problem pracy Danki. Od dłuższego czasu rozglądaliśmy się już za czymś ciekawym i satysfakcjonującym. Ni stąd, ni zowąd redaktor Szulc zaproponował jej współpracę w tworzonej właśnie komórce wydawniczej w nowym Międzyuczelnianym Zakładzie Podstawowych Problemów Architektury, Urbanistyki i Budownictwa, którego dyrektorem został znany architekt Bohdan Pniewski. Pieniądzy dużych nie oferował, ale atrakcją było środowisko i sama praca. Mieli wydawać prace naukowe z dziedziny architektury i urbanistyki. Studia dziennikarskie Danki bardzo się więc przydały. Instytut był zlokalizowany w willi Pniewskiego, położonej w parku na skarpie warszawskiej. Danką zaczęła tam jeździć i bardzo jej ta praca odpowiadała. Gdy więc pojawiła się możliwość mego wyjazdu do Francji, miała już stałą pracę.

Wyjazd był planowany na połowę czerwca. W początkach czerwca wyjechaliśmy z obojgiem dzieci całą czwórką z namiotem nad Wigry, żeby ostatnie dni spędzić razem przed tak długim rozstaniem. Spaliśmy w namiocie, pływaliśmy po jeziorze, słońce świeciło – było cudownie.

Ale w tamtym ustroju nie mogło być za dobrze. Po powrocie do Warszawy spadł grom z jasnego nieba: dostałem odmowę paszportu! Oczywiście bez żadnych wyjaśnień. Nie ma i nie będzie! Rozpacz kompletna. Utrata tak wspaniałej szansy. Dziś trudno sobie nawet wyobrazić, co to wtedy znaczyło. Wyjazd zagraniczny to było marzenie wszystkich. Miałem już 38 lat i poza jedną wycieczką przed wojną z Rodzicami do Włoch i naszą wizytą z Danką w Londynie nigdy nie byłem za granicą. I co gorsza, nie miałem żadnej nadziei, że kiedykolwiek pojedę.

Odmowa paszportu była widocznym sygnałem, że jestem ciągle na czarnej liście, że władza nie ma do mnie zaufania, a tym samym że wszyscy, którzy są z władzą związani, też powinni się do mnie odnosić z rezerwą. Krajem rządziła przecież partia, która wszędzie miała swoje komórki. Sygnał, że ktoś jest politycznie podejrzany, był natychmiast odnotowywany przez lokalnych partyjnych. Oznaczało to, że nie tylko nie mogłem marzyć o jakimkolwiek awansie, ale i byłem eliminowany z bardziej interesujących prac badawczych, odsuwany od udziału w konferencjach, nie mówiąc już o kontaktach z gośćmi z zagranicy. System działał w sposób kompleksowy. Instytutem zarządzał z drugiego rzędu architekt Bronisław Kulesza. Nie wiem, jaki był jego związek formalny ze służbami, ale z pewnością bardzo bliski. Natychmiast zadziałał. Przy najbliższej okazji pozbawiono mnie premii i wpisano znowu na czarną listę. Jednak znajdowali się ludzie przyjaźni. Za stypendia odpowiadała w urzędzie przemiała pani Kierska. Wobec odmowy paszportu musiała zawiadomić Francuzów. Ale nie skreśliła mnie z listy, co powinna była zrobić, tylko przesunęła stypendium na dalsze lata, tłumacząc, że właśnie teraz nie mogę wyjechać. Dała mi czas. Wielka szansa, tylko jak ją wykorzystać?

Złożyłem odwołanie do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych bez wielkich nadziei. Jednak po pewnym czasie zostałem wezwany na rozmowę do szefa gabinetu ministra, pułkownika Jańca. Już samo wejście do wielkiego gmachu przy Rakowieckiej było przeżyciem. Gmaszysko ciężkie i ponure. Kontrole, warty z bronią i kilometrowe korytarze, windy, schody, zakręty. Gdzieś mnie prowadzili i myślałem sobie, że gdybym nawet chciał stąd uciec, to nie znalazłbym drogi do wyjścia. Pułkownik był całkiem sympatyczny. Wysłuchał mojej historii, powiedział, że sprawę rozpatrzy i da mi znać. Może za rok będę mógł pojechać. Dobrze było mieć nawet taką mglistą nadzieję.

Wróciłem do codziennej pracy. Zwiększyłem jej tempo, żeby nie mieć czasu na rozdrapywanie ran. W Instytucie atmosfera wokół mnie stała się paskudna. Spychano mnie na boczny tor. Byłem już w ostatniej fazie swego doktoratu. Zrobiłem wysiłek, aby go doprowadzić do końca skoncentrowanym uderzeniem. Moja praca

dotyczyła wpływu ówczesnej typizacji na ceny i koszty budownictwa. Typizacja polegała głównie na opracowywaniu projektów budynków, które uznawano za typowe, i ich reklamowaniu. Te projekty ułatwiały procedury uzyskiwania zezwoleń na budowę, ale nie wносиły żadnej nowości w sam proces budowania. Postawiłem więc tezę, że ówczesna typizacja nie miała żadnego wpływu na obniżenie kosztów. To się spodobało aktualnym dyrektorom z ministerstwa, którzy właśnie objęli stanowiska i byli w fazie krytykowania swoich poprzedników. Kiedy kilka lat później chciałem powtórzyć badanie, to zakazano mi tego, gdyż w praktyce nic się nie zmieniło, ale już wtedy oni ponosiliby za to odpowiedzialność.

Jesień poświęciłem na zbieranie danych. A w lutym pojechaliśmy z Danką na dwa miesiące do Zakopanego. Nasi przyjaciele mieli mały, piękny domek na Gubałówce. Oddali nam go do dyspozycji i tam zakopaliśmy się w śniegu, aby pracować. Ja siedziałem i pisałem całymi dniami. Pisało się wtedy ręcznie i teksty kleiło się z tekstów na różnych kawałkach papieru. Danka prowadziła gospodarstwo. Dwa razy na tydzień szła na dół na targ, żeby przynieść żywność. A w wolnych chwilach przepisywała moje teksty na maszynie. Później, gdy się trochę ociepliło i było mniej śniegu, to mieliśmy dużą część zaopatrzenia na miejscu. Pod samym domkiem biegła ścieżka, którą kobiety z Dzianisza szły do Zakopanego, niosąc mleko, sery i inne produkty. Cieszyły się, kiedy mogły chociaż część sprzedać po drodze.

Po dwóch miesiącach wracałem do Warszawy z gotowym tekstem. Moim promotorem był profesor Kaczorowski, bardzo miły i kulturalny starszy pan. Wywodził się z przedwojennej lewicującej inteligencji i w pierwszym rządzie powojennym został ministrem odbudowy kraju.

Władzom chodziło o podkreślenie ponadpartyjnego charakteru rządu. Później został dyrektorem Instytutu Budownictwa Mieszkaniowego, był też profesorem ekonomiki budownictwa na Wydziale Architektury. Zaopiekował się mną z dużą sympatią. Dzięki niemu mogłem pracę bronić na architekturze, bo w innym przypadku miałbym kłopoty ze znalezieniem dobrego miejsca. Pracę obroniłem w 1963 roku, na jesieni.

W tym czasie zmieniliśmy samochód. Škoda była dobra, ale zaczynała szwankować, a ja nie miałem zdolności do majsterkowania ani tego nie lubiłem. Zawsze traktowałem samochód jako narzędzie, które ma jeździć i nie robić kłopotu. A ówczesne samochody kłopoty robiły. Były one w miarę niezawodne tylko przez kilka pierwszych lat swego istnienia. Dlatego samochody musiało się zmieniać co kilka lat. Sprzedaliśmy škodę, kupiliśmy trabanta, bo na więcej nie było nas stać. Trabant niespodziewanie stał się samochodem rajdowym Danki.

Danka dotrzymała obietnicy wycofania się ze wspinaczek. Ale okazało się, że jej temperament wymaga mocnych wrażeń. Zaczęła jeździć na rajdy. Jej pilotem został Witek Grabowski, student, bardzo z nami zaprzyjaźniony. Znakomicie prowadził i potrafił dobrze Dankę podszkolić, a okazało się, że Danka ma talent. Zaczęła odnosić sukcesy, i to w konkurencji z silniejszymi samochodami. Jej konkurencją popisową była próba szybkości ze startu stojącego. Danka potrafiła tak szybko swego trabanta rozpedzić, że pobiła nawet volkswagena. Po paru startach zdobyła uprawnienia sportowe pozwalające startować w rajdach już zawodowych. Potrafiła nawiązać do tradycji mojej automobilowej rodziny. Niestety, ten epizod nie trwał długo. Mój wyjazd zmusił ją do przejścia pozycji głowy rodziny i zajęcia się ogromną liczbą spraw związanych z domem i dziećmi. Poza tym nie było pieniędzy na sport.

W 1963 roku zatelefonowałem do pułkownika, od którego nie miałem żadnych sygnałów. Powiedział mi, że MSW nie ma do mnie zastrzeżeń i mogę jechać. Miałem z nim dłuższą i nawet dość przyjazną rozmowę. Powiedział wprost: „Myśmy pana obserwowali. I mamy dla pana uznanie. Inni to by się skarżyli, a pan zrobił doktorat”. Ojciec mówił mi zawsze: „Nie patrz na innych, rób swoje”. I rzeczywiście trzeba robić swoje, aby być gotowym, gdy zaistnieje możliwość. Ta filozofia stała się moją przewodnią linią postępowania.

Informację od pułkownika przekazałem w Instytucie, ale spotkało się to z niedowierzaniem. W październiku na specjalne życzenie partyjnego dyrektora Instytutu, Bronisława Kuleszy, zwróciłem się jeszcze raz do pułkownika Jańca o potwierdzenie braku zastrzeżeń na piśmie. Dostałem śmieszne pisemko, że MSW stwierdza, iż mogę się ubiegać o paszport. Ale to nie wystarczyło w Instytucie, bo oni wcale nie chcieli mi ułatwić życia. Uznali, że to pismo nic nie mówi, bo przecież każdy może się ubiegać o paszport. Rozmawiam więc kolejny raz w MSW, które potwierdza, że nie zgłaszają sprzeciwu, ale ponieważ nikt ich się nie pyta, więc nic nie piszą. Stypendium jest przyznane i w każdej chwili można je uruchomić. Ale potrzeba odpowiedniego sygnału z Komitetu Urbanistyki i Architektury jako urzędu nadzorującego Instytut. Kierownictwo Instytutu jednak boi się wystąpić, bo nie chce ryzykować, że partia czy UB obwinia ich o brak czujności partyjnej. A poza tym mnie nie lubią. Pat absolutny. Bezpieka nie sprzeciwia się, ale MSW tego nie pisze, bo nikt ich nie pyta. A Instytut nie pyta, bo się boi i nie bardzo chce. Był to przykład, jak ograniczenia narzucone przez system są pogłębiane przez poszczególnych ludzi na samym dole. Strach przed jakąkolwiek decyzją i rozgrywanie osobistych fobii i interesów wprowadzały dodatkowe bariery. Starłem się jakoś odblokować swoją sprawę i wyrwać z tego pata ogólnego strachu i niemożności. W końcu się udało. Ktoś zatelefonował, ktoś odpowiedział i wreszcie pojechałem w lipcu 1964 roku. Dwa lata opóźnienia.

Wielokrotnie zastanawiałem się nad przebiegiem tej historii. Po co mnie wstrzymywali, jeśli potem zgodzili się na wyjazd, niczego ode mnie nie żądając? Nie było żadnych nacisków dotyczących współpracy, żadnej presji. Wydaje się, że mieli już ze mną wystarczające doświadczenia, z których wynikało, że na żadną współpracę się nie zgodzę.

I chyba z niej zrezygnowali. O powodach tej całej gry dowiedziałem się później. Mianowicie w moich aktach był list podsekretarza stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, Antoniego Alstera, który na prośbę posła Łubieńskiego interweniował w mojej sprawie w 1958 roku. W międzyczasie nie tylko stracił on swoje stanowisko, ale też został uznany przez partię za wroga i całkowicie usunięty na margines. Kiedy znaleźli w moich aktach jego list, od razu uznali mnie za jego człowieka i do mojej złej reputacji dodali nowe minusy. Zabrało im dwóch lat, aby sprawdzić, czy nie mam z nim dalszych kontaktów i czy razem nie knujemy jakiegoś spisku przeciw partii i socjalizmowi.

Spędziłem rok w Paryżu. Mieszkałem w stacji PAN na rue Lauriston. Było to dziwne miejsce. Przyjeżdżali tu naukowcy, zawsze bez pieniędzy. Ten brak pieniędzy strasznie upokarzał, trzeba było jednak do niego jakoś się przystosować. Początkowo miałem 800 franków na miesiąc. Po pół roku załatwiłem sobie podwyżkę do 1000. Ale to były grosze. Prowadziliśmy bardzo oszczędny tryb życia, przede wszystkim organizowaliśmy sobie najtańsze jedzenie. Niektórzy szli, jak to się mówi, na całego. Był jeden docent, który przez weekendy w ogóle nie jadł, leżał przykryty gazetami, żeby nie tracić energii. A ja musiałem z tych pieniędzy wygospodarować jeszcze trochę na handel! Trzeba było podtrzymać budżet domu w Warszawie, więc kupowałem skarpetki czy damską bieliznę na targu i Danką sprzedawała to w komisach warszawskich. Obrzydliwe, ale nie było wyjścia.

Po przyjeździe skierowali mnie na letni kurs języka francuskiego przy Sorbonie. Kurs trwał dwa miesiące. We wrześniu wysłano mnie do Alliance Française, i to na najwyższy, piąty poziom. Mówiłem dość biegle, co robiło dobre wrażenie, znacznie lepsze od mojej rzeczywistej znajomości języka. Lekcje w dzieciństwie dawały rezultaty po kilkudziesięciu latach. W październiku poszedłem na roczny kurs urbanistyki do Centre de Recherches d'Urbanisme. Ukończyłem go i do Polski wróciłem ze szkicem swojej rozprawy habilitacyjnej, w której przedstawiałem inne spojrzenie na planowanie miast. Byłem przeciwny widzeniu go w kategoriach projektowania miasta, zgodnie z podejściem architektonicznym. Uważałem, że traktowanie miast jako statycznych obiektów nie może prowadzić do dobrych rezultatów, że rolą planowania jest tworzenie podstaw do sterowania dynamicznym procesem rozwoju. Było to podejście całkowicie inne od klasycznego spojrzenia na rolę architekta jako projektanta budynków. Różniłem się w tej sprawie również z profesorem Canaux, kierownikiem studium we Francji. On uważał, że uwłacza pozycji architekta pla-



Paryż, ulica Foyatier w dzielnicy Montmartre. lata 60.
Fot. Niderlandzkie Archiwum Narodowe

nowanie procesu, a nie tworzenie wielkich wizji i wielkich projektów. Sądził, że w Polsce, jako kraju socjalizmu i koncentracji wszystkiego w rękach państwa, istnieją najlepsze warunki, aby te wizje realizować. Intelktualiści zachodni nigdy nie pojęli, na czym rzeczywiście socjalizm polegał i dlaczego musiał upaść.

Ale najważniejsze dla mnie to było poznanie innego świata. Innej kultury i innej organizacji państwa. Prowadziliśmy życie studenckie, mimo że miałem już 40 lat. Ale takie życie pozwalało na bliższe poznanie kraju i ludzi. Nie mieliśmy pieniędzy, więc wykorzystywaliśmy różne darmowe przywileje francuskich studentów. Chodziliśmy do restauracji na lampkę wina, żeby robić tłok. Chodziliśmy do opery na najwyższy balkon, z którego mało co było widać, czy na rewię mody. Chcieliśmy widzieć wszystko i wszystkiego posmakować. Danka przyjechała do mnie dwukrotnie na kilkutygodniowe pobyty. Kupiliśmy starego volkswagena i na zakończenie stypendium zrobiliśmy dwutygodniowy objazd Francji – przez Alpy, Lazurowe Wybrzeże, brzegi Atlantyku i Bretanię.

W pełni zapału i z samochodem załadowanym nieprawdopodobną liczbą rzeczy wracaliśmy do Polski. I wierzyliśmy, że ona się zmieniła. Chciałem rozwinąć swoje koncepcje. Próby wykorzystania elementów ekonomii czy nawet prostego kosztorysowania w planowaniu były na pewno potrzebne. Ale mogły one mieć sens tylko wtedy, gdyby powiązano planowanie z działalnością władz miejskich i z inwestorami. Inaczej plany służyły tylko do zawieszenia na ścianach i pokazywania, jak to będzie wspaniale w przyszłości, nie zaś do tego, by kształtować politykę rozwoju poszczególnych miast. Ja tymczasem chciałem, aby planowanie miało sens i służyło praktycznemu działaniu. Większość moich kolegów zadowalała się jednak przyjemnością projektowania, nie interesując się realizacją własnych pomysłów. Między innymi na tym polegała odmienność postrzegania roli planowania przeze mnie i przez środowisko architektów wychowywanych w duchu twórczości, a nie realizacji inwestycji. To zróżnicowanie ukierunkowało moje zainteresowania i działania na następne 20 lat.

16.

**Urbanistyka i planowanie
– Marzec '68 – Propozycja UB
(1965-1970)**

Roczny oddech we Francji przyniósł efekty. Konfrontacja mojej wiedzy z urbanistami zachodnimi umocniła mnie w przekonaniu o własnej wartości. Intelktualnie nie byłem na pewno od nich gorszy. Brakowało mi jednak warsztatu badawczego i dostępu do międzynarodowego świata nauki. Uznałem więc, że moim priorytetem powinno być właśnie usunięcie tych braków. Dlatego wymogłem przeniesienie mnie do pionu urbanistyki i stworzenie zakładu, który miał się zająć problematyką ekonomiczną rozwoju miast i wprowadzeniem elementów ekonomiki do procedur planistycznych. Zostałem jego kierownikiem. To były sukcesy, ale i nowe wyzwania.

Funkcję dyrektora Instytutu nadal pełnił Bolesław Malisz, a ja wraz ze Stasiem Wyganowskim staliśmy się jego najbliższymi współpracownikami. Bolek stworzył wtedy nowatorską metodę planowania, opartą na stwierdzeniu, że miasto w swym rozwoju przestrzennym napotyka różnego rodzaju bariery, których pokonanie wymaga dodatkowych kosztów. Stąd planista powinien najpierw określić te progi, a potem tak planować rozwój, aby dało się je pokonać możliwie łatwo i tanio. Ta metoda była ciekawa i stała się znana również za granicą.

Jednak wkrótce uwidoczniły się różnice między tym, jak ja rozumiałem procesy rozwoju miast i wynikającą stąd rolę oraz zadania planowania urbanistycznego, a zasadami, które obowiązywały w środowisku architektów. Urbanistykę traktowano jako problem projektowy. Podejście do niej różniło się od podejścia do architektury tylko skalą. Architekt projektował dom, a urbanista miasto tak, jak gdyby jego budowa stanowiła jedno zadanie realizacyjne, takie samo jak budowa pojedynczego budynku.

Architekci nie rozumieli czynnika czasu. Projektowali obiekty stabilne, które miały trwać niezmienione. W odniesieniu do budynku jest to zrozumiałe. Budynek ruszać się nie może. Ale miasto jest przecież w ciągłej ewolucji i nieprzerwanie musi zapewniać dobre warunki życia. Uważałem, że jeśli planowanie miast ma spełniać swe zadanie, to trzeba wprowadzić do planowania właśnie element dynamiki i ewolucji. Chciałem, aby plany urbanistyczne nie były tylko planami określającymi zabudowę miasta, a więc jego obrazami, ale również planami działania władz miejskich, pokazującymi sekwencję decyzji, jakie powinny podejmować. Taka koncepcja nie mieściła się wszakże w mentalności architektów.

Pamiętam, jak jeden z kolegów powiedział, że może zaprojektować miasto, jeśli dowie się, czy będzie miało 50 czy 100 tysięcy mieszkańców. Odpowiedziałem, że ono najpierw będzie miało 50 tysięcy, a potem 100 i że trzeba tak je zaprojektować, aby w obu okresach funkcjonowało dobrze. Mój rozmówca orzekł, że to jest po prostu niemożliwe. Miasto ma być na określoną liczbę ludności, i kropka. Miasto było rozumiane jako obiekt stabilny i niezmienny! Tymczasem dla mnie rozwój miasta to proces, a zadaniem planowania jest kierowanie nim. Obok projektowania zabudowy konieczne jest stworzenie odpowiednich narzędzi prawnych i ekonomicznych. Tylko w wyjątkowych przypadkach budowy całkowicie nowych miast istnieje jeden inwestor, kierujący całością procesu. W ogromnej większości miast rozwój jest wynikiem działalności wielu inwestorów, którzy projektują swoje budynki niezależnie.

W tym czasie pojawiła się cybernetyka i teoria systemów. Byliśmy nimi zafascynowani i właśnie, wykorzystując tę ostatnią, zacząłem pracować nad modelem miasta jako złożonego systemu łączącego ludzi i ich działalność z zagospodarowaniem przestrzennym i organizacją społeczeństwa oraz gospodarki. Wtedy ukształtowałem sposób postrzegania miast jako sieci powiązań będących w stałym ruchu i ewolucji. I on pozwolił mi na rozwiązywanie w przyszłości złożonych problemów, z którymi musiałem się borykać.

Zbliżyłem się mocno do środowisk uniwersyteckich. Szukałem miejsca, gdzie mógłbym przedstawiać swoje myśli. Zaprzyjaźniłem się z Ryszardem Karłowiczem, który z Komitetu Urbanistyki przeszedł na Wydział Architektury. Prowadził podyplomowe studium urbanistyki, na którym starał się wprowadzić różne innowacje. Zaproponował mi współpracę i zacząłem prowadzić wykłady zlecone. Na Wydziale urbanistykę traktowano jak gorszą część architektury. Studenci, którzy lepiej rysowali, studiowali projektowanie architektoniczne. A ci gorsi w rysunkach szli na urbanistykę. Nikt tego głośno nie mówił, ale klasyfikacja była ewidentna.

W Instytucie moim bezpośrednim zadaniem było wprowadzenie do planowania elementów ekonomicznych. To bardzo mi odpowiadało. Chciałem, aby planowanie służyło praktycznemu działaniu. I stąd moja fascynacja skutecznością planowania.

Jako temat swojej habilitacji wybrałem właśnie ten problem. Starałem się wykazać, dlaczego nasze planowanie jest nieskuteczne. Rozprawę przedstawiłem na Wydziale Architektury, ale nie wpłynęło to w żadnym stopniu na korektę myślenia urbanistów, co mogłoby uchronić nasze planowanie od kompletnej katastrofy, jaka nastąpiła w latach dziewięćdziesiątych po przywróceniu praw rynku i ograniczeniu wszechobecności państwa. Moje wywody były tak odległe od utrwalonego sposobu myślenia profesury, że – jak sądzę – mało kto w ogóle zrozumiał, o czym mówię. Ale rozprawa została przyjęta z aplauzem.

Moja profesjonalna samotność była dla mnie poważnym obciążeniem psychicznym. Marzyłem zawsze, żeby mieć ukochanego profesora, do którego można by pójść i się wyplakać. Nigdy jednak nie miałem promotorów czy opiekunów, którzy by mi pomagali. Może to wynikało z faktu, że zmieniałem posady, zmieniałem dziedziny zainteresowań i zawody, ciągle odpyływałem z jednego środowiska do drugiego. Brakowało mi zespołu kolegów, z którymi się współpracuje, z którymi łączą wspólne cele i wspólne wartości. W różnych okresach swego życia starałem się takie zespoły tworzyć, ale nigdy nie okazały się one wystarczająco trwałe, aby przeżyć kolejne kryzysy.

Wtedy przygarnął mnie Michał Kaczorowski – promotor mego doktoratu i dyrektor Instytutu Budownictwa Mieszkaniowego. Zgodził się być opiekunem naukowym mojej habilitacji. Nastąpiły jednak nieoczekiwane problemy. Napisałem pracę i złożyłem prośbę do dziekana Wydziału Architektury o otwarciu postępowania. Profesor Kaczorowski prośbę tę poparł. Ale okazało się, że bezwiednie stworzyłem zagrożenie dla dziekana. Był nim wtedy docent Pałaszewski, który pracował w katedrze Kaczorowskiego i czekał na jego odejście na emeryturę, aby katedrę odziedziczyć. Potraktował mnie jak potencjalnego konkurenta, choć nawet mi przez myśl nie przeszło, aby wchodzić na Wydział. Pałaszewski nie miał wówczas habilitacji ani nawet części mojego dorobku. Zaczęły się trudności. Najpierw znaleźli, że na dyplomie doktorskim wypisano mi tytuł „inż. arch.”, podczas gdy byłem tylko inżynierem, a nie architektem. Wytoczono oskarżenie, że przywłaszczyłem sobie tytuł. Błąd powstał z winy wypisujących, którzy uznali, że doktor architektury jest automatycznie architektem. Dochodzenie trwało kilka miesięcy. Potem zażądano wymiany dyplomów doktorskich. Na szczęście wszyscy profesorowie, którzy podpisywali dyplom byli na miejscu. Powiedziano mi, że gdyby któryś z nich zmarł, to byłby pat absolutny.

Tylko dzięki zaangażowaniu profesorów Kaczorowskiego i Karłowicza sprawa nie utknęła na dobre u dziekana w biurku. Pałaszewski był dobrze umocowany partyjnie. Kaczorowski już odchodził na emeryturę i coraz mniej się z nim liczone. Ryszard też nie miał mocnej pozycji. Był Żydem, a to w tamtym okresie stanowiło obciążenie. Bardzo mnie wspierał, sam się przez to narażając. W końcu jednak sprawa

ruszyła, ale upłynęły dwa lata, zanim złożoną pracę wysłano do recenzentów. Ostatecznie dopłynąłem do celu w 1969 roku i zostałem jedynym, po odejściu Malisza, doktorem habilitowanym w naszym Instytucie!

W tym czasie miałem dziwne spotkanie, które wywarło później wpływ na historię naszej rodziny. Pewnego dnia, gdy przechodziłem przez bibliotekę Instytutu, zawołała mnie bibliotekarka. Przyszła jakaś anglojęzyczna rodzina, a ona nie знаła tego języka i prosiła o pomoc. Okazało się, że to rodzina amerykańskich profesorów z dwiema młodymi córkami, która jest przejazdem w Warszawie w podróży po Europie.

Bernie i Jewel Bellushowie z Nowego Jorku, Żydzi z korzeniami rodzinnymi w Polsce i sąsiednich krajach, byli tutaj pierwszy raz i nikogo nie znali. Nie znali też języka. Gdy szli Nowym Światem, jedna z dziewczynek przeczytała napis: „Instytut Urbanistyki i Architektury”. Skojarzyła znaczenie tych słów i powiedziała matce, że to przecież instytucja bliska jej specjalizacji naukowej. Weszli i spotkali mnie. Zupełny przypadek. Bernie był wysoki, mówił powoli, z namaszczeniem. Cieszył się ogromnym autorytetem. Był w wojsku amerykańskim i uczestniczył w lądowaniu w Normandii. Jego semicki wygląd jednoznacznie wskazywał na pochodzenie. Nie mógł się jednak nadziwić, skąd my wiedzieliśmy, że jest Żydem, i dlaczego ich zawiozłem do getta. Zaczęliśmy rozmawiać, zaprosiłem ich do domu i razem spędziliśmy trzy dni, które byli w Warszawie. Narodziła się przyjaźń, która przetrwała kilkadziesiąt następnych lat. Wyjeżdżając, zaprosili Joannę na Święta do Holandii. Była to dla niej wielka samodzielna wyprawa. Miała wtedy 16 lat. Po dwóch tygodniach wróciła pełna wrażeń z nieznanego świata.

Z Francji wróciłem do Instytutu i do normalnej pracy. Ale nastawienie do mnie naszych instytutowych wodzów partyjnych zdecydowanie się pogorszyło. Do zastrzeżeń politycznych doszła normalna ludzka zazdrość. Dlaczego ja, którego słusznie uważano za wroga systemu, uzyskałem stypendium, a oni, którzy ten system podtrzymywali, za granicą nie byli? Uważali to za absolutną niesprawiedliwość, mimo że nie mieli żadnych kwalifikacji na wyjazd. Mówili płynnie, ale tylko po polsku. O badaniach nie mieli pojęcia, mieli jednak władzę i w ich mniemaniu to powinno wystarczyć. Sytuacja pogarszała się w miarę wzrostu mojej pozycji naukowej.

Byłem jednym z nielicznych doktorów w Instytucie, w którym nikt nie miał habilitacji, więc gdy się do niej zbliżałem, zazdrość rosła. Dotykały mnie stale drobne szykany, jakieś plotki i posądzenia, które podrywały poczucie sensu pracy.

Jednak coraz trudniej było mnie zmarginalizować. Władze starały się wyprowadzić Polskę z izolacji i szukały możliwości nawiązywania kontaktów z zagranicą. Jednym z partnerów była Francja. Rozległe kontakty z Francją miała Halina Skibniewska, architekt i posłanka, żona Zygmunta, szefa Komitetu Urbanistyki i Architektury, który był osobą przodującą w środowisku urbanistycznym. Postanowiono zorganizować wizytę francuskich urbanistów w Polsce. Oczywiście przygotowanie

spadło na niedawnych stypendystów. Zadaniem tym obciążono głównie mnie. Miało to ten dobry skutek, że wydelegowano mnie na dwa tygodnie do Paryża, abym przeprowadził wstępne wykłady dla przyszłych uczestników. To było przyjemne, ale zorganizowanie całej wycieczki stanowiło bardzo skomplikowane i trudne przedsięwzięcie.

Otwarcie możliwości wyjazdów na Zachód stworzyło wiele nowości w różnych dziedzinach naszego życia. W 1966 roku pojechaliśmy po raz pierwszy samochodem na wakacje za granicę. Z Joanną i namiotem. Trasa przez Węgry nad Adriatyk nie była długa. Ale w ten sposób przełamaliśmy jedną z dotychczasowych barier.

Bolek Malisz wyjechał za granicę, więc z Instytutu odszedł ten, który mnie i Stasia potrzebował, ale i nas rozumiał. Dyrektorem został Janusz Zarzycki, dotychczasowy prezydent Warszawy, który stracił swoją pozycję polityczną. Miły, sympatyczny i inteligentny, lecz nie miał wiedzy czy umiejętności, które kwalifikowałyby go na dyrektora jednostki badawczej, nie bardzo też chciał się w cokolwiek angażować. Instytut dryfował.

Tymczasem sytuacja w kraju zaostrzała się coraz bardziej. Nadszedł rok 1968 i marcowy kryzys wywołany zdjęciem *Dziadów* oraz protestami studenckimi. Instytut Urbanistyki mieścił się przy Nowym Świecie na wprost pomnika Kopernika. Byliśmy blisko uniwersytetu i mogliśmy obserwować ataki „aktywu robotniczego” i oddziałów milicji. Huk petard, smród gazów, krzyki. Ale te wydarzenia były krótkotrwałe. Większe wrażenie sprawiła na mnie wizyta w gmachu głównym Politechniki, objętym strajkiem studenckim.

Wejścia do gmachu strzegła na zewnątrz milicja, a od środka straż studencka. Wszedłem jako pracownik Politechniki. Prowadziłem zajęcia na studium urbanistycznym, więc miałem legitymację. Obcych nie wpuszczano do gmachu. Było tam ponad tysiąc młodych ludzi. Sale wykładowe przekształcono w koczowiska. Wszędzie stały grupy studentów. Zażarcie dyskutowali, ale także się śmiali, dowcipkowali, jedli, gotowali. Byli pełni optymizmu i wierzyli, że ich akcja przyczyni się do zmiany systemu. Chodziłem, patrzyłem i serce się mi krajało. Nie ulegało przecież wątpliwości, że ten zryw młodzieży jest skazany na porażkę. System był zbyt silny, aby iść na jakiegokolwiek ustępstwa. Z własnych doświadczeń wiedziałem, że sprzeciwu nie znosi i że ci studenci mogą za swój protest ponieść przykre konsekwencje. Ja wiedziałem, co to jest więzienie i co znaczy przegrana. Czy oni też byli skazani jedynie na przegranie?

Studenci byli nie tylko otoczeni zewnętrznym kordonem – na pewno wśród nich znajdowało się wielu ukrytych agentów, którzy dysponowali łącznością i dokładnie informowali o tym, co się dzieje w budynku, co kto mówi i robi. Miałem poczucie, jakbym znajdował się na okręcie zmierzającym do katastrofy, a jednocześnie byłem pełen uznania dla tych młodych ludzi, którzy chcieli walczyć o lepszą przyszłość

dla kraju. Żałowałem ich, a zarazem byłem z nich dumny. Nie mogłem nic dla nich zrobić. Przecież uświadamianie im beznadziejności sytuacji oznaczało podrywanie ich wiary w przyszłość i byłoby na rękę władzy. Z kolei podtrzymywanie ich w opozycji mogłoby prowadzić do jakichś nieroztropnych akcji o dramatycznych następstwach. Wyszedłem z gmachu Politechniki załamany. Przyszłość widziałem czarno.

Rok 1968 stanowił też cezurę w sprawach dotyczących bezpośrednio mnie i mojej rodziny. Pierwszy przełom to moje wejście na pole działalności międzynarodowej, a drugi – kolejne operacje Joanny. Dwie zupełnie różne płaszczyzny wydarzeń, ale obie dotyczące nas bardzo. Te osobiste sprawy toczyły się na tle kryzysu politycznego i związanej z nim nagonki antysemickiej. Kilkoro z naszych znajomych stało się jej ofiarami. Do Kanady wyemigrowali Wojtowiczowie. Inni mieli kłopoty, ale pozostali w Polsce. W Instytucie nastąpiła zmiana dyrektora. Usunięto Zarzyckiego, bo nie znosili go ludzie ze środowiska Moczara. Na jego miejsce został powołany Stanisław Wyganowski, mój przyjaciel i partner. Objęcie przez niego tego stanowiska spowodowało, że nasza dotychczasowa współpraca naukowa musiała przyjąć inne formy.

Zupełnie nieoczekiwanie wydarzenia 1968 roku miały istotny wpływ na moje życie zawodowe. Rok wcześniej Bolesław Malisz, dyrektor naszego Instytutu, zaprosił mnie do udziału w pracach Grupy Roboczej, zajmującej się międzynarodową współpracą w dziedzinie badań urbanistycznych, która powstała w Genewie w ramach Europejskiej Komisji Gospodarczej ONZ (EKG ONZ). Bolek był zawsze szczery. Powiedział mi wprost, że on będzie jeździł na konferencje zagraniczne, a ja będę prowadził prace w kraju, przygotowując jego wystąpienia. Zgodziłem się, bo zawsze to było coś interesującego. Zaczęliśmy prace przygotowawcze do pierwszej konferencji, jaka się miała odbyć w Sztokholmie. Nagle wszystko zaczęło się zmieniać. Malisz przyjął stałą funkcję oenztowską przy odbudowie Skopja po trzęsieniu ziemi i wyjechał z kraju. Zostałem na jego miejsce włączony w skład delegacji do Sztokholmu. Delegację miał prowadzić profesor Dziewoński, geograf z Uniwersytetu Warszawskiego, i miało w niej uczestniczyć kilku innych pracowników tej uczelni. Ale w wyniku wydarzeń marcowych władze wprowadziły zakaz wszelkich wyjazdów dla pracowników Uniwersytetu. Okazało się, że jestem jedynym delegatem, który ma paszport i wie cośkolwiek na temat tej konferencji. W ostatniej chwili dołączono jeszcze przedstawiciela Komisji Planowania, centralnego organu administracji państwowej, dobrze usytuowanego partyjnie, ale merytoryczne zero. Cały ciężar spadł na mnie. Musiałem wygłosić dwa referaty, jeden za Malisza, drugi za Dziewońskiego, zabierać głos w dyskusji i uczestniczyć w pracach nad organizacją międzynarodowej współpracy.

Konferencja w Sztokholmie nie była dla mnie łatwa także z innych powodów. Byłem przecież przedstawicielem Polski, który dostał zgodę na wyjazd, podczas gdy innych zatrzymano. Wielu uczestników postrzegało mnie jako osobę związaną z reżimem. Byłem w tym gronie kimś zupełnie nowym, nikt nie znał ani mojej przeszłości, ani poglądów. Szczególnie jeden z uczestników pochodzenia żydowskiego (już nie pamiętam, z jakiego kraju) był dla mnie przykry. Codziennie przychodził i opowiadał, co się w Polsce dzieje, opierając się na nieprzyjaznych dla Polski informacjach prasowych. Zgadzałem się z nim całkowicie w ocenach. Ale obawiam się, że on mnie uważał nie tylko za komucha, ale co gorsza fałszywego, który udaje, że myśli inaczej.

Jakoś jednak ten egzamin zdałem. Środowisko międzynarodowe mnie zaakceptowało i zostałem włączony do nieformalnego zespołu koordynującego program. W ramach EKG istniał Komitet Urbanistyki, Mieszkalnictwa i Budownictwa. Dzielił się on na trzy podkomitety, do których przedstawiciele z Polski delegowały trzy instytuty naukowe. Za sprawy urbanistyki był odpowiedzialny nasz Instytut Urbanistyki i Architektury. Zostałem stałym przedstawicielem Polski, uczestniczyłem również w pracach Grupy Ekspertów ds. Badań Urbanistycznych. Jesienią pojechałem do Genewy po raz pierwszy na posiedzenie tej grupy. Uczestnictwo w pracach organizacji międzynarodowej stanowiło duże wyzwanie. Niemałym przeżyciem było dla mnie pierwsze posiedzenie, gdy usiadłem za tabliczką z napisem: POLAND–POLOGNE. Tłumaczenia na trzy języki, kilkanaście krajów, z każdego kilkuosobowe delegacje, tylko ja z Polski jestem sam. Wiem, że będą musiał zabrać głos, bo to wynika z porządku dziennego, i czuję, że nie zdołałem powiedzieć ani słowa, bo mam ze zdenerwowania ściągnięte gardło.

Chwyciłem się sposobu. Gdy zaproponowano kogoś na przewodniczącego posiedzenia, podniosłem rękę i powiedziałem jedno zdanie: „Delegacja polska podtrzymuje tę propozycję”. Żeby usłyszeć swój głos, ośmielić się, rozluźnić. W ten sposób odblokowałem gardło i pokonałem tremę. Gdy wkrótce potem miałem coś ważnego do powiedzenia w dyskusji, przyszło mi to z łatwością. W trudnych sytuacjach trzeba znajdować sposoby, aby zwalczyć własne opory.

Istniała w tym czasie zasada parytetu przedstawicieli Europy Zachodniej oraz Wschodniej, komunistycznej. Okazało się, że w grupie nie mam mocnej konkurencji ze strony innych przedstawicieli Wschodu – wybrano mnie na jej wiceprzewodniczącego. Myślę, że miały tu znaczenie nie tylko czynniki profesjonalne, ale również kulturowe. Ludziom z Zachodu łatwiej było się porozumieć za mną niż z innymi. Stałem się przedstawicielem wszystkich „komunistów” w tej grupie. Przewodniczył jej Szwed Per Holm, bardzo znacząca osobistość i mój wielki przyjaciel.

Wejście do tego programu otworzyło możliwości wyjazdów zagranicznych. Dwa razy w roku spotykaliśmy się w Genewie. Przez dwa lata byłem wiceprzewodniczącym Grupy Ekspertów ds. Badań Urbanistycznych, a w 1970 roku zostałem jej przewodniczącym. Unikałem kontaktów z polskimi placówkami dyplomatycznymi. Nic mi nie mogły ułatwić, a kontakty z naszymi podejrzanymi dyplomatami nie należały do przyjemnych. Jednak gdy zostałem przewodniczącym grupy, uznałem, że powinienem o tym zawiadomić naszą ambasadę. Złożyłem tam wizytę, a jak wróciłem do Polski, to zobaczyłem na pierwszej stronie „Trybuny Ludu” notatkę o tym, że Regulski został wybrany na przewodniczącego komisji roboczej w Genewie. Była akurat połowa grudnia i całą stronę poświęcono strajkom i manifestacjom w Gdańsku. Notatka o mnie miała pokazać, że mimo to Polska odnosi sukcesy międzynarodowe. Pamiętam paskudne uczucie, że się przyczyniam do podtrzymania reżimu.

Uczestnictwo w Grupie Ekspertów pozwoliło mi na nowe spojrzenie na Instytut i zaściankowy sposób uprawiania naszej nauki, której do prawdziwych badań było bardzo daleko. Starłem się jakoś te swoje kontakty wykorzystywać, ale okazało się to trudne. Nasza administracja nie była zainteresowana jakimikolwiek nowinkami, widząc w nich „zgniłe wpływy Zachodu”. A nasi naukowcy tak byli pewni swoich mądrości, że też nie chcieli o niczym słyszeć. Zresztą sam problem nie należał do łatwych. Nie istniała jasna definicja, co to są badania urbanistyczne. Czy są to badania na użytek planowania, czy też badania nad miastami i ich rozwojem jako przedmiotem planowania? A może chodzi o historię koncepcji planistycznych? Poszczególne środowiska bardzo różnie to definiowały. Polskie tym się charakteryzowały, że nie definiowały w ogóle... Podjąłem wysiłek, żeby rozpocząć na ten temat dyskusję. Opublikowałem książkę pod tytułem Wstęp do programowania przestrzennych badań naukowych. Ale nikt tego tematu nie podjął.

* * *

Nasza córka Joanna urodziła się z wrodzonym zwichnięciem stawów biodrowych. Już w dzieciństwie przechodziła szereg zabiegów rehabilitacyjnych i operacyjnych. Niestety, nie przyniosły one zadowalających wyników. W okresie szybkiego wzrostu jej kości znowu się odkształciły i właśnie w 1968 roku okazało się, że konieczne są kolejne operacje obu bioder. Był to dla nas wszystkich szok. Kolejny raz miałem uczucie całkowitej bezradności, tylko że tym razem nie wobec systemu politycznego, lecz wobec problemów zdrowotnych.

I wtedy nagle zadzwonił do mnie w Instytucie nasz kadrowy, zresztą sympatyczny człowiek, prosząc mnie do siebie. Zastałem u niego jakiegoś nieznanego pana. Kadrowy wyszedł i zostaliśmy sami. Przeszedł od razu do szczerzej rozmowy. „My wiemy

o pana kłopotach z córką. I chcemy panu pomóc” – oświadczył. Nie musiał mi tłumaczyć, kim są ci „my”.

Było to zupełnie jasne. Bardzo dobrze się orientował w moich sprawach rodzinnych. Użalał się nade mną, że nie mam pieniędzy, a muszę spłacać kredyt, który wzięłem na budowę domu. Martwił się, że Danką niedużo zarabia. A najbardziej rozczulał się nad Joanną i jej biodrami. Czekałem, do czego on zmierza. W końcu przedstawił propozycję. Jest zarezerwowany dla Polski etat w UNESCO w Paryżu. Odpowiadam merytorycznym kryteriom stawianym przez tę organizację. Mówię po francusku. Znam Paryż. Mam stopień i dorobek naukowy. W związku z tym polskie władze są gotowe mnie tam wysłać. A poza tym władze mogą zorganizować i sfinansować operację Joanny w dobrym szpitalu w Paryżu. Nie bardzo wiedziałem, co odpowiedzieć. Ale on nie naciskał. Powiedział, że rozumie, iż to trudna decyzja, i czeka na mój telefon następnego dnia. Zapytałem, czego ode mnie oczekują w zamian. Odpowiedział, że oczywiście niczego. „Może od czasu do czasu poprosimy pana, żeby coś pan dla nas napisał” – powiedział enigmatycznie. To mi wystarczyło. Było jasne, że w zamian za operację Joanny chcą mnie kupić i zrobić ze mnie swego współpracownika.

Wróciłem do domu. Zawołałem Dankę na ulicę, mimo że lał deszcz. Nie chcieliśmy rozmawiać w domu w obawie przed podsłuchem. Wielokrotnie przemierzaliśmy naszą Gimnastyczną w ulewnym deszczu, starając się uporządkować powstałą sytuację i coś zadecydować. Nie mieliśmy pieniędzy, nie znaleźliśmy lekarzy, którzy podjęliby się tych operacji. Doświadczenie, umiejętności i wyposażenie klinik paryskich na pewno były znacznie większe niż klinik polskich w tamtym czasie. Z drugiej strony czy można się sprzedać ubowcom? Decyzja nie była łatwa. Łatwo jest bowiem poświęcić siebie dla idei i czystości postępowania, ale bardzo trudno jest poświęcać kogoś innego, a szczególnie zdrowie własnego dziecka. Czy rodzice mają prawo to robić? Czy walka z komunizmem jest aż tak ważna, żeby ryzykować sprawność fizyczną dziecka, a tym samym całe jego przyszłe życie? Czy rodzice nie powinni poświęcić wszystkiego dla szczęścia własnego dziecka? Nawet swojego dobrego imienia? Przecież tu chodziło tylko o to, bo materialnie żyłoby się nam na pewno lepiej. Dziś bardzo trudno przedstawić skalę i dramaturgię tego wyboru, którego musieliśmy dokonać.

Deszcz przenikał nam przez płaszcze, a my wciąż nie mogliśmy zdecydować. W końcu postanowiliśmy: nie będę do nich telefonować. Zostajemy w kraju i tu podejmiemy wszelkie możliwe wysiłki, aby leczyć Joannę. To była trudna decyzja. Kiedy wiele lat później rozmawialiśmy o tym z Joanną, przyznała nam rację. Nie zatelefonowałem. A oni też nie zwrócili się więcej do mnie. Myślę, że zdawali sobie sprawę z mojej postawy.

W tym miejscu nie mogę się powstrzymać od kilku refleksji. Kwestie związane z dziećmi stanowiły skuteczny bicz na rodziców i SB posługiwało się nim z całą bezwzględnością. Za kilka lat miałem tego doświadczyć po raz drugi. Wtedy wybór był między szansą operacji dla córki a czystością swoich zachowań... Poczucie, że koszty mojej decyzji będzie ponosić moje dziecko, to straszliwa odpowiedzialność. Wybraliśmy z Danką drugą wartość, ale wielokrotnie później zastanawiałem się, czy miałem prawo takiego wyboru dokonać. Czy nie powinienem się ześwinić dla dobra dziecka? Czy ten wybór nie był przejawem mojego egoizmu, gdyż stawałem własne ambicje ponad zdrowie córki? Może inny wybór byłby bardziej heroiczny, bo świadomie poświęciłbym coś, co było dla mnie drogie – własne dobre imię? I czy właśnie ta postawa nie zaowocowała kilka lat później zagrożeniem studiów Michała? Gdyby nie dostał się na Uniwersytet i został skierowany do wojska, mógłby stracić szansę na normalne życie. Czy więc warto było ryzykować szczęście i zdrowie dzieci tylko dla zasad? Na szczęście los rozstrzygnął te problemy pomyślnie. Wyszliśmy szczęśliwie z zagrożeń, pozostając wierni swym zasadom. Ale jak bym oceniał dokonany wybór, gdybyśmy tego szczęścia nie mieli? Gdyby doprowadził on do trwałych i nieodwracalnych dramatów życiowych?

Jestem człowiekiem kompromisu, zawsze szukałem wyjść pośrednich, które przyniosłyby wszystkim jak najmniej strat, ale gdzie jest granica, której przekraczać nie wolno, żeby pozostać sobą?

* * *

Dziś wiele osób uważa, że konieczne jest rozliczenie się z przeszłością. Ja też bym tego chciał. Bo dlaczego mają zachować swoje przywileje ludzie, którzy je zdobyli dzięki współpracy z dawnym reżimem, podczas gdy ja, który tak wiele straciłem, mam być ich pozbawiony? Elementarne poczucie sprawiedliwości domaga się rozliczeń. Ale kiedy patrzę, jak do tego zabierają się dzisiejsze „młode wilczki”, to budzi się we mnie głęboki sprzeciw.

Co to znaczy „być współpracownikiem” policji komunistycznej? W kolejnych ustawach starano się opracować jakieś definicje, określić kryteria zaliczenia człowieka do takiej lub innej grupy. Ale w tych, którzy w tamtych czasach żyli i je pamiętają, te wszystkie kryteria budzą wiele wątpliwości. Żyliśmy w państwie, którego celem nie było reprezentowanie naszych interesów, lecz odwrotnie – ograniczanie nas, kontrolowanie i narzucanie niechcianych zachowań. Instytucje państwa nie były nasze. A wśród tych instytucji Służba Bezpieczeństwa odgrywała szczególnie groźną rolę. Była ona wszakże instytucją państwową. Obywatel nie mógł jej ignorować ani odrzucać wszelkich z nią kontaktów.

Młodzieńczą naiwnością dzisiejszych lustratorów są zarzuty stawiane różnym osobom o to, że ktoś rozmawiał z ubekiem. Jest oczywiste, że praktycznie wszyscy w Polsce mieli kontakty z ubekami, czasami świadomie, czasami nieświadomie. Bo oni byli wszędzie. Kontaktów świadomych też nie można było uniknąć, a często nawet ich odmawiać. Jeśli funkcjonariusz przychodził do mnie jako do dyrektora Instytutu i pytał się o sprawy związane z działalnością badawczą, to nie mogłem mu odmówić informacji. A jeśli on zrobił z tego notatki i gdzieś je zarchiwizował, to ja mam ponosić za to odpowiedzialność? Albo rozmowy w sprawie bezpieczeństwa mojej budowy?

Zmierzch systemu można było dostrzec dopiero w jego ostatnich latach. Przedtem wszyscy żyliśmy w przekonaniu, że nie ma szans na zmiany, że system jest ustabilizowany na całe nasze życie. Trzeba było w tym systemie żyć. Określenie granic współdziałania z nim stanowiło sprawę niesłychanie trudną i zależną nie tylko od indywidualnych postaw i wartości, którym chciało się służyć. Wszyscy, którzy żyliśmy w PRL, współpracowaliśmy z państwem i jego instytucjami. Pracownicy nauki, do których należałem, byli szczególnie związani z działalnością tego nielubianego państwa, bo swymi badaniami przyczyniali się do jego usprawniania. Przecież prowadząc badania i publikując ich wyniki, chciałem doprowadzić do polepszenia funkcjonowania gospodarki i instytucji państwowych. Czyli do wzmocnienia państwa, jakkolwiek jednocześnie życzyliśmy mu jak najszybszego upadku. To były dylematy tamtych lat. Nie można ich ignorować w obecnych ocenach.

Co zatem z lustracją? Czy powinniśmy ją przeprowadzać, czy też zabetonować wszystkie dokumenty, jak chcą tego niektórzy? Oczywiście nie betonować, ale też nie prowadzić lustracji tak, jak się to dzieje obecnie. Trzeba się zastanowić, czemu ma ona służyć, bo w zgiełku wypowiedzi polityków na to pytanie nie znalazłem rozsądnej odpowiedzi. O co może więc chodzić? Czy o wymierzenie sprawiedliwości? Czy o ochronę działaczy publicznych przed możliwością szantażu? Czy o jawność naszej historii i życiorysów ludzi polityki? W zależności od odpowiedzi należałoby wybrać różne metody postępowania. Oczywiście konieczne byłoby przede wszystkim odpowiedzenie sobie, za co chcemy kogoś potępiać. I jednocześnie zagwarantowanie wszystkim prawa do ochrony własnego imienia. Zwyczaj, który się u nas utrwalił, polega na dokonywaniu tzw. badań historycznych, które prowadzą do publikowania materiałów oczerniających poszczególne osoby, bez dania im możliwości obrony. Jest to niedopuszczalne w państwie prawa.

Wymierzanie sprawiedliwości jakoś u nas nie wychodziło, a dziś, biorąc pod uwagę upływ czasu, staje się już nieaktualne. Funkcjonariuszy i liderów PRL też już dotyczyć nie będzie. Ochrona polityków przed szantażem przez ujawnianie ich przeszłości zawsze wydawała mi się wątpliwa. Pozostaje więc prawda o historii. I temu lustracja powinna służyć. A więc pełne ujawnienie akt przechowywanych

w IPN. Ujawnienie, ale w określony sposób i w określonych warunkach. Uważam, że dostęp do nich powinien być powszechny, ograniczanie go do pewnych grup narusza zasadę równości. Musi być też zagwarantowane prawo do przedstawienia własnej wersji wydarzeń przez osoby zainteresowane. A więc dokumenty powinny się ujawniać wraz z opisem sporządzonym przez osobę, której te dokumenty dotyczą.

Zasada pełnej jawności powinna dotyczyć osób zajmujących stanowiska publiczne. Każdy ma prawo wiedzieć, na kogo głosuje. Życiorysy osób publicznych muszą być jawne i jawne powinny być wszystkie dokumenty z nimi związane. Ale żądanie oświadczeń w tak szerokiej skali, jak proponowano w 2006 roku, nie prowadzi do ujawnienia prawdy, bo nie wnosi żadnych nowych informacji. Stanowi ono tylko narzędzie kontroli prawdomówności, która zresztą może być dokonana dopiero po upływie dłuższego czasu.

* * *

Czystka i antysemicka nagonka z 1968 roku spowodowała, że wiele osób wymigowało, wiele innych straciło dotychczasową pracę i znalazło się w trudnych warunkach materialnych. Nagonka ta była przykrywką dla walki wewnątrz PZPR. Chodziło o wyeliminowanie jednej grupy i przejęcie władzy przez drugą. Objęto nią jednak wszystkie osoby pochodzenia żydowskiego, często nie uczestniczące w życiu partyjnym. Ocalały nieliczne osoby, które znalazły się w partii po właściwej stronie albo które były tak nieszkodliwe, że nikt na nie zwrócił uwagi.

Solidaryzując się z wyrzucanymi, nie mogłem abstrahować od faktu, że były to osoby bardzo często ściśle związane z reżimem, które dotąd albo go wspierały, albo co najmniej akceptowały, czerpiąc z tego szereg korzyści. Myślę o „salonie warszawskim”, złożonym – jak mawiał mój kuzyn i przyjaciel, znany socjolog Marcin Czerwiński – z „pieszczochów socjalizmu”. Władze komunistyczne potrzebowały ludzi tworzących pozytywny obraz ustroju. Hołubiły więc intelektualistów, artystów, pisarzy i innych, którzy mogli mieć wpływ na opinię społeczną. Potrzebni też byli, aby reprezentować Polskę za granicą. Nawet nie wymagano bardzo aktywnego zaangażowania. Należało być przede wszystkim posłusznym, czasami wykonać jakąś akcję, coś powiedzieć, coś napisać. A w zamian miało się różne przywileje, konferencje, wyjazdy zagraniczne, przydziały samochodów lub mieszkań. Niektórzy byli aktywni w partii i spełniali różne partyjne funkcje. Ale wielu pieszczochów wcale do partii nie należało. Tego od nich nie zawsze wymagano. Odwrotnie – taki bezpartyjny mógł bardziej świadczyć o rzekomej wolności i demokracji. Wystarczy wspomnieć Iwaszkiewicza, który w partii nie był, a którego działalność na rzecz utrzymania ustroju była znana i budziła dość powszechny sprzeciw. Kazimierz Secomski też nie na-

leżał do partii. Nazywano ich wtedy „bezpartyjnymi bolszewikami”. I obawiano się ich więcej niż partyjnych. Bo nie będąc w partii, musieli stale udowadniać, że pracują dla reżimu. I zasługują na zaufanie i związane z nim przywileje.

Niedawno, 20 lutego 2011 roku, czytałem artykuł o działalności Fundacji Forda, w którym jej przedstawiciel podkreśla wkład systemu stypendialnego tej organizacji w rozwój polskich intelektualistów. I wymienia nazwiska stypendystów, z których wszyscy byli silnie związani z reżimem. Same pieszczochy! Niektórzy stali się ofiarą nagonki 1968 roku. Przedtem jednak stanowili elitę tego systemu. Ludzie spoza owego kręgu, jak ja i mnie podobni, nie mieli żadnych możliwości kontaktu z fundacjami zachodnimi. A jeśli by nawet taki kontakt prywatnie znaleźli, to nie mógł nawet marzyć o otrzymaniu stypendium. One były przeznaczone jedynie dla swoich.

W latach sześćdziesiątych miałem ogromny dystans do partii i zachodzących w niej procesów. Zupełnie mnie nie interesowały konflikty pomiędzy poszczególnymi grupami wewnątrz partii ani działalność Kuronia w harcerstwie czy list jego i Modzelewskiego. To były sprawy wewnątrz obozu wroga. Ja się cieszyłem, że się kłóć, a tym samym osłabiają władzę. Owszem, zamknięcie Klubu Krzywego Koła stanowiło sprawę dla mnie przykrą, chociaż nie należałem bezpośrednio do tego środowiska. To był sygnał, że nic się naprawdę nie zmieni, że system modyfikuje sposoby działania, ale istota pozostanie niezmienna. Nie było szans na rzeczywistą zmianę, a drobne niuanse nie miały dla mnie znaczenia. Przyzwyczailiśmy się do życia w ucisku. Cieszyłem się, że powoli się on zmniejszał, że wróg słabł. Ale władza była ciągle wystarczająco mocna, aby utrudniać mi życie.

Dlatego po czystkach 1968 roku mój stosunek do tych, którzy padli ich ofiarą, był ambiwalentny. Żałowałem ich jako ludzi, szczególnie gdy prześladowano ich za pochodzenie. To było wredne. Ale nie mogłem im współczuć z powodu tego, że utracili swoje pozycje, które zajmowali tylko dlatego, że wspierali system polityczny. Oni utracili przywileje, których ja byłem pozbawiony od początku. Aż do marca stali po przeciwnej stronie barykady niż ja i moi bliscy. Wspomagali system, który był dla mnie wrogi i mnie uciskał. Fakt, że zostali nagle odrzuceni przez tych, z którymi żyli w symbiozie, nie mógł wystarczyć, abym uznał ich za przyjaciół. A niektórzy bardzo zabiegali o to, by uzyskać akceptację w środowisku pozapartyjnym. Pamiętam, jak jeden z dawnych prominentów z partii kiedyś zaczął mnie namawiać do wspólnych działań antypartyjnych pod hasłem: „My, bezpartyjni, powinniśmy teraz razem...”. Spojrzałem na niego zimnym wzrokiem i odpowiedziałem, że na to, aby wejść do PZPR, trzeba było przez pewien czas być kandydatem, więc i teraz, aby się stać bezpartyjnym, trzeba przejść okres kandydacki. Odszedł bez słowa.

Ludzie odrzucani stają się zawsze największymi wrogami tych, którzy ich odrzucili. Jest to prawda powszechna. Ten proces następował też w Polsce. Wielu odrzuconych w 1968 roku stało się wrogami systemu, i to bardzo zażartymi. Ofiary Marca odgrywały też coraz większą rolę w ruchu opozycji. Nasze drogi zaczęły się krzyżować. Powstawały nowe znajomości, przyjaźnie i nowe koalicje. Jednak konieczny był czas, aby zbliznić dawne uprzedzenia, choć nie wszystkie mogły być zapomniane.

My z Danką też musieliśmy przejść pewien okres przemysleń i reorientacji. Nie było łatwo przygarnąć tych, którzy przeszli z innego obozu nie z własnej woli, ale dlatego, że zostali odrzuceni. Trudno zapomnieć, że w tym czasie, gdy ja, Ojciec i cała rodzina cierpieliśmy prześladowania, im się nieźle powodziło, właśnie z tego powodu, że akceptowali system, który nas niszczył.

Następowała też wymiana pokolenia. Dzieci dawnych prominentów partyjnych nie chciały iść śladami rodziców. Joanna wkrótce weszła w środowisko tych dzieci, które w wielu przypadkach były znacznie bardziej antykomunistyczne niż my.

* * *

Ale wróćmy do wydarzeń tamtego czasu. Decyzja o odrzuceniu propozycji ubowskiej oznaczała, że operacje Joanny trzeba przeprowadzić w Polsce. Rozpoczęliśmy poszukiwania najlepszej kliniki. Pojechaliśmy do Poznania do profesora Degi. Zgodził się operować. Ale to wymagało przeorganizowania naszego życia. Chcieliśmy być jak najbliżej Joanny, gdy będzie w Poznaniu. Ktoś nam użyczył mieszkania, więc mogliśmy mieć bazę w tym mieście. Cały proces dwóch operacji, które trzeba było wykonywać sukcesywnie, rozciągnął się prawie na dwa lata. Najpierw operacja i parotygodniowy pobyt w szpitalu. Wydano nam ją ze szpitala zagipsowaną od stopy do pasa, tak że nawet nie mogła usiąść. Przetransportowaliśmy ją do Warszawy pogotowiem lotniczym. W gipsie musiała leżeć trzy miesiące. Leżała na tapczanie w salonie, który miał specjalne kółka, pozwalające wywozić ją na taras, aby choć trochę powdychała świeżego powietrza.

Potem z powrotem transport do Poznania na podstawową rehabilitację. Przewozy lotnicze dla leżącej w gipsie Joanny były strasznie męczące. W małym samolocie rzucanym przez wiatry miała mdłości. Wynosili ją z samolotu białą. Dalsza rehabilitacja w Warszawie trwała kilka miesięcy. Początkowo musiała chodzić o kulach. Po kilku miesiącach nastąpiło powtórzenie całej procedury z drugim stawem. Wszystko to przypadło na dwie ostatnie klasy liceum. W ostatnim roku była jedynie sześć dni w szkole. Ale szkoła nieprawdopodobnie nią się zaopiekowała. Nauczycielki przychodziły do domu. Maturę zdała bez problemu.

Te doświadczenia kształtowały jej charakter. A także nasz z Danką. To wszystko sporo kosztowało. Sprzedaliśmy samochód, ale to było za mało. Wpadliśmy w długi. Wychodziliśmy z nich przez parę lat. Ale to nie było najważniejsze.

W międzyczasie ja też miałem kłopoty ze zdrowiem. Okazało się, że mam kamienie żółciowe. Wszystko nałożyło się w jednym w czasie. Operację miałem w zimie 1970 roku. Tego samego dnia Joannie wyjmowali ostatnie gwoździe ze stawów w Poznaniu. Danka czekała w Warszawie na wiadomość ze szpitala, że się obudziłem. Zaraz potem wsiadła w pociąg, żeby jechać do Joanny do Poznania. Te wszystkie obciążenia spowodowały, że Danka też zaczęła mieć kłopoty nerwowe. Kilkakrotnie wysyłaliśmy ją do Zakopanego, aby mogła powoli odbudowywać swój spokój. Wreszcie dekada lat sześćdziesiątych dobiegała końca. Czy ta następna miała być lepsza?



Profesor Wiktor Dega, 1975
Kronika Miasta Poznania

17.

**Dyrektor – Zagraniczne przygody
– Ubeckie prowokacje
(1970-1975)**

Nowa dekada rozpoczynała się optymistycznie. Mieliśmy poczucie, że problemy się skończyły. Przeszliśmy operacje i wracaliśmy do zdrowia. Joanna rozpoczynała studia. Moja pozycja naukowa zdecydowanie się umocniła. Kontakty z zagranicą rozwijały się lawinowo, a moja pozycja w EKG ONZ też się ustabilizowała. Prześladowcy partyjni z Instytutu gdzieś odplynęli wraz ze zmianami w partii. A upadek Gomułki i objęcie władzy przez Gierka napawało optymizmem. Deklaracja otwarcia na świat, likwidacji barier hamujących gospodarkę, zapowiedź liberalizacji – wszystko to wydawało się realizacją społecznych żądań i oczekiwań. Byłem napełniony doświadczeniami i dorobkiem demokracji zachodnich. Bardzo chciałem jak najwięcej z tego przenieść do Polski. Tak rozumiałem swoją rolę w EKG.

Jeśli nasz Instytut miał prowadzić rzeczywiste badania urbanistyczne, to przede wszystkim konieczne było zdefiniowanie tego pojęcia. Starłem się więc wprowadzić jakiś porządek pojęciowy, bo w środowisku architektów granice między projektowaniem a nauką były mocno zatarte. Uważałem, że planowanie urbanistyczne ma prowadzić do podejmowania decyzji. A zatem zakres badań i ich charakter powinny być podporządkowane potrzebom decydentów. Dlatego sięgnąłem do teorii podejmowania decyzji. Proces decyzyjny składa się z czterech elementów. Najpierw potrzebny jest opis stanu istniejącego i jego ocena. Potem określenie celu, jaki chcemy osiągnąć, a więc zdefiniowanie cech miasta, które chcemy mieć w przyszłości. Trzeci element to przewidywanie procesów niezależnych od woli decydentów. Jesteśmy stale pod wpływem różnych czynników, które są od nas niezależne, ale wpływają na przebieg procesów rozwoju.

Ich nie można planować, bo nie mamy na nie wpływu. Możemy jedynie je prognozować. Wreszcie czwarty element to określenie naszych własnych działań: co trzeba zrobić, aby ukierunkować rozwój miasta tak, by osiągnąć nasze cele, działając w warunkach określonych przez czynniki od nas niezależne.

Z tego modelu wyraźnie wynikał zakres badań, które powinny służyć planistom. Niestety, ten sposób myślenia nie przekonywał mych kolegów, uważających, że planista jest nadczłowiekiem, który potrafi wszystko przewidzieć i którego zdanie nie powinno być przedmiotem dyskusji. O prognozach i ich ograniczonym stopniu przewidywalności nie chcieli w ogóle słuchać. Ale ja z planowaniem miałem do czynienia już od wielu lat i brałem udział w opracowywaniu planów o horyzoncie 15 czy 20 lat. W latach siedemdziesiątych byliśmy już na końcu tej perspektywy i widać już było z całą ostrością ubóstwo intelektualne tych planów. Nic się z tych przewidywań nie sprawdzało. Wszyscy mówili: „Dzisiaj jesteśmy mądrzejsi”. I robili takie same głupstwa.

Po konflikcie z dziekanem architektury przestałem pracować na Wydziale. Wkrótce Juliusz Goryński zaproponował, abym przyjął wykłady zlecone na Wydziale Socjologiczno-Ekonomicznym Uniwersytetu Łódzkiego. To był silny ośrodek naukowy. Zgodziłem się. W ten sposób wszedłem w zupełnie nowe środowisko ekonomiczne. Do Łodzi jeździłem co tydzień. Po pewnym czasie te dojazdy zaczęły mnie nużyć. Zastanawiałem się, po co tam jeżdżę. Jednak kontakt ten okazał się zbawieniem.

Jesienią 1970 roku Per Holm zaprosił mnie na dwa miesiące do swego instytutu w Sztokholmie. Pojechałem promem do Ystad i dalej pociągiem. Poczułem wtedy skalę wielkości Szwecji. Wkrótce miałem możliwość poczuć ją na własnej skórze jeszcze silniej. Wyjeżdżałem, nie będąc w pełni zdrowym. Ale dwumiesięczny wyjazd był wielką szansą – zarówno poznawczą, jak i finansową. Siedzieliśmy w długach po uszy, a oszczędności z przyznanego stypendium mogły być poważne.

Czułem się niedobrze i po miesiącu powiedziałem, że chciałbym wyjechać gdzieś na kilka dni, żeby trochę oderwać się od pracy i odpocząć. Był już październik i prawie wszystkie hotele były już zamknięte. W końcu znaleziono jeden dość daleko na północy. Pojechałem tam nocnym pociągiem. Rano wysiadłem w Järpen i taksówką dojechałem 30 kilometrów do hotelu w Kall. Wypiłem kawę i wtedy właścicielka zaproponowała, abym wraz z nią poszedł na spacer do lasu. Chętnie się zgodziłem. Miałem na sobie tylko lekki płaszcz. Było chłodno i wilgotno, ale mieliśmy wrócić na lunch do hotelu, więc strój nie był istotny. Dali mi jedynie wysokie buty gumowe. Wyszliśmy w małej grupie. Oprócz właścicielki był w niej starszy pan o jednej ręce i dwie młode kobiety. Pojechaliliśmy samochodem kilka kilometrów w góry. Potem ruszyliśmy pieszo przez las wokół wzgórza w lesie, a następnie wokół małego jeziora. Las był dziki. Żadnych ścieżek, same wykroty. Droga nad brzegiem była strasznie niewygodna. Poszliśmy więc po łące, równoległe do jeziora, kilkadziesiąt metrów od brzegu. Byłem zmęczony i nie chciało mi się włączyć do dyskusji. Szedłem więc trochę z tyłu i myślałem o niebieskich migdałach. Było mi miło, że nie muszę się o nic troszczyć. Ale miły nastrój prysnął, gdy nasza

przewodniczka nagle stanęła, bo zorientowała się, że jezioro już się skończyło, a my znajdujemy się w środku lasu, nie bardzo wiedząc, w którą stronę mamy iść. Obok płynął strumień. Stwierdziła, że idąc wzdłuż niego, dojdziemy do naszego jeziora. Nie miała jednak kompasu, więc nie wiedzieliśmy, że idziemy w stronę zdecydowanie przeciwną.

Ruszyliśmy rażno. A gdy zorientowaliśmy się w naszej pomyłce, byliśmy już za daleko, aby wracać. Strumień powoli zmieniał się w rzeczkę, która bystro płynęła przez las i wąwozy. Minęła już pora lunchu, a my dzielnie maszerowaliśmy, choć trochę zaczynało w dołku ścisnąć. Wyszliśmy na większą łąkę. W trawie widać było jakieś ścieżki. Z nadzieją pytam o nie naszej przewodniczki: „Może jacyś ludzie tędy chodzą?”. „Nie, to ścieżki zwierząt”. „A jakie zwierzęta tu są?” „Na ogół łosie – odpowiada – ale w tym roku są niedźwiedzie, więc łosie odeszły”. Trochę mi się głupio zrobiło. Zaczynało się ściemniać. Ale zobaczyliśmy jakąś nową ścieżkę, która stawała się coraz wyraźniejsza, jakiś duch w nas wstąpił i nogi żywiej niosły. A gdy zobaczyliśmy kładkę przerzuconą nad potokiem, mieliśmy pewność, że jesteśmy na ludzkim śladzie. Wyszliśmy na wzgórze – przed nami rozpostarł się piękny widok na wielkie jezioro rozciągające się od horyzontu do horyzontu. Zbiegliśmy na dół, aż do miejsca, gdzie ścieżka dochodziła do jeziora. Tam się urywała przy wbitym w brzeg palu, do którego przywiązywano łodzie, którymi tu dopływano. Stanęliśmy w niemym geście rozpacz i zawiedzionej nadziei. Nasza przewodniczka nie miała pojęcia, gdzie jesteśmy.

Ale szczęście nas nie opuściło. Niedaleko stały dwa domki, które służyły jako miejsce noclegu robotników leśnych. Puste i zamknięte, lecz przewodniczka podważyła jedno z okien znalezionym narzędziem. Byliśmy szczęśliwi. Mieliśmy dach nad głową i szansę przetrzymania nocy. Znaleziliśmy pół pudełka zapalek. Zapaliliśmy w kominku. Zaczynało być ciepło. Niestety, w domku było tylko pół torby cukru i trochę dżemu w słoiku. Naszą kolacją były po dwa kubki osłodzonej wody z dodatkiem łyżeczki dżemu. Chciałem odpocząć. Ale dano mi siekiere i kazano ścinać drzewka, aby przygotować sygnałne ognisko. Wiedzieliśmy, że będą nas szukać. Przewodniczka pokazała, jakie drzewka ścinać, aby się łatwo paliły. Ja je ścinałem, dwie nasze panie ściągały je na dół nad brzeg jeziora, a jednoręki towarzysz układał na stos i podkładał ogień. Trzecia nasza towarzyszka była na jakichś środkach, które brała co kilka godzin. Nie miała ich ze sobą, więc siedziała ze spuszczoną głową, niezdolna do zrobienia czegokolwiek.

Zapadła noc. Ogień wygasiliśmy, bo w nocy i tak nikt nie będzie szukał. Zwaliłem się na pryczę, nakrywając się swym paltem i kawałkiem jakiegoś koca. Zapadłem w głęboki sen. Gdy nadszedł świt, ktoś mnie zaczął budzić. Długo trwało, zanim zrozumiałem, gdzie jestem. Kubek słodkiej wody, już bez dżemu, bo się skończył, i do siekiery.

Znowu ścinam, a na dole palą ognisko. Po dwóch godzinach miałem dosyć. Zwalilem się na pryczę. Ale wkrótce znowu mnie obudzono i kazano ciąć drzewo. Byłem potwornie zmęczony. Noc w pociągu, całodzienny marsz, wysiłek drwała, noc i znów wysiłek – wszystko bez jedzenia. Kawę z małą bułeczką zjadłem dość wcześniej. Gdy znów poszedłem z siekierą, to pomyślałem sobie, że mogę pracować jeszcze godzinę czy dwie. Ale ile razy będę zdolny, aby to powtórzyć, nawet po krótkim wypoczynku? Zaczynały krążyć czarne myśli. I właśnie wtedy usłyszeliśmy silnik helikoptera. Rzuciliśmy się wszyscy, aby zrobić wielki ogień. Nie było to jednak konieczne. Helikopter leciał do nas. Gdy usiadł na łączce, wysiadło z niego dwóch policjantów, których chcieliśmy wycalować. Okazało się, że odeszliśmy tak daleko, iż wyszliśmy poza obszar objęty poszukiwaniami. Wieczorem 20 ochotniczych patroli, złożonych z policjantów, strażników leśnych i mieszkańców wsi, nas szukało. Dopiero rano zobaczyli nasz ogień z drugiego końca jeziora.

Zaczął się transport do domu. Pierwszym lotem poleciały panie. Jeden z policjantów został, aby wraz ze mną zrobić porządek. Wszystko musiało zostać ładnie ułożone. Najgorsze było to, że naciąłem za dużo drzewa. Trzeba je było sprzątnąć do jakiegoś dołu. Porządek musiał być nawet w takiej głuszy! Wróciłem do hotelu. Przez pozostałe dni spałem. Na żaden spacer już mnie nie namówili. Obejrzałem mapy. Jak się okazało, szliśmy w niedobrym kierunku, prosto na północ, gdzie nie było żadnych osiedli. Pierwszy i jedyny raz byłem wtedy naprawdę zgubiony. Gdy w Polsce ktoś zgubi się w lesie, to idąc przed siebie, w końcu gdzieś wyjdzie. A w Szwecji – nie. Można iść i nie dojść nigdy do ludzi. Gdy wyjeżdżałem, właściciel hotelu przedstawił mi rachunek za cały okres pobytu z pełnym utrzymaniem. Spojrzałem na niego i spytałem, czy mam również płacić za jedzenie, gdy byłem w lesie pod opieką jego żony. Zacerwienił się i z przeprosinami skorygował rachunek. Duch hotelarza jest taki sam na całym świecie!

Wróciłem do Sztokholmu. Telewizja podawała wiadomość o zagubieniu się grupy turystów w górach. Ale w Instytucie nikt nie pomyślał, że byłem między nimi. Wróciłem bogatszy o niezwykle doświadczenie, ale nie wypoczęty.

Korzyści z wyjazdu były znaczące. Dużo się nauczyłem. Nawiązałem dobry kontakt ze Szwedami, który będzie owocował przez wiele następnych lat. Przywiozłem sporo pieniędzy. Stworzyły podstawowy kapitał, który – uzupełniony przez wszystkie posiadane środki i parę dalszych długów – pozwolił na zakup fiata 125, od niedawna produkowanego w Polsce. Był nam ogromnie potrzebny. Mieszkaliśmy dość daleko od sklepów i wszelkich usług, do pracy też było daleko. Jazdy rzadko chodzącymi autobusami były uciążliwe. A dzieci wymagały obsługi. Szczególnie Joanna, która jeszcze nie doszła do pełnej sprawności.

Joanna zdrowiała. Maturę zdała bez kłopotu, ale nie była przygotowana do egzaminu konkursowego na uczelnię. W dodatku w ostatniej chwili zmieniła plany.

Szykowała się na geografię, ale nagle postanowiła zdawać na fizykę. Taka zmiana nie mogła się skończyć sukcesem. Ale rok wolny od nauki mogła spokojnie wykorzystać na pełną rekonwalescencję. W następnym roku zdawała na geografię. Osiągnęła dobry wynik, ale zabrakło jej punktów, których nie mogła dostać za pochodzenie społeczne. Zaczęła studia zaoczne w Lublinie i po roku bez problemów przeniosła się do Warszawy.

W grudniu byłem w Genewie i przywoziłem stamtąd nowe ciekawe propozycje. Wyjazdy zagraniczne miały dla nas podstawowe znaczenie. Stwarzały możliwości kontaktów i rozwoju naukowego, ale także wyrwania się z zatęchłej atmosfery, jaka panowała w Polsce. Dodatkowe dochody, jakkolwiek niewielkie, to jednak dawały jakąś niezależność finansową. Musiałem jednak nabyć umiejętność nawiązywania kontaktów i oferowania swoich usług jako eksperta, bo aby ktoś mnie zaprosił i zgodził się ponosić koszty, musiał być przekonany, że będzie miał z tego korzyści. Ale udawało mi się odnosić sukcesy. Przywoziłem zaproszenie od Belgów. Prywatna flamandzka grupa badawcza była zainteresowana polskimi doświadczeniami i metodami planowania. Zaprośili mnie na miesiąc. Postanowiliśmy, że pojedziemy samochodem razem z Danką.

Wcześniej na wiosnę zostałem zaproszony do Edynburga. Profesor Johnson-Marshall uruchomił na tamtejszym uniwersytecie cały program studiów nad metodą analiz progowych Bolka Malisza. W trakcie jego realizacji powstało kilka kwestii, które wymagały dodatkowych wyjaśnień. Pojechałem na miesiąc. W połowie pobytu zjadłem coś niedobrego w jakiejś restauracji. To była kropla, która przepełniła czarę. Mój organizm nie był w pełni zrehabilitowany po operacji sprzed roku i zastrąjkował w formie strasznego ataku bólu. Pogotowie zawiozło mnie do szpitala. Sprawa okazała się poważna. Atak trzustki. Podłączyli mnie do jakichś strasznych aparatów. Rurki do żołądka. Pompowanie i odpompowywanie. Ciężkie parę dni.

Brytyjski szpital to sam w sobie temat do opowieści. O piątej rano odbywało się obowiązkowe wietrzenie i sadzanie ludzi pionowo, żeby nie spali. Było potwornie zimno, a przez te wszystkie rurki nie mogłem włożyć piżamy i byłem prawie goły. Moich próśb o dodatkowy koc nie przyjmowano do wiadomości. Inny kłopot stanowiło to, że zupełnie nie rozumiałem, co mówi do mnie pielęgniarka, która się mną opiekowała. Zwróciłem się o pomoc do sąsiada. Uśmiechnął się. „Niech się pan nie przejmuje. Tu nikt nie rozumie, co ona mówi. Przecież ona jest z...” – i tu wymienił jakąś nazwę zapadłej gminy z północnej Szkocji.

Zbliżał się termin powrotu. Byłem bardzo słaby i lekarze sugerowali, abym odłożył podróż. Zdecydowałem się jednak wracać. Pojechałem na lotnisko prosto ze szpitala. Do Warszawy przyleciałem na miękkich nogach. Ale doleciałem i dopiero w domu opowiedziałem o swoich kłopotach. Moi lekarze uprzedzili mnie, że mój

stan wymaga spokoju i długiej rekonwalescencji. To było ostrzeżenie, aby szanować własne zdrowie. Jednak zdecydowaliśmy, że do Brukseli pojedziemy. Tej szansy nie mogliśmy zmarnować.

To była pierwsza z naszych dużych wypraw samochodowych. Pojechaliśmy przez Pragę i Norymbergę do siostry Danki pod Frankfurt. Spędziliśmy tam kilka dni. Mój szwagier Horst Weidenbusch był lekarzem. Opowiedziałem mu o swoich ostatnich przeżyciach zdrowotnych i o zakazie picia jakiegokolwiek alkoholu. Horst się roześmiał. „Masz wyjątkową okazję, aby się napić pod opieką lekarza. Jeden drink nie może ci zaszkodzić”. I rzeczywiście opieka lekarza zdała egzamin. Okazało się, że nawet dwa drinki mi nie szkodzą. Przełamanie tej bariery ułatwiło mi bardzo nawiązywanie kontaktów!

Przez Luksemburg pojechaliśmy do Brukseli. Tam mieliśmy wynajęte małe mieszkanie, aby żyć taniej niż w hotelu i przyjemniej. Praca w biurze nie była uciążliwa, chociaż istniała bariera językowa. To była instytucja flamandzka i francuski był zakazany. Ja po flamandzku oczywiście nie mówiłem, więc musiałem się z nimi porozumiewać po angielsku. Ale żadnych dokumentów czytać nie potrafiłem. Miałem natomiast sporo czasu, aby zwiedzać kraj. Zrobiliśmy też tygodniowy wypad samochodem na północ do Edynburga, jeszcze raz do znanego nam profesora Johnsona-Marshalla. Miał on syna w wieku naszego Michała i zaprosił go na wakacje. Trochę się pokręciliśmy po Szkocji i pojechaliśmy do Londynu i z powrotem do Brukseli. Zrobiliśmy też kilkudniowy wypad z Magdą Gotowską do Holandii. A z Belgami nawiązałem współpracę, która trwała kilka następnych lat.

Jeszcze w Sztokholmie w 1968 roku ustalono, że konferencje na temat badań urbanistycznych będą powtarzane co cztery lata. Kolejna była więc w 1972 roku. Przewodniczyłem wtedy Grupie Ekspertów, a zastępował mnie Irlandczyk Parrick O’Huiggin. Za jego sprawą rząd Irlandii zgłosił gotowość zorganizowania tej konferencji w Dublinie. Jako przewodniczący Grupy pojechałem tam wcześniej, aby dokonać uzgodnień organizacyjnych. Parrick odebrał mnie z lotniska i zawiózł do miasta. Zatrzymał się przed wypalonym domem. „Wiesz, co tu było?” – zapytał. Oczywiście nie wiedziałem. „To była ambasada brytyjska” – wykrzyknął. „Myśmy ją spalili! My się wyzwalamy od Brytyjczyków tak jak wy od Rosjan” – konkludował. „Bo widzisz, Anglicy zrobili nam wiele krzywd. I ludzie ich nienawidzą. Zupełnie jak wy – Rosjan”. Wątek walk o niepodległość obu naszych krajów wracał jeszcze wielokrotnie w moich rozmowach z Irlandczykami. Uczyłem się postrzegania historii przez inne narody.

Konferencja odbyła się na jesieni. Zebrała się cała czołówka ekspertów od urbanistyki ze wszystkich krajów Europy. Jej przewodniczącym został, zgodnie z zasadami, Parrick O’Huiggin jako gospodarz. Ja byłem wiceprzewodniczącym i jednocześnie pierwszym gościem, z czego wynikało wiele miłych, ale często uciążliwych i od-

powiedzialnych zadań. W jakiś sposób odcinałem kupony z faktu, że pochodziłem z Europy Wschodniej. Jako reprezentant Polski byłem traktowany jak przedstawiciel Wschodu, a więc pierwszy komunista! Taka pozycja, przy jednoczesnym zachodnim sposobie myślenia i władaniem językami, dawała duże możliwości. Bolało mnie tylko, że z tych moich kontaktów nic nie wynikało dla Polski i dla Instytutu. W kraju nikogo nic nie obchodziło, co robiłem i do czego dochodziliśmy w dyskusjach. Co prawda, niedługo miało się okazać, że jednak się tym interesowano, tylko że wtedy chodziło o coś zupełnie innego...

Gospodarze dali mi do dyspozycji królewski apartament w Gresham, reprezentacyjnym hotelu Dublina. Miałem stumetrowy salon, wspaniałą łazienkę, sypialnię. Codziennie o piątej po południu przychodził lokaj i pytał się, czy życzę sobie, żeby zapalić ogień w kominku. W łazience wisiało 16 ręczników. Robiłem sobie zabawy, licząc, ile ręczników można zużyć dziennie. Nie mogłem przekroczyć liczby 8!

Mój salon służył jako miejsce spotkań kierownictwa konferencji. Tutaj rozstrzygaliśmy problemy i ustalaliśmy treść dokumentów. Było miło, ale czasami trudno. Pierwszy zgrzyt nastąpił już podczas oficjalnego otwarcia. Przybył legendarny prezydent Irlandii Éamon de Valera, wygłosił kilka słów i zostawił trochę swoich książek z autografami. Ale rozdano je tylko uczestnikom z krajów zachodnich. De Valera zastrzegł, że żadna jego książka z autografem nie może trafić za żelazną kurtynę w ręce komunistów.

A ja byłem z definicji jednym z nich. Organizatorzy znaleźli się w dużym kłopotcie. Nosili te książki pochowane pod marynarkami i rozdawali, gdy nie było w pobliżu żadnego z „komunistów”. Irlandia była wówczas bardzo antysowiecka.

To nastawienie dało o sobie znać podczas oficjalnego obiadu wydanego przez irlandzkiego ministra. Zgodnie z ustaleniami i protokołem, miałem odpowiedzieć na jego toast. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że zostałem posadzony nie blisko niego, ale z brzegu stołu, w bardzo miłym sąsiedztwie wszystkich żon oficjeli. Minister wygłosił toast, ale zwracał się jedynie do przedstawiciela ONZ, o mnie nie wspominając. Kiedy wstałem, żeby mu odpowiedzieć, okazało się, że siedzę tak daleko, że nawet kabel mikrofonu jest za krótki. Następnego dnia zapytałem Parricka, o co chodziło. Zaczął się strasznie śmiać. W Irlandii kampania wyborcza była w toku. Minister startował z list prawicowej partii katolickiej. I bał się, że jakkolwiek kontakt z komunistami może mu zaszkodzić. Postawił warunek, że nie może być sfotografowany z żadnym komunistą, więc musiałem siedzieć tak, żeby nie zmieścić się z nim w jednym kadrze.

Jednak pod koniec konferencji mieliśmy poważniejszą sprawę. Gospodarze zorganizowali dla nas trzydniową podróż wokół Irlandii, pozwalając pozostawić nam rzeczy w pokojach hotelowych. Przez ten czas protestanci z Irlandii Północnej

zrobili nalot na Dublin i podłożyli w pokojach hotelowych bomby, które wybuchły. Nie uczyniły nikomu nic złego, ale zdemolowały sąsiednie pokoje. W Gresham podłożono bombę nad pokojem delegacji sowieckiej. Ich pokój został zniszczony i ich rzeczy przeniesiono gdzie indziej. Po powrocie zaczęła się awantura. Najpierw zaprotestowali, że im ktoś rzeczy przeszukał. Gdy się dowiedzieli o bombie, problem znacznie się skomplikował. Powstało pytanie, czy bomba była skierowana przeciw Irlandczykom, a delegacja radziecka została poszkodowana przez przypadek, czy też uznać, że atak był skierowany przeciw Sowiecom?

Sowieckiej delegacji przewodniczył bardzo miły starszy pułkownik, zasłużony kombatant, odznaczony wieloma medalami. Przewodnictwo było jedynie nagrodą. Faktycznie ich delegację prowadził ktoś inny. Pułkownik stanął wobec konieczności wyboru, czy przyjąć przeprosiny i uznać sprawę za załatwioną, czy też zerwać konferencję i zrobić międzynarodową awanturę. Nie wiedział, co władza by wolała, a nie miał się kogo zapytać, bo w Dublinie nie było ich ambasady. Musiał zdecydować sam, a wiedział, że zła decyzja oznacza koniec jego kariery. Najwyżej jakaś posadka na prowincji. Było mi go żal – odważny żołnierz, a trząśł się ze strachu. W końcu jednak dał się przekonać, przyjął oficjalne przeprosiny rządu i konferencja zakończyła się normalnie, chociaż pod strażą policji.

Te wczesne lata siedemdziesiąte zapoczątkowały moje szerokie kontakty zagraniczne. Zaproszenia się sypały i problemem było, jak je połączyć z normalną pracą w Instytucie i jak rozgrywać skomplikowaną grę paszportową. Istniały wówczas odrębne paszporty służbowe i prywatne. Wyjazdy prywatne były obłożone tysiącem wymogów formalnych, zaproszeń, koniecznością udowodnienia legalnego pochodzenia pieniędzy. O wyjeździe służbowym decydował odpowiedni minister. I oczywiście UB. A poza tym panowała zazdrość powszechna. I łapownictwo. Dyrektor kadr mojego ministerstwa, gdy mi dawał paszport, jednocześnie dawał mi kartkę z zapisem tego, co mam mu przywieźć, płacąc moimi dietami. To były propozycje nie do odrzucenia. Czasami przywoziłem mu część zamówienia, aby się nie rozuchwalił zbytnio. Wtedy bardzo się obruszał.

Zorganizowanie międzynarodowej współpracy nie było łatwe. Droga przez biurokratyczną mękę. Przykładem może być współpraca z Belgami. Udało mi się ich namówić do podjęcia próby praktycznego zastosowania wspomnianej analizy progowej i zawarcia z naszym Instytutem w Polsce odpowiedniego porozumienia. Jednak się okazało, że aby je podpisać, trzeba było przejść całą drogę biurokratyczną przez ambasady i MSZ. To Belgów zupełnie nie interesowało.

Zapraszali więc naszych pracowników indywidualnie, w miarę potrzeb. Każdy wyjazd musiał być jednak zaakceptowany przez ministra, gdyż korzystaliśmy ze służbowych paszportów. Wniosek musiał zostać poparty oficjalnym zaproszeniem. Na jednym z tych zaproszeń mój przyjaciel zamiast oficjalnych tytułów napisał

„Dear Jurek”. Zrobiła się niebotyczna awantura. Musiałem się tłumaczyć, ale pan minister moich wyjaśnień nie przyjmował do wiadomości. Według niego coś się za tym kryło. W efekcie – paszportu nie otrzymałem. Pojechałem dopiero kilka miesięcy później i usiłowałem Belgom wytłumaczyć przyczynę opóźnienia. Nie chcieli uwierzyć, bo i oni podejrzewali istnienie jakichś innych powodów, do których nie chcę się przyznać.

Moje kontakty z zagranicą jednak stale się rozszerzały. Zacząłem być zapraszany na szereg kongresów i konferencji międzynarodowych. Zaprzyjaźniłem się z Michelelem Conanem, delegatem Francji do naszej Grupy Ekspertów. W 1974 roku dostałem od niego zaproszenie do Francji. Spędziłem cały miesiąc, częściowo w Paryżu, a częściowo na Uniwersytecie w Grenoble, gdzie prowadziłem zajęcia ze studentami. Razem z Francuzami i Staszkiem Broniewskim²³, który pracował w moim zakładzie, opracowaliśmy porównanie systemów planowania w Polsce i Francji.

W tym czasie bardzo interesowałem się nowatorskimi systemami gromadzenia danych. Ich brak był zgorądloną wszechkłącząca sprawą związaną z gospodarką przestrzenną. Jeszcze w czasie pobytu w Sztokholmie poznałem system szwedzki, który właśnie wprowadzano. Opierał się na trzech filarach: ewidencji ludzi, ewidencji działalności gospodarczej i ewidencji nieruchomości. Wszystkie trzy systemy były wzajemnie powiązane, tak że można było korelować zawarte w nich dane. Francuzi zaczęli też prace w tej dziedzinie. Mój przyjaciel oddał mnie pod opiekę eksperta i miałem z nim pojechać pod koniec pobytu do Marsylii.

Wymeldowałem się z hotelu, zabrałem wszystkie rzeczy i włożyłem je do kufra jego samochodu, którym pojechaliśmy na lotnisko. Samochód został w podziemnym parkingu na Orly, a my poleciliśmy do Marsylii. Zabrałem z sobą jedynie małą torbę z piżamą i szczotkę do zębów. Obejrzałem ciekawe prace rozwijające system szwedzki, a jednocześnie bardzo go upraszczające. Wróciliśmy do Paryża i... zastaliśmy na parkingu otwarty i pusty kufer. Wszystkie moje rzeczy zginęły! Co robić? Zgłoszenie na policję nic nie dało. Zapisali i powiedzieli, żeby na przyszłość nic w kufrze nie zostawiać. Następnego dnia mam wracać do Polski, jest sobota, nikt nie pracuje, a ja nawet biletów nie mam, bo zginęły z walizkami. Już nie mówię o zakupach, które zrobiłem z zaoszczędzonych pieniędzy. Rozpacz! Wtedy jeszcze linie lotnicze nie miały rejestru pasażerów i nie było możliwości uzyskania wtórnika biletu. Mój gospodarz zdecydował, że kupi mi bilet do Polski. Odwiozł mnie na lotnisko i dał mi swoją starą walizkę, bo jak powiedział, moja żona dostałaby palpitacji serca, gdyby mnie zobaczyła bez żadnego bagażu.

²³ Stanisław Broniewski (1915–2000) – legendarny przywódca Związku Harcerstwa Polskiego w okresie okupacji, kawaler Orderu Orła Białego.

Kilka miesięcy później, któryś z mych francuskich przyjaciół zawiadomił mnie, że zwróciła się do niego policja z pytaniem, czy mnie zna, bo coś mojego znaleziono. Okazało się, że w jednej z moich walizek była kartka z jego adresem. Uruchomiłem przyjaciół i odzyskałem jedną walizkę. Nawet jej złodziej nie przeszukał, bo pozostały jakieś wartościowe przedmioty. Ale druga zginęła bezpowrotnie. I oczywiście bez żadnego odszkodowania.

W 1974 roku skończyła się moja druga kadencja jako przewodniczącego Grupy Ekspertów. Zostałem jej szeregowym członkiem. Za rok zwalniała się pozycja wiceprzewodniczącego podkomitetu urbanistyki. Miałem propozycję ze strony sekretariatu EKG ONZ, aby ją objąć. Ale to zależało od tego, czy strona polska taką propozycję złoży. Musiałem czekać.

Udało mi się natomiast załatwić zgodę władz na zorganizowanie trzeciej konferencji na temat badań urbanistycznych w 1976 roku w Warszawie. Został wyznaczony zespół międzynarodowy, który miał przygotować podstawowy raport, aby stworzyć podstawy do dyskusji. W jego skład oczywiście wszedłem jako przyszły gospodarz Konferencji. Poza tym był w nim Uwe Wullkopf z Niemiec Zachodnich oraz Guy Palmade z Francji. Zaczęliśmy się spotykać i wspólnie pracować.

Zaczęliśmy też w domu wraz z Danką myśleć o przygotowaniu do życia naszych dzieci. Ówczesnie nie mogliśmy im zapewnić podstaw finansowych. Dlatego wyposażenie ich w wiedzę i doświadczenie stawało się tak ważne. A to wymagało dania im możliwości kontaktów z zagranicą. Ubecja przypominała ciągle o sobie. Joanna dostała odmowę paszportu do ciotki, bo Niemcy były krajem szczególnie nielubianym. Ale chcieliśmy dać jej jakieś wsparcie zawodowe związane z jej kierunkiem studiów. Pomógł nam nasz przyjaciel Gordon Cherry, profesor Uniwersytetu w Birmingham. Zaprosił ją do siebie i skierował do miejskiego biura urbanistycznego w Coventry. Spędziła tam rok, zarabiając na własne utrzymanie i zdobywając praktyczne umiejętności w lokalnych studiach. Wróciła i uzyskała warszawski dyplom magisterski.

Rozpoczęliśmy też z Danką wyjazdy wakacyjne. Odbyliśmy dwie duże podróże samochodowe. Jechaliśmy z namiotem, ale czasami spało się w jakimś hoteliku. Pojechaliśmy najpierw na południe, przez Wenecję, do Rzymu. A potem na daleką północ do Hamburga, przez Florencję, Genewę i Frankfurt. I w końcu powrót przez Berlin do Polski. A w rok potem nad Adriatyk. Przez Budapeszt i Belgrad dojechaliśmy górami aż nad granicę albańską, a następnie powoli wzdłuż wybrzeża jechaliśmy na północ, aż do Włoch. Pokręciliśmy się po Rumunii i wróciliśmy do Polski przez Dolomity i Wiedeń. Mieliśmy jednak problem. Pogoda była marna, więc chcieliśmy pobyt skrócić. Ale właśnie wypadały imieniny naszego syna. I obiecaliśmy, że nie będziemy mu przeszkadzać w ich zorganizowaniu w pustym domu. Musieliśmy więc jechać z Wiednia trzy dni, nocując co kilkaset kilometrów, aby

pokazać się w domu dopiero w niedzielę wieczorem, gdy już podstawowe sprzątanie będzie zrobione. Czego się nie robi dla dzieci! W tych latach trochę zaniedbaliśmy nasze wędrówki tatrzańskie.

Kontakty zagraniczne były istotne, ale kluczowe problemy rozgrywały się w kraju. Nowa polityka Gierka zakładała otwarcie na koncepcje z Zachodu i poszukiwanie efektywnych form działania. Zmiany powoli doszły i do naszego Instytutu. Objęły również mnie. W 1972 roku zostałem powołany na stanowisko wicedyrektora Instytutu, odpowiedzialnego za sprawy naukowe. Było to duże wyróżnienie, ale i duża odpowiedzialność. Dlaczego wybrano właśnie mnie? Być może zaważył fakt, że byłem jedynym pracownikiem Instytutu, który miał habilitację, i rozpoczął się proces mojej nominacji profesorskiej. A może moja już dość mocna pozycja naukowa? A może fakt, że ci partyjniacy, którzy mnie nie lubili, przestali się liczyć? Nie wiem. Ale jednak dostałem propozycję i ją przyjąłem.

W mojej filozofii życiowej odmowa świadczyłaby o dezercji i zaniechaniu czegoś, co może być pozytywne. Wkrótce jednak okazało się, że byłem naiwny. Znalazłem się bowiem w sytuacji dość szczególnej. Dyrektorem został pracownik Komitetu Centralnego, zresztą bardzo miły pan. Specjalizował się w rozwiązywaniu krzyżówek. Codziennie rano dostawał świeżą prasę, więc miał co robić przez parę godzin. Potem wychodził. Cała reszta, czyli merytoryczne prowadzenie Instytutu, spadała na mnie. Trochę powtarzała się sytuacja z przedsiębiorstwa budowlanego sprzed 20 lat.

Chciałem zrealizować swoją wizję Instytutu. Widziałem, jak instytuty naukowe pracują za granicą, chciałem to wprowadzić w Polsce. Trzeba było jednak przełamać nawyki i sposoby myślenia. Chciałem natchnąć ludzi jakąś wspólną ideą. Chciałem zbudować programy współpracy międzynarodowej. Ale napotykałem kolosalny opór. Wszyscy się bali i właściwie wszystkim chodziło tylko o to, aby nadal pracować tak jak dotąd i mieć święty spokój. Moją sytuację skomplikował też fakt, że drugim wicedyrektorem, który miał w jakiś sposób zrównoważyć mnie jako bezpartyjnego, został architekt z Wrocławia, mocno partyjny, co mi nawet nie przeszkadzało. Przeszkadzało natomiast to, że był nieuczciwy we współpracy, co wykluczało niezbędne zaufanie.

Żeby coś zmienić, musiałem zreorganizować Instytut. Zacząłem debatę o jego celach. Na nie oczywiście wszyscy się zgodzili, bo nie wiedzieli, co z tego wyniknie. Opór wzrastał, gdy przechodziliśmy do szczegółów. Ale ja dowodziłem, że skoro wszyscy się zgodzili na cele, to organizacja jest naturalną konsekwencją tamtych uzgodnień. Przeprowadziłem nowy podział. Było mi przykro, że kilku dobrych kolegów potraciło swoje kierownicze funkcje. Ale mnie chodziło o rzeczywistą zmianę Instytutu. Musiałem awansować kilku młodszych pracowników, którzy mieli lepsze kwalifikacje naukowe. Rok 1974 zaczynałem z większymi nadziejami. Ale wtedy wszystko się zawaliło.

Funkcje dyrektorskie zmuszały do kontaktów z SB. Zaraz na początku nasz kadrowy przyprowadził do mnie dość eleganckiego pana, który się przedstawił jako opiekun Instytutu z ramienia SB i zaoferował mi swoje usługi. Podziękowałem i powiedziałem, że jak będzie potrzeba, to się z nim skontaktuję. Nigdy jakoś takiej potrzeby nie odczułem. Natomiast on się w Instytucie pokazywał. Na szczęście kontaktował się tylko z dyrektorem. Do mnie w ciągu dwóch lat mego urzędowania przyszedł może ze dwa razy z konkretnymi pytaniami dotyczącymi normatywów urbanistycznych i skutków ich stosowania.

Obowiązywała wówczas teoria, że koncentracja instytucji sprzyja efektywności i rozwojowi. Co duże, to i piękne, i efektywne. Postanowiono więc połączyć cztery instytuty, tworząc jeden monstrualny Instytut Kształtowania Środowiska, zatrudniający ponad 1200 pracowników. Obejmował tak różne dziedziny, jak architektura, urbanistyka, transport miejski czy oczyszczanie ścieków. Nie mógł oczywiście sprawnie działać, ale przecież nie o to chodziło, tylko o to, aby realizować linię partii, a ta kazała scalać. Pamiętam, jak nam tłumaczono, że połączenie instytutów zwiększy efektywność. Jako przykład wskazywano, że w każdym z instytutów jest pracownik zajmujący się sprawami socjalnymi. Jak się je połączy, to zamiast czterech wystarczy trzech. Praktyka temu zaprzeczyła. Nie tylko pozostało czterech pracowników, ale jeszcze trzeba było powołać piątego jako ich kierownika.

Operację połączenia traktowano jako sprawę ściśle polityczną. A to wymagało zidentyfikowania wrogów. Wybór padł na nasz Instytut. Uznano, że właśnie my jesteśmy tym środowiskiem, które się sprzeciwia fuzji i ją blokuje. Rzeczywiście mówiliśmy głośno, że ta decyzja jest wątpliwa. Uznano więc, że należy nas rozbić. Widziałem specjalny plan podziału pokojów w nowym lokalu. Jednym z kryteriów było, aby zespoły pracowników naszego Instytutu zostały tak rozrzucone, żeby się ludzie nawet przypadkowo nie kontaktowali. Przeprowadzka odbyła się w sposób brutalny. Przyszli ludzie, spakowali moje rzeczy, gdzieś zabrali. Wchodzę potem do nowego budynku, widzę rozdarty worek, stertę zdeptanych papierów – to były moje papiery, moja praca. Ale nikogo to nie obchodziło.

Powstał problem, jaką funkcję mam objąć w nowym Instytucie. Zaproponowano mi, żebym przejął kierownictwo któregoś zakładu. Stanowczo odmówiłem. Przecież kilka miesięcy temu zrobiłem reorganizację i mianowałem nowych kierowników. I teraz miałbym usunąć któregoś z nich, aby zająć jego miejsce? To kłóciło się z moim pojęciem etyki. Zaproponowałem stworzenie odrębnego stanowiska koordynatora tzw. programu węzłowego. Był to program rządowy, który objął większość badań prowadzonych przez nasz Instytut. Jako wicedyrektor naukowy w sposób oczywisty go koordynowałem. Dla mnie to nie było dobre rozwiązanie, bo program kończył się wkrótce. Ale dawało mi trochę czasu na zastanowienie się. A poza tym nikomu z moich dawnych kolegów nie szkodziłem.

Atmosfera w nowym Instytucie była paskudna. Dyrektora był Adolf Ciborowski, znany urbanista, a przede wszystkim organizator ze światową renomą. Ale chyba był już zmęczony karierą i wrócił do kraju, żeby trochę odpocząć. Jako człowiek mocno partyjny opierał się na partyjnych towarzyszach. A w takim molochu, jak nowy Instytut, o wiele więcej zależało od działań niższych szczebli niż od decyzji dyirekcji. Ja znowu zostałem uznany za co najmniej podejrzanego, jeśli już nie za wroga klasowego. Dobrze to ilustruje historia z moją profesurą. Procedura została rozpoczęta jeszcze w Instytucie Urbanistyki i Architektury i jakoś po cichu, własnym rozpędem toczyła się nadal. Chyba jej nikt z nowego Instytutu jakoś nie zauważył i nie wstrzymał. W listopadzie 1974 roku dostałem zaproszenie do Belwederu, gdzie Henryk Jabłoński, jako przewodniczący Rady Państwa, wręczył mi dyplom profesora nadzwyczajnego nauk technicznych. Byłem przecież inżynierem z wykształcenia.

Nominacja ta była bardzo nie w smak instytutowym ubekom. Zablokowali więc mój awans ze stanowiska docenta na profesora, który powinien być, zgodnie z prawem, automatyczny. Ale okazało się, że prawo nic nie znaczy. Byłem więc profesorem na stanowisku docenta przez cały następny rok, aż do kolejnej awantury.

Wiosną 1975 roku dostałem dwa zaproszenia. ONZ zaprosił mnie jako eksperta na konferencję w Finlandii poświęconą badaniom nad mieszkalnictwem. Wraz z przedstawicielem Finlandii miałem opracować raport o stanie mieszkalnictwa w Europie. Podczas konferencji mieliśmy go zakończyć, aby mógł być przedstawiony na forum Komitetu, a więc stosunkowo wysokiej instancji w strukturze ONZ. Bezpośrednio przedtem zostałem zaproszony do Niemiec na robocze spotkanie zespołu opracowującego podstawowy raport na trzecią konferencję poświęconą badaniom urbanistycznym, która miała się odbyć za rok w Warszawie.

Przygotowanie wspólnego raportu wymagało dużo pracy, którą nasi ubowcy strasznie komplikowali. Każdy roboczy tekst, który wysyłałem za granicę, przechodził ich kontrolę i musiał uzyskać ich akceptację. Wtrącali się we wszystkie szczegóły i utrudniali, jak mogli, bo mnie bardzo nie lubili. Zdecydowaliśmy więc, że się spotkamy za granicą i popracujemy wspólnie. Zaproszenie, które było konieczne w celu otrzymania paszportu, przysłał mi Uwe Wullkopf, dyrektor instytutu z Darmstadt i współautor raportu. Kiedy wystąpiłem o paszport służbowy, nasz ubek sprzeciwił się, twierdząc, że to nie jest wyjazd służbowy, bo ja nie reprezentuję instytucji, tylko mamy pracować jako indywidualni eksperci. Ale ofiarował się, że załatwi mi paszport prywatny. Nie zdawałem sobie sprawy, że szykuje pułapkę.

Postanowiłem pojechać samochodem, bo jechałem na własny koszt. Kiedy przyjechałem na granicę do Świecka, straż graniczna już na mnie czekała – miała jasne wytyczne, aby mnie zatrzymać. Przeprowadzili dokładną rewizję. Wszystkie papiery zabrali na strażnicę. Potem przesłuchanie. Co wiozę? I po co? Telefony

do Warszawy. Dokładne omawianie, jakie publikacje mam ze sobą itd. Po paru godzinach pozwolili jechać, ale zatrzymali wszystkie papiery, notatki, a nawet książki. Do Darmstadt dojechałem dopiero w nocy.

Spotkanie było ciekawe i owocne. Joanna przyjechała na kilka dni z Coventry. Ale nie wiedziałem, co mnie czeka po powrocie. Chciałem znaleźć się w Warszawie jak najszybciej. Miałem bowiem jeden dzień, aby wymienić paszport na służbowy i następnego dnia lecieć do Helsinek na konferencję EKG. Nie wiedziałem, czy dostanę paszport. Ale jak wróciłem, nikt o nic nie pytał. Paszport dali i poleciałem.

Gdy wróciłem do Warszawy, już trwało piekło. Nasz ubek roztrząbił, że wyjeżdżając prywatnie, usiłowałem nielegalnie wywieźć ważne dokumenty. Wszyscy przyjaciele w Instytucie zaczęli mnie unikać. Stałem się zadżumionym. Dotknięcie mnie mogło zarażać. Nikt nie chciał ze mną o niczym rozmawiać. Wszystkie drzwi były zamknięte. Straszne uczucie. Wtedy poznałem, jak mało znaczą tzw. przyjaźnie, które są dobre, gdy człowiek jest na górze, a nic niewarte, gdy się wpadnie w dołek.

Służba graniczna przesłała do Instytutu wszystkie zatrzymane materiały, bo nic w nich nie znalazła. Ale nasz ubek, pan Wartak, rozrabiał dalej. Spowodował, że te materiały po drodze zostały zawrócone. Nie trafiły do Instytutu, tylko do SB, które zaczęło dochodzenie. Skończyło się niczym i dokumenty dostałem z powrotem, ale dopiero po paru miesiącach, gdy mnie już w Instytucie nie było. Wartak mógł sobie zaliczyć sukces w walce z wrogiem.

Podjąłem szybką decyzję o wyniesieniu się z Instytutu. Uniwersytet Łódzki od paru lat mnie namawiał do przejścia do nich i objęcia kierownictwa zakładu i kierunku studiów, który właśnie uruchamiali. Dyrektor Instytutu, Adolf Ciborowski, moją rezygnację przyjął prawie entuzjastycznie. Miał kłopot z głowy. Oczywiście moje kontakty zagraniczne zostały przerwane. Wycofano mnie z prac EKG. Na to wszystko nałożył się protest delegacji sowieckiej dotyczący naszego raportu w sprawie mieszkalnictwa. Otóż w ostatecznej redakcji Fin dodał na początek raportu zdanie: „Wszystkie kraje przechodzą obecnie duże trudności w dziedzinie budownictwa mieszkalnego”. Delegacja sowiecka zaprotestowała: w ZSRR nie ma żadnych kłopotów. I zaraz zapytali, kto pisał. Wyszło, że Polak. No to Polaka po łbie... Skończyła się nadzieja na dalsze kontakty i uczestnictwo w pracach ONZ, a także na objęcie następnych funkcji.

Musiałem rozstrzygnąć sposób rozejścia się z Instytutem w Warszawie. Byłem koordynatorem programu badawczego, w który zaangażowało się kilka zakładów. Chciałem jak najszybciej zerwać wszystkie kontakty z Warszawą. Ale co wtedy stałoby się z programem? Zwyciężyło poczucie obowiązku i zobowiązania w stosunku do wszystkich uczestniczących w badaniach. Zacisnąłem zęby i jeszcze przez pół roku spędzałem w Instytucie po kilka godzin tygodniowo, mimo że byłem narażony na różne szykany. W takich sytuacjach najgorsi są młodzi ludzie, którzy w nagłym

poczuciu bezkarności wyładowują swoje kompleksy na osobach nie mogących się bronić. Ja też byłem przedmiotem takich głupich zagrywek. Pewnego dnia, gdy przyszedłem do swojego pokoju, okazało się, że już tam siedzi kto inny, moje biurko jest zajęte, ktoś wyjął z niego moje papiery i położył gdzieś na półce. Zastanawiałem się wielokrotnie, czy nie rzucić tego wszystkiego i po prostu przestać zajmować się tym programem. Ale jednak uznałem, że jeżeli się czegoś podjąłem, to powinienem doprowadzić to do końca. I doprowadziłem. Program zakończyliśmy publikacją.

Najdziwniejsze było to, że mało kto spośród znajomych rozumiał moje poczucie obowiązku. Wiceministrem nadzorującym Instytut był wtedy Czesław Kotela. Zналиśmy się wiele lat i łączyły nas koleżeńskie stosunki jeszcze z czasów mojej pracy w Komitecie Urbanistyki i Architektury. Kończąc zaangażowanie w pracach w Genewie, uważałem za swój obowiązek przekazać mu swoje sugestie dotyczące ich kontynuacji przez mojego następcę. Napisałem więc do niego list z wykazem spraw, które są w toku, i swoimi sugestiami, co należy dalej robić. Odpowiedzi nie otrzymałem. A z prywatnych przecieków dowiedziałem się, że zostało to uznane za natarczywość i arogancję. „Myśmy go wyrzucili, a on jeszcze śmie nam coś tam pisać...”.

Moje odejście z EKG nie zmieniło decyzji o konferencji na temat badań urbanistycznych, zaplanowanej na 1976 rok. Ale problem polegał na tym, że byłem powołany przez sekretariat EKG ONZ na członka zespołu opracowującego podstawowy raport. Musiałem więc w niej wziąć udział i zabierać głos jako przedstawiciel Polski. Polskie władze musiały mnie włączyć w skład delegacji. To było trudne do zniesienia dla ministerstwa, dyrekcji Instytutu, a przede wszystkim dla wszystkich ubowców. Trudno opisać, jak oni mnie w czasie tej konferencji pilnowali i szykanowali. Oczywiście polską obecność w tych organach ONZ utrupili kompletnie. Wszystkie kontakty pozrywali. Ale czujność socjalistyczna zwyciężyła. Może nasz ubowiec, pan Wartak, dostał awans i premię?

Ale sprawy rozejścia się z Instytutem i EKG stanowiły dopiero początek. Odżyła dawna nieufność i podejrzliwość. Znowu byłem zakwalifikowany jako wróg. A wroga trzeba niszczyć i eliminować go z życia. A do tego nie wystarczała kontrola na polu zawodowym. Wroga trzeba niszczyć wszędzie, gdzie to możliwe. Najdotkliwiej można go uderzyć, celując w rodzinę. Tak też postąpił nasz instytutowy ubowiec.

W 1975 roku nasz syn Michał zdał maturę i startował na biologię. Chciał być mikrobiologiem. Już od pierwszych klas liceum zajmował się doświadczeniami genetycznymi na muchach. Mieliśmy dom pełen pająków, bo co pewien czas te muchy mu uciekały z probówek. W szkole nie miał wysokich notowań. Zawsze zrobił coś według swego uznania, a nie w zgodzie z regulaminem czy wolą nauczycieli. Największa awantura była w połowie przedostatniej klasy, gdy musieliśmy go przenieść do innego liceum. Dyrektor złapał go z papierosem – nie w toalecie, co byłoby jeszcze wybacalne, ale przed otwartymi drzwiami do ubikacji, co zostało uznane

za arogancję. On nie mógł zrozumieć, dlaczego gdyby stanął krok do tyłu, to byłoby dobrze, a że stał tam, gdzie stał, to było źle. Pewnie też nie dość się ukorzył przed dyrektorem, bo jak nam tłumaczył, jeśli wolno palić w toalecie, to dlaczego nie w drzwiach do niej. W nowej szkole nie było lepiej. Najgorsze stosunki miał właśnie z nauczycielką biologii, bo uważał się za mądrzejszego od niej. Jeszcze na ostatniej wywiadówce w szkole tłumaczyła mi, że nie każdy musi iść na studia i żebyśmy się poważnie zastanowili nad skierowaniem go do szkoły zawodowej.

Jednak wystartował. O miejsce starało się kilkunastu kandydatów i jedyną szansą było uzyskanie średniej ponad 4,75 (przy pięciopunktowej skali ocen). Wtedy zgodnie z regulaminem musiał być przyjęty. Przy niższym wyniku wchodziły w grę preferencyjne punkty za pochodzenie społeczne, które go eliminowały. Poprzeczka była ustawiona wysoko. Zaczęło się dobrze. Wyniki publikowano po każdym egzaminie, więc optymizm rósł. Pięć, pięć oraz cztery i pół dawało średnią 4,83 i regulaminowe miejsce na studiach. W niedzielę wieczorem miały być wywieszane listy. Pojechaliśmy razem z Michałem, żeby móc uczcić sukces. Jakież było nasze przerażenie, gdy zobaczyliśmy, że na wywieszanej liście go nie ma!

W poniedziałek rano jadę z Michałem do dziekanatu. Tam konsternacja kompletna. Oczywiście, że zdał i jest na liście – mówią nam. Ale gdy lista poszła do zatwierdzenia przez rektora Zygmunta Rybickiego, dostaliśmy polecenie wyłączenia go z listy, bo są podobno poważne zarzuty. Idę do rektora. Przyjmuje mnie zaraz, ale niewiele wie albo nie chce mówić. Na dwa miesiące przed egzaminami dostał listę nazwisk osób, które mają być nieprzyjęte na uczelnię. Oznaczało to, że dla tych kandydatów egzamin był fikcją. Oni mieli go nie zdać. Z większością osób z tej listy nie miał problemu. Dostali oceny niższe i po prostu odmówiono im miejsca. Nie wie, co zrobić z Michałem. Musi go przyjąć, ale ma zakaz. Obiecał, że będzie wyjaśniał. Prosił, żebym nigdzie nie interweniował, bo to tylko utrudni sprawę. Wyszedłem rozbity i zupełnie bezradny. Czy wierzyć Rybickiemu? Ma w środowisku jak najgorszą opinię człowieka zaprzędanego systemowi. Co robić?

W domu przesłuchujemy Michała. Może coś powiedział? Może wdał się w awanturę na jakiejś prywatce? Może narkotyki, wódka? A może przynależność do jakiejś organizacji politycznej? Nie pamięta niczego, co mogłoby stworzyć podstawy do takiego zakazu. Czuje, że pętla się zaciska. Moje trudności w pracy, organizacja nowego zatrudnienia w Łodzi, dojazdy, nowe zadania. A tu nie tylko niepewność co do studiów, ale i realne zagrożenie wojskiem. Było oczywiste, że bezpośrednim skutkiem odmowy studiów będzie powołanie syna do wojska na dwa lata i takie zorganizowanie mu służby, aby go zniszczyć. System potrafi się mścić. Zaczynałem rozumieć, że uderzenie w Michała jest skutkiem ataków na mnie.

Mijały dni i tygodnie, nic się nie działo. Z Danką podejmowaliśmy jakieś głupie roboty domowe, tylko żeby zabić czas i nie myśleć. Michał wyjechał nad morze,

a my dosłownie chodziliśmy po ścianach. Bezradność kompletna. Świat się wali, a my na to nic nie możemy poradzić. Kafka do potęgi. Po miesiącu byłem już u kresu wytrzymałości. W końcu któregoś ranka telefon zadzwonił i jakiś głos powiedział, żeby student Regulski zgłosił się na obowiązkowe praktyki robotnicze. Poszedłem do rektora. Nie chciał ze mną rozmawiać. Ja domagałem się jednak wyjaśnień. Dowodziłem, że jako ojciec mam obowiązek wyjaśnić synowi przyczyny zaistniałej sytuacji. Pomachał tylko rękami i powiedział, że to ja jestem wszystkiemu winien. Ale nie dowiedziałem się, na czym moja wina polegała. Kiedyś później Rybicki jednemu ze znajomych powiedział, że z tak paskudną prowokacją jak ta, to on nigdy przedtem się nie spotkał.

Nasze życie ułożyło się na nowo. Michał zaczął studiować. Joanna wróciła do kraju i wkrótce skończyła studia. Danka nadal pracowała jako redaktor, prowadząc wydawnictwo na Wydziale Architektury. A ja zacząłem dojeżdżać do Łodzi na trzy dni w tygodniu. Ale głęboka rana po tym kryzysie pozostała. Moje dyrektorstwo było tylko wydarzeniem przejściowym. Znowu zostałem zakwalifikowany jako osoba podejrzana, której trzeba pilnować i której nie wolno dać zrobić nic pozytywnego. Świadomość, że efekty mojej pracy zostały zniszczone, a możliwości, które wypracowałem, zaprzepaszczone, była trudna do zniesienia. I zupełnie odbierała chęć do dalszej pracy. I właśnie takie wydarzenia spowodowały śmierć dawnego ustroju.

Przepracowałem w Instytucie Urbanistyki i Architektury szesnaście lat – od 1959 do 1975 roku, przechodząc wszystkie szczeble. Wszedłem do niego jako magister i szeregowy pracownik badawczy, wychodziłem jako profesor i szef naukowy. Awanse były rezultatem mojej pracy i moich inicjatyw. Nikomu nic nie zawdzięczałem. Pracowałem, bo starałem się możliwie szybko nadrobić czas, jaki straciłem wcześniej za sprawą reżimu. W 1963 roku zrobiłem doktorat, w 1969 – habilitację, a w 1974 uzyskałem tytuł profesora nadzwyczajnego. Ale z życiem zawodowym przez cały czas przeplatały się nagonki polityczne. I one spowodowały, że niewiele zostało z mojej pracy w Instytucie. Takich sytuacji, gdy widziałem, jak niszczy to, co budowałem, niestety miałem w życiu sporo. Warto wtedy mieć swoją filozofię, wiedzieć dokładnie, co należy uratować, co jest ważne. A przede wszystkim trzeba wierzyć, że to, co się robiło, miało mimo wszystko sens, i trzeba być silnym, aby nie dać się zniszczyć i psychicznie przetrzymać porażkę. Trzeba zachować wiarę w siebie, ale nie traktując tego jako celu samego w sobie. Od człowieka bowiem ważniejszy jest cel, któremu chce on służyć. Nade wszystko trzeba mieć głębokie przekonanie, że się jest silniejszym niż okoliczności i że się przetrzyma złą chwilę. Ale trudno dokonywać tego w samotności. Bardzo dużo zawdzięczam swojej żonie. Danka była zawsze przy mnie, wspierając, gdy tego potrzebowałem. Każdy kryzys przechodziliśmy razem i razem cieszyliśmy się z jego pokonania. Była zawsze oparciem dla mnie i mojej pracy.

18.

**Ekonomista na uniwersytecie
(1975-1979)**

P

rzejście na Uniwersytet Łódzki otworzyło nowy etap mego życia. Gdy byłem młodszy, zawsze marzyłem, aby móc się włączyć w zespół zaprzyjaźnionych kolegów, współpracujących ze sobą pod opieką starszego profesora. To marzenie nigdy się nie ziściło. Ciągłe zmieniałem zawody i środowiska. Nigdy nie znalazłem promotora, który mógłby być moim opiekunem naukowym. Czas biegł. Młodość minęła. Teraz sam miałem się stać tym promotorem dla młodszego pokolenia. Nowa rola. Nowa odpowiedzialność.

Konieczność cotygodniowych dojazdów do Łodzi wymagała przeorganizowania życia domowego. Wyjeżdżałem w poniedziałek po siódmej rano. Jeszcze nie istniał Dworzec Centralny. Pociągi zatrzymywały się na przystanku w wykopie bez zadarszenia. Jak było zimno czy łało, to człowiek marzył. I kłął. Pociągi nie miały miejscówek, panował w nich tłok. Zdobycie miejsca siedzącego wymagało sprawności fizycznej. W Łodzi pracowałem cały dzień, zwykle do ósmej, dziewiątej wieczorem. Potem nocleg w domach gościnnych Uniwersytetu, w podłych warunkach. Wtorek znowu od rana do wieczora. W środę udawało się na ogół wyjechać koło południa. A od czwartku musiałem załatwiać sprawy warszawskie i pracować nad książkami, bo w Łodzi nie było na to ani czasu, ani warunków.

Profesor Goryński przywiózł mnie i zainstalował w Zakładzie Ekonomiki Budownictwa, który miał się zajmować również gospodarką przestrzenną i komunalną. Ale wkrótce stworzono całkiem nowy zakład, którego kierownictwo mnie powierzono. Ochrzczono go Zakładem Ekonomiki Rozwoju Miast. Otrzymałem więc własne gospodarstwo. Dano mi też do dyspozycji odrębne mieszkanie w starej kamienicy, jako lokal Zakładu. Stan techniczny był fatalny, ale był za to spokój, który sprzyjał integracji zespołu. Musiałem sobie stworzyć nową filozofię życia i nowe cele pracy. Różnica między instytutem resortowym a uniwersytetem jest ogromna. W Instytucie byliśmy zaangażowani w bieżące problemy, nasze prace miały służyć praktyce. I jakkolwiek w rzeczywistości nie miały na nią dużego wpływu, to jednak byliśmy związani z bieżącymi wydarzeniami. Na Uniwersytecie nie było nawet śladów tej łączności, a mnie nie pociągały badania oderwane od rzeczywistości. Ale musiałem określić kierunek naukowy Zakładu. Istniejące na innych uniwersytetach odpowiedniki zajmowały się tzw. gospodarką komunalną, czyli organizacją przedsiębiorstw miejskich i usługami. To było nudne i tak marginalne, że nie warto byłoby się tymi problemami zajmować. Poza tym miało strasznie socjalistyczny charakter. Musiałem również dostosować się do reguł panujących na Wydziale Ekonomicznym. Kolejny raz zmieniłem zawód. Już nie byłem inżynierem ani urbanistą. Stałem się ekonomistą, i to od razu profesorem ekonomii, mimo że nigdy w życiu jej nie studiowałem. Musiałem uważać, aby nie popełnić jakichś gaf.

Powoli wykształciliśmy sferę swoich zainteresowań. Była to ekonomika miasta. Za granicą istniała odrębna dziedzina: urban economics. Ale w Polsce ani w żadnym innym kraju tzw. realnego socjalizmu nawet śladów jej nie było. U nas wszystko miało być planowe. Również zachowania ludzi musiały być podporządkowane ustaleniom planów. Tymczasem ekonomika miasta opierała się na założeniu, że ludzie i przedsiębiorstwa dążą w zachowaniach do maksymalnego zaspokojenia swych potrzeb i uzyskiwanych korzyści, a więc wykorzystują kryteria ekonomiczne, odnosząc je do siebie indywidualnie. To było trochę w poprzek obowiązującego sposobu myślenia, traktującego wszelkie indywidualne zachcianki jako zjawisko pejoratywne, sprzeczne z „wielkimi ideami socjalizmu”. Nasze rozumowanie szło w kierunku tworzenia modelu miasta jako złożonego systemu, który się rozwija w wyniku niezależnych działań ludzi i podmiotów gospodarczych, będących autonomicznymi elementami tego systemu.

Gospodarka miała polegać na koordynacji czy ukierunkowywaniu tych działań tak, aby system się rozwijał we właściwym kierunku, a nie tylko na narzucaniu planowych zachowań. Gdy się to teraz opisuje, wygląda to łatwo i klarownie. Jednak praca nad stworzeniem tej drogi myślenia wcale łatwa nie była. Należało się wyzwolić z obowiązujących ram myślowych i spojrzeć na procesy, jakie zachodziły

w rzeczywistości, a nie na te założone w planach. Brakowało przy tym jakichkolwiek podstaw teoretycznych. Bo weszliśmy w zupełnie niezagospodarowaną lukę między urbanistyką a planowaniem z jednej strony i nauką ekonomii z drugiej. Dorobek ani jednej, ani drugiej dziedziny nie stwarzał podstaw do rozwijania naszej myśli. Dlatego nasza droga była trudna i dość wolno nią się posuwaliśmy. Ale za to było ciekawie. I udało się. Później mówiono nawet w tym kontekście o szkole łódzkiej.

Trudno mi było znaleźć motywację do pracy. Doświadczenia ostatniego okresu przekonały mnie, że nie ma żadnych szans, aby wpłynąć na zmianę systemu istniejącego w kraju. Zniszczono to, co chciałem zbudować. Zostałem odepchnięty od jakichkolwiek działań, które miałyby sens praktyczny. I jednocześnie miałem pełną świadomość, że system jest silny i w najbliższym czasie nic mu nie zagraża. Byłem przekonany, że umrę w komunizmie. Więc po co pracować? Uznałem, że moim celem powinno być kształcenie młodszego pokolenia, aby zachować w nim walory, które mogą się przydać w dalekiej przyszłości, gdy powstanie szansa na zmiany. Taką możliwość teoretycznie uniwersytet otwierał. Ale tylko teoretycznie. Aby stworzyć coś praktycznego, trzeba było wykonać wielką pracę, i to samemu, z własnej inicjatywy i na własny rachunek. Uniwersytet to zbiorowisko odrębnych gospodarstw, prowadzonych przez poszczególnych profesorów. Współpraca nie istniała, bo każdy zazdrośnie skrywał to, co miał, aby mu inni nie zabrali.

Poziom naszych studentów był strasznie niski. Kierunek gospodarki komunalnej, który prowadziliśmy, miał – i słusznie – bardzo niski prestiż wśród studentów. Więc szli na niego najgorsi. Wszelkie próby stworzenia jakichś kół zainteresowań czy seminariów tematycznych załamały się bardzo szybko. Skupiłem się więc na zespole asystentów. Chciałem w nich widzieć swoich kontynuatorów. Starałem się dawać im szanse kontaktów w kraju i za granicą.

Na początek dostałem do współpracy trójkę: Olę Jewtuchowicz, Tadeusza Markowskiego i Piotra Burego. Uruchomiliśmy ich prace doktorskie. Ich wspólnym kierunkiem była kwestia korzyści zewnętrznych, a więc korzyści, jakie przedsiębiorstwa czy ludzie uzyskiwali w wyniku wydarzeń zachodzących wokół nich czy w wyniku działalności innych podmiotów. Dążenie do maksymalizacji tych korzyści stanowi klucz do wyboru lokalizacji własnej działalności, a ich tworzenie powinno stanowić podstawowe narzędzie sterowania rozwojem miast. Nie istniały jednak w Polsce niezbędne podstawy teoretyczne. Trzeba było je stworzyć. Ale nie chciałem ich budować jedynie na podstawie dywagacji oderwanych od rzeczywistości. Rozumiałem zawsze, że teoria powinna polegać na uogólnianiu zjawisk zachodzących w rzeczywistym świecie, a nie na wymyślaniu jakichś konstrukcji myślowych w zamkniętych gabinetach. Teoria ma pozwalać lepiej rozumieć rzeczywistość i do niej dostosowywać postępowanie. Dlatego równoległe z dyskusjami prowadziliśmy

badania empiryczne dotyczące rozwoju miast w środkowej Polsce. Udało się. Doktoraty zdobyli szybko. Miałem satysfakcję na ich obronach w trzech kolejnych latach.

Autonomia uniwersytecka pozwalała na samodzielne prowadzenie działalności naukowej. Dawała również możliwości organizowania własnych kontaktów zagranicznych. Uniwersytet interesował się jedynie tym, aby nie ponosić kosztów dewizowych. Jeśli nie było kosztów, mogliśmy robić, co tylko chcieliśmy. I robiliśmy.

Moje dotychczasowe kontakty zagraniczne stanowiły dobry punkt startu. Już we wrześniu dostałem zaproszenie na konferencję do Nowego Jorku w związku ze swoją dotychczasową pracą dla ONZ. Ale nie zdecydowałem się jechać. Moje sprawy w Warszawie jeszcze się nie zakończyły, a musiałem wystąpić o paszport służbowy już przez Uniwersytet.

Nie wiedziałem, jak władze zareagują, a nie chciałem sprowokować nowych kłopotów. Odmówiłem, chociaż to była wielka pokusa, ale bałem się ryzykować. Zapropnowałem na swoje miejsce Michela Conana z Paryża. Pojechał i w wyniku nawiązanej współpracy przeniósł się na stałe do Stanów.

Już wcześniej skierowałem do Łodzi młodego wykładowcę z Politechniki Oksfordzkiej, który szukał kontaktów do wymiany młodzieży. Teraz, kiedy sam znalazłem się w Łodzi, rozwinęliśmy współpracę z Politechniką Oksfordzką, specjalizującą się m.in. w planowaniu przestrzennym. Była więc bardzo cennym partnerem. Szeroki program współpracy umożliwił wyjazdy i staże w Oksfordzie wszystkim pracownikom Zakładu.

Nawiązaliśmy również bliskie kontakty z Uniwersytetem w Birmingham dzięki memu przyjacielowi Gordonowi Cherry'emu. Tutaj jednak sprawy potoczyły się trochę inaczej. Cherry chciał zawrzeć formalną umowę między uniwersytetami. Zrobiliśmy to i wszystko szło dobrze tak długo, jak długo ten program był w moich rękach. Jednak kilka lat później zmniejszyłem swoje zatrudnienie do pół etatu, co dało pretekst, by opiekę nad tą współpracą przejął kto inny. I to stało się początkiem jej końca. Aby współpraca prosperowała, trzeba być aktywnym i stale wносить jakieś nowe elementy. Jabłka same do kosza nie wpadają. A jak się nie ma pomysłów, to współpraca powoli zamiera. I tak się stało w tym przypadku.

Kontakty zagraniczne wynikały również z porozumień międzyuniwersyteckich. Uniwersytet miał ich sporo. Jednym ze stałych partnerów była Szkoła Ekonomiczna w Berlinie. Współpraca z uniwersytetami z NRD stanowiła obowiązek polityczny. Dla wielu zakładów była to rzadka okazja do kontaktów międzynarodowych. Dla naszego był to raczej ciężki obowiązek. Mieliśmy wielu innych, bardziej interesujących partnerów. Ale ten obowiązek musieliśmy podjąć, aby się nie narażać kierownictwu Uniwersytetu.

NRD-owcy mieli dość dziwne pojęcie o tym, czym są badania i czemu mają służyć. Ich raporty zaczynały się zwykle od słów: „Ostatnie Plenum Partii ustaliło...” – tu następował cytat. Tekst służył jedynie uzasadnieniu, że decyzja plenum była słuszna, oraz omówieniu, jak ją należy realizować. Oczywiście to podejście bardzo odbiegało od naszego sposobu myślenia. Niczego nie mogliśmy się od nich nauczyć. Trochę się bawiłem, stawiając pytania, na które nie potrafili odpowiedzieć. Najbardziej dręczyłem ich pytaniem o wartość terenu. Marks uznał, że wartość poszczególnych przedmiotów jest równa wartości pracy ludzkiej, jaką w niego włożono. Zgodnie z tą teorią teren nie miał wartości, bo dla jego wytworzenia ludzie nie pracowali. Ale jak budować zasady rachunku ekonomicznego w odniesieniu do rozwoju miast, kiedy teren nie ma wartości i nie działa renta wynikająca z jego położenia? Ta sprawa podważała teorię Marksa, co było nie do przyjęcia dla NRD-owców. Nawet podjęcie dyskusji na ten temat niesło niebezpieczeństwo dochodzenia partyjnego.

Ale owo dręczenie wkrótce mi się znudziło. To byli bardzo biedni ludzie. Oddzieleni murem od Zachodu, zanurzeni w upartyjnionym świecie – każda próba wychynięcia z niego groziła bardzo poważnymi konsekwencjami. Wszyscy naturalnie byli w partii i tylko przez karierę partyjną mogli oczekiwać polepszenia swej sytuacji. Pamiętam, jak o swoim profesorze ktoś mówił z uznaniem i zazdrością: „On nawet był na Zachodzie”. Jak się okazało, chodziło o jednorazową, kilkudniową delegację do Iraku.

Kilkakrotnie jeździłem do nich do Berlina. Ale raz się złożyło, że miałem przedtem konferencję w Holandii i przyjechałem do Berlina pociągiem z Zachodu. Dla nich to był szok, że ja mogę sobie tak jeździć. A ja przeżyłem szok, gdy wysiadłem na dworcu w Berlinie. Wszyscy pasażerowie to byli emeryci, którym pozwolono na wizyty u rodzin w RFN. W całym pociągu znajdowało się może pięć osób młodszych, oczywiście cudzoziemców. Ten tłum staruszków objuczonych bagażem, który wieźli z Zachodu, posuwał się wśród pokrzykiwania policjantów, którzy ich traktowali podle.

Przykro było to obserwować. Policjanci wyławiali z tego tłumu obcokrajowców, aby im zrobić przejście. Do mnie też przedarł się policjant, bardzo uprzejmie zapraszając i torując mi drogę. Wszedł prawie na jakiegoś staruszka objuczzonego bagażem, którego ten nie mógł unieść i tylko posuwał po ziemi. Policjant prawie się wywrócił i zwymyślał staruszka od ostatnich. A ten tylko się kłaniał i przeproszał. Totalitarny system tak traktował swych obywateli.

Przypomniała mi się przygoda z Moskwy, gdy zapytałem policjanta o adres jakiegoś urzędu. On zatrzymał pierwszą przejeżdżającą taksówkę, wyrzucił pasażerów, na ich miejsce wsadził mnie i podał kierowcy adres, gdzie ma mnie zawieść. Władza to władza, a obcokrajowiec jest ważniejszy niż własny obywatel.

Ale najciekawsza podróż przysłała nieoczekiwanie. Jeden z moich zagranicznych przyjaciół zatelefonował z propozycją wyjazdu na Filipiny. Organizowano tam międzynarodową konferencję na temat rozwoju turystyki i potrzebowano kogoś, kto opowie o urbanistyce miast historycznych. „Przecież w Polsce macie takie wspaniałe przykłady! A poza tym potrzeba nam kogoś z krajów komunistycznych. Ty się świetnie nadajesz!” I znowu miałem występować jako komunista! Jednak stanąłem wobec dylematu. Znałem się na wielu rzeczach, a mimo to nic nie umiałbym powiedzieć na temat miast historycznych. Ale czy mogłem odmówić? Przecież to jedyna szansa w życiu! Znalazłem wyjście. Oświadczyłem, że sprawa jest bardzo skomplikowana i wymaga spojrzenia z różnych punktów widzenia. Dlatego trzeba dwóch ekspertów. Zgodzili się bez problemu. Zaprosiłem architekta specjalizującego się w zabytkach, a sam przygotowałem referat o problemach ekonomicznych i realizacyjnych. I pojechalśmy we dwóch.

A pobyt przyniósł nam niezapomniane wrażenia. Pomijam samą konferencję, bo tam były światowe tuzy, jak np. dyrektor General Motors, który zajmował się reklamowaniem nowego samochodu turystycznego. Ale prawdziwym przeżyciem była wizyta u wiejskiej healerki, filipińskiej uzdrowiaczki.

Przyjęła nas w małej bambusowej chatynce i kolejno kładła na starym stole nakrytym ceratą. Wznosząc ręce do Boga i modląc się, bo była katoliczką, uciskała nas w różne miejsca, które trafnie uznała za chore. Jej palce przenikały w głąb naszych ciał, a spod nich płynęła krew (podobno nasza). Wrażenie niesamowite, gdy wycieraliśmy się zakrwawieni, ale i jakoś dziwnie zrelaksowani. Konfrontacja dwóch kultur, tradycji, a także praktycznej medycyny kazała myśleć, że może również dobre są różne drogi życia, a nie tylko ta nasza, do której jesteśmy przyzwyczajeni.

Wyzwolenie się z ram, jakie narzucała praca w instytucie podporządkowanym ministerstwu, umożliwiło mi zaangażowanie się w działalność różnych komitetów naukowych, przede wszystkim Komitetu Przestrzennego Zagospodarowania Kraju oraz Komitetu „Polska 2000”, zajmującego się prognozowaniem, które wówczas było bardzo modne. Wszyscy tworzyli prognozy przyszłości świata. Powstało nawet międzynarodowe stowarzyszenie studiów nad przyszłością. Mnie interesował sposób, w jaki te prognozy były wykonywane, i ich skuteczność. Przeprowadziliśmy nawet studium prognoz wykonywanych w ramach PAN. Nie muszę mówić, że wypadły fatalnie, wykazując katastrofalny poziom naszych naukowców.

W roku 1976 przeżyliśmy dramatyczne wydarzenie rodzinne. Danka organizowała rodzinne obiady, na które przychodzili moi Rodzice, a także jej Ojciec ze swoją drugą żoną. I tym razem, jak zawsze, było miło i sympatycznie. Po dobrym obiedzie Ojciec Danki poszedł się na górę położyć, bo jakoś źle się poczuł. I zaczął się czuć coraz gorzej. Ostry ból mostkowy nie zostawiał wątpliwości, że następuje zawał. Nitrogliceryna, którą zawsze nosił, nie skutkowała. Dzwonimy po pogotowie. A tu rozpacz.

Odbierająca wezwanie zaczyna się wypytywać, czy go po prostu brzuch nie boli, i radzi, żeby wziął na przeczyszczanie. A poza tym nie ma karetki. Jak będzie, to przysśle. Trudno opisać, co się działo przez następną godzinę, gdy Ojciec umierał na rękach Danki. Karetka przyjechała po godzinie, już po jego śmierci.

Któregoś dnia przypadkowo zostałem zaproszony na seminarium polsko-skandynawskie, organizowane przez PAN w Kazimierzu. Organizatorom zależało na jak najsilniejszej obsadzie. Pojechałem, bo Skandynawów bardzo lubiłem i dobrze rozumiałem ich mentalność. Szanowałem ich za otwartość i pryncypialność. Podchodzili do wszystkich spraw bardzo poważnie. Do ludzi również. Jednak zawsze z dużym dystansem. Aby się zaprzyjaźnić ze Szwedem czy Norwegiem, potrzeba było dłuższego czasu, w ciągu którego mogli człowieka poznać i nabrać do niego zaufania. Ale jak Skandynaw powiedział, że jesteś jego przyjacielem, to było to oświadczenie ze wszystkimi konsekwencjami. Mogłeś liczyć na jego przyjaźń zawsze i wszędzie. Nie tak jak w Polsce, czy szerzej: w Europie kontynentalnej.

Z tego seminarium przywiozłem kilka kontaktów, które zaowocowały wieloletnią współpracą. Zaczęły się wyjazdy na północ. W 1979 roku odbyłem dwie duże wyprawy samochodowe. W maju popłynęliśmy z Danką promem do Kopenhagi i w ciągu 10 dni zrobiliśmy objazd całego kraju z gościnnymi wykładami na pięciu duńskich uniwersytetach. To wówczas nawiązałem współpracę z Henrikiem Toftem Jensenem, która w zasadniczy sposób przyczyniła się do wykształcenia polskiego modelu samorządu lokalnego.

W tym samym roku zrobiliśmy sześciotygodniowy objazd Finlandii. Dostałem zaproszenie do Szkoły Ekonomicznej w Turku. Spędziłem tam trzy tygodnie, a zaproszenia od wielu uniwersytetów umożliwiły zrobienie objazdu całej Finlandii. Dołączyli do mnie Danką i Michał. Wrzesień to w Finlandii miesiąc nieprawdopodobnych kolorów. Nazywają go *ruska-aika*. Poszycie lasów czerwienieje. Drzewa biją w oczy trzema jaskrawymi barwami – zielenią, żółcią i czerwienią. Zdarza się, że poszczególne drzewa mają je wszystkie trzy. A słońce chodzi już nisko nad horyzontem, świecąc prosto w oczy i oślepiając. Widzieliśmy łosie i renifery pasące się przy drogach. W Rovaniemi przekroczyliśmy krąg polarny. W Kuusamo w małej chatce w lesie przeszliśmy przez prawdziwą saunę i kąpiel w zimnym jeziorze. Wszędzie goszczono nas serdecznie, karmiąc specyfikami lokalnymi o dziwnych porach dnia. Nozdrza niedźwiedzia na lunch o jedenastej rano smakowały doskonale.

Życie uniwersyteckie rządziło się swoimi prawami. Panowała w nim o niebo większa swoboda w kontaktach zagranicznych i w zakresie badań. Oderwałem się od wszelkich styków z ubecją. Problemy wynikały natomiast w kontaktach z kolegami profesorami. Byłem na Wydziale Ekonomicznym, na którym funkcjonowało wielu aktywnych członków partii. Oni głównie przyglądali się temu, co robię, w obawie przed zagrożeniem nie tyle dla socjalizmu, ile dla własnych interesów. Mogłem

zaobserwować sprawnie działający system wspierania młodzieży partyjnej i eliminowania tej, która do partii nie należała. Partyjni byli zawsze na pierwszych miejscach wśród kandydatów na stypendia, wyjazdy zagraniczne czy udział w interesujących programach. Ich zawodowe życiorysy szybko wypełniały się dorobkiem, podczas gdy życiorysy innych pozostawały chude. Z całą bezczelnością wykorzystywano to przy forowaniu partyjnych do awansów. „Patrzcie, ile on zrobił! Przecież nie można awansować tych, którzy takiego dorobku nie mają!” Mój zespół był całkowicie bezpartyjny. Mogliśmy więc liczyć tylko na własne kontakty i mieć nadzieję, że nie będą przejmowane przez innych.

Wypadki w Radomiu i Ursusie w czerwcu 1976 roku podgrzały atmosferę. Zaczęliśmy wszyscy jakoś odważniej myśleć o zmianach niezbędnych dla naprawy kraju. Zostałem zaproszony do Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość” (DiP), grupy intelektualistów zaangażowanych w poszukiwanie dróg naprawy. Chcieliśmy rozpocząć dialog obywatelski przez opracowywanie i upowszechnianie raportów dotyczących problemów kluczowych dla kraju. Zaproszonych do udziału zostało również wielu ludzi związanych z reżimem. Koncepcja Konwersatorium opierała się na dialogu ponad istniejącymi podziałami. W obawie przed represjami postanowiono nie tworzyć żadnej struktury organizacyjnej. Nie powołano zarządu ani władz. Organizacją miał się zająć Zespół Usługowy, który dostał zadania jedynie organizacyjne. W jego skład weszło wielu mych przyjaciół. Danek Gotowski i Stefan Bratkowski odgrywali tam główną rolę.

Pierwsze zebranie plenarne DiP odbyło się w listopadzie 1978 roku. Nie mogłem wziąć w nim udziału, akurat byłem w Holandii. Było to pierwsze i ostatnie legalne zebranie. Na następne władza nie wydała już zgody. Odtąd członkowie DiP spotykali się na małych zebraniach roboczych poszczególnych zespołów merytorycznych. Do swego udziału w DiP wrócić później, gdyż odegrał on kluczową rolę w przygotowywaniu reformy samorządowej.

Wiele też działo się w moim życiu prywatnym. Joanna rozpoczęła studia doktoranckie w Instytucie Geografii PAN. Zaczęła prowadzić własne życie w małym wynajętym mieszkaniu. Któregoś dnia nasi przyjaciele Agnieszka i Lech Tomaszewscy powiedzieli, że przecież wynajmowanie mieszkania to absurd, jeśli się ma domek. Jeżeli Joanna ma mieć autonomiczne mieszkanie, to trzeba odpowiednio przebudować podziemie. I tak się stało. Budowa wymagała jednak pieniędzy, których nie mieliśmy. Zatrudniliśmy tylko zaprzyjaźnionego majstra, a siłę roboczą stanowili koledzy Joanny i Michała, którzy przychodzili po to, aby trochę zarobić, i z chęci pomocy Joannie. Budowa ciągnęła się długo, ale w końcu w podziemiu powstała sympatyczna kawalerka, która zawsze tętniła życiem. Joanna miała szerokie i żywe

Na następnej stronie: na kole podbiegunowym z Danką i Michałem, Rovaniemi, Finlandia 1979



NARAPIIRI
POLCIRKELN
POLARKREIS
ARCTIC CERCLE
ПОЛЯРНЫ

kontakty ze środowiskiem młodzieży nastawionej opozycyjnie do systemu i bardzo aktywnej, mimo że rodzice niektórych z nich byli politycznie zaangażowani po jego stronie. Tadzio Baczek, Mirek Chojecki i wielu innych byli stałymi gośćmi.

Joanna miała jednak kłopoty ze swymi biodrami. Zaczęła jeździć do Rumunii, nad Morze Czarne do Eforii, gdzie brała kąpiele błotne. W 1976 roku postanowiliśmy zrobić wspólną wyprawę. Joanna pojechała najpierw sama. My ruszyliśmy w ślad za nią dwa tygodnie później przez Węgry, Transylwanię i Bukareszt. Ale zaraz zaczęły się kłopoty. Danka akurat przechodziła leczenie zęba. Dentysta go przygotował na kilkutygodniową przerwę, zrobił coś jednak nie tak, bo zaraz po przekroczeniu granicy zęb zaczął boleć.

Przez najbliższe dni podróżowaliśmy nie tylko z miasta do miasta, ale i od dentysty do dentysty. Zabraliśmy Joannę z Eforii i pojechaliśmy do Grecji, na półwysep Chalkidiki, w pobliżu Salonik. Mieliśmy tam umówione spotkanie z Dankami, którzy wyjechali po nas, ale jechali prostą drogą przez Jugosławię. Spędziliśmy tam kilka dni, jeżdżąc do Salonik do dentysty. A potem ruszyliśmy zgodnie z planem do Turcji do Kuşadası, dość daleko na południu. Zobaczyliśmy Turcję z jej specyficzną kulturą i zabytkami. Byliśmy w ruinach Efezu, Miletu i Priene. Widzieliśmy uroczy mały domek wysoko w górach, gdzie podobno zasnęła Matka Boska i skąd aniołowie wzięli ją do nieba. Gdy zabieraliśmy się do wyjazdu, przyszedł kierownik campingu i zaproponował nam kupno wszystkiego, co mamy. Sprzedaliśmy mu całe wyposażenie turystyczne. Handel z Turkami był bardzo rozwinięty. W Istambule widziałem sklep z polskim napisem: „Kupię wszystko”! I rzeczywiście dało się tam sprzedać wszystko, od kawałka kielbasy po namioty czy urządzenia elektryczne.

Z powrotem do domu mieliśmy pewien kłopot. Wydaliśmy wszystkie dewizy. Została jedynie możliwość wymiany złotych na pieniądze „socjalistyczne”. Nie mogliśmy więc jechać przez Jugosławię, ale tylko przez Bułgarię, Rumunię i Węgry. To była znacznie cięższa droga przez góry. Jugosławii nie dało się zupełnie ominąć. Musieliśmy o nią zahaczyć i bardzo się denerwowaliśmy na tym kilkudziesięciokilometrowym odcinku, bo nie mieliśmy ani grosza akceptowanych tam pieniędzy. Ale się udało. Przejazd z Istambułu do Cieszyna zabrał nam trzy dni.

Michał już powoli zbliżał się do końca swoich studiów i uważałem za konieczne, aby zorganizować mu zagraniczną praktykę. W przypadku Joanny było to łatwe. Geografia była dość bliska planowaniu przestrzennemu. A w tym środowisku miałem przyjaciół. Co innego z mikrobiologią. Z tą dziedziną nie miałem nic wspólnego.

Ale jak człowiek chce coś znaleźć i dobrze poszuka, to na ogół znajdzie. W czasie mego pobytu w Rotterdamie skontaktowano mnie z profesorem prowadzącym zakład mikrobiologii na wydziale medycznym uniwersytetu. I zgodził się przyjąć Michała na roczną praktykę do swej kliniki. Musieliśmy przejść półroczne starania o wizy

i zgodę na pracę w Holandii. Ale udało się i ta praktyka miała poważny wpływ na jego dalszą karierę zawodową. To były szczytowe sukcesy, jakie wtedy mogliśmy osiągnąć!

Rok 1978, wbrew mojej teorii o dobrych i złych latach, zamiast być rokiem dobrym, przyniósł nam duże problemy. Pierwszy to emigracja Joanny za chłopcem do Ameryki. Wyjechała, opierając się na obietnicach wspaniałego życia i wielkich możliwości rozwoju. Ale rzeczywistość okazała się inna. Trudne życie i ciężka praca, aby zdobyć jakiegokolwiek środki. Szyła jakieś portmonetki i ubranka dla dzieci. Sprzedawała je na targu, a jednocześnie rozpoczęła studia doktoranckie, które ciągnęła w niesłychanie trudnych warunkach. Było mi ciężko, bo nie mogliśmy jej w żaden sposób pomóc. Czasami udawało mi się przesłać jej parę dolarów zaoszczędzonych na wyjazdach. Ale to była pomoc symboliczna.

W końcu roku okazało się, że Danka ma raka piersi. Wykryto go, gdy byłem w Holandii, i sama musiała przeżyć ten szok. Decyzję o operacji podjęła natychmiast. Nie było czasu, aby się zastanawiać. Przeszła ją jeszcze w grudniu. Na szczęście, wbrew obawom, sprawa zakończyła się pomyślnie. Nie chciała o tym mówić nikomu w rodzinie. Siedziała przy wspólnej rodzinnej wigilii jeszcze bardzo osłabiona, ale przyczyn tego osłabienia nikomu nie ujawniła.

Nie mieliśmy ochoty nigdzie jeździć w następnych latach. Wolny czas spędzaliśmy w Zakopanem i Tatrach. Już nie mieszkaliśmy w schroniskach. Okres młodościowych wyczynów minął. Mieszkaliśmy w domu ZAiKS-u, którego członkami było wielu znajomych. Ukształtowała się więc grupa przyjaciół, z którymi chodziliśmy po górach i spędzaliśmy wspólnie czas – Klemens Szaniawski, Stefanowie Amsterdamscy, Krysia Jagiełło, Wiesia Grochola, Teresa Wallas, a także grupa fotografików: Jurek Chojnacki, Ziemakowie, Raczkowski.

Zespół moich dawnych kolegów z Instytutu Urbanistyki opracowywał w tym czasie plan zagospodarowania Tatrzańskiego Parku Narodowego. Mieli przepustki uprawniające do swobodnego chodzenia po jego terenie. Dopisali i mnie, więc ją otrzymałem, a potem przez kilka lat przedłużałem, na zasadzie dobrej woli jednego z dyrektorów Parku. Wpadłem na pomysł, aby odszukiwać stare ścieżki juhaskie, które znajdowały się na opracowanej jeszcze przed wojną mapie Zwolińskiego. To było ekscytujące zadanie. Przez kolejne lata poznaliśmy cudowne miejsca, leżące poza szlakami i tłumem turystów. Wytyczałem na nasz użytek trasy wycieczek starymi perciami, których ślady ledwie były widoczne. W następnych latach zostały zatarte całkowicie. Dziś nie ma po nich żadnego śladu. Te wycieczki dawały nam okazję do wspaniałych przeżyć w przyrodzie wolnej od ludzi.

Cały czas walczyliśmy z brakiem pieniędzy. Dzieci rosły, a wraz z nimi rosły wydatki. Joanna miała swoje kłopoty, musieliśmy kupić małego fiata, aby ułatwić jej poruszanie się. Poza tym chcieliśmy w miarę dobrze żyć. A dochody nasze nie były

wielkie. Pensja profesorska to duże słowo, ale małe pieniądze. Danka też nie zarabiała wiele. Zasilały nas przede wszystkim moje zarobki związane z wyjazdami. Zawsze coś dało się zaoszczędzić, czasami nawet sporo, gdy otrzymałem honorarium za wykłady. Ale podstawową sprawą był sposób wymiany tych pieniędzy na złotówki. Przyjaciel Ojca, Zbigniew Rozmanit, pracował w PAX-ie, mającym koncesję władz na produkcję różnego rodzaju wyrobów, z których sprzedaży czerpał środki na swoją działalność. Półprodukty musieli sprowadzać z zagranicy, a nie mieli za co ich kupować. Powstał więc cały system polegający na tym, że odkupywali je od ludzi, którym przysyłały je rodziny z zagranicy jako dary. Ojciec przekazał resztki swoich oszczędności po sprzedaży Zarybia bratu mojej Matki, który mieszkał w Los Angeles. On za te pieniądze przysyłał Rodzicom paczki z zamówionymi komponentami dla PAX-u. Udało mi się włączyć do tego systemu. Oszczędności z wyjazdów nie przywoziłem do kraju, ale wysyłałem do Ameryki. A jak się łączyło kilkadziesiąt dolarów, to brałem od pana Rozmanita zamówienie i wuj przysyłał mi paczkę. Przeliczenie dolara było w tej wymianie parokrotnie większe niż kurs czarnorynkowy.

Ten etap mego życia zakończył się pierwszą pielgrzymką Jana Pawła II do Polski. Kiedy rok wcześniej Michał zadzwonił do mnie do Łodzi z wiadomością o wyborze Karola Wojtyły na papieża, przeżyłem szok. Zupełnie tego się nie spodziewałem, nie śledząc wydarzeń wewnątrz Kościoła. Ale poczułem instynktownie, że ten wybór przyniesie zmiany i w Polsce. Pierwsza pielgrzymka przeszła wszelkie oczekiwania. To nie było jedynie wydarzenie religijne. To było historyczne przełamanie fundamentalnych ograniczeń ustrojowych. Według ówczesnego prawa zgromadzenie publiczne więcej niż trzech osób wymagało zgody władz. A tu gromadziły się setki tysięcy ludzi, bez żadnych ograniczeń. Te zgromadzenia pokazały ludziom, jak wielką siłę stanowi naród zebrany razem. To było przełamanie poczucia bezsilności, które stanowiło podstawowe zabezpieczenie narzuconego ustroju.

Byliśmy z Danką na mszy na placu Piłsudskiego. Słyszeliśmy i widzieliśmy Jana Pawła II, gdy wzywał Boga do zesłania Ducha, aby odnowił oblicze tej ziemi. To są wrażenia niezapomniane.

Następnego dnia nasz syn poszedł na spotkanie młodzieży z Papieżem na Krakowskim Przedmieściu. Wrócił roztrzęsiony. Był w tłumie i wraz z nim przeżywał uniesienia. Poczul siłę, jaka tkwi w ludziach razem zgromadzonych i przekonanych do swych racji. Ta siła zdecydowała właśnie o wydarzeniach następnego roku. Ale dla nas najważniejsze były nadchodzące narodziny naszej pierwszej wnuczki, córki Joanny. Postanowiliśmy z Danką pojechać do Stanów w styczniu. Danka poleciała pierwsza, prosto do Boulder w Kolorado, gdzie Joanna z Filipem mieszkali. Ale się spóźniła. Małej bardzo się spieszyło na ten świat. Ja poleciałem kilka dni później i miałem odrębny program. Na wydatki w Stanach trzeba było zdobyć dolary.

Joanna wykonała ogromną pracę, organizując mi wykłady na 14 różnych uniwersytetach. Wykazała wtedy swoje zdolności organizacyjne, które później zapewniły jej dużą karierę akademicką.

Wylądowałem w Nowym Jorku i musiałem sam dojechać do serca Manhattanu, do mieszkania Jurków Głównych, u których miałem się zatrzymać. Niemałe wyzwanie dla kogoś, kto jest pierwszy raz w Stanach, ale się udało. Następnego dnia poleciałem do Chicago. Miałem wykłady na czterech uniwersytetach. Jednym z nich był Uniwersytet Illinois w Urbana-Champaign, godzinę czy dwie jazdy pociągiem z Chicago. Nocowałem w domu profesora. Po raz pierwszy spotkałem się tam z amerykańskim podejściem do religii i jej znaczeniem w życiu codziennym. Profesor był kwakrem, a jego żona żydówką. Kochające się, świetne małżeństwo z bardzo długim stażem. Z różnicą religii nie mogli sobie jednak poradzić. Każde z nich próbowało zmienić wyznanie, aby dopasować się do współmałżonka. Ale zbyt silnie byli związani ze swoją wiarą i tradycją. Każde zostało przy swojej, chociaż stanowiło to przedmiot codziennych dyskusji. Jedna z nich zajęła cały wieczór, który spędziłem u nich w domu. Zobaczyłem ludzi, dla których religia stanowiła oś życia codziennego. To doświadczenie było tak różne od polskiego pojmowania religii. U nas się o tym nie dyskutuje, a jeśli już, to z pozycji pryncypialnej walki. Nie przekłada się też zasad religii na zachowania codzienne. A tam tak było, dyskusja zaś toczyła się w imię poszanowania partnera i jego prawa do innej drogi do wspólnego Boga.

Znacznie później byłem w polskim domu na wigili. Połowę gości stanowili Żydzi, którzy właśnie obchodzili swoją Chanukę. I najpierw wszyscy założyliśmy jarmułki i odśpiewali chanukę, a potem wszyscy podzieliliśmy się opłatkiem. Było cudownie. Bóg jest jeden, tylko ludzie mają różne sposoby jego czczenia. Katolik, gdy wchodzi do kościoła, zdejmuje czapkę, a Żyd odwrotnie – głowę nakrywa. Gesty są przeciwne, ale cel ten sam. Trzeba te różnice szanować.

Zaskoczenie amerykańską religijnością przeżywałem jeszcze wielokrotnie podczas kolejnych wizyt w Stanach. Msze na kampusach studenckich, przy śpiewie *spirituals*, były dla mnie zawsze wielkim przeżyciem. Wszyscy się wspólnie cieszyli, że są z Bogiem razem. I mówili wprost: „My się Boga nie boimy. My go kochamy”. Ten bezpośredni stosunek do Boga urzekał mnie zawsze bardzo. Kiedyś we Włoszech zobaczyłem Włoszkę siedzącą na stopniach bocznego ołtarza, jak karmiła piersią niemowlę. Ktoś jej zwrócił uwagę na niestosowność tego zachowania. Odparła z oburzeniem: „To jest dom Boga, mego Ojca. Mam prawo zachowywać się tak jak w swoim domu!”. Te przeżycia były tak różne od polskich!

Z Chicago poleciałem do Denver, skąd Filip zabrał mnie samochodem do Boulder. Zobaczyłem Joannę po raz pierwszy od jej wyjazdu z Polski i małą Annemarie. Był straszny mróz i leżały wielkie śniegi. Potem poleciliśmy z Danką do Los Angeles.

Mieszkał tam mój wuj Tadeusz Maciejowski, brat mojej Matki. Cieszyliśmy się na ciepło i słońce, ale spotkał nas wielki zawód. W chwili gdy wysiadaliśmy z samolotu, zaczęło padać i padało przez całe 10 dni, które spędziliśmy w Kalifornii. Podobno w Kalifornii stale świeci słońce, a deszcz pada jedynie przez 10 dni w roku. To właśnie były te dni! Zresztą określenie, że deszcz pada, nie oddaje rzeczywistego obrazu. Tam nie padało, tam się lało z nieba. Gdy poszliśmy do kina i zostawiliśmy samochód na ulicy, to po seansie nie mogliśmy do niego dojść, bo całą szerokością ulicy pędził potok głębokości o 30 centymetrów.

Los Angeles to miasto ogrom. Pierwszy i jedyny raz zdarzyło mi się, że leciałem rejsowym samolotem, który kolejno lądował na dwóch lotniskach znajdujących się w tym samym mieście. Po paru dniach (znowu kilka wykładów) wynajęliśmy samochód i pojechaliśmy na północ do Monterey. Jechaliśmy jedyneką, podobno najpiękniejszą drogą świata, biegnącą wzdłuż oceanu po nadbrzeżnych klifach. Ale była mgła, tak że niczego nie widzieliśmy.

W Monterey wziąłem udział w regionalnej konferencji planistów. Poznałem kilka ciekawych osób, z którymi pozostałem w kontakcie przez wiele lat. Jedna z uczestniczek powiedziała mi, że jej mąż ma takie stare polsko-żydowskie nazwisko. Zapytałem jakie. Odpowiedziała: „Pajdżałka”. Zupełnie nie mogłem skojarzyć, o czym ona mówi. „Spell it, please” – poprosiłem. Okazało się, że nazywał się Pijawka. Oczywiście, nie znała znaczenia tego słowa. A ja wyobraziłem sobie scenę, gdy urzędnicy carscy i austriaccy nadawali w XIX wieku nazwiska chłopom i Żydom. I dla zabawy wymyślali co śmieszniejsze i bardziej obraźliwe.

Gdy wróciliśmy do Boulder, było już cieplej. Mogliśmy pojechać w góry, aby zobaczyć dawne trasy kolei transkontynentalnej, wspinające się nad przepaściami. Joanna już wracała do pracy. Urlopy macierzyńskie w Ameryce nie istnieją. Jej koleżanki mówiły, żeby się nie spieszyła, i spokojnie kładły na jej biurko całą korespondencję i wszystkie sprawy, które do niej przychodziły. Nikomu do głowy nawet nie przyszło, aby coś za nią załatwić. Chodziła więc do biura, nosząc małą w koszyku, który stawiała w kącie swego pokoju. A potem znów Nowy Jork i Waszyngton. Po drodze miałem też wykład na Uniwersytecie Rutgersa w New Jersey, z którym potem Joanna związała swoje życie.

Wróciliśmy do Polski pełni nowych wrażeń, ale i obaw o przyszłość Joanny. Nie rysowała się w jasnych barwach. Ale te obawy zostały wkrótce przykryte wydarzeniami w kraju.

19.

**Solidarność i samorząd
(1980-1981)**

Wydarzenia 1976 roku rozpoczęły okres, w którym społeczeństwo, buntując się, odrzuciło paraliżujący je dotąd strach. Ale początek roku 1980 jeszcze nie zapowiadał nadchodzących zmian. Z ulgą doczekałem lata i natychmiast uciekliśmy w Tatry. Tam doszły nas wiadomości o strajkach – najpierw w Lublinie, później na Wybrzeżu. Jak zwykle byliśmy w Zakopanem z grupą przyjaciół i razem obserwowaliśmy uważnie przebieg wydarzeń.

Któregoś dnia zostałem sam z Klemensem Szaniawskim. Wszyscy się jakoś rozjechali. Nawet Danka musiała pojechać do Warszawy. Było słońce i poszliśmy niechodzonymi ścieżkami na Halę Gąsienicową, z Cyhrlu, przez Halę pod Kopieńcami i Skoruśniak, wprost na Rówień za Kopami. Byliśmy sami, oddaleni od szlaków i turystów. Nawet owiec nie spotkaliśmy. Tylko my, słońce i fascynujące widoki z Herbika nad Suchą Wodą na całe polskie Tatry. Klemens miał cudowny dar rozmowy i refleksji. Rozmawialiśmy o Polsce i o nas samych, o tym, co nas czeka i co powinniśmy robić. Ale nie umieliśmy przewidzieć, co się stanie w najbliższych miesiącach. Obaj byliśmy sceptyczni co do możliwości jakichś generalnych zmian. Uważaliśmy, że powinno się próbować opanować samorzady pracownicze i w ten sposób starać się wpływać na gospodarkę. Ale jak to zrobić, aby uchronić się od tych, którzy chcieli zmian za dużo i za szybko? Radykaliści byli równie niebezpieczni jak ci, co się wszystkiego obawiali. Jak znaleźć złoty środek, który pomału i bezpiecznie doprowadzi nas do wolnej Polski?



Na Orlej Przełęczy, w dole Morskie Oko, 1980

Poszliśmy jeszcze na Kościelec, wysoko, też nieuczęszczaną drogą. Pamiętam poczucie zawieszenia – w sensie fizycznym, w górach, i w sensie psychicznym, wobec nadchodzących zmian, których nie ogarnialiśmy wyobraźnią...

Podpisanie porozumień sierpniowych wywołało powszechny entuzjazm. Ale problemy z rejestracją Związku wykazały, że system nie myśli o poddaniu się. Historycy koncentrują dziś uwagę na ówczesnych konfliktach, zmianach prawa i instytucji. Tymczasem mnie się wydaje, że równie ważne, a może i ważniejsze, były zmiany, które zachodziły w naszych umysłach. Bo one decydowały o zachowaniach.

Wybuch Solidarności pozwolił mi, podobnie jak wielu innym, wyzwolić się z autocenzury, którą sobie dotąd narzucaliśmy. Ustrój był odporny na kolejne kryzysy, więc dotychczas pragmatyzm nakazywał dostosowywać postępowanie do istniejących ram. To powodowało, że przyjmowaliśmy ograniczenia ustrojowe jako trwałe i niezmiennie i tylko w ich ramach szukaliśmy możliwości usprawnień. Istniały tematy tabu, których ruszać nie należało. A teraz nagle te ograniczenia zaczynały zanikać. Można było mówić głośno o tym, o czym dotąd tylko szeptano. Pozwalało to myśleć szerzej i brać pod uwagę możliwości dalej idących zmian. Poszedłem więc krok dalej w swoim myśleniu. Jeśli chcemy sterować rozwojem miast, to trzeba stworzyć jednostki, które byłyby zdolne prowadzić politykę rozwoju. Czyli po prostu – autonomiczne, samorządne władze miejskie.

* * *

Tu konieczna jest dygresja. Ówczesne koncepcje przebudowy ustroju państwa były najrozmaitsze. Niektóre środowiska, jeszcze wtedy bardzo nieliczne, żądały całkowitego odrzucenia istniejącego reżimu i budowy nowego, wolnego państwa, poza sowieckim blokiem. Oczywiście było to nierealne i nikt takich żądań nie brał poważnie. Inne były bardziej pragmatyczne, ponieważ szukały dróg kompromisowej ewolucji. Budzący się ruch Solidarności opierał się na związku zawodowym, którego podstawowy cel stanowiło podniesienie warunków życia ludności, a stało się oczywiste, że jedną z kluczowych barier jest istniejący sposób zarządzania gospodarką. Stąd postulaty jego zmiany i odsunięcia nomenklatury partyjnej poprzez oddanie zakładów pracy pod zarząd pracowników. U podstaw tego myślenia stały koncepcje Komitetu Obrony Robotników. To był jedyny ośrodek, który przedstawiał spójną wizję i kierunki postępowania. Jego twórcy nabrali przekonania, że ustrój nie nadaje się do reformowania od wewnątrz, a jednocześnie jest do tego stopnia silny, iż oprze się wszelkim naciskom zewnętrznym. Stąd wynikała orientacja na zmiany w państwie obok istniejących struktur władzy. Sformułowano więc hasło walki o społeczeństwo obywatelskie. Postulowano samoorganizację społeczeń-

czeństwa jako drogę przeciwstawiania się narzuconemu ustrojowi politycznemu. Miano nadzieję, że dzięki stopniowym i częściowym przeobrażeniom, spowodowanym zorganizowaną działalnością różnych grup obywatelskich, będą się tworzyć w niedemokratycznej rzeczywistości załączki wolnego społeczeństwa. Zakładano przy tym, że przez pewien jeszcze okres państwo będzie takie, jakie było, bez istotniejszych zmian.

Idea samorządności dotyczyła więc nie reorganizacji władzy publicznej, lecz umiejętności samoorganizacji społeczeństwa. Podkreślano wówczas jej charakter etyczny – zarówno jednostka, jak i społeczność były samorządne, jeśli żyły w prawdzie, w godności, nie podlegały manipulacji, kłamstwu ani przemocy. Refleksja nad instytucjonalno-prawnym kształtem tej idei wydawała się zbędnym formalizmem. Przecież państwo istniało i ze swojej definicji było wrogiem samorządności.

Samorządność została pomyślana jako program moralnej przebudowy społeczeństwa, uczynienia z niego wspólnoty opartej na bezpośrednich, autentycznych więziach, przeciwstawionej wyalienowanemu państwu i administracji partyjno-rządowej. Tak rozumiana samorządność mogła być alternatywą nie tylko dla systemu komunistycznego, lecz również dla demokracji parlamentarnej w jej tradycyjnym kształcie. Ludzie mieli się rządzić sami, ale poza strukturami państwa.

Samorząd terytorialny jawił się więc wyłącznie jako jedna z form organizacji współdziałania ludzi, a nie jako element administracji publicznej. Był on w tej perspektywie czymś zbliżonym do komitetów mieszkańców dbających o swoje ściśle lokalne sprawy, takie jak zieleń na osiedlu czy opieka nad dziećmi.

Myśl polityczną kształtował więc w znacznym stopniu syndrom antypaństwowy – państwo było narzędziem władzy, ze swej natury obcym i wrogim. Jego przeciwieństwem stawało się samoorganizujące się społeczeństwo, które traktowano jako alternatywę dla organizacji państwowej. W tym sposobie myślenia można się dopatrywać nawiązań do idei pracy u podstaw sprzed 100 lat jako drogi walki z zaborcą. Jego konsekwencją była niechęć do wszelkich form głębszej refleksji ustrojowej, co zaowocowało brakiem jakichkolwiek poważnych studiów nad reformą państwa, a w efekcie – zupełnym nieprzygotowaniem elit opozycji do przejęcia władzy 10 lat później.

Z kolei w koncepcjach Związku Zawodowego „Solidarność” samorząd terytorialny miał być elementem Samorządnej Rzeczypospolitej, w której główną rolę przewidziano dla samorządu pracowniczego. Solidarność stanowiła ruch pracowniczy, dla którego głównym obszarem działania był z natury rzeczy zakład pracy, a nie miejsce zamieszkania. Ruch ten wspierały środowiska intelektualistów, dla których z kolei główną perspektywę wyznaczały prawa człowieka. W obu tych ujęciach państwo, jako organizacja opresyjna, stało niejako po drugiej stronie barykady, było przeciwnikiem, na którym należało wymusić ustępstwa, nie stanowiło

natomiast obiektu zainteresowań reformatorskich – ani w bliższej, ani w dalszej perspektywie.

Idee te tworzyły zręby stylu myślenia o polityce, który będzie kształtował polskie życie publiczne w okresie przełomu. Był on bardzo odległy od tego, co było konieczne do przekształcenia państwa. W rezultacie owe idee, wbrew zamierzeniom swoich twórców, odegrały w procesie transformacji rolę hamującą, a nie wspierającą. Kierowały uwagę publiczną na sprawy marginalne z punktu widzenia przebudowy państwa, a odciągały od spraw kluczowych.

Żadna z grup opozycyjnych nie myślała w tych latach o przejęciu władzy ani się do niej nie przygotowywała. Wszyscy chcieli odrzucenia istniejącego ustroju, nikt jednak nie myślał o tym, co ma być zbudowane na jego miejscu.

Ten sposób myślenia miał istotne konsekwencje dla odbudowy rzeczywistego samorządu. Jego znaczenia ani nawet istoty po prostu nie rozumiano, a więc i nie doceniano. Dlatego przy Okrągłym Stole samorządem zajmował się zespół do spraw stowarzyszeń, a nie administracji czy ustroju państwa. Dlatego też owa tematyka natrafiała stale na różnego rodzaju bariery. Gorzej jednak, że to przeciwstawianie społeczeństwa władzy, to myślenie w kategoriach „my” i „oni” przetrwało do dziś jako pewien relikw z czasów PRL. Kiedy czytam w jednym z artykułów, że „społeczeństwo obywatelskie to takie, w którym obywatele biorą sprawy w swoje ręce, nie oglądając się na instytucjonalną pomoc rządu”, przypominają mi się właśnie te odległe czasy, gdy chcieliśmy organizować swoje życie jak najdalej od struktur władzy. Ale przecież sytuacja się zmieniła. Dziś władzę sprawują ludzie wybrani przez obywateli, a nie narzuceni im przez obce siły. Nie ma już podziału na „my” i „oni”. Państwo jest w rękach obywateli i im ma służyć. A więc społeczeństwo obywatelskie nie może istnieć poza państwem i jemu się przeciwstawiać. Społeczeństwo obywatelskie to takie, które potrafi kierować własnym państwem i za nie odpowiadać. I do tego służy samorząd.

* * *

Ale koncepcje samorządu nie znalazły wówczas zrozumienia również w innych środowiskach. Nie ma ich w podstawowych raportach DiP, mimo że redagowali je tacy ludzie, jak Stefan Bratkowski, który od wielu lat propagował idee samorządności. Konwersatorium „Doświadczenie i Przyszłość” składało się z osób cechujących się ostrożnością, realizmem i poczuciem odpowiedzialności za los społeczeństwa. Konwersatorium diagnozowało problemy wymagające naprawy i oczekiwało, że w drodze ewolucji dokonane zostaną przekształcenia ustrojowe. Starano się szukać dróg naprawy, a nie gruntownej przebudowy tego, co istnieje.

Jednak to DiP dał mi możliwość przedstawienia tez odbudowy samorządu terytorialnego w Polsce. Nie było to łatwe, lecz w końcu udało mi się przekonać Janka Górskiego, przewodniczącego Komisji Prawa i Praworządności, aby zorganizował spotkanie, na którym mógłbym przedstawić raport, który opracowałem przy współpracy trójki swoich asystentów – Oli Jewtuchowicz, Tadeusza Markowskiego i Piotrka Burego. Jego prezentacja odbyła się 12 czerwca 1981 roku. Powstały pierwsze założenia reform samorządowych, które realizowaliśmy 10 lat później, i zaczęła kształtować się grupa, która przez następne lata będzie aktywnie działać na rzecz samorządności lokalnej i odegra kluczową rolę w jej odbudowie²⁴.

Nasze koncepcje odbudowy samorządu powstały w środowisku osób zajmujących się planowaniem i gospodarką przestrzenną, grupującym specjalistów o charakterze inżyniersko-ekonomicznym, a więc pragmatycznym, nastawionym na myślenie konkretne i praktyczne. Nie interesowały nas abstrakcyjne rozważania oderwane od rzeczywistości. Chcieliśmy tę rzeczywistość faktycznie zmieniać, a nie o niej jedynie dyskutować. Ale musieliśmy sprawić, aby nasze poglądy ustrojowe zaistniały w świadomości społecznej i świadomości środowisk politycznych. Trzeba było oswajać te środowiska z innym niż dotąd podejściem do spraw ustrojowych. Trzeba było wprowadzać nowe kryteria racjonalności działania władzy, nowe pojęcia i operować nowym językiem. Chcieliśmy zapoczątkować proces przemian, formułując ich cele i zarysowując sposoby ich osiągnięcia. I to się udało, choć droga była długa.

Dzisiaj można się spotkać z radykalnymi ocenami postaw w okresie PRL. Dość często słyszy się oskarżenia o kolaborację w stosunku do tych wszystkich, którzy nie kontestowali ustroju w sposób radykalny, lecz starali się go modyfikować. W ustrojach represyjnych obywatele mają do wyboru dwie drogi: albo prowadzić walkę, aby ustrój obalić, albo starać się w sposób ewolucyjny wpływać na zmiany lub co najmniej na polepszanie warunków życia i rozwoju. Tych dróg połączyć się nie da. Trzydzieści lat temu nie wierzyliśmy, i jak się okazało – słusznie, w możliwość obalenia wówczas ustroju. Uważaliśmy natomiast, że istnieje szansa zmian ewolucyjnych, i w takim kierunku działaliśmy. Nasza pomyłka polegała na tym, że ówczesne władze polityczne rzeczywistej naprawy państwa nie chciały.

Było oczywiste, że odbudowa samorządu nie będzie łatwa. PRL dokonał zniszczenia świadomości obywatelskiej. Praktycznie nikt nie wiedział, na czym samorząd polega. Pokolenie, które miało doświadczenia, praktyczne już przeminęło. Udało się nam jedynie przez krótki czas korzystać z uwag profesorów Ginsberta-

²⁴ Historię kształtowania się koncepcji samorządu terytorialnego opisałem wspólnie z Michałem Kuleszą w książce *Droga do samorządu* (2009). W tych szkicach nie będę powtarzał zawartego w niej opisu. Skoncentruję się na refleksjach i doświadczeniach bardziej osobistych, które ze swej natury nie mogły się tam znaleźć.

Geberta i Nieciuińskiego, którzy jeszcze przed wojną pracowali w samorządzie polskim. Początkowo niesłychanie trudno było znaleźć nawet chętnych do podjęcia dyskusji na temat samorządu terytorialnego, rozumianego jako element władzy publicznej. Pierwszy Społeczny Zespół Samorządów Terytorialnych i Instrumentów Polityki Przestrzennej udało się stworzyć, opierając się przede wszystkim na ludziach z Towarzystwa Urbanistów Polskich. Jego inauguracyjne spotkanie zorganizowałem 9 lipca 1981 roku. W następnych tygodniach zespół został rozszerzony o ekonomistów z Polskiego Towarzystwa Ekonomicznego i odtąd funkcjonował pod auspicjami obu tych towarzystw. DiP nie wykazał zainteresowania.

Zbliżyłem się wtedy z dwiema osobami: Adamem Kowalewskim, ówczesnym dyrektorem Biura Rozwoju Warszawy, bardzo rozumnym architektem, myślącym nie kategoriami projektu, ale procesu budowania, oraz Michałem Kuleszą, młodym prawnikiem, który zajmował się prawem dotyczącym urbanistyki i gospodarki miejskiej.

Sukcesywnie opracowywaliśmy kolejne wersje założeń reformy. Powoli przestaliśmy udowadniać, że samorząd jest potrzebny, a koncentrowaliśmy swoją uwagę na sprecyzowaniu tego, co trzeba zrobić. Jesień 1981 roku przyniosła wiele dyskusji i seminariów, na których coraz silniej podkreślano żądania głębokich zmian. Oficjalne kręgi naukowe reprezentujące poglądy PZPR, które dotąd nasze działania ignorowały, zaczęły się im przeciwstawiać. W czasie seminarium w Ojrzeńcu nastąpiła pierwsza konfrontacja z profesorką Barbarą Zawadzką, która prowadziła Zakład Badań nad Radami Narodowymi w Instytucie Państwa i Prawa PAN i reprezentowała wtedy ortodoksyjny, partyjny punkt widzenia. Przedstawiła ona wywód, że budowanie samorządu jest działalnością przeciwko państwu, bo chce się ograniczyć administrację w jej prawach. Państwo jest socjalistyczne, więc każdy, kto popiera ideę samorządności, występuje przeciwko socjalizmowi. Odpowiedziałem jej, że rząd to nie to samo co państwo. Że nie tylko rząd, ale i każdy z obywateli jest częścią państwa, a obywatele mogą tworzyć organizacje samorządowe poza kontrolą rządu. W przyszłości okazało się, że jej tezy nie były zbyt odległe od prawdy, bo przecież reformy samorządowe stały się jednym z gwoździ do trumny PRL, ale wówczas to miało dosyć groźny wydźwięk, ponieważ ustawiało nas w roli wrogów politycznych.

Na szczególne wyróżnienie zasługuje konferencja zorganizowana przez Komisję Reformy Gospodarczej w Jadwisinie w dniach 21–24 października 1981 roku, z udziałem przedstawicieli administracji centralnej i wojewodów oraz przedstawicieli opozycji, którą reprezentowałem wraz z Adamem Kowalewskim i Michałem Kuleszą. W jej efekcie został powołany zespół, który przedstawił kolejny raport. Interesujący jest on z tego względu, że w jego redagowaniu wzięli udział przedstawiciele ówczesnej administracji terenowej, zainteresowani reformami, które mogłyby zmniejszyć narastające napięcie polityczne w kraju.

To oni stali na pierwszej linii konfrontacji, musząc uczestniczyć w rozwiązywaniu ciągłych konfliktów. Władze centralne, ze swoją nieugiętą postawą antyreformatorską, były daleko. Stąd ich poparcie dla reform, które zdecentralizowałyby państwo i pozwoliły im samym na podejmowanie decyzji nawiązujących do potrzeb lokalnych. Gdyby lokalne społeczności uzyskały wpływ na sprawowanie władzy w terenie, napięcia by osłabły, a oni poczuliby się bezpieczniej. To stanowisko, sprzyjające reformom, było dla nas zaskoczeniem. Świadomość konieczności zmian stawała się oczywista również w środowiskach administracji, związanej z partią i reżimem.

Postulaty odbudowy samorządu były zgłaszane również przez inne środowiska. Warto wspomnieć o pracach profesora Waleriana Pańki w Katowicach, związanych ze środowiskami wiejskimi. Szczególne znaczenie miał I Zjazd Solidarności we wrześniu 1981 roku. Postulat odbudowy samorządu terytorialnego znalazł się w programowym dokumencie Związku, Samorządna Rzeczpospolita, uchwalonym 7 października 1981 roku. Charakter NSZZ „Solidarność” przesądzał jednak o tym, iż samorządność odnoszono przede wszystkim do samorządu pracowniczego i udziału pracowników w zarządzaniu zakładami pracy. Miała ona być podstawowym narzędziem walki z narastającym kryzysem gospodarczym i złym zarządzaniem. Samorząd terytorialny sytuowano jako element porządku prawnoinstytucjonalnego, stanowiącego niejako tło dla rozwoju samorządności pracowniczej. Jawił się tylko jako jedna z form organizacji współdziałania ludzi, a nie jako element administracji publicznej. Dlatego lokowano go między organizacjami producentów, pracowników, konsumentów czy samorządu kulturalnego. W dokumentach Zjazdu sformułowane zostały podstawowe cechy przyszłego samorządu terytorialnego, jednak nurt zainicjowany na Zjeździe nie odegrał istotnej roli. Stan wojenny przerwał dalsze prace i rozproszył ludzi.

Jesienią zostałem zaproszony do Bydgoszczy na spotkanie tzw. Sieci, będącej porozumieniem organizacji Solidarności w największych zakładach – ona również zajęła się samorządem terytorialnym. Odniosłem przykre wrażenie. Absolutna amatorszczyzna. Zredagowano dokument zawierający trochę ogólników, postanowiono rozesłać go do lokalnych ogniw Związku i uznano, iż sprawa została załatwiona. Z taką wiarą, że słowa i papier zmieniają rzeczywistość, spotykałem się wielokrotnie. Ktoś zwoływał naradę, ludzie pogadali, na koniec zachwycony organizator ogłaszał, że problem rozwiązano. Taka święta naiwność albo zupełny brak profesjonalizmu stawały się wielokrotnie przeszkodą w rzeczywistym rozwiązaniu problemów. Jednak te dorywcze wydarzenia miały istotne znaczenie. Przyczyniały się bowiem do popularyzacji problemu.

Narastające konflikty i niechęć do ich rozwiązywania wyraźnie wskazywały na intencje partii i rządu, jasno dających do zrozumienia, że nie zrezygnują z władzy.

Wydarzeniem, które nami wstrząsnęło, było pobicie uczestników posiedzenia rady miejskiej w Bydgoszczy. Sygnał był wyraźny. Potem przychodziły następne. Z drugiej strony w Solidarności coraz większą rolę zaczęły odgrywać elementy skrajne, sądzące, że siłą można coś osiągnąć. Stawały się one widoczne, mimo iż kierownictwo Związku głosiło ideę samoograniczającej się rewolucji i gotowość akceptacji ustroju pod warunkiem wprowadzenia pewnych modyfikacji. Ale spirala konfrontacji narastała, prowadząc do rozwiązań siłowych.

Łódź była spokojna, ale na uniwersytecie młodzież też się zaczęła buntować. Wiosną 1981 roku właśnie w Łodzi miał miejsce największy strajk studencki. Przypominały mi się wrażenia ze strajku 1968 roku. Ale teraz była zupełnie inna sytuacja. System był słabszy i wszyscy mieliśmy nadzieję na istotne zmiany. Teraz ja też wierzyłem w sukces strajku. Te nadzieje przeniosły się na forum Rady Wydziału. Jej członkiem był Janusz Górski, minister szkolnictwa wyższego. Jego reakcje w stosunku do strajków studenckich budziły sprzeciw środowiska naukowego.

Oczywiście tej jego części, która była za Solidarnością, ale tylko ten głos był słyszany. Zwolennicy dotychczasowego ustroju siedzieli cicho. Na posiedzeniu Rady Wydziału bardziej radykalni członkowie przypuścili na Górskiego atak. Dyskusja nabierała ostrości. Padł nawet wniosek, aby Górskiego usunąć z Rady. Wtedy ktoś powiedział, że nie wiadomo, jak się sprawy dalej potoczą, i nie wolno tworzyć precedensów z wyrzucaniem profesorów z Rady, bo mogą nadejść czasy, że wyrzucani będą ci, co dziś wyrzucają. To był, niestety, głos proroczy.

Zacząłem się rozglądać za możliwością powrotu do Warszawy. Stałe dojazdy stawały się coraz bardziej uciążliwe, a w Warszawie działo się coraz więcej. Byłem zaangażowany w dwóch komitetach panowskich. W połowie roku przeszedłem do Instytutu Geografii i Planowania Przestrzennego PAN. Ale to nie było dobre miejsce dla studiów nad samorządem. W Łodzi pozostałem na pół etatu, prowadząc Zakład jeszcze przez kilka lat.

Tymczasem coraz lepiej zdawaliśmy sobie sprawę ze znikomej wiedzy, jaką dysponowaliśmy. Mogliśmy zredagować ogólne tezy, ale byliśmy zupełnie nieprzygotowani do rozwiązywania konkretnych problemów związanych z zarządzaniem miastami. A przygotowanie reformy wymaga zaprojektowania systemu szczegółowo i wykonania przedtem wielu studiów i badań. Do tego trzeba stworzyć niezbędny zespół i warunki. Podzieliłem się tymi myślami z ówczesnym wicepremierem Zdzisławem Sadowskim. Zdżich był moim współtowarzyszem z więzienia i procesu z 1946 roku; zrobił on partyjną karierę. W ostatnich latach nasze drogi się skrzyżowały w pracach Komitetu „Polska 2000” oraz w Polskim Towarzystwie Ekonomicznym, którego był prezesem. Sadowski zaproponował spotkanie z profesorem Pajestką, który właśnie tworzył w PAN Instytut Nauk Ekonomicznych. Spotkaaliśmy się w początkach grudnia 1981 roku. Starąłem się przekonać profesora do

swoich idei. Nie wiem, czy w pełni je rozumiał, ale zaproponował mi przejście do tego instytutu i stworzenie odrębnego zakładu.

Aby uniknąć zastrzeżeń ze strony partii, zaproponował nazwę Zakład Gospodarki Regionalnej, przyjmując do wiadomości, że będziemy się zajmować samorządem. Kiedy zatelefonował do tworzącej się właśnie administracji Instytutu, okazało się, że pani zajmująca się sprawami kadrowymi jest chora. Umówiliśmy się na spotkanie 14 grudnia rano. Nikt nie myślał, że te dwa dni zmienią gruntownie sytuację w kraju.

11 grudnia 1981 roku rozpoczął się Kongres Kultury Polskiej. Uczestniczyłem w nim i silnie go przeżywałem. Rano 13 grudnia miałem jechać na dalsze obrady razem z Dankiem Gotowskim. Chciałem do niego zatelefonować, aby już wychodził z domu. Telefon nie działał, więc podjechałem po niego na Płatowców. Nawet nie zwróciłem uwagi na stojące na Raławickiej patrole. Dopiero u Gotowskich dowiedziałem się o stanie wojennym. Umówiliśmy się, że pojedziemy do Pałacu Kultury, gdzie odbywał się Kongres, ale przedtem pragnąłem porozumieć się z Danką, więc zwróciłem do domu. I tu kłopot. Wojsko nie chciało mnie wpuścić z powrotem. Nasza uliczka została otoczona specjalną opieką, bo mieszkał tam minister spraw wewnętrznych generał Kiszczak, i Józef Kępa, wieloletni szef partii w Warszawie. Długo tłumaczyłem, że muszę wrócić do domu. W końcu mnie puścili.

Pojechaliśmy do Pałacu, ale drzwi były zamknięte, a na nich wisiało ogłoszenie o odłożeniu Kongresu. Dochodzą pierwsze wiadomości o aresztowaniach. Pojechaliśmy do Związku Literatów. Obraz zaczynał się klarować. Wróciliśmy do domów, nie wiedząc, co będzie dalej. Wkraczaliśmy w nowy etap.

* * *

Jeden z dziennikarzy zapytał mnie raz, od kiedy poczułem się człowiekiem opozycji. Byłem zaskoczony tym pytaniem. Człowiekiem opozycji czułem się od zawsze. Od czasu gdy mnie wsadzili do kryminału w 1945 roku, nie miałem żadnych dylematów. Władza sama za mnie podjęła decyzję, ustawiając mnie po właściwej stronie. Przez wszystkie lata PRL byłem obywatelem drugiej kategorii, podejrzanym o wszystko, co złe. Zdarzały się okresy, kiedy się angażowałem w pozytywne próby przebudowy czy naprawy systemu, ale nie oznaczało to jego akceptacji. Ograniczanie się do negacji i utyskiwań pozostawało jednak w sprzeczności z moją mentalnością. Żyłem w ówczesnej Polsce i pragnąłem zrobić, co możliwe, aby ją naprawić. Jeśli nie mogłem doprowadzić do generalnej przebudowy, to chciałem choć trochę poprawić. Zawsze lepsze nawet małe coś niż nic.

Nigdy nie miałem nadziei, że ten system można uczłowieczyć czy poprawić. Ale się tym zajmowałem, bo musiałem. To był dylemat, który zaczął mi dolegać w latach sześćdziesiątych. Wcześniej, w latach pięćdziesiątych, szło tylko o to, by przetrwać. Pamiętam dyskusje z kolegami. Uważałem, że mam wybór: albo emigracja wewnętrzna, w której nie uznaję rzeczywistości, tylko buduję własny świat, albo praca zawodowa, naukowa – i wtedy muszę uznawać realia, niezależnie od tego, czy mi się one podobają, czy nie. Jak zacząłem głębiej wnikać w prawa rządzące tym systemem, stało się dla mnie oczywiste, że diabeł nie tkwi w szczegółach, ale w pryncypiach. Zryw Solidarności pozwolił na wyzwolenie się z wielu samoograniczeń. Dopuszczałem myśl o głębokich zmianach systemu, nad którymi się dawniej nie zastanawiałem. Całe społeczeństwo chciało się jakoś w ten system wpasować, uwierzyć, że można z nim żyć.

Zryw Solidarności zmienił mnie. Moja dusza pragmatyka i realisty nagle poczuła, że jest cel, na którym można skoncentrować wysiłki. Tym celem był samorząd. Oczywiście był to cel wówczas zupełnie nierealny. Ale był. A ja nie mam w sobie ducha rewolucjonisty, który by obalał... Ja chciałem budować, kłaść cegłę na cegłę. Miałem nadzieję, że nawet w tamtym systemie uda się położyć kilka cegiełek. Skupiałem się na wykorzystaniu tych możliwości, które otwierał konkretny czas, ale mając całkowitą jasność co do celów, które poza te aktualne możliwości wykraczały.

Do zmiany systemu społeczeństwo musiało dojrzeć, musiały też dojrzeć warunki zewnętrzne. Ruchy opozycyjne odegrały w Polsce ogromną rolę, choć to nie one obaliły komunizm. System upadł w skali globalnej, a więc także w tych krajach, gdzie opozycji praktycznie nie było. Ale fakt, że u nas była, pozwolił na pełniejsze wyzyskanie korzyści, które ten upadek przyniósł, i przeprowadzenie szybszej transformacji. Opozycja, gazetki, dowcipy, ulotki pozwoliły na rozwój świadomości społeczeństwa i jego przygotowanie do przełomu 1989 roku, w którym odegrało ono kluczową rolę. Sam nie jestem typem buntownika, jestem rzecznikiem przemian ewolucyjnych. Ale nie kwestionuję roli zachowań radykalnych. Myślę, że oba te nurty musiały zaistnieć równocześnie.

Komunizm tworzył zwarty, logiczny system, oparty na założeniu, że społeczeństwo jest wrogiem, więc powinno się je w pełni kontrolować. A także że jest nierozumne, więc trzeba je bronić przed nim samym. Chcieliśmy, aby ten system upadł, ale zdawałem sobie sprawę, że na długo pozostawi on ślady w mentalności ludzi. W PRL wszystko było uporządkowane i podane ludziom na tacy: zasiłek rodzinny, mieszkania, leczenie, wczasy, talon na lodówkę czy samochód. Istniał tylko jeden warunek – posłuszeństwo. System opierał się na dziewiętnastowiecznym paternalizmie, zakładającym, że człowiek to przede wszystkim siła robocza. Całe społeczeństwo, także partia, było zorganizowane w miejscu pracy. Solidarność dlatego

SOLIDARNOŚĆ i SAMORZĄD

powstała jako związek zawodowy. Nie istniała organizacja społeczeństwa wokół miejsca zamieszkania. A samorząd łączy ludzi właśnie w miejscu zamieszkania, niezależnie od ich zawodu. Rozwój samorządu wymagał więc przebudowy organizacji społeczeństwa. To wielkie wyzwanie. Czułem skalę tej transformacji, ale wtedy, w czerwcu 1981 roku, nikt nas nie rozumiał, a sami nie byliśmy jeszcze zdolni sformułować jasnej, daleko idącej tezy.



Wojciech Jaruzelski ogłasza wprowadzenie stanu wojennego, 13 grudnia 1981

20.

**Stan wojenny – Samorząd moim hobby
(1981-1988)**

Stan wojenny zupełnie zmienił warunki życia. W pierwszych dniach zaskoczenie było kompletne i nikt nie wiedział, co będzie dalej. Wszyscy zaczęli się spieszyć, żeby pozalać, co można, zanim władze to uniemożliwią. I tak w ciągu kilku dni nastąpiły dwa wydarzenia, na które w normalnych warunkach musielibyśmy czekać o wiele dłużej. Zostałem więc ekspresowo przeniesiony z kilkoma innymi osobami z Instytutu Geografii do Instytutu Nauk Ekonomicznych, gdzie stworzono mój nowy zakład. A Michał obronił swoją pracę magisterską. Przyspieszono obrony wszystkich studentów. Ale nie można ich było organizować na terenie Uniwersytetu przy Krakowskim Przedmieściu, bo był on zamknięty i należało mieć specjalne przepustki, aby tam wchodzić. Obrony przeprowadzano więc w innych budynkach Uniwersytetu.

Była ciężka zima, wielki śnieg i brak benzyny, który uniemożliwiał użytkowanie samochodu. Kiedyś poszedłem z Danką na zakupy. Ciągnąłem za sobą przez śnieg mały wózek. Przypomni mi się okres okupacji, gdy tak chodziliśmy. Przykra reminiscencja kilkadziesiąt lat po wojnie! Brak benzyny stanowił poważny problem w codziennym życiu. Położenie naszego domku wymagało dość dalekich podróży. Musieliśmy więc zdobywać benzynę. Zdobywało się ją różnymi sposobami, które raz były skuteczne, innym razem nie. Później wprowadzono kartki, ale przydział wystarczał jedynie na parę dni. Nawiązywało się więc prywatne kontakty na stacjach i kupowało benzynę na lewo. Operacje benzynowe stały się jednym z ważnych tematów rozmów i akcji.

Michał zaczął studia doktoranckie w PAN, ale ciągle nad nim wisiało wojsko. Studia pozwalały odroczyć służbę, lecz tylko do pewnego wieku. Ta sprawa była naszą zmorą. Pamiętałem dobrze problemy sprzed paru lat i obawiałem się jakichś kolejnych akcji. Ale chwilowo mieliśmy spokój. Przedmiotem ciągłych debat był, naturalnie, stan wojenny. Wielu naszych znajomych zgłosiło się do Prymasowskiego Komitetu, który działał na Pivnej. Danka utrzymywała z nimi stały kontakt, pomagając w miarę swoich możliwości. Ciągle pracowała na architekturze. Ja zaczynałem pracę w nowym instytucie z nowymi ludźmi.

Stan wojenny spowodował zablokowanie paszportów. W maju mieliśmy spotkanie w Budapeszcie w ramach projektu, w którym uczestniczyłem z ramienia Komitetu Przestrzennego Zagospodarowania. Gdy złożyliśmy wniosek o paszporty dla naszego zespołu, zostałem zaproszony na rozmowę do kadr PAN-u. Bardzo miła pani dyrektor (podobno miała rangę pułkownika) rozpytywała mnie o wszystko, ale szczególnie interesowała się Joanną. Z punktu widzenia polskich władz była za granicą nielegalnie, bo już dawno minął jej zadeklarowany termin powrotu. W dniu wyjazdu zgłosiliśmy się do kadr z bagażami. Mieliśmy jechać popołudniowym pociągami. Przyszliśmy i czekamy. Decyzji nie ma. W końcu nam dali, ale tak późno, że musieliśmy z Pałacu Kultury lecieć kłusem na dworzec i ledwo zdążyliśmy.

Wprowadzenie stanu wojennego nie stanowiło jakiegoś zamknięcia rozpoczętych debat. Odwrotnie. Nasze rozbudzone umysły szukały możliwości pozytywnych działań dostosowanych do nowych warunków. Jak zawsze, Danek był spiritus movens. Już w styczniu mieliśmy u siebie w domu robocze śniadanie ze Zdlichem Sadowskim, ciągle wicepremierem, Dankiem oraz Ryszardem Reiffem, członkiem Rady Państwa z PAX-u, którego zewsząd wyrzucili, bo jako jedyny głosował przeciwko wprowadzeniu stanu wojennego. Zastanawialiśmy się, co dalej.

W Komitecie PAN „Polska 2000” też dyskutowaliśmy o tym, jak może wyglądać przebieg dalszych wydarzeń. Komitet zajmował się prognozowaniem przyszłości, więc było to właściwe miejsce na tego typu rozważania.

Ale oczywiście miały one wyraźny charakter polityczny. Postanowiliśmy opracować raport. Powstał zespół w składzie: Bogdan Gotowski, Ryszard Kapuściński, Stefan Nowak, Jerzy Regulski, Andrzej Siciński, Witold Trzeciakowski, przy współpracy, jako sekretarza zespołu, świeżego absolwenta socjologii Witka Gotowskiego, syna Danki.

Tu mała dygresja. Kadencja Komitetu „Polska 2000” kończyła się w 1981 roku. Powołano nowy skład i przystąpiono do wyboru władz. Do prezydium kandydował m.in. ekonomista Kazimierz Secomski, formalnie bezpartyjny, ale były wicepremier. Głosowanie jest tajne i nagle okazuje się, że Secomski, którego normalnie zawsze wybierano wszędzie, uzyskuje liczbę głosów jednakową z Ryszardem Kapuścińskim.

Są razem na trzeciej i czwartej pozycji, a miejsc w prezydium jest jedynie trzy. Co robić? Zgłoszony zostaje wniosek, aby przeprowadzić kolejne głosowanie dla wyboru Secomskiego albo Kapuścińskiego. Ja to gorąco popieram, bo przyjemnie patrzeć, jak Secomski dostaje po nosie. On, osobistość reżimu, ma stanąć do konkurencji z jakimś dziennikarzem i w dodatku ryzykować przegraną? Do tego nie był przyzwyczajony. Niestety, do tych wyborów nie doszło. Znalazły się osoby zawsze układne wobec prominentów, które zgłosiły wniosek, aby zwiększyć liczbę członków prezydium. Wniosek przeszedł, bo ludzie nie chcieli ryzykować.

Nasz raport, *Hipotetyczne scenariusze przemian ekonomicznych, społecznych i politycznych w Polsce 1982/83*, powstał w ciągu kilku miesięcy i został wydany jako wydawnictwo powielaczowe (czyli nie podlegające cenzurze) Komitetu PAN „Polska 2000” w lipcu 1982 roku. Współpracował z nami Sadowski, jednak ponieważ był w rządzie, nie chciał występować jako autor. W opracowaniu tym zakładaliśmy, że najbliższa przyszłość będzie zależała od zachowań władz, a nie społeczeństwa, ale dowodziliśmy, że bez poparcia społecznego żadne reformy udać się nie mogą. Skojarzyliśmy dwa czynniki: kierunki wychodzenia z kryzysu oraz sposób skłonienia społeczeństwa do poniesienia kosztów tych operacji.

W każdym z tych czynników przyjęliśmy dwie możliwości. Założyliśmy, że działania władzy mogą być ukierunkowane albo na reformy gospodarcze, albo na powrót do dogmatycznego socjalizmu. A działania w odniesieniu do społeczeństwa – albo na dążenie do porozumienia, albo na użycie siły. Powstała matryca czterech pól, których skutki analizowaliśmy po kolei. Okazało się, że koncepcja, którą chciał realizować Jaruzelski – dążenie do reform przy jednoczesnym użyciu siły wobec społeczeństwa – była wewnątrznie sprzeczna i musiała prowadzić do porażki. Przyszłość pokazała, że mieliśmy rację. Nasz błąd polegał jedynie na tym, iż myśleliśmy, że wydarzenia potoczą się szybciej. Poprzedni okres miał wielką dynamikę, więc sądziliśmy, że tempo przemian będzie nadal wysokie. Trwało to jednak znacznie dłużej.

Scenariusze powielono i upowszechniono w ramach PAN. Jesienią mieliśmy kilka szerokich zebrań, na których przedstawialiśmy swoje wnioski. Jednak po kilku miesiącach komisarze polityczni zorientowali się w ich treści. Zrobiła się awantura. Wydawnictwo zostało zakazane i wycofane z obiegu. Wprowadzono nawet zakaz dostępu do powielaczy dla kogokolwiek w Akademii bez akceptacji politycznej.

DiP w nowych warunkach stracił sens istnienia. Nie można było liczyć na znalezienie form współpracy z władzami stanu wojennego. Jednak Bogdan Gotowski wciąż starał się łączyć ludzi o odmiennych poglądach, aby dyskutować i wspólnie szukać właściwych rozwiązań. W 1983 roku zainicjował w swoim mieszkaniu spotkanie kilkunastu osób o bardzo różnych orientacjach. Mówił mi o tym, zapraszając do udziału, ale jednocześnie odradzając to. Wtedy bowiem musieliśmy załatwić

sprawę przyszłości Michała. Chodziło o wojsko, ale i o jego emigrację, związaną z małżeństwem. Danek przekonywał mnie, że nie powinienem się włączać w żadne działania, które mogłyby się odbić negatywnie na przyszłości naszych dzieci. To były wybory tamtych czasów! Dlatego zacząłem uczestniczyć w tych zebraniach dopiero po wyjeździe Michała. Zbyt wiele miałem złych doświadczeń.

Ale Danek już wówczas nie żył – zmarł nagle w 1984 roku. Ta wiadomość spadła na nas jak grom z jasnego nieba. Danek był z Magdą w Dębках w swoim domku wakacyjnym. Tam dopadł go zawał. To był dla nas wielki cios. Danek był naszym przyjacielem w całym tego słowa znaczeniu. Włączyłem się w sprawy pogrzebu. A były to ostatnie dni przed emigracją Michała. Los tak zrzędził, że pogrzeb Danka oraz wyjazd Michała i jego młodej żony Ewy odbyły się tego samego dnia. Prosto z lotniska pojechaliśmy na cmentarz. Nasz syn emigrował, a najlepszy przyjaciel odchodził na zawsze.

Spotkania u Gotowskich odbywały się regularnie, mniej więcej co sześć tygodni. Skład tego konwersatorium, które nazwaliśmy imieniem Bogdana Gotowskiego, zmieniał się. Ale stałymi jego uczestnikami w ciągu całego okresu byli: Stefan Bratkowski, Bronisław Geremek, Bogdan Lewandowski, Tadeusz Mazowiecki, Edmund Osmańczyk, Jerzy Reguński, Ryszard Reiff, Andrzej Siciński, Stanisław Stomma, Jan Strzelecki, Klemens Szaniawski, Jan Szczepański, Jerzy Turowicz, Andrzej Wielowieyski, Magda Winiarska-Gotowska. Tematy naszych dyskusji zmieniały się w zależności od sytuacji. Dyskutowaliśmy o tym, co należy robić, aby jednak doprowadzić do przekształcenia ustroju. Byliśmy realistami. Nie wierzyliśmy w skuteczność działań rewolucyjnych, dopóki system sowiecki jest silny. Oczywiście podziemie było konieczne do podtrzymania nastroju w społeczeństwie.

Na konwersatorium nie interesowano się dyskusją o kształcie przyszłego państwa. Nikt się wówczas tym nie zajmował. To przecież wydawało się tak odległe, że aż nierealne. Wielokrotnie starałem się poddać pod dyskusję sprawy odrodzenia samorządu. Nie wzbudzało to jednak zainteresowania. Najważniejszym skutkiem tych paroletnich spotkań było wszelako zaufanie, jakim zaczęli się wszyscy darzyć. To zaufanie stanowiło podstawowy kapitał, na którym zbudowałem później swoją działalność w rządzie i parlamencie. Byłem przecież w tych środowiskach obcy. Mogłem zaistnieć w polityce i zrobić to, co zrobić mi się udało, tylko dlatego, że Tadeusz Mazowiecki czy Bronek Geremek mnie znali i mieli do mnie zaufanie.



Ślub Michała i Ewy, Warszawa 1984

Lata 1983 i 1984 przyniosły wiele dramatycznych wydarzeń w naszej rodzinie. W kwietniu 1983 roku zmarł mój Ojciec. Do ostatnich dni był w świetnej formie mimo swych 95 lat. Pełna zdolność umysłowa i fizyczna. Któregoś dnia Matka zadzwoniła przestraszona, że Ojciec upadł i nie może wstać. Pobiegłem. Leżał przy łóżku, w pełni przytomny. Przy mojej pomocy udało mu się wsunąć na tapczan. Wezwaliśmy jego lekarza, ale nic zrobić nie mógł. Ojciec powoli tracił przytomność. Miał wylew. Pogotowie zabrało go do szpitala na Sobieskiego. W karetce pojechał z nim Michał, a ja za nimi samochodem. Ojciec bardzo kochał Michała i patrząc na niego, wyszeptał jego imię. To były ostatnie słowa Ojca. Zmarł kilka dni później w szpitalu, nie odzyskawszy przytomności.

Gdy Michał się urodził, Ojciec już miał ponad 70 lat. Martwił się, że nie będzie miał szansy nawiązania z nim kontaktu jako z dorosłym człowiekiem. Mówił, że nie doczeka tego momentu. Założył więc dla Michała księgę, gdzie notował swoje myśli, które chciałby mu przekazać. Wklejał też ciekawe artykuły i wycinki gazetowe. Ale życie okazało się dla Ojca łaskawsze. Gdy umierał, Michał miał już 27 lat. Był dorosłym człowiekiem, już po studiach. Ojciec mógł spełnić swoje marzenie – nawiązać przyjaźń z własnym wnukiem.

Ojciec był wielką postacią. Jego pogrzeb odbył się w Katedrze. Na wniosek Automobilklubu został pośmiertnie odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Tłum ludzi odprowadzał go do grobu na Powązkach. Strata Ojca była dla mnie ogromnym przeżyciem. Stałem się seniorem rodziny.

W następnym roku rozpadło się małżeństwo Joanny. Pojechałem do Stanów, aby ją wspomagać w ciężkich chwilach. Już wtedy, po doktoracie w Boulder, pracowała na Uniwersytecie Rutgersa – tam rozpoczęła karierę, która doprowadziła ją do funkcji wiceprezydenta tego uniwersytetu. Ale początki były trudne i odbywały się często w warunkach wprost dramatycznych.

Michał też wyjechał i rozpoczął studia doktoranckie na Uniwersytecie Yale. A jego rodzina zwiększała się – przybyło nam dwóch wnuków. Była więc już trójka. Rodzina rosła i przybywało dziedziców rodu. Zrozumiałe więc, że w tych latach nasze zainteresowania skupiły się na Ameryce. Tam wyjeżdżaliśmy, gdy na to pozwalały możliwości, zawsze łącząc spotkania rodzinne z wykładami i kontaktami zawodowymi. W ciągu tej dekady miałem wykłady w 27 uniwersytetach i instytucjach badawczych. Zaniedbaliśmy zupełnie wędrówki tatrzańskie, ale za to poznaliśmy Stany, przyszłą ojczyznę naszych wnuków, a ja nauczyłem się wiele.

Fascynacja ideą przywrócenia samorządu zaowocowała zupełną zmianą mojej działalności naukowej. Miałem teraz własny zakład nie tylko w Łodzi, ale też w Warszawie. Trzeba było skompletować jego skład. Zabrałem ze sobą kilka osób z Instytutu Geografii. Dołączył Iwo Byczewski, którego wyrzucono z Komisji Badań Zbrodni Hitlerowskich. Później nawiązaliśmy współpracę z zespołem Michała Kuleszy

z Uniwersytetu. Powstał trójkąt trzech współpracujących instytucji. To pozwalało na wielką elastyczność działań. Ale środowisko instytutów ekonomicznych było dla mnie nowe. W sąsiednich pokojach pracowali tacy promineneci, jak Trzeciakowski i Mujżel, czy młodsi, ale już znani ekonomiści, jak Bugaj czy Baczek. Ja też stawałem się ekonomistą, chociaż ekonomii nigdy nie studiowałem. Ale w 1983 roku zostałem profesorem zwyczajnym nauk ekonomicznych. Instytut ekonomiczny wnioskował o tę nominację, a więc musiałem być ekonomistą.

Wraz z tą nominacją zostaliśmy razem z moimi kolegami Trzeciakowskim i Mujżelem usunięci z rady naukowej Instytutu jako politycznie niepewni. Ta niekonsekwencja działań wskazywała wyraźnie na rozpadanie się systemu. Kilka lat wcześniej taka rozbieżność była nie do pomyślenia.

Podstawowym naszym problemem stało się zdobywanie pieniędzy na badania. Nie mogliśmy głośno mówić, czym się zajmujemy. W pierwszych latach udało się nam wpisać w program prowadzony przez Jerzego Kołodziejewskiego, dawnego wojewodę gdańskiego, który był profesorem na Politechnice Gdańskiej, a jednocześnie zajmował dość wysokie miejsce w strukturach partyjnych. W tym czasie bardzo się lubiliśmy. Ale program Jurka się skończył i musieliśmy poszukiwać drobnych zleceń, aby móc pracować. Oczywiście nie mogliśmy mówić, że przygotowujemy reformę, należało to robić bez eksponowania tematu samorządności. Nie było łatwo.

Podstawowy problem stanowił brak dostępu do praktyki i możliwości badań empirycznych. A nam chodziło o utrzymanie kontaktu z rzeczywistością. Było jasne, że jeśli zostaniemy teoretykami, to o zastosowaniu naszych koncepcji nie będzie mogło być mowy. Te trudności staraliśmy się wyrównywać szerokim programem międzynarodowych badań porównawczych. Chcieliśmy poznać doświadczenia innych krajów, chociaż bezpośrednie przenoszenie obcych rozwiązań instytucjonalnych jest zawsze skazane na porażkę. Było oczywiste, że odbudowa samorządu stanie się możliwa, tylko jeśli Polska uwolni się od niewoli ideologii. A wtedy będzie musiała pójść drogą demokracji zachodnich. Należało zatem wiedzieć, co może nas czekać i jakie problemy przyjdzie nam rozwiązywać.

Nie było jednak łatwo zorganizować współpracę z ośrodkami zagranicznymi. Nasz zespół nie był tak znany, aby móc dowolnie wybierać partnerów. Nie mieliśmy też wystarczających środków finansowych, a nie chciałem się włączać do programów ogólnouniwersyteckich czy panowskich, aby nie poddać się kontroli administracyjnej i politycznej. Trzeba było szukać partnerów zagranicznych, którzy wyrażali gotowość do ponoszenia kosztów. Musieliśmy w związku z tym akceptować taki zakres studiów, jaki ich interesował. Często nie dotyczył on zagadnień dla nas najważniejszych. Ale w sumie umożliwiło nam to uzyskanie podstawowej wiedzy i przeprowadzenie wielu analiz.



Pojedynek z Joanną na nosy. Kto ma dłuższy?
Warszawa 1984

Jacy byli ci nasi partnerzy? Przede wszystkim młodzi. Zryw Solidarności i wprowadzenie stanu wojennego zaowocowały ogromnym zainteresowaniem Polską. Staliśmy się modni. Zwłaszcza młodzi naukowcy odkrywali nowy dla siebie świat i szukali nowych doświadczeń. Starsi nie byli tym zainteresowani. Oni mieli już swoje ustabilizowane kontakty, oparte na sformalizowanej współpracy ze starszym pokoleniem naukowców polskich i ośrodkami ściśle związanymi z ideologią PRL. Obowiązująca wówczas poprawność polityczna prowadziła do uznawania Sowietów i ich satelitów za trwałe element porządku europejskiego. Rozwijające się na Zachodzie ruchy na rzecz pokoju stawały się coraz bardziej antyamerykańskie i w jakimś stopniu prosowieckie. Środowiska uniwersyteckie, na ogół lewicujące, były w nie zaangażowane i z trudem przychodziło im zdefiniowanie stanowiska wobec Polski. Z jednej strony fascynowała je polska walka o wolność, ale z drugiej obawiały się, że zagrozi to ustabilizowanym relacjom z nauką wschodnioeuropejską.

Partnerzy, z którymi nawiązaliśmy bliższe, przyjacielskie kontakty, starali się zrozumieć naszą sytuację, chociaż wymagało to dużego wysiłku intelektualnego. To, co u nas widzieli i co od nas słyszeli, zupełnie bowiem nie pasowało do ich sposobu myślenia. Nie mogli zrozumieć, dlaczego my się skarżymy na brak wolności, jeśli jeździmy za granicę i mówimy to, co myślimy. Jak nas mieli klasyfikować – jako wspierających czy kontestujących system? Rozumieli problem niewydolności naszej scentralizowanej gospodarki, poddanej kontroli partyjnej, i sprowadzali nasze problemy do poziomu życia. Uważali, że przesadzamy z kwestią wolności. „Jakby wam się żyło lepiej, tobyście nie protestowali” – mówili nam często. Ale pomagali, jak mogli, pełni emocjonalnego zaangażowania w nasze poszukiwania naprawy czy zmiany ustroju.

Zainteresowanie Polską wynikało też często z przyczyn pozamerytorycznych. Któregoś dnia na sali zorganizowanego przez nas seminarium międzynarodowego było prawie pusto. Większość uczestników pojechała z prywatną wycieczką do Oświęcimia. Innym razem nasi goście z Izraela zniknęli na prawie dwa dni, wprowadzając nas w przerażenie. Wrócili szczęśliwi, gdyż odnaleźli w Brzezinach pod Łodzią dom swoich dziadków i spędzili w nim wiele czasu, goszczeni przez obecnych mieszkańców. Jeden z Amerykanów odnalazł z kolei w jakiejś wsi mazowieckiej bardzo już starą kobietę mieszkającą w rozpadającej się chałupie i pamiętającą jego dziadków, którzy z tej wsi wyemigrowali przed wojną do Ameryki. Był zdruzgotany, gdy patrzył na warunki, w jakich ona żyje. Powiedział, że odprawi specjalne modły w podzięce dziadkom, że wyjechali.

Wykorzystaliśmy wszystkie kontakty, jakie dotychczas mieliśmy, i powoli dodawaliśmy nowe. Sieć naszych kontaktów objęła ludzi i zespoły badawcze z kilkunastu uczelni z dziewięciu krajów: Wielkiej Brytanii, Danii, Szwecji, Norwegii, Holandii,

Belgii, Włoch, Stanów Zjednoczonych i Kanady²⁵. Istotną rolę odgrywały też okazjonalne kontakty i zaproszenia na wykłady gościnne i pobyty stypendialne, jakie otrzymaliśmy z Francji, Irlandii, Szwajcarii, Austrii, a nawet z Izraela. Wyjątek stanowiły Niemcy. Ten kraj był uznawany przez władze za największego wroga i wszystkie kontakty znajdowały się pod ścisłą obserwacją służb bezpieczeństwa. Baliśmy się więc podejmować jakieś kroki w tym kierunku, aby nie stracić pola swobody, którym dysponowaliśmy. A ze współpracy z NRD zrezygnowaliśmy kompletnie. Działaliśmy na granicy bezpieczeństwa, a ilość dostępnych informacji i tak zdecydowanie przekraczała nasze możliwości ich wykorzystania.

Pierwszy program zorientowany bezpośrednio na problematykę władz lokalnych i decentralizację podjęliśmy z grupą duńskich pracowników naukowych skupioną wokół Uniwersytetu w Roskilde pod kierunkiem Henrika Tofta Jensena. Program obejmował dwa seminaria w Danii i w Polsce, na które obie strony przygotowują referaty według ściśle ustalonej listy. Miałem nadzieję, że proste ich zestawienie pozwoli dokonać porównania systemu władz lokalnych w dwóch całkowicie różnych ramach ustrojowych. Ku mojemu zaskoczeniu, gdy zestawiliśmy referaty (napisane po angielsku), okazało się, że różnic nie ma! Po prostu używaliśmy tych samych słów do opisanie dwóch całkiem odmiennych systemów. Mer w komunistycznej Polsce i w Danii to dwie zupełnie różne funkcje. Ma inne prawa i inną odpowiedzialność, całkowicie inny jest także jego obraz w świadomości społecznej. Ale słowo to samo. Była to pierwsza wielka lekcja z międzynarodowych studiów porównawczych. Kiedy przygotowywaliśmy wspólną książkę, spędziłem kilka tygodni w Kopenhadze u Jensena, opracowując poszczególne referaty, aby wykazać różnice między obu krajami. Przeglądaliśmy z Henrikiem teksty kartka po kartce, a często słowo po słowie, pytając się wzajemnie: „Co ty przez to rozumiesz?”. Redagowaliśmy je tak, aby czytelnicy z jednego kraju mogli zrozumieć rzeczywistość drugiego.

Podobną przygodę miałem w 1990 roku, gdy uczestniczyłem w seminarium w Moskwie, zorganizowanym przez Amerykanów w celu przekonania do demokracji ówczesnych, jeszcze sowieckich merów. Dyskusja przybierała zupełnie aberracyjne formy, gdyż treść poszczególnych słów była rozumiana w sposób całkowicie różny. W podsumowaniu seminarium powiedziałem, że nasza dyskusja przypominała rozmowę telefoniczną Eskimosa z mieszkańcem Afryki Środkowej. „Dziś u nas jest ciepły, słoneczny dzień” – mówił pierwszy. „U nas jest też ciepły, słoneczny dzień”

²⁵ Były to następujące uczelnie: Centrum Studiów Urbanistycznych, Regionalnych i nad Władzami Lokalnymi Uniwersytetu w Birmingham, Politechnika Oksfordzka, Politechnika w Leicesterze, Uniwersytet w Roskilde, Uniwersytet w Örebro, Uniwersytet w Trondheim, Uniwersytet w Nijmegen, a okresowo Uniwersytet w Amsterdamie, Katolicki Uniwersytet w Lowanium, Uniwersytet w Katanii, Uniwersytet „La Sapienza” w Rzymie, Szkoła Architektury w Wenecji, Uniwersytet Rutgersa w New Jersey, Uniwersytet Johnsa Hopkinsa w Baltimore, Uniwersytet McGilla w Montrealu.

– odpowiedział drugi. Słowa były te same, ale różnica temperatury wynosiła 50 stopni! Te doświadczenia wykazały mi wyraźnie, że nie wolno mechanicznie przenosić rozwiązań ustrojowych z jednego kraju do drugiego. Co w jednym może dawać efekty wyśmienite, w drugim będzie odrzucone. Ustrój musi odpowiadać lokalnym tradycjom, umiejętnościom i sposobowi myślenia ludzi. Jest on przecież dla konkretnych ludzi, ale i przez tych ludzi realizowany!

W końcu lat osiemdziesiątych nawiązaliśmy też stałą współpracę z Uniwersytetem Johnsa Hopkinsa w USA, umożliwiającą nam wysyłanie kolejno członków naszego zespołu na wielomiesięczne pobyty studialne. Coraz silniej rozwijała się także współpraca z Uniwersytetem Rutgersa, gdzie powstał nawet specjalny program pomocy Polsce, zorganizowany przez Joannę. Kontakty się mnożyły i często wykraczały poza moje bezpośrednie zainteresowania. Ale niektóre były interesujące, tak jak np. zaproszenie do konkursu na projekt nowego miasta pod Paryżem. Albo wykłady na Uniwersytecie w Katanii, które dały nam możliwość zwiedzenia Sycylii i wejścia na szczyt Etny, czy też spotkanie Grupy Ekspertów ONZ w Nairobi w Kenii.

Ale podstawowym moim celem było poszukiwanie wspólnych międzynarodowych programów porównawczych. Udał się program z Duńczykami, chcieliśmy powtarzać to doświadczenie z Holendrami, a później w trójkącie Polska – Szwecja – USA. Ale przełom polityczny w Polsce oderwał nas od studiów, stwarzając możliwość działań praktycznych. Muszę tu wspomnieć o swojej przygodzie włoskiej. Miałem wieloletnie kontakty z Uniwersytetem „La Sapienza” w Rzymie. Moi przyjaciele zarekomendowali mnie jako zagranicznego członka we Włoskiej Radzie ds. Badań Naukowych. Duży zaszczyt i szansa na nowe doświadczenia. Z radością odebrałem zaproszenie na pierwsze posiedzenie i pojechałem do Rzymu. Ale okazało się, że Rada nie przewiduje pokrywania kosztów podróży i hotelu. A ja zaangażowałem wszystkie swoje oszczędności! W końcu udało się załatwić zwrot podstawowych wydatków, jednak na następne posiedzenia już nie jeździłem.

Studia w Polsce prowadziliśmy przy całkowitym braku zrozumienia w środowisku naukowym. Moi przyjaciele mówili mi wprost: „Wyglądasz na inteligentnego człowieka, a zajmujesz się sprawami, które nigdy w Polsce nie zostaną wdrożone”. Mieli rację. W tamtej Polsce było to niemożliwe, ale nadchodziła jej kolejna odsłona.

Nawet samodzielnie myślącym naukowcom sprawiało wtedy trudność wyzwolenie się ze schematu myślowego narzuconego przez ustrój. W czasie dyskusji zorganizowanej przez tygodnik katolicki „Ład” jeden z jej uczestników mówił: „Samorządowi terytorialnemu [...] imputuje się naturalną skłonność do przeciwstawiania się państwu. [...] w państwie kapitalistycznym jest to w dużym stopniu zasadne. Samorząd terytorialny bywa tam nasycony interesami ludzi pracy, a władza centralna – interesem wielkokapitalistycznym. Natomiast w państwie socjalistycznym

[...] władza jest jedna – ludowa, więc ma ją sprawować lud pracujący miast i wsi. [...] w naszym państwie władza jest jedna – władza ludu”. Wniosek był oczywisty – samorząd jest niepotrzebny, bo zastępuje go państwo i partia. Najbardziej zaskakuje, że mówił to naukowiec, który chciał, aby go uważać za liberała, i nie był nawet członkiem partii.

Ideologia komunistyczna zakładała, że świat należy podporządkowywać teorii, która nie służy wyjaśnianiu rzeczywistości, ale jej kształtowaniu. Jeśli teoria mówi, że sprzeczności nie ma, to znaczy, że ich nie ma i być nie może, chociaż w praktyce jest ich pełno. Tego typu argumenty, że społeczności lokalne nie potrafią samodzielnie podejmować decyzji, że będą narzędziem w jakichś obcych, wrogich rękach, że trzeba poczekać ze stworzeniem samorządu, aż społeczeństwo dojrzeje, były stale powtarzane przez przeciwników reform. A później znajdowały odbicie w poglądach wielu, nawet demokratycznie nastawionych naukowców. PRL zaciążył na świadomości społecznej i wielu lat będzie potrzeba, aby się z tego wyzwolić. Mądry Mojżesz 40 lat prowadził Izraelitów po pustyni, aż wymarło całe pokolenie. Czy nam 40 lat wystarczy? Dziś ludzie żyją dłużej.

Ówczesna nasza działalność miała charakter studialny, ale była bardzo praktycznie ukierunkowana. Wielokrotnie spotykałem się ze stwierdzeniem, że nauka i praktyka to są dwie zupełnie obce sobie dziedziny i że z teorii nic praktycznego wyniknąć nie może. Moje doświadczenia są tego zaprzeczeniem. Można łączyć badania teoretyczne z ich zastosowaniem praktycznym i ze zdobywaniem stopni naukowych. Stworzyliśmy podstawy reformy państwa, zbudowaliśmy modele teoretyczne, jednocześnie wszyscy członkowie naszej grupy uzyskali wyższe stopnie naukowe. W ramach naszej działalności powstały cztery prace habilitacyjne i osiem doktoratów.

Staraliśmy się budować teorię miast i ich rozwoju. Miałem po latach wielką satysfakcję, gdy odwiedzałem wydział architektury w Bukareszcie i szef katedry urbanistyki powiedział mi, że cały program nauczania oparł na modelu miasta, jaki zaproponowałem w swojej książce. Prace studialne mogą przynieść zwiększenie zasobu informacji i wiedzy. I nam też pomagał model myślowy, który pozwalał opisywać wzajemne zależności pozornie niezależnych zjawisk i procesów, pozwalał na wykrywanie kluczowych problemów, na których koncentrowaliśmy naszą uwagę. Nie ma nic bardziej potrzebnego praktyce jak dobra teoria porządkująca postrzeganie rzeczywistości. Przypominały mi się moje studia politechniczne nad rozkładem sił i współzależności różnych elementów konstrukcji.

Ale nie wystarczy coś studiować, aby rozwiązać problem. Trzeba wzbudzić zainteresowanie nim i uruchomić siły, które to rozwiązanie mogą wprowadzić w życie. Musieliśmy spowodować, aby sprawa odbudowy samorządu stała się powszechnie znana. Dlatego włączyliśmy się w prace Komisji ds. Reformy Gospodarczej, powołanej przez ówczesne władze. Na kolejnych spotkaniach staraliśmy

się wykazać, że niemożliwe jest zwiększenie efektywności gospodarki bez zdecentralizowania państwa. Każda nasza poważniejsza propozycja natrafiała oczywiście na opór, ale trzeba było mówić, ponieważ kropla draży skalę nie siłą, lecz częstym kapieniem.

Szukaliśmy też innych środków nacisku. Naszą parafię św. Andrzeja Boboli prowadzili jezuici. Zaprzyjaźniłem się z redaktorami jezuickiego „Przeglądu Powszechnego” – Andrzejem Koprowskim, Wacławem Oszajcą i Mirkiem Paciuszkiewiczem. Andrzej zasugerował, aby wykorzystać kardynała Glempa. Właśnie prowadzono w Sejmie prace nad nowelizacją ustawy o radach narodowych. Napisałem szkic listu Episkopatu do przewodniczącego komisji sejmowej. Andrzej go zaniósł, gdzie trzeba, i za kilka dni dostałem kopię listu skierowanego do Sejmu, z podpisem kardynała Glempa. Oczywiście nic tą drogą nie wskóraliśmy, ale efekt propagandowy udało się uzyskać. Fakt, że był to list prymasa, nadawał problemowi odpowiednią wagę polityczną. W tym liście Episkopat stwierdzał wyraźnie, że obecny system jest „nieefektywny i nie tworzy fundamentów porozumienia narodowego”. Dalej – że potrzeba reform wynika ze sprzeczności ustrojowych oraz z konieczności dostosowania ustroju do rozwoju społeczeństwa i gospodarki. „Podejmowane [...] przez władze państwowe próby uzdrowienia sytuacji [...] w żadnym przypadku reform nie zastąpią”. W zakończeniu stwierdzano, że „zaprzepaszczenie [...] tych możliwości byłoby ogromnym błędem o nieobliczalnych konsekwencjach”.

Zaangażowanie Episkopatu było incydentalne. Moje naturalne zaplecze stanowiło Towarzystwo Urbanistów Polskich (TUP). Należałem do niego już od 30 lat i dobrze się czułem w tym środowisku, jakkolwiek różniłem się od większości jego członków rozumieniem roli planisty. Adam Kowalewski, który dołączył do naszego zakładu w PAN, zaczął mnie namawiać, abym zgłosił swoją kandydaturę na prezesa TUP w najbliższych wyborach. Chcieliśmy stworzyć całkowicie nowy zarząd, który wprowadziłby Towarzystwo na nowe tory rozwoju. Środowisko w większości dobrze przyjmowało nasze kandydatury. Ale nagle nastąpił zwrot. Wysunięto kandydaturę Jurka Kołodziejskiego. Przykry zgrzyt stanowiło to, że całą akcją przeprowadzono po cichu i w sposób nielojalny. Nie wiem, czy chodziło o sprawy polityczne, bo Kołodziejski był zaufanym członkiem partii, a my byliśmy zawsze podejrzani. A może bano się, aby TUP nie odszedł od tradycyjnego myślenia i archaicznej wizji roli urbanistyki? Dość, że prezesem został Kołodziejski.

Zgodziłem się zostać wiceprezesem odpowiedzialnym za współpracę z zagranicą (dotąd taka współpraca praktycznie nie istniała). Zacząłem od Anglii. Załatwiłem porozumienie, które dawało możliwość krótkiego stażu w Anglii dla dwóch naszych planistów, z kolei dwóch Anglików przyjeżdżało do nas. Potem organizowałem odpłatne seminaria w Polsce, które pozwoliły na gromadzenie dewiz. Wówczas posiadanie własnych dewiz było warunkiem jakiegokolwiek samodzielności.

W ciągu swojej kadencji zbierałem kilkanaście tysięcy dolarów, co stworzyło pewną swobodę. Kadencja zakończyła się w 1989 roku. Skończyło się też wtedy moje zainteresowanie planowaniem. Przeszedłem do przebudowy państwa.

Praca w zarządzie TUP dawała szansę na kontakty z organizacjami międzynarodowymi. Rozwijała się wtedy nowo powstała międzynarodowa organizacja planistów, która grupowała przedstawicieli młodszego pokolenia. Łączyło mnie z nimi wspólne rozumienie roli planowania i jego metodyki. Zostałem zaproszony do zarządu i powierzono mi funkcję jednego z wiceprzewodniczących. Ta kadencja skończyła się też w chwili polskiego przełomu.

Lata osiemdziesiąte to czas dwóch kolejnych pielgrzymek Jana Pawła II do Polski. W 1983 roku byliśmy z Danką i z Gotowskimi na Stadionie Dziesięciolecia. Było to pierwsze tak wielkie zgromadzenie ludzi po wprowadzeniu stanu wojennego. Dawało poczucie siły, jaka drzemie w narodzie. Cieszył widok bezradności bezpieki, gdy w tłumie pojawiły się transparenty z hasłami Solidarności, która według nich została już zniszczona. Pielgrzymce z 1987 roku towarzyszył inny nastrój. Msza pod Pałacem Kultury i atmosfera w wielotysięcznym tłumie wyraźnie wskazywały na słabnięcie reżimu. Już nikt się nie bał. Wszyscy wyraźnie czuli, że nadchodzi zmiana. Papieskie wizyty odegrały wielką i nie zawsze docenianą rolę. To nie były tylko religijne spotkania – to były zgromadzenia ludzi chcących zmian politycznych, manifestujących gotowość do działania na ich rzecz. Mieliśmy możliwość kontaktów z Papieżem również w Rzymie. W 1985 roku z Magdą Gotowską wzięliśmy udział w audiencji prywatnej. Później miałem jeszcze dzięki Andrzejowi Koprowskiemu kilka okazji do coraz bliższych kontaktów.

W Polsce wydarzenia nabierały coraz większego tempa. Jesienią 1987 roku zostałem zaproszony na spotkanie „grupy intelektualistów”, która stała się potem Komitetem Obywatelskim. Odbyło się ono w kościele na Żoliborzu przy ulicy Czarnieckiego. Było to już drugie spotkanie, pierwsze odbyło się w maju, przed kolejną wizytą Papieża. Zebrało się około 60 osób. W pamięci najbardziej utkwiło mi nie samo zebranie, ale parogodzinne łażenie po Żoliborzu z Jankiem Strzeleckim, już po zebraniu. Łaziliśmy we dwóch, tak bez celu i właściwie bez sensu. I gadałiliśmy – dziś już nie pamiętam o czym. Ale pozostał w pamięci nastrój rozmowy, Janek miał wprost niesamowitą umiejętność prowadzenia rozmowy, a przede wszystkim tworzenia nastroju. O tym wspólnym wieczorze pamiętałem zawsze, szczególnie po jego dramatycznej śmierci rok później.

Rok 1988 rozpocząłem wyjazdem na cały semestr do Stanów, na Uniwersytet Johnsa Hopkinsa w Baltimore. To mi dało chwilę spokojnych studiów i refleksji w nieograniczonej bibliotece. Zacząłem tworzyć swój własny nowoczesny warsztat badawczy, którego mi tak zawsze brakowało. Dopiero siedząc dłużej na jednym uniwersytecie, mogłem poznać, jak tam jest zorganizowana praca i jak są prowadzone

badania. To była dobra lekcja. Ale mieliśmy też możliwość zaliczenia z Danką całego wschodniego wybrzeża – od krokodyli na Florydzie po zielone wzgórza Vermontu i kanadyjski Montreal.

Poznałem także trochę życie w wielkich miastach amerykańskich. Zobaczyłem mechanizm rewitalizacji upadających centrów miejskich. Uniwersytet był w dość bezpiecznym regionie. Tylko raz ktoś wybił mi szyby w samochodzie. Ale zaraz po przyjeździe uprzedzono mnie: „Na spacer możesz iść tylko na północ. Na zachód nie wolno ci chodzić wcale, na południe – dwa bloki, na zachód – trzy. Do centrum możesz jechać tylko samochodem, aby przejechać przez złą dzielnicę”. Gdy pojeździłem po mieście, to zobaczyłem, jak ważne jest przestrzeganie tych granic. Kiedyś z okna naszego mieszkania usłyszałem jakieś krzyki i hałas opuszczanych żaluzji sklepowych. Ulicą szła zgraja czarnych wyrostków i niszczyła wszystko, co było na drodze. A ludzie ze strachu barykadowali się w sklepach.

Do Polski wróciłem późną wiosną 1988 roku. Zaraz po wiosennych strajkach. I tuż przed przełomowymi miesiącami.



Obrady Okrągłego Stołu

21.

**Komitet Obywatelski – Okrągły Stół
(1988-1989)**

30

maja lądujemy w Warszawie. Cztery miesiące nieobecności w kraju to, wydawałoby się, niewiele. Ale w tym czasie zmiany nabierały dynamiki. Atmosfera była już zupełnie inna niż w zimie. Majowe strajki w Gdańsku nie przyniosły sukcesu, ale pokazały siłę Solidarności. Przemarsz strajkujących stoczniovców do kościoła św. Brygidy miał swoją wymowę i wskazywał na wolę dalszej walki. Pewność, że zmiany nadchodzą, stała się powszechna.

Wpadliśmy od razu w wir wydarzeń. Liczba różnych spotkań i dyskusji wzrastała lawinowo. Wszyscy czuli potrzebę dyskusji, wymiany poglądów i przewidywań. W końcu sierpnia pojechaliśmy, jak zawsze, do Zakopanego. W Hałamie było kilkoro przyjaciół. Góry uspokajały rozpalone głowy i skłaniały do spokojnych refleksji. Ale nie zdawaliśmy sobie sprawy, że już kończył się okres dyskusji i refleksji. Zbliżał się czas działania.

Sytuacja gospodarcza kraju pogarszała się i stało się oczywiste, że kolejne etapy podejmowanych przez PZPR reform gospodarczych nie mogą przynieść istotnych efektów bez zmian politycznych. Nastąpiły pierwsze kontakty władz ze środowiskiem skupionym wokół Lecha Wałęsy. Zaczęto rozważać możliwość rozmów Okrągłego Stołu.

Sprawa odbudowy samorządów nie była wówczas uznawana za istotny problem ani przez władze polityczne, ani przez środowiska opozycyjne. W dokumentach Komitetu Centralnego można znaleźć stwierdzenie, że opozycja domaga się demokratyzowania ordynacji wyborczej do Sejmu i rad narodowych, ale nie precyzuje żądań. Po prostu wówczas ich nie miała. Natomiast PZPR dopuszczała jedynie ograniczone zmiany ustrojowe, bardziej deklaratywne niż rzeczywiste.

Zgadając się na niby-reformy, chciano utrzymać dotychczasowy system rad narodowych, scentralizowaną administrację państwową oraz przewodnią rolę partii. Jednak w miarę rozwoju sytuacji postulat stworzenia samorządu terytorialnego zyskiwał w programach środowisk opozycyjnych pewne zrozumienie. Wynikało to, jak mi się zdaje, z przesłanek pragmatycznych. W tej dziedzinie istniała bowiem konkretna propozycja przemian ustrojowych, tymczasem strona solidarnościowa nie narzekała na nadmiar koncepcji przebudowy ustroju. Jednocześnie postulaty w tym względzie były zgodne z ogólną filozofią opozycji, nastawionej na sukcesywne przekształcanie ustroju, i to raczej ze stanowiska opozycji niż uczestnika władzy. Bronisław Geremek powiedział rok później, że kręgi przywódcze Solidarności uważały, iż „skoro musimy pogodzić się z dominacją komunistów w rządzie, władze lokalne powinny być domeną demokratycznie wybranego samorządu”.

Po powrocie spotkaliśmy się znów u Magdy Gotowskiej – pytanie, co mamy robić, stało się oczywiste. Andrzej Stelmachowski zaproponował rolnictwo. Spróbujmy zarysować plan działania. Postanowiliśmy zaprosić po dwóch przedstawicieli obu stron: opozycyjnej i rządowej, żeby szukać różnic i ewentualnego konsensusu między naszymi postulatami a polityką, którą prowadził rząd. Jak zwykle w takich sytuacjach, wszyscy radzą, ale mało jest chętnych do podjęcia się czegoś. Nieopatrznie zabrałem głos i padło na mnie. Przez dwa tygodnie miałem urwanie głowy – ustalić referentów, uściślić tematy, stworzyć listę zaproszonych gości. Moi rozmówcy byli trochę zaskoczeni, że właśnie ja się tym zajmuję. To nie była moja dziedzina, a w kręgach opozycyjnych niewiele osób mnie znało. Ale seminarium się odbyło i przyniosło ciekawą dyskusję. Tyle że wypadki toczyły się szybciej i już się skończył czas na rozważania.

Na jesieni zaczęły się pierwsze rozmowy na temat możliwości rozmów Okrągłego Stołu. W październiku Bronisław Geremek zapytał, czy zgodzę się wziąć w nich udział. Oczywiście zaproszenie to przyjąłem z entuzjazmem. Powstawała możliwość wprowadzenia sprawy samorządu do obiegu politycznego. Ale entuzjazm mój opadł, gdy dowiedziałem się, że ta problematyka ma być włączona do prac zespołu zajmującego się wolnością stowarzyszeń. Miałem brać udział w zespole „pluralizmu społecznego”, kierowanym przez Klemensa Szaniawskiego, jako jedyny reprezentant sprawy samorządu terytorialnego, obok przedstawicieli dziennikarzy, plastyków i innych związków twórczych, adwokatów, lekarzy i harcerzy. Takie ustawienie spraw było konsekwencją filozofii ówczesnej opozycji, koncentrującej się na budowie ruchu obywatelskiego, zorientowanego przeciw państwu, lecz nie zainteresowanego przebudową administracji. Usiłowałem protestować, dowodząc, że samorząd terytorialny i zawodowy to są dwie sprawy całkowicie różne. Ale byłem na pozycji przegranej.

Bronek też nie bardzo rozumiał sens samorządu terytorialnego, chciał mnie do rozmów włączyć głównie dlatego, że wiedział, iż mam gotowy program i mogę wnieść konkretne żądania w stosunku do ówczesnych władz. Mogłem więc tylko odmówić albo zaakceptować warunki. Uznałem, że lepiej dostać coś niż nie dostać nic. Wiedziałem, że odmowa oznacza wyeliminowanie nie tylko mnie, ale i całej sprawy z obiegu politycznego. Więc protestując, przyjąłem zaproszenie z wielką nadzieją, że to tylko pierwszy krok.

Tymczasem świeżo powołany rząd Mieczysława Rakowskiego podjął kolejną próbę niedopuszczenia do rozmów z opozycją, sądząc, że PZPR może rozwiązać kryzys własnymi siłami. Rozpoczęcie rozmów Okrągłego Stołu, planowane na połowę października, zostało odłożone. Jednak sytuacja polityczna, a przede wszystkim gospodarcza, zmuszała władze do poszukiwania kompromisu. Dlatego też w łonie opozycji przygotowani nie przerwano, lecz odwrotnie – przyspieszono je nawet. Było oczywiste, że trzeba utworzyć jakieś ciało, które mogłoby reprezentować opozycję. Pamiętam, zastanawialiśmy się nad jego nazwą. Edmund Osmańczyk proponował OKO, czyli Obywatelski Komitet Obserwacyjny, który miałby obserwować działania rządu i wydawać niezależne opinie. Projekt upadł, ale część tej naszej nazwy przetrwała. W listopadzie Andrzej Wielowieyski zwrócił się do mnie i Andrzeja Sicińskiego, aby wspólnie opracować listę komisji, które powinny zaistnieć, by tworzony komitet mógł objąć swą działalnością niezbędny zakres problemów. Zadbalem, żeby znalazła się na liście również komisja samorządu terytorialnego.

18 grudnia 1988 roku w podziemiach kościoła na Żytniej odbyło się pierwsze zebranie Komitetu Obywatelskiego. To było niesamowite wrażenie. Mróz, śnieg, nieogrzewane piwnice i wśród tych murów z czerwonej cegły ponad 100 osób z czołówki intelektualnej kraju, zakutanych w jakichś kozuchach i fufajkach. Nastrój niesłychanie poważny, pełna świadomość wielkiej wagi podejmowanych decyzji i wielkiej za nie odpowiedzialności. Mam w pamięci to powszechne przekonanie, że przyszedł czas na rzeczywiste działania, i poczucie, że mamy siłę, aby podjąć to wyzwanie. Ani śladu obaw przed represjami.

Powołano wszystkie komisje, w tym komisję samorządu terytorialnego. Zostałem wyznaczony na jej organizatora. Obowiązywały zasady pełnej demokracji. Przewodniczących miały wybierać już same komisje. Zadaniem organizatorów było tylko doprowadzić do ich powstania. Zabrałem głos. Wygłosiłem swoje tezy. Ale problematyka samorządowa nie wzbudziła żadnego zainteresowania. Do mojej komisji spośród 120 obecnych zgłosiła się wyłącznie jedna osoba – Andrzej Celiński. Jak mi powiedział, zapisał się przez przekorę, bo jak zabrałem głos, to większość obecnych poszła na kawę. A jego zaciekało to, dlaczego nikt się tym nie interesuje. I chciał się dowiedzieć, co to jest ten samorząd. Zachęcający początek...

Powołanie Komitetu stało się ważnym wydarzeniem. Po raz pierwszy powstała oficjalna reprezentacja opozycji demokratycznej, która zmanifestowała gotowość do jawnego i konstruktywnego działania. Było bowiem oczywiste, że przekształcenie ustroju państwa może się odbyć bez rozlewu krwi, ale jedynie przy współpracy z władzą.

Członkostwo w Komitecie nadawało poważny status społeczny. O Komitecie Obywatelskim mówiło się wtedy: gabinet cieni. Ale reakcje poszczególnych osób były zróżnicowane. Dużo osób entuzjazmowało się perspektywami zmian. Było też wielu przestraszonych, bo przecież jak się przeciw władzy występowało, to zawsze to się źle kończyło. Ale nie spotkałem się wówczas z jakimiś zarzutami o zdradę, jakie dziś można usłyszeć od tych, którzy wtedy w tych wydarzeniach nie uczestniczyli.

Powołanie Komitetu odbiło się echem również za granicą. Pamiętam swoje zaskoczenie, gdy nagle telefon zadzwonił i odezwał się głos: „Tu Radio Wolna Europa, czy mogę prosić o kilka słów wywiadu?”. Nie trzeba nikomu przypominać, co Wolna Europa znaczyła dla reżimu. To był największy wróg i wszelkie kontakty z nim pociągały za sobą ostre represje. Ale sytuacja się zmieniła. Zdecydowałem się bez wahania. Akurat było u nas kilka osób. Życie polityczno-towarzyskie kwitło, chcieliśmy się spotykać, dyskutować i tworzyć obraz przyszłości. Był straszny hałas. Musiałem więc z telefonem przejść do kuchni i znad stołu kuchennego udzieliłem pierwszego wywiadu Wolnej Europie o naszych postulatach odbudowy samorządności. Kiedy wróciłem do pokoju, obecni tam przyjaciele zgodnie stwierdzili, że to jest powód do wspólnego toastu. Było to przełamanie jakiegoś tabu ograniczającego nasze działanie. Tych tabu mieliśmy obalać wiele każdego dnia. Wkrótce też zaprosił mnie na rozmowę pan Snell z ambasady amerykańskiej, aby nawiązać kontakty i bliżej się dowiedzieć, czego chcemy. Bardzo był zaskoczony naszymi konkretnymi postulatami, dorobkiem i wiedzą. Tak zaczęła się wieloletnia i bardzo przyjacielska współpraca z Amerykanami w Warszawie.

Po powołaniu Komitetu złożyłem wizytę profesorowi Józefowi Pajestce, dyrektorowi Instytutu Nauk Ekonomicznych, w którym pracowałem. Zawiadomiłem go o objęciu przewodnictwa Komisji i zamiarze wykorzystania całego dorobku mego Zakładu. Przyjął tę informację z dużą rezerwą. Przyznał, że trzeba reformować kraj, ale poprosił, abyśmy to robili poza lokalem Instytutu. Dość typowe stanowisko. Robić trzeba, byle nie u nas, bo nie wiadomo, co się może zdarzyć, i lepiej nie ryzykować. Obiecałem mu, że zebrania będziemy organizować gdzie indziej. Nie miałem do niego pretensji. W końcu przez prawie 10 lat umożliwił nam prowadzenie studiów. Nie było jednak łatwo znaleźć lokal na zebrania. Poszukiwaliśmy przede wszystkim miejsc w kościołach. Mieliśmy spotkania w Muzeum Archidiecezji Warszawskiej na Solcu. Wykorzystałem również swoją bliską znajomość z jezuitami z Rakowieckiej.

Trzeba było stworzyć komisję samorządu i zacząć przygotowania do nadchodzącego Okrągłego Stołu. Zaczęliśmy pracę w składzie naszej trójki, działającej od 1981 roku: z Adamem Kowalewskim i Michałem Kuleszą. Nie było łatwo znaleźć kogoś, kto byłby sprawą samorządu zainteresowany i miał coś do powiedzenia. Ale wkrótce nasze grono powiększyło się do 20 osób. Sekretarzami zostali Iwo Byczewski i Włodek Kocon – obaj z mojego Zakładu w PAN. Dołączył Janusz Stępiak (późniejszy senator), przewodniczący Rady Narodowej w Fajslawicach, jednej z nielicznych zbuntowanych gmin, i Jan Kowalski, przywódca Solidarności wiejskiej z Tarnobrzесьkiego. W początku stycznia mieliśmy już gotowe podstawowe dokumenty do dyskusji z władzami. Założenia przyszłego ustroju były podsumowaniem wyników naszych blisko dziesięcioletnich prac. Opracowaliśmy też Tezy negocjacyjne, określające, co chcemy osiągnąć przy Okrągłym Stole, i wyznaczające pole kompromisu. Skompletowaliśmy zespół i czekaliśmy na przebieg wydarzeń.

W końcu stycznia pojechałem na tydzień do Rzymu. Byłem zaproszony przez Uniwersytet „La Sapienza” na konsultacje i wykłady. Odwiedziłem naszego przyjaciela Andrzeja Koprowskiego, jezuitę. Któregoś wieczora Andrzej zadzwonił do mnie z zaskakującym zaproszeniem na poranną mszę świętą w niedzielę 29 stycznia do prywatnej kaplicy Papieża. O nieprawdopodobnej, prawie nocnej godzinie zameldowałem się przy Spiżowej Bramie. Jakiś zakonnik przeprowadził mnie przez podwórce i wwiózł windą na ostatnie piętro, gdzie znajdują się pokoje papieskie. W poczekalni przed kaplicą zebrała się grupa wybrańców, kilku biskupów, kilku księży i dwóch „cywili”. Oprócz mnie był jeszcze amerykański konsul z Krakowa. Gdy drzwi do kaplicy otworzyły się, Papież już tam klęczał, zatopiony w modlitwie. Potem odprawił cichą mszę. Komunia przyjęta z Jego rąk stanowiła rzeczywiste przeżycie. Po mszy chwila rozmowy z Papieżem i Jego osobiste błogosławieństwo. W tym momencie miało ono dla mnie szczególne znaczenie. Któż wiedział, co miało stać się w Polsce? Było oczywiste, że nadchodzące tygodnie będą wymagały siły i determinacji. Błogosławieństwo było wielkim wzmocnieniem.

O nadchodzących wydarzeniach dużo rozmawialiśmy z Andrzejem. Znał dobrze moje zaangażowanie w sprawę samorządu i wielokrotnie pomagał mi w różnych formach. Teraz w Rzymie poprosił mnie, abym napisał krótką notatkę wyjaśniającą sens i potrzebę tych reform. Oczywiście napisałem ją. Jakież było moje zdziwienie, gdy ten sam papier otrzymałem w kilka tygodni później w Warszawie z komentarzem, że to jest przekaz z Watykanu, który powinienem zrealizować, bo taka jest wola Kościoła. Stałem się wtedy po raz pierwszy wykonawcą własnych postulatów.

Jeszcze w Rzymie dostałem wiadomość, że władze i opozycja demokratyczna zgodziły się na otwarcie negocjacji przy Okrągłym Stole. Prasa podała również wykaz zespołów, jakie mają powstać. Czytam go i widzę, że nas w nim nie ma. Jestem wściekły, że znowu nas włączyli do Zespołu ds. Wolności Stowarzyszeń. Zaraz

po powrocie do Warszawy dzwonię z pretensją do Geremka, że nic nie zrozumieli, że samorząd to władza publiczna, a nie stowarzyszenie, i że w ogóle nie chcą wykorzystywać uwag ekspertów. Mówię i mówię, bardzo podekscytowany, a z drugiej strony martwa cisza. Wreszcie słyszę: „Panie Jurku, samorządu terytorialnego w ogóle nie ma w pakiecie spraw, które mają być dyskutowane przy Okrągłym Stole; w tej komisji ma być dyskutowany samorząd, ale pracownicy...”. Załamałem ręce. No więc znowu porażka, w tym przypadku równa klęsce. Jeśli odbudowa samorządu nie zostanie włączona do programu rozmów, to będzie oznaczało, że w najbliższych latach nie ma co na nią liczyć. Bez nadania jej wagi politycznej i poparcia liderów opozycji sprawa jest przegrana. Byłem przerażony wizją Polski scentralizowanej i wytrącenia tego podstawowego narzędzia transformacji, jakim jest zaangażowanie społeczeństwa. Ale nie poddałem się, choć zostały jedynie trzy dni na spowodowanie zmiany decyzji, uzgodnionej już przez obie strony. Nie pamiętam, do kogo telefonowałem, ale wykonałem tych telefonów wiele. Doprowadziłem do tego, że kwestia zaistniała, ale jej rozstrzygnięcie miało nastąpić dopiero na spotkaniu z Wałęsą u św. Brygidy w Gdańsku.

Zdawałem sobie jasno sprawę, że to wybieg ówczesnych władz, aby sprawę zamrozić. Dokumenty Komitetu Centralnego, do których miałem możliwość później dotrzeć, potwierdzają, że moje odczucia były słuszne. Ówczesne władze chciały zaproponować tylko kosmetyczne zmiany w ustawach o radach narodowych. A do tego nie potrzebowały rozmów z opozycją. Sprawa samorządu nie budziła zainteresowania ówczesnej opozycji. Uwaga Solidarności koncentrowała się na kilku, wtedy niesłuchanych nabrzmiałych problemach. Zostały one zgrupowane w trzech podstawowych zespołach: reform politycznych, reform gospodarczych i pluralizmu związkowego, pod którym to hasłem rozumiano zgodę na rejestrację związku zawodowego. W zakresie reform politycznych koncentrowano się, słusznie zresztą, na szeroko pojętych swobodach obywatelskich, a wśród nich wielką wagę nadano prawu o stowarzyszeniach. Sprawy samorządowe były traktowane marginesowo, kilku członków Komitetu Obywatelskiego zapewniało mnie nawet, że strona partyjna łatwo się zgodzi na nasze postulaty, bo przecież, „kto by się tymi twoimi gminami przejmował”. W porównaniu z innymi problemami to, jak mówili, „bułka z masłem”.

W sobotę 4 lutego pojechaliśmy do Gdańska: przewodniczący wszystkich piętnastu komisji i kierownictwo Komitetu Obywatelskiego.

Udział w tej delegacji stanowił dla mnie duże przeżycie. Wiedzieliśmy, że wchodzimy w okres podejmowania wielkich decyzji. Byłem dumny i szczęśliwy, że mogę w nich uczestniczyć. Starałem się bliżej poznać z ludźmi, którzy decydowali o przyszłości. Ciągle czułem się wśród nich trochę obcy. Różniło nas wiele, przede wszystkim sposób myślenia. Oni w większości uczestniczyli w działalności opozy-

cyjnej, a więc w różny sposób walczyli z istniejącym państwem. Ja w tę walkę nie byłem zaangażowany, pracując nad założeniami nowego ustroju, miałem więc podejście konstruktywne. Moi współtowarzysze nie bardzo zastanawiali się nad przyszłym ustrojem, koncentrując się na bieżącej konfrontacji z władzami. Ja myślałem o przebudowie państwa, a oni traktowali państwo jako swego wroga. Ale zdecydowanie łączyła nas wola dokonania zmian i przywrócenia ustroju demokratycznego. Spotkanie odbyło się u księdza Jankowskiego w parafii św. Brygidy.

Spotkałem go po raz pierwszy i miałem mieszane wrażenia. Z jednej strony był legendą Solidarności. Z drugiej zaś, gdy zobaczyłem wewnątrz parafii, przejawy megalomanii i jakiegoś płaskiego blichtru, zmienił się obraz człowieka, o którym tyle słyszałem. Ale to nie było wtedy ważne. Istotne było spotkanie i ustalenia, jakie miały zapaść. Wiedziałem, że od jego wyników zależeć będzie dalszy los reform samorządowych. Tłumaczyłem zebranim doniosłość tego problemu, ale inni uczestnicy też mieli swoje ważne sprawy, które chcieli przeforsować – każdy bronił swego. Tadeusz Mazowiecki miał stałe połączenie telefoniczne z Warszawą i negocjował ze Stanisławem Cioskiem nasze postulaty. Opór z tamtej strony w sprawach samorządowych był wyraźny. Walczyłem, jak mogłem, ale zdawałem sobie sprawę, że sprawa rozstrzyga się poza mną, na linii telefonicznej.

Marzyłem, aby sprawą samorządu zajął się specjalny zespół. Okazało się to nie-realne. Struktura organizacyjna Okrągłego Stołu była uzgodniona na najwyższych szczeblach. Bez bardzo silnego zaangażowania naszych liderów przezwyciężenie oporu strony rządowej było niemożliwe. Uważano to za kwestię marginalną, która nie może zakłócić porozumienia w sprawie rozpoczęcia rozmów. Mazowiecki zawarł w końcu kompromis z Cioskiem. Problem samorządu terytorialnego został włączony do Podzespołu ds. Stowarzyszeń i Samorządu Terytorialnego w ramach Zespołu ds. Reform Politycznych. Przyjęto też wstępne założenie, że po pierwszym spotkaniu Podzespołu powstaną dwie grupy: do spraw samorządu terytorialnego i do spraw stowarzyszeń.

Uważałem, że osiągnęliśmy sukces. Samorząd znalazł się na liście zagadnień diskutowanych. Jednak nie miałem wrażenia, aby ktokolwiek z kierownictwa Komitetu Obywatelskiego zdawał sobie sprawę, że przyjęte wówczas ustalenia zawołują reformami tak istotnymi w przyszłości dla Polski. Gdyby Mazowiecki nie przekonał wtedy Cioska, to nie istniałby w Polsce samorząd taki, jaki jest obecnie! Czasami drobne wydarzenia decydują o biegu historii. I często ci, którzy w nich biorą udział, nie zdają sobie sprawy z tych konsekwencji.

Wróciłem do Warszawy z mandatem upoważniającym do konkretnych przygotowań. 10 lutego na posiedzeniu Komisji Samorządu Komitetu Obywatelskiego dokonaliśmy ostatecznych ustaleń organizacyjnych, a dzień później na zebraniu przewodniczących wszystkich zespołów uczestniczących w negocjacjach przyjęto ostateczne

reguły. Okrągły Stół nie miał być kolejnym seminarium dyskusyjnym, lecz spotkaniem negocjacyjnym z przeciwnikami, mającymi nie tylko inne spojrzenie na ustrój państwa, ale i inne cele polityczne. Zespoły negocjacyjne miały być małe, grupować ludzi o najwyższym stopniu wiedzy, a ich cel stanowiło wypracowanie programu działań na rzecz przekształcenia państwa. W każdym z nich mieli uczestniczyć przedstawiciele Związku, reprezentujący siłę polityczną, która do negocjacji doprowadziła. Do naszej grupy oddelegowano Stefana Jurczaka i Jerzego Zdradę. Ze strony Komisji Samorządu zostali wyznaczeni Iwo Byczewski, Adam Kowalewski, Michał Kulesza, Walerian Pańko, Jerzy Regulski, Zbigniew Rokicki i Henryk Janusz Stępniaak. Później dołączył do nas Jerzy Stępień, bardzo wzmacniając merytorycznie naszą delegację. Na asystenta zespołu wyznaczono Mateusza Wyrwicha, młodego, zasłużonego działacza opozycji, wydawcę nielegalnego pisma zajmującego się samorządnością. Pozycja asystenta była bardzo istotna, gdyż tryb wzajemnego informowania się w toku negocjacji opierał się właśnie na osobistych kontaktach asystentów. Nie mieliśmy środków łączności, a rozmowy telefoniczne musiały być ograniczane do minimum. Podsluchy były oczywiste.

Ustalono również, że przewodniczący mają prawo dopraszać ekspertów. Na spotkaniu z Michałem i Adamem u mnie w domu postanowiliśmy zaprosić: Marka Budzyńskiego, architekta i urbanistę; Tomasza Dybowskiego, znanego profesora prawa; Marię Gintowt-Jankowicz, bardzo zaangażowaną prawniczkę; Andrzeja Klasika, specjalistę od polityki regionalnej, i Andrzeja Piekare, z którym współpracowaliśmy dawniej. Tworzyliśmy tę listę bez żadnej świadomości, jak będą przebiegać negocjacje i jaka będzie ich tematyka. Więc zaprosiliśmy specjalistów z bardzo różnych dziedzin, aby być przygotowanymi na dyskutowanie spraw, które mogły wykraczać poza nasze kompetencje. Byliśmy gotowi do konfrontacji i walki o przyszły ustrój.

Byliśmy gotowi, ale musieliśmy czekać. Harmonogram spotkań poszczególnych zespołów ustalano w negocjacjach kierownictw obu stron uczestniczących w rozmowach. Podzespół ds. Stowarzyszeń i Samorządu Terytorialnego spotkał się dopiero 23 lutego. Na dziesiątą rano zwołano naszych delegatów do budynku Instytutu Socjologii Uniwersytetu Warszawskiego na Karowej. Ostatnie instrukcje i razem wyruszamy do Pałacu Namiestnikowskiego na jedenastą. Tych kilkaset metrów wspólnego marszu stanowiło niezapomniane uczucie. Szliśmy naprawiać Polskę! Dziś takie sformułowania tchną sztuczną emfazą i napuszeniem, ale wtedy tak naprawdę myślałem. To był okres wielkiego przeskoku z pozycji mieszkańca kraju, który nie był traktowany jak jego obywatel, ale jak zawsze podejrzany przedmiot kontroli wszechogarniającej partii i bezpieczeństwa. Ten marsz to było przejście do innej epoki i do sukcesywnego stawania się podmiotem, który ma prawo współdecydować o państwie.

Weszliśmy do Pałacu. Byłem już tam kilka razy wcześniej, gdyż jego sale wykorzystywano na różne okazje. Ale teraz to było zupełnie co innego. Posiedzenie odbywało się w pomieszczeniu przylegającym do wielkiej sali na pierwszym piętrze, gdzie rozstawiono okrągły stół. Miało ono dość formalny charakter. Współprzewodniczyli Zbyszek Bujak i Kazimierz Secomski.

Zbyszka poznałem właśnie w tym okresie. Przedtem słyszałem o nim, gdy uciekając bezpiecznie, stracił własny kożuch, który został w rękach chcącego go złapać ubeka. Bardzo nam wtedy imponował. Teraz go poznałem i bardzo polubiłem. Secomski był szarą eminencją systemu. Bezpartyjny, uwiarygodniał oficjalne twierdzenie, że władza jest otwarta dla wszystkich. Ale tacy „bezpartyjni bolszewicy”, jak ich wtedy nazywano, często byli o wiele groźniejsi. Musieli bowiem stale udowodniać, że są wystarczająco wiarygodni dla władz partyjnych. Secomski odgrywał w pewnym okresie poważną rolę w gospodarce, a później przeszedł na stanowiska czysto polityczne. W tym czasie był członkiem Rady Państwa.

Posiedzenie rozpoczęło się od oświadczeń stron. Pierwszy mówił Secomski – głównie o samorządzie, bo to była jego dziedzina zainteresowań. Mówił, jak wiele już rząd zrobił, choć trzeba nadal pracować. Że on bardzo liczy na współpracę wszystkich środowisk, chociaż dawał do zrozumienia, że rząd i partia świetnie same sobie radzą. Szczególnie podkreślał prace nad przywróceniem własności komunalnej, ale zaznaczał, że administracja lokalna musi wypełniać zarówno zadania samorządu, jak i państwa. A więc chodziło o utrzymanie obecnego modelu, gdzie władze lokalne są podporządkowane centrali.

Zbyszek mówił krótko, zapowiadając wystąpienie Stanisławy Grabskiej i moje jako odpowiedzialnych za dwie grupy, na które Podzespół miał się podzielić. Zabrałem więc głos i jasno wyłożyłem nasze postulaty. Kiedy dziś czytam stenogram, to sam się dziwię, jak bardzo byłem wtedy odważny. Bo zakwestionowałem podstawy ustroju, stwierdzając, że trzeba odejść od zasady jednolitej władzy państwowej, ponieważ ona uniemożliwia samorządność. A przecież ta zasada to był fundament PRL! Powiedziałem też wprost: „pogłębiający się i rozszerzający się woluntaryzm i arogancja lokalnej administracji stwarzają istotne zagrożenie dla naszego życia. [...] Sposób działania lokalnej administracji powoduje pogłębianie się konfliktów, powoduje pogłębianie się braku zaufania do władzy, którą ta administracja reprezentuje. [...] Władza centralna nie ma możliwości rozwiązywania problemów lokalnych i udowodniła to w czasie ostatnich dekad”. Moja deklaracja to było wypowiedzenie wojny systemowi. Myślę, że Secomski dość dawno takiego tekstu nie usłyszał.

Przedstawiłem bez osłonek nasze postulaty. Pełna samorządność, rozdział kompetencji pomiędzy administrację rządową i lokalną, odsunięcie partii od bezpośrednich ingerencji. Na ten ostatni aspekt zwróciłem szczególną uwagę, cytując

organ PZPR, „Trybunę Ludu”, która chcąc udokumentować potrzebę istnienia partii, przytaczała stale przykłady działań jej aktywistów. Otóż stwierdziłem, że te działania są w większości sprzeczne z prawem, ponieważ są to ingerencje partii politycznej w uprawnienia władz lokalnych. To wystąpienie dowodzi, jak szybko wyzwalaliśmy się z lęków, które pętały społeczeństwo przez prawie 50 lat. Gminy muszą mieć własną, odrębną administrację, która będzie realizowała potrzeby mieszkańców, a nie wytyczne z centrali. Następnie ustalono, że Podzespół się podzieli, i zebranie zostało zamknięte.

Zebranie naszej grupy zwołano 26 lutego. Byliśmy merytorycznie do niego dobrze przygotowani. Swoje postulaty skoncentrowaliśmy na następujących żądaniach:

1. Odrzucenie stalinowskiej zasady jednolitej władzy państwowej, która wszystkie agendy administracji publicznej podporządkowywała władzom centralnym, a w konsekwencji partii. Miasta i gminy muszą uzyskać autentyczną samorządność, działać w ramach prawa, a nie według nakazów z centrali.
2. Przywrócenie autentycznego samorządu lokalnego, a więc:
 - nadanie miastom i gminom osobowości prawnej,
 - wprowadzenie demokratycznej ordynacji wyborczej,
 - utworzenie własnej administracji, wyzwolonej spod hierarchicznego podporządkowania administracji rządowej,
 - ustanowienie własności komunalnej i przekazanie odpowiedniej części majątku państwowego na wyłączną i nieskrepowaną własność gmin,
 - uznanie prawa gmin do opieki sądowej swej autonomii, a zatem do zaskarżania do sądów decyzji innych organów administracyjnych.
3. Skrócenie niedawno rozpoczętej kadencji rad narodowych i zarządzenie nowych, demokratycznych wyborów.
4. Ustalenie organizacji wdrożenia nowego ustroju samorządów lokalnych, aby nie sprowadzić reformy jedynie do gry pozorów. Wiedzieliśmy, że ówczesne władze właśnie do tego będą dążyć.

Na pierwsze posiedzenie grupy roboczej szliśmy bardzo napięci. Nie wiedzieliśmy, co nas czeka. Bardzo zdecydowanie uprzedziłem naszych kolegów, że to nie jest seminarium naukowe, gdzie każdy ma prawo mówić, co uważa za stosowne. To są negocjacje i naszym zadaniem jest doprowadzenie do osiągnięcia wcześniej określonych, konkretnych celów.

Zdawałem sobie sprawę, że za przebieg i wynik negocjacji będziemy odpowiadać sami. Kierownictwo strony opozycyjnej koncentrowało uwagę na sprawach priorytetowych, do których problemy samorządu nie należały. Zaplecze merytoryczne

nie istniało. Nie mieliśmy kogo pytać. Byliśmy skazani na samych siebie, a ja osobiście odpowiadałem za to, co z naszych rozmów wyniknie. Sytuacja opozycji była diametralnie różna od sytuacji strony rządowej, która dysponowała sprawnym aparatem administracyjnym i powołała nawet specjalne zespoły w KC do koordynowania i obsługi prac Okrągłego Stołu. Na sali w Pałacu Namiestnikowskim spotkaliśmy się z delegacją strony rządowej i jej przewodniczącym, profesorem Wojciechem Sokolewiczem. Delegacja rządowa była liczna²⁶. Jednak skład grupy rzeczywiście uczestniczącej w rozmowach był bardzo płynny. Ludzie wchodzili i wychodzili. Mam zresztą wrażenie, że w różnych okresach przychodziło znacznie więcej osób, niż było oficjalnie zgłoszonych. Z ciekawością obserwowałem bardzo różne zachowania poszczególnych ludzi. Profesor Łętowski, meloman i bardzo inteligentny człowiek, w wyraźny sposób pokazywał, że tematyka obrad go nie bardzo obchodzi. Był zupełnie na luzie i dowcipkował, gdy zdarzała się po temu okazja. Bardzo sympatyczny Maciej Graniecki, wysokiej klasy specjalista, dystansował się od działań przewodniczącego, starał się ukryć w cieniu, zabierał głos rzadko i jedynie w sprawach ściśle merytorycznych. Było widać, że w dużej mierze identyfikuje się z nami i naszymi poglądami. Przedstawiciele związków w ogóle nie wiedzieli, o czym mowa. Natomiast pani Zawadzka wiedziała bardzo dobrze, do czego prowadzą nasze postulaty, i bardzo aktywnie się im przeciwstawiała. Kierowała zakładem naukowym zajmującym się właśnie radami narodowymi i była ich obrończą. Mieliśmy z nią do czynienia przez całe lata osiemdziesiąte – dla nas stanowiła symbol istniejącego ustroju.

Skład delegacji rządowej był odbiciem przyjętej taktyki, defensywnej, obliczonej na przewlekanie rozmów i rozwadnianie tematyki. Temu służyło wprowadzenie przedstawicieli różnych organizacji, takich jak związki zawodowe czy organizacje rolników. Odnosiłem wrażenie, że strona rządowa nie miała koncepcji negocjacji i nie zdawała sobie sprawy ze skutków tych rozmów. Chyba sądzono, że może będą jakieś zmiany, ale wszystko w gruncie rzeczy pozostanie po staremu. Reformy władz terenowych stanowiły jedno z pól, na których coś usiłowano zrobić, aby móc się wykazać sukcesem i okazać pozorną wolę postępu. Były to oczywiście zmiany kosmetyczne, nie naruszające w niczym istniejącego ustroju politycznego i jego konsekwencji w organizacji i zasadach funkcjonowania administracji państwowej.

Zaraz na początku posiedzenia nastąpiło pierwsze starcie. Profesor Sokolewicz oświadczył, że w obradach uczestniczą przedstawiciele związków rolniczych i zawodowych i zażądał dla nich statusu pełnego, autonomicznego uczestnika. Oczywiście akceptacja tego postulatu zmieniałaby podstawowy układ. Negocjacje zamieniłyby się z dwu- na trzystronne, a tym samym jakiegokolwiek porozumienie nie byłoby możliwe. O takich próbach poinformowało mnie już wcześniej nasze kierownictwo. Twardo więc odmówiłem i na tym sprawa się zakończyła.

Dalsze rozmowy przebiegały sprawnie i w atmosferze merytorycznej. Nasze postulaty ustrojowe przedstawił Michał Kulesza, a Adam Kowalewski mówił o planowaniu i gospodarce przestrzennej. Ja dość twardo prowadziłem naszą delegację, nie bardzo dopuszczając innych do głosu. Bałem się rozmywania negocjacji i spychania ich na boczne tory. Jurczak i Zdrada, reprezentujący Związek, raczej milczeli, ale bardzo nas wspierali, gdy zachodziła potrzeba. Z tego porządku wyłamał się Andrzej Piekara, wygłaszając dłuższe, „akademickie” przemówienie, w duchu pełnego pojednania i gotowości do poszukiwania kompromisu. Musiałem zareagować, gdyż takie stanowisko łamało przyjęte przez nas wcześniej ustalenia. Żadnych kompromisów poza granicami, które przyjęliśmy. Naszym celem była odbudowa samorządu, a nie zawarcie porozumienia z władzą. Porozumienie stanowiło jedynie drogę do celu. Sztuczne kompromisy prowadziłyby nas w ślepe uliczki, na czym stronie rządowej właśnie zależało. W przerwie zwróciłem na to uwagę Piekarze. W efekcie na następne posiedzenie już nie przyszedł.

Pierwszego dnia dyskusja miała bardzo pozytywny przebieg. Zastanawialiśmy się, czy władze lokalne mogą być rzeczywiście samodzielne, czy na poziomie lokalnym nie jest konieczna administracja rządowa, co zrobić z województwami. Ale panował nastrój pojednawczy. Wyglądało tak, jak gdyby rzeczywiście PZPR gotowa była zgodzić się na odbudowę samorządu. Pod wieczór zapisaliśmy całą listę przyjętych uzgodnień. Zachęceni szybkim postępem ustaliliśmy, że zakończymy prace w ciągu następnego, dwudniowego posiedzenia 3 i 4 marca. Byłem w tak dobrym i optymistycznym nastroju, że zwoleń z obowiązku uczestnictwa naszych doradców. Wydawało się, że wszystko pójdzie jak po maśle.

Po zakończeniu posiedzenia jako przewodniczący miałem zdać krótkie sprawozdanie do kamery. Telewizja puszczała je na antenę. Nasz status grupy roboczej miał tę poważną wadę, że ograniczał dostęp do TV. Prawo do szerszych wypowiedzi przyznano jedynie kierownikom zespołów. Dla grup roboczych wydzielano po jednej minucie, wyjątkowo po dwie. Pierwszego dnia powiedziano mi, że mamy do dyspozycji 45 sekund na antenie. Zwrócono uwagę, że jeśli będę mówił długo, to redaktorzy skrócą moją wypowiedź, wycinając wszystko, co dla nas ważne. Czyli jak mam 45 sekund, to muszę mówić tylko tyle, a nie dłużej. Więc patrząc na zegarek, wygłosiłem 45-sekundowy komunikat. Reporter był zaskoczony i chciał nawiązać rozmowę, aby później mieć z czego wybierać. Odmówiłem i pozostawiłem go bardzo niezadowolonego.

Kolejne posiedzenie trwało dwa dni. Pierwszy dzień spędziliśmy w Pałacyku Sobieńskich przy Alejach Ujazdowskich. To było dla mnie znajome miejsce. Za płotem stał dom moich Rodziców, w którym przeżyłem ostatni rok przed wojną, a potem całą okupację i pierwsze lata PRL. Z drugiej strony graniczył z budynkiem UB,

w którego podziemiach spędziłem pierwsze dwa tygodnie swego uwięzienia. Ale tym razem sytuacja była inna. To my byliśmy gospodarzami.

Jednak nastrój z poprzedniego zebrania przysł, gdy profesor Sokolewicz odwołał praktycznie wszystkie dokonane już ustalenia. Stanowisko strony partyjno-rządowej uległo zasadniczemu usztywnieniu. Wszystkie nasze postulaty natrafiały na zdecydowany sprzeciw. Delegacja drugiej strony nie chciała dopuścić do żadnych istotnych zmian. Cały czas udowodniano, że jest nieźle. A jak się nieco poprawi, to będzie już całkiem dobrze. We wszystkich trudnych momentach proszono o przerwę i telefonowano gdzieś po instrukcje. Plotka głosiła, że kontaktowano się z profesorem Secomskim, który nadzorował rady narodowe i był zdecydowanym przeciwnikiem dalej idących zmian. Po każdym telefonie stanowisko strony rządowej robiło się coraz sztywniejsze. Zgadzano się jedynie na pewne usprawnienia, bez naruszania pryncypiów ustrojowych. A na to my nie mogliśmy przystać, bo żądaliśmy właśnie zmiany ustroju.

Usztywnienie stanowiska strony rządowej spowodowało poważny kryzys. Zastanawialiśmy się, czy w ogóle nie zerwać rozmów. W odróżnieniu jednak od strony partyjnej nie mieliśmy dokąd telefonować. Ponosiliśmy sami odpowiedzialność za wynik i treść ustaleń. Rozumieliśmy, że w ogólnym interesie było utrzymanie dialogu, a nie jego zrywanie. Zażądaliśmy więc przerwy i po wewnętrznej naradzie przedstawiliśmy na piśmie swoje ultimatum, precyzując trzy zasady, które nie mogą podlegać żadnym negocjacjom:

1. gwarantowana prawnie autonomia samorządu, przy ograniczeniu kontroli rządowej jedynie do spraw legalności decyzji,
2. odrębność finansowa,
3. demokratyczne wybory.

Dopuszczaliśmy natomiast negocjacje na temat wszelkich spraw nie naruszających tych pryncypiów oraz dotyczących trybu dokonania reform.

Dyskusje o zasadach ustrojowych były dla nas trudne. Niełatwo było nam występować w imieniu społeczności lokalnych, bo one nie istniały. W tym czasie można było mówić jedynie o pierwszym kroku w kierunku ich tworzenia. Chcieliśmy go dokonać, ale o szczegółach ustrojowych powinny zdecydować te społeczności, kiedy powstaną. Staraliśmy się więc ograniczać swoje postulaty, aby nie powtarzać błędów z przeszłości, gdy komuniści chcieli uszczęśliwić Polaków, narzucając im ustrój wbrew ich woli. Ale trzeba było uruchomić proces tak, aby nie można go było zatrzymać.

Strona rządowa formalnie przyjęła nasze podstawowe warunki i zgodziła się na ich umieszczenie w protokole końcowym. Jednak po tych pozornie konstruktywnych oświadczeniach natychmiast pojawiły się zasadnicze różnice w interpreta-

cjach. A to oznaczało, że nawet przyjęte uzgodnienia nie będą później honorowane. Zresztą w wielu momentach dawano nam jednoznacznie do zrozumienia, że nie jesteśmy poważnymi partnerami. Jednocześnie, według różnych przecieków, strona rządowa była zaskoczona wysokim stopniem naszego przygotowania merytorycznego oraz radykalizmem żądań. Podobno zespół samorządowy wyróżniał się spośród innych dużą wiedzą i konkretnością postulatów. Był to wynik wielu lat studiów.

Wobec postawy drugiej strony zaproponowaliśmy przerwanie negocjacji i sporządzenie protokołu rozbieżności, zawierającego zestawienie stanowisk stron, a nie uzgodnień. Uznaliśmy, że dalsze rozmowy nie mają sensu, gdy brak dobrej woli znalezienia akceptowalnego dla nas rozwiązania. 4 marca późnym popołudniem zaczęliśmy redagować protokół końcowy. Byliśmy tak rozeźleni, że uparliśmy się, aby skończyć rozmowy jeszcze tego dnia. Podzieliliśmy się na grupy. Główne zadania przejęli ode mnie Adam Kowalewski i Michał Kulesza, redagując poszczególne części protokołu. Ja byłem bardzo zmęczony i taki wściekły, że bałem się, aby nie doprowadzić do zbędnych zadrażeń. Protokół podpisaliśmy już w pustym i wymarłym Pałacu koło jedenastej w nocy.

Podstawowe rozbieżności, jakie wystąpiły w negocjacjach, dotyczyły następujących spraw:

1. Delegacja rządowa domagała się utrzymania dotychczasowej formuły rad narodowych, będących jednocześnie organami władzy państwowej i samorządu. Było to dla nas nie do przyjęcia.
2. Delegacja rządowa chciała utrzymać w gminach administrację rządową zażebioną z samorządową. Myśmy uważali, że na szczeblu lokalnym wszystkie funkcje może spełniać administracja samorządowa.
3. Strona rządowa chciała wprowadzić na szczeblu województw jakąś hybrydę quasi-samorządową. Myśmy odrzucali to rozwiązanie, żądając utrzymania w województwach administracji rządowej aż do czasu, gdy zaistnieje możliwość utworzenia samorządu wojewódzkiego.
4. Domagaliśmy się wprowadzenia pełnej reformy możliwie szybko i skrócenia obecnej kadencji rad narodowych. Delegacja rządowa chciała powolnych zmian rozłożonych na długi okres.

Obie strony zgadzały się natomiast na przyznanie gminom osobowości prawnej i przekazanie im części mienia państwowego, jakkolwiek w szczegółach występowały istotne różnice. Do wspólnych ustaleń wpisaliśmy jeden bardzo ważny dla nas postulat. Otóż było jasne, że wybory do Sejmu odbędą się wkrótce. Natomiast trudno było przewidzieć, kiedy odbędą się wybory samorządowe. Tymczasem w naszej opozycji nie ma ludzi z doświadczeniem, którzy są przygotowani do prze-

jęcia funkcji w samorządach lokalnych. Trzeba było ich przygotować. I dlatego zażądaliśmy, aby upoważnić przedstawicieli legalnie działających organizacji lokalnych do uczestniczenia w pracach rad narodowych. Strona rządowa nie zakwestionowała tego zapisu. Sądzę, że stwierdzenie, iż chodzi o legalne organizacje, ich uspokajało. Nie wyobrażali sobie zapewne, że wkrótce istniejące ograniczenia znikną i ludzie będą mogli się stowarzyszać, aby realizować idee całkowicie sprzeczne z poglądami partii.

Wyjaśnienia wymaga nasze stanowisko w sprawie województw, szczególnie w świetle późniejszych dyskusji o samorządzie na szczeblu ponadgminnym. Strona rządowa proponowała jakąś formę quasi-samorządu, a my odrzucaliśmy jakiegokolwiek hybrydy. Uważaliśmy, że odbudowa samorządu jest procesem i że w tym czasie można było mówić jedynie o jej pierwszym etapie, którym powinno być ustanowienie samorządów gminnych, aż powstaną warunki do wprowadzenia na tym szczeblu pełnego samorządu, a pełne usamorządowanie województw nie było wówczas możliwe. Wymagałoby bowiem utworzenia niezależnych administracji: rządowej i samorządowej. Ale to się okazało realne dopiero prawie po 10 latach. O tak poważnych zmianach nie mogło być wówczas mowy. Nie można też było wtedy myśleć o zmianie podziału administracyjnego, a każde wzmocnienie niezależności województw prowadziłyby do spetryfikowania istniejącego złego podziału. Obawialiśmy się także, aby stworzenie samorządów wojewódzkich nie ograniczyło samodzielności gmin. W mentalności społecznej i praktyce administracyjnej tkwiła głęboko zakorzeniona świadomość zależności hierarchicznej. Było więc wysoce prawdopodobne, że samorządy wojewódzkie uważałyby się za władzę zwierzchnią gmin, uniemożliwiając im samodzielne działanie.

Kompromis wówczas był niemożliwy. Rozbieżności między obiema stronami miały charakter fundamentalny. O ile my chcieliśmy zmian ustrojowych, które zapoczątkowałyby budowę państwa obywatelskiego, o tyle strona partyjno-rządowa rozpatrywała całą sprawę w kategoriach politycznej walki o władzę i utrzymania istniejącego stanu. 9 marca zostałem zaproszony na posiedzenie Zespołu Reform Politycznych, jednego z trzech podstawowych zespołów Okrągłego Stołu. Razem z Sokolewiczem przedstawiliśmy wyniki naszych prac i protokół końcowy. W przyjętym stanowisku w sprawie reform politycznych Zespół zgodnie uznał, że „silny pełnią praw i swobodnie wybrany samorząd terytorialny” stanowi jeden z elementów wypływających „z niezbywalnego prawa obywateli do życia w państwie, które w pełni urzeczywistnia suwerenność narodu”. Ale jednocześnie w tym samym stanowisku stwierdzono, że planowana „reformacja instytucji państwowych obejmuje Sejm, Senat, urząd Prezydenta i sądy”. Ani słowa o samorządzie!

Kilka dni po zakończeniu prac naszej grupy zakończył je także Podzespół ds. Ekologii. Interesowaliśmy się nim, ponieważ uczestniczyło tam wielu naszych

dobrych znajomych zajmujących się gospodarką przestrzenną. Jego współprzewodniczącymi byli Stefan Kozłowski ze strony solidarnościowej i Jerzy Kołodziejcki ze strony partyjno-rządowej. Te prace zakończyły się w zupełnie innym nastroju niż nasz. Szampan, święto, sukces i całkowite porozumienie. W pierwszej chwili czułem się trochę zazdrosny i sfrustrowany, gdyż ich radość z porozumienia oznaczała, że myśmy ponieśli porażkę, bo porozumienia nie było. Jednak po kilku rozmowach stało się dla mnie jasne, że to oni ponieśli porażkę, bo strona rządowa osiągnęła to, co chciała. Porozumienie sprowadzało się bowiem do ogólnej i oczywistej deklaracji, że zatrucaniu środowiska trzeba położyć kres, oraz na sporządzeniu listy zakładów, z którymi trzeba coś zrobić. Natomiast nie było ani słowa o jakiegokolwiek zmianie systemu gospodarczego i prawnego, która spowodowałaby, że przemysłowi nie opłacałoby się truć, ale że byłby zainteresowany czystymi technologiami. A więc „porozumienie” dotyczyło identyfikacji problemów, a nie sposobów ich unikania. Dotyczyło leczenia skutków, a nie przyczyn. Według mego osądu właśnie o takie porozumienia chodziło stronie rządowej. Żeby mówić, ale nie zmieniać.

Sztynne stanowisko strony rządowej i opór przed wprowadzeniem jakichkolwiek zmian był dla naszych liderów zaskoczeniem. Spodziewali się bowiem, że w tej dziedzinie PZPR jest gotowa do daleko idących ustępstw. Tymczasem brak woli kompromisu sygnalizował, że wprowadzenie samorządu terytorialnego stanowi zagrożenie dla ówczesnego ustroju. Wniosek więc był prosty: należy się dopominać o samorząd. W wyniku tego w ostatecznych uzgodnieniach zdecydowano, że powstanie wspólna grupa robocza, która będzie dyskutować reformy możliwe do zaakceptowania przez obie strony i będzie poszukiwać kompromisu. Grupa ta nigdy nie powstała. Decyzja o szybkich wyborach parlamentarnych zmusiła do koncentracji naszej uwagi na przygotowaniu się do kampanii. Natomiast strona rządowa żadnej negocjacji nie chciała.

Jak należy oceniać ówczesne wysiłki? Według moich notatek, pytany bezpośrednio po zakończeniu obrad o oceny, odpowiadałem, że niczego nie osiągnęliśmy i że jestem bardzo zadowolony z wyników. Ta sprzeczność była pozorna. Nie osiągnęliśmy nic, ponieważ strona komunistyczna z dobrej woli nic oddać nie chciała, bo oddać nie mogła. PZPR dobrze wiedziała, że jakakolwiek lokalna autonomia stwarzałaby śmiertelne niebezpieczeństwo dla ustroju, gdyż niszczyłaby fundamenty ustroju. Zarazem byłem zadowolony, ponieważ właśnie w wyniku oporu komunistów stało się dla wszystkich oczywiste, że reforma samorządowa ma podstawowe znaczenie dla przeobrażeń ustrojowych. Zmusiliśmy ich przy tym do jasnego określenia tych punktów, do których przywiązywali największą wagę. Musieli się więc odsłonić.

Zakończyliśmy pracę w swojej grupie, ale do zakończenia obrad Okrągłego Stołu było daleko. Mieliśmy w programie wyjazd do naszych partnerów w Danii. Zdecydowaliśmy się pojechać z Danką, mając nadzieję, że zdążymy wrócić. I to był błąd – nie zdążyliśmy. Wróciliśmy 7 kwietnia, a tymczasem w Polsce sprawy nabrały przyspieszenia. 5 kwietnia Okrągły Stół został zakończony plenarnym posiedzeniem. Po przyjeździe dowiedziałem się, że Geremek mnie poszukiwał, chcąc zaproponować udział właśnie w tym historycznym wydarzeniu. Klemens Szaniawski wyjechał na kilkumiesięczny pobyt w Stanach i zwolniło się miejsce, które miałem zająć. Niestety, nie było mnie wtedy w kraju.



Wybory z Lechem Wałęsą, 1989

22.

**Kampania – Wybory czerwcowe
(IV-VI 1989)**

W

róciliśmy już do innego kraju. 8 kwietnia odbyło się posiedzenie Komitetu Obywatelskiego w celu podsumowania osiągniętych ustaleń i wyznaczenia zadań na najbliższą przyszłość. Komitet miał się przekształcić w komitet wyborczy, aby wystawić swoich kandydatów. Bronisław Geremek jako przewodniczący zaproponował, aby przedstawić listę kandydatów spośród osób związanych głównie z ruchem solidarnościowym i aby zgłosić dokładnie tylu kandydatów, ile było miejsc do obsadzenia. To spotkało się ze sprzeciwem. Grupa członków Komitetu (w tym Aleksander Hall, Tadeusz Mazowiecki, Jan Olszewski i Adam Strzembosz) uznała, że Komitet Obywatelski powinien stanowić szeroką platformę, gdzie różne partie byłyby reprezentowane. Domagali się debaty programowej, zaproszenia różnych partii i przedstawienia znacznie większej liczby kandydatów niż miejsc, aby wyborcy mieli wybór między różnymi kierunkami politycznymi.

Koncepcja ta była odbiciem dążeń do demokracji, jednak zupełnie odbiegała od istniejących wówczas realiów. Opozycja nie myślała wtedy o zdobyciu władzy, ale chciała mieć silną reprezentację polityczną. Dlatego należało uzyskać dobry wynik w wyborach. Ordynacja była większościowa. Konieczne było więc koncentrowanie głosów. Zgłoszenie większej liczby kandydatów prowadziłyby do rozproszenia głosów, tak że kandydaci PZPR i satelickich partii mogliby wygrać.

Opozycyjne partie polityczne zresztą nie istniały, bo trudno nazwać partią niewielkie grupy ludzi, którzy tworzyli raczej kluby dyskusyjne. Nazywano je partiami kanapowymi, bo wszyscy ich członkowie mogli się zmieścić na jednej kanapie. Ponadto obywatele zupełnie nie byli przygotowani do dokonywania wyboru między kierunkami politycznymi. Po prostu nie mieli o tym żadnego pojęcia.

Komitet przyjął propozycję Geremka, uznając, że dla osiągnięcia sukcesu wyborczego należy wszelkie podziały odłożyć na później, a w wyborach przedstawić drużynę skoncentrowaną wokół Lecha Wałęsy. W dyskusji też zabrałem głos. Moje pragmatyczne podejście kazało popierać Geremka. Najpierw trzeba wybory wygrać, a dopiero potem myśleć o podziałach. Należy określić sobie sekwencję priorytetów, a nie przeskakiwać od razu do dalszych etapów transformacji, bo jak się przegra ten obecny, to do dalszych może nigdy nie dojść.

Przebieg tego posiedzenia był dość nieszczęśliwy. Chyba na podstawie nieporozumienia Olszewski poczuł się z Komitetu wycofany. Podniesiono problem, czy ci, którzy nie podporządkowali się woli większości, pozostają nadal członkami Komitetu. Na szczęście nie podjęto żadnej decyzji, pozostawiając sprawę niewyjaśnioną. A już wtedy mogła wybuchnąć wojna prowadząca do rozpadu obozu Solidarności, podobna do tej, która ten obóz rozwaliła półtora roku później. Jednak powstały rozłam miał istotne znaczenie. Był to początek końca Komitetu, który nie odpowiedział sobie wówczas na pytanie, czy ma być partią polityczną, czy też czymś w rodzaju platformy jednoczącej różne kierunki polityczne.

Uważałem, że podstawowym zadaniem było wygranie wyborów i odsunięcie komunistów od władzy. Dlatego Komitet powinien mówić jednym głosem. Forum dyskusyjne wielu różnych partii, które istniały tylko w głowach kilku polityków, nie mogło wyborów wygrać. Zresztą już kilka dni po tym posiedzeniu pewne osoby, które odmówiły udziału w wyborach, zaczęły mieć wątpliwości co do słuszności swoich decyzji. Pamiętam Jana Olszewskiego, który przyszedł na posiedzenie Komisji Samorządu w muzeum przy kościele na Solcu i starał się nawiązać rozmowę, podkreślając chęć utrzymania współpracy.

Został powołany zespół do opracowania programu wyborczego. Jurek Stępień zaproponował z sali, żeby również mnie włączyć, ponieważ sprawy samorządu lokalnego będą miały w czasie wyborów istotne znaczenie. Zespół powstał w składzie: Halina Bortnowska, Stefan Bratkowski, Kazimierz Dziewanowski, Krzysztof Kozłowski, Jacek Kuroń, Jerzy Regulski i Ernest Skalski. Czułem się początkowo niepewnie. Byłem dość nowym człowiekiem w tym środowisku, pośród osób o tak znanych nazwiskach. Sądziłem, że potrafią oni łatwo program napisać, a moją rolą będzie jedynie zadbanie, aby znalazły się postulaty dotyczące odbudowy samorządu. Rzeczywistość okazała się inna.

Następne zebranie Komitetu zostało wyznaczone na 23 kwietnia i wówczas program musiał być zatwierdzony. Spotkaliśmy się już następnego dnia w lokalu Klubu Inteligencji Katolickiej na Kopernika. I wtedy okazało się, że przeważająca część osób była w większym stopniu publicystami niż politykami. Skoncentrowali się na pisaniu odezw do narodu, które oczywiście są potrzebne, ale nie mogą zastąpić programu. Byłem zaskoczony, ale siedziałem cicho. Magia wielkich nazwisk

działała. Czas upłynął na wymianie myśli i haseł. Spotkaliśmy się znowu następnego dnia i nadal trwały próby wspólnego zredagowania tekstu. Zacząłem się denerwować, bo czas płynął, a o programie nikt nawet nie zaczął dyskutować. Dopominałem się o dyskusję nad zestawem konkretnych postulatów, które powinny stanowić nasz program polityczny, ale nie znajdowałem zrozumienia.

Trzeci raz spotkaliśmy się w piątek 14 kwietnia. Okazało się, że nie ma żadnego postępu, a upłynęła już połowa czasu, jaki mieliśmy do dyspozycji. Zabrałem więc głos i jasno powiedziałem, że jak tak dalej pójdzie, to programu w ogóle nie będzie, a naszym zadaniem jest napisać, czego żądamy i po co chcemy wygrać wybory. Sądziłem, że mówię oczywistości, ale moi koledzy wydawali się zaskoczeni tym, czego chcę, i zupełnie bezradni. Jak zwykle w takich przypadkach spotkałem się z reakcją: „Jeśli chcesz, to zrób to sam”.

Znalazłem się w trudnej sytuacji, ponieważ zostało mi jedynie kilka dni na napisanie propozycji programu. Zakres tematyczny był ogromny, bo musiał objąć całość spraw publicznych, od postulatów gospodarczych po ustrojowe i społeczne. A skąd ja miałem o tym wszystkim wiedzieć? Wpadłem więc na pomysł, aby oprzeć program na postulatach, które strona rządowa odrzuciła przy Okrągłym Stole. Było oczywiste, że po to startujemy w wyborach, aby je wprowadzić w życie. Obdzwoiłem przewodniczących wszystkich komisji Okrągłego Stołu, mówiąc, żeby na poniedziałek przygotowali wykaz spraw, które uważają za najważniejsze, a które nie zostały załatwione. Niektórzy byli bardzo zdziwieni, ale ogromna większość osób te materiały mi dała. To, czego nie dostałem, musiałem dokomponować według własnego rozumienia poszczególnych spraw. We wtorek miałem napisany prawie cały program. W środę przedstawiłem go Zespołowi. W czasie posiedzenia został uzupełniony. Wprowadzono parę modyfikacji redakcyjnych i dodano przedmowę, która się zrodziła z zamierzonych odezwo i wezwań do narodu. Zadanie zostało wykonane.

Postulat odtworzenia samorządu umieściłem na bardzo poczesnym miejscu. Program stwierdzał: „Odtworzenie autentycznego samorządu miast i gmin stanowi ważny krok ku demokracji. Samorząd musi być wyłącznym gospodarzem swego terenu, całkowicie oddzielnym od administracji państwowej. Rady muszą być wybierane w wyborach wolnych i demokratycznych. Dopiero spełnienie tych warunków nada sens posiadaniu własnego mienia i własnych finansów. Miasta i gminy powinny mieć prawo do łączenia się w związki i być chronione przed ingerencją województw i władz centralnych. Tylko wtedy rolnik będzie właściwie traktowany w urzędzie, jego godność nie będzie poniewierana. Tylko wtedy może być zrealizowane hasło: »Chłop na zagrodzie równy wojewodzie«”.

Z tym ostatnim zdaniem była związana śmieszna historia. Zostało ono dodane do mojego tekstu, aby, według opinii moich współpracowników w Zespole, uczynić

tekst bardziej swojskim i łatwiejszym w odbiorze. Kilka lat później spotkałem się ze stwierdzeniem, że program Solidarności był skierowany przede wszystkim do wsi i rolników. Kiedy zapytałem się młodego historyka, na czym on tę tezę opiera, przytoczył mi właśnie to zdanie. Uśmiełem się – jak mylące może być opieranie się nawet na najpewniejszych źródłach.

15 kwietnia zwołałem posiedzenie Komisji Samorządu Terytorialnego, pierwsze po zakończeniu obrad. Zaczęliśmy się zastanawiać, co dalej należy robić. Było oczywiste, że po wyborach parlamentarnych przyjdzie czas na wybory lokalne.

Do przeprowadzenia kampanii wyborczej niezbędne było posiadanie ogólnokrajowej sieci lokalnych komórek. Szansę na ich powstanie dawał ruch komitetów obywatelskich, które się spontanicznie formowały. Jednak należało stworzyć dla nich jakąś zachętę. Wydawało mi się, że najlepszą byłaby obietnica udziału ich członków w wyborach samorządowych. Zostałaby otwarta ogromna szansa dla tysięcy ludzi, bo jeżeli do parlamentu mamy wybrać 260 ludzi, bo tyle foteli nam przydzielono w Sejmie i Senacie. Następnym razem będzie 50 tysięcy miejsc w radach lokalnych. Poza tym dawały one szansę na przygotowanie kadr. W protokole końcowym Okrągłego Stołu uzyskaliśmy zgodę na dopuszczenie organizacji społecznych do prac rad narodowych. Uważałem, że należy zachęcać komitety obywatelskie do korzystania z tej możliwości jako najlepszej drogi do poznania praktyki.

W tym duchu przygotowałem projekt listu do komitetów obywatelskich, który przekazałem kierownictwu Komitetu Obywatelskiego do akceptacji. Ku mojemu zaskoczeniu takiej akceptacji nie uzyskałem. Na pewno odegrała tu rolę obawa przed możliwymi negatywnymi skutkami nawiązywania współpracy z urzędującymi władzami, będącymi ekspozyturą PZPR. Ale późniejsze, już po wyborach, rozwiązanie przez Wałęsę komitetów obywatelskich wskazuje również na inne motywacje. Władze Solidarności obawiały się, że komitety stworzą dla nich silną konkurencję, a zatem bezpieczniej było pozbyć się ich, zanim staną się rzeczywistą siłą. Decyzja ta miała bardzo niedobre skutki, powodując frustrację i szkodząc przygotowaniom do wyborów samorządowych.

Praca nad programem i konieczność załatwiania wielu bieżących spraw wyłączyła mnie z biegu wydarzeń związanych z kampanią wyborczą. Zaczęło się tworzenie list wyborczych. Ale nikt mnie nie pytał o to, czy chcę kandydować. Oczywiście, że chciałem, bo tylko w ten sposób mógłbym realizować nasze plany samorządowe. Powiedziałem o tym wprost Andrzejowi Wielowieyskiemu. Odesłał mnie do Gremka, bo wtedy on rozdawał karty. On to przyjął do wiadomości, ale powiedział, że zgłasza ludzi, którzy będą wybrani, a on nie ma pewności, czy temu kryterium sprostam. Rzeczywiście nie byłem związany z żadnym konkretnym regionem.

Następne plenarne posiedzenie Komitetu wyznaczono na 23 kwietnia jako pierwsze w pełni legalne posiedzenie komitetu wyborczego. Odbłyło się już w Auditorium Maximum na Uniwersytecie. 23 kwietnia są moje imieniny. Rano obudził nas telefon z Chicago – teściowa mego syna gratulowała mi z powodu kandydowania do Senatu. Podziękowałem, ale powiedziałem, że nic o tym nie wiem, i zapytałem, skąd ona o tym wie. Okazało się, że zadzwoniła do niej nasza synowa i powiedziała, że gdy weszła do domu znajomych w New Haven, gdzie wtedy mieszkali, ci przywitani ją okrzykiem: „O, patrzcie! Wchodzi synowa senatora. Jej teść został wyznaczony jako kandydat do Senatu”. Byłem całkowicie zaskoczony. Naprawdę nic nie wiedziałem.

Idę na zebranie do Auditorium i w wejściu spotykam Ryszarda Reiffa, który się mnie pyta, z którego województwa kandyduję. Odpowiadam, że z żadnego. Ryszard jest zaskoczony. „To niemożliwe! Ty musisz kandydować. Nie wolno ciebie pomijać. Samorząd musi powstać i tylko ty możesz tego dokonać. Zdaje się, że jest puste miejsce w Leszczyńskim. Zaraz cię skontaktuję z przedstawicielem tego regionu”. Skontaktował mnie z jakimś panem. Ale ani ja go nie znałem, ani on nic o mnie nie wiedział. Powiedzieliśmy sobie „cześć”, „do widzenia” – i się rozeszliśmy. Jednak gdy wszedłem na salę, ktoś się mnie zapytał: „A to ty kandydujesz z Jeleniej Góry?”. Ja zaskoczony odparłem: „Z Jeleniej Góry? Nic o tym nie wiem”. Mój rozmówca patrzy na mnie jak na wariata. „Jak to nie wiesz, przecież jesteś już wydrukowany na liście kandydatów”. Ktoś mi podaje listę. I rzeczywiście jest napisane, że z Jeleniej Góry kandyduje do Senatu Jerzy Reguński. Okazało się, że to Andrzej Wielowieyski zadbał o interesy samorządu. Za chwilę rozmawiałem z przewodniczącym Komitetu Jeleniogórskiego, panem Lachowiczem. Ale krótko i poleciałem dalej, bo miałem jeszcze wiele roboty z ostatecznym opracowaniem programu wyborczego, który miał być właśnie zatwierdzany.

Zadzwoniłem do żony do domu. Danki nie było. Telefon odebrała nasza lokatorka. Poprosiłem ją: „Pani Elżbieto, niech pani przekaze żonie, że dzwonił senator z Jeleniej Góry”. Kiedy Danka wróciła do domu, Elżbieta jej to przekazała. Danka oburzyła się, że to głupi dowcip i że ktoś się podszywa. Wtedy Elżbieta zaczęła się śmiać i mówi: „To właśnie dzwonił pani mąż”.

Kilka dni później, już jako kandydaci, pojechaliśmy do Gdańska, żeby tam, pod auspicjami Lecha Wałęsy, rozpocząć kampanię wyborczą. Zebraliśmy się pod bramą Stoczni, aby wspólnie wejść do historycznej sali BHP w pochodzie. Odszukałem delegację z Jeleniej Góry. Było to pierwsze moje spotkanie z ludźmi, którzy stali się moimi partnerami w wielkiej przygodzie mego życia: Andrzej Piesiak, kandydat na senatora, 35 lat, elektronik, przewodniczący Regionu Solidarności; Roman Niegosz, drwal z Parku Karkonoskiego, dawny elektromonter, twórca Solidarności w tamtym regionie; Zbyszek Bobak, już pod sześćdziesiątkę, nauczyciel

ze Zgorzelca, prześladowany i wyrzucony ze szkolnictwa, oraz Janek Kisilijczyk, geodeta z Bolesławca, działacz katolicki.

Przebieg spotkania nie był rewelacyjny. Ale najważniejsze okazały się wspólne fotografie z Wałęsą. Stał on na scenie i kolejno podchodzili do niego wszyscy kandydaci, a fotograf pstrykał zdjęcia. Obowiązywał porządek alfabetyczny. „R” jest dość daleko, więc miałem dużo czasu, aby obserwować swoich poprzedników. Pomyślałem, że muszę mieć lepsze zdjęcie. Więc kiedy przysła moja kolej i podszedłem do Wałęsy, to objąłem go ręką i lekko przycisnąłem. On spojrzał się na mnie i uśmiechnął. W efekcie miałem jeden z najlepszych plakatów. Po prostu dwóch uśmiechniętych przyjaciół.

Ustaliliśmy, że przyjadę do Jeleniej Góry tak, aby być w czwartek 4 maja o osiemnastej na spotkaniu w Klubie Inteligencji Katolickiej. Wziąłem własny samochód, bo w Gdańsku dowiedziałem się, że nie mają żadnych środków lokomocji. Pojechaliśmy z Warszawy razem z Iwem Byczewskim i Włodkiem Koconem, moimi przyjaciółmi i współpracownikami. Miałem poczucie, że jadę w nieznaną przyszłość. Nie wiem, co mnie czeka, ale wiem, że moje życie zmieni się całkowicie. Dziwne uczucie. Myślałem, że pojadę na dwa, może trzy, cztery dni i wrócę do Warszawy. Nie przypuszczałem, że do domu wrócę dopiero po pięciu tygodniach, już jako senator.

Dojechaliśmy do Sobieszowa, dzielnicy Jeleniej Góry, do domu Romka Niegosza. Tam założyliśmy swoją kwaterę. Tu zatrzymywała się także Danka, kiedy przyjeżdżała z Warszawy, oraz mieszkali Iwo i Włodek. Pani Maria Niegoszowa nie tylko gotowała dla nas, ale też stworzyła miłą, domową atmosferę, która była nieoceniona w tych dniach pełnych napięcia. Dwie córki dopełniały nastroju rodzinnego.

Już w większym towarzystwie pojechaliśmy z Romkiem do kościoła garnizonowego, gdzie ksiądz Stanisław Boczoń był duszpasterzem. Kościół stanowił jeden z podstawowych ośrodków naszej kampanii. Podjechaliśmy pod świątynię, akurat wychodzili ludzie po nabożeństwie. Ksiądz Stanisław przywitał się ze mną, objął mnie, odwrócił się do ludzi i głośno zawołał: „Ludzie, ludzie, chodźcie tu, chodźcie tu bliżej, nasz profesor przyjechał!”

Okazało się, że jeszcze zanim dojechałem do Jeleniej Góry, to już wszędzie wisiały moje fotografie z audyencji u Papieża oraz fotografie z Wałęsą, z podaniem nazwiska i krótkiej notki biograficznej. Zostałem w mgnieniu oka otoczony przez nieznanymi zupełnie ludzi. Zaczęli mi zadawać pytania, ścisnąć ręce, cieszyć się, że jestem z nimi.

Na następnej stronie:
plakat wyborczy z Lechem Wałęsą, 1989

Solidarność



GŁOSUJ NA

JERZEGO REGULSKIEGO

KANDYDATA DO SENATU

LECH WAŁĘSA

W oczach tych osób widziałem wiarę, że ja zmienię ich życie. Skoro mi wierzą, to jestem odpowiedzialny, żeby ich nie zawieść. Poczucie tej odpowiedzialności nie opuszczało mnie przez całą kampanię wyborczą ani potem w czasie mej działalności w parlamencie i rządzie. Poczułem, jak wielka jest różnica między dyskusjami w zamkniętych gronach intelektualistów a dotknięciem rzeczywistych ludzkich odczuć i oczekiwań.

W dużej sali zebrało się ze 300 osób, a może i więcej, bo stały też na schodach, korytarzach i przed budynkiem. Nie bardzo wiedziałem, co mówić. Odpowiadałem na pytania, przedstawiałem się, mówiłem o programie. Uczyłem się kontaktów z ludźmi.

Zaczął się nieprzerwany ciąg spotkań i publicznych wystąpień. Musiałem się nauczyć mówić jasno i przedstawiać swoje myśli tak, aby były zrozumiałe dla każdego. Trzeba było odrzucić wszystkie skomplikowane wyrażenia używane w naszych środowiskach. Należało przełamać nawyki autocenzury i mówić wprost, że my nie lubimy komunizmu, że startujemy do wyborów po to, by zmienić ustrój, że chcemy, by się ludziom nie tylko lepiej żyło, ale też by żyli w kraju wolnym. Dziś, z perspektywy czasu, wydaje się to łatwe. Wtedy było trudne. Musiałem się przemóc, aby po 45 latach życia w systemie komunizmu publicznie powiedzieć, że nie podoba mi się socjalizm. Przez te lata byliśmy cały czas indoktrynowani i zastraszeni, a ja przecież przeszedłem przez więzienie.

Jednocześnie zdawaliśmy sobie wszyscy sprawę, że nie wiadomo, co się będzie działo. Ustaliliśmy, że nikt z nas, zwłaszcza ja, nie będzie nigdy chodzić samemu. W czasie całej kampanii wyborczej zawsze byłem z kimś, szczególnie wieczorem. Często wracaliśmy ze spotkań po północy, a wtedy łatwo jest spowodować wypadek czy awanturę. Iwo Byczewski i Włodek Kocon opiekowali się mną jak dzieckiem, odgrywali rolę kierowców, asystentów i opiekunów. Gdy ich nie było, to przydzielano mi jakiegoś emerytowanego robotnika, który miał trochę czasu wolnego.

Komitet Obywatelski dostał jako swoje lokum trzypokojowe mieszkanie na parterze przy ulicy Wojska Polskiego. Tam urzędował Związek Zawodowy „Solidarność”, tam też swoją siedzibę miał związek rolników indywidualnych, a my swoje biuro kampanijne. Tam był skład wszelkich dokumentów i materiałów propagandowych. Dwóch emerytów sprzedawało prasę. Mnóstwo ludzi przychodziło coś zaoferować, załatwić czy po prostu pogadać.

Cały nasz sztab kampanijny składał się z czterech osób: trzech robotników, działaczy Solidarności oddelegowanych z zakładów pracy, i jednego księgowego. Nad wszystkim czuwali pan Lachowicz i Tadeusz Lewandowski jako szefowie Komitetu Obywatelskiego, wspomagani przez Edwarda Wryszcza, Wojciecha Jastrzębskiego i wielu innych. Istotną rolę odgrywał Andrzej Piesiak, przewodniczący Regionu Solidarności. Oni prowadzili wszystkie sprawy organizacyjne i formalne kontakty

z władzami. Ja koncentrowałem się na merytorycznej treści spotkań i myśleniu o propagandzie.

Poważnym zadaniem było rozwieszanie plakatów wyborczych. Dostaliśmy z Warszawy plakaty z Wałęsą, ale ich liczba była ograniczona. W miejscowych drukarniach wyprodukowano więc różne inne, które rozklejano wszędzie – na słupach ulicznych, na klatkach schodowych, na murach. Do tego trzeba było zaangażować wielu ludzi w różnych miejscowościach. Największy kłopot stanowiła łączność. Dysponowaliśmy tylko dwoma samochodami: moim fiatem i starym polonezem odzyskanym przez Solidarność. Początkowo nie mieliśmy nawet telefonu. Zresztą w tym regionie było ich w ogóle bardzo mało, więc nie zawsze było do kogo telefonować. Cała organizacja kontaktów opierała się na pani doktor Polek, dentystce, ponieważ ona miała telefon. Pani doktor jedną ręką operując pacjentów, drugą podnosiła słuchawkę i uzgadniała wszystkie spotkania.

Ale kraj wyraźnie się budził, społeczeństwo się spontanicznie organizowało. Okazywało się, że Polska gminna, lokalna żyje, jest zdolna do działania, że ludzie silnie identyfikują się ze swymi małymi ojczyznami, że zaczynają się na swoim terenie czuć gospodarzami. Moje teoretyczne idee przybierały twarz rzeczywistości. To był niezwykle ruch, który się niesłychanie wzmocnił w kampanii wyborczej. Uczestniczyły w nim bardzo zróżnicowane środowiska, tak jak zróżnicowane jest polskie społeczeństwo.

Pojechaliśmy do Wrocławia na nagranie w telewizji. Ale nic nie nagraliśmy, bo w telewizji nie wiedzieli, jak mają nas traktować: czy się nas bać, czy też szanować. Wieczorem było spotkanie z przedstawicielami Towarzystwa Urbanistów Polskich i Stowarzyszenia Architektów, w małym gronie w prywatnym lokalu. Iwo wyjechał do Warszawy, żeby przekazać Dance informacje i ustalić, jak będziemy organizować kampanię. Już wtedy było jasne, że do Warszawy tak szybko nie przyjadę i że Danką będzie musiała przyjeżdżać do mnie.

Sobota zaczęła się dla mnie fatalnie. Moja wkładka zębowa upadła na podłogę i pękła na pół. Sytuacja stała się tragiczna. Bo jak tu bez wszystkich zębów prowadzić kampanię wyborczą, jak się uśmiechać, jak mówić? Byłem w panice. Ale okazało się, że wszyscy chcą mi pomóc. Otworzono dla mnie przychodnię, która w sobotę była zamknięta. Przyszli cały personel i w ciągu godziny wszystko posklejali, tak że mogłem się uśmiechać całą gębą. Kampania została uratowana! Wtedy pierwszy raz poczułem, na czym polega ludzka pomoc i solidarność. Poczucie odpowiedzialności, która na mnie ciąży, jeszcze się zwiększyło.

A potem zaczął się niekończący się ciąg spotkań. W sobotę z robotnikami w Aniluksie. W niedzielę w Maciejowej na pograniczu Jeleniej Góry msza święta w kościele parafialnym. Potem druga w Jeżowie Sudeckim, gdzie przemawiałem spod ołtarza i maszerowałem w pielgrzymce pod krzyż na skraju wsi. A wieczorem spot-

kanie z Solidarnością Rolniczą w Zbylutowie. Wśród rolników był wyraźnie rozłam. Przywódca Solidarności Rolniczej nie został kandydatem Komitetu Obywatelskiego w wyborach. Postanowił więc prowadzić własną kampanię jako nasz przeciwnik. To było spotkanie najgorsze w całej kampanii. Wszyscy podpici. Popisywano się demagogią i nas mocno atakowano. Baliśmy się, że emocje i wódka spowodują jakiś wybuch. Co chwila byliśmy na skraju awantury. Baliśmy się masakry i interwencji milicji. Włodek Kocon cały czas patrzył, gdzie są drzwi, i pilnował mnie, żebym mógł w razie czego uciec.

W poniedziałek spotkałem się z profesor Strahl, która była prodziekanem Wydziału Ekonomicznego i z którą znaliśmy się z kontaktów naukowych. Było to o tyle istotne, że naszym głównym kontrkandydatem był docent Borys, dziekan tego wydziału. Został on zgłoszony jako kandydat niezależny, ale miał mocne poparcie ekologów, a także partii. Miał istotne zasługi lokalne i był osobą bardzo popularną. Poważny przeciwnik. Nie prowadziliśmy żadnej czarnej kampanii przeciw niemu, ale staraliśmy się obserwować jego działania. Innych kontrkandydatów nie traktowaliśmy poważnie. Dzięki pani Strahl uzyskałem możliwość kontaktu z organizacjami studenckimi, a więc wejścia na teren przeciwnika.

Wieczorem w Sosnowce spotkanie pod kościołem z ludźmi rozsądnymi i rozumiejącymi, o co idzie gra. Ludzie spodziewają się, że zmienimy ich świat. Ale czy będziemy do tego zdolni? Wyrażają ogromne nadzieje i wolę współdziałania. Czy potrafimy ten zapal wykorzystać w przyszłości?

We wtorek 9 maja zostałem formalnie zgłoszony jako kandydat. Złożono około 4 tysięcy podpisów. Ale zebrano ich blisko 20 tysięcy! Bo po zgłoszeniu zbierano podpisy nadal. Ludzie chcieli nas popierać. Było to dla mnie absolutnym zaskoczeniem. Nie znałem ich ani oni mnie, ale wszyscy byli ogromnie zaangażowani i wszyscy oczekiwali na zmianę.

Tego dnia najpierw było spotkanie w Biurze Planowania, potem wyjazd do Łomnicy na spotkanie pod kościołem. Nazajutrz spotkanie w katedrze uczelni z zespołem pani Strahl. Kiedy wchodzę do gmachu, woźna zaprasza, abym podpisał listę poparcia dla docenta Borysa, który był tam dziekanem. Bardzo ją zaskoczyło, gdy wytłumaczyłem, kim jestem i że listy nie podpiszę. Później spotkanie w zakładach remontowych z załogą i przedstawicielami lokalnej Solidarności.

W czwartek jedenastego przyjeżdża Danka. Przywiozła mi czyste koszule i bieliznę na zmianę. Już jest jasne, że do Warszawy jeździć nie będę. Dowiozła nam też plakaty i różne wydawnictwa wyborcze. Zaczęła spełniać funkcję naszego kuriera z Warszawy. Wieczorem spotkanie w Klubie Inteligencji Katolickiej, 300–400 ludzi. Danka po raz pierwszy jest ze mną. Uczestnicy spotkania wywołali ją i musiała się przedstawić. Tak się złożyło, że w tych dniach obchodziliśmy czterdziestą rocznicę ślubu. Często o tym mówiłem. Czterdzieści lat z jedną żoną to dowód,

że można mieć zaufanie do człowieka. Po pierwszym tygodniu miałem za sobą dwanaście publicznych spotkań i około 1400 osób uczestniczących w tych zebraniach. Ludzie nie byli przygotowani do dyskusji o konkretnych zagadnieniach. Chcieli, żeby komunizm odszedł, i wierzyli, że będzie im się żyło lepiej. Chcieli słuchać o wartościach: o prawdzie, wolności, zasadach nauki społecznej Kościoła. Ufali nam, bo wierzyli, że będziemy realizować te wartości w swojej pracy parlamentarnej.

W piątek dwunastego o dziesiątej droga krzyżowa w kościele garnizonowym w Jeleniej Górze. Przemawiam spod ołtarza, mówię o wartościach chrześcijańskich, nawiązując do wypowiedzi Jana Pawła II. Trochę wspomnień z osobistego z Nim spotkania. Powiedział wtedy, że błogosławi nam w naszym dziele przebudowy kraju. Powtórzyłem to w kościele. Później mam wykład w Akademii Ekonomicznej. Przedstawiłem założenia reformy samorządowej, bo to był mój temat sztandarowy.

Wieczorem pojechaliśmy do Komarna pod Jelenią Górą, gdzie mieliśmy się spotkać z chłopami. Przyszło dziesięć osób, ale były to osoby, które decydowały o poglądach całej wsi. Spokojna, rzeczowa dyskusja, konkretne pytania i rozsądne wątpliwości. Potem jeden z gospodarzy spotkania zaprosił nas do swojego gospodarstwa. Spędziliśmy cały wieczór, jedząc szaszłyki baranie przy ognisku wysoko w górach. Gospodarz śpiewał, był przepiękny wieczór. Siedzieliśmy do północy. Cenna chwila odpoczynku.

Następnego dnia było spotkanie w teatrze. Wynikły problemy z orkiestrą, która miała grać honorowo. Ale część orkiestry należała do PZPR i nie chciała angażować się w naszą kampanię. Uważali, że mogą grać tylko odpłatnie. Oni nie chcieli Solidarności. Wokół koncertu było wiele konfliktów. Jedni wywieszali afisze, inni zdejmowali, gdzieś odmawiano ich wywieszania, gdzie indziej się o nie dopominano. W końcu jednak koncert się odbył, przyszło 600 osób. Danka uruchomiła żony kandydatów i panie chodziły po sali, sprzedając cegielki. Ten zwyczaj powielaliśmy wiele razy, inicjatywa Danki przyniosła naszej kampanii duże pieniądze. Bo przecież trudno odmówić kupna cegielki, gdy prosi o to żona kandydata.

Niedziela 14 maja była dniem pełnym wydarzeń. Pojechaliśmy do Kamiennej Góry i stamtąd poszliśmy na pieszą pielgrzymkę do Krzeszowa, do opactwa cystersów z czasów Piastów śląskich. W poprzednich latach te doroczne pielgrzymki zatrzymywano wszystkimi możliwymi sposobami. Dopiero w tym roku była to pielgrzymka legalna i milicja nas eskortowała.

Kiedy doszliśmy do Krzeszowa, Danka z księdzem prowadzącym naszą grupę podeszła do milicjantów i przypięła im znaczki Solidarności, dziękując za opiekę. Milicjanci mieli łzy w oczach. Powiedzieli, że to będą ich najpiękniejsze pamiątki, bo one oznaczają, że zostali przyjęci do społeczeństwa, przeciwko któremu musieli dotąd działać. Drugi taki wzruszający moment przeżyłem rok później, gdy w święcie 3 Maja w Lubaniu uczestniczył po raz pierwszy oddział milicji i wojska. Dla

tych ludzi to były milowe kroki w zasypywaniu podziałów, jakie stworzył komunizm. W Krzeszowie spotykamy się z Jankiem Lityńskim, który kandyduje z sąsiedniego województwa. Ksiądz wygłasza dosyć wyważone kazanie, starając się dystansować od wydarzeń politycznych. Po wyjściu z kościoła próbujemy szybko zorganizować ad hoc jakiś wiec. W międzyczasie wywołały mnie siostrzyczki z zakonu żeńskiego, który się opiekował chorymi i starcami, i miałem z nimi też spotkanie wyborcze. Obiecały, że zadbają, aby w głosowaniu wzięli udział wszyscy podopieczni. Trochę głosów sobie zapewniliśmy.

Stamtąd pojechaliliśmy szybko do Bolesławca, bo tam o szesnastej ma być msza połowa z udziałem biskupa, a potem spotkanie z kandydatami. Przyjeżdżamy w ostatniej chwili. Na stadionie jest dwa, trzy tysiące ludzi. Po mszy mamy wiec wyborczy, ale cały szereg osób zaczyna wychodzić.

Na stadionie zbyt duża odległość dzieli mówiących ze środka boiska od ludzi na trybunach. Przynoszą nam kartki z pytaniami, staramy się odpowiadać. Ale kontaktu nie ma. A potem uformował się tysięcosobowy pochód i przeszliśmy na jego czele przez całe miasto. Danką była oczywiście przy mnie. Za nami transparenty Solidarności. Skandowaliśmy: „Solidarność, Solidarność”, „Dziś nie biją, chodźcie z nami”. Wszyscy śpiewali: „Ole, ole, nie damy się, nie damy się”.

Wiele osób szło z nami, wielu patrzyło z okien. Niektórzy bili brawo, inni obserwowali wszystko z niepokojem i niedowierzaniem. Nam chodziło o przełamanie powszechnego strachu. Marszem wykazywaliśmy, że można domagać się zmiany ustroju, że możemy wyrażać głośno i publicznie swoje poglądy. Obawialiśmy się jednak jakiejś prowokacji. Ale udało się spokojnie rozwiązać pochód. Pod lokalem Komitetu Obywatelskiego stanęliśmy na murku, odśpiewaliśmy jeszcze jakąś piosenkę i się pożegnaliśmy. Ludzie rozeszli się spokojnie. A my odpoczywaliśmy po tym przeżyciu. To była pierwsza manifestacja środkiem głównej ulicy miasta.

Następnego dnia jesteśmy w Celwiskozie. Potem jadę do Wrocławia, gdzie mam wystąpienie w telewizji. Ale powoli zaczynam tracić głos. Nadszarpnąłem go sobie pielgrzymką i śpiewami w Bolesławcu. Mówię z wielką trudnością, a cała kampania się opiera na kontaktach osobistych, bo nie mamy żadnego dostępu do środków masowego przekazu. W telewizji z trudem wypełniłem trzyminutowy program. Był to jedyny mój program w czasie kampanii wyborczej. Po nim straciłem już głos całkowicie.



Manifestacja przedwyborcza w Bolesławcu. Idziemy z Danką, po mojej prawej pozostali kandydaci: Janek Kisilijczyk, Andrzej Piesiak i Zbyszek Bobak, maj 1989

W Jeleniej Górze odwołuję umówione spotkania w parafiach i idę do laryngologa. Pani doktor Mazur robi dla mnie wszystko, co może. Otwiera apteki w nocy, robi jakieś zabiegi, daje mi pigułki i obiecuje, że będzie dobrze, tylko żebym przez kilka dni oszczędzał głos. Rady są dobre. Ale jak się do nich zastosować?

Danka tego dnia wieczorem wyjeżdża do Warszawy. A ja wiem, że muszę przetrzymać jeszcze jeden dzień. I to dzień pełen spotkań. Później mam wyjechać do Krakowa. Mam nadzieję, że dwa dni przerwy pozwolą odzyskać głos.

Jedziemy do fabryki dywanów w Kowarach. Dyrektor tej fabryki startuje w wyborach z listy PZPR. Nasze spotkanie wyborcze ma się odbyć właśnie w jego fabryce, dlatego dyrektor stara się stworzyć wrażenie, że wspólnie kandydujemy. Musiałem się wyraźnie odciąć od niego, mocno podkreślając nasze dążenie do zmiany ustroju. Tu ciekawostka. Nasz kontrkandydat jako jeden z argumentów wyborczych używał faktu, że fabryka produkowała makatki z Matką Boską. Więc niby pracował dla Kościoła, w związku z tym zasługiwał na zaufanie.

Po południu wiec na rynku w Kowarach. Tu się zaczęły na dobre moje kłopoty z głosem. W fabryce mówiłem do mikrofonu, więc mogłem szeptać. Jednak przemawiać na otwartym powietrzu to zupełnie co innego. Napisałem krótki tekst, który w moim imieniu odczytał Iwo, ale myliłem się, sądząc, że to zadowoli publiczność. Ludzie żądali, żebym odpowiadał osobiście, bo „takiego niemego nie mogą wybrać do Senatu”. Przecież jeżeli nie mogę mówić, to jaki będą mieli ze mnie pożytek w Senacie? Więc musiałem szeptać do mikrofonu. Jakoś się udało, głos mi wytrzymał.

Nocą jadę do Krakowa na spotkanie z grupą Amerykanów z Uniwersytetu Johnsa Hopkinsa w Baltimore. Po moim pobycie w 1988 roku mają być zapraszani inni moi współpracownicy. Trzeba omówić szczegóły, a przede wszystkim wykazać, że stanowimy silny zespół, z którym warto współpracować. Spotykam ich w Krakowie i autobusem jedziemy do Piotrkowa, gdzie mój Zakład z Uniwersytetu Łódzkiego zorganizował wspólne seminarium. Spotkanie zakończyło się sukcesem.

Dziewiętnastego jadę nocnym pociągami do Jeleniej Góry. Na szczęście głos mi już wrócił. Następnego dnia znowu trzy kolejne spotkania. Najpierw byliśmy w Orłowicach. Potem spotkanie z dziećmi w kościele w Świeradowie. Tamtejszy komitet był świetnie zorganizowany i stanowił jeden z ważnych punktów naszego wsparcia. Wieczorem mieliśmy umówione w Węglińcu spotkanie z kolejarzami, blisko 100 kilometrów ze Świeradowa. Musieliśmy wyjechać przed końcem pokazów dzieci. Było przykro. Węglińiec to kolejarska gmina. Same lasy, a w środku węzeł kolejowy. Bardzo silny zespół związkowy. Wiedzą, czego chcą, i są zdecydowani to realizować.

Do 20 maja mieliśmy za sobą 25 spotkań, w których wzięło udział około 5700 ludzi. W większości to były małe spotkania, więc kontakt był bezpośredni. Wyłaniał się obraz Polski i polskiego społeczeństwa zupełnie różny od tego, który miałem, patrząc z Warszawy. Ten obraz utwierdzał mnie w przekonaniu, że samorząd w Polsce jest konieczny, bo kraj mogą zmienić tylko ludzie w bezpośrednim działaniu. Nabierałem pewności, że ludzie są do tego zdolni. Społeczeństwu należy wierzyć i mieć do niego zaufanie.

Nazajutrz, w niedzielę, mieliśmy serię czterech spotkań. Najpierw msza w Siedlęcinie i wiec po mszy. Następnie wiec pod kościołem w Bukowcu. Potem narada całego zespołu nad planem dalszych działań. Wreszcie wieczorem spotkanie w Bogatyni, na drugim końcu województwa.

Spotkania pod kościołami miały swoją specyfikę. Czasami księża zapowiadali w czasie kazania, że będzie spotkanie po nabożeństwie. Czasami nie mówili nic. A nawet kiedy zapowiadali, to ludzie nie bardzo wiedzieli, jak to będzie wyglądało ani o co chodzi. Spodziewali się jakiejś masówki, jakie organizowano w tamtych czasach. A poza tym bali się, że będą mieli do czynienia z milicją. Musieliśmy wyćwiczyć sposób postępowania. Gdy tłum wychodził z kościoła, to należało go zatrzymać na przestrzeni kilkudziesięciu metrów. Trzeba było czymś ludzi zaskoczyć i w pierwszych zdaniach powiedzieć coś takiego, aby się zatrzymali. Bo jak pierwsi się zatrzymają, to robi się zator i muszą wszyscy stanąć. To chwilowe zatrzymanie trzeba było wykorzystać, żeby ludzi zaciekawić i żeby zaczęli słuchać. Nauczyliśmy się tej techniki i na ogół się to udawało. Mówiliśmy, że przyjechaliśmy tu po to, by uzyskać poparcie ludzi, bo chcemy zmienić ustrój. Mówiliśmy, że komunizm nam się nie podoba, że byliśmy i jesteśmy przeciwnikami tego ustroju.

Reakcje ludzi były bardzo różne. Jedni z zainteresowaniem słuchali i nawet zadawali pytania. Część, rozglądając się trwożnie dookoła, umykała. Było dla nich jasne, że za chwilę musi zjawić się milicja. Inni zamierali w oczekiwaniu, bo przecież takich oświadczeń nigdy w życiu nie słyszeli. Miałem poczucie, że budzimy Polskę, budzimy ludzi z jakiegoś letargu, w który ich wprowadził komunizm. Ludzie byli ogarnięci nie tylko strachem, ale i poczuciem beznadziejności. Tkwili w tym bezruchu, zobojętnieniu i poczuciu bezradności. I nagle zjawialiśmy się my i mówiliśmy, że przyszłość zależy od nich samych i że mogą mieć na nią wpływ. W miarę jak mówiliśmy, widziałem, ale w wielu oczach pojawiają się jakieś ogniki. Ludzie zaczęli reagować, zaczęli się budzić.

Jeździliśmy przeważnie w grupie i ukształtował się podział ról. Miałem największą rutynę w wystąpieniach publicznych i w zależności od sytuacji byłem wysuwany albo na początek, albo na koniec. Na ogół mówiłem ostatni. Ale gdy mieliśmy wiece pod kościołami i trzeba było zatrzymać wychodzących, to często ja zaczynałem. Romek Niegosz nie był wielkim mówcą, ale potrafił rozsądnie zabrać głos.

Znaczenie jego udziału polegało na czym innym. Miał ogromny prestiż społeczny, był powszechnie znany i cieszył się wielkim zaufaniem. Bez jego wsparcia nigdy bym nie uzyskał dobrego wyniku. Udział Romka był dla nas równie cenny jak plakaty ze zdjęciem z Wałęsą.

22 maja mieliśmy znowu dwa spotkania. Najpierw w Zawidowie, małym miasteczku w górach. Spośród trzech tysięcy mieszkańców trzystu było w sali kinowej. A więc jedna dziesiąta miasteczka przyszła się z nami spotkać. Byłem pod wrażeniem zaangażowania tych ludzi. W Zawidowie znowu pojawił się pan Ciosek, który chciał się włączyć do naszej kampanii. Miejscowi ludzie powiedzieli, że go nie chcą słuchać. Wyszedł obrażony. Ale zebranie się przeciągnęło. Na następne spotkanie do Sulikowa został wysłany najpierw Zbyszek Bobak, żeby przeprosić za spóźnienie i zatrzymać tam zebranych już ludzi. Sto osób czekało na nas w kościele. Bobak ich zabawiał. Gdy przyjechaliśmy, on pojechał do kolejnego kościoła, gdzie czekali już następni. Niestety, już tam nie dojechaliśmy.

23 maja, wtorek. Najpierw pojechaliśmy do studium nauczycielskiego i liceum ogólnokształcącego w Bolesławcu, gdzie spotkaliśmy się z nauczycielami i uczniami. W tym czasie trwały matury, więc ostatnie klasy, złożone już z wyborców, właściwie były wyłączone z kampanii. W szkołach mieliśmy różne sytuacje. Dyrekcje i kuratorzy na ogół nam utrudniali kontakty. Natomiast zaangażowane grupy nauczycieli organizowały nam spotkania. W jednym przypadku pozwolono nam się spotkać z młodzieżą, ale po godzinach lekcyjnych, podczas kiedy sekretarz partii, który również kandydował, miał wielkie spotkanie z całą młodzieżą w trakcie lekcji. W Bolesławcu mieliśmy dobre wejście dzięki pani Danucie Maślickiej, polonistce, która cieszyła się wielkim uznaniem wśród lokalnej elity i była szalenie zaangażowana w naszą kampanię.

Pojechaliśmy do Zgorzelca. W fabryce Famago byliśmy najpierw, a potem mieliśmy spotkanie z nauczycielami zgorzeleckimi. Nauczyciele wykazywali dużą dozę ostrożności. Za to później odbył się wielki wiec w hali sportowej. Przyszło około 800 ludzi.

Środa 24 maja. Wyjazd do huty szkła w Pieńsku. Przez trzy godziny szliśmy przez hale fabryczne, rozmawiając z pracownikami. Warunki pracy były tragiczne. Technologia XIX wieku. Ludzie pracowali w upale, zatruwani gazami, jak niewolnicy. Rozmawiałem z robotnikiem, który produkował strasznie ciężkie formy. Podał mi jakąś nieprawdopodobną liczbę ton, którą musi własnymi siłami co dzień przemieścić. Pytam, jak daje radę. A on na to: „No wie pan, jak byłem młody, to dobrze było, ale teraz jestem stary. Ja skończyłem już 40 lat”. Wyglądał rzeczywiście na starca.

W domu kultury zorganizowany został wielki show. Występy dzieci, konkursy tańca młodzieży. My występowaliśmy jako gwiazdy. Później pojechaliśmy do szkoły w Wieruszowie. Środek wielkich lasów dolnośląskich, skrzyżowanie dróg, szkoła, leśnictwo i cztery chałupy na krzyż. Oczekiwało nas kierownictwo szkoły i trochę podpitych miejscowych gospodarzy. Wielkie wrażenie zrobiła na mnie pani Maria Karwowska, nauczycielka, ówczesna radna, niesłychanie zaangażowana w sprawy społeczne. Wróciliśmy do domu po północy, ale pani Niegoszowa czekała na nas z kolacją. Znaczenie jej opieki uwidaczniało się właśnie w takich momentach, gdy wracaliśmy skrajnie wyczerpani i bardzo potrzebowaliśmy domowej atmosfery, która pozwalała odetchnąć.

Tego dnia uświadomiłem sobie wyraźnie coś, co do tej pory tliło się jedynie, a odtąd nie odstępowało mnie już przez pozostałą część kampanii. Zacząłem się obawiać, czy ja tych ludzi nie wprowadzam w błąd. Sądziłem, że jeżeli wygramy wybory, to będziemy w stanie modyfikować ustrój. Ale od zmiany ustroju do zmiany warunków życia poszczególnych ludzi, tych szklarzy w Pieńsku czy nauczycielek w Wieruszowie, musi wszakże upłynąć wiele lat. Zdałem sobie sprawę, że jeśli będę nawet członkiem parlamentu, to przez cztery lata dla ludzi w Pieńsku nie zmieni się nic albo zmieni się bardzo niewiele. Miałem poczucie, że gram z nimi nie fair. Ale z drugiej strony, jeśli oni mnie nie poprą i jeśli nie wygramy wyborów, to pozostanie tak, jak jest, jeszcze przez wiele, wiele lat, i to bez żadnej nadziei na zmianę. Więc musiałem ich zapewniać, że będzie im lepiej. Nurtowały mnie wszakże pytania: Kiedy to się stanie? Ile czasu będzie musiało upłynąć, aby nastąpiły rzeczywiste zmiany w życiu tych ludzi?

25 maja był czwartek i Boże Ciało. Przyjechała Danka z Warszawy. Przywiozła następną partię materiałów propagandowych, różnych plakatów i afiszy. Jak zawsze jechała wagonem sypialnym. Miała niespodziewaną przygodę. Konduktor, gdy zobaczył jej ładunek, wystraszył się i zaprotestował, że tego wozić nie wolno. Obawiał się, że to jest nielegalna bibuła i on może mieć jakieś przykrości. Zupełnie nie zdawał sobie sprawy ze zmian zachodzących w kraju. Było to typowe dla wielu osób.

Święto nie zwalniało z kampanii. Odwrotnie – była to okazja, aby spotkać masę ludzi. Rano mieliśmy spotkanie we wsi Sobota. Zatrzymywaliśmy ludzi, którzy szli do kościoła, a oni nie bardzo wiedzieli, czego my od nich chcemy. Traktowali nas jak natrętów. To nie był dobry pomysł, aby zatrzymywać ludzi w drodze do kościoła – szli na określoną godzinę, więc nie mogli się spóźnić. Natomiast wielkim przeżyciem była procesja Bożego Ciała we Lwówku. Zostaliśmy zaproszeni przez księdza do stalli przy ołtarzu. Po mszy wyszliśmy z kościoła na procesję. Ruszyliśmy za księdzem we czwórkę, razem z Bobakiem, Kisilijczykiem i Piesiakiem. Oczywiście Danką była z nami. Obeszliśmy cały rynek, od ołtarza do ołtarza. Śpiewy, wszystkie okna pełne ludzi. Powracamy pod kościół, tam stoi już podium na przyczepie, są

zainstalowane megafony. Odbywa się regularny, wielki wiec, bardzo dobry, z żywą reakcją ludzi. Uczestniczyło w nim około półtora tysiąca osób. Zjedliśmy obiad u księdza i po południu mieliśmy jeszcze jedno spotkanie w Płóczkach Górnych.

Tu należy wspomnieć o tych wszystkich przeskokach pomiędzy miejscowościami. Między jednym a drugim spotkaniem trzeba było na ogół pokonać kilkadziesiąt kilometrów krętymi bocznymi drogami. Nie mieliśmy kierowców. Staralem się oszczędzać siebie i jak tylko był ktoś, kto mógł prowadzić, to z radością oddawałem kierownicę. Ale często musiałem sam prowadzić. I to było naprawdę ciężkie. Nie wiem, ile kilometrów zrobiliśmy w czasie kampanii. Pewno 10 tysięcy albo i więcej. Zdarzały się dni, gdy robiliśmy kilkaset. Zjeżdżaliśmy cały region we wszystkich kierunkach. Był maj i zbocza wzgórz pokrywały żółte pola kwitnącego rzepaku. Tego nie ma w innych regionach Polski. Kwitnący rzepak zawsze mi się już będzie kojarzył z wyborami. Ważną kwestię stanowiły obiady. Zapraszali nas księża, ale często musieliśmy jadać w restauracjach. A jakie to były restauracje, to lepiej nie wspominać. Że nikt z nas nie zachorował, to naprawdę cud.

26 maja, piątek. To był właściwie luźny dzień, mieliśmy jedno spotkanie w liceum w Bolesławcu. Potem zostaliśmy zaproszeni do mieszkania państwa Maśllickich. Pani Maśllicka to główna organizatorka naszej kampanii w Bolesławcu. Była nauczycielką, posiadała stopień doktora. Była aresztowana, miała zakaz nauczania w liceach i została skierowana do jakiejś szkoły podstawowej, bardzo daleko poza miastem. Zmiana sytuacji politycznej pozwoliła jej na powrót do liceum. To jedna z osób, dzięki którym mogliśmy wygrać wybory.

27 maja. Już tylko tydzień do wyborów. Znowu trzy spotkania, i to duże. Najpierw pojechaliśmy do Wojcieszowa z Danką. Potem do Wlenia, gdzie odbywały się właśnie Dni Wlenia. Spotkanie było na rynku. Grały różne orkiestry jazzowe, występowała młodzież. Ale miasteczko było skłócone. Wrażenie ogólnej degrenolady, braku jakiegokolwiek organizacji społeczności. Wszędzie chodzili ludzie podpici. Takie widoki powodowały, że wracało pytanie: Czy Polacy potrafią wykorzystać przywracaną wolność? Spieszyliśmy się bardzo, bo zaraz potem mieliśmy największe spotkanie w czasie kampanii, w Jeleniej Górze na stadionie, z Anką Nehrebecką i słynnym francuskim aktorem Yves'em Montandem. Tu kilka słów wyjaśnienia. Iwo Byczewski przez osobiste kontakty został organizatorem pobytu Montanda w Polsce. Załatwił, że przyjedzie też do Jeleniej Góry. Wiec z jego udziałem wymagał dużej organizacji. Wynajęliśmy cały stadion. Oprócz Montanda atrakcją była też Anka Nehrebecka, znana aktorka i żona Iwa. Afisze na mieście głosiły: „Yves Montand, Anna Nehrebecka zapraszają na spotkanie z kandydatami”. Jednak do ostatniej chwili nie było pewności, czy zdąży. Spieraliśmy się z Legnicą, która dysponowała jego czasem w tym dniu. Wiec miał się rozpocząć o osiemnastej. Na szczęście zdążył.

Ale tym razem Służba Bezpieczeństwa chciała się przeciwstawić. Przypadkowo dowiedzieliśmy się, że stadion wynajęto półtorej godziny wcześniej na jakiś mecz trampkarzy. Oczywiście to kolidowało z naszym wiecem. Robotnicy zaczęliby spędzać z boiska trampkarzy i powstałby powód do interwencji milicji. Zapewne o to im chodziło. Andrzej Piesiak zadzwonił do miejscowego szefa SB i zapytał, czy sobie zdaje sprawę, do czego to prowadzi. Uprzedził, że to nie my będziemy ponosić odpowiedzialność za to, co się stanie na stadionie. Nasi robotnicy przyjdą i usuną wszystkich niezależnie od tego, czy będą chcieli zejść. SB się wystraszyło i skasowało mecz. Ale aby podgrzać atmosferę, od rana jeździła po mieście armatka wodna, demonstrująca siłę milicji i gotowość do interwencji.

Wszystko się odbyło dobrze. Anka miała bardzo piękne wprowadzenie, przedstawiała nas ludziom. Yves Montand również powiedział parę słów na dowód międzynarodowego poparcia dla Solidarności. Przemawialiśmy i my. Potem odbył się przemarsz i to był najważniejszy element naszej kampanii w Jeleniej Górze. Przeszliśmy długą trasę od stadionu ulicą Wojska Polskiego, a potem zakręciliśmy do kościoła garnizonowego. W pierwszym rzędzie szli kandydaci, Anka oraz Yves Montand. Za nami ciągnął się wielki tłum, około siedmiu tysięcy ludzi. Skandowano różne hasła, a także nasze nazwiska, bo chodziło o to, żeby ludzie zapamiętali nasze nazwiska do głosowania. Yves Montand był już starszym panem, nogi go bolały i cały czas się pytał, jak daleko jeszcze. Skończyliśmy marsz pod kościołem, gdzie on i my wygłosiliśmy ostatnie słowa do tłumu.

Wiec i marsz przez miasto zrobiły duże wrażenie. Czekaliśmy, czym odpowie strona komunistyczna, lecz ona wykazywała zupełny brak inwencji. Na dwa czy na trzy dni przed wyborami docent Borys pojechał do Warszawy i wspólnie z premierem Rakowskim podpisał decyzję o likwidacji Celwiskozy, fabryki niesłychanie zatruwającej powietrze w rejonie, o której zamknięcie od szeregu lat walczyli ekologowie. Na mieście pojawiły się krótkie afisze: „Telegram: Celwiskoza zamknięta. Podpisane: Rakowski i Borys”. Ale to wiele nie pomogło.

Na naszych spotkaniach zadawano wiele pytań. Jedno, często powtarzane, dotyczyło naszych afiszy z fotografią z Wałęsą, że to nie jest fair, bo my używamy autorytetu Wałęsy zamiast swego własnego. Odpowiadałem wtedy bardzo prosto: „My się naszego przywódcy nie wstydzimy ani nasz przywódca nie wstydzi się nas. I my nie zakazujemy innym partiom, żeby robiły to samo. A to, że kandydaci z PZPR nie fotografują się z generałem Jaruzelskim, to jest ich sprawa. Może nie lubią Jaruzelskiego albo Jaruzelski nie ma do nich zaufania? My uważamy, że oni też powinni się z Jaruzelskim fotografować!”. I to wystarczało.

Następnego dnia, w niedzielę, znowu maraton, tym razem z Anką Nehrebecką. Najpierw Piechowice. Potem spotkanie w Miłkowie, pod kościołem, na małym placu. Miłe i wzruszające. A potem Lubań. Trzy tysiące osób z osiemnastotysięcznej miejscowości w amfiteatrze! Danka, jak zawsze, ruszyła w tłum, sprzedając cegielki. Daje swoje autografy, wymienia uśmiechy i uwagi. Podszedł jakiś staruszek i mówi, że on by chciał cegielkę, ale ma tylko 100 złotych. Wyciągnął stary banknot, podarty i pogięty. Widać było, że trzymał go gdzieś na czarną godzinę. Danka dała mu cegielkę za 500 złotych, bo tańszych nie było. Odmówić takiego datku z serca nie mogła.

Nagle spadł deszcz, straszliwa ulewa. Dach był tylko nad sceną, więc zrobił się straszny tłok. Staliśmy słóczeni jak sardynki. I w tym tłoku pojawiło się niemal fizyczne uczucie jedności. Wszyscy byli sobie bliscy, jednoczyła nas wspólna myśl i pragnienia. Dawaliśmy autografy, ściskaliśmy sobie ręce. Do dziś to wspomnienie łączy mnie z Lubaniem. Wkrótce deszcz przestał padać, pokazało się słońce. Kontynuowaliśmy spotkanie, a ta atmosfera jedności pozostała.

Wieczór w Gryfowie, pod kościołem. Jednym z organizatorów była miejscowa aktywistka, której nazwiska niestety nie zanotowałem. Wygłosiła przemówienie na temat listy krajowej. W tym czasie sprawa ta stanowiła istotny element kampanii. Lista obejmowała nazwiska 35 wybitnych przedstawicieli władz i głosowano na nią w całym kraju. Aby uzyskać mandat, trzeba było zdobyć 50 procent głosów. Podjęto spontaniczną akcję skreślania. Organizatorka spotkania wygłosiła przemówienie tej mniej więcej treści: „To ja wam powiem, ludzie, jak skreślać: za to, że moje dzieci mają złą szkołę i są uczone o komunizmie – skreślić dwóch; za to, że nie mogłam kupić części zamiennych do swojego traktora – skreślić dwóch; za to, że się marnuje nasze zboże w państwowych magazynach – trzech skreślić”. I tak dalej, wylczyła całą litanię, ogłaszając, ilu kandydatów komunistycznych skreślić i za co. Bardzo się to ludziom podobało. A ja miałem przegląd tego, co ludzi najbardziej boli.

Po spotkaniu była kolacja u księdza. Opowiedział, że miał straszny sen, bo mu się przyśniło, że skreślił nie tych, co potrzeba. To dobrze odzwierciedlało nasz podstawowy problem. Trzeba było uczyć ludzi, jak i kogo skreślić. Okazało się bardzo szybko, że ludzi programy nie interesują. Pytali się głównie nie o programy, lecz o technikę głosowania. Produkowaliśmy tysiące ściągaczek. Chodziło o to, żeby ludziom wbić w głowę nazwiska, które mają być zostawione – resztę należało skreślać. System głosowania był skomplikowany i okazało się potem, że w wyborach senatorskich w naszym okręgu aż 18 procent głosów było nieważnych. Oczywiście komisje odrzucały nasze głosy z byle powodu.

Zaczął się ostatni tydzień kampanii. Pojechaliśmy do Turoszowa, do elektrowni i kopalni. Solidarność była tam mocno skłócona. W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się w Olszynie. Miejscowy komitet nie był liczny i nie dysponował żadnym sprzętem ani jakimkolwiek środkami. Przygotowali dla nas tylko drabinkę, na którą po kolei wchodziliśmy i przemawialiśmy do ludzi. Ale spotkanie było bardzo udane, miłe i bezpośrednie. Wieczorem, bardzo się spiesząc, odwieźliśmy Danke na pociąg do Warszawy. Musiała tam pojechać, żeby na dzień wyborów wrócić i przywieźć nam kartki upoważniające do głosowania poza miejscem stałego zamieszkania.

We wtorek spotkanie w Bolesławcu, w zajezdni PKS. Potem do Czernicy. A wieczorem spotkanie ze strajkującymi studentami w Akademii Ekonomicznej. Na materacach porozkładanych po salach biwakowało 159 młodych ludzi. Była mała konfrontacja z panem Borysem, dziekanem wydziału i szefem tej filii Akademii. Chciał stworzyć wrażenie, że on i ja jesteśmy kandydatami środowiska akademickiego, i w ten sposób wyeliminować Piesiaka. Nie wytrzymał konfrontacji i wyszedł.

Potem miałem jeszcze nocne spotkanie ze studentami Politechniki w Cieplicach, którzy również strajkowali. Trwało do północy. Pani Maria Niegoszowa, jak zawsze, czekała z kolacją.

Środę zaczęliśmy w liceum w Zgorzelcu i napotkaliśmy trudności robione przez dyrekcję. A potem mieliśmy spotkanie z przedstawicielami milicji. To był ewenement. Milicjanci są wyborcami, więc uznaliśmy, że mamy prawo z nimi się spotkać, i zgłosiliśmy taki dezyderat do Komendy Wojewódzkiej. Na odpowiedź czekaliśmy długo, bo byli zaskoczeni i pytali Warszawę, jak się mają zachować. Nie zgodzili się na spotkanie na terenie swojej siedziby, ale wyznaczili delegację, która mogła się z nami spotkać na terenie neutralnym. Przyjechało 10 milicjantów po cywilnemu. Spotkanie było pozytywne.

Dwa dni później na stacji benzynowej zostaliśmy zatrzymani przez patrol. To był pierwszy i jedyny raz, kiedy nas zatrzymano, jakkolwiek mój samochód jeździł oplakatowany różnymi afiszami. Było ich dwóch. Jeden na drugiego machnął ręką, żeby nie podchodził bliżej i zapytał się: „A może macie coś do czytania?”. Myśmy oczywiście mieli w samochodzie dużo. Był bardzo zadowolony. Zapytałem, dlaczego go nie było na spotkaniu z nami. „Nie każdemu pozwolono pójść. Ale niech pan się nie boi, my wszyscy będziemy głosować na was, bo my chcemy zmienić również stosunki w Milicji”.

Po spotkaniu z milicjantami pojechaliśmy wieczorem do Karpacza. Zebranie pod kościołem trwało długo w noc. Skończyliśmy je dobrze po dwudziestej drugiej. Nie wzięliśmy jednak pod uwagę zmiany temperatury. W Jeleniej Górze było tego dnia ciepło, byliśmy w koszulach. A Karpacz leży kilkaset metrów wyżej, było jakies pięć stopni ciepła, nie więcej. Ciepłe ubrania, które zawsze ze sobą woziłem, zos-

tawiłem w drugim samochodzie, na dole. Na szczęście miejscowy wikary zdobył dla nas wszystkich ciepłe, puchowe kurtki. Po dwóch godzinach ktoś mówi: „No dajcie spokój, puśćcie już ich, bo jest zimno, oni są zmarznięci i zmęczeni”. Na to odzywa się inny głos: „Nie, nie, my musimy ich przetestować, czy są odporni na zimno, bo przecież nie wiadomo, co ich czeka, być może pojedą na białe niedźwiedzie”. Niby z takich dowcipów się śmiałyśmy, ale jednak ciarki chodziły po plecach. Bo naprawdę nikt z nas nie wiedział, co nas czeka.

Kolejnego dnia wiec w Bolesławcu. A wieczorem na Zabobrze, wielkim blokowisku Jeleniej Góry.

Zbliżamy się powoli do końca kampanii. Wierzymy w sukces, ale nie ma pewności, czy wygramy w pierwszej rundzie, czy konieczna będzie dogrywka za dwa tygodnie. Mamy ograniczoną liczbę afiszy, musimy nimi rozsądnie gospodarować. Na drugą turę nowych nie dostaniemy. A więc czy wykorzystać wszystkie zasoby w tych ostatnich dniach, licząc, czy też oszczędzać, aby mieć z czym prowadzić kampanię dalej, jeśli zajdzie taka potrzeba. Romek Niegosz jest całkowitym optymistą. Zapewnia, że drugiej tury nie będzie i rozdysponowuje cały zapas plakatów. Ja też jestem optymistą, ale wolę zachować trochę ostrożności i odkładam jedną czy dwie paczki na wszelki wypadek. Rację miał, jak zawsze, Romek.

Następnego dnia z Warszawy przyjechała Danka. Był już piątek 2 czerwca. Rano pojechaliśmy do Mirska, do fabryki włókienniczej. Pracują w niej prawie same kobiety. Warunki pracy bardzo trudne. Kurz i pył wciskają się wszędzie. Danka mocno tę wizytę przeżyła. Ale ona nie była w Pieńsku, więc nie wie, że może być jeszcze gorzej.

Danka była już powszechnie znana. Dostała bukiet. Wzięła go i poszła do hali fabrycznej, rozdając po kwiatku poszczególnym pracownikom. Te gesty ludzie sobie bardzo cenili. To było zupełnie co innego niż masówki organizowane na przyjazdy notabli partyjnych. Narzuciliśmy całkiem inny styl. Podkreślaliśmy, że chcemy mieć ze wszystkimi jak najbliższy kontakt.

O dziewiętnastej pojechaliśmy do Mysłakowic, gdzie był duży odpust. Było zimno i padał deszcz. Potem ksiądz zaprosił nas na kolację. W większej sali znajdował się stół dla księży i biskupa, a nam podano w drugim, mniejszym pokoju z jednym oddelegowanym księdzem. To dobrze odzwierciedlało sytuację. Bo właściwie kim byliśmy? Ciągle aktualne było pytanie, czy biskup może się z nami spotykać.

Ostatnie, sześćdziesiąte spotkanie odbyło się w sobotę w lokalu Klubu Inteligencji Katolickiej, a potem w teatrze był koncert. Było elegancko i spokojnie. W sumie miałem 60 spotkań, w których uczestniczyło około 24 tysięcy ludzi.

Niedziela 4 czerwca. Dzień wyborów był pierwszym dniem naprawdę wolnym. Pojechaliśmy rano do Andrzejów Piesiaków i razem z nimi w jakimś lokalu oddaliśmy głosy. Jeszcze uściśnięcia dłoni, spotkania, trochę rozmów z ludźmi wchodzącymi do lokalu wyborczego. Już przestałem się bać o drugą turę. Wiedziałem, że uzyskamy więcej niż 50 procent. Chodziliśmy po mieście dla zabicia czasu. Wieczorem pojechaliśmy do swojego biura. Tam był ustawiony komputer, z którego byliśmy bardzo dumni. Komputery należały wówczas do rzadkości. Włodek Kocon świetnie zorganizował sieć informacyjną. Chodziło o jak najszybsze uzyskiwanie wiadomości od naszych obserwatorów w punktach wyborczych. Nie wiedzieliśmy przecież, czy będą próby oszustw i matactw ani jak zachowają się władze.

Po dziesiątej wieczorem sytuacja zaczęła być nerwowa. Napięcie wzrastało. W końcu pierwszy telefon: ponad 70 procent głosów dla nas. Następna wiadomość nieco gorsza: około 60 procent. Potem wyniki spadły, parę było poniżej 60, ale wszystkie ponad 50 procent. Powoli ukształtował się obraz – wszędzie między 60 a 70 procent. Napięcie stopniowo przekształcało się w radość.

Było chłodno, padał dość mocny deszcz. W środku nocy jakiś człowiek przemoczony do szpiku kości wpadł do lokalu z okrzykiem: „Zwyciężyliśmy, zwyciężyliśmy!”. Choć przetelefonował wcześniej wyniki, to przejechał 15 kilometrów na rowerze, bo nie był pewien, czy dobrze zrozumieliśmy jego informację. A przede wszystkim chciał się podzielić radością zwycięstwa.

Powoli sytuacja stawała się jasna, tak że mogliśmy z Danką pojechać do domu spać około trzeciej, czwartej nad ranem. Wpłynęło już ponad 30 procent informacji i poparcie kształtowało się na poziomie około 65 procent. Pełne uspokojenie przyniosła wizyta Iwa Byczewskiego w okręgowej komisji, w której był on obserwatorem z ramienia Komitetu Obywatelskiego. Kiedy przyszedł tam, zastał jedynie kilku członków komisji, kompletnie pijanych. Dla nich wyniki wyborów były zaskoczeniem i sygnałem nadciągających zmian. System zaczął się sypać.

Rano obudziliśmy się całkowicie na luzie. Pojechaliśmy do miasta. Przeszliśmy się po ulicach. Zrobiliśmy sobie pamiątkowe zdjęcia. Podziękowaliśmy współpracownikom, których mogliśmy spotkać. Złożyliśmy wizytę księdzu Stanisławowi i oczywiście pogratulowaliśmy sobie nawzajem. Następnego dnia odebraliśmy zaświadczenie z komisji wyborczej. Miło było mi przeczytać, że zostałem senatorem. Potem pożegnanie w domu państwa Niegoszów i wielka wdzięczność dla pani Marii za opiekę w tych trudnych tygodniach.

Wracaliśmy do Warszawy z Danką, Iwem i Włodkiem w świetnym nastroju. Iwo prowadził naszego wysłużonego fiata dość ostro. Złapała nas kontrola drogowa, ale jak się dowiedzieli, że jedzie świeży senator, to nas puścili i złożyli najlepsze życzenia: „Jedźcie szczęśliwie. Ale ostrożnie i nie za szybko. Bo jeszcze wiele zakrętów macie do pokonania. I wy, i cała Polska razem z wami”. Prorocze słowa.

23.

**Senat – W drodze do rządu
(VII-IX 1989)**

W

Warszawie zastałem zupełnie nową sytuację. Wyniki wyborów parlamentarnych zmieniły nie tylko scenę polityczną, ale w ogóle sytuację społeczną. My wszyscy, którzy dotąd byliśmy półlegalną opozycją i domagaliśmy się zmiany ustroju, staliśmy się nagle ludźmi władzy, mającymi współdecydować o przyszłości Polski. A więc nie tylko uzyskaliśmy nowe możliwości działania, lecz także przejęliśmy częściową odpowiedzialność za realizację żądanych reform. Musieliśmy oswoić się z nową sytuacją i przetrwać szok skali sukcesu. Nikt bowiem się go w tym wymiarze nie spodziewał.

Co prawda, przed nami była jeszcze druga tura. Jeszcze mandaty kilku naszych kolegów nie zostały przesądzone. Należało też rozwiązać problem obsadzenia mandatów z listy krajowej. Ordynacja ją stworzyła, aby PZPR mogła wpisać swoich kandydatów z najwyższej półki. Głosowano na nich w całym kraju i w celu uzyskania mandatu musieli oni uzyskać 50 procent głosów. Władze uważały, że ten warunek będzie spełniony bez żadnej wątpliwości. Nie przewidziano, co należy zrobić, jeśli ktoś z kandydatów tej liczby głosów nie otrzyma. Tymczasem bunt społeczny zaowocował powszechnym skreśleniem listy krajowej. Tylko dwie osoby uzyskały mandat, i to raczej przypadkiem. Większość ludzi skreślała całą listę jednym wielkim krzyżem, który nie obejmował nazwisk umieszczonych na końcu dwóch kolumn. Uzyskali oni mandaty, bo jak publiczność to nazwała, byli „niedokreśleni”.

Powstał impas polityczny. Nasi liderzy opozycji poszli na ugodę, zgadzając się, aby te mandaty mogły być obsadzone przez partię w drugiej turze. Opinia naszych środowisk była bardzo krytyczna wobec takiej ugodowości. Raczej żądano, aby te mandaty pozostały nieobsadzone, przez co partia dysponowałaby w Sejmie mniejszą liczbą głosów. W świetle dalszych wydarzeń sprawa okazała się nieistotna,

a uniknięcie konfrontacji w tamtym okresie było chyba słuszne. Cała władza pozostawała wciąż w ich rękach i ciągle nie było pewne, jak ją będą wykorzystywać.

Druga tura przebiegła spokojnie – Komitet Obywatelski otrzymał wszystko, co mógł uzyskać. Jedynym wyjątkiem był mandat senatorski z Piły, który uzyskał Henryk Stokłosa, przedsiębiorca mięsny i lokalny milioner. Sprawował funkcję przez wiele kadencji, aż miejscowy ruch sprzeciwu doprowadził do jego przegranej w kolejnych wyborach, a potem prokuratura wykryła wiele jego przestępstw podatkowych i gospodarczych. Karierę polityczną zakończył w więzieniu.

W istocie uzyskaliśmy więcej, niż według umowy Okrągłego Stołu mogliśmy uzyskać. Mianowicie wśród kandydatów na miejsca przyznane PZPR i jej sojusznikom znalazły się również osoby nie rekomendowane przez partie rządzące, które jakkolwiek były ich członkami, to sympatyzowały z opozycją. W rezultacie w sejmowej reprezentacji partii znalazło się wielu naszych sprzymierzeńców. Miało to istotne znaczenie w przyszłości.

W pierwszych dniach po przyjeździe do Warszawy nie bardzo wiedziałem, co robić. Poszedłem do swego Zakładu, aby z całym zespołem się spotkać, poopowiadać i poplotkować. Gadaliśmy przez dwa dni. To było cudowne móc myśleć, że wchodzimy na drogę realizacji tego, czego od prawie 10 lat się domagaliśmy. Po kilku dniach sytuacja zaczęła się klarować. Dostałem zaproszenie na pierwszy polityczny lunch od sekretarza ambasady amerykańskiej. Poznałem na nim Daniela Frieda, ówczesnego radcę politycznego ambasady, a w przyszłości ambasadora w Warszawie. 22 czerwca odbyło się posiedzenie Komitetu Obywatelskiego, poświęcone omówieniu sytuacji po wyborach. Wymaga ono przedstawienia szerszego kontekstu.

Ogłoszenie wyników Okrągłego Stołu i zapowiedź szybkich wyborów zelektryzowała społeczność. Wszędzie zaczęły się tworzyć komitety obywatelskie, w których grupowali się ci, którzy chcieli doprowadzić do zmiany sytuacji w kraju. Ich pierwszym zadaniem była organizacja kampanii wyborczej, choć nie bez wahań przyznano im status solidarnościowy. Ten szeroki entuzjazm i aktywność społeczna budziły obawy. Dało się je zaobserwować w dwóch kręgach. Z jednej strony liderzy opozycji trochę się lękali tego spontanicznego ruchu, który nie był ani kontrolowany, ani sterowany, a więc był nieprzewidywalny. Obawiano się, czy skomplikowanej rozgrywki z komunistyczną władzą nie zakłóca trudne do przewidzenia zachowania społeczne i bunty. A z drugiej strony – struktury Związku Zawodowego „Solidarność” uważały się za organy decyzyjne i traktowały komitety obywatelskie jak przybudówki, w których mogli znaleźć miejsce działacze spoza Związku, tylko po to, aby mu pomagać i wykonywać zlecane zadania. Ale komitety bardzo szybko się usamodzielniały i to one zaczęły odgrywać główną rolę w kampanii.

Kampania wyborcza miała bardzo pozytywny wpływ na stosunek elit politycznych do spraw samorządowych. Wielu liderów kandydowało poza swoim stałym

miejscem zamieszkania. Kampania doprowadziła więc, pierwszy raz na tak masową skalę, do kontaktu przedstawicieli elit z wielkich miast z Polską gminną i powiatową. Ci, którzy tę kampanię przechodzili, musieli rozmawiać z ludźmi, spotkali się, często po raz pierwszy, z problemami i ze sposobem myślenia osób spoza swojego środowiska. Musieli zbliżyć się z lokalnymi elitami, od których pomocy byli uzależnieni. Powstał znaczny kapitał wiedzy o społeczeństwie, zwiększyło się zrozumienie potrzeby odbudowy samorządności lokalnej. Z tytułu swoich zainteresowań urbanistycznych znałem kraj znacznie lepiej niż ogromna większość innych kandydatów. Ale ja także wiele się nauczyłem.

Jak grom z jasnego nieba spadła na nas decyzja Wałęsy o rozwiązaniu komitetów. Była to, moim zdaniem, decyzja fatalna w skutkach. Komitety, spontanicznie powstałe dla celów wyborczych, po zwycięstwie w wyborach uznane zostały za niepotrzebne. Murzyn zrobił swoje... Była to obrona Solidarności, lękającej się o swój prestiż i monopol i obawiającej się konkurencji. W ustroju komunistycznym społeczeństwo było zorganizowane wokół miejsc pracy, a nie wokół miejsc zamieszkania. Związki zawodowe są zainteresowane utrzymaniem tego stanu, gdyż od tego zależy ich baza polityczna, a więc i siła. Natomiast komitety obywatelskie łączyły ludzi zamieszkałych na pewnym obszarze, ale należących do różnych zawodów i zatrudnionych w różnych instytucjach. Nie łączyły ich wspólne interesy zawodowe, lecz wspólne interesy lokalne. Występowała więc sprzeczność interesów, która musiała prowadzić do konfrontacji. Komitety były wówczas skazane na przegraną.

Posiedzenie Komitetu Obywatelskiego z 22 czerwca, które miało być poświęcone omówieniu dalszych planów, zostało zmajoryzowane przez ten temat. Ukształtowały się dwa poglądy. Jedni, i ci byli w większości, mocno krytykowali decyzję o rozwiązaniu komitetów, podczas gdy inni dystansowali się od zajęcia stanowiska. Podział odzwierciedlał zróżnicowany stopień związku naszego środowiska ze społecznościami lokalnymi. Wśród intelektualistów przeważało poczucie dystansu i trochę paternalistyczny stosunek do aktywności społeczeństwa. Ja oczywiście należałem do tych pierwszych. Decyzję uważałem za złą zarówno z punktu widzenia moralnego, jak i politycznego. Zabrałem głos w dyskusji i powiedziałem Wałęsie wprost, iż uważam to za błąd, bo trzeba pamiętać, że czekają nas wybory komunalne. Wybory te wygrają komitety obywatelskie, a nie Związek. To nie podlega dyskusji. Więc Związek powinien się zastanowić, czy chce, aby je wygrały pod znakiem Solidarności, czy bez tego znaku. Przecież Solidarność powinna być zainteresowana rozwojem silnego ruchu lokalnego wokół miejsc zamieszkania, bo to jest ta druga noga, na której wesprze się w walce z pozostałościami komunizmu.

Większość komitetów przyjęła decyzję o rozwiązaniu z poczuciem krzywdy, niepokoju, rozgoryczenia. Niektóre się rozwiązały, ale na szczęście raczej nieliczne. Decyzja Wałęsy dotyczyła komitetów wojewódzkich, gdyż je uznano za zagrożenie

dla Solidarności. Komitetami lokalnymi się nie zajęto, w większości przetrwały i, jak było do przewidzenia, wygrały wybory lokalne.

Tego samego dnia wieczorem omawialiśmy tę decyzję na posiedzeniu Komisji Samorządu Terytorialnego Komitetu Obywatelskiego. Wszyscy byliśmy tego samego zdania – decyzja jest zła. Trzeba minimalizować jej skutki. Nie wolno rozwiązywać komitetów niższego szczebla, trzeba ratować to, co zostało. Członkowie Komisji stwierdzili, że komitety powinny działać nadal, gdyż dysponują znacznym autorytetem i gromadzą najaktywniejszych ludzi. Powinny się one stać zalążkiem przyszłego samorządu lokalnego. Ich zlikwidowanie oznaczałoby cofnięcie się o kilka lat. Szczególnie mocno podkreślaliśmy, że nie wolno decydować o tych sprawach centralnie, na górze, że trzeba umożliwić ludziom, aby się sami organizowali, a my powinniśmy tylko dostarczyć im materiałów szkoleniowych, informacji. Wyobrażałem sobie, że Komisja Samorządu Terytorialnego KO spełni to zadanie.

Zarysowaliśmy program pracy w nowych warunkach. Nikt w końcu czerwca 1989 roku nie spodziewał się, że w ciągu dwóch miesięcy powstanie rząd Mazowieckiego i opozycja uzyska możliwość realizacji reform, których się domagała. Spodziewano się raczej, że środowisko solidarnościowe pozostanie w opozycji i będzie dysponować ograniczonym wpływem na prace parlamentarne. Jeśli więc chciano myśleć poważnie o odbudowie samorządu, to trzeba było stworzyć odpowiednio silną presję na władze, aby je zmusić do reform ustrojowych. A do tego niezbędny był ruch społeczny. Chcieliśmy zainicjować Społeczny Ruch Samorządności Obywatelskiej. Zaczęliśmy wydawać – pod firmą Komitetu Obywatelskiego – biuletyn; wyszło sześć numerów. Zamiarem Komisji nie było jednak tworzenie nowej organizacji. Chciano nazwać po prostu zjawisko, które już istniało, i wykorzystać komitety obywatelskie, kierując i wspierając ich działalność. Nazwa była potrzebna do określenia tożsamości. Uważaliśmy, że ruch powinien rozwijać uczestnictwo społeczeństwa w sprawowaniu władzy, umożliwić lokalnym społecznościom współgospodarowanie majątkiem i zasobami miast i gmin oraz kształcić kadry gospodarcze i administracyjne kraju. Jego zadaniem miało być zintegrowanie społeczności lokalnych wokół spraw najważniejszych dla danego miasta czy gminy, włączenie się do prac obecnych rad narodowych przy wykorzystaniu ustaleń Okrągłego Stołu, a także przygotowanie społeczności lokalnych do następnych, w pełni demokratycznych wyborów.

Intencje kierownictwa Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie były jednak odmienne. Chciano, by pełnił on funkcję czapki nad lokalnymi komitetami, ale nie wypracowano wspólnej koncepcji i wkrótce pokłócono się, przedstawiając różne sprzeczne koncepcje. Próby centralizacji politycznej zostały odebrane na prowincji bardzo źle, jako zamach na lokalną autonomię. Chyba wtedy właśnie zaczęło się wytracanie tej wielkiej aktywności społecznej, tak potrzebnej reformom

i przebudowie ustroju. Stracono szansę, by ludzi utrzymać w marszu. Rozumowano w kategoriach polityki, a nie ruchu obywatelskiego. Postulowałem wielokrotnie, żeby stworzyć stowarzyszenie komitetów lokalnych, by dać impuls oddolnej akcji. Ale plany naszej komisji zupełnie nie trafiały do przekonania kierownictwu KO. Zarzucano mi, że chcę tworzyć jakąś organizację, partię, że wychodzę poza swoją dziedzinę, na teren, do którego nie jestem upoważniony. Odbijało się tu kolejny raz niezrozumienie, co to jest samorząd. Powiedziano mi wprost, że Komitet będzie się zajmować ważnymi sprawami, takimi jak kontakty ze szkołami czy z lokalnymi ośrodkami kultury. A samorząd do spraw ważnych trudno zaliczyć. Kiedy powiedziałem, że edukacja i kultura to są właśnie sprawy samorządu, spotkałem się tylko z uśmiechami. Nie dostaliśmy niezbędnego wsparcia, a w siedzibie KO przy ulicy Fredry wkrótce zabrakło dla nas miejsca. Na jesieni nasza Komisja zmarła śmiercią naturalną. Nie było już sensu działać. Ośrodek życia politycznego powoli przenosił się na Wiejską.

Zbliżał się moment inauguracji nowego parlamentu. 1 lipca odbyło się pierwsze spotkanie i ukonstytuowanie naszego klubu. Spotkaliśmy się w gronie posłów i senatorów – 260 osób. Większość to ludzie z innych miast i regionów. Wybór przewodniczącego klubu jest oczywisty. Zostaje nim Bronisław Geremek. Również nazwę Obywatelski Klub Parlamentarny (OKP) przyjęto bez sprzeciwów. Geremek wygłasza przemówienie, dość ogólnie określając cele. W tej fazie trudno dyskutować o konkretach. Nie bardzo wiemy, co nas czeka.

Następnego dnia odbyło się już bardziej robocze zebranie senatorskiej części OKP. Tu musimy rozstrzygnąć kluczowe sprawy organizacyjne i personalne: wybór marszałka i prezydium Senatu, listę komisji, ich skład i przewodniczących. Do Klubu należało 99 senatorów, a więc było oczywiste, że Senat zatwierdzi to, co postanowił OKP. Jeden pozaklubowy głos Stokłosa nie mógł niczego zmienić. Wybór profesora Stelmachowskiego na marszałka nie budził raczej wątpliwości. Trochę dyskusji było przy ustalaniu wicemarszałków i członków prezydium. Kandydaturę Andrzeja Wielowieyskiego sam zgłosiłem. Wybory przeszły sprawnie, chociaż jeden z senatorów koniecznie chciał być wybrany do prezydium i trochę mącił. Ustaliliśmy też listę komisji, znalazła się wśród nich komisja samorządu.

Tego samego dnia, w niedzielę, zorganizowaliśmy cocktail u nas w domu. Wyśleliśmy zaproszenia wykorzystujące motyw najlepszego afisza wyborczego Solidarności: „W samo południe”. Był ciepły dzień. Otworzyliśmy ogródki, nasz i Rodziców, i wszystkie pokoje. Przyszło kilkadziesiąt osób. Potrzeba spotkań i dyskusji była ogromna. Danka musiała sama wszystko przygotować, bo ja byłem na posiedzeniu klubu. Przyjechałem wraz z kilkoma innymi senatorami, kiedy już było sporo osób. Zostaliśmy bardzo żywo przywitani jako reprezentanci wyłonio-

nego w wolnych wyborach Senatu, którzy mają zmienić Polskę. Wśród gości było wiele osób odgrywających kluczową rolę – Geremek, Mazowiecki i inni.

Pierwsze plenarne posiedzenie Senatu odbyło się 4 lipca o siedemnastej. Senat nie miał własnej sali, korzystał więc początkowo z sali sejmowej. Skupiliśmy się pośrodku w niższych rzędach. Nie było aparatury elektronicznej do głosowania. Podniesione ręce liczyli sekretarze, którymi byli najmłodszy senatorowie. Nastrój był pełen powagi i poczucia odpowiedzialności. Obrady przebiegały sprawnie. Wybory nie spowodowały żadnych konfliktów.

Każdy dzień przynosił nowe wydarzenia. Wchodziliśmy na zupełnie nowe drogi. Euforia nas nie opuszczała. W poniedziałek 10 lipca odbyło się pierwsze posiedzenie senackiej Komisji Samorządu Terytorialnego. Zostałem wybrany na jej przewodniczącego. Na wiceprzewodniczącego zaproponowałem Jurka Stępnia, który uzyskał mandat senatora z Kielc. Nie mieliśmy kandydata na stanowisko sekretarza Komisji. Zgłosił swe zainteresowanie Adam Stanowski, senator z Lublina, wykładowca Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Został z aplauzem wybrany. We trójkę stanowiliśmy prezydium Komisji, odpowiedzialne za kierowanie jej pracami.

Zadanie było przed nami jedno, ale o podstawowym znaczeniu – należało spowodować podjęcie przez Senat inicjatywy ustawodawczej. Wraz z Jurkiem odbyliśmy kilka rozmów z marszałkiem Stelmachowskim. Jego specjalnością były kwestie rolnictwa, ale zajmując się wsią, rozumiał bardzo dobrze sprawy samorządowe. Zresztą prowadząc przy Okrągłym Stole obrady Zespołu ds. Rolnictwa, zadbał o to, aby w ustaleniach końcowych znalazło się zalecenie odtworzenia samorządu. Marszałek chciał jak najszybciej ustalić podstawowe kierunki prac Senatu. Fakt, iż Solidarność uzyskała przytłaczającą większość w Senacie, mając mniejszość w Sejmie i rządzie (pozostającym ciągle w rękach poprzedniej ekipy), przesądzał, że podstawowe inicjatywy ustawodawcze musiały być podejmowane przez Senat. Na koniec lipca Stelmachowski zwołał kilkudniowe posiedzenie plenarne w celu przedyskutowania możliwych inicjatyw. Ustalił trzy tematy do dyskusji: służbę zdrowia, sprawy wsi i rolnictwa oraz samorząd terytorialny. Wszystkie były ważne i wymagały szybkich działań. Odbudowa samorządu miała być dyskutowana 29 lipca. Ale zanim do tego doszło, mieliśmy dwa tygodnie pełne wydarzeń.

W nawale bieżących spraw w sposób niezauważony minęły moje urodziny. A były to urodziny sześćdziesiąte piąte. Wkraczałem w wiek emerytalny, a jednocześnie w okres największej aktywności w swoim życiu. Kiedy byłem młodszy, zawsze się zastanawiałem, co będę robić, jak przejdę na emeryturę. Teraz tych obaw się pozbyłem. Wiedziałem, że będę miał co robić jeszcze przez wiele lat. Choć wówczas nie wyobrażałem sobie ani skali zadań, których się podejmowałem, ani ilości roboty, którą będę miał do wykonania. Dziś wiem, że mi jej starczy do końca moich dni.

Wróćmy do wydarzeń z lipca 1989 roku. Tworzyły się nowe struktury państwa z udziałem dawnej opozycji, która stała się jawną siłą polityczną. Ludzie chcieli się spotykać, aby dyskutować, wymieniać informacje i plotki. Zaczęły powstawać salony polityczne, organizowane przez osoby prywatne. Nasz dobry znajomy, Andrzej Falewicz, też podjął taki zamysł. 11 lipca byliśmy z Danką po raz pierwszy u Falewiczów na Różanej. Niewielkie mieszkanie ledwie mieściło tłum przyjaciół, znajomych i nieznanym. Mnóstwo dyskusji, informacji, domysłów i prognoz, nie zawsze realnych, ale wygłaszanych z całkowitą pewnością i bez żadnych wątpliwości. Jeszcze wielokrotnie bywaliśmy w tym domu, spotykając wielu niesłychanie interesujących rozmówców. Tam poznałem Jana Nowaka-Jeziorańskiego, tam miałem też ciekawą rozmowę ze Zbigniewem Brzezińskim.

Najważniejszym wydarzeniem politycznym był wybór prezydenta. To miał być nowy urząd. Jako jedyny kandydował generał Jaruzelski. Zostało to nieformalnie uzgodnione w rozmowach opozycji z władzami. 17 lipca odbyło się jego przesłuchanie na posiedzeniu OKP. Wykazywał wolę koncyliacji i współpracy ze wszystkimi opcjami politycznymi. Mimo to ani mnie, ani wielu moich kolegów nie przekonał do siebie. Stanowił dla nas symbol władzy wrogiej, która słabła i chyliła się ku upadkowi, ale była nadal stroną nieprzyjacielską.

Dwa dni później zebrało się Zgromadzenie Narodowe, czyli wspólne posiedzenie Sejmu i Senatu. Tłoczyliśmy się na sali sejmowej, na której trzeba było dodatkowo pomieścić 100 senatorów. Zaraz zaczęły się ciche rozmowy na temat głosowania. Zgromadzenie Narodowe składało się z 560 osób – 100 senatorów i 460 posłów. Do wyboru potrzeba więc było 280 głosów. OKP miał 260 członków, a wcale nie było jasne, czy wszyscy posłowie z partii koalicji rządowej, a nawet z PZPR, będą popierać Jaruzelskiego. Nasze stanowisko było więc istotne. Za czy przeciw? Argumentacje przedstawiano różne. Oczywiście, zasadniczo byliśmy wszyscy przeciw. Ale czy ze względów taktycznych byłoby rozsądne odrzucić tę kandydaturę? Oznaczałoby to wejście na ścieżkę wojenną z dotychczasową władzą, bo Jaruzelski miał być gwarantem ewolucyjnego charakteru przemian. Władze komunistyczne nadal sprawowały rzeczywistą władzę w kraju. Myśmy mieli jedynie mandat społeczny, ale żadnej siły. Naszą siłą była wyłącznie słabość strony przeciwnej, która zdawała sobie sprawę z konieczności porozumienia. Ale miała jeszcze dostateczną siłę, aby nas po prostu rozgonić, jeśli by poczuła się bardzo zagrożona. Dlatego rozumiem decyzję kierownictwa OKP, aby Jaruzelskiego wybrać. To było bezpieczniejsze.

Andrzej Wielowieyski chodził i po cichu zbierał informacje, kto będzie jak głosować. Ja nie miałem wątpliwości. Głosowałem przeciw – nie mogłem go poprzeć ze względów pryncypialnych. Niech inni robią politykę – ja, nie należąc do gre-

miów kierowniczych, byłem od tego zwolniony. Mogłem głosować według własnego przekonania.

Głosowanie było tajne, ale imienne. Podchodziliśmy wywoływani według alfabety do urny i wrzucaliśmy głosy. Potem publicznie liczono głosy. Tłoczyliśmy się jeden koło drugiego, aby nad głowami innych patrzeć na ręce skrutatorów i obserwować rosnące dwie kupki głosów. Na tak i na nie. Rosły równo i trudno było przewidzieć wynik. Potem zaczęło się liczenie. Kilkakrotne przez różnych ludzi. Aż ogłoszono wynik: Jaruzelski wygrał, otrzymując najmniejszą z możliwych liczbę głosów. Zaczęto zaraz kwestionować wynik. Czy większość to po prostu więcej „za” niż „przeciw”, czy też większość to połowa plus jeden?

Przy przyjęciu drugiego wariantu wybór nie był jasny, bo liczba głosów wyszła nieparzysta. Odbyło się nawet jakieś idiotyczne głosowanie, żeby rozstrzygnąć, co to jest większość, jakby to nie było oczywiste nawet dla uczniów szkoły podstawowej.

Jaruzelski wygrał, bo kilku członków OKP głosowało za nim albo wstrzymało się od głosu. Andrzej Wielowieyski dobrze wszystko wyliczył – uzyskano wynik po prostu idealny. Jaruzelski został prezydentem, ale opozycja pokazała, że trzeba się z nią poważnie liczyć. Sądzę, że ten wynik wyborów prezydenckich uświadomił władcom z PZPR ich słabość i poważnie zaważył na dalszym ciągu wydarzeń.

Jeszcze na początku lipca ukazał się artykuł Adama Michnika *Wasz prezydent, nasz premier*. Wzbudził on ogromne emocje. Możliwość przejęcia władzy nie mieściła się jeszcze w głowach większości z nas. Ja i wielu moich kolegów czuliśmy się związani ustaleniami Okrągłego Stołu i zupełnie nieprzygotowani do objęcia władzy. Nawet w budynku Sejmu jeszcze się nie zadomowiliśmy, a cóż dopiero mówić o administracji państwa. Stąd wybuch krytyki: „Co ten Adam wypisuje, na co nas naraża? Przecież realna władza jest w rękach komunistów, oni na pewno nie będą chcieli jej oddać. Krucho stabilizacja osiągnięta po wyborach może pęknąć i nas zatopić”. Ale okazało się, że Adam myślał, wyprzedzając wydarzenia, i miał lepszą od nas wiedzę o nastrojach panujących w kręgach władzy. Komuniści zaczęli zdawać sobie sprawę ze swoich ograniczonych możliwości. Wyznaczenie przez Jaruzelskiego Kiszczaka na premiera było ostatnią próbą utrzymania władzy. Ja i moi koledzy nie interesowaliśmy się tym. Sądziliśmy, że Kiszczak skompletuje rząd. Przecież koalicja dawnych partii dysponowała większością w Sejmie. Zastanawialiśmy się jedynie, jak z tym rządem będzie można przeprowadzić reformy.

Tymczasem pilnowaliśmy, aby Senat podjął inicjatywę w sprawie samorządu. Debata na temat możliwych inicjatyw odbyła się w Senacie w końcu lipca. Rozpatrywano trzy możliwości: służba zdrowia, wieś i rolnictwo, samorząd terytorialny. 29 lipca w imieniu Komisji Samorządu Terytorialnego przedstawiłem tezy będące powtórzeniem tez prezentowanych przy Okrągłym Stole. W ławach rządowych siedział szef Urzędu Rady Ministrów, generał Janiszewski, bliski współpracownik Ja-

ruzelskiego i dawny członek samozwańczej Wojskowej Rady Ocalenia Narodowego z lat stanu wojennego. Dotychczas widywałem go tylko w telewizji. Tym razem wchodziliśmy w bezpośrednią konfrontację.

Konieczność odbudowy samorządu terytorialnego uzasadniałem względami politycznymi („Bez demokracji lokalnej nie może być demokracji ogólnokrajowej”), społecznymi („konieczność organizowania się społeczeństw [...] wokół miejsca zamieszkania to wyzwalanie inicjatyw społecznych, tworzenie więzi sąsiedzkich”), gospodarczymi („nie ma gospodarności bez kontroli społecznej”) i ekologicznymi („Ochrona środowiska nie jest możliwa bez aktywnego uczestnictwa ludności”). Dowodziłem, że Polska potrzebuje zmian, ale „od 10 lat natrafiamy na opór ze strony władz”, a dotychczasowe pseudoreformy to były „próby cerowania rozpadającego się systemu”. Stwierdziłem, że opór ówczesnych władz wynikał z istnienia kilku barier o różnym charakterze. Pierwsza – ideologiczna, której wyrazem była zasada jednolitej władzy państwowej. Druga wynikała ze sposobu pełnienia władzy, który się sprowadzał do bezpośredniej ingerencji organów partii w sprawy lokalne, z pominięciem społeczności miejscowych. Trzecią stanowiła obawa przed demokracją, która ujawni naturalny ludzki sprzeciw wobec komunizmu. „Nie jest naszą winą, że w Polsce ludzie nie lubią socjalizmu. Jeśli socjalizm jest właściwym ustrojem [...], to nie trzeba się bać opinii ludzi, a jeśli niedobrym, to go trzeba zmienić”. Czwartą barierę stanowiła hegemonia administracji, która się uniezależniła od organów wybieralnych. Piątą tworzyły lokalne interesy grupowe, których wytworem są układy mafijne.

W imieniu Komisji postulowałem, aby uznać, że samorząd terytorialny jest związkiem ludzi zamieszkujących dany obszar. Ale – podkreślałem – samorząd może być związkiem tylko wolnych ludzi.

Ludzi, którzy nie są ograniczani w swych podstawowych prawach. Samorządy miast i wsi to samodzielne jednostki, działające w ramach struktur państwa, ale odrębne od administracji państwowej. Partie polityczne nie mogą w sposób władczy ingerować w działalność samorządu. Programy polityczne mogą być reprezentowane jedynie przez członków partii, którzy w wolnych wyborach zostaną wybrani na radnych. Dowodziłem, że samorządy muszą mieć własne organy wykonawcze, niezależne od administracji rządowej. Samorządy, jako osoby prawne, powinny posiadać własne mienie i prawo do samodzielnego decydowania o wykorzystaniu środków, które będą w ich dyspozycji. Lokalną gospodarkę budżetową ma kontrolować nie ministerstwo, ale organ fachowy, złożony z przedstawicieli państwa i samorządu. Rozstrzyganie nieuniknionych sporów między administracją państwową a samorządami lokalnymi powinno należeć do sądów.

Domagałem się, aby w ramach struktury rządu był stworzony organ, który realizuje reformy. Nie przypuszczałem, że już niedługo stanę na jego czele. W zakończeniu stwierdziłem, że Komisja nie chce wymyślać nowego ustroju. To społeczeństwo

zdecyduje, jakiego chce i jaki będzie zdolne wytworzyć. Ale trzeba ludziom umożliwić działanie. Zadaniem legislatorów jest usunięcie tych barier, które do tej pory to działanie uniemożliwiały.

Po moim wystąpieniu odbyła się poważna debata. Przemawiający w imieniu rządu generał Janiszewski skoncentrował się na polemice z naszymi żądaniami skrócenia kadencji wybranych w 1988 roku rad narodowych. Chodziło mu o przedłużenie okresu sprawowania władzy przez osoby namaszczone przez PZPR. Dla nas było oczywiste, że dotychczasowe rady narodowe należy możliwie szybko zastąpić radami wybranymi demokratycznie. Janiszewski argumentował, że nie wolno marnować potencjału i zapału ludzi i że nie wolno ich w czambuł potępiać. Była to kolejna próba odsunięcia reform, które mogły zagrozić ustrojowi. Ostro replikowałem, stwierdzając, iż nie jest winą obecnych radnych, że ich wprowadzono w antydemokratyczny system. Mówiłem wyraźnie, że mamy pretensje nie do ludzi, ale do systemu.

Senat przyjął uchwałę o podjęciu inicjatywy ustawodawczej w sprawie przygotowania nowych regulacji prawnych dotyczących samorządu terytorialnego oraz zobowiązał Komisję Samorządu Terytorialnego do rozpoczęcia odpowiednich prac. Był to dla nas wielki dzień. Do sukcesu przyczynił się nasz protokół rozbieżności z obrad Okrągłego Stołu, gdyż nie zawarto tam żadnego kompromisu, który teraz trzeba byłoby respektować. Mogliśmy otwarcie żądać realizacji tego, co uważaliśmy za słuszne. Dodatkową satysfakcją sprawiał nam fakt, że po raz pierwszy wygraliśmy z przedstawicielami władzy. Do tej pory byliśmy zmuszani do stosowania się do ich decyzji. Tym razem Janiszewski musiał milcząco przyjąć do wiadomości, że to przedstawiciele dawnej opozycji dyktują warunki.

Jeszcze raz uwidoczniła się rola naszych prawie dziesięcioletnich studiów nad przygotowaniem reform. Wiedzieliśmy, co trzeba zrobić, i Senat mógł zatwierdzić nasz program. Niestety, w pozostałych dwóch dyskutowanych kwestiach sytuacja była inna. Wszyscy wiedzieli, że coś w sprawach służby zdrowia i rolnictwa trzeba zrobić. Ale nikt nie bardzo wiedział co. Stąd dyskusje nie mogły się zakończyć żadnymi ustaleniami ani inicjatywami ustawodawczymi. Ustalono jedynie, że trzeba nadal dyskutować i poszukiwać rozwiązań. I tak zostało na następne lata, a raczej dekady.

W połowie lipca przyjechała do Warszawy kolejny raz moja córka Joanna. Właśnie przygotowywałem się do wystąpienia w Senacie. Miałem już pewność, że reformę będziemy organizować. Opowiedziałem jej też o swoich kłopotach z Komitetem Obywatelskim i brakiem pomocy z jego strony. Na to ona mówi: „No to powinniście stworzyć organizację pozarządową”. A ja się pytam: „Co to takiego?”. Pierwszy raz usłyszałem tę nazwę. Bo jak w komunizmie miałem się dowiedzieć, co to jest organizacja obywatelska? Córka zrobiła mi mały wykład. „A skąd weź-

miemy pieniądze? Kto nam je da?” – pytam dalej. „Jak to kto? Amerykanie!” – odparła. Skontaktowałem się z panem Snellem z ambasady. Odpowiedzią było zaproszenie do ambasadora Daviesa i obietnica pomocy.

Postanowiliśmy więc organizację stworzyć. Poprosiłem swego przyjaciela i kolegę szkolnego, prawnika Zygmunta Rakowieckiego, o napisanie statutu. Nie było to łatwe, bo nie mieliśmy żadnych wzorów. Przyjęliśmy początkowo, że założyciele będą stanowić zarząd Fundacji, a nad nimi będzie czuwać rada złożona z ludzi zaufania publicznego. Ale życie pokazało, że taka rada funkcjonować nie będzie. Na pierwsze zebranie, po wielkich trudnościach, ściągnąłem połowę członków. Drugiego zebrania nie byłem już w stanie zorganizować. Nikt nie miał czasu.

Zdecydowaliśmy, że założycielami będą parlamentarzyści, aby wzmocnić prestiż nowej organizacji. Było mi trochę przykro, że w tej grupie nie ma kolegów ze wspólnych prac w okresie PRL. Ale chodziło o prestiż. Zwróciłem się w pierwszej kolejności do Jurka Stępnia i Walerka Pańki, bo oni byli na bieżąco zaangażowani w nasze prace. Zaprosiłem też Andrzeja Celińskiego, z którym byłem zaprzyjaźniony od chwili, gdy jako jedyny zgłosił się do komisji samorządu na pierwszym posiedzeniu Komitetu Obywatelskiego. Andrzej był dla mnie cennym przewodnikiem w środowisku dawnych opozycjonistów. Zwróciłem się także do Aleksandra Paszyńskiego, który uzyskał mandat senatora. Olka znałem już ze 30 lat ze wspólnych prac związanych z planowaniem przestrzennym. Ale najważniejsze było przekonanie, że on pomoże nam w sprawach administracji i finansów. Ani ja, ani inni założyciele na nich się nie znaliśmy. Tak się ukonstytuowała nasza grupa założycielska. Ja byłem naturalnym liderem. Jako mego zastępcę wybrano Walerka Pańkę. Później zastąpił go w tej roli Jurek Stępień.

Nie bardzo wierzyliśmy jeszcze we własne zdolności utworzenia mocnej organizacji. Adama Kowalewskiego i Michała Kuleszę wciągnęliśmy do Rady Programowej. Pierwszy z nich objął jej przewodnictwo. Na dyrektora fundacji powołaliśmy Krzysztofa Herbsta, socjologa zajmującego się sprawami urbanistycznymi, z którym znałem się od wielu lat. Krzysztof potrafił stworzyć wokół siebie grupę aktywistów, którzy chcieli się zaangażować w odbudowę samorządu.

Fundacja Rozwoju Demokracji Lokalnej (FRDL) formalnie powstała 18 września 1989 roku, gdy w gabinecie marszałka Stelmachowskiego podpisaliśmy akt notarialny. Obecnych było oprócz założycieli jeszcze ze 20–30 osób. Mieliśmy poczucie tworzenia bazy dla przeprowadzenia zmian w kraju. Ten zamiar w dużej części został spełniony.

Sierpień zaczął się od obchodów rocznicy powstania warszawskiego, które silnie przeżyłem. Najpierw było posiedzenie Senatu, na którym podjęliśmy odpowiednią uchwałę. Wieczorem wszyscy – senatorowie – pojechaliśmy specjalnymi autobusami

na Powązki. Już zmierzchało. Pały się wszędzie świece. Tłum ludzi. W szeregu przechodziliśmy od grobu do grobu, od kwatery do kwatery. Rozpoznano nas natychmiast. Szliśmy wśród braw i okrzyków. Widziano w nas tych, którzy przyniosą zmiany i wyzwolą kraj. Ze zdwojoną siłą wróciło znane mi z kampanii wyborczej poczucie odpowiedzialności i jednocześnie pytanie, czy będziemy zdolni do spełnienia tych oczekiwań i nadziei, które z nami wiązano. Ale teraz już tam nie chodzę. Nie chcę sobie psuć tamtych wspomnień ani być świadkiem niszczenia pamięci i tradycji przez oszołomów, którzy się dziś mienią patriotami.

Postanowiliśmy z Danką wyjechać gdzieś na kilka dni. Pojechaliśmy do Tuczna, starego zamku na Pomorzu, który służył jako dom wypoczynkowy Stowarzyszeniu Architektów. Dostaliśmy apartament reprezentacyjny i traktowano nas jako VIP-ów. A myśmy chcieli tylko wypoczywać. Uciekaliśmy więc samochodem do lasu, byle dalej od ludzi, i przemierzaliśmy go kilometrowymi spacerami. Chcieliśmy być sami. Ostatni okres straszliwie zmęczył nas oboje. Ja uczestniczyłem w wydarzeniach publicznych, ale to było możliwe tylko dlatego, że Danką była ze mną. Ona prowadziła dom i tworzyła zaplecze, bez którego takiej działalności prowadzić się nie da. Stanowiła dla mnie oparcie w ciężkich momentach, gdy napięcie uniemożliwiało rozsądne rozumowanie. Dzięki jej mądrym radom uniknąłem wielu pomyłek. Danką ma nieprawdopodobny zmysł obserwacji i kojarzenia różnych zachowań i wydarzeń. Zazdroszczę jej pamięci do ludzi, ich twarzy i nazwisk, a także do różnych faktów z przeszłości.

Nawet w Tucznie nie mogłem jednak uciec od samorządów. Zaraz zostałem zaproszony do lokalnego komitetu obywatelskiego, prowadzonego przez miejscowego agronoma. Musiałem też pojechać do Piły na zaproszenie senatora Nowickiego, który chciał wzmocnić swoją pozycję. W Tucznie doszła nas wiadomość, że premierem ma zostać Mazowiecki. Było to dla mnie zaskoczenie. Tak jak większość, spodziewaliśmy się, że zostanie nim Geremek.

Porażka Kiszczaka i decyzja o desygnowaniu Mazowieckiego na premiera wywracały dotychczasowy układ do góry nogami. Obszar możliwych działań dawnej opozycji rozszerzał się dramatycznie. Teraz to już będzie nie tylko Senat i kawałek Sejmu, lecz także rząd i administracja państwowa. Rodziły się też problemy. Dawni opozycjoniści, przyzwyczajeni do walki z państwem i do stawiania żądań, musieli się dostosować do pracy parlamentarnej i rządowej, na rzecz wzmocnienia i przebudowy tego nielubianego państwa. Prace legislacyjne mogły być traktowane jako przedłużenie formułowania postulatów, a Sejm stanowił również platformę walki politycznej. Ale opozycyjna mentalność i przyzwyczajenia zupełnie nie pasowały do pracy w rządzie i administracji. Tam się nie walczyło z państwem, tam się nim zarządzało. Bo to państwo stawało się państwem własnym, a nie wrogim. To była zasadnicza różnica, do której nie wszyscy zdołali się dostosować. Istnieje stare po-

wiedzenie, że rewolucja zjada swoje dzieci. Nasza bezkrwawa rewolucja nie obcinała głów. Ale stwarzając nowe warunki, zmuszała do głębokiej przebudowy sposobu myślenia.

Stało się jasne, że podstawowym obszarem działalności reformatorskiej stanie się rząd. Już poprzednio domagałem się w imieniu komisji senackiej utworzenia odpowiedniego organu w jego ramach. Teraz trzeba było zadbać, żeby to zostało zrealizowane.

Odbudowa samorządu miała już swoje miejsce w programach politycznych. Obejmując stanowisko premiera, Tadeusz Mazowiecki w swoim parlamentarnym exposé 24 sierpnia potwierdził konieczność dokonania odbudowy samorządu terytorialnego i zapowiedział powołanie w tym celu ministra bez teki lub sekretarza stanu. Na spotkaniu z Obywatelskim Klubem Parlamentarnym premier Mazowiecki, przedstawiając kandydatów do rządu, powiedział, że jeśli chodzi o sprawy samorządu terytorialnego, kandydat wydaje się oczywisty i znany, ale ponieważ nie przeprowadził z nim jeszcze rozmowy, nie chce na razie wymieniać nazwiska. Wiadomo było, że chodzi o mnie. Dostawałem gratulacje, ale formalnej propozycji wciąż nie miałem. Zaczął się okres zawieszenia. Wiedziałem, że obejmę jakieś stanowisko rządowe, ale nie wiedziałem jakie ani kiedy. Ludzie już mnie traktowali jak członka rządu, a ja nie wiedziałem, jak się zachowywać. Nie mogłem się oderwać od myśli, że trzeba coś zrobić, i to szybko, ale nic nie mogłem zrobić. Było mi strasznie głupio, bo czas płynął, a nic się w tej sprawie nie działo.

Musiałem nauczyć się być cierpliwym. To trudna umiejętność, ale konieczna w polityce. Każde wydarzenie ma swój czas. Nie może się zdarzyć ani wcześniej, ani później. Trzeba umieć wyczekać na właściwą chwilę. Skoncentrowałem się więc na tych sprawach, które i tak trzeba było załatwić. Za jedną z najważniejszych uważałem realizację naszej koncepcji tworzenia społecznego ruchu na rzecz samorządu. W Wielkopolsce powstała myśl zorganizowania spotkania przedstawicieli komitetów obywatelskich z gmin wokół Poznania, aby wspólnie rozmawiać o przyszłym samorządzie. Uważałem to za bardzo cenną inicjatywę, bo należało ludziom uświadamić, że reforma będzie i że do niej trzeba się przygotowywać. Należało im umożliwić poznanie się, aby poczuli więź i siłę wspólnego działania. 5 września odbyło się spotkanie w Szamotułach. Byłem na nim, z ogromną radością i nadzieją rozmawiając z ludźmi, którzy uwierzyli w możliwość przebudowy państwa i poważnie się do tego zabierali. Postanowiono zwołać następny zjazd w Koninie. Tamtejsi senatorowie Niewiarowski i Brzeziński podjęli się organizacji. Szczególną rolę odegrała pani Brzezińska, miejscowa aktywistka opozycyjna. Sukces był ogromny. Przyjechali przedstawiciele z 10 województw. Nawet był jeden samochód z Podkarpacia. A trzeba pamiętać, że ludzie ci w większości przyjeżdżali za własne pieniądze i z własnej woli. Dwa dni dyskusji przyniosły poważne efekty.

Jeszcze kilka lat później uczestnicy tego zjazdu, którzy zajmowali różne stanowiska w samorządzie, mówili mi, że właśnie wtedy dowiedzieli się, co to jest samorząd, i połknęli tego bakcyła, który zmienił im życie.

Podobny zjazd odbył się 7 października w Fajslawicach pod Lublinem. To była sławna gmina. Jeszcze w 1984 roku jeden z rolników, którego partia wyznaczyła do komisji wyborczej, zakwestionował tam sposób przeprowadzenia głosowania. Członkowie komisji głosowali w imieniu nieobecnych mężów czy kuzynów. Mimo szykan i szantaży ze strony Służby Bezpieczeństwa podtrzymywał swoje zeznania i swój sprzeciw. Oparł się próbom przekupstwa – obiecywano mu przydział traktora czy kombajnu. Sąd Najwyższy był w końcu zmuszony przyznać mu rację i nakazać powtórne wybory. W niczym to nie zmieniło ich wyników, ale sam fakt, że można wygrać z miejscowymi ubekami, oznaczał krok na drodze ku wyzwoleniu się z ogólnej niemocy. Fajslawice stały się symbolem walki z komunizmem na wsi, walki prowadzonej w sposób legalny, z wykorzystaniem instytucji publicznych. Liderem był tu Janusz Stępiak, przewodniczący rady gminnej, a obecnie senator i członek senackiej komisji samorządowej. Później mieliśmy jeszcze zjazd komitetów w Zielonej Górze. A potem już nadszedł czas wprowadzania w życie rzeczywistych zmian.

Fundacja Rozwoju Demokracji Lokalnej organizowała się szybko. Na początek były dwie podstawowe trudności do pokonania – brak pieniędzy i brak lokalu. A właściwie brak wszystkiego. Jedyнным naszym kapitałem było 100 dolarów, które pewnego dnia przyniosła mi Anna Trzeciakowska, mówiąc: „Ktoś mi dał te pieniądze, żebym z nich zrobiła dobry użytek. Mam nadzieję, że ty je właściwie wydasz”. Wydaje się, że został z nich zrobiony dobry użytek, gdy porówna się te 100 dolarów z aktualnymi budżetami Fundacji, których wartość sięga kilkunastu milionów dolarów rocznie.

Pierwszy grant dla Fundacji dostałem z British Batory Fund, angielskiej fundacji George’a Sorosa. Było to 5 tysięcy funtów, niebotyczna suma w tamtych warunkach. Zaraz potem dostaliśmy poważniejszy grant od Amerykanów z National Endowment for Democracy – 42 tysiące dolarów. Potem poszły następne. Rozwiązał się także problem lokalu. W końcu września zmarła macocha Danki, którą opiekowaliśmy się w ostatnich latach jej życia. W testamencie zapisała Dance swoją kawalerkę na Wspólnej. Danką natychmiast dała ją do dyspozycji Fundacji. Tam też zaczęła ona działać, ku coraz większemu utrapieniu sąsiadów, bo duża część akcji przenosiła się na klatkę schodową, którą często trudno było przejść.

Możliwość odbudowy samorządu w Polsce wzbudziła zainteresowanie w wielu krajach. To było charakterystyczne, że wagę samorządu rozumiały lepiej kraje o ustabilizowanej demokracji, gdzie lokalną samorządność traktowano jako pod-

stawę ładu demokratycznego. Oni doceniali jej znaczenie znacznie bardziej niż nasi dawni opozycjoniści. Zaraz po exposé premiera zaczęły się do mnie telefony z różnych ambasad. Już od września znajduję w swoim kalendarzu nazwiska osób, które stały się moimi przyjaciółmi i które odegrały wielką rolę, pomagając naszym reformom. Muszę tu wymienić dwa nazwiska. Po pierwsze, Steve Dubrow, Amerykanin, szef American Information Agency w ambasadzie. Po wtóre zaś Gordon Wetherell, numer drugi w ambasadzie brytyjskiej. Myślę, że zaangażowanie tych osób przekraczało ich obowiązki służbowe. Byli przyjaciółmi polskich reform i im chcieli służyć. Zgłosiła się też ambasada Francji. Również Szwajcarzy wykazali gotowość pomocy. Z Duńczykami, Holendrami czy Szwedami miałem już kontakty wcześniej. Gdy objąłem funkcje rządowe, mogłem z tej pomocy zacząć korzystać i dzięki niej uzyskiwać istotną pomoc dla naszych społeczności lokalnych.

W ciągu trzech tygodni od powołania premier skompletował swój gabinet. Z prywatnych przecieków dowiadywałem się, że stanowisko osoby odpowiedzialnej za reformę samorządową nie będzie stanowiskiem ministerialnym, że premier rozważy usytuowanie pełnomocnika nie w Urzędzie Rady Ministrów, lecz w ramach Ministerstwa Gospodarki Przestrzennej i Budownictwa. Istniało tam wolne stanowisko sekretarza stanu, a gospodarka przestrzenna w jakiś sposób łączy się z polityką regionalną kraju. Byłoby to rozwiązanie bardzo niekorzystne dla sprawy. Z pozycji jednego z ministerstw nie można zrealizować reformy, która dotyczy zakresu działania wielu innych resortów. Walerian Pańko i ja postanowiliśmy interweniować. Napisałem notatkę do premiera, w której alarmowaliśmy, że to nie jest dobre rozwiązanie. Poskutkowało.

Któregoś dnia, przechodząc przez kawiarnię w Sejmie, Andrzej Wielowieyski zapytał mnie, czy znam Waldka Kuczyńskiego, który jest głównym doradcą Mazowieckiego w sprawie obsady resortów. Powiedziałem, że nie, a on mówi: „To go poznaj. Właśnie tam siedzi”. Podszedłem, przedstawiłem się i powiedziałem, że interesuje mnie sprawa usytuowania osoby odpowiedzialnej za odtworzenie samorządu. Ze zdziwieniem stwierdziłem, że jego ta sprawa zupełnie nie interesuje i nie tylko nie ma poglądu, ale nawet nie chce go mieć. Do tego braku zainteresowania przyznał się sam kilka lat potem w swoich wspomnieniach pod symptomatycznym tytułem Zwierzenia zausznika. W zwierzeniach tych, opisujących cały okres działania rządu Mazowieckiego, zupełnie odcina się od reformy samorządowej, mówiąc, że to nie jego sprawa i że tym się nie interesował. Ten brak zainteresowania poważnie zaciążył na przekształceniach własnościowych na niekorzyść władz samorządowych. Kuczyński był wtedy ministrem od tych przekształceń.

12 września premier przedstawił program i skład rządu. W natłoku ministrów bez teki, których trzeba było powołać ze względu na to, iż gabinet był wynikiem kontraktu politycznego, o samorządzie terytorialnym zapomniano.

W tym czasie przekazałem premierowi notatkę przedstawiającą podstawowe problemy związane z budową samorządu terytorialnego. Chodziło mi o to, aby lepiej zrozumiał zakres reformy i aby wziął go pod uwagę w swoich zamierzeniach. Napisałem, że odbudowa samorządu wymaga podstawowych działań w trzech sferach życia publicznego:

1. legislacyjnej, gdyż dotyczy zmiany ustroju;
2. społecznej, gdyż konieczne jest przygotowanie społeczeństwa do nowych zadań i do odpowiedzialności;
3. instytucjonalnej, gdyż trzeba będzie przebudować istniejące struktury administracyjne i gospodarcze.

Zmiany ustroju prawnego były oczywiste, tylko mało kto zdawał sobie sprawę z ich zakresu, który dotyczył praktycznie wszystkiego. Drugie działanie to przygotowanie społeczeństwa do nowych zadań i do odpowiedzialności, a więc głównie rozwijanie ruchu samorządności obywatelskiej, który powinien objąć miejskie i gminne komitety obywatelskie. Wymagało to wielkiej akcji, która powinna objąć kilkaset tysięcy ludzi bezpośrednio zaangażowanych, ale także całe społeczeństwo. Ostatni temat tej notatki to gruntowna przebudowa struktur instytucjonalnych państwa. Wprowadzenie samorządu zmienia organizację państwa, wymaga gruntownej przebudowy administracji terenowej, kształcenia kadr, inicjowania studiów i ekspertyz. W dotychczasowej strukturze rządu problemy samorządu były podzielone między wiele resortów.

Kiedy dziś czytam ten tekst, dziwię się, jak bardzo byłem przewidujący. Gdyby w większej części udało się zrealizować moje postulaty dotyczące przygotowania społeczeństwa do samorządności, to uniknęlibyśmy wielu dzisiejszych kłopotów. Niestety, nie było wystarczającej woli politycznej, aby je zrealizować.

Przedłożyłem notatkę i czekałem, trudno powiedzieć, że spokojnie. Byłem jakby zawieszony w próżni, a jednocześnie podekscytowany możliwościami. Omawiałem z kolegami parlamentarzystami sprawę mojego ewentualnego udziału w administracji. Wielu z nich przestrzegało mnie przed przyjęciem takiej propozycji. Dawne środowisko opozycyjne było ciągle nastawione na działalność społeczną, spontaniczną, a nie instytucjonalną. Okazało się, jak trudno ludzie z doświadczeniami w pracy opozycyjnej, często konspiracyjnej, adaptują się do pracy konstruktywnej, instytucjonalnej, w sumie – administracyjnej. Państwo i jego administracja jawiły się im jako siły wrogie, którym należy się przeciwstawiać, a w żadnym wypadku nie można mieć do nich zaufania.

Rozmawiałem również o tym z Bronkiem Geremkiem. Bronek był naszym niekwestionowanym liderem, on rozdawał karty. Ku mojemu zdziwieniu przestrzegał mnie przed wejściem do rządu i bardzo mi to odradzał. Ta rozmowa zasygnalizowała

pewne różnice w myśleniu między mną a Bronkiem, które później dawały o sobie znać wielokrotnie. Zastanawiałem się, dlaczego wówczas zajął takie stanowisko. Może chciał utrzymać kierownictwo reform w gestii OKP, a więc w parlamencie? A może miał innego kandydata na tę funkcję w rządzie? Na te pytania nie znalazłem nigdy odpowiedzi.

Wkrótce po tym miałem z Bronkiem następną konfrontację, chociaż przez ostatnie miesiące się zbliżyliśmy, przeszliśmy na ty. W niedługim czasie po utworzeniu Fundacji zaprosił mnie na rozmowę i zapytał, jaki jest sens jej utworzenia. Czy zamierzam tworzyć nową partię, czy zamierzam budować jakąś siłę polityczną? Byłem zaskoczony. Chciałem zreformować państwo, utworzyć samorząd i do tego były potrzebne narzędzia. Fundacja stwarzała niektóre z nich. Czułem się też poruszony podejrzeniem o jakąś nielojalność. Bronka szanowałem, zawsze o wszystkim informowałem i nigdy mi w głowie nawet nie powstała myśl jakiegokolwiek frondy. Mając jasno określony cel, oczekiwałem pomocy w jego realizacji, podkreślając gotowość swojej pomocy w realizacji innych celów OKP. Ale nie nadawałem się do dworu, którym był otoczony. Ja byłem sporo starszy od Bronka i marzyłem o ustanowieniu stosunków partnerskich, z pełnym uszanowaniem jego przywództwa. Bronek zaproponował, abym Fundację podporządkował Komitetowi Obywatelskiemu. Stanowczo zaprotestowałem. Widziałem, jak funkcjonuje Komitet. Było jasne, że takie rozwiązania uniemożliwiłyby Fundacji realizację celów, do których została powołana. Zasłoniłem się niemożnością dokonania tego w świetle naszego statutu. Ale tylko dzięki temu istnieje. Geremek wkrótce powołał Fundację Solidarności, ściśle powtarzając wzór naszej. Jednak niedługo potem Wałęsa zwolnił Geremka z przewodnictwa Komitetu Obywatelskiego i dość brutalnie wyrzucił Wujca. Fundacja Solidarności wraz z Komitetem poszła w inne ręce i wkrótce umarła śmiercią naturalną. A nasza Fundacja nie tylko przeżyła, ale i nieźle się rozwinęła. Moi amerykańscy przyjaciele wielokrotnie mówili, że jestem *goal-oriented*. Rzeczywiście – jak sobie wyznaczę cel, to do niego dążę wszelkimi siłami. Jeśli więc wówczas byłem zdecydowany podjąć wyzwanie, to w takich przypadkach żadne rady, nawet osób, do których mam zaufanie, nie mogły mnie odwieść od celu. Niekiedy jestem uparty i wierzę sobie więcej niż innym. Ale gdybym taki nie był, to pewnie nie zrobiłbym tego, co mi się zrobić udało.

Czas włócił się niemiłosiernie. Nie mogłem się doczekać telefonu. W końcu zadzwonił 20 września wieczorem. „Pan premier prosi na rozmowę” – usłyszałem głos sekretarki. Rozmowa z Mazowieckim stanowiła przeżycie emocjonalne. Byłem wtedy po raz pierwszy w gabinecie premiera, który to gabinet nie zmienił się od czasów Bieruta. Mazowiecki przyniósł tam ze sobą tylko jeden drobiazg osobisty – rysunek Don Kichota z dedykacją. Jak zawsze, niesłychanie elegancki, miły, sympatyczny, zaproponował mi stanowisko podsekretarza stanu i pełnomocnika rządu. „Do-

maga się pan samorządu w Polsce, to proszę go zbudować” – powiedział do mnie. Była to propozycja z rodzaju tych nie do odrzucenia. A raczej zlecenie zadania, chociaż przedstawione w wybitnie przyjacielskiej i kurtuazyjnej formie.

W dalszej części rozmowy uczestniczył Jacek Ambroziak, ówczesny szef Urzędu Rady Ministrów. To stanowisko miało być usytuowane w ramach jego urzędu. Przyjmując funkcję, którą premier zaproponował, od razu zgłosiłem zastrzeżenia. Przede wszystkim jako pełnomocnik rządu powinienem podlegać premierowi, a nie szefowi URM. Urząd powinien mi tylko zapewnić obsługę biurową. A więc moje biuro ma się znajdować w strukturze URM, ale ja sam, piastując wyodrębniony urząd, powinienem być poza tą strukturą. Takie rozwiązanie zostało wówczas zaakceptowane, ale Ambroziak przyjął tę decyzję z niesmakiem i niechęcią, która w następnych miesiącach wyraźnie wzrastała. Jego ambicje drażniło to, że nie był moim zwierzchnikiem. Usytuowanie pełnomocnika rządu do spraw reformy samorządowej w randze podsekretarza stanu, podczas gdy szefem administracji rządowej był sekretarz stanu i zastępca szefa URM, z góry stawiało sytuację samorządów wobec administracji rządowej w gorszej pozycji. Przecież odbudowa samorządu polegała na tym, że zabierało się istotną część kompetencji właśnie administracji rządowej. Samorząd miał sukcesywnie wyjmować z jej kompetencji całe sfery działania. Oznaczało to oczywisty konflikt interesów między nami.

Było dla mnie jasne, że aby móc spełnić swoje zadania, muszę mieć odpowiednio silną pozycję polityczną i instytucjonalną. Kiedy zwróciłem premierowi uwagę, że obniżył rangę w stosunku do swej zapowiedzi sejmowej, przyznał mi rację. Powiedział, że nie miał innego wyjścia. Wyczułem tu pewien problem, który go krępował i ograniczał w naszej rozmowie. Wiedziałem, jak trudnym zadaniem było skompletowanie tego rządu. Zresztą wtedy, na fali entuzjazmu i zaangażowania, przyjąłbym każdą pozycję, żeby tylko pomóc zmieniać kraj.

Znalazłem się w wyjątkowej sytuacji. Dana mi była szansa realizacji idei, której poświęciłem wiele lat życia. Zdawałem sobie sprawę, że wiedza liderów politycznych o problemach samorządu jest ciągle znikoma i że moje opinie będą odgrywać podstawową rolę przy wszelkich decyzjach, gdyż mają oni do mnie zaufanie. Z daną mi szansą związana więc była ogromna odpowiedzialność, której ciężar został teraz zwielokrotniony w porównaniu z tym, jaki odczuwałem w czasie kampanii i po niej. Teraz miałem do wykonania konkretne zadanie, o którego realizację tak długo się dopominałem.

Premier ustalił, że nową funkcję mam objąć 1 października. Konieczne było bowiem ustanowienie mego urzędu przez Radę Ministrów i danie mi przez nią niezbędnych pełnomocnictw. Musiano utworzyć etaty i przygotować lokal. Początk-

kowo przyznano mi pięć etatów, ale dwa z nich były już wykorzystane na kierowcę i sekretarkę. Pozostawały trzy na pracowników merytorycznych. Miałem więc startować z siekierą na Księżyc. Ale wiedziałem, że najważniejsze jest zacząć. Potem te uchylone drzwi będę rozpychał. Wiedziałem, że dam sobie radę. Wziąłem urlop bezpłatny z Instytutu. Zrzekłem się przewodnictwa senackiej komisji samorządowej, załatwiłem parę bieżących spraw i 1 października zjawiłem się w nowym miejscu pracy.

24.

**Budujemy samorząd:
teoria i praktyka reformy
(X-XII 1989)**

P

ierwszego października wszedłem do Urzędu Rady Ministrów. Dostałem gabinet, sekretarkę, kierowcę i... miałem zbudować samorząd. Znalazłem się w zupełnie nowej sytuacji. Nigdy nie pracowałem w administracji, a tu trafiłem do jednego z największych molochów. Ale miałem przed sobą jasny cel – przebudowę ustroju państwa, aby obywatele mogli wpływać na jego rozwój. I głęboko wierzyłem, że ten cel zostanie osiągnięty.

Na samym starcie musiałem rozwiązać trzy problemy: ustalić ogólny plan realizacji reformy, dokonać podziału zadań i wreszcie stworzyć biuro zdolne do wykonania tych zadań, które mu przypadną. Dla wszystkich było oczywiste, że wybory samorządowe muszą się odbyć w niedalekiej przyszłości. Ale ich termin nie był już taki oczywisty. Musieliśmy podjąć jakieś decyzje.

Ustalenie kolejności działań miało kluczowe znaczenie dla programu naszych prac. Przedstawiłem wówczas trzy warianty. Pierwszy – zrobić wybory jak najszybciej, czyli jesienią 1989 roku, i zmienić skład personalny rad narodowych bez zmian w legislacji. Dopiero potem razem z nowymi radnymi opracowywać zmiany ustrojowe. Za tym rozwiązaniem przemawiały względy polityczne. Społeczeństwo domagało się niezwłocznych zmian personalnych. Dotychczasowi naczelnicy postrzegani byli jako symbole władz komunistycznych. Dochodziły też poważne sygnały, że przeprowadzanych jest wiele operacji na rzecz osób prywatnych, ze szkodą dla mienia publicznego. Jednak wprowadzenie w stare struktury nowych ludzi bez żadnego doświadczenia i wiedzy o tym, jak powinny funkcjonować rzeczywiste demokratyczne instytucje, musiałyby zaowocować uszczywnieniem tych struktur i utrudnieniem ich przebudowy w przyszłości. Poza tym rady narodowe jako organ jednolitej władzy państwowej nie mogły samodzielnie funkcjonować w ramach istniejącego prawa. Radni byłiby nadal ograniczeni prawem i cały entuzjazm nowo wybranych ludzi mógł się wypalić w ogólnej niemożności. Dlatego byliśmy

przeciw temu rozwiązaniu i musieliśmy walczyć z tymi, którzy chcieli niezwłocznych, ale nie przygotowanych zmian. Wariant drugi – zmienić jak najszybciej legislację tylko w takim zakresie, w jakim było to niezbędne do przeprowadzenia wyborów. Na tej podstawie wybrać nowych ludzi, a dopiero potem z nowo wybranymi radnymi tworzyć nowe prawo. Wariant trzeci – nie spieszyć się. Dopracować nowe prawa w szczegółach i na podstawie pogłębionych studiów i zorganizować wybory, gdy nowy model będzie dokładnie zbadany, a jego wdrożenie przygotowane.

Według naszych szacunków do właściwego przygotowania reformy potrzebny był okres co najmniej półtora roku, a raczej dwóch lat. Jakkolwiek dysponowaliśmy gotową koncepcją, to dopiero teraz dostaliśmy dostęp do danych niezbędnych do opracowania systemu finansów lokalnych, uwłaszczenia gmin, przekazania im dużej części majątku państwa oraz do wyznaczenia szczegółowych uprawnień administracyjnych. Oznaczało to, że wybory oparte na w pełni przygotowanej legislacji mogłyby się odbyć dopiero w 1991 roku, a do tego czasu musiałaby sprawować władzę dotychczasowa administracja. To było nie do przyjęcia zarówno przez społeczeństwo, jak i przez kierownictwo polityczne. Należało więc ustalić wcześniejszy termin i założyć, że to, czego nie uda się zrobić, zostanie dokończzone w następnych etapach reform. Wierzyliśmy, że będziemy w stanie kierować tym procesem przez kilka następnych lat i że będziemy mogli wprowadzać sukcesywnie kolejne etapy. Niestety, tak się stać nie miało. Ale wtedy o tym nikt nie wiedział.

Jedno było dla nas jasne – nie wolno dopuścić do natychmiastowych wyborów. Dla reformy oznaczałoby to śmierć. Bez wyborów mieliśmy ten komfort, że mogliśmy ignorować wszelkie próby blokad ze strony istniejącej administracji. A ona była największym naszym wrogiem. Gdyby to byli już ludzie z mandatem wyborczym, nie moglibyśmy ich ignorować. Decyzja jednak nie należała do łatwych. Znajdowaliśmy się pod presją społeczności lokalnych. Ludzie byli niecierpliwi. Wielokrotnie oskarżano mnie o sprzyjanie komunistom. Ciągle odzywały się głosy, że „u nas nic się nie zmieniło”. Wciąż mieli do czynienia z tymi samymi urzędnikami, związanymi ze skompromitowanym systemem nomenklatury.

Przezwyciężenie tych presji nie było łatwe. Omówiłem wspólne działania z Jurkiem Stępnem, który przejął komisję senacką. I ruszyliśmy do natarcia. Byliśmy wszędzie, gdzie się dało. Mazowiecki, Geremek, Stelmachowski przede wszystkim. I udało się. Reforma została uratowana. Dostaliśmy trochę czasu, ale bardzo mało – musieliśmy się spieszyć. Pozostawał więc wariant drugi – dokonać podstawowych zmian ustrojowych przed wyborami, aby nowi ludzie weszli już w nowy system. I aby już reformy nie można było zaniechać lub zniekształcić. A także wprowadzić tyle zmian szczegółowych, ile się da. Pozostałe będziemy przeprowadzać już wraz z nowymi władzami samorządowymi. Podjęliśmy wówczas decyzję, która w moim pojęciu miała rozstrzygające znaczenie dla sukcesu reformy.

Drugi problem to podział zadań. Inicjatywę podjął Senat i było oczywiste, że powinien prowadzić nadal prace legislacyjne. Znacznie łatwiej było wprowadzić projekty ustaw przygotowane przez Senat niż przez rząd. Ale komisja senacka nie miała możliwości przygotowania wszystkich potrzebnych ustaw, mimo że Jurek Stępień zbudował silny zespół z Michałem Kuleszą jako głównym ekspertem. Nie starczało jej na to sił. Mój urząd musiał więc część tych prac wziąć na siebie.

Ustaliliśmy, że Senat zajmie się ustawami ustrojowymi, a więc niezbędną zmianą Konstytucji, ustawą o samorządzie gminnym, ordynacją wyborczą oraz ustawą o pracownikach samorządowych.

Trzeba tu wspomnieć o wielkiej roli, jaką odegrał poseł Walerian Pańko, działacz dawnej opozycji, który też brał udział w obradach Okrągłego Stołu. Początkowo Sejm nie powołał odrębnej komisji samorządowej. Po prostu nie widziano takiej potrzeby. Komisja powstała dopiero w styczniu, w chwili gdy Senat przekazał swoje projekty ustaw. Jej przewodnictwem objął profesor Walerian Pańko, który zresztą od początku aktywnie z nami współpracował, prowadząc uzgodnienia z klubami politycznymi. Później komisja sejmowa zajęła się ostatecznym opracowaniem tekstów ustaw.

Natomiast moje biuro zajęło się regulacjami wykonawczymi oraz wdrożeniem całej reformy. Trzeba było przygotować ustawę dotyczącą podziału kompetencji administracji rządowej i samorządu, która zmieniała blisko 100 obowiązujących ustaw i wymagała żmudnych oraz trudnych negocjacji z poszczególnymi ministerstwami. Napotykaliliśmy poważne opory, bo w większości przypadków chodziło o ograniczenie kompetencji resortów, a co za tym szło, również środków finansowych i możliwości bezpośredniego wpływania na instytucje w terenie. Drugą ustawą była tzw. ustawa wdrożeniowa, określająca sposoby przejścia z dotychczasowego ustroju na nowy. Te regulacje były najtrudniejsze. Łatwiej zarysować pożądany model, niż ustalić, jak z istniejącego systemu przejść do nowego – jest to zadanie skomplikowane, wymagające niezliczonych zabiegów instytucjonalnych, prawnych i gospodarczych. Ta operacja przejściowa się nam udała.

Oprócz prac legislacyjnych na biuro i na mnie osobiście spadło wiele innych zadań. Mieliśmy bowiem reprezentować interesy gmin, które jeszcze nie powstały. Oznaczało to śledzenie wszystkich nowelizacji ustaw, jak też innych przekształceń, które podejmowały różne instytucje. Spadła na nas organizacja rozmaitych form lobbingu i wspierania inicjatyw lokalnych. Musieliśmy się angażować w program informacji społeczeństwa i edukacji samorządowej. Zostaliśmy uznani za głównego odbiorcę pomocy zagranicznej w dziedzinie demokracji lokalnej, którą trzeba było zagospodarować. Praktycznie musieliśmy się zajmować wszystkim, co się wiązało z samorządnością. Nikogo innego nie było. A potem powstało jeszcze bardzo złożone zadanie wspierania tworzących się gmin.

Ale aby te zadania wykonać, trzeba było stworzyć odpowiednie biuro. A to wcale nie okazało się łatwe. Nasz cel stanowiła przebudowa ustroju państwa. Sprzeciwiała się temu cała dawna klasa polityczna, a przede wszystkim niższe jej grupy, obawiające się jak śmierci wszelkich zmian. Aby ustanowić samorząd terytorialny, trzeba więc było ich opór pokonać. Jediną siłę, która to mogła zrobić, stanowił zapał i zaangażowanie społeczeństwa. A więc realizacja reformy samorządowej była krucjatą lokalnych społeczności przeciwko lokalnym władzom. Rola reformatorów polegała na stworzeniu takich warunków, aby zakończyła się ona sukcesem. Administracja państwowa była główną siłą antyreformatorską i tak ją postrzegaliśmy. Należało ograniczać jej możliwości hamowania przemian. Podstawową siłę przemian widzieliśmy w aktywności społecznej i chcieliśmy stworzyć warunki dla jej możliwie pełnego wykorzystania. Takie myśli nam wtedy przyświecały i ten kierunek myślenia wyznaczał dalsze działania. Dzisiaj istniejący ustrój gminny jest w wielu punktach właśnie tego rezultatem.

Jakkolwiek Rada Ministrów dopiero 25 września ustanowiła stanowisko pełnomocnika rządu do spraw reformy samorządu terytorialnego, to już dwudziestego pierwszego uczestniczyłem w pierwszym spotkaniu premiera z wojewodami. Padła na nim zapowiedź szybkiej reformy gminnej. Jak wszyscy wówczas pełnomocnicy rządu, miałem rangę podsekretarza stanu i podlegałem bezpośrednio premierowi. Ta ranga była zdecydowanie za niska w stosunku do zadania dotyczącego istotnej reformy państwa. W innych krajach zadania takie powierza się ministrom, a nawet wicepremierom. Przecież miałem zmieniać kompetencje większości ministrów! Startowałem z niskiego poziomu, musiałem więc wykonać dodatkową pracę, aby uzyskać odpowiedni status.

Dodatkowym kłopotem było to, że moje biuro zostało stworzone w strukturze Urzędu Rady Ministrów. I jakkolwiek ja nie podlegałem jego szefowi, to moi pracownicy – tak. Szefem URM był wówczas minister Jacek Ambroziak, a jego zastępcą w randze sekretarza stanu Jerzy Kołodziejcki, który jednocześnie nadzorował administrację rządową. Kołodziejcki był aktywnym członkiem PZPR i byłym wojewodą gdańskim, ale cieszył się zaufaniem dawnej opozycji, bo wykazywał wielokrotnie w stosunkach z nią dobrą wolę. Na zaufanie zasłużył m.in. swoją postawą w czasie wprowadzania stanu wojennego. On był osobą, która przeprowadziła internowanie Lecha Wałęsy, ale zrobił to w sposób kulturalny. Należał do postępowego skrzydła PZPR, do grupy Fiszbacha. Został mianowany sekretarzem stanu w URM w ramach poszukiwania kompromisu między rządem Mazowieckiego a dawnym reżimem. Chodziło o to, aby w URM był też przedstawiciel PZPR. W później opublikowanych dokumentach Komitetu Centralnego wyraźnie napisano, że towarzysz Kołodziejcki ma informować Komitet o działaniach URM.

Nie wiem, jak się z tego obowiązku wywiązywał. Niedługo PZPR została rozwiązana i Komitet Centralny zniknął.

Z Jurkiem Kołodziejskim znaleźmy się od wielu lat i były okresy naszej bliskiej współpracy. Lubiłem go, choć nasz konflikt w Towarzystwie Urbanistów Polskich ochłodził te stosunki. A teraz wystąpił zdecydowany konflikt interesów. Celem reformy samorządu było przecież ograniczenie kompetencji administracji rządowej i spowodowanie, że samorząd będzie sukcesywnie przejmować jej kompetencje. A więc będzie się musiała kurczyć. Zatem ja, czyli samorządy, miały zabierać upewnienia administracji rządowej, którą on kierował. W dodatku z biegiem czasu uwidoczniły się bardzo wyraźnie różnice w poglądach na przyszły model państwa, które powodowały wiele konfliktów. Do nich jeszcze wrócimy.

URM był opanowany przez ludzi dawnego reżimu. Wszystko tam było więc dla mnie nie tylko obce, ale i wrogie. Jacek Ambroziak prowadził dziwną politykę. Nie miał doświadczenia administracyjnego, a jego główną siłą było zaufanie premiera. Dał się omotać przez dotychczasowych pracowników, którzy przedstawiali się jako fachowcy. Szefem kadr URM, kontrolującym całą politykę personalną w administracji centralnej i terenowej, był jeszcze przez rok dawny sekretarz KW PZPR w Zielonej Górze. Uprawnienia miał bardzo szerokie, bo nie tylko prowadził sprawy personalne Urzędu, ale obsługiwał też premiera, a więc zajmował się wszystkimi naczelnymi stanowiskami w administracji rządowej, ministrów nie wyłączając. Jakie szkody jego działalność spowodowała – lepiej nie myśleć. Kiedyś zapytałem Jacka, dlaczego pozostawia go na stanowisku szefa kadr. Ambroziak odpowiedział: „Wiesz, on się tak dobrze zna na tym strasznie skomplikowanym systemie składek ubezpieczeniowych”. Spojrzałem na niego z niedowierzaniem. Ale on mówił serio, to nie był żart.

Ta polityka zaowocowała już w grudniu wielkim skandalem, gdy jeden z dyrektorów, na podstawie posiadanego pełnomocnictwa, sprzedał za bezcen, ale zgodnie z obowiązującym prawem, szereg mieszkań służbowych w alei Róż dotychczasowym użytkownikom, wysokim funkcjonariuszom partii. Dyrektora wyrzucili, ale mieszkania zostały stracone. Utrzymywanie starych urzędników na stanowiskach w administracji rządowej spowodowało zasadniczą zmianę w relacjach starych z nowymi. O ile w pierwszym okresie starzy żyli w strachu, że ich będą wyrzucać, i łaskili się do nas przymilnie, o tyle z biegiem czasu poczuli swoją siłę i to my coraz częściej występowaliśmy w charakterze petentów. Dawna nomenklatura zupełnie dobrze funkcjonowała pod rządami Solidarności. Kiedy odchodziłem z rządu, dwa stanowiska ministerialne w URM zajmowali moi przeciwnicy przy Okrągłym Stole, którzy reprezentowali tam stronę komunistyczną.

Byliśmy narażeni na różne machlojki. Dyrektor kadr zaproponował mi gotowy zespół ludzi. Odrzuciłem ich wszystkich. Jeśli miałem zreformować państwo, to nie mogłem robić tego z ludźmi związanymi z ustrojem, który chciałem zmienić. Po pewnym czasie rzuciłem okiem na listę obecności swojego biura i zobaczyłem na niej nieznane mi nazwisko. Zadzwoniłem do kadr z prośbą o wyjaśnienie. Odpowiedziano mi, że to bardzo mądry człowiek, dawny doradca wicepremiera i na pewno mi się przyda. Kazałem go natychmiast skreślić. Ale to był dość charakterystyczny sposób działania. Ten facet w ogóle się do mnie nie zgłosił, a figurował na liście, więc pewno pensję brał.

Nieco później miałem inne doświadczenie. Gdy sprawa reformy samorządowej nabierała rozgłosu, rozwijaliśmy coraz szerszą współpracę z zagranicą. Któregoś dnia dostaję list z MSZ od dyrektora departamentu amerykańskiego, w którym informuje mnie, że pozarządowe kontakty z organizacjami amerykańskimi zostały przekazane w gestię jakiegoś stowarzyszenia kierowanego przez profesora Wiatra, w związku z czym mam przekazać temu stowarzyszeniu informację o swoich kontaktach amerykańskich i współpracę z Amerykanami prowadzić za jego pośrednictwem. Wściekłem się i napisałem list do ministra Skubiszewskiego z informacją o tym. Zakomunikowałem, że nie mam zamiaru się do tego stosować i nie życzę sobie, aby dyrektor departamentu instruował mnie – pełnomocnika rządu – jak mam pracować. Krótko i twardo. Odpowiedzi nie było, ale żadnych dalszych prób też nie.

Postanowiłem, że zbuduję swoje biuro sam. Był to właściwie wariacki pomysł, ale się udał. Najpierw ściągnąłem Iwa Byczewskiego. Objął funkcję wicedyrektora do spraw kontaktów zewnętrznych. W miarę uzyskiwania etatów zacząłem ściągać osoby, z którymi pracowaliśmy w przeszłości. Główne źródło stanowiły zespoły z dwóch katedr ówczesnego SGPiS. Sukcesem było zdobycie Czesławy Rudzkiej-Lorentz, która została naszym głównym specjalistą i odegrała kluczową rolę w naszych pracach. Zespół ekspertów udało się skompletować, miałem natomiast kłopot ze znalezieniem dyrektora biura. Chciałem znaleźć kogoś, kto posiada doświadczenie administracyjne, a nie był związany z dawnym reżimem. Niełatwe zadanie. Ludzie z opozycji byli absolutnie zieloni. Poza tym nie chciałem poszukiwać kandydatów poprzez kadry URM. Po paru tygodniach Iwo przyprowadził mi Piotra Kownackiego. Zaangażowałem go i tego nie żałuję.

Skład mego biura powoli się rozwijał. Ale jego wielkość była śmiesznie mała w stosunku do skali zadań. Początkowo dostałem pięć etatów, w tym sekretarkę i kierownicę. Powoli się rozpychałem, po roku doszliśmy prawie do dwudziestu osób. Ale ten wzrost był okupiony stałą walką z Ambroziakiem o każdy etat.

Dokonywała się zmiana ustroju i wbrew różnym opiniom nie była to zmiana bezkonfliktowa, chociaż na ulicach nie strzelano. Opory były bardzo silne. Przecież cała administracja pozostawała ściśle związana z dawnym ustrojem i składała się prawie wyłącznie z ludzi partii. Trzeba pamiętać, że gabinet Mazowieckiego był rządem koalicyjnym, w którym partie dawnego ustroju zachowały istotny wpływ i władzę.

Myszę, że mnie szczególnie nie lubiano. Zamanifestowałem swoją niezależność, a jednocześnie nie wchodziłem w żadne układy wewnątrz Urzędu. Mnie interesował jedynie cel. Moje biuro stanowiło w strukturze URM jednostkę całkowicie nową, odmienną, obcą. Wyraźnym odbiciem tego był standard przydzielanych nam pokoi. Najpierw miałem swój gabinet w jakimś zaułku korytarzy, niemal przy kuchni. Potem dostałem lepsze pokoje, ale nadal zupełnie nieodpowiadające mojej pozycji. Dzisiaj w tym pokoju urzęduje chyba jakiś wicedyrektor czy starszy urzędnik, ale na pewno nie dyrektor departamentu, bo to dla niego za niski standard. A ja przecież miałem pozycję ministerialną! Te sprawy prestiżowe bardzo się liczą w życiu biurokracji.

Z biegiem czasu stosunek do mojego biura stawał się coraz gorszy. Być może wynikało to również z faktu, że nie miałem mocnego oparcia w szefostwie Urzędu. Chcąc zrealizować reformę, nie utonąć w tysiącu drobnych potyczek, musiałem więc wzmocnić swoją pozycję polityczną, aby zaczęto mnie i moje biuro odpowiednio szanować. Moja aktywność wzmocniała tę pozycję. Ale ciągle musiałem o nią walczyć. Istotnym przełomem okazał się moment, gdy premier zdecydował, abym był stałym uczestnikiem posiedzeń Rady Ministrów. Było to bardzo istotne, gdyż mogłem śledzić wszystkie decyzje rządu, a poza tym biurokracja URM przyjęła to za dowód uznania mojego znaczenia politycznego. Ale to nie było takie proste. W listopadzie dostałem akty i porządek dzienny posiedzenia Rady Ministrów do wiadomości. Uznałem to za zaproszenie i poszedłem na posiedzenie. Przyjęto mnie ze zdziwieniem, ale posadzono; był omawiany jakiś temat, który mnie dotyczył. Poszedłem na następne posiedzenie, a wtedy mi powiedziano: „A nie, proszę pana, my to tylko panu posyłamy do wiadomości, pan nie jest zaproszony”. Pracownicy odpowiedzialni za organizację posiedzenia nie czuli się jednak wystarczająco silni, aby odmówić mi wejścia. Wszedłem, a po posiedzeniu wystąpiłem o stałe zaproszenie, bo nie wyobrażałem sobie, żebym mógł funkcjonować, nie znając bieżących decyzji i nie mogąc na nie wpływać. Przecież większość tam omawianych tematów w jakimś stopniu dotyczyła samorządu terytorialnego. Natrafiłem na opór, więc się odwołałem do premiera i dostałem stałe miejsce. Odtąd spędzałem popołudnia i noce z poniedziałku na wtorek w sali Rady Ministrów.

To był przykład opieki premiera nade mną i nad sprawą reformy. Mazowiecki, choć nie bardzo wnikał w istotę reformy, miał do mnie tyle zaufania, że otworzył nade mną parasol ochronny. Myślę, że było to wynikiem naszych wieloletnich spotkań u Danki Gotowskiego. Bez jego zaufania nie dałbym rady. Ambroziak był mi zdecydowanie nieprzychylny. Znajdował się pod wpływem Kołodziejskiego, w stosunku do którego czuł respekt jako do eksperta administracyjnego. Posiedzenia Rady Ministrów odbywały się w wielkiej sali, tzw. Świetlikowej, gdzie do stołu może sięść około 50 osób, a z dostawkami około 70. Każdy z nas miał swoje stałe miejsce. Premier prowadził te posiedzenia, dyskutując każdą sprawę niesłuchanie głęboko. Każdy akt ustawy czytał, nikogo nie przyspieszał, każdemu pozwalał mówić i wracać do spraw już dawno rozstrzygniętych. Większość dokumentów była już omawiana na posiedzeniu Komitetu Ekonomicznego, wszystkie przechodziły uzgodnienia międzyresortowe. Ale premier dopuszczał dyskusje od nowa. Podziwiałem, że po parogodzinnej dyskusji na jakiś temat potrafił to podsumować. Tryb podejmowania decyzji był bardzo powolny, szereg aktów spadało z porządku obrad, bo jeśli Mazowiecki do czegoś nie był przekonany, to nie dochodziło do głosowania. Ale gdy został przekonany – a bardzo uważnie rozważał przedstawiane argumenty – stawał się zdecydowany i konsekwentny.

Odkąd zacząłem chodzić na posiedzenia Rady Ministrów, zaczęto nam mniej przeszkadzać. Uzyskałem większą łatwość załatwiania różnych spraw, które poprzednio były bardzo trudne. Nagle otworzył mi się kontakt do wszystkich ministrów. Zaczęli reagować na moje wystąpienia. Wkrótce przyzwyczaili się do mnie i jakkolwiek nie miałem pozycji ministra, uzyskałem w rządzie możliwość wpływu. Uczestnictwo w posiedzeniach rządu stwarzało jednak dodatkowe obciążenie. Zaczynały się one w poniedziałki o godzinie trzeciej po południu. Jeżeli kończyły się przed północą, to było dobrze. Bywało, że kończyły się o trzeciej rano. Dla mnie było to straszne, ten poniedziałek wytrącał mnie z normalnego trybu życia na parę następnych dni. Nie zapomnę dnia, a raczej nocy, kiedy referowałem założenia reformy samorządowej. Ten punkt wypadł o wpół do pierwszej w nocy, a dyskusja zakończyła się o drugiej nad ranem. Wróciłem do domu tak napięty, że o spaniu nie było mowy. Miałem wybór: albo większy koniak, albo proszek nasenny, bo jak się wkrótce zorientowałem, łączyć tego nie należy.

Początkowo byłem bardzo wrażliwy na punkcie korzystania z przywilejów władzy. Mieliśmy w oczach funkcjonowanie nomenklatury komunistycznej i nie chcieliśmy się do niej upodabniać. Postanowiłem, że będę jeździć do URM własnym samochodem, a ze służbowego korzystać tylko w czasie godzin pracy. Wytrzymałem tak kilka tygodni. Ale zmieniłem zdanie, kiedy wracając w środku nocy, o mało nie spowodowałem wypadku. Uznałem, że dla bezpieczeństwa mego i innych lepiej będzie, jak zacznie mnie wozić kierowca.

Nastało wariackie tempo pracy, głównie prac legislacyjnych. Nawiązałem kontakt z poszczególnymi resortami i dyskutowałem z nimi podział kompetencji, co sprowadzało się w istocie do prostego, acz trudnego pytania, co ze swych prerogatyw mają oddać. Było to niełatwe, ale konieczne.

Jakkolwiek dokonaliśmy podziału zadań, było oczywiste, że musi powstać jednorodny model, a to wymagało stałych konsultacji i uzgodnień. Nasza koncepcja ustrojowa opierała się – już od pierwszych tez z 1989 roku – na zasadzie uznania podmiotowości społeczności lokalnej. To znaczy, że gminę stanowi nie tylko terytorium, ale przede wszystkim społeczność na nim zamieszkała. I że ta społeczność ma prawo regulować i załatwiać pewne sprawy o charakterze publicznym w swoim własnym imieniu – a więc stanowi podmiot odrębny od państwa, jakkolwiek działa w jego ramach. Uznanie, że społeczność lokalna może się rządzić sama, oznaczało odrzucenie zasady jednolitej władzy państwowej, która była kamieniem węgielnym systemu komunistycznego i na której opierał się cały system prawny PRL. Z niej wynikała zasada hierarchii interesów (interes indywidualny stoi niżej od interesu grupowego itd.), ona dawała władzy prawo do ingerowania w interesy osobiste czy grupowe i do podporządkowywania ich interesom państwa, prawo do scentralizowanego zarządu i centralnej „optymalizacji” decyzji, prawo do zarządzania finansami.

Nasza filozofia była całkowicie różna: twierdziliśmy, że w ramach państwa mogą istnieć inne podmioty o charakterze publicznym, nie tylko rządowe. Autonomiczne i podległe wyłącznie prawu. Stanowiło to diametralną zmianę sposobu myślenia. Odrzucaliśmy uprawnienia instancji wyższego szczebla do ingerowania w sprawy lokalne. To była podstawowa sprawa, która znalazła się w protokole rozbieżności przy Okrągłym Stole. W swoich dokumentach z 1981 roku znajduję stwierdzenie, że musimy odróżnić rząd i jego agendy od samorządów terytorialnych jako osobnych, autonomicznych podmiotów. Już wtedy używałem sformułowania „administracja rządowa”, które dawniej nie istniało. Zależało mi, by podkreślić, że rząd to nie to samo co państwo i że administracja rządowa nie wyczerpuje zakresu pojęcia administracji publicznej, gdyż administracja samorządowa też jest administracją publiczną, służącą realizacji zadań państwa, ale nie rządową. Była to podstawowa rozbieżność między naszymi żądaniami a ustrojem PRL. Żądaliśmy dla gmin kompetencji generalnej, tzn. żeby wszystko, co lokalne i publiczne, ale nie zapisane aktem prawnym na rzecz jakiegokolwiek instytucji państwowej, było gminne. Teraz przyszedł czas, aby te żądania zmienić w obowiązujące regulacje prawne.

Prace nad ustrojem bieżyły w Senacie. Uczestniczyłem w nich tylko częściowo – formalnie jako reprezentant rządu, faktycznie jako lider naszej nieformalnej grupy. Jurek i Michał wykonali błyskawicznie swoją pracę. W początkach stycznia projekt ustawy był gotów i został przedstawiony na posiedzeniu plenarnym Senatu.

Był to dla mnie wielki dzień – nasze marzenia się spełniały. Nie wszyscy senatorowie rozumieli, co uchwalają, ale uchwalili. Łyżką dziegciu była chęć ulepszenia naszej ustawy przez niektórych kolegów. Zawsze znajdują się tacy, co myślą, że wiedzą lepiej niż ci, którzy danej sprawie poświęcili wiele pracy. Tym razem rolę takich ulepszaczy odegrali nasi najlepsi przyjaciele, których nazwisk nie chcę wymieniać. Nasza koncepcja ustroju gminnego polegała na założeniu, że wybierany przez radę wójt będzie lokalnym liderem, a więc politykiem. Powinien on rządzić gminą w radzie i z radą. Dlatego chcieliśmy, aby wójt radzie przewodniczył. A szefem urzędu miał być sekretarz, zawodowy urzędnik. Bo polityk powinien wyznaczać kierunki działań, a nie podejmować bieżące decyzje. Taki ustrój istnieje w wielu krajach. W czasie ostatniego czytania, przyjaciele, którzy w ogóle nie uczestniczyli w pracach nad ustawą, wystąpili z mową, że rada ma być organem kontrolnym, że wójt nie może być sędzią we własnej sprawie, i zażądali, aby był odrębny przewodniczący rady. To wywracało naszą koncepcję, ale pod presją czasu trudno było przekonywać senatorów do naszych racji, w sytuacji gdy oni nie rozumieli, o co chodzi. Musieliśmy zdobyć większość, a wnioskodawcy cieszyli się zaufaniem i nie chcieliśmy wprowadzać sporów. Więc się poddaliśmy, aby uzyskać poparcie dla całej reformy. Spowodowało to konieczność dalszych zmian. Wójt został szefem urzędu. Sekretarza zepchnięto do pozycji urzędniczej. Wkrótce praktyka pokazała instytucjonalny konflikt między przewodniczącym a wójtem, uruchamiając proces ograniczania uprawnień tego pierwszego na rzecz władzy wykonawczej. Ta decyzja zwróciła cały proces ewolucji ustroju polskich gmin nie całkiem w tym kierunku, o którym myśleliśmy wówczas.

Ale w początkach stycznia Senat wykonał swoje zadania w niebywałym tempie. Projekty zmiany Konstytucji, ustawy o samorządzie gminnym, ordynacji wyborczej i ustawy o pracownikach samorządowych zostały przyjęte i przekazane do Sejmu. I osiągnięto to w ciągu zaledwie trzech miesięcy pracy!

Na jesieni 1989 roku nikt jeszcze nie był w stanie określić terminu wyborów samorządowych. Wtedy przyjęto tylko podstawową zasadę: najpierw zmiana prawa, a dopiero potem wybory. Że decyzja ta była słuszna, potwierdzają przykłady innych krajów, które po zrobieniu szybkich wyborów do tej pory nie mogą przeprowadzić owych reform, których dokonaliśmy w Polsce w 1990 roku. Ale taka decyzja była możliwa tylko dlatego, że mieliśmy już wówczas wiedzę i program działania. W innych krajach zaczynało się dyskusję, co należy robić, dopiero gdy nastąpił przełom polityczny. Wtedy jednak trzeba działać, a nie myśleć. A zarządzić wybory jest znacznie łatwiej, niż przedstawić koncepcje nowych uregulowań prawnych. I tak reformy odkładano, aż stały się niemożliwe.

Sprawa terminu wyborów została rozstrzygnięta w końcu stycznia w sposób, który był ilustracją narastającego konfliktu między Mazowieckim a Wałęsą. W po-

łowie stycznia Mazowiecki zwrócił się do mnie z pytaniem, kiedy będziemy przygotowani do przeprowadzenia wyborów lokalnych. Mieliśmy już ustawę samorządową uchwaloną przez Senat. Powiedziałem, że będziemy gotowi przed wakacjami. Odparł wtedy, że będzie chciał ogłosić to w przyszłym tygodniu, i poprosił o bliższe dane. Chciał z tego zrobić polityczne wydarzenie, które wzmocniłoby pozycję rządu.

To był początek reformy gospodarczej. Wiadomo było, że terapia szokowa w najbliższych miesiącach uderzy bardzo mocno w społeczeństwo i że trzeba coś zrobić, aby utrzymać nastrój poparcia dla reform. Ogłoszenie wyborów lokalnych dawało taką szansę. Przewidywano, że później mogą pojawić się znacznie większe komplikacje gospodarcze i wtedy kampania wyborcza byłaby jeszcze trudniejsza. Jednocześnie narastały sygnały o gwałtownym rozdrapywaniu mienia przez istniejącą nomenklaturę, przez rady narodowe i ich prezydium, o sprzedawaniu willi, wykupywaniu terenów, pospiesznym zawiązywaniu spółek nomenklaturowych, wykorzystywaniu uprawnień do osiągnięcia korzyści osobistych. Trzeba było to zahamować. Mazowiecki stał na stanowisku, że musimy działać w ramach prawa, a więc zmienić jak najszybciej ludzi i przepisy, nie gwałcąc prawa, które wciąż jeszcze obowiązywało. Stąd potrzeba ogłoszenia wyborów i wprowadzenia zmian ustrojowych. Kilkakrotnie w tym czasie miałem dłuższe rozmowy z Mazowieckim i wiedziałem, że ani premier, ani rząd nie zdają sobie sprawy z zakresu zmian, które chcemy wprowadzić. Uważałem, że to jest jedyny moment, w którym mogę tym sprawom nadać jakąś rangę, przygotować się organizacyjnie do realizacji tych wielkich zamierzeń. Z biegiem czasu sprawa może się stać przedmiotem zainteresowania i debaty. I wtedy wszyscy będą się wymądrzać i wprowadzać ulepszenia, które zmniejszą logikę naszych propozycji. Więc poparłem zamiar premiera i zobowiązałem się do dotrzymania wiosennego terminu.

Tymczasem dwa dni później Lech Wałęsa wystąpił z publicznym wezwaniem do niezwłocznego przeprowadzenia wyborów samorządowych, oskarżając rząd o zwleknięcie i nieróbstwo. Premier bardzo to przeżył. Był przybity i skarżył się na nielojalność. Zabrano mu polityczny efekt inicjatywy, którą chciał podjąć.

Tydzień później premier ogłosił termin majowy. Ale odbiór społeczny był oczywisty – Wałęsa musiał go pogonić, żeby coś zrobił. Jestem bardzo ciekawy, kto doniósł Wałęsie o zamiarze premiera. Bo że ktoś doniósł, nie miałem wątpliwości, jakkolwiek Wałęsa w swych wspomnieniach mówi, że on już w tej sprawie wcześniej rozmawiał ze Stelmachowskim i że to była jego osobista inicjatywa.

Rok 1989, rok dramatycznych przemian, dobiegł końca. Wkraczałem w następny rok z poczuciem, że jesteśmy bliżej realizacji naszych celów. Podstawowe ustawy były już uchwalone przez Senat, a moja pozycja w rządzie umocniła się i ustabilizowała. Tylko że zadań do wykonania pozostawało nadal wiele.

Czytelnikowi należy się kilka słów wyjaśniających sposób mojego ówczesnego myślenia i zasady, jakimi się wtedy starałem kierować.

Proces transformacji ustrojowej wymaga wielu reform. Byłem zaangażowany w pierwszą, ale nie ulegało wątpliwości, że będzie koniecznych wiele następnych. To musi być proces wieloletni, a może i wielopokoleniowy.

Pierwszą reformę samorządową realizowano w bardzo specyficznych warunkach społecznych i politycznych. Była ona zainicjowana odgórnie, przeciw istniejącym wówczas władzom lokalnym, które żadnych zmian nie chciały i się przed nimi broniły. Kierownictwo polityczne stworzyło warunki do jej realizacji, jednak nie bardzo zdawało sobie sprawę z wagi i zakresu tej reformy. Siłą sprawczą była stosunkowo niewielka grupa ludzi, która działała, opierając się na własnych przekonaniach, wiedzy i poczuciu misji do spełnienia, oraz wsparcie społeczności lokalnych, oczekujących możliwości uczestniczenia w życiu publicznym. Reforma nie była więc przeprowadzona w sposób demokratyczny, bo nie mogła być, jeśli miała być skuteczna. Uruchomiliśmy ją odgórnie, w przekonaniu, że zadanie ówczesnych elit polegało na wprowadzeniu szybkich zmian umożliwiających stworzenie warunków, aby demokracja lokalna zaistniała. O przyszłych działaniach miały decydować społeczności lokalne. Naszym zadaniem było im to umożliwić.

Tworzyliśmy struktury dla instytucji, które jeszcze nie istniały. Robiliśmy to według swojej najlepszej wiedzy, opartej na wielu latach studiów, ale bez wiedzy praktycznej i bez możliwości konsultowania się z aktualnymi władzami lokalnymi w Polsce, które były przeciwko zmianom. Jednocześnie wierzyliśmy – jak wykazała przyszłość, słusznie – że samorzady staną się istotną siłą polityczną, która potrafi wywalczyć dla siebie to, czego nie mogliśmy uzyskać, nie reprezentując jeszcze nikogo. A więc cel podstawowy to uruchomić samorządność. Do tego były potrzebne podstawowe regulacje. To, czego w krótkim czasie nie mogliśmy uzyskać, odkładaliśmy na później. Lepsze jest zawsze wrogiem dobrego. Zbyt długie walki o sprawy ważne, ale nie najważniejsze mogły doprowadzić do zaprzepaszczenia historycznej szansy. Nie godziliśmy się jednak na żadne rozwiązania kompromisowe, które mogłyby zamknąć znalezienie rozwiązania właściwego, w momencie gdy sytuacja polityczna na to pozwoli. Bo proces decentralizacji jest przede wszystkim procesem politycznej walki o bieżące wpływy, jak również o przyszły model ustroju.

Sukces reform zależał od osób, które w tych nowych ramach zaczną działać. Ustrój więc trzeba było tworzyć dla takich ludzi, jacy w Polsce istnieli. I to nie dla tych najlepszych, tylko dla przeciętnych. Bo samorząd jest taki, jaki jest naród. A więc trzeba było mieć od początku świadomość, że to nie aniołowie będą zarządzali

gminami. Trzeba było tworzyć ustrój zrozumiały dla ludzi, uwzględniający ich nawyki i poziom wiedzy. Nie można było importować modelu wytworzonego gdzie indziej, przyjęty model powinien nawiązywać do polskich tradycji i do wytworzonych już sposobów postępowania.

Nasz cel stanowiło wprowadzenie nowego systemu w ciągu kilku miesięcy. Było więc oczywiste, że niemożliwe jest całościowe zaprogramowanie i stworzenie systemu zupełnie nowego. Wbrew temu, co dzisiaj mówią niektórzy politycy, nie startowaliśmy w całkowicie pustej przestrzeni. Państwo istniało i działało. Istniała wykształcona rutyna i nawyki, istniała mentalność społeczna, której nie można zmienić ani w ciągu jednego dnia, ani też jedynie przepisem prawnym. Z góry założyliśmy, że będzie to długi proces. O tym, jak on będzie przebiegać, zdecydowały nie ci, którzy reformę programują, ale ta masa obywateli, która w nowych strukturach będzie działać. Naszym zadaniem było umożliwienie tego działania i wykorzystania ogromnych zasobów aktywności społeczeństwa, które były zamrożone przez dawny ustrój.

Rola zaangażowanych reformatorów polegała na umożliwieniu pracy przyszłym radnym, którzy przyjmą odpowiedzialność za gminy i społeczności lokalne. Należało otworzyć drzwi. Takie założenie nie było łatwe do przyjęcia ani na początku misji, ani szczególnie później, gdy rzeczywistość potwierdziła jego słuszność. Reformator bowiem przestaje być potrzebny, gdy reforma wejdzie w życie. Nikt wówczas nie pamięta, co zostało zrobione w fazie przygotowań, kiedy ci, którzy zaczęli sprawować władzę, jeszcze nie uczestniczyli w życiu publicznym. Losem reformatorów jest odejście z chwilą, gdy osiągnęli sukces i tworzony przez nich system ruszył. Nie wszyscy chcą się z tym pogodzić, bo to wcale nie jest łatwe.

Wchodząc do sfery polityki, należy zawsze pamiętać, że jest to funkcja przejściowa. I że nie tylko trzeba będzie kiedyś ją opuścić, ale że na ogół z polityki odchodzi się w wyniku porażki. Dopóki się wygrywa i ma sukcesy, dopóty zostaje się przy władzy. Odejście zawsze spowodowane jest przegraną. Jedynie nieliczni odchodzą w aureoli zwycięstwa. Brałem to pod uwagę. Miałem pełną świadomość, że będziemy popełniać błędy i że te błędy i pomyłki uwidocznia się dopiero, gdy nowe władze zaczną funkcjonować. Reformatorzy będą wtedy krytykowani przez tych, którzy zaczną w nowych strukturach urzędować. To założenie sprawdziło się aż z nadwyżką. Zawsze łatwo jest osądzać historię, znacznie trudniej jest ją tworzyć.

Ludzie na kierowniczych stanowiskach, zarówno na szczeblu centralnym, jak i na lokalnym, zostali ukształtowani w minionym systemie. Ich umiejętności i formy pracy też były wynikiem dawnych stosunków. Do takich należy brak umiejętności negocjacji i rozwiązywania konfliktów. W ustroju scentralizowanym nie było miejsca na konflikty interesów. Kto był innego zdania, tego uważano za wroga, którego należy zniszczyć. Stąd często i dziś przedstawiciel drugiej strony w nego-

cyjach jest traktowany jako nieprzyjaciel, a nie jako partner, z którym wspólnie trzeba poszukiwać kompromisu dobrego dla obu stron. Mało kto wówczas chciał podporządkowywać swoje interesy wspólnej polityce rządu. Ta cecha ciągle jest żywa.

Centralizacja w PRL spowodowała rozwój biurokracji. A ta się rządzi własnymi prawami, podobnymi na całym świecie. Biurokrata przede wszystkim nie chce ponosić ryzyka. Sukces nie zawsze przynosi awans, ale porażka na ogół przynosi dymisję. Stąd obawa przed decyzją i chęć zabezpieczenia się poprzez przeniesienie odpowiedzialności na innych, a więc zwoływanie komisji, gromadzenie nie zawsze potrzebnych dokumentów, angażowanie ekspertów. W efekcie przedłużanie procesu decyzji, strata czasu, a niekiedy szanse sukcesu.

W kontaktach z różnymi instytucjami kierowałem się pewnymi praktycznymi zasadami:

1. Staralem się zyskać sympatię swoich rozmówców, stworzyć wrażenie, że są oni współtwórcami reformy. Organizowałem więc różnego rodzaju spotkania. Ale negocjowałem zawsze indywidualnie. Istnieje bowiem niebezpieczeństwo jednoczenia się przeciwników. Nie należy im tego ułatwiać.
 2. Usiłowałem być bardzo konkretny w swoich żądaniach czy postulatach. Nigdy nie dyskutowałem o pryncypiach i ogólnych zasadach. Znacznie łatwiej jest osiągnąć porozumienie w sprawach szczegółowych niż wtedy, gdy dyskusja rozplywa się w ogólnikach.
 3. Miałem świadomość, że moja pozycja polityczna nie jest zbyt silna. Jednak wiedziałem, że po wyborach, gdy powstaną władze gminne, będą one reprezentować stale rosnącą siłę. Dlatego jeśli nie mogłem załatwić jakiejś sprawy zgodnie z wizją budowanego systemu, to wolałem odłożyć decyzję na okres późniejszy, niż akceptować złe rozwiązanie. Wierzyłem, że to, czego nie mogę obecnie rozwiązać, zostanie pozytywnie rozwiązane w przyszłości, gdy władze lokalne się umocnią, a życie wskaże na słuszność naszych propozycji.
 4. Stosowałem zasadę pozytywnych kompromisów, które musiały przybliżyć do celu, choć nie zawsze wiodły do niego prostą drogą. Każda decyzja musi zbliżać system do zamierzonego kształtu.
- Dziś to łatwo jest pisać. Ale wtedy bardzo trudno było te zasady realizować.

25.

Samorząd powstaje (I-V 1990)

O

kres zimy i wczesnej wiosny 1990 roku był czasem największego wysiłku. Wybory samorządowe wyznaczono na maj. Senat uchwalił projekty pierwszego pakietu ustaw związanych z budową samorządu i przekazał je do Sejmu. Mieliśmy już jednoznacznie określone ramy czasowe, a liczba spraw do załatwienia była ogromna i ciągle powstawały nowe problemy.

Zostałem upelnomocnionym przedstawicielem rządu w pracach sejmowych. Musiałem spędzać dużo czasu na Wiejskiej. Poznałem wtedy bliżej wiele osób z opozycji demokratycznej, z którymi dotąd znałem się jedynie ze spotkań incydentalnych. Ale nie miałem ani czasu, ani sił, aby wejść w życie parlamentarne głębiej. Na posiedzenia Senatu wpadałem jedynie na głosowania. Znałem oczywiście wszystkich senatorów, ale tylko niewielu bliżej. Natomiast sam stawałem się coraz bardziej znany. Jakaś gazeta przeprowadziła ankietę na temat polityków z drugiego rządu. Okazało się, że biję wszystkich. Rozpoznawało mnie 93 procent respondentów. Ta rozpoznawalność była dla mnie czymś zupełnie nowym, do czego musiałem się przyzwyczaić.

Próbkę miałem już jesienią 1989 roku w Wiśle. Pojechałem tam z Danką na zjazd Towarzystwa Urbanistów Polskich, na którym składałem sprawozdanie w związku z końcem kadencji. Była niedziela, poszliśmy do kościoła, a potem na spacer. I nagle zatrzymuje się przy nas jakiś samochód. Wysiada nieznany pan. „Przepraszam, czy pan minister Regulski?” Jestem zaskoczony, a on mi mówi, że żona kazała mu sprawdzić. Bo ona była pewna, że to jestem ja, gdy w kościele usłyszała mój głos, kiedy powiedziałem „amen”. Poznała mnie po głosie z radia! I jak tu zachować anonimowość?

Przeszedłem też kilka lekcji w związku ze swymi wypowiedziami. Dowiedziałem się, że ludzie mają dobrą pamięć. Parokrotnie byłem zaskakiwany, gdy na spotkaniach publicznych cytowano moje wypowiedzi z przeszłości. Ja ich nie pamiętałem, ale ludzie tak. Musiałem się nauczyć odpowiedzialności za słowo. Cokolwiek powiedziałem, odbierano to jako oficjalne stanowisko rządu, premiera i wszystkich świętych. To było strasznie krepujące, bo nagle okazało się, że nie mam prawa mieć własnych opinii, a jeśli je mam, to muszę je głęboko schować.

Z początkiem roku weszła w życie reforma gospodarcza. Obserwowałem ją, ale nie angażowałem się. Miałem co robić na własnym polu. Najważniejsze dyskusje toczyły się na posiedzeniach Komitetu Ekonomicznego Rady Ministrów. Miałem tam stałe miejsce, ale chodzenie na posiedzenia KERM-u i Rady Ministrów zajęłoby mi dwa dni w tygodniu. To nie było możliwe.

Podjęto próby likwidacji wpływów nomenklatury. Obserwowałem je z uwagą, bo dotyczyły również mojej dziedziny. Okazało się to trudne. Pamiętam próbę przywrócenia spółdzielczego charakteru istniejącemu molochowi pseudospółdzielczemu Społem. Zarządzono obowiązkowe wybory, licząc, że w ten sposób wprowadzi się nowych ludzi. Ale nomenklatura Społem przeszła przez wybory bez szwanku. Ludzie wybierali dotychczasowych kierowników. To było dla naszych liderów zaskoczeniem, bo dowodziło, jak daleko mentalnie byli nasi opozycjoniści od rzeczywistości. Wszystkich tak zauroczyło tworzenie demokracji, iż nie zauważali tego, że oceny tej rewolucji w społeczeństwie nie były jednoznaczne. Przecież nawet w wyborach 1989 roku, a więc w okresie największej euforii, tylko dwie trzecie wyborców poparło Solidarność. Później to poparcie malało, w miarę jak się uwiadczały koszty transformacji.

Przykład Społem był charakterystyczny. Początkowo te niby-spółdzielnie się utrzymały. Sytuacja zmieniła się dopiero później, kiedy gminy przejęły budynki na własność i zlikwidowały wszelkie nielegalne przywileje. Państwowy handel detaliczny upadł, bo okazał się niezdolny do płacenia czynszów i konkurowania z inicjatywami prywatnymi.

Podjęta w styczniu decyzja o terminie wyborów zmusiła do intensyfikacji naszych wysiłków. W tym czasie miałem dość częsty kontakt z premierem. Były do załatwienia tysiące spraw w różnych urzędach i ministerstwach i czasami potrzebowałem jego wsparcia. Uważałem, że jako pełnomocnik rządu reprezentuję rząd i mam prawo załatwiać sprawy wszędzie tam, gdzie to jest konieczne. Ale napotykałem opory. Wtedy myślałem, że zarówno nasz obóz polityczny, jak i rząd są zainteresowani przeprowadzeniem reformy samorządowej i że doceniają jej znaczenie. To był błąd. Nikt tych spraw nie rozumiał i nie doceniał, co zaowocowało tym, że każdą rzecz trzeba było wywalczyć, a szereg spraw po prostu przegrałem. Ludzie nie dostrzegali reformy. A jej znaczenie zrozumieli dopiero po kilkunastu latach.

W nawale spraw mało się udzielałem na zewnątrz i często o mnie zapominano. Nie mam zdolności do autoreklamy. Wolę załatwiać sprawy, niż mówić o tym. Dlatego często przegrywałem, bo wydawało mi się, że ludzie widzą rzeczy oczywiste. A okazywało się, że trzeba wszystko tłumaczyć.

Rozumiałem to niebezpieczeństwo i chciałem mu przeciwdziałać. Stoczyłem batalię o wprowadzanie tematyki samorządowej do telewizji, co skończyło się minimalnym rezultatem. Wielokrotnie rozmawiałem z Drawiczem, z którym się bardzo lubiliśmy. Ale natknąłem się na zupełne niezrozumienie problemu. Mnie zależało na działalności edukacyjnej, a tłumaczono mi, że niezależna telewizja nie może popierać programów rządowych. Uważałem wtedy i uważam nadal, iż publiczna telewizja ma obowiązek spełniać funkcję edukacyjną w sensie wspierania procesów kształtowania się społeczeństwa obywatelskiego. A wtedy mi mówiono, że odbudowa samorządu jest programem politycznym i telewizja musi się od niego trzymać z daleka. W końcu powstał program „Samorządna Rzeczpospolita”, ale to było nieporozumienie. Postulowałem stworzenie programów informacyjno-edukacyjnych i instruktażowych dla władz lokalnych. A tymczasem zafundowano reportaże, które pokazywały lokalne konflikty, antagonizujące ludzi i tworzące zniechęcający obraz samorządu. Niestety, również w następnych etapach reform telewizja publiczna nie odegrała tej roli edukacyjnej, którą odegrać była powinna w ramach swojej misji. Nedorozwój społeczeństwa obywatelskiego w Polsce jest w poważnym stopniu wynikiem właśnie tego zachowania publicznych mass mediów.

Prosiłem premiera kilkakrotnie, by w związku z budowaniem samorządu stworzył sztab, który by nadał wymiar polityczny temu ruchowi. Sugerowałem, aby to zostało powierzone Aleksandrowi Hallowi, który był ministrem bez teki do spraw politycznych. Premier się zdziwił: „Co ma Hall do tego, przecież Hall zajmuje się partiami politycznymi”. Ale partii nie było, a Hall ruchem obywatelskim nie był zainteresowany. A zbliżały się wybory lokalne i w całym kraju istniał wielki zapal, który mógł być odpowiednio zagospodarowany. Niestety, nie został.

8 marca Sejm uchwalił pierwsze ustawy samorządowe. I w czasie debaty sejmowej musieliśmy stoczyć potyczkę z klubem PZPR. Ówczesny klub parlamentarny PZPR zbierał się nie w gmachu Sejmu, ale w budynku Komitetu Centralnego. Zostaliśmy tam kiedyś zaproszeni we dwójkę z Jurkiem Stępnem jako referentem ustawy z ramienia Senatu. To było dziwne spotkanie. Właśnie rozwiązano PZPR. Jego sukcesorem została Socjaldemokracja RP, która się przenosiła na Rozbrat. Budynek na Nowym Świecie został im zabrany, ale posiedzenie Klubu urządzili jeszcze tam. Odbywało się ono w sali, w której obradowało kiedyś Biuro Polityczne PZPR, a którą znałem jedynie z telewizji. Przeprowadzka była w pełni. Wszędzie stały pudła i pudełka, szafy i szuflady były pootwierane. Portrety Lenina i różnych innych władców poniewierały się po podłodze. Jacyś ludzie biegali w rozgardiaszu. Upadek zupełny. Muszę powiedzieć, że z przyjemnością na to patrzyłem. Przebieg zebrania nie utkwił mi w pamięci. Mało których posłów tak naprawdę obchodziło, co proponujemy. Myślamy byli zupełnie gdzie indziej. Pozostał mi tylko obraz upadającego mocarstwa.

Jednak PZPR czuwała. W czasie ostatniego czytania ustawy wybuchła mina przygotowana przez ich klub, a osobiście przez Włodzimierza Cimoszewicza, który był wówczas posłem. W ustawie proponowano powołanie związku gmin, do którego wszystkie miasta i gminy musiałyby należeć. Bez silnej reprezentacji krajowej rozproszone gminy nie mogłyby uczestniczyć w kształtowaniu polityki, również ich dotyczącej. Uznanie prawa gmin do stowarzyszania się i do utworzenia krajowego związku było jednym z podstawowych postulatów zgłaszanych przy Okrągłym Stole. Już wtedy delegacja solidarnościowa napotkała jednak zdecydowany opór strony PZPR-owskiej. Przedstawiciele ówczesnych władz słusznie rozumowali, że samorzady będą nastawione antykomunistycznie. Słusznie więc przewidywali, że i ich krajowa reprezentacja będzie stanowić poważną siłę polityczną, dążącą do przeobrażenia ustroju państwa z komunistycznego na demokratyczny. Zagrozało to w sposób oczywisty ich władzy. Powstałaby siła, która jednoznacznie parłaby do dalszych przemian. A trzeba pamiętać, że na początku 1990 roku przyszły kształt państwa nie był wcale jasny.

PZPR potraktowała zapis o związku miast i gmin jako zagrożenie. Cimoszewicz zgłosił poprawkę likwidującą go. Argumentował, że byłaby to czapa nad samorządowymi gminami, ograniczająca ich samodzielność. Atak się udał. Był on zaskoczeniem zarówno dla sprawozdawców komisji sejmowej, jak i dla mnie, który w imieniu rządu wspierał projekt ustawy. Niestety, część posłów OKP przyjęła argumentację Cimoszewicza, mając w pamięci rolę różnych centralnych związków z czasów PRL. Posłowie mieli większe zaufanie do kontestujących ustawę przedstawicieli PZPR niż do nas, własnych przyjaciół i kolegów. Sprawa przepadła i musieliśmy się z tym pogodzić. Ale brak politycznego przedstawicielstwa samorządów stanowi do dziś poważny problem. Najgorsi są mędrkowie, którzy myślą, że wiedzą lepiej od tych, którzy się naprawdę znają na rzeczy.

Profesor Walerian Pańko, jako przewodniczący sejmowej Komisji Samorządu Terytorialnego, raz jeszcze podjął próbę ustawowego powołania związku w końcu 1990 roku. Był on bowiem niesłuchanie przywiązany do koncepcji powołania tej instytucji, rozumiejąc dobrze, że tylko zorganizowane w skali kraju samorzady mogą stworzyć siłę niezbędną do dokończenia reformy. Niestety, jego propozycje nie znalazły wystarczającego poparcia w Sejmie.

Uchwalenie ustaw otworzyło pole różnym konfliktom. Przeciwnicy reform nagle zobaczyli, że rzeczywiście zmiany nadchodzą, a właściwie nikt poza nami, reformatorami samorządu, nie chciał zmian.

Najbardziej znany konflikt dotyczył decentralizacji szkolnictwa, a więc przekazania szkół podstawowych w gestię władz lokalnych. Kiedy tworzyliśmy ustawę w Senacie, było dla nas rzeczą oczywistą, że szkoły podstawowe powinny być zarządzane przez gminy. Szkoła to centrum życia kulturalnego na wsi, a nauczyciele

stanowią środowisko szczególnie zaangażowane w lokalne sprawy publiczne. Ale natknęliśmy się na szalone opory. Zmieniał się bowiem układ sił. Ministerstwo i rządowa administracja traciły bezpośredni wpływ na działalność szkół, w tym na obsadę stanowisk. Nauczyciele obawiali się, że będą w większym stopniu uzależnieni od władz samorządowych, a co za tym idzie – od komitetów rodziców, żądających większego wysiłku dla podniesienia poziomu nauczania i opieki wychowawczej. Związki zawodowe, a zwłaszcza ich liderzy, obawiali się straty wpływów na ustalanie warunków pracy, uposażeń i różnych branżowych przywilejów, które dotąd negocjowali na szczeblu centralnym. Za zmianami byli młodszy nauczyciele, którzy chcieli innego sposobu nauczania, rodzice i później oczywiście samorządy. Lecz wtedy samorządów nie było.

Związek Nauczycielstwa Polskiego stanął na czele walki przeciw komunalizacji szkół, ponieważ naruszała ona wynegocjowane przez dziesiątki lat z PRL-em zasady Karty Nauczyciela. Od samego początku było jasne, że istnienie Karty jest sprzeczne z zasadami decentralizacji i samorządności. Karta Nauczyciela narzuca jednolity model, który wcale nie jest najlepszym rozwiązaniem we wszystkich miejscowościach, gdyż istniejące tam warunki bardzo różnią się od siebie. A poza tym narzucenie tych przepisów jest ograniczeniem samorządności.

Było dość charakterystyczne, że ci, którzy tracili na zmianach, nie od razu uświadamiali sobie powstające zagrożenia. 8 marca 1990 roku bez specjalnych sprzeciwów Sejm przyjął ustawę, która przekazywała gminom szkoły podstawowe. Ale już 10 maja, podczas głosowania nad ustawą wprowadzającą reformę w życie, jej przeciwnicy zorientowali się, jakie skutki to dla nich przyniesie, i szybko zorganizowali odpowiedni lobbing. Nie mieliśmy dość siły, aby ich pokonać. Musieliśmy pójść na kompromis, odkładając przekazanie szkół o dwa lata. W rzeczywistości proces trwał przez sześć lat, dopóty, dopóki wszystkie szkoły podstawowe nie zostały przekazane władzom lokalnym. Ale konflikty trwają do dziś, bo istnienie Karty Nauczyciela jest reliktem PRL sprzecznym z obecnym ustrojem i utrudniającym zarówno samorządność, jak i reformę oświaty. Właśnie przez tę Kartę szkoły nie odgrywają tej roli społecznej, o której marzyliśmy. Nie są ośrodkami kultury, bo nie mogą nimi być, jeśli są zamknięte przez trzy miesiące w roku.

Z tytułu swoich obowiązków miałem również kontakt z generałem Jaruzelskim. Po upływie pół wieku od mojej wizyty u Bieruta znowu mogłem kilkakrotnie odwiedzić Belweder. Utkwiły mi w pamięci trzy spotkania. Pierwsze jesienią 1989 roku. Prezydent Jaruzelski odziedziczył po dawnej Radzie Państwa uprawnienia do nadzoru nad radami narodowymi i systematycznie spotykał się z przewodniczącymi wojewódzkich rad narodowych. Po objęciu funkcji pełnomocnika byłem zapraszany na te spotkania. Na pierwszym przedstawiłem założenia reformy. Mówiłem do ludzi, którzy z definicji byli moimi wrogami, a oni z kolei wiedzieli, że za

mną stoi siła polityczna. Więc uznali, że nie ma tu miejsca na dyskusję. Ale po cichu sądzili, że jak zwykle bywało, tak i tym razem z szumnych zapowiedzi niewiele zostanie wprowadzone w życie i jakoś przetrwają. Jaruzelski zachowywał się bardzo powściągliwie.

Inny charakter miało spotkanie, które odbyło się w styczniu 1990 roku. Była to wizyta zainicjowana przez marszałka Senatu, aby poinformować prezydenta o zmianach legislacyjnych, o reformie samorządów, a przede wszystkim o tym, że w zamierzonej koncepcji prezydent pozbawiony będzie prawa nadzoru nad samorządem. Wizyta została zakłócona dramatyczną wiadomością, że na teren Senatu weszli demonstranci i wybili szyby w Sali Kolumnowej, w której się wtedy odbywało posiedzenie Senatu. Jeszcze nie istniała obecna sala posiedzeń, bo dzisiejszy budynek Senatu dopiero co został przejęty od mieszczącego się tam archiwum PZPR. Wówczas na teren parlamentu można było swobodnie wchodzić. Wszyscy wierzyli w demokrację i w ogólną dobrą wolę.

W ciągu dwóch godzin, kiedy relacjonowaliśmy własne zamierzenia, Jaruzelski milczał. Swoje stanowisko podsumował w paru zdaniach. Powiedział, że uważa rząd Mazowieckiego za rząd nadziei i ostatniej szansy, że podporządkuje się wszystkiemu, co premier i rząd zaproponują, i zaakceptował pozbawienie siebie dotychczasowych uprawnień. Ten wyraz akceptacji i podporządkowania się bardzo wyraźnie adresował do premiera Mazowieckiego i do mnie jako reprezentanta rządu. Unikał natomiast odniesień do Senatu. Poparcie dla rządu brzmiało bardzo mocno.

W kwietniu odbyło się spotkanie pożegnalne z przewodniczącymi wojewódzkich rad narodowych. Jaruzelski uważał, że skoro ludzie ci odchodzą i są rozżaleni, on musi ich pożegnać i podziękować im. Również zabrałem głos. Starałem się nie popaść w zgubny triumfalizm, gdy mówiłem, jak to będzie dobrze dla państwa i dla wszystkich obywateli. Jaruzelski milczał. Milczała też widownia. Ale nigdy nie widziałem takiej nienawiści, jak wtedy w oczach wszystkich 49 przewodniczących. Zabierałem im wszystko – pozycję społeczną i polityczną, władzę, dochody, możliwość dysponowania posadami i przywilejami. Teraz już rozumieci, że to, co zapowiadałem pół roku wcześniej, jest realizowane. Gdyby mogli, to zlinczowaliby mnie natychmiast. Cieszyłem się, że znajdowała się na sali straż prezydencka. Tylko nie miałem pewności, czy ratowałyby mnie w sytuacji kryzysowej. Przecież oni też należeli do odchodzącego świata. To była jedna z miłych chwil, gdy czułem namacalnie zwycięstwo nad komunizmem.

Tymczasem na najwyższym szczeblu politycznym zbliżaliśmy się powoli do nieśczęsnej wojny na górze. Relacje rządu z Lechem Wałęsą pogarszały się stale. Bardzo szybko po wyborze Mazowieckiego na premiera zaczęło iskrzyć. W środowisku Obywatelskiego Klubu Parlamentarnego uważano, że Wałęsa powinien zająć się Związkiem i to powinno mu wystarczyć. Jaruzelski został prezydentem,

więc nie było możliwości zaferowania Wałęsie stanowiska państwowego. Zaczął się kształtować wyraźny podział na Warszawę z Geremkiem i Mazowieckim oraz Gdańsk – Solidarność z Wałęsą. Jeździłem wtedy wiele po kraju. Ktoś z otoczenia premiera zwrócił mi uwagę, żebym uważał z wyjazdami do Gdańska, bo to może być źle widziane. Spięcie w sprawie wyborów samorządowych było symboliczne. Wałęsa krytykował rząd za zbyt wolne reformy, ale wydaje się, że chodziło mu przede wszystkim o krytykę, a mniej o reformy.

W kwietniu odbył się w Gdańsku II Zjazd Solidarności. Pojechaliśmy tam wszyscy. Cała prasa była zaciekawiona, czy dojdzie do spotkania Mazowieckiego i Wałęsy. Pierwsze posiedzenie miało miejsce w sali BHP w Stoczni, gdzie podpisano porozumienia sierpniowe. W czasie przerwy wyszedłem razem z Ryszardem Reiffem, z którym się przyjaźniłem. Szukaliśmy stołówki, gdzie serwowano obiad. Nagle zobaczyliśmy jakiś tłumek wyglądający jak kokon. Dziennikarze i reporterzy otaczali kilka osób idących w środku. Kokon przesuwiał się powoli. Pomyśleliśmy, że jeśli do nich dołączymy, to nam wskażą drogę na obiad. Podeszliśmy i zostaliśmy wessani. W środku szli obok siebie, milcząc, obaj liderzy. Podeszli do jakiegoś budynku, dziennikarzy zatrzymano na zewnątrz, a my weszliśmy do wnętrza, licząc, że dostaniemy coś do zjedzenia. Ale znaleźliśmy się w małej salce, w której miały się odbywać rozmowy polityczne. Usadzili nas przy stole. Byłem trochę przerażony i mówię do Ryszarda, aby uciekać. Ale on szepcze, że nie możemy wyjść, bo zostałoby to uznane za despekt. Więc siedzimy i czekamy, co będzie dalej. Obaj wygłosili po kilka nic nie mówiących zdań i na tym się to spotkanie skończyło. Nic sobie nie mieli do powiedzenia. To było przykre. Nic nie pozostało z nastroju z tej samej sali sprzed roku, gdy startowaliśmy do wyborów. W dodatku my byliśmy głodni!

Ale moje myśli koncentrowały się gdzie indziej. Zbliżały się wybory i uruchamianie całego systemu. Nie wystarczy uchwalić ustawy. Realizacja reform zaczyna się dopiero po ich przyjęciu, gdy trzeba przekształcić instytucje i wprowadzić nowe procedury. O tej tak oczywistej prawdzie nie wszyscy pamiętają. Znacznie później, gdy realizowana była reforma powiatów i województw, jeden z wysokich urzędników Kancelarii Premiera powiedział mi z radością po przyjęciu przez Sejm ustaw: „Teraz będzie u nas spokojniej. Reformy mamy już załatwione”. Był bardzo zdziwiony, gdy mu odrzekłem, że kłopoty się dopiero zaczną. Wielokrotnie spotkałem się z magiczną wiarą w sprawczą siłę słów wypowiedzianych w gabinetach. Wiele osób było pewnych, że problem rozwiązuje się sam, gdy kilka ważnych osobistości sobie o nim porozmawia. Wiara, że słowa same przez się zmieniają rzeczywistość, jest przyczyną licznych porażek. Trzeba oczywiście zastanawiać się i dyskutować, ale dyskusja stwarza jedynie podstawy do działania i ich nie zastępuje. Jednak aby uchwalane ustawy wprowadzać w życie, potrzebny jest odpowiedni aparat. W 1990 roku cały dotychczasowy układ instytucjonalny lokalnej administracji

publicznej musiał ulec przebudowie. Jednak kto miał tego dokonać, jeśli cała administracja była w rękach ludzi, którzy na reformach tracili, a więc wcale ich wprowadzeniem nie byli zainteresowani? Stąd moje przekonanie, że powodzenie reformy zależy od stworzenia własnej służby terenowej. Z Warszawy zza biurka nie można przekształcić administracji terenowej ani ustroju lokalnego w 2500 gminach. Moje kilkunastoosobowe, bardzo zapracowane biuro nie było w stanie kontaktować się z gminami, udzielać im rad, informacji, konsultacji.

Zacząłem więc starania o powołanie swojego zastępcy i o zgodę na stworzenie sieci delegatów we wszystkich województwach. Musiałem znaleźć odpowiedniego kandydata. W tamtym okresie o sprawach kadrowych decydował Geremek. On rozdawał nominacje. Powinienem się więc do niego zgłosić. Ale nie zrobiłem tego. Po prostu obawiałem się, że Broniek skieruje do mnie kogoś z działaczy dawnej opozycji. A mnie nie interesował człowiek może i zasłużony, ale organizacyjnie mało sprawny. Więc postanowiłem szukać samemu. To było wyłamanie się z obowiązującego trybu i zmanifestowanie własnej niezależności, już drugie tego typu zachowanie po odmowie podporządkowania Komitetowi Obywatelskiemu naszej Fundacji. Od tego czasu Broniek już mnie nie zaliczał do swego dworu. Miało to swoje reperkusje później, w chwili gdy premier Bielecki mnie zwolnił i znalazłem się poza wszelkimi strukturami.

Moje wymogi w stosunku do poszukiwanego kandydata były jasne. To musiał być człowiek zdolny do stworzenia sieci terenowej, a więc sprawny organizator. Poza tym musiałem do niego mieć zaufanie, bo nie mogłem pozwolić na żadne gry ani podchody. On miał pracować ze mną i dla wspólnej idei. Chciałem też, aby miał jakąś pozycję polityczną. Do tej pory tylko ja byłem łącznikiem ze światem polityki i to mi ciążyło. Chciałem mieć partnera. Z kłopotu wybawił mnie Ryszard Reiff, sugerując Jana Króla, posła ze Słupska, dawnego szefa młodzieżówki PAX. Z radością przyjąłem propozycję i Janek został moim zastępcą w randze dyrektora generalnego.

Ale to wymagało decyzji premiera. Rozmowa z Mazowieckim odbyła się dwie godziny przed moim odlotem służbowym do Francji. Zgodził się, więc mimo pośpiechu z miejsca podyktowałem sekretarce list nominacyjny i wróciłem do premiera, żeby podpisał go od ręki. Nie byłem pewien, czy jak wrócę do kraju, sprawa znowu nie ugrzęźnie i nie przeciągnie się w nieokreśloną przyszłość. Wymogłem też wtedy na premierze upoważnienie mnie do powoływania delegatów w poszczególnych województwach. Mój zastępca miał tę sieć utworzyć. Na najbliższe posiedzenie Rady Ministrów przygotowałem projekt uchwały nadającej mi to prawo. Mimo że było to wcześniej uzgodnione z premierem Mazowieckim, i to w obecności ministra Ambroziaka, na posiedzeniu Rady Ambroziak jednak stwierdził, że nic o tym nie wie i że, co więcej, jest temu absolutnie przeciwny, ponieważ to za-

danie mogą spełniać wojewodowie. Oczywiście było to niemożliwe. Wojewodowie z racji swej funkcji reprezentują interes państwa, a nie samorządu. Zresztą byli to jeszcze wojewodowie ze starej nomenklatury i nie ulegało wątpliwości, że utopiliby od razu całą sprawę.

Wystąpienie Ambroziaka całkowicie mnie zamurowało. Wielokrotnie zachowywał się tak, jakby chciał się bawić ze mną w kotka i myszkę, pokazując, kto tu rządzi. Premier też był bardzo zdziwiony, ale zachował się zgodnie ze swą zasadą; zdjął sprawę z porządku dziennego, powiedział, że wrócimy do niej później. Ale „później” oznaczało stratę czasu, a tu chodziło o kontrolę przemian. Wojewodowie podlegali Kołodziejowskiemu. Gdyby oni mieli organizować przekształcenia, to było oczywiste, że cała reforma zostałaby unicestwiona. Wynajdowano coraz to nowe przeszkody. Ostatnią stanowił rzekomy brak środków finansowych i etatów. Ambroziak odmówił uruchomienia jakichkolwiek rezerw, którymi dysponował. Ale udało się znaleźć wyjście. Mianowicie przejąłem biura do spraw rad narodowych, które istniały przy każdym urzędzie wojewódzkim. Były one niewielkie – trzy do pięciu osób, jednak istniały i miały swój budżet. One stworzyły bazę działaniom delegatów pełnomocnika rządu. Powstała pierwsza sieć nowej administracji. Mieli oni określone zadania operacyjne, ale żadnych uprawnień administracyjnych. Byli natomiast całkowicie niezależni od wojewodów i podporządkowani mnie jako pełnomocnikowi rządu. W celu umocnienia tej niezależności uzyskałem dla nich wysokie pensje na poziomie wicewojewodów.

Opóźnienia spowodowane oporami administracji spowodowały, że sieć delegatów zaczęła działać dopiero w końcu marca, i to tylko dzięki niezwyklej energii Janka Króla, który w ciągu dwóch tygodni tę sieć zorganizował. Ustaliliśmy niesłychanie prosty, ale efektywny tryb ich powoływania. Janek Król nawiązywał kontakty z miejscowymi komitetami obywatelskimi, które przedstawiały swoich kandydatów. Egzaminował ich, a ja zaraz podpisywałem nominację. Kryteria doboru były jasne. Chcieliśmy mieć ludzi posiadających pewną wiedzę administracyjną, zaangażowanych w proces reform, ale nie związanych z lokalnymi układami, które mogły ograniczać swobodę ich działania. Ludzi samodzielnych, odpowiedzialnych i zdolnych do negocjacji. Wszystkich nawiedzonych odsuwaliśmy natychmiast. Wykorzystywaliśmy także osoby z dawnej administracji. Jednym z delegatów został nawet dotychczasowy kierownik wojewódzkiego biura do spraw rad narodowych. Ale większość rekrutowała się ze środowisk dawnej opozycji, naukowców, nauczycieli, ekonomistów i prawników.

Od początku kwietnia mieliśmy delegatów w całej Polsce z wyjątkiem Konina, bo tam istniały dwa skłócone ośrodki nowej władzy: Region Solidarności i Komitet Obywatelski. Każdy z nich wysunął swojego kandydata. Region Solidarności pisał listy do Wałęsy, a Komitet Obywatelski skarżył się do Mazowieckiego. Przeznaczano

wypowiedzi, oskarżano się wzajemnie. Zirytowaliśmy się w końcu – skoro się kłóć, to w ogóle w Koninie delegata nie będzie. Mianowaliśmy jednego z lokalnych urzędników odpowiedzialnym za pracę, a wszystkich politycznych kandydatów odrzuciliśmy bez skrupułów. Po kilku miesiącach, już z nikim nie uzgadniając, chwilowego reprezentanta mianowaliśmy stałym delegatem.

Powstała sieć solidarnościowej administracji terenowej stanowiła wówczas istotny element nowej infrastruktury, którego to aspektu politycznego wtedy nie doceniono. Wojewodowie byli w większości starzy, przeciwni rządowi. Natomiast moi delegaci utworzyli pierwszą sieć już „nowej” administracji. Ich powołanie było solą w oku całej administracji rządowej. Stanowili bowiem sieć niezależną i ważny kanał informacji, która dotychczas należała wyłącznie do wojewodów. Wojewodowie prowadzili więc z nimi walkę.

Naturalnie, delegaci popełniali wiele błędów. Mieli trudną rolę, a doświadczenie administracyjne ograniczone. Ich błędy były skrupulatnie wykorzystywane. W biurze Kołodziejckiego w URM przygotowywano odpowiednie notatki, które zaraz znajdowały się na biurku premiera. Jeden taki moment chyba na zawsze pozostanie mi w pamięci. Skończyliśmy właśnie wyścig z czasem o przygotowanie wszystkich aktów prawnych przed wyborami. To była straszna walka o czas, o uzgodnienia z resortami, o przygotowanie przekształceń instytucjonalnych w terenie. Na posiedzeniu Rady Ministrów podchodzę do premiera i mówię: „Panie premierze, sukces. Skończyliśmy prace legislacyjne. I jesteśmy gotowi do wyborów”. A na to premier Mazowiecki: „Proszę pana, ale ten pański delegat w... [tutaj wymienił miasto] to przecież jest nieprzytomny człowiek; wojewoda skarży się, że...”. I tu cała litania pretensji. To bolało.

Specjalny problem w naszej reformie stanowiła Warszawa. W poprzednim ustroju prezydent Warszawy pełnił właściwie funkcję wojewody, a jego władztwo obejmowało tereny od Grodziska do Mińska. Warszawa nie istniała jako jednostka administracyjna. Jej siedem dzielnic podlegało bezpośrednio prezydentowi na takich samych prawach jak Grodzisk czy Pruszków. Absurdalny system. Musieliśmy coś z tym zrobić. Przede wszystkim trzeba było rozdzielić funkcje prezydenta i wojewody. A poza tym należało rozstrzygnąć, czy Warszawa ma być jedną gminą, tak jak wszystkie inne miasta w Polsce, czy mieć jakieś specjalne rozwiązanie.

Już na początku roku, w ramach wymiany wojewodów, nowym prezydentem Warszawy został Staś Wyganowski, nasz stary przyjaciel. Wysunęły go komitety obywatelskie, przy mojej radości i lekkim wsparciu. Zaczęliśmy rozważać z nim, co robić. Komitety naciskały, aby Warszawa miała specjalny ustrój. Zorganizowały marsz na Sejm. Nie byłem całkowicie pewien ich racji, ale tak naciskali, że się zgodziłem i przekonałem premiera, aby wykorzystując swoje uprawnienia, wydał odpowiednie zarządzenie. Ponieważ nie znał się na samorządzie, oparł się na moim

wniosku. Podpisywał się, patrząc mi w oczy. Mam do dziś z tego powodu nieczyste sumienie, bo sprawy potoczyły się nie tak, jak sobie wyobrażałem.

Nową ustawę przygotował zespół powołany przez miasto i komitety obywatelskie. W jego skład weszli Andrzej Piekara i Hanna Gronkiewicz-Waltz. Ustawa szła swoim własnym torem. Nie zajmowaliśmy się nią za bardzo, bo inne sprawy były ważniejsze. Ustaliliśmy, że Warszawa będzie związkiem gmin, którymi staną się dotychczasowe dzielnice. Ale podział na dzielnice był zupełnie księżycowy i musiał ulec zmianie. Uzgodniłem więc z przedstawicielami warszawskiego komitetu obywatelskiego, że po wyborach, już z nowymi radnymi, przeprowadzimy nowy podział. Ale nowi radni nie czuli się zobowiązani do dotrzymania tej obietnicy. Powstał karkołomny twór, oparty na absurdalnym podziale, w którym prezydent nie miał wystarczającej władzy, a dzielnice kłóciły się cały czas ze sobą. To był zły początek, który później ewoluował też w nie najlepszym kierunku.

Jako senator miałem wciąż obowiązki w Jeleniej Górze. Starałem się tam jeździć możliwie często, ale wychodziło bardzo rzadko. Ale zdobyłem kilka ciekawych doświadczeń. Pamiętam, że gdy zaczęto mówić o wycofaniu wojsk radzieckich, przyszła do mnie delegacja z prośbą, abym interweniował, żeby zostały. „Jak Sowieci wyjdą, to Niemcy przyjdą, a my wolimy Ruskich, bo ich znamy. Niemcy nam wszystko poodbierają i będą rżnąć. I będziemy musieli znów uciekać” – mówili. To było pokłosie komunistycznej propagandy. Ludzie bali się Niemców. Kiedyś przyszedł jakiś emeryt i wygłosił dłuższą przemowę dotyczącą jego zbyt niskiej emerytury. Najciekawsza była argumentacja: „Jak rząd kazał budować Nową Hutę, to pojechałem. Jak rząd organizował hufce pracy, to byłem pierwszy. Jak rząd kazał protestować przeciwko Niemcom i kapitalistom, to zorganizowałem demonstrację. A teraz rząd zabiera mi emeryturę!”. Dla niego rząd był zawsze rządem, niezależnie od tego, jaki on był. Zupełnie nie rozumiał, że teraz był już inny rząd. To mi dało do myślenia. Niektórzy politycy opozycji niszczą autorytet instytucji państwa, atakując rządzącą partię. Sądzą, że jak zdobędą władzę, to ten autorytet automatycznie się odbuduje. To absolutnie mylne oczekiwania. Instytucja o zniszczonym autorytecie nie będzie budzić zaufania tylko dlatego, że jest w innych rękach. Mój emeryt jest dla mnie zawsze wskazówką.

Tymczasem reforma samorządowa wzbudziła duże zainteresowanie za granicą, większe niż w Polsce. W grudniu 1989 roku pojechaliśmy z Danką na Boże Narodzenie do dzieci do Stanów. Ten wyjazd wykorzystałem dzięki Joannie do nawiązywania kontaktów. Jej program *Local Democracy in Poland* zaczął przynosić pierwsze sukcesy. Też w grudniu przyjechał do nas Ferdinando Albanese, przedstawiciel Rady Europy. Był on dyrektorem odpowiedzialnym za sprawy władz lokalnych, planowania przestrzennego i środowiska. Przyjechał zobaczyć, co robimy, i ta pierwsza wizyta zaowocowała nie tylko wieloletnią współpracą, ale i osobistą

przyjaźnią. Kontakty z Radą Europy były nam bardzo potrzebne. Ciągłe nie znaleźliśmy wielu dokumentów i konwencji międzynarodowych. MSZ nie przekazywało nam o nich informacji. Dopiero w wyniku tej wizyty dowiedziałem się o Europejskiej Karcie Samorządu, która istniała od 1985 roku i określała standardy samorządu. Tworzyliśmy nasze prawo, nie wiedząc o tych standardach. Ale okazało się, że byliśmy z nimi zgodni. Logika myślenia prowadziła do takich samych wniosków.

W styczniu 1990 roku Jurek Stępień i Michał Kulesza pojechali do Strasburga na robocze konsultacje. Wrócili usatysfakcjonowani. Nasze założenia przyjęto jako w pełni odpowiadające konwencji. W marcu zostałem ja z kolei zaproszony na plenarną sesję Stałej Konferencji Władz Lokalnych i Regionalnych. Przemawiałem w wielkiej sali Rady – moje wystąpienie spotkało się z bardzo dobrym przyjęciem. Było to dla mnie duże przeżycie. Nie chodziło o sam fakt przemawiania w obcym języku i przed wielkim audytorium, bo już takie doświadczenia miałem. Ale tym razem przemawiałem w imieniu polskiego rządu.

Dzięki Radzie Europy zorganizowana została pierwsza duża podróż studialna na Zachód. Rozwinął się też program współpracy z Francją. Rządowa fundacja France-Pologne zaczęła organizować programy pomocowe. Pierwszym dużym osiągnięciem było wysłanie na tygodniowe staże kilkuset naszych aktywistów, przyszłych kandydatów do władz lokalnych. Z pierwszą grupą poleciała reprezentacja z wysokiego szczebla. Przewodził jej Bronek Geremek, ja reprezentowałem rząd i byłem oficjalnym gościem ministra spraw wewnętrznych. Był ze mną Iwo, mieliśmy do dyspozycji samochód i bardzo sympatycznego policjanta, uzbrojonego w wielki pistolet. Było zabawne jeździć na sygnale w poprzek Paryża. Wspominałem swoje stypendialne życie sprzed ćwierć wieku. Dość znaczna różnica.

Z biegiem czasu zaczęły się zgłaszać organizacje z innych krajów. Postanowiłem ich programy przydzielać do fundacyjnych ośrodków regionalnych. Duńczyków przekazałem Jeleniej Górze, Szwedów – Szczecinowi, a Bretanię – Poznaniowi. Dwa pierwsze odniosły naprawdę wielkie sukcesy. W ciągu następnych kilku lat do Danii na różne wizyty studialne wyjechało z Dolnego Śląska wiele osób. Potem w czasie dyskusji na posiedzeniach rad gminnych często było słycać argument: „A w Danii to się robi tak...”. Natomiast pomoc szwedzka dostarczana przez nasz ośrodek w Szczecinie przybrała nieoczekiwane rozmiary. Szwedzi zaczęli przysyłać nie tylko ekspertów, ale i całe umeblowanie oraz wyposażenie biur dla gmin. Przywieziono kilkaset kontenerów, które nasz ośrodek rozproszadzał na całe Wybrzeże, aż do Elbląga. W wyniku tej współpracy Dominik Górski, dyrektor naszego Ośrodka, został konsulem honorowym Szwecji.

Wybory zbliżały się nieodwołalnie. Aż w końcu ten dzień nadszedł. Był on dla mnie świętem. Realizowało się to, o czym marzyłem i nad czym pracowałem już 10 lat. Oddaliśmy z Danką głosy. Wpadłem do biura komisarza wyborczego. Pojeździłem

SAMORZĄD POWSTAJE

po mieście. Dopiero potem dowiedziałem się, że tego dnia we Wrocławiu odbył się duży wiec, na którym Mazowiecki wygłosił przemówienie polityczne. Podobno miało to być zakończenie kampanii wyborczej. Jeśli tak rzeczywiście było, to fakt, że nie zostałem o tym poinformowany i że nie powiadomiono mnie nawet, o czym premier ma mówić, pokazuje dość jasno, jak traktowano odbudowę samorządu. Zresztą rząd nie był zaangażowany w kampanię. Nie miał prawa się do niej mieszać, więc nie bardzo rozumiałem, jaką i czyją kampanię chciał premier zamykać. Ale wchodziliśmy w nową erę.

26.

**Samorząd powstał – Rząd upadł
(VI-XII 1990)**

W

poniedziałek 29 maja w pełni entuzjazmu przyjechałem do biura. Ale mój dobry nastrój przysł szybko. Z całego kraju dzwoniły telefony i z każdego padało pytanie: kto ma dawać śluby? Pytanie tylko z pozoru było głupie, w rzeczywistości niosło smak kłęski. Okazało się, że w czasie prac legislacyjnych z naszych ustaw zniknęło przez przypadek kilka słów. Dawniej urzędnicy stanu cywilnego byli funkcjonariuszami tzw. administracji specjalnej. Myśmy ją zniesli i przelali wszystkie uprawnienia na wójtów i burmistrzów, którzy mogli je przekazywać powoływanym przez siebie kierownikom urzędów. Ale ich powołanie musiało potrwać kilka tygodni, a w ustawie zginął zapis zobowiązujący dotychczasowych urzędników do funkcjonowania nadal. A więc starzy odeszli, a nowych nie było.

Ogarnął mnie strach. Jeslibym powiedział, że nie ma ślubów, bo nikt ich zgodnie z prawem dawać nie może, to byłby koniec z reformą i samorządem. Nikt by mi tego nie darował, a idea samorządów byłaby skompromitowana, zanim samorzady by się urodziły. Na telefony kazałem odpowiadać, że dostaną wytyczne za godzinę, bo dłużej nikt czekać nie mógł. Nowożeńcy już byli pod drzwiami. Zatelefonowałem do Walerka Pańki i ustaliliśmy, że wprowadzamy natychmiast nowelizację ustawy. Ale jej uchwalenie musi potrwać ze dwa tygodnie. Podjąłem więc ryzyko – zarządziłem, aby śluby dawali dotychczasowi urzędnicy stanu cywilnego. I dawali, tyle że bezprawnie, bo były one z mocy prawa nieważne. Wszyscy nowożeńcy żyli przez dwa tygodnie, nic o tym nie wiedząc, na kocią łapę, póki nie zalegalizowaliśmy działania urzędów w trybie pospiesznej nowelizacji. To było straszne doświadczenie.

Podobną sprawę mieliśmy miesiąc wcześniej, ale udało się ją naprawić w trakcie prac legislacyjnych. Tempo prac i nasz brak doświadczenia legislacyjnego dawały o sobie znać. W naszych ustawach ustalono, że dawna administracja lokalna przestaje działać z końcem kadencji rad narodowych. Tylko że ta kadencja upływała nie w dniu wyborów, kiedy wchodził w życie nowy system, lecz znacznie wcześniej. Okazało się, iż 30 kwietnia cała lokalna administracja traciła podstawę prawną do działania, mimo że nowa administracja mogła zacząć działać dopiero 27 maja. Gdyby nie pospieszna korekta tej ustawy, państwo w maju nie miało by administracji.

Miałem jednak poczucie sukcesu. Zaraz po wyborach pojechałem na objazd gmin w województwie jeleniogórskim. Uczestniczyłem w pierwszych posiedzeniach rad, czując, że słowo staje się ciałem, że coś powstaje z niczego. W jakichś zupełnie zapadłych wsiach spotykałem wielu fantastycznych ludzi, którzy nagle poczuli się lokalnymi politykami w najlepszym znaczeniu tego słowa. Widziałem, jak budzi się naród, aktywizują się lokalne elity wsi i małych miasteczek: lekarze, nauczyciele, trochę kobiet. Kolosalny potencjał, kolosalny zasób energii, która może reformować ten kraj od samych jego fundamentów.

Jednak mam wspomnienia nie tylko sympatyczne. Taką konfrontację z rzeczywistym życiem przeżyłem we Wleniu. Z okresu kampanii miałem jak najgorsze wspomnienia z tej miejscowości. Niestety, sytuacja się powtórzyła. Wódka, wzajemna niechęć, wręcz nienawiść do sąsiadów i wszystkich innych. Dwa skłócone obozy, które zastanawiały się tylko, jak drugiemu zaszkodzić. Otworzyłem sesję, ale nie mogłem doprowadzić do tego, żeby wybrali wójta. Mniejszość wychodziła z sali i brakowało kworum. Konflikt trwał kilka tygodni, ale w końcu musieli znaleźć kompromis, pod presją rozwiązania rady.

Nad kwestią wyboru wójta dyskutowaliśmy w Senacie bardzo długo. Przyjeliśmy zasadę, że przy głosowaniu powinna być kwalifikowana obecność radnych na sali. Chcieliśmy, aby wójt miał szersze poparcie w wyniku kompromisu różnych grup radnych. Ale nie przewidzieliśmy, że w Polsce nie ma zwyczaju ani umiejętności poszukiwania kompromisu. Przeciwnika trzeba zgnoić, a nie z nim dyskutować. I mniejszość szantażowała większość wychodzeniem z sali. To była dla mnie istotna lekcja.

W czerwcu pojechałem do Stanów. W Chicago byłem oficjalnym gościem dorocznej konferencji amerykańskich burmistrzów (*United States Conference of Mayors*), wraz z przedstawicielem rządu węgierskiego. Obaj mieliśmy wystąpienia. Zaowocowały one pomocą konferencji dla Polski. Zarysowała się też konkurencja między mną a Węgrem, kto jest lepszym reformatorem. Węgier był w lepszej sytuacji wyjściowej, ponieważ jego kraj miał na Zachodzie lepszą opinię niż my. Rządy Kádára postrzegano jako reformatorskie i nastawione na współpracę z Zachodem. Polska miała gorszą opinię. Pamiętano dobrze stan wojenny i jego konsekwencje. Ale Węgry nie przewidywały podjęcia jakichś poważniejszych zmian. Reprezentujący je wiceminister spraw wewnętrznych był urzędnikiem dawnego reżimu i mówił, że u nich jest wszystko dobrze, a zmiany mają polegać na przywróceniu wolności w wyborach. Dlatego też Węgry nigdy nie osiągnęły tego, co się nam udało.

Następny postój to Waszyngton. Akcja Joanny propagująca nasze reformy dotarła aż na Kapitol, gdzie miałem wykład publiczny. Występowałem jako polski minister i przedstawiciel rodzącego się samorządu. Były spotkania z Polonią i różnymi organizacjami dającymi granty. Przez te kilka dni udało się pozyskać wielu dar-

czyńców, którzy gotowi byli wspomagać demokrację w Polsce. Jednak nie kontaktowaliśmy się z naszymi ambasadami. Tam wciąż tkwili ludzie dawnego reżimu, którzy mogli wiele popsuć, a pomoc nie chcieli. W Baltimore spotkały mnie przyjemności. Nie tylko objadaliśmy się tamtejszymi krabami, ale i otrzymałem honorowe wyróżnienie Uniwersytetu Johnsa Hopkinsa. Jednocześnie Michał uzyskał doktorat na Yale. Niestety, w tym natłoku spraw nie mogłem tam pojechać.

Tu warto wspomnieć o pewnym małym wydarzeniu na lotnisku w Warszawie, dobrze ilustrującym sytuację w Polsce. Wyjeżdżałem na paszporcie dyplomatycznym i miałem dostęp do pomieszczeń dla VIP-ów. Były one wtedy bardzo ubogie, tak jak cały terminal na Okęciu. Mała salka i korytarz, na którym ustawiono rząd krzeseł. Gdy tam wszedłem, okazało się, że salka jest okupowana przez jakieś towarzystwo, które mnie delikatnie wymanewrowało na korytarz. Nie byłem w nastroju do przepychanek, więc siadłem sobie na wolnym krześle, żeby poczekać na transport do samolotu. Ale zainteresowało mnie, kto to taki. Okazało się, że gospodarzem był Ireneusz Sekuła, komunistyczny eksvicepremier, który później zginął, podobno strzelając do siebie. Nie miał już wówczas żadnej funkcji, która upoważniałaby go do użytkowania salki vipowskiej. A mimo to nie tylko ją użytkował, ale wprost zawłaszczył. Dygnitarze dawnego reżimu uważali się ciągle za właścicieli Rzeczypospolitej.

Wróciłem do kraju pod koniec czerwca. Napięcia polityczne rosły, wkrótce wybuchła już otwarta wojna na górze. Dziś mam pełne przekonanie, że termin majowy był ostatnim, w którym wybory mogły się odbyć. Gdyby zostały przesunięte na jesień, to kampania prezydencka ze swoim niszczącym impetem zablokowałaby powstanie samorządów.

Jedną z płaszczyzn konfrontacji między grupą Wałęsy a Mazowieckiego stanowił Komitet Obywatelski. Wałęsa usunął z Komitetu Geremka i Wujca, przekazując go Zdzisławowi Najderowi. To spowodowało kontrakcję i bojkot KO przez nasze środowisko. Piszę „nasze”, bo jakkolwiek nie byłem związany z żadną grupą, to jednak emocjonalnie utożsamiałem się ze środowiskiem Geremka i Mazowieckiego. Najder usiłował nakłonić mnie do współpracy. Starłem się zachować neutralność, więc nie mogłem mu odmówić spotkania. A Najder na plenarnym posiedzeniu Komitetu Obywatelskiego do tego spotkania nawiązał, sugerując, że przechodzę na jego stronę. To było nieładne zagranie. Zaprotestowałem, ale nie byłem pewien, czy przekonałem Geremka o swojej lojalności.

W czasie mojej wizyty w Stanach duża grupa osób wystąpiła z Komitetu w proteście przeciwko działaniom Najdera. Przyłączyłem się do nich, kończąc kontakty z KO. Nastąpiła też zmiana w OKP. Broniek Geremek zrezygnował z przewodnictwa, które objął Mieczysław Gil, działacz Solidarności z Nowej Huty.

W 1990 roku zaczęły się tworzyć partie polityczne. Najpierw ogłosiło swoje powstanie Porozumienie Centrum Jarosława Kaczyńskiego. Potem, 10 czerwca, odbył się zjazd w Krakowie na zaproszenie Turowicza. Zostałem też zaproszony. Odebrałem to jako swoiste wyróżnienie i zaproszenie do wejścia w środowisko. Wkrótce powstał Ruch Obywatelski Akcja Demokratyczna (ROAD) jako załączek nowej partii. Dość bezrefleksyjnie do niego wstąpiłem, nie bardzo zastanawiając się nad jego kierunkiem programowym. W końcu organizowały go osoby, które cenilem i bardzo lubiłem – Zosia Kuratowska czy Zbigniew Bujak. Po pewnym czasie zorientowałem się jednak, że kierunek polityczny ROAD nie bardzo mi odpowiada. To był dość lewicowy ruch, odwołujący się do socjalizmu, tylko że demokratycznego. A ja za dużo przeżyłem w ustroju nazywanym socjalistycznym, aby polubić lewicowość, choćby demokratyczną. Poza tym miałem obawy, że nurt lewicowy będzie przeciwny decentralizacji, bo ich hasła równości i sprawiedliwości społecznej prowadziły do scentralizowanej polityki państwa.

Nie oznaczało to wcale, że byłem prawicowcem. Na pewno nie należałem do tych, którzy dziś występują pod tym szyldem. Gdy się mnie pytano o moją orientację, starałem się uciec od jednoznaczności, a gdy mnie przyciskano, mówiłem, że jestem liberalnym konserwatystą. Ale nie chciałem, aby mnie szufladkowano. Byłem w polityce po to, aby zrobić coś dobrego, coś, co musiało być ponadpartyjne. Nie interesowały mnie działania powstających partii, które w dużej mierze były pozorne. ROAD nie istniał zbyt długo, więc nie miałem problemu z rozstrzygnięciem, czy chcę w nim dalej uczestniczyć.

Rozpoczęcie działalności przez gminy stworzyło nową sytuację i postawiło przed rządem nowe zadania. 15 czerwca, bezpośrednio po wyborach, przedstawiłem Radzie Ministrów memorandum. Stwierdziłem w nim, że:

1. przywrócenie samorządu to wielkie osiągnięcie na drodze przemian ustrojowych,
2. wybory dopiero rozpoczęły reformę i ten proces będzie trwał długo,
3. rady gminne stanowią nową i nieznaną dotąd siłę społeczną i polityczną, która będzie motorem dalszych przemian i będzie wpływała na ustrój polityczny Polski,
4. rząd nie ma możliwości władczego oddziaływania na gminy, dlatego należy opracować założenia polityki rządu w stosunku do samorządów i konieczne jest stworzenie zupełnie nowej formy współdziałania z władzami lokalnymi.

W związku z tym rząd musi załatwić cały szereg spraw praktycznych: doprowadzić do końca prace legislacyjne oraz przemiany własnościowe; wspierać rozwój finansów lokalnych, autonomię, ruchy społeczne, instytucje lokalne. I trzeba kształcić ludzi. Nowi radni przystąpili do pracy na ogół z wielkim zapałem, ale nie wiedząc, jak mają rozwiązywać sprawy lokalne. Żadnego doświadczenia.

Postulowałem, by podjąć pracę nad stworzeniem stałego organu rządowego do spraw samorządu terytorialnego. Problemy te obejmują tak szeroki wachlarz spraw, że nie można ich rozwiązać z pomocą niewielkiego biura w URM.

Rada Ministrów dokument ten przyjęła do wiadomości, ale nie uruchomiono żadnych działań. Grupa antysamorządowa w URM była wystarczająco silna, aby wszystko blokować, a znaczenia reformy nikt nie rozumiał. Pamiętam dyskusję na posiedzeniu Rady Ministrów, kiedy minister Cywińska wniosła, żeby obniżyć czynsze wynajmu lokali dla artystów. Premier był gotów się zgodzić i wydać odpowiednie rozporządzenie. Zabrałem głos i powiedziałem: „Panie premierze, pan nie ma prawa tego zrobić. Rząd już nie jest właścicielem tych budynków i nie może wybiórczo określać, kto ma płacić mniej, a kto więcej”. Stwierdzenie, że premier nie może nic nakazać wójtom, stanowiło kompletne zaskoczenie. Nie uświadamiano sobie zmian.

Kwestia upadła. To była sprawa marginalna, chociaż istotna dla pewnej grupy ludzi. Ale niezrozumienie znaczenia samorządu i nadania prawa własności gminom miało dalej idące konsekwencje. Dotyczyło to zwłaszcza przekształceń własnościowych podejmowanych w związku z przekształceniami przedsiębiorstw. Prowadził je Waldemar Kuczyński w Ministerstwie Przekształceń Własnościowych, który zupełnie nie rozumiał istoty naszej reformy.

Zgodnie z założeniami reformy podstawowa masa gruntów państwowych powinna przejść we władanie gmin, aby stworzyć podstawy do właściwego sterowania rozwojem miast i gmin. Jednak bardzo poważne zasoby gruntów państwowych były w dyspozycji przedsiębiorstw, dane im jako rezerwy dla ich dalszego rozwoju. Uważałem, że powinny one znaleźć się w rękach gmin, a nie być zamrożone w rękach przedsiębiorstw. Dlatego też w ustawie znalazł się zapis mówiący, że grunty niewykorzystywane zgodnie z przeznaczeniem powinny być na wniosek gmin im przekazane. Chodziło o bardzo poważne powierzchnie, chociaż trudne do określenia. Niestety, sprawy potoczyły się inaczej. 5 grudnia 1990 roku doprowadzono do zmiany ustawowej, w wyniku której przedsiębiorstwa stały się na mocy prawa właścicielami majątku, którym zarządzały i który użytkowały. W ten sposób uzyskały one bardzo poważną część majątku państwowego. O ile było to uzasadnione w odniesieniu do majątku produkcyjnego, o tyle było zupełnie niewłaściwe przekazywanie im majątku nie związanego z ich działalnością, którym dysponowały tylko dlatego, że kiedyś ktoś przekazał im go w zarząd. Oczywiście nikt nie poinformował mnie o takim zamierzeniu i dowiedziałem się o nim w chwili głosowania w Sejmie.

Takie generalne rozdysponowanie poważnej części majątku państwowego miało w wielu przypadkach fatalne skutki. Na własność przedsiębiorstw przechodziły lokalne kotłownie, oczyszczalnie ścieków komunalnych, budynki mieszkalne czy

usługowe. W efekcie pewne przedsiębiorstwa stały się właścicielami ogromnego majątku, który wykorzystywano, aby przedłużyć życie nierentownym zakładom. Najlepszym przykładem jest Stocznia Gdańska, która przejęła na własność ogromne tereny miejskie. Zostały sprzedane, a uzyskane pieniądze – przejezione. Wiele terenów i budynków stało się szybko własnością prywatną poprzez kolejne przekształcenia i prywatyzację. Te wszystkie operacje pozbawiły gminy mienia, które zgodnie z pełnionymi funkcjami powinno być mieniem komunalnym.

Płaszczyzną konfliktu między zwolennikami reformy samorządowej a jej przeciwnikami był także podział zadań i uprawnień. Wiele kompetencji, które kiedyś należały do gmin, jako organów administracji państwowej, zostało obecnie zatrzymanych w rękach województw i nowo powstałych rejonów jako zadania administracji rządowej. W efekcie gminy w nowym ustroju miały mniejsze kompetencje niż w PRL. Było to odbierane jako ograniczenie samorządności. Ustawa stwarzała jednak możliwości przekazywania ich samorządom gminnym. Wszyscy spodziewaliśmy się, że to przekazywanie obejmie szeroki zakres spraw. Jednak istniejące lobby administracyjne starało się możliwie ograniczyć czy nawet zahamować ten proces.

Pierwsza publiczna konfrontacja nastąpiła w Poznaniu 26 lipca. Po wyborach mocno naciskałem premiera, aby dokonał jakiegoś gestu podkreślającego rolę samorządów. Chciałem, by pojechał na pierwsze spotkanie przewodniczących sejmików wojewódzkich. Nowym działaczom samorządu bardzo na tym zależało. Przewodniczący sejmiku poznańskiego, a późniejszy przewodniczący sejmiku krajowego, Piotr Buczkowski, oraz przedstawiciele kilku innych województw przyjechali do Warszawy, by osobiście zaprosić premiera. Patrząc na nich, zdawałem sobie sprawę, że są to ludzie, którzy w ciągu paru tygodni zrobili nieprawdopodobną karierę. W końcu maja zostali wybrani na radnych, na posiedzeniu rad – na delegatów do sejmików wojewódzkich, a dwa tygodnie potem, na posiedzeniach tych sejmików – na ich przewodniczących. Wreszcie, na zjeździe ogólnopolskim, zostali wybrani do władz sejmiku krajowego, stając się przedstawicielami całego ruchu samorządowego w Polsce. W ciągu dwóch miesięcy, przechodząc czterokrotne wybory, osoby całkowicie prywatne stały się liderami w skali kraju. Podziwiałem, jak szybko – nie mając dotąd nic wspólnego z administracją – odnajdywali się w nowej roli. Byłem dla nich pełen uznania.

Wiedziałem też, że rozmowa z premierem to dla nich ogromne przeżycie. Jednak pojawił się zgrzyt. Przedstawiciele sejmików wystąpili z krytyką rządu za rzekomą opieszałość. Zupełnie zignorowali fakt, że samorządy powstały właśnie dzięki pracy rządu i osobistej pomocy premiera. W pewnym stopniu krytyka była uzasadniona, bo działalność Ambroziaka i Kołodziejskiego stanowiła hamulec. Jednak był to nietakt. Należało zacząć od podziękowania za to, że w ogóle istnieją. Reakcja Mazowieckiego była ostra. Znalazłem się w trudnej sytuacji. W rozumieniu pre-

miera odpowiadałem za nich. Jeśli oni zaczęli od krytyki, to musiał to odbierać jako potwierdzenie tego, co mu do ucha wkładali moi adwersarze: dzięki reformie stworzono nowych wrogów rządu!

W ciągu godzinnej rozmowy starałem się odrobić skutki niefortunnego wystąpienia. W końcu Mazowiecki przyjął zaproszenie, pojechał do Poznania i wygłosił tam bardzo dobre przemówienie. Jednocześnie wszelako Ambroziak i Kołodziejski przedstawili koncepcję tworzenia rejonów i związanego z tym podziału kompetencji, która w zasadniczy sposób odbiegała od prosamorządowego przemówienia premiera. Hasło rozdziału administracji gminnej i rządowej interpretowano następująco: skoro gminy są samorządne, to niech sobie radzą same, nie należy im pomagać, odwrotnie – należy je ograniczać, ponieważ stały się zagrożeniem dla administracji państwowej. Zostało to fatalnie przyjęte przez działaczy samorządowych, ponieważ okazywało się, że aparat wykonawczy URM realizował co innego, niż zapowiadał premier. A to podrywało jego wiarygodność. Przykro mi było słuchać komentarzy w kuluarach. Przyniosło to skutek w czasie wyborów prezydenckich, w których większość działaczy lokalnych opowiedziało się za Wałęsą, a więc przeciwko rządowi, który samorządność wprowadził.

Zaraz po wyborach musiałem rozwiązać zupełnie nowe zadania. Zgodnie z ustawą wszystkie przedsiębiorstwa, które były administrowane przez gminy, przechodziły automatycznie na ich własność. Premier mógł jednak w drodze zarządzenia określić listę wyjątków. Musiał to zrobić, ponieważ w kraju istniało wiele przedsiębiorstw, które nie powinny zostać przekazane. Musiałem to rozporządzenie przygotować wraz ze swoim biurem. Ale skąd miałem wiedzieć, które przedsiębiorstwa powinny pozostać państwowymi? Nie mogłem się pytać Kołodziejskiego, bo on by natychmiast wszystko zablokował. Nie miałem więc dostępu do wojewodów. Uruchomiłem swoich delegatów i sam patrząc w sufit, decydowałem. Widać, miałem dobrego nosa, bo nie było kłopotów.

Po PRL odziedziczyliśmy straszny bałagan prawny. Gdy określaliśmy zasady komunalizacji przedsiębiorstw, to chcieliśmy wykorzystać pojęcie przedsiębiorstw użyteczności publicznej. Te przedsiębiorstwa, nie nastawione na zysk, lecz na obsługę mieszkańców, powinny być przekazane gminom. Ale nie istniał żaden wykaz tych przedsiębiorstw. W ostatniej chwili przed wpisaniem wspomnianej zasady do ustawy okazało się, że status ów nadano również kopalniom węgla, bo były z nim związane jakieś przywileje. A kopalnie w sposób oczywisty nie mogły być uznane za przedsiębiorstwa użyteczności publicznej, a więc świadczące usługi dla ludności. To spowodowało, że tego dość jasnego kryterium przyjąć nie mogliśmy, bo zostało całkowicie wypaczone.

Sprawy dalszych przekształceń zaczęły napotykać coraz większe opory. W ślad za utworzeniem samorządowych władz gminnych trzeba było zreorganizować administrację rządową celem wykonywania tych zadań, które pozostały w kompetencjach rządu i jego administracji. Szef administracji rządowej przedstawił alternatywę: albo skumulowanie tych wszystkich funkcji w województwie z możliwością tworzenia delegatur w mniejszych miastach, albo stworzenie rejonów, czyli nowego szczebla jednostek administracyjnych. Optowałem za koncepcją delegatur, która byłaby rozwiązaniem elastyczniejszym i pozostawiała miejsce na przyszłe powiaty.

Przegrałem tę sprawę. Może moja wina, że nie postawiłem się dość ostro. Ale trzeba pamiętać, że cała koncepcja reformy samorządowej była popierana przez bardzo niewielką liczbę osób, że musiałem iść na różne kompromisy, aby ocalić to, co najważniejsze. Przeciw mnie stanęło całe środowisko prawnicze, myślące w kategoriach państwa scentralizowanego i instancji administracyjnych. Istotą problemu była wszakże walka o władzę. Rejony się rozpychały, chcąc ograniczyć zakres działania gmin, traktowanych jako konkurencja w stosunku do dotychczasowej administracji. Rejony czuły się mocne, bo z jednej strony gminy były jeszcze słabe, a z drugiej czuły poparcie Kołodziejskiego i dawnych towarzyszy z PZPR. Walka o rygorystyczne przestrzeganie przez rejony granic swoich kompetencji stała się kluczową walką o utrzymanie samorządności w drugim półroczu 1990 roku.

Kołodziejski przeforsował to, że rejony uzyskały uprawnienia ustawowe, i wykorzystał, aby dać zatrudnienie ludziom dawnej administracji PRL, których powyrzucały komitety obywatelskie z gmin. Otworzył się nowy front, którego wcale nie powinno było być.

Postawa samorządów w tej sprawie szła dwoma torami. Z jednej strony walczono o siedzibę administracji rejonowej jako czynnik prestiżu i zatrudnienia, a z drugiej protestowano przeciw zamachowi na samodzielność gmin. Pierwszy zaprotestował sejmik wojewódzki w Toruniu, potem gminy województwa suwalskiego. Mieszkańcy Sędziszowa urządzili strajk okupacyjny w Urzędzie Miasta. Zakłady w Sochaczewie zagroziły strajkiem. W gminie Niedrzwica w Lubelskiem ludność zagroziła blokadą dróg, protestując przeciwko „ograbianiu gminy z dotychczasowych kompetencji”. Rada miejska w Chełmie podjęła uchwałę zakazującą burmistrzowi podpisania porozumienia w sprawie utworzenia rejonu. We Wrocławskim protestowano przeciw temu, że kierownicy rejonów to najczęściej „byli naczelnicy i przewodniczący rad narodowych”, nomenklatura, która chce się urządzić w nowych układach. Mieszkańcy gminy Brenna sprzeciwili się finansowaniu rejonu przez gminę. Rozpętała się masa konfliktów. Przyszłość miała wykazać, że rejony stanowią jedno z trzech (obok finansów i komunalizacji mienia) pól konfliktów. I to zupełnie zbędnych.

Nie istniała zgodna polityka rządu w tym zakresie, a Kołodziejski i cała grupa antysamorządowa przystąpili do kontrakcji. Zorientowali się, jak wielkim zagrożeniem jest dla nich samorząd. Wczesną jesienią Kołodziejski wygłosił na posiedzeniu Rady Ministrów przemówienie o arogancji samorządów terytorialnych, które żądają władzy i które trzeba w tych roszczeniach poskromić. 14 sierpnia wystosował do wojewodów pismo przeciwko zlecaniu gminom spraw będących dawniej w gestii gmin, a teraz przeniesionych do rejonów. Było to odebrane jako obowiązująca instrukcja. Na początku września na spotkaniu z wojewodami Ambroziak zagroził, że będzie zwalniać moich delegatów, jeśli będą się zbyt wycofywać. Nawiasem mówiąc, nie miał prawa ich zwalniać, bo to ja, jako pełnomocnik rządu, ich powoływałem i nie podlegali oni URM-owi. Jednak skutek był taki, że po tej odprawie wojewodowie zrywali przyjęte już ustalenia.

„Gazeta Wyborcza” cytowała słowa burmistrza Brwinowa: „Rząd uwiązał nas na krótkiej smyczy, mówiąc: »Macie tyle samorządności, ile wam damy«”. Mieszkańcy Paczkowa przedtem wszystko załatwiali u naczelnika w gminie, a teraz musieli jeździć 40 kilometrów do Opola. Ludzie nie bez nostalgii wspominali czasy, kiedy po pozwolenie na budowę szło się do naczelnika. Przeciętny obywatel nie rozumiał subtelności podziału kompetencji samorządu i administracji rządowej. Ludzie przychodzili ze skargami do burmistrza, jak kiedyś do naczelnika, i okazywało się, że nie jest on władny im pomóc. O to chodziło wrogom reform. Rejony to był koń trojański administracji rządowej.

W swoim archiwum znalazłem notatkę podpisaną przez grupę przewodniczących sejmików i moich delegatów. Dotyczy ona protestu przeciw polityce personalnej przy obsadzaniu stanowisk w rejonach i w urzędach wojewódzkich. Kołodziejski jeździł po Polsce wraz z ówczesnym dyrektorem kadr URM, pochodzącym z dawnego reżimu, i obsadzał stanowiska ludźmi z dawnej administracji. Protestowali przeciw temu nasi nowi samorządowcy. Ale ich nie słuchano. Ruch samorządowy nie miał przełożenia na zachowania ani liderów politycznych, ani ludzi na kierowniczych stanowiskach w Warszawie.

Opór wobec decentralizacji państwa był powszechny. Rozwój samorządów oznaczał, że część uprawnień i zadań resortów powinna zostać im przekazana. Ale nikt nic oddawać nie chciał. Podjąłem próbę przekazania gminom uzdrowisk. Do tej pory były to przedsiębiorstwa państwowe, podległe Ministerstwu Zdrowia. Stanowiły one udzielne księstwa, kierowane oczywiście przez miejscową nomenklaturę. Prowadziły sanatoria i hotele, zajmowały się lokalną kulturą, miały własne przedsiębiorstwa budowlane. I same kontrolowały swoje zużycie zasobów środowiska. Chciałem je zdekomponować. Podstawowe funkcje i majątek przekazać gminom, część sprywatyzować. I natrafiłem na generalny opór. Ministerstwo walczyło o utrzymanie dwóch departamentów i możliwości obsadzania stanowisk.

Miejscowi notable walczyli o władzę, związki zawodowe – o utrzymanie przywilejów. Nawet lekarze protestowali, bo woleli mieć angaże z ministerstwa niż od wójta. Przegrałem. Przegrałem też próbę skomunalizowania Funduszu Wczasów Pracowniczych. Dziś z przykrą satysfakcją widzę, jak wielką miałem wtedy rację i jak wielki majątek mógłby zostać ocalony. Ale trudno, pewnych spraw nie można załatwić, zanim nie zostaną zrozumiane.

Moja sytuacja stawiała się bardzo trudna. Nie miałem wpływu na działania Kołodziejskiego, którego wspierał Ambroziak. Ale w odczuciu społecznym to ja właśnie byłem za to obciążany, bo pretensje o wszystko, co działo się z samorządem, adresowano do mnie. Jednocześnie poczuwałem się do lojalności w stosunku do rządu, a przede wszystkim do Mazowieckiego. Stawiano mnie jednak wobec faktów dokonanych, przekazywano wojewodom instrukcje, bez informowania mnie o nich, byłem niezorientowany, traciłem prestiż. Mimo lojalności uznałem w pewnym momencie, że muszę się zacząć odcinać od działań URM.

Zacząłem się dystansować wobec pewnych decyzji i wtedy zostałem zaatakowany przez kolegów, że jestem nielojalny w stosunku do rządu i premiera. W końcu września doszło do dramatycznej rozmowy z premierem – powiedziałem, że rezygnuję z funkcji, bo w takich warunkach nie mogę pracować, tylko nie chcę złożyć rezygnacji w czasie prezydenckiej kampanii wyborczej. Byłoby to potraktowane jako skrajna nielojalność i ucieczka z tonącego okrętu. Powiedziałem, że odejdę natychmiast, gdy Mazowiecki zostanie prezydentem. Jeszcze wtedy w to wierzyłem. Chyba zostałem zrozumiany przez premiera, ale tylko do pewnego stopnia, bo z drugiej strony cały czas szła indoktrynacja. Minister Kołodziejski na posiedzeniach Rady Ministrów gromkim głosem wołał o braku szacunku dla rządu, o dążeniu samorządów, by wszystko przejąć i zanarchizować państwo. Nie wiem, co nim kierowało. Myślę, że wizja władzy. Władzy państwa, władzy Urzędu, interesy pewnej grupy – sposób myślenia. Po prostu nie mieściło się mu w głowie, że można oddać część władzy, uszczuplić uprawnienia rządu.

Warto tu odnotować wydarzenie, które dobrze ilustruje nastawienie do reformy samorządowej i absolutne niezrozumienie jej znaczenia. Z okazji pierwszego roku funkcjonowania gabinetu, PAP wydała we wrześniu książkę omawiającą jego dorobek. Ze zdziwieniem zobaczyłem, że w całym omówieniu nie ma śladu o reformie samorządowej, o powołaniu mego urzędu, o wyborach. Nic. Za to bardzo dużo o ówczesnej rzeczniczce prasowej rządu, Małgorzacie Niezabitowskiej. Ale to nie była tylko jej wina. Przecież ten materiał musiał być czytany przez wiele osób. A więc albo rzeczywiście nie rozumiano znaczenia samorządu, albo nie chciano, aby ta reforma zaistniała w świadomości społecznej. Sądzę, że obie przyczyny zaistniały jednocześnie.

Wraz z realizacją reformy wybuchało coraz więcej konfliktów. W Białymstoku kierowcy autobusów miejskich podjęli strajk głodowy przeciw przejęciu przez miasto ich przedsiębiorstwa. Dawniej należało ono do państwa, a więc praktycznie było niczyje. Prezydent miasta jako nowy właściciel zapowiedział, że ludzie mają pracować lepiej, że nie będzie dopłacał do ich działalności z budżetu miasta, bo musiałby zabrać pieniądze innym, że przewiduje reorganizację przedsiębiorstwa i częściową prywatyzację, że nie będzie dopłacał do ich ośrodków wczasowych. Odpowiedzią był strajk zorganizowany przez Solidarność, lokalnie przeciwstawiającą się reformom, które równocześnie w skali kraju popierała.

Narastał konflikt wokół decentralizacji oświaty. Jakkolwiek w naszej ustawie było zapisane, że szkoły podstawowe należą do gmin, to realizacja tej regulacji została odłożona. Dano tylko gminom prawo do przejmowania szkół dobrowolnie na własne ryzyko. Jednocześnie administracja oświatowa prowadziła propagandę, aby gminy do tego zniechęcać. Na wsiach i w małych miastach kierownictwo szkół często było powiązane z nomenklaturą. Poza tym nauczyciele bali się, że będą uzależnieni od wójta i od rodziców. Woleli zachowywać dotychczasową niezależność. Również chodziło o uposażenia.

Druga połowa roku zwiększyła rolę moich delegatów i ich zadania. Już nie chodziło o dyskusje o samorządzie i zachęcanie ludzi do udziału w wyborach. Rola delegatów polegała teraz na wspieraniu gmin i wskazywaniu właściwych sposobów rozwiązywania występujących trudności. Ale do tego nikt nie był przygotowany. Nie byłem przygotowany i ja. Była to wielka improwizacja. Janek Król świetnie kierował całą siecią, chociaż sam nie miał żadnego doświadczenia samorządowego. Zadania były naprawdę trudne. Najpierw chodziło o ukonstytuowanie się władz. Było wiele konfliktów i zupełny brak umiejętności ich rozwiązywania. Potem przyszły problemy organizacji urzędów, podległych przedsiębiorstw i innych instytucji. Wkrótce musieliśmy zająć się budżetem, a do tego trzeba było nauczyć się gospodarki finansowej. Należało zorganizować przejęcie mienia i stworzyć system zarządzania nim. I to mieli zrobić ludzie bez żadnego przygotowania administracyjnego i wsparcia.

A jednocześnie nadal tworzono złą atmosferę wokół moich delegatów i starano się im utrudniać życie. Byli oni solą w oku administracji rządowej. A przecież robili kolosalną robotę i nie wyobrażam sobie, jak bez nich w ogóle można byłoby zorganizować samorząd. Byli żołnierzami pierwszej linii, którzy inicjowali działania w terenie, wspierali lokalne inicjatywy i pomagali nowym radom gminnym w uruchomieniu swej działalności. Stare wzory należało odrzucić, a nowych nie było. Wszystko było improwizacją, ale właśnie ona decydowała o sukcesie i kierunkach rozwoju budowanego ustroju. Poszczególni delegaci podejmowali wiele inicjatyw, wydawali własne publikacje, opracowywali instrukcje, ale przede wszystkim jeź-

dzili po gminach i rozmawiali, tłumaczyli i zachęcali. Dzisiejsze gminy tym właśnie ludziom zawdzięczają bardzo wiele.

Szczególnie trudnym zadaniem było przejście przez gminy majątku państwowego na własność. Ustaliliśmy w tej sprawie mechanizm postępowania, całkowicie zdecentralizowany. Gminy robiły inwentarz tego, czym dotąd zarządzały, i występowały do wojewody o przekazanie im tego. Jeśli wojewoda się zgadzał, to sprawa szła wprost do notariusza. Jeżeli miał zastrzeżenia, to sprawę rozpatrywała najpierw komisja przy premierze, a potem ewentualnie sądy. To była pierwsza quasi-prywatyzacyjna operacja. Majątek państwa przechodził w nowe ręce. Gminy przejęły kilka milionów nieruchomości. Ale cała operacja została przeprowadzona tak sprawnie, że zupełnie nie trafiła do świadomości społecznej. A operacja była naprawdę wielka.

Reforma samorządowa budziła coraz większe zainteresowanie za granicą. Oni doceniali wszelkie działania na rzecz zwiększenia udziału obywateli w sprawach publicznych. Stąd stałe wizyty u mnie zarówno przyjezdnych ekspertów, jak i dyplomatów akredytowanych w Warszawie. Niektóre z tych kontaktów przerodziły się w bliskie kontakty osobiste. Chciałoby się powiedzieć: przyjaźnie, ale przyjaźnie w świecie dyplomacji nie istnieją, jak mogłem się wielokrotnie o tym później przekonać. Byliśmy bardzo blisko z ambasadorem Austrii Gerhardem Wagnerem i jego żoną Christine, a także z ambasadorem Szwajcarii Richardem Gaechterem i ambasadorem Danii Nielsem Helskovem. Miłe stosunki nawiązaliśmy z kolejnym ambasadorem USA, Thomasem Simonsem.

Pierwsze zaproszenia oficjalne otrzymałem od Anglików już w końcu 1989 roku. Wyjazd do Londynu był dużym przeżyciem – oficjalne przyjęcie na lotnisku, dobry hotel, rozmowy z ministrami. Zobaczyłem, jak pracuje ich administracja. Do Anglii pojechałem rok później po raz drugi. Odebrałem wówczas nagrodę na Politechnice w Leicesterze. Udekorowali mnie piękną stulą Senior Academic Award, co stanowiło odpowiednik doktoratu *honoris causa*.

Danka nawiązała kontakty z lokalnymi władzami, które umożliwiły wizytę nauczycielek z Jeleniej Góry w następnym roku. Ta jej inicjatywa pozwoliła unaocznić tragiczny stan naszych małych szkół wiejskich. Władze hrabstwa wydelegowały swoją przedstawicielkę do Jeleniej Góry, aby poznała potrzeby. Objechała wraz z Danką region i w następnym roku cały autokar nauczycielek za pieniądze ambasady brytyjskiej pojechał do Anglii. Wrócił wyładowany prezentami i wyposażeniem dla szkół. Najcenniejsze okazały się materace do sal gimnastycznych, bo do tej pory dzieci fikały koziołki wprost na betonie. Ten wyjazd zapoczątkował wieloletni program pomocy nauczycielkom, jaki Danka zainicjowała w ramach Rady Polek.

Ambasador Gaechter zaprosił mnie do Szwajcarii. Pierwszym punktem podróży była wizyta w małej gminie wysoko w górach. Gmina liczyła kilkuset mieszkańców. Mer przywitał mnie z wielką godnością, ale w bezpośredni sposób, charakterystyczny też i dla naszych górali. Zapytałem go, jakie gmina wykonuje zadania. Odpowiedział, że wszystkie te, które są potrzebne ludziom. Zapytałem więc, ile osób zatrudnia. Odpowiedział, że dziesięć, ale część pracuje tylko po parę godzin, więc to odpowiada sześciu i pół etatom. Byłem zaskoczony i zacząłem się dopytywać o szczegóły. „A akty stanu cywilnego?” „Oczywiście” – odpowiedział. „Mam starszą panią. Przychodzi co drugi dzień na parę godzin i zapisuje nowe dzieciaki”. „Ale policji to pan nie ma!” – myślałem, że jednak go na czymś przyłapię. „Oczywiście, że mam policjanta – odparł lekko urażony – i to na cały etat! Odpowiada za porządek. Chodzi stale po wsi, wszystko sprawdza, roznosi listy, a przy okazji robi odczyty z wodomierzy! A jeśli byłaby potrzeba, to zatelefonuje i za 10 minut mam ekipę policyjną. Ale nie pamiętam, żeby taka potrzeba była kiedykolwiek” – od razu się zastrzegł. Gmina zarządzała całą infrastrukturą, ale poprzez wyspecjalizowane przedsiębiorstwa i instytucje. Tak było prościej, efektywniej i taniej.

Ostatnia moja wizyta jako ministra odbyła się w grudniu 1990 roku. Poleciałem do Moskwy na zaproszenie amerykańskiego Instytutu Demokratycznego, stanowiącego zaplecze badawcze Partii Demokratycznej. Instytutowi szefował Walter Mondale, były wiceprezydent Stanów Zjednoczonych. Spotkanie miało na celu przedstawienie radzieckim merom zasad i zalet ustroju demokratycznego. Jako jedyny reprezentowałem kraj postkomunistyczny. Pozostałych kilkanaście osób było z Europy Zachodniej i Ameryki, które zupełnie nie rozumiały sowieckiego ustroju. Dyskusja stała się absurdalna, gdyż okazało się, że ustrój radzieckich gmin różni się od brytyjskich i amerykańskich tylko liczbą radnych zasiadających w poszczególnych gminach. Wszyscy używali podobnych słów, ale przywiązywali do nich zupełnie inną treść, wynikającą z własnych doświadczeń. I wtedy użyłem porównania naszej dyskusji do rozmowy telefonicznej Eskimosa i Afrykanina na temat słonecznego dnia, o którym pisałem już wcześniej.

Na oficjalnej kolacji z Mondale’em nie zaproszono mnie do głównego stołu, tylko posadzono w tłumie innych osób. Ze względu na swoją oficjalną funkcję uznałem to za błąd organizatorów, który powinien być skorygowany. Trzeba się samemu szanować, jeśli się chce, żeby nas inni szanowali. Przy pierwszej okazji wstałem i wygłosiłem toast z podziękowaniami za zaproszenie. Zacząłem przemówienie tak: „Jako minister polskiego rządu chciałem...”. Poskutkowało. Mondale specjalnie się do mnie później zwracał i sadzali mnie na pierwszych miejscach.

Mieliśmy wielką pomoc z wielu źródeł. Ale i wiele nieporozumień. Typowy przykład stanowiła pomoc z Genewy. Rok wcześniej Haegi, minister w rządzie Republiki i Kantonu Genewy (bo to się tak nazywa!), jako pierwszy zgłosił gotowość

zorganizowania stałej misji w Polsce. Przyjechał bardzo miły Szwajcar o pięknym nazwisku St. Ouin i przez cały rok bardzo aktywnie nam pomagał. Ale po roku przysłano następnego, który uważał, że wszystko wie, a my nic. I zamiast z nami dyskutować i uzgadniać plan pomocy, postanowił, że trzeba zrobić needs assessment, czyli badanie potrzeb. Zaczął jeździć po kraju i pytać się wójtów oraz radnych, czego nie wiedzą i czego chcieliby się nauczyć. To było bez sensu. Nasi samorządowcy nie byli jeszcze na tym poziomie, żeby wiedzieć, czego nie wiedzą. Bo żeby na to pytanie odpowiedzieć, trzeba umieć określić, jaki jest zasób wiedzy, który powinni uzyskać, umieć zdefiniować, co już wiedzą, i dopiero wtedy można określić, czego powinni się nauczyć. Mówiliśmy o tym Szwajcarowi, ale on był mądrzejszy. Spędził kilka tygodni, jeżdżąc po kraju, i wydał na te podróże wszystkie pieniądze, jakimi dysponował na pomoc dla nas.

Innym wydarzeniem, które mi utkwiło w pamięci, była wizyta pewnego Amerykanina. Zapytał się, w czym może pomóc. Byliśmy akurat po wyborach i gminy pilnie potrzebowały statutów. Powiedziałem mu o tym. Był zachwycony. Wyjechał. Zjawił się po pół roku i od drzwi wołał, że wszystko załatwił. Zapytałem, co takiego, bo ja o nim zapomniałem. Powiedział, że ma pieniądze i ekipę i w przyszłym roku gotów jest nam zorganizować opracowanie statutów. Rozłożyłem ręce, bo gminy już statuty miały, bo je musiały opracować w kilka tygodni. Był zrozpaczony. To jest przykład, jak nasi przyjaciele zupełnie nie rozumieli ani skali, ani tempa przemian. Myśmy zmieniali ustrój państwa w kilka miesięcy.

W tym okresie problem wspierania powstających władz lokalnych był najważniejszym zadaniem. FRDL odgrywała tu kluczową rolę. Instytucja powoli się stabilizowała. Będąc w rządzie, musiałem jednocześnie nadzorować jej rozwój, bo pozostali fundatorzy nie bardzo się do tego kwapili. Dyskutowaliśmy z Walerkiem Pańką o tym, czym Fundacja powinna być i jaką przyjąć strukturę. Walerek chciał, abyśmy byli jednostką rozdzielającą pomoc finansową, a więc żebyśmy zabiegali o granty i uzyskane pieniądze rozdzielali innym. Ja reprezentowałem inną koncepcję. Chciałem, abyśmy zbudowali sieć ośrodków szkoleniowych i abyśmy sami te szkolenia prowadzili, oferując gminom nie pieniądze, lecz wiedzę. Cieszę się, że to przeforsowałem. W innym przypadku fundacji już by nie było, bo darczyńcy nie potrzebują pośredników.

Mieliśmy ogromne kłopoty ze znalezieniem kierownika. Nikt się nie palił do pracy w organizacji pozarządowej. To nie wyglądało na poważną propozycję. Pierwszym dyrektorem w 1989 roku został Krzysztof Herbst, zaprzyjaźniony socjolog. Odegrał dobrą rolę w pierwszych miesiącach, gdy FRDL była organizacją wolontariuszy. Ale w miarę wzrostu zadań i dostępnych środków okazało się, że zadaniem dyrektora jest przede wszystkim zarządzanie instytucją. A to już nie leżało Krzysztofowi. Półeczkę przejął Ludwik Biegański, ale też na chwilę. Trzecim dy-

rektorem została Maria Ptaszyńska, adiunkt z mego zakładu w PAN. Przetrwiała cztery lata i stworzyła podstawy organizacyjne Fundacji.

Fakt, że byłem jednocześnie na stanowisku rządowym i prezesem fundacji, stwarzał wiele udogodnień, ale i problemów. Miałem do dyspozycji nie tylko rządowy, ale i pozarządowy aparat wspierający reformę i pomagający gminom. Był on elastyczny, bo nie podlegał ograniczeniom administracyjnym. Ale mogłem być łatwo oskarżany o wykorzystywanie stanowiska do wspierania rozwoju Fundacji. To było prawdą, bo rozwój Fundacji i jej zdolności szkoleniowych miał kluczowe znaczenie dla powodzenia reformy. Dlatego jeżdżąc po kraju, wspierałem organizacje ośrodków regionalnych Fundacji i bardzo dbałem, aby rozwijały one współpracę z delegatami. Dzięki temu delegaci otrzymywali istotną pomoc w realizowaniu swych zadań. Fundacja miała bowiem środki na szkolenia, którymi aparat rządowy nie dysponował.

Powstał jednak poważny problem, gdy zacząłem dysponować dużymi pieniędzmi na wsparcie reformy. Zaraz po objęciu funkcji wystąpiłem do Ministerstwa Nauki o przyznanie specjalnego funduszu na szkolenia samorządowe. Wystąpiłem o niebotyczną sumę pięciu miliardów złotych. Po wprowadzeniu wymiennalności złotego odpowiadała ona 500 tysiącom ówczesnych dolarów. W URM śmiano się z mojego optymizmu, ale tę sumę dostałem i w połowie roku wpłynęła na odrębny rachunek. Należało ją jednak wydać w ramach roku budżetowego. Musiałem się spieszyć. Rozpuściłem więc wiadomości, że są pieniądze i że można składać wnioski na projekty. Zaczęły wpływać, choć nie było wiele instytucji zdolnych do szkoleń. Fundacja ze swoją tworzącą się siecią stanowiła najpoważniejszą instytucję, ale tu konflikt interesów był oczywisty. Byłem prezesem Fundacji i jednocześnie rozdzielałem pieniądze, o które Fundacja się ubiegała. Nie mogłem zrezygnować z decydowania ani też nie mogłem wykluczyć Fundacji. W normalnych warunkach sytuacja taka byłaby nie do przyjęcia. Ale wtedy była rewolucja...

Postanowiłem podjąć wyzwanie. Wnioski z Fundacji składał nie zarząd, ale ośrodki regionalne. Rozpatrywałem je osobiście, stosując identyczne kryteria w stosunku do wszystkich instytucji, i bardzo dbałem, aby nie faworyzować Fundacji. Nadzór nad wykorzystaniem przyznanego pieniędzy i realizacją projektów powierzyłem delegatom regionalnym. Nie było żadnych skarg ani afer i te środki odegrały poważną rolę w sukcesie reformy. Był to zresztą jedyny przypadek wsparcia przez państwo realizacji reformy.

Ale wojna na górze wchodziła w swój szczytowy moment. Nadchodziły wybory prezydenckie i zaczynała się kampania. Nie angażowałem się w nią za bardzo, bo uznałem, że to może się klócić z moim podstawowym zadaniem, za jakie uważałem rozwój samorządów. Chciałem utrzymać swój apolityczny charakter. Ale jak przyszłość miała pokazać, zostałem zaklasyfikowany jako człowiek Mazowieckiego.

Zresztą czułem się z nim silnie związany i z nim byłem swym sercem, a nie z Wałęsą, chociaż bardzo go szanowałem i ceniłem.

Wziąłem udział w otwarciu kampanii na Politechnice Warszawskiej. Pojechałem też z premierem i całą ekipą do Poznania. Po drodze na stacjach, gdzie się pociąg zatrzymywał, grupy zwolenników wiwatowały na cześć Mazowieckiego. Odniosłem wrażenie, że się tego nie spodziewałem, bo nie był dobrze przygotowany do odpowiedzi na te okrzyki.

Rozmawiałem kilkakrotnie z premierem i z Henrykiem Woźniakowskim, który kierował kampanią. Staralem się ich przekonać, aby wykorzystali środowisko samorządowców. Przecież samorzady powstały dzięki rządowi i to należało ludziom uświadomić. Ale to nie znajdowało zrozumienia. „Propaganda” Kołodziejskiego przynosiła efekty. Ciągłe nie rozumiano tych kolosalnych zasobów energii, które zostały uruchomione dzięki odbudowie samorządności.

Niestety, wojna na górze dotknęła również moich delegatów. Część z nich była zwolennikami Wałęsy, inni – Mazowieckiego. Te różnice w orientacji politycznej złamały solidarność i spoistość sieci. Delegaci nie czuli się urzędnikami, lecz raczej lokalnymi politykami czy ludźmi, którym poruczono pewną misję.

Początkowo sądziłem, że Mazowiecki ma szansę, ale warunkiem był dobry wynik w pierwszej turze. W drugiej turze głosy oddane na innych kandydatów mogłyby zostać przeniesione na Mazowieckiego. Dochodziły mnie słuchy o kampanii prowadzonej przez Tymieńskiego. Ale nikt się nie spodziewał, że odniesie taki sukces. Ambroziak zorganizował wieczór wyborczy w pałacyku MSZ na Foksal. Był szampan, orkiestra, wiele osób. Ale szampana nie otwarto, gdy telewizja podała wstępne wyniki. To była katastrofa. Prawdziwy bal na Titanicu!

27.

**Dymisja – Co dalej? – Propozycja MSZ
(XII 1990-IV 1992)**

W

ynik wyborów prezydenckich przesądził dalszą moją przyszłość. Mazowiecki zadeklarował dymisję rządu. Uznał, że przy tak rażącym braku zaufania nie może rządzić nadal. Rozumiałem tę decyzję. Ale na pewno dla Polski byłoby lepiej, gdyby nadal kierował rządem. Transformacja dopiero się zaczynała. Osobiście traktowałem udział w rządzie jako realizację pewnej misji. „Zrób, co chciałeś” – powiedział Mazowiecki, gdy mnie mianował. I to robiłem, ale było oczywiste, że sprawa się nie zakończyła. Być może jednak miał rację, że w nowej sytuacji nie było szans na realizację rozsądnej polityki. Wałęsa na pewno nie współpracowałby z nim, chociażby po to, aby wykazać swoją niezależność. Ale znacznie gorsze było to, że za Wałęsą stali w tym czasie Kaczyńscy, którzy wykazali później, jak bardzo potrafią ludzi skłócać. Gdyby Mazowiecki prowadził rząd nadal, to przecież zrobiliby wszystko, aby go zniszczyć.

Deklaracja Mazowieckiego o dymisji rządu zaowocowała kompletną destrukcją gabinetu. Grudzień był makabryczny – statek tonął i ludzie zaczęli z niego wyskakiwać. Posypały się prośby o dymisje. Mazowiecki ich udzielał wszystkim, którzy o to prosili. Ambroziak był członkiem Rady Ministrów. Odchodził wraz z nią automatycznie. Kołodziejski natychmiast się zwolnił. Sądzę, że nie chciał być zwalniany przez następnego premiera, bo wtedy na pewno upubliczniona by została jego partyjna przeszłość i fakt uzgodnienia jego nominacji z PZPR.

Rozmawiałem z Jankiem Królem o tym, jak mamy postąpić. Uważałem, że nie powinniśmy ustępować. Przyszedłem, aby zrobić konkretną rzecz. Zadanie nie zostało zakończone. A to, że zmieniał się rząd, nie zwalniało mnie z obowiązku kontynuowania pracy. Powiedziałem, że chcę zostać, a jeżeli mnie zwolnią, to będą ponosić odpowiedzialność za niezakończenie reformy. Janek się ze mną zgodził – nie złożyliśmy prośby o dymisję.

W rządzie pozostawał Balcerowicz. On też nie zakończył reformy. Kiedyś, gdy mijaliśmy się na schodach, powiedział, że w nowym rządzie ranga mojego stanowiska zostanie podniesiona. Pełnomocnik będzie sekretarzem stanu, a nie tylko podsekretarzem, jak dotychczas. Ale to już mnie nie dotyczyło. Nie podjąłem żadnych kroków, aby się zbliżyć z nowym premierem. Uważałem, że albo uzna, iż jestem potrzebny, albo mnie zwolni. Nie było sensu o cokolwiek zabiegać, jeśli nie będzie zrozumienia dla konieczności dokończenia reformy.

Czekaliśmy więc z Jankiem na dalszy bieg wypadków. Wszystko się rozprzęgło. Czekać musieliśmy długo, bo Wałęsa obejmował swój urząd dopiero w Wigilię, potem mógł powołać premiera, który tworzył rząd i uzyskiwał aprobatę Sejmu. Wszystko to trwało. Ten czas wykorzystywałem na uporządkowanie spraw i pierwszą próbę podsumowania swojej działalności w ramach rządu. Opracowałem kilka notatek. Jedna była syntetycznym podsumowaniem naszych prac. Druga określała zadania, które zostały do wykonania, i podstawowe konflikty, które należało rozwiązać. Uważałem za niezbędne stworzenie stałego organu rządowego odpowiedzialnego za decentralizację kraju i rozwój samorządności. Sugerowałem, aby był to komitet przy Radzie Ministrów, w którym uczestniczyliby przedstawiciele najważniejszych resortów i który by kształtował politykę rządu w tym zakresie. Uważałem ponadto za konieczne stworzenie lokalnych komisji w celu rozwiązywania miejscowych konfliktów, które ciągle wybuchały. Proponowałem wreszcie podjęcie prac nad stworzeniem całościowej koncepcji finansów lokalnych.

Napisałem notatkę dla premiera Mazowieckiego na temat niewykorzystania w jego kampanii faktu przeprowadzenia reformy gminnej. Nastąpił przecież pierwszy istotny krok w decentralizowaniu państwa i jego transformacji. Nie wykorzystano szerokiego środowiska aktywistów lokalnych, które powinno być naturalnym sprzymierzeńcem rządu, ponieważ dzięki niemu zaistniało. Ale to były trochę nierealistyczne oczekiwania. Jeśli aparat rządu do tej pory nic o reformie nie mówił, nie chwalił się nią, lecz raczej przeciwnie – wygaszał zainteresowanie nią, to trudno byłoby nagle zupełnie przedstawić kierunek propagandy.

Nie tylko my czekaliśmy. Nikt nie wiedział, co będzie w przyszłości. Utkwiło mi w pamięci spotkanie u Witka Trzeciakowskiego. On był ministrem bez teki i zajmował się sprawami pomocy zagranicznej. Przez cały rok nie zainteresował się pomocą dla samorządów. Dopiero teraz zaprosił mnie na spotkanie i zapowiedział,

że będziemy się regularnie spotykać, a następne spotkanie będzie za kilka tygodni. Słuchałem i zastanawiałem się, o czym on mówi. Przecież za kilka tygodni żadnego z nas już w tym gmachu nie będzie. I rzeczywiście nie było.

Przed Świętami Mazowiecki zaprosił wszystkich ministrów na świąteczną kolację do rządowego hotelu na Parkowej. Było tam zaproszonych jedynie kilka osób nie będących konstytucyjnymi ministrami, co stanowiło wyróżnienie, ale była to kolacja pożegnalna i dość smutna. Na pamiątkę każdy wziął menu, na którym podpisali się wszyscy obecni.

W styczniu na premiera desygnowany został Jan Krzysztof Bielecki z nic nie znaczącej partii liberałów gdańskich. Stało się jasne, że będę odwołany. Któregoś dnia w gazecie ukazała się notatka, że moim następcą ma zostać Maciej Zalewski, bliski współpracownik Kaczyńskich. Jakież było moje zdziwienie, gdy kilka godzin później Zalewski zjawił się u mnie w biurze. „Jak pan słyszał na pewno, mam objąć po panu stanowisko. Może mi pan wytłumaczy, jakie są pana zadania” – oświadczył po wejściu do gabinetu. Nie poprosiłem go, by usiadł. Zimno oświadczyłem, że notatki w prasie nie są dokumentami i mało mnie interesują. Jak otrzyma nominację, to oczywiście mu stanowisko przekażę. „Ale najpierw proszę mi okazać decyzję premiera”. Wyszedł jak zmyty. To była wyjątkowa bezczelność. Nominacji nie dostał.

Ciąg upokorzeń dopiero się zaczynał. W połowie stycznia był zaplanowany zjazd moich delegatów w Poznaniu. Pojechałem tam samochodem z nowym szefem URM Żabińskim i nowym sekretarzem stanu odpowiedzialnym za sprawy administracji Stankiewiczem. Paskudna podróż. Obaj panowie ostentacyjnie mnie ignorowali, rozmawiali o swoich sprawach ponad moją głowę. Spotkanie z delegatami miało dla mnie trudny przebieg. Miałem do nich bardzo emocjonalny stosunek. To byli moi partnerzy, których wybraliśmy z Jankiem. Oczekiwałem od nich sympatii i lojalności. Niestety, część z nich była jednoznacznie związana z Solidarnością i Wałęsą i uznała klęskę Mazowieckiego za swój sukces. Oni nadawali ton spotkaniu. Pozostali siedzieli cicho, bo obawiali się o swoją przyszłość. Ilustracją nastroju była wypowiedź delegata z Poznania, że to nie szkodzi, że odchodzi profesor (chodziło o mnie), bo właśnie delegat katowicki dostał profesurę, więc stan profesorów utrzymuje się bez zmian.

Kilka dni później Bielecki zaprosił mnie oraz Janka i w obecności Żabińskiego wręczył nam odwołania. Powiedział, że nie oczekuje od nas jakiegokolwiek dalszej pracy. „Kierowca może pana dziś odwieźć do domu”. Usiłowałem przedstawić, jakie sprawy pozostały do załatwienia. Zupełnie nie rozumiał, o czym mówię, i demonstrował niechęć do zrozumienia czegokolwiek. W oczach absolutna nuda i manifestacyjne dążenie do jak najszybszego zakończenia spotkania. Po powrocie do mego biura Kownacki mi powiedział, że dostał nominację na moje miejsce. Byłem

trochę zaskoczony, że wszystko się działo w ukryciu przede mną, chociaż w sumie ucieszyłem się, że stwarza to szansę na kontynuację reformy. Pożegnałem się z pracownikami i pojechałem do domu.

Nastąpił trudny dla mnie okres, chyba jeden z najtrudniejszych w moim życiu. Nagle znalazłem się na marginesie. Przeskok był tym gorszy, że poprzedni okres był chyba najbardziej aktywny w moim życiu. Pracowałem po kilkanaście godzin na dobę. Nagle okazało się, że nie mam co robić. Kierowca nie przyjeżdżał. Nikt nie dzwonił. Nie miałem nic do załatwienia. I co najgorsze, nikt mnie nie potrzebował. To nie było tak, że murzyn zrobił swoje i że może odejść. Po prostu nikt nie uważał, że cokolwiek zrobiłem. W tym natłoku spraw i zmian, które się dokonywały, reforma samorządowa przeszła niezauważona. Że naczelnik gminy został zastąpiony przez wójta? Co to za różnica? O tym, że to jest różnica, wiedzieli tylko ludzie w gminach. Świadomość zmian dochodziła do naszych liderów latami. A do niektórych nie dotarła nigdy.

Wtedy nikt nie doceniał znaczenia wprowadzonych zmian. Cała uwaga społeczna koncentrowała się na sytuacji gospodarczej i zachodzących zmianach politycznych. Nie miałem więc znikąd potwierdzenia, że to, co robiłem, było naprawdę znaczące dla kraju. Wierzyłem, że tak było. Ale własna wiara nie wystarczy. Człowiek potrzebuje potwierdzenia z zewnątrz. To nagłe wyrzucenie na aut, spowodowało oczywisty kryzys psychiczny. Rzecz jasna, problemy narastały stopniowo i w różnych okresach występowały z różnym nasileniem.

Znalazłem się poza wszelkimi strukturami. Nie tylko zostałem całkowicie odsunięty od wpływu na cokolwiek, ale traktowano mnie jak wroga, którego należy izolować. Czarna owca, z którą nawet rozmawiać jest niebezpiecznie, bo był związany z upadłym rządem. Nowe samorzady rozwijały się, powstawały ich związki. Rozumiałem dobrze, że działają pod presją swoich własnych trudnych spraw i muszą się na nich koncentrować. A ja im nie mogłem już pomóc. Więc nie miałem kontaktu z tworzącymi się nowymi strukturami.

Byłem nadal senatorem. Ale trudno było włączyć się w prace parlamentarne. Jurek Stępień, któremu przekazałem przewodnictwo komisji samorządowej, powiedział mi wprost, że nie widzi możliwości oddania mi przewodnictwa, boby się na to nigdy nie zgodziła partia polityczna, do której on należy. Zresztą nie paliłem się do tego. Para ze mnie uszła. Nie paliłem się w ogóle do prac parlamentarnych. Dyskusje nad legislacją były tak odległe od moich dotychczasowych, frontowych działań, że trudno byłoby się mi w nich odnaleźć. Wśród liderów naszego ugrupowania także nie było zainteresowania moją osobą. Nie należałem do niczyjego dworu, a odbudową samorządności, jako problemem politycznym, nikt się nie interesował.

Do Jeleniej Góry jeździłem nadal. To był mój obowiązek. Ale tam sytuacja też się zmieniała. Już nie mieszkalem w reprezentacyjnym pałacyku wojewody. Już mnie mój delegat nie woził po gminach, chociaż bardzo przyzwocicie mi nadal pomagał. Nastąpił też rozłam wśród lokalnej grupy parlamentarzystów. Dotąd nie prowadziłem odrębnego biura senatorskiego, tylko opierałem się na wspólnym biurze z Andrzejem Piesiakiem, znajdującym się w lokalu miejscowej Solidarności. Teraz to pękło. Andrzej zapisał się do liberałów i oczywiście popierał Bieleckiego. Przestałem też być lubiany przez Solidarność. Musiałem się stamtąd wyprowadzić i założyć własne biuro. Ale gdzie i z kim? A przede wszystkim po co? Co mnie z tym regionem łączyło? Poczuję się tam zupełnie obco.

Fundacja rozwijała się dobrze i nie chciałem zbyt interweniować. Byłoby mi niezręcznie nagle włączyć się do jej prac tylko dlatego, że straciłem stanowisko i stałem się bezrobotny. W dodatku zupełnie straciłem zapał.

Obowiązywał wówczas sześciomiesięczny okres wymówienia. A więc jakkolwiek nie miałem nic do roboty, to przez sześć miesięcy płacono mi pensję i korzystałem z różnych ministerialnych przywilejów. Miałem więc czas na podjęcie decyzji co do własnej przyszłości. Ale najpierw musiałem sam wiedzieć, czego chcę, musiałem znaleźć sobie miejsce w życiu publicznym. To nie było łatwe, w dodatku nikt nie wykazał dobrej woli, aby mi pomóc. Odwrotnie. Ekipa Bieleckiego robiła mi tylko trudności. Jak wspomniałem, jako pełnomocnik zawarłem z kilkoma ośrodkami regionalnymi Fundacji kontrakty na szkolenia samorządowe. W ich ramach były pieniądze na zakup pomocniczych urządzeń, takich jak komputery czy rzutnik. Teraz Fundacja dostała list z URM, aby te wszystkie zakupione przedmioty zapakować i złożyć w magazynach URM, bo szkolenia są już niepotrzebne. Odmówiliśmy motywując, że właśnie teraz szkolenia są konieczne i ich zakres będzie wzrastał. Udało się sprawę uratować.

Moja nowa sytuacja znalazła odbicie na zjeździe założycielskim Unii Demokratycznej. Byłem wcześniej w radzie ROAD-u. Wybrano mnie wtedy do niej na wniosek z sali, żadna z frakcji nie wpisała mnie na swoją listę kandydatów. Ale gdy mnie zgłoszono, uzyskałem dużą liczbę głosów, większą od wielu znanych polityków, popieranym przez poszczególne grupy. Teraz sytuacja się zmieniała. Byłem sam, nikt się jakoś nie garnął do rozmów. Byłem poza układem i nie przedstawiałem żadnej siły politycznej. Zwrócili się do mnie jedynie dwaj młodzi ludzie zaangażowani w sprawy samorządowe. Zaproponowali mi, że dopiszą mnie do listy kandydatów, którą właśnie zestawiają. Odmówiłem. Miałem dość polityki.

Odbudowa samorządu wymagała dalszych prac. Nawet pierwszy etap reformy nie został zakończony. Teraz wybijały się dwie niezakończone sprawy. Pierwsza to uporządkowanie finansów lokalnych. Ustawa regulująca je była przygotowywana przez Ministerstwo Finansów. Ani ja, ani moje biuro nie mieliśmy dostępu do in-

formacji finansowych i nie mogliśmy nawet myśleć o opracowaniu ustawy. Ministerstwo Finansów miało monopol informacyjny. Projekt ustawy został nam udostępniony dopiero pod koniec roku, gdy już nie było czasu na poważną dyskusję. Ustawa musiała wejść w życie przed nowym rokiem budżetowym, a więc w grudniu. Musiałem wszystko przyjąć bez dyskusji. Zresztą w ówczesnych warunkach, gdy rządu już prawie nie było, żadna dyskusja nie miała sensu. Ale to oznaczało, że wprowadzona ustawa jest prowizoryczna i konieczna będzie jej weryfikacja po pierwszym okresie funkcjonowania. Należało więc obserwować jej działanie, zbierać opinie i uwagi.

Drugi problem to sprawa komunalizacji mienia. Gminy dopiero teraz mogły się tą sprawą zająć. Pierwsze miesiące zajęło im ukonstytuowanie się i podstawowe decyzje organizacyjne. A sprawy przejścia majątku były skomplikowane. Wymagało to zrobienia inwentarza administrowanych nieruchomości, a także dokonania przekształceń przejmowanych przedsiębiorstw. W wielu przypadkach musiano dzielić albo też tworzyć porozumienia międzygminne, bo niektóre przedsiębiorstwa obsługiwały większe obszary. A poza tym wszystkie przedsiębiorstwa do tej pory były państwowe i działały na podstawie ustawy o tego typu przedsiębiorstwach. Po przejściu przez gminy przestawały być państwowymi, a więc nie mogły działać na podstawie obowiązujących wtedy przepisów.

Mój dotychczasowy zespół w Urzędzie Rady Ministrów funkcjonował przez pewien czas z rozpędu. Moje stanowisko objął Piotr Kownacki, ale interesowały go raczej kontakty z nowymi szefami niż ze mną. A ci szefowie uznali mnie za swojego wroga. Było to o tyle niemiłe, że sekretarzem stanu odpowiedzialnym za sprawy administracji został mój dotychczasowy delegat z Torunia, Jacek Stankiewicz, o którego utrzymanie na stanowisku walczyłem kilka miesięcy wcześniej z Mazowieckim, który go chciał odwołać. Ale wdzięczność to uczucie nieznane niektórym ludziom. Zostałem odsunięty od jakichkolwiek dalszych prac związanych z kontynuacją reform. Nawet nieco później, gdy zainicjowano prace koncepcyjne nad dalszymi reformami administracji, w które zostali zaangażowani moi przyjaciele, żadnych propozycji nie otrzymałem.

Nowe kierownictwo URM wykazało się zupełnym brakiem wiedzy dotyczącej dalszych działań. Kownacki nie bardzo mógł działać w nowych warunkach, tak że z dużą częścią zespołu przeniósł się po kilku miesiącach, wraz z Walerianem Pańką, do NIK. Jego funkcję przejął Stankiewicz, który nie miał żadnej wiedzy o samorządach, nie mógł więc prowadzić dalej prac nad ich rozwojem. Wkrótce sieć delegatów została rozwiązana, a cały zespół się rozproszył. Zniszczono więc zespół, przerwano realizację reformy, gminy pozostawiono bez niezbędnej opieki.

Gminy były nowym tworem. Nie istniała tradycja samorządowa, nie było zasobu wiedzy na ten temat, nowi radni i wójtowie nie mieli ani doświadczenia, ani umie-

jętności. Należało im pomagać, aby sprostali wyzwaniom i aby system rozwijał się we właściwym kierunku. Ale do tego trzeba było dysponować odpowiednią wiedzą i mieć jasną wizję modelu państwa, do którego chciało się dążyć. A tej wiedzy ani wizji nasi następcy nie mieli. Więc gminom pomóc nie potrafili. A może nie chcieli?

Nie pomagali gminom, które już istniały, a za to wystąpili z propozycjami znacznie dalej idącymi, do których nikt nie był przygotowany. Lech Mażewski, który przez pewien czas był organizatorem ośrodka Fundacji w Gdańsku, ale szybko stał się jednym z liderów KLD, wystąpił z koncepcją utworzenia autonomicznych regionów, które nazwał „pollandami”, nawiązując do niemieckich landów. Była to koncepcja nierealna i szkodliwa. Nierealna, bo z utworzeniem samorządowych regionów należało poczekać, aż społeczeństwo dojrzeje do nich, widząc sukces gmin, i gdy będzie możliwe dokonanie bardzo szerokich zmian, o których już pisaliśmy w protokole z Okrągłego Stołu.

Szkodliwość tej propozycji wynikała z nawiązania do modelu niemieckiego. Niemiecki federalizm nie mógł służyć jako wzór dla Polski, która zawsze była krajem unitarnym. W dodatku odwoływanie się do Niemiec w sytuacji, gdy strach przed Niemcami był jeszcze dość powszechny, spowodowało opór społeczny i obawy przed rozpadem państwa. Mam wrażenie, że ta niefortunna propozycja liberałów w poważnym stopniu utrudniła budowę samorządowych powiatów i województw.

Teoretycznie mogłem wrócić do Instytutu Nauk Ekonomicznych. Byłem formalnie tylko na bezpłatnym urlopie. Przez całe lata osiemdziesiąte prowadziliśmy tam intensywne badania nad odbudową samorządu, które umożliwiły reformę. Profesor Pajestka, będący dyrektorem i twórcą Instytutu, otaczał nasz program opieką, bez której nie moglibyśmy działać. Natomiast jego współpracownicy bardzo nas nie lubili, a wicedyrektor, profesor Mieszczankowski, w szczególności – słusznie uważał, że wnioski z naszych badań prowadzą do zmiany ustroju PRL, i robił mi kłopoty, gdy tylko mógł. Kiedy w 1989 roku połowa zakładu przeszła do administracji rządowej, szybko go zlikwidowano, jakkolwiek będąc w rządzie, nie tylko chciałem go utrzymać, ale i rozwinąć jako bezpośrednie wsparcie studialne dla reformy. Ale to nie było po myśli ludzi z PZPR.

Nie miałem zatem po co wracać do Instytutu. Dawni opozycjoniści, których przygarnął Pajestka, teraz objęli stanowiska rządowe lub polityczne. Pozostali tylko ci, którzy się „nie zabrali”, bo albo należeli do PZPR, albo nie mieli kwalifikacji do nowych zadań. Byli więc do nas wrogo nastawieni. W dodatku ja i moja grupa nie byliśmy sensu stricto ekonomistami i zawsze stanowiliśmy trochę ciało obce. Charakterystyczne dla tego sposobu myślenia było sprawozdanie roczne Instytutu. Wydawałoby się, że Instytut powinien być dumny z naszych osiągnięć. Jaki większy sukces może osiągnąć instytut badawczy niż to, że na podstawie jego prac zreorganizowano państwo? Ale najwyraźniej chodziło o zatarcie tego śladu. Może pro-

fesor Mieszczankowski obawiał się, aby mu jego partia nie postawiła zarzutu, iż do tego dopuścił? Pamięć o naszej działalności w Instytucie zatarto tak dokładnie, że do dzisiaj w publikacjach o osiągnięciach Instytutu nie ma nawet słowa o tym, co robiliśmy.

Nie miałem więc do czego wracać. Założyłem swoje biuro przy Fundacji i tam usiłowałem pracować. Ale nie bardzo mi szło. Położyłem się w klinice rządowej na kompleksowe badania, na które wzywano mnie zgodnie z obowiązującymi procedurami wielokrotnie. Nigdy nie miałem czasu, teraz miałem go za dużo. Położyli mnie w jednym z najlepszych pokoi, bo ciągle przysługiwał mi status ministerialny, i zaglądali, gdzie tylko mogli. Znaleźli mi polipy w żołądku. Na szczęście tylko to. W tej klinice, odziedziczonej po PRL, obowiązywały ściśle reguły. Mogli z niej korzystać tylko uprzywilejowani. Ale i oni byli podzieleni na grupy. Jako minister należałem do tej najwyższej. Przyjmowali mnie specjalnie wyselekcjonowani lekarze w odrębnych gabinetach.

Postanowiłem wyreperować swoje zęby. Cała kuracja trwała długo i nagle okazało się, że okres wypowiedzenia się skończył i spadłem w hierarchii na niższy szczebel. Uprawnienia utrzymałem, ale jako profesor, a to był już inny poziom, inni lekarze i inne gabinety. Kiedy przyszedłem na kolejną wizytę, z opatrunkiem w zębie, recepcjonista bardzo elegancko, ale i stanowczo już mnie nie wpuścił na dotychczasowy korytarz. Plombowania musiał dokonać inny lekarz na innym korytarzu.

Kadencja Senatu miała zostać skrócona. Powstało więc pytanie, czy mam kandydować na następną kadencję, czy wracać do badań lub na uniwersytet. Początkowo przygotowywałem się do powtórnego startu w wyborach. Nawet zrobiłem z Wiesią Grocholą wywiad rzekę, aby przedstawić swoje osiągnięcia. Tekst powstał, ale nie został wydany, bo żaden wydawca nie uważał tematyki samorządowej za interesującą. Kogo mogła interesować reforma państwa? Publikowane wówczas masowo książki z wywiadami koncentrowały się na plotkach i rozgrywkach salonowych. Mało z nich można było wyczytać o sprawach rzeczywiście ważnych dla przyszłości państwa. Takie podejście stało się zresztą regułą wśród mediów. O wójcie warto pisać, tylko jeśli go złapią pijanego. A jak zrobi coś ciekawego, to nie jest news.

Kluczową sprawą była decyzja, czy naprawdę chcę i powinienem kandydować. Długo nie wiedziałem. Czułem się odpowiedzialny za samorządy, a one potrzebowały opieki. Ale żeby wejść do Senatu, należało być wybranym w Jeleniej Górze, a ja nie czułem się z tym regionem jakoś związany. Udawanie, że będę reprezentować jego mieszkańców, byłoby w moim przekonaniu oszustwem. Interesowała mnie reforma państwa jako całości, a nie rozwój Jeleniogórskiego. Gdyby istniała możliwość ubiegania się o mandat w wyborach ogólnopolskich, to zdecydowałbym się prędzej. Ale z Jeleniej Góry?

Decydująca okazała się rozmowa z miejscowymi działaczami Solidarności. Bez ich pomocy byłbym bez szans, a oni nie wykazali wielkiej ochoty do wspierania mnie. Sami już widzieli się w parlamencie – ja im blokowałem miejsce. Oczywiście gdybym się uparł, toby mnie poparli. Mój autorytet był wystarczający, ale ja nie chciałem się upierać. Może wystartowałbym, gdyby mnie bardzo poprosili. Ale na siłę? W maju zapadła więc decyzja – nie startuję. Skoro nikt mnie nie potrzebował w kraju, zdecydowałem się wyjechać. Przyjąłem propozycję MSZ, bo czułem się wypchnięty z kręgu swojego zaangażowania na rzecz samorządu.

Propozycja była interesująca – pozycja ambasadora w Kanadzie. Przekazałem swoją zgodę Iwowi Byczewskiemu, który jako szef kadr MSZ organizował obsadę placówek. Ale minister Krzysztof Skubiszewski oświadczył, że muszę najpierw skończyć swoją kadencję w parlamencie. Moją sugestię, że mogę się zrzec mandatu, zdecydowanie odrzucał. W gruncie rzeczy się z nim zgadzałem, ale nie miałem niczego do roboty w Senacie, więc bez szkody mogłem z niego odejść. Podobno rozmawiał o mojej kandydaturze z premierem, który mnie niedawno wyrzucił. Bielecki nie protestował. Ale na jesieni plany uległy zmianom. Kiedyś, będąc u Iwa w gabinecie, stałem się świadkiem rozmowy o Radzie Europy, do której mieliśmy przystąpić. I natychmiast zgłosiłem swoje zainteresowanie tą placówką. Miałem pewne doświadczenie w pracy w organizacjach międzynarodowych, a zupełnie żadnych w dyplomacji bilateralnej. Musiałbym się wiele uczyć, a to miała być dla mnie jednorazowa przygoda, nie zaś nowy zawód. Z Radą Europy już byłem oswojony. Od początku transformacji współpracowałem z nią dość blisko i zdążyłem się poznać z kilkoma osobami, a z Ferdinandem Albanese, dyrektorem odpowiedzialnym za sprawy władz lokalnych i środowiska, nawet zaprzyjaźnić.

Najważniejszym argumentem na rzecz Rady Europy była jej siedziba w Strasburgu. Jak się wyjeżdża na placówkę, to na ogół nie myśli się o powrocie. Tymczasem trzeba. Bo kiedyś nastąpi i trzeba będzie znaleźć swoje miejsce w kraju po paroletniej nieobecności. Wyjechać łatwo, ale wracać trudno. Było dla mnie jasne, że moja przyszłość jest związana z samorządnością w Polsce i Fundacją. Kluczowym problemem było więc utrzymanie kontaktu z krajem w okresie pobytu za granicą. Kanada jest daleko i wiedziałem, że w ciągu czterech lat normalnej kadencji będę mógł odwiedzić Polskę może raz, a może dwa. Natomiast Strasburg jest blisko. Mogłem bywać w kraju często. Okazało się nawet, że częściej, niż myślałem. A to dawało szansę, że będę miał łatwiejsze lądowanie.

Przedyskutowaliśmy tę sprawę w domu. Zawsze staraliśmy się podejmować decyzje wspólnie. I uznaliśmy, że Strasburg będzie lepszy, chociaż z Ottawy bliżej byłoby do dzieci. Pozostało teraz czekać na zakończenie mojej kadencji parlamentarnej, a później na nominację.

W listopadzie kadencja się skończyła. Ostatnia przeszkoda dla członkostwa w Radzie Europy, brak w pełni wolnych wyborów, została usunięta. 26 listopada roku Polska została przyjęta. Minister Skubiszewski z dużą delegacją pojechał do Strasburga i oficjalnie złożył podpis pod konwencją dotyczącą praw człowieka, co było równoznaczne z uzyskaniem członkostwa. Trochę mi było przykro, że nie zaproszono mnie do udziału w tej uroczystości. W końcu miałem być pierwszym polskim stałym przedstawicielem. Byłaby to dobra okazja, aby zostać nieoficjalnie wprowadzonym. Ale trudno. Wybór się dokonał. Wiedziałem, czego chcę i do czego mam zmierzać. Dołek został za mną. Miałem nowy cel przed sobą.

Trzeba było przygotować się do opuszczenia kraju na kilka lat. Powstał problem, jak zorganizować zarządzanie Fundacją. Do tej pory zarządzała nią Marysia Ptaszyńska jako dyrektor, natomiast generalną opiekę i wyznaczanie kierunków sprawowałem ja. Pozostawienie całej odpowiedzialności samej Marysi mogło zaowocować kłopotami. Rozwój instytucji mógł następować, jedynie jeśli się popychało sprawy naprzód. Samo administrowanie prowadziłyby do zastoju, a zatem do upadku. W końcu przyjęliśmy koncepcję, że Fundacja powinna być oparta na silnych i w dużym stopniu samodzielnych ośrodkach regionalnych. W związku z tym postanowiliśmy, że zarząd będzie się składał z ich dyrektorów, a naczelny dyrektor będzie organem wykonawczym. Fundatorzy przechodzili na pozycję nadzorczą. Poprosiłem Olka Paszyńskiego, aby mnie zastąpił w tych funkcjach strategicznych. Niestety, ten model wkrótce okazał się nieefektywny. Dyrektorzy ośrodków koncentrowali swą uwagę na sprawach własnych. Cała sieć zaczęła dryfować. Ale to się okazało dopiero później.

Moje kontakty zagraniczne zaczęły się znów rozwijać, chociaż już na innej płaszczyźnie. Jesienią 1991 roku Rada Europy zaprosiła mnie do Barcelony na jedną konferencję, a w styczniu 1992 na drugą. Pierwszy wyjazd przebiegł bez specjalnych wydarzeń. Konferencja była ciekawa, a Barcelona fascynująca. Drugi raz jechałem tam już jak do siebie. Ale nie zwróciłem uwagi, że podczas gdy jesienią byłem senatorem i dysponowałem paszportem dyplomatycznym, to w styczniu byłem już zwykłym człowiekiem i miałem prywatny paszport. Na lotnisku w Warszawie okazało się, że nie mam wizy. Dla dyplomatów wizy były już zniesione, ale dla szarych ludzi – nie. Co robić? Usiłuję przekonać przedstawicieli linii lotniczej, żeby mnie zabrali, że tam mnie odbiorą bez kłopotu, bo to jest konferencja organizacji międzynarodowej. Mówią, że mogliby tak zrobić, ale lecimy z przesiadką w Wiedniu i Austriacy mnie nie przepuszczą. Wtedy wpadłem na szaleńczy pomysł. Zadzwoiłem do ambasady hiszpańskiej, gdzie mnie znali. Złapałem taksówkę i pojechałem na Mokotów. W ambasadzie natychmiast wbili mi wizę. Druki wypełniłem po powrocie. Zdażyłem przed odlotem wrócić na Okęcie. Dowieźli mnie

do samolotu indywidualnie, bo wszyscy pasażerowie już siedzieli w środku. Ten wyczyn chyba można zapisać w księdze Guinnessa!

Mieliśmy też konferencję w Krakowie zorganizowaną wspólnie przez FRDL i Uniwersytet Rutgersa, czyli Joanny program pomocy Polsce. Udało się na nią ściągnąć przedstawicieli z kilkunastu krajów postsowieckich. Od Albanii po Estonię. Dla niektórych był to pierwszy kontakt z Zachodem, z Amerykanami, no i z samorządem. U nas już istniał, a oni patrzyli na to jak na wilka z bajki. Zamiast wprowadzenia i tłumaczenia, że to jest ważne, zrobiliśmy wspólny spacer Floriańską i pokazaliśmy te wszystkie prywatne sklepy i przebudowywane stare domy. Nie mogli zrozumieć, jak to się stało, że indywidualna działalność handlowa mogła się tak szybko rozwinąć w kraju postkomunistycznym. Przykład działa zawsze lepiej niż najlepsze wykłady.

Pojechaliśmy też z Danką na konferencję do Moskwy, a potem do Petersburga. Miejscowy konsulat opiekował się nami. Dzięki nim zobaczyliśmy wiele. Ale przeżyliśmy też historię kafkowską. Zaprowadzili nas do pałacu Maryjskiego, siedziby władz miejskich. Właśnie następnego dnia Leningrad miał zmienić nazwę i powrócić do starej. W sali posiedzeń rady, we wnęce za prezydium, stała wielka figura Lenina, patrona miasta. I kiedy weszliśmy do sali, to właśnie murarze zamuroywali wnękę, żeby Lenina schować. Już do połowy był zamurowany. Miejscowi rzucili się na nas i wypchnęli za drzwi. Żałowałam, że nie miałem gotowego aparatu. Za takie zdjęcie to mógłbym dostać wiele.

Miałem jeszcze jedno zaproszenie. Do Chin na konferencję azjatyckiego stowarzyszenia władz lokalnych. Bardzo frapujące, ale z niego zrezygnowałem, mimo że Senat był gotów sfinansować podróż. Byłem zbyt zmęczony.

Sprawa mojej nominacji jakoś się ślimaczyła. Nie bardzo wiem dlaczego. Chodziłem do MSZ, żeby zapoznać się z organizacją i polityką. Ale raczej nie przywiązywano wtedy wagi do naszego członkostwa w RE. Nikt nie dbał też o to, aby mnie dobrze przygotować. 26 lutego 1992 roku zostałem przedstawiony komisji sejmowej jako kandydat na ambasadora. Posiedzeniu przewodniczył Geremek. Przesłuchanie odbyło się bez problemów – dostałem jednomyślną akceptację. Tego samego dnia miałem też przesłuchanie w komisji senackiej. I wciąż czekałem.

Byłem już zmęczony tym zawieszeniem, a jednocześnie przychodziły ciągle nowe zaproszenia. Dostałem z Teksasu zaproszenie na miesięczny pobyt z wykładami w maju. Poszedłem do Iwa i uzgodniliśmy, że zaproszenie przyjmę, a w razie czego objęcie mego stanowiska odłożymy do czerwca.

Ale jak już było wszystko ułożone, wezwał mnie Skubiszewski, wręczył nominację i kazał natychmiast jechać. Powiedziałem mu o uzgodnieniu z Iwem oraz o tym, że nie znając terminu wyjazdu, nie polikwidowałem jeszcze wszystkich zajęć

w Polsce. Potrzebuję więc czasu. Okropnie na mnie wsiadł, i to z dużej armaty – że Polska mnie potrzebuje w Strasburgu, że służba itp. Trochę mnie to poirytowało, bo wiem, co to służba, i dałem temu dowód wiele razy, a dlaczego kazano mi czekać pół roku, kiedy to takie ważne? Ale widać, on miał złe doświadczenia z innymi. Musiałem odwołać wyjazd do Ameryki. Ustaliliśmy, że pojedę do Strasburga na trzy tygodnie w maju, aby objąć funkcję i zorganizować się na miejscu. Potem wrócę do Warszawy na uzgodnienia merytoryczne i gospodarcze w MSZ. Później znowu tam pojedę. A na lipiec wezmę bezpłatny urlop, żeby zlikwidować sprawy w Polsce. Na stałe wyjedziemy z Danką do Strasburga na początku sierpnia. I tak się stało.



Rada Europy

28.

**Dyplomata – Rada Europy
(1992-1997)**

W poniedziałek 3 maja złożyłem swoją akredytację pani Lalumière, która była sekretarzem generalnym Rady Europy. I objąłem placówkę, która nie istniała.

Stałe Przedstawicielstwo przy Radzie Europy było placówką nową. Zostało powołane dopiero po naszym przystąpieniu do RE, a więc w listopadzie 1991 roku. Skład personalny był niewielki: ambasador, dwa etaty dyplomatyczne, dwa ryczałty dla sekretarki i dokumentalistki, sprzątaczką i kierowcą. Bazę stanowił konsul generalny, który właśnie remontował świeżo kupiony budynek. Obie placówki miały go dzielić teoretycznie na równych prawach. Nie było jednego gospodarza i to stwarzało niekończące się powody do różnych spięć i konfliktów. Zaczęły się już w dniu mego przyjazdu, gdy kierownik administracyjny chciał mnie zakwaterować w małym hoteliku, w którym większość pokoi była wynajmowana na godziny. Musiałem ostro zareagować, bo miejsce zamieszkania określało prestiż osoby, nie mówiąc o podstawowych warunkach do pracy. Nie miałem wtedy jeszcze żadnego biura. Zamieszkałem w Hiltonie, gdzie nie wstydziłem się przyjmować gości.

Pierwsze dni poświęciłem na wizyty przywitalne i na zorientowanie się w sytuacji. Obejrzałem szykowany dla nas lokal i zażądałem pewnych korekt. Budynek został zaprojektowany według potrzeb konsulatu. Dano nam cztery pokoje w przybudówce. Nawet nie miały one bezpośredniego połączenia z bardzo ładnymi pomieszczeniami reprezentacyjnymi. Trzeba było przechodzić przez jakieś zakamarki.

Drugie zadanie polegało na znalezieniu mieszkania na moją rezydencję. To nie było łatwe zadanie. Rezydencja musi spełniać odpowiednie wymogi reprezentacyjne. Tam przyjmuje się gości. Musi być więc salon. Odpowiednio duży stół i oczywiście właściwe zaplecze. A poza tym musimy mieszkać i pracować. Stanowczo odrzuciłem sugestie, aby zająć jedno z mieszkań w budynku Przedstawicielstwa. Żadne z nich nie spełniało wymogów, a poza tym nie chciałem mieszkać pod stałym dozorem pracowników, którzy mieli powiązania nie tylko z MSZ, ale i z różnymi służbami.

W końcu wzięłem mieszkanie położone tuż przy ambasadzie, ale za rogiem, tak że nie można go było obserwować z budynku. To było mieszkanie dwojga bogatych mieszczuchów francuskich. Był w nim duży salon, w którym dało się przyjąć trzydzieści i więcej osób. Obok znajdowała się wydzielona jadalnia, gdzie można było ustawić stół na kilkanaście osób. Minusem był brak pokojów na użytek własny. Była tylko sypialnia, piękna łazienka i mała garderoba, którą przerobiłem na pokój do pracy. W głębi była kuchnia, ale żadnego innego pomieszczenia gospodarczego. Należało więc dokonać szeregu przeróbek.

Po trzech tygodniach wróciłem do Warszawy. W rozmowach w MSZ zadałem proste pytanie – po co chcemy należeć do Rady Europy? Co chcemy osiągnąć? Jakie są nasze cele? Ale im prostsze jest pytanie, tym trudniej na nie odpowiedzieć. W MSZ patrzono na mnie trochę jak na wariata. Mam nominację, jadę za granicę, a pytam się po co. MSZ było jeszcze bardzo PRL-owskie i większość była tylko zainteresowana nie pytaniem „po co?”, lecz „za ile?”.

Polska, tak jak wszystkie inne kraje regionu, intensywnie zabiegała o jak najszybsze przyjęcie do Rady. Członkostwo stanowiło świadectwo naszej demokracji i przyjęcia do społeczności europejskiej. Rada była pierwszą organizacją zachodnioeuropejską, do której zostaliśmy zaproszeni. Ale ogólniki mnie nie satysfakcjonowały. Z moją funkcją łączyła się konieczność zajmowania stanowiska w różnych sprawach. Nie mogłem z każdą sprawą dzwonić do Warszawy. Musiałem decydować sam, a do tego potrzebowałem określenia celów, którym mógłbym podporządkowywać swoje decyzje. Uzyskiwanie korzyści jest bowiem możliwe, tylko jeśli prowadzi się politykę aktywną i wie, czego się chce.

Napisałem więc sam, jakim celem ma służyć nasze członkostwo. Materiał przekazałem do centrali. Zaakceptowano go szybko, ale nikt się nim nie przejmował i nawet dziwiono się, gdy się na niego powoływałem.

Sformułowałem trzy podstawowe cele. Członkostwo w Radzie Europy musi być traktowane jako jedno z narzędzi integracji. A integracja wymaga dostosowania własnych struktur prawnych, instytucjonalnych i społecznych do modeli istniejących w tych państwach, z którymi chcemy nawiązać bliską współpracę. Aby się zintegrować, trzeba się upodobnić. Stąd pierwszy nasz cel: przekształcenie naszego państwa zgodnie ze standardami demokratycznymi.

Specyficznym celem Rady jest wspieranie „bezpieczeństwa demokratycznego”, a więc stabilizacji ustrojowej i politycznej państw europejskich, a istotnym interesem Polski jest stabilizacja naszych sąsiadów. Aby się rozwijać, potrzebujemy wokół siebie spokoju. Stąd w naszym dobrze rozumianym interesie było wspieranie wszelkich form pomocy Rosji, Ukrainie i innym krajom, przede wszystkim z dawnego ZSRR, w budowaniu instytucji demokratycznych. Tylko one są gwarantem stabilizacji politycznej poszczególnego kraju.

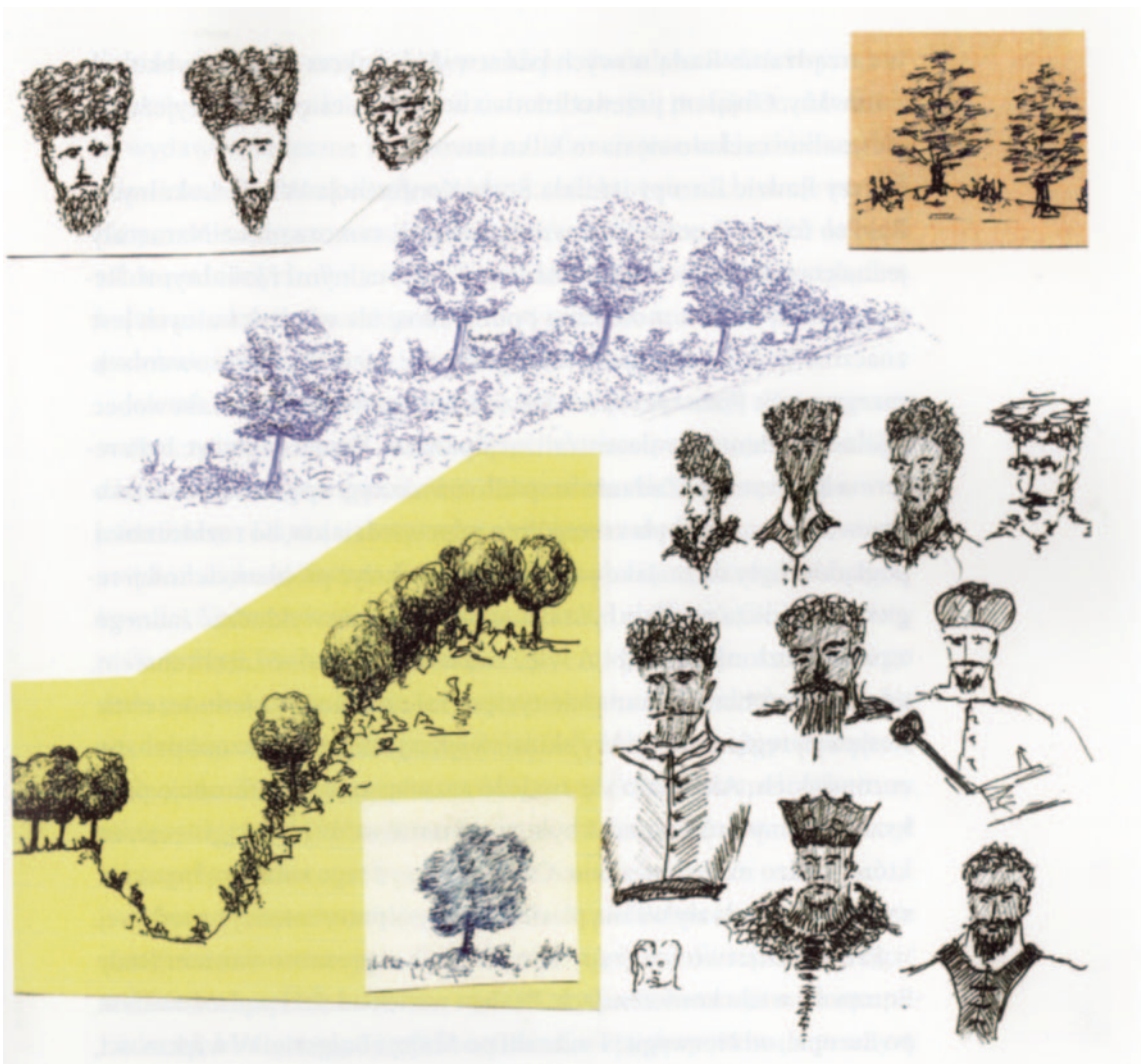
Wreszcie trzecią grupą celów było umacnianie wizerunku Polski jako największego kraju Europy Środkowej, który osiągnął już znaczące postępy w budowie państwa prawa i demokracji i który jest w pełni stabilny politycznie. Stereotyp Polaka – antysemita, powożącemu koniem i kradnącego samochody – stanowił poważną barierę dla rozwoju naszej pozycji międzynarodowej. Trzeba było walczyć, aby go zmienić. I to powinien być też jeden z celów naszej polityki.

Ale takie określenie celów miało swoje reperkusje. Rada Europy przechodziła fundamentalną reorientację w związku z otwarciem na Wschód i przyjęciem nowych państw z ich nowymi problemami. W przeszłości jeden z jej podstawowych priorytetów stanowiła kultura. Finansowano więc np. wykopaliska i badania archeologiczne. I nagle wszystko się zmieniło. Dla nowych członków podstawowym problemem było dokonanie transformacji ustrojowych. Rada musiała zmienić swoje priorytety. Należałem do tych, którzy do tego się przyczynili. Spowodowało to ograniczenie finansowania pewnych projektów. Nasi archeolodzy pobiegli ze skargą do Dejmka, który był wtedy ministrem kultury. On wystąpił do Bartoszewskiego o odwołanie mnie ze względu na moją antykulturową działalność. Bartoszewski mu odpowiedział, że właśnie tak mam postępować. Konflikty interesów były rzeczą naturalną.

W lipcu zlikwidowaliśmy dom w Warszawie. Wynajęliśmy go, pozostawiając sobie możliwość nocowania w podziemiu. Pensje ambasadorskie nie były wysokie. Ich wysokość odziedziczyliśmy jeszcze z PRL, gdy każdy dolar stanowił majątek. Teraz dolar stawał się normalną walutą. Jako polski ambasador najwyższej kategorii dostawałem tyle, ile kierowca w ambasadzie Węgier. Zarabiałem około 25 procent tego, co ambasadorowie zachodni. Ale wtedy nie liczyliśmy pieniędzy. Ważne było wyzwanie i możliwość pracy dla Polski. Dziś to brzmi dziwnie. Ale wtedy to był czas etosu budowy nowego państwa i myśleliśmy w innych kategoriach.

W sierpniu przenieśliśmy się już na stałe do Strasburga i zaraz potem, we wrześniu, poleciliśmy do Stanów na ślub Joanny. Pobrała się z Mikiem Curry, profesorem Uniwersytetu Kalifornijskiego w Los Angeles. Była piękna uroczystość na polanie w parku uniwersyteckim. Słońce świeciło, a rodzinny i przyjacielski charakter uroczystości dobrze wróżył nowemu związkowi. Początkowo Mike nadal mieszkał w Los Angeles i, jak się śmialiśmy, widywali się na konferencjach i w samolotach. Ale później zdecydowali się zamieszkać razem w New Jersey. I Mike co tydzień w poniedziałek rano leciał sześć godzin do Kalifornii, skąd wracał w czwartek. Wkrótce przebyte kilometry pozwoliłyby mu oblecieć ziemię kilkakrotnie, bo w jedną stronę było ich ponad 5000. A ja kiedyś utyskiwałem, jak dojeżdżałem do Łodzi tylko 120 kilometrów! Wymiary amerykańskie są inne niż europejskie.

W Strasburgu musieliśmy skompletować naszą ekipę i zorganizować swoje życie. Chcieliśmy mieć kogoś zaufanego. Oddanie się w ręce ludzi z administracji



Na posiedzeniach Komitetu Ministrów można spać, byle wiedzieć, kiedy się obudzić.
Ale można też rysować. Efekty mojej pracy w Radzie Europy, 1992–1997

MSZ byłoby katastrofą. Pragnęliśmy więc zabrać ze sobą kogoś z zewnątrz, z ulicy, jak mówiono w MSZ. Kilka miesięcy wcześniej zaczęła do nas przychodzić miła dziewczyna do sprzątania. Zaproponowaliśmy jej wyjazd. Miała dostać etat sprzątaczkki i prowadzić nam dom. Powstał jednak problem jej dzieci. Szefowa kadry, choć przyjazna nam i też nowa, zaprotestowała przeciw wyjazdowi całej trójki. Na każde dziecko pracownik dostawał zasiłek, dochodziły do tego koszty leczenia i szkoły. Postawiono mi warunek: zgoda, ale tylko na jedno dziecko. Małgosia Słomka stanęła wobec dramatycznej decyzji: wybrała wyjazd, bo zmuszały ją do tego warunki finansowe i szansa, jaką ten wyjazd dawał całej rodzinie. A ja obiecałem, że za rok podejmę próbę ściągnięcia pozostałej dwójki. Ten układ zrealizowaliśmy, ale wymagał od niej wielkiego poświęcenia. Był on początkiem naszego wspólnego z nią życia przez następne dziesięciolecie.

Gorzej potoczyła się sprawa z kierowcą. Chciałem też mieć swojego. Olek Paszyński polecił mi kogoś. Ten wybór okazał się jednak katastrofą. Był to człowiek inteligentny, ale jak się okazało, pracował na dwóch etatach – w MSZ i UB. Przez kilka miesięcy było wszystko w porządku, ale potem zaczęły się problemy. Zaczął podsłuchiwać w sposób zupełnie bezczelny. Dopiero po roku udało mi się go pozbyć.

Przygotowanie mieszkania też nie było łatwe. Początkowo koczowaliśmy. Mieliśmy ze sobą tylko kilka walizek. Wszystkie nasze rzeczy jechały ciężarówką, która miała dotrzeć dopiero nieco później. Mieszkanie nie było jeszcze przystosowane. Robotnicy się kręcili. Nie mieliśmy szaf. Administracja konsulatu nas nie lubiła, więc nie przygotowano nawet pościeli w łóżkach. Zamiast poduszek spaliśmy na swetrach.

Nasze mieszkanie miało bardzo ubogą część kuchenneo-techniczną. Nie bardzo było gdzie prać i suszyć bieliznę. W rozmowie z szefem naszych remontów wspominałem o tych trudnościach. Odpowiedział, że nie ma problemu i że każe wstawić suszarkę. I rzeczywiście wstawił następnego dnia. Ale mnie coś tknęło i zajrzałem do obowiązujących przepisów, które bardzo precyzyjnie określały wyposażenie przysługujące w rezydencjach ambasadorów. Suszarki na tej liście nie było. Powiedziałem więc, żeby suszarkę zabrali, bo mi ona nie przysługuje, a nie chcę płacić za nią ze swoich pieniędzy. Odpowiedział, że bym się nie przejmował, bo to firma budowlana wstawiła i nie będzie chciała pieniędzy. W tym momencie zadzwonił u mnie dzwonek ostrzegawczy. Bo jak przyjmę ten prezent, to jestem już od nich uzależniony. Przecież im o to tylko chodziło. Zażądałem, żeby natychmiast suszarkę zabrali. Ale im się nie spieszyło. Czekali, że bym się zmęczył i suszarkę przyjął. Ale nie ze mną takie zabawy. Po dwóch tygodniach zawiadomiłem inżyniera, że następnego dnia każe wystawić ją na ulicę i niech się nią potem sami martwią. Dopiero wtedy zabrali. Wiele razy później bardzo się cieszyłem, że nie uległem pokusie i zachowałem pełną niezależność. Ta historia wskazała drogę, jaką zaczynało się korumpowanie ludzi. Od błahostki.

W końcu sierpnia pojechałem na konferencję ministrów spraw zagranicznych do Istambułu. Chodziło o otwarcie Rady na kraje regionu Morza Czarnego. Polskiej delegacji przewodniczył Skubiszewski. To była pierwsza okazja do bliższego z nim kontaktu służbowego. Skubi był pracusiem, więc postanowił wylecieć z Warszawy dopiero po zakończeniu dnia pracy. Lądował w Istambule o pierwszej czy drugiej w nocy. Ja poleciałem dzień wcześniej, aby uczestniczyć w spotkaniu przygotowawczym. Zgodnie z zasadami pojechałem na lotnisko, aby go odebrać. Mocno ziewałem, bo to jednak była noc. Skubi wysiadł rześki i zaraz zaczął mnie wypytywać o szczegóły. Staralem się odpowiadać prosto, chociaż niektóre sprawy dotyczące stosunków w tym regionie nie były dla mnie oczywiste. Splot interesów Turcji, Rosji i powstających republik był skomplikowany. Na to nakładała się polityka Unii, dostawy ropy i nasze interesy. To było zadanie dla eksperta. Musiałem wykorzystywać wszystkie swoje zasoby inteligencji i pomysłowości, aby temu sprostać.

Rano Skubiszewski miał wygłosić przemówienie, ale nie otrzymałem żadnego sygnału ani instrukcji, by go przygotować. Gdy jechaliśmy samochodem do hotelu, Skubi nagle powiedział swoim charakterystycznym głosem: „Panie ambasadorze, jest teraz druga. Spotkamy się u mnie w pokoju o siódmej. Proszę przynieść projekt mego przemówienia”. Oblał mnie pot, bo w tych godzinach to ja się absolutnie nie nadaję do pracy. Jednak o siódmej zastukałem do jego drzwi. Zastałem go siedzącego przy stole. Właśnie kończył szkic swego wystąpienia. Coś starałem się do tego dodać, ale nie bardzo słuchał. Na konferencji cała sala słuchała go z zapartym tchem. Skubiszewski był uznanym autorytetem w sprawach wschodnich. Zarysowała się wówczas po raz pierwszy droga do uznania państw Zakaukazia za kraje europejskie. Była to moja pierwsza lekcja dyplomacji.

Zacząłem swoją misję jednocześnie ze zmianą rządu w Polsce. Odwołany został gabinet Olszewskiego. Poszukiwano nowego premiera. W tym czasie Hanka Suchocka była w Strasburgu jako członkini polskiej delegacji do Zgromadzenia Parlamentarnego. Bardzo ją lubiłem i dużo rozmawialiśmy. Właśnie wróciłem z Warszawy i powiedziałem jej, śmiejąc się, że w Warszawie jest łapanka na premiera i żeby przypadkiem tam nie jechała. Odpowiedziała, że jej nic nie grozi, bo nie jedzie do Polski, tylko do Londynu. Ale i tam ją dopadł Geremek.

W końcu września zaczęła się normalna praca. Trudno opisywać ją w szczegółach. Stałe kontakty, rozmowy, załatwianie kolejnych spraw. Mnóstwo papierów, telefonów i listów. Co miesiąc odbywało się kilkudniowe posiedzenie komitetu ambasadorów, czyli, jak to się formalnie nazywało, Komitetu Delegatów Ministrów. Natomiast dwa razy w roku spotykali się ministrowie na posiedzeniu Komitetu Ministrów. Posiedzenia były na ogół nudne. Załatwiano kilkadziesiąt punktów porządku dziennego, w dużej części formalnych, które wymagały zatwierdzenia, a niko nie interesowały. Można więc było spać. Problem polegał na tym, że trzeba

było wiedzieć, kiedy się obudzić. Bo jeśli się szybko nie reagowało, to można było wiele stracić. Przewodniczący ogłaszał przystąpienie do dyskusji nad jakimś punktem. Odczytywał wniosek sekretariatu i pytał, kto chce zabrać głos. Jeśli nie było zgłoszeń, to ogłaszał: *accepted*, i uderzał młotkiem w stół. Sprawa była zamknięta. Należało więc uchwycić odpowiedni moment, jeśli się chciało coś specjalnego załatwić.

Dyskusje toczyły się po angielsku i francusku. Każdy mógł mówić w jednym z tych języków. Tłumaczono symultanicznie. Do poszczególnych spraw były powołane stałe grupy robocze. Nazywały się *groupes des rapporteurs*. Dyskusje na posiedzeniach tych grup nie były tłumaczone. Każdy mówił po francusku lub angielsku, w zależności od ochoty i umiejętności. Na ogół w poszczególnych grupach przyjmował się jeden z tych języków, ale to nie oznaczało jakiegoś przymusu. Dyskusje przybierały niekiedy zabawny obrót, gdy ktoś mówił w jednym języku, a odpowiadano mu w drugim. Miałem szczęście, że dawałem sobie radę z oboma. Ale niektórzy ambasadorowie mówili tylko jednym i musieli przychodzić ze swoimi tłumaczami.

Przewodniczenie takiej grupie było źródłem prestiżu i dowodem pozycji politycznej, bez której niewiele dało się załatwić. Uzyskanie odpowiedniej pozycji stało się więc dla mnie pierwszym zadaniem.

Ale uzyskanie jakiejś nominacji nie było łatwe. Wymagało to akceptacji całego Komitetu. Naturalny mój cel stanowiła grupa do spraw środowiska i władz lokalnych. Na tym się znałem. Za kilka miesięcy jej przewodnictwo się zwalniało, bo przewodniczący ambasador kończył swą misję. Na to miejsce czekał już Szwajcar, a istniał nieformalny zwyczaj, że osadzanie stanowisk następowało według starszeństwa, liczonego według kolejności obejmowania funkcji. Ja byłem młody stażem (niestety, nie wiekiem!). Decydującą rolę odegrał ambasador brytyjski, z którym bardzo się polubiliśmy. On przewodniczył Komitetowi, a więc to on zgłaszał kandydaturę. Zrobił to bardzo ładnie, uzasadniając mymi osiągnięciami w Polsce i koniecznością włączenia w zarządzanie Radą nowych państw. Mój sukces został szybko odnotowany. Objąłem przewodnictwo w kilka miesięcy po przyjeździe. Normalnie czekało się na to kilka lat.

Przy Radzie Europy istniała Stała Konferencja Władz Lokalnych. Było to forum kontaktów przedstawicieli samorządów. Narastały jednakże konflikty między władzami regionalnymi i lokalnymi. Regiony miały siłę ekonomiczną i polityczną, ale władz lokalnych jest znacznie więcej niż regionów i regiony we wszystkich głosowaniach przegrywały. Poza tym rola władz samorządowych wzrastała wobec ogólnej tendencji do decentralizacji państw. Konieczna więc była reforma Konferencji. Zadanie to spadło na naszą grupę, a moja rola jako przewodniczącego była szczególnie odpowiedzialna, bo rozbieżności poglądów były duże. Jako przykład może służyć problem definicji regionu. Definicja musiała być tak ustalona, aby nie wykluczać żadnego z państw członkowskich. A więc musiała zadowalać Liechten-

stein, gdzie region liczy kilkanaście tysięcy mieszkańców, i jednocześnie Rosję z jej regionami syberyjskimi, większymi niż większość państw europejskich. Ale udało się znaleźć rozwiązanie. Konferencję przekształciliśmy w kongres. I było to uznane za duże osiągnięcie, za które bardzo mnie chwalono. Cieszyłem się z tego sukcesu, bo nasze samorzady znalazły ważną platformę współpracy międzynarodowej.

Przewodnictwo tej grupy łączyło się z reprezentowaniem rady Europy na wielu konferencjach. Brałem w nich udział i podróżowałem po Europie, od Norwegii i Finlandii po Malte i Bułgarię. W większości, gdy było to możliwe, jeździliśmy razem z Danką.

Budowanie własnej pozycji to nie tylko obejmowanie odpowiedzialnych funkcji. Uczestnictwo w wielu spotkaniach i negocjacjach utwierdziło mnie w przekonaniu o znaczeniu wyglądu zewnętrznego i sposobu zachowania się w rozmowie czy przy stole. W kontaktach międzynarodowych, szczególnie tych profesjonalnych, wszyscy wszystkich cały czas obserwują i oceniają. Dyplomatom przecież za to płacą. Każdy drobiazg jest skrzętnie notowany. Czy krawat jest dobrze dobrany, czy właściwy widelec został we właściwym momencie użyty, czy ktoś powiedział coś tak, jak powinien. Może się to wydawać śmieszne i niepoważne. Ale właśnie takie drobiazgi są odzwierciedleniem kultury osobistej. Jeśli ktoś się zachowuje inaczej, niż powinien, to oznacza, że jest inny. A zaufanie się ma tylko do ludzi sobie podobnych. Bo jeśli ktoś jest do nas podobny pod względem kultury, to można oczekiwać, że w sytuacjach trudnych zachowa się podobnie do nas. A więc jest przewidywalny.

Jak takie pozornie drugorzędne sprawy przekładają się na sprawy ważne, miałem okazję doświadczyć wkrótce po przyjeździe. Lubię dobre wino i zawsze osobiście je dobieierałem. Ale wina są drogie, więc jeździliśmy z Danką na targi win, na których ceny były znacznie niższe, a wybór większy. Tam znaleźliśmy wino, które nam szczególnie zasmakowało: Château Pavie, St. Émilion, Grand Cru Classé. Gdy podaliśmy je do kolacji, ambasador Francji, złożył mi gratulacje, a następnego dnia powiedział w gronie innych ambasadorów: „Jak chcecie napić się dobrego wina, to idźcie do Polaków”. Moje pozycja podskoczyła niebywale. Zostałem uznany za swego, za człowieka wspólnej kultury, a więc takiego, do którego można mieć zaufanie. Ten awans stworzył mi zupełnie nowe możliwości działania.

Jedną z powszechnych wad postępowania w Polsce jest niezwracanie uwagi na takie szczegóły. Po co o nich myśleć, jeśli się chce osiągać wielkie i wspaniałe cele? Ten sposób myślenia owocuje wieloma porażkami. Miałem tego przykład. Rada Europy dysponowała pewnym budżetem na wsparcie projektów lokalnych. Byłem członkiem zespołu, który je rozdzielał. Wpłynął wniosek z Czech. Projekt uznałem za bardzo ciekawy i go popierałem, ale spotkałem się ze zdecydowanym oporem kolegów, bo wniosek był napisany niechlujnie, z błędami literowymi. Opinia była jednoznacznie negatywna. Czy można mieć zaufanie do kogoś, kto nie potrafi na-

pisać porządnego tekstu? Czy jest gwarancja, że ktoś, kto robi błędy w pisaniu, nie zrobi ich w rozliczeniach finansowych? Czesi nie dostali pieniędzy, bo nie zdobyli zaufania. A jakże często u nas wysła się listy z błędami? Potem ludzie się dziwią, że one nie skutkują.

Koledzy dyplomaci z innych „nowych” krajów często przychodzili do mnie, żebym im coś załatwił, bo nie mogli zrozumieć, dlaczego ja mogę, a oni nie. Oczywiście miałem łatwiejszą sytuację od wielu z nich, bo Polska jest większym krajem. Ale istota leżała gdzie indziej. Nasz sposób myślenia był zrozumiały dla przedstawicieli Zachodu, a sposób wyrażania się, zachowania i ubierania potwierdzał, że mamy wspólne podłoże kulturalne. Sytuacja następnych kandydatów była inna. Różnice kulturowe wskazywały wyraźnie, że ten dystans jest znacznie większy. Stąd i zaufanie było mniejsze.

Jednak nie było łatwo wejść w struktury Rady i zająć w nich miejsce odpowiadające wielkości i znaczeniu Polski. Rozpowszechnione stereotypy i właśnie brak zaufania stanowiły poważne bariery. Gdy prowadziłem nieformalne konsultacje, aby powierzyć przedstawicielowi Polski jakąś funkcję, to pierwsze reakcje nie były na ogół przychylne. Sprowadzały się one do modelu: „Ach, my wiemy, że twój kraj reprezentuje wielką kulturę. Uwielbiamy Chopina. I macie zasługi w budowie demokracji. Wasz Wałęsa jest wspaniały. Ale czy ten twój kandydat to mówi biegle po francusku i angielsku? A jakie ma doświadczenie w organizacjach międzynarodowych? Czy on potrafi negocjować, aby uzyskać kompromis? Czy potrafi się znaleźć w sytuacji konfliktowej? A kto go w ogóle zna?”. Na te pytania nie było łatwo znaleźć odpowiedzi. Bo przecież rzeczywiście nie mieliśmy wielu ludzi z doświadczeniem w organizacjach międzynarodowych. A tych, którzy je mieli, wcale nie chciałem popierać, bo to byli przedstawiciele dawnego reżimu.

Musiałem uciekać się do różnych forteli, a i tak nie zawsze uzyskiwałem sukces. Na ogół kończyło się na wiceprzewodniczących. Ale od czegoś trzeba zaczynać. To był proces zdobywania pola. Kiedyś w chwili rozgoryczenia powiedziałem w grupie zaprzyjaźnionych dyptomatów z innych krajów: „Jeśli jakiś dyplomata z Zachodu, idąc, się potknie, to wszyscy powiedzą, że trzeba poprawić dywan. Ale jeśli w tym samym miejscu potknie się Polak, to powiedzą: »Patrzcie, on nawet nie umie chodzić po dywanach!«”. Z biegiem czasu przelamywaliśmy stereotypy i osiągałmy sukcesy. Szybko powstawała duża grupa osób wysoce wykwalifikowanych. Ale początki były trudne. Zbyt często sami Polacy nie potrafili przeciwdziałać tym stereotypom. Zbyt wielu miało kompleksy, a brak umiejętności i wiedzy chcieli pokrywać pewnością siebie, często wręcz arogancją.

Naszymi najbliższymi partnerami były państwa Grupy Wyszehradzkiej i wydawało mi się, że podjęcie współdziałania w Radzie jest też w ich interesie. Z zaskoczeniem stwierdziłem nie tylko brak entuzjazmu, ale i zdecydowaną rezerwę. Jak

mi się zdaje, wynikało to z obawy, żeby Polska, jako największy kraj, nie narzuciła swego przywództwa. Na to żadne z mniejszych państw nie chciało się zgodzić. Chciały same prowadzić politykę zbliżenia z Zachodem. Wszyscy byli bardziej zainteresowani rozwijaniem możliwie bliskich kontaktów z ambasadorami Francji, Brytanii czy Niemiec, ale nie między sobą. Każdy z krajów starał się odrębnie zintegrować, jednocześnie udowadniając swoją odrębność. Każdy chciał się pokazać jako ten inny, lepszy, mniej „komunistyczny” niż pozostałe. Zebrania inicjowane przeze mnie sprowadzały się do ogólników i niczym nie owocowały.

Utkwiła mi w pamięci wypowiedź ambasadorki Słowacji, której zarzucano, że w dobie integracji Czechosłowacja się podzieliła. Powiedziała wtedy, że Słowacy chcą się integrować, ale jako odrębny naród, uznany przez wszystkie inne. „Niech przestaną o nas mówić »Czechosłowacy«, wtedy my będziemy gotowi do integracji”. To sygnał istotnego problemu mniejszych narodów, o których istnieniu ludzie z Zachodu w ogóle nie wiedzieli. Stopień ignorancji historycznej i geograficznej był zastraszający. Miałem kiedyś wykład w Akademii Alzackiej. Dyskusja dotyczyła roli Alzacji w jednoczącej się Europie. Profesor tamtejszy dowodził, że szansą Alzacji jest fakt, iż leży ona na głównej osi rozwoju, która przebiega od Hamburga do Barcelony. Zaprotestowałem, twierdząc, że szansa leży w rozwoju na wschód. Wszyscy byli zaskoczeni, gdy im powiedziałem, że granica z Czechami jest bliżej od Strasburga niż Paryż, a do Polski jest bliżej niż do Bordeaux.

Ale wróćmy do spraw dyplomatycznych. W lecie 1993 roku przewodnictwo w Radzie miała objąć Austria i zaproponowała zorganizowanie spotkania szefów państw i rządów, szczytu Rady Europy. Otwarcie na wschód stwarzało wiele nowych problemów. Trzeba było ustalić zasady przyjmowania nowych członków. Czy przyjmować państwa już w pełni demokratyczne, czy też państwa, które dopiero czynią w tym kierunku wysiłki? Konieczne było określenie priorytetów Rady i formy ich realizacji. Postanowiono powołać kilka grup zadaniowych – *task forces*, które miały zaproponować konkretne działania i wstępną redakcję odpowiednich części deklaracji końcowej. Austriacy zaproponowali trzy: do spraw instytucjonalnych Rady, do spraw ochrony praw człowieka, a więc reformy Trybunału, i do spraw kultury.

Takie ukierunkowanie dyskusji nas nie satysfakcjonowało. Żadna z tych spraw nie była dla nas priorytetowa, a poza tym grupy były już obsadzone przez ambasadorów państw zachodnich, którzy przewodniczyli odpowiednim grupom sprawozdawców. Uważałem, że Polska też powinna być wśród organizatorów szczytu. W porozumieniu z ministrem Skubiszewskim zacząłem lansować dwie nowe kwestie: współpracę transgraniczną i problemy alienacji społecznej, związane przede wszystkim z migracjami. Drugi temat nie znalazł poparcia i odpadł. Odniosłem wrażenie, że niektóre kraje zachodnie obawiały się, iż zostaną sformułowane dezyderaty dotyczące uchodźców i powstaną nowe zobowiązania. Ale

pierwszy został zaakceptowany i utworzono czwartą task force, pod moim kierownictwem. Był to nasz sukces. Ale należało uzyskać jeszcze akceptację dla wniosków grupy. I to też osiągnęliśmy. Współpraca transgraniczna stała się jednym z priorytetowych kierunków działalności Rady.

Sam przebieg szczytu był dla nas dość smutny. Właśnie Wałęsa rozwiązał Sejm i zarządził nowe wybory. Wygrała lewica i przystąpiła do formowania nowego rządu. Ale w chwili szczytu Hanka była ciągle premierem, tyle że wiadomo było, iż w najbliższych dniach przestanie nim być, a więc jej słowa już nie mają żadnego znaczenia. Bardzo przykra sytuacja. Mitterrand, Kohl i inni przywódcy podchodzili do niej z wyrazami sympatii i byli dla niej uprzedzająco mili. Szczególnie Kohl.

Ale kontakty z Hanką po jej odejściu z rządu nie ustały. Jako posłanka przyjeżdżała do Rady Europy. Była bardzo dobrze notowana wśród parlamentarzystów i bardzo lubiana. Powstała szansa, aby została przewodniczącą Zgromadzenia Parlamentarnego Rady Europy. To była bardzo prestiżowa funkcja, dająca wiele możliwości wpływania na europejską politykę. W najbliższym czasie miał nastąpić wybór przewodniczącego frakcji parlamentarnej, do której należała Unia Wolności, a więc i Hanka. Wiadomo było, że ten przewodniczący zostanie na wiosnę przewodniczącym Zgromadzenia, bo takie były ustalenia międzyklubowe. Hanka jako była premier miała taką pozycję, że jej wybór w klubie był prawie pewny. Przewadziłem w tej sprawie delikatne konsultacje.

Nagle, jak grom z jasnego nieba, spadła wiadomość, że Geremek postanowił zbojkotować udział posłów UW w polskiej delegacji do Zgromadzenia Rady Europy. Koniecznie chciał, aby przewodniczącym tej delegacji został ktoś z UW, mimo że ta partia właśnie przegrała wybory. Nie ulegało wątpliwości, że SdRP przewodnictwa nie odda, ale Geremek się upierał. Miałem z nim dość dramatyczną rozmowę w Sejmie. Tłumaczyłem mu, na czym polega szansa Hanki i że gra jest warta świeczki. Spór z SdRP wydawał się bez żadnych szans na jakikolwiek sukces. Ale Bronek się upierał, a właściwie po prostu nie podejmował dyskusji. Na sesję jesienną przyjechała polska delegacja bez Hanki. Wybory w klubie się odbyły i przewodniczącą została Niemka. I to ona kilka miesięcy później objęła przewodnictwo Zgromadzenia. Polska straciła szansę, która była w zasięgu ręki. A bojkot delegacji polskiej do niczego nie doprowadził. SdRP nie oddała przewodnictwa i posłowie UW musieli dołączyć do delegacji, niczego nie zyskując.

Kilka lat później MSZ podjął zabiegi, żeby Hanka została sekretarzem generalnym. Ale podjęto je w sytuacji, w której wiadomo było, że nie ma szans. Narażono ją tylko na upokarzający wynik głosowania. Jak się chce osiągać sukcesy, to trzeba wiedzieć, kiedy i w jakich okolicznościach należy podejmować akcje.

Szczyt zdecydował, że należy przyjmować kraje jeszcze nie w pełni demokratyczne. Oczekiwanie na pełną ich transformację było politycznie nie do przyjęcia. Oznaczałoby trzymanie dużej liczby państw przez wiele lat w przedpokojach, czego one by nie wytrzymały. Ale najpierw trzeba było ustalić granice Europy, bo zgodnie ze statutem członkiem Rady może być jedynie państwo „europejskie”. W 1949 roku, kiedy powstał ów statut, pojęcie to było całkowicie jednoznaczne. Sytuacja się jednak zmieniła. Niełatwo było nawet rozstrzygnąć, jakie kryteria należy przyjąć – czy ściśle geograficzne, czy też kulturalne i polityczne? Zastosowanie kryteriów geograficznych nasuwało trudności. Szereg państw, nawet spośród dawnych członków, wykracza bowiem terytorialnie poza Europę. Turcja jest najbardziej drastycznym przykładem – jedynie trzy procent jej terytorium leży w Europie. Ale problem ten dotyczy również innych państw. Częścią integralną Francji są jej departamenty zamorskie, Grenlandia jest częścią Danii. W stosunku do Malty i Islandii nikt nie zgłaszał zastrzeżeń, jednak trudno zaliczyć do Europy Cypr, jeśli by wziąć pod uwagę jedynie kryteria geograficzne.

Największe kłopoty powstają wszakże na Wschodzie, a właśnie tam przyjęcie granicy miało najdalej idące reperkusje polityczne. W pierwszym raporcie zaproponowano linię rozgraniczającą Europę i Azję według Encyklopedii Britannica. Europejskości Rosji nikt nie kwestionował, chociaż Władywostok jest dość daleko od naszego kontynentu. Jednak przyjęcie tej granicy powodowało, że Kazachstan miałby prawo ubiegać się o członkostwo, natomiast kraje zakaukaskie byłyby uznane za azjatyckie. Taki podział był nie do przyjęcia i, jak zwykle w takich przypadkach, podjęto autorytarną decyzję polityczną. Ustalono, że poza Rosją, Ukrainą, Białorusią i Mołdawią „europejskie” są trzy państwa zakaukaskie. Ugruntowanie ich niezawisłości uznano za bardzo istotne. Republiki środkowoazjatyckie zostały wyłączone.

Zaczął się maraton przyjmowania kolejnych państw. Gdy obejmowałem funkcję, Polska była dwudziestym piątym członkiem, po Węgrzech i Czechosłowacji, które zostały przyjęte wcześniej. Gdy wyjeżdżałem, było już 40 członków. Uczestniczyłem więc w 15 procesach przyjmowania nowych państw. Wielka lekcja nie tylko geografii, lecz także różnych kultur, tradycji i przede wszystkim problemów.

Ale starzy członkowie mieli też swoje problemy. Zaraz po przyjeździe pierwszym gościem u nas był ambasador Czechosłowacji. Bardzo sympatyczny. W naszej książce gości zapisał, że cieszy się z tego pierwszego spotkania i ma nadzieję, że nie będzie to ostatnie. Niestety, było. Czechosłowacja się podzieliła i ambasador pojechał do domu. Ale przed wyjazdem dał mi ciekawą pamiątkę: kalendarz, jaki MSZ Czechosłowacji wydało na rok 1993. Na okładce widniał napis: „Československo 1993”. Problem w tym, że w roku 1993 już Czechosłowacja nie istniała! Nie zawsze planowanie może się okazać skuteczne.

Moja praca składała się z kilku wątków. Jednym z nich było przystępowanie do kolejnych konwencji Rady Europy, które stanowiły istotny element prawa międzynarodowego, a dotyczyły bardzo szerokiego wachlarza problemów, od transportu międzypaństwowego, ochrony środowiska czy współpracy międzynarodowej aż po tak fundamentalne sprawy, jak prawa człowieka, przeciwdziałanie torturom czy wspieranie wolności obywatelskich. Do większości konwencji mogły przystępować jedynie państwa członkowskie. Przed Polską otworzyła się wielka szansa na dostosowanie naszego prawa do standardów europejskich.

Przystąpienie Polski do każdej konwencji to był długi proces wymagający dużej pracy. Najpierw nasi prawnicy musieli dokonać analizy treści konwencji i skutków jej przyjęcia. Rząd podejmował decyzję o przystąpieniu. Potem ktoś w imieniu Polski ją podpisywał. A następnie była konieczna jej ratyfikacja – albo decyzją prezydenta Polski, albo poprzez uchwałę parlamentu. Całą robotę legislacyjną wykonywano w kraju, natomiast na mnie spadał honor podpisywania konwencji, a następnie przekazywania dokumentów ratyfikacji. W ciągu swojego pobytu złożyłem w imieniu Rzeczypospolitej 49 podpisów pod konwencjami. To chyba rekord. Skubiszewski mi powiedział, że on podpisał tylko około 35 umów międzynarodowych. Ale najbardziej ucieszył mnie fakt, że mogłem w imieniu Rzeczypospolitej podpisać Europejską Kartę Samorządu Lokalnego, konwencję regulującą zasady samorządności, do której nawiązywaliśmy naszą reformą.

Lista konwencji nie była zamknięta. Nowe otwarcie Rady zmuszało do zajęcia się nowymi problemami. Do nich należały sprawy mniejszości narodowych. Powołane grupy ekspertów nie mogły znaleźć właściwych kompromisów. Komitet Ministrów zdecydował, że mają się tym zająć ambasadorowie, i dostaliśmy instrukcję, że kompromis ma być znaleziony. Odbyło się kilka dyskusji plenarnych, które udowodniły, jak bardzo są zróżnicowane poglądy w tej, jak się wydawało, tak oczywistej sprawie. Francuzi od razu wyrazili poparcie dla samej idei, ale zapowiedzieli, że Francja do konwencji nie przystąpi, bo u nich nie ma mniejszości. Są tylko Francuzi o różnym pochodzeniu etnicznym i mogą sobie uprawiać własną kulturę. Ale to ich prywatna sprawa. Dla państwa są jedynie Francuzami. Niemcy mają uznane mniejszości, ale tylko trzy: Serbów Łużyckich, Fryzów i Duńczyków. Mniejszość musi być związana z określonym terytorium. Nigdy nie uznają za mniejszość imigrantów z innych krajów. Takie samo stanowisko miały też inne kraje. Ale największe poruszenie wywołało oświadczenie Greków, gdy w pewnym momencie odwołaliśmy się do polsko-niemieckiej umowy pozwalającej rozwiązywać różne problemy poprzez dialog międzypaństwowy. Grek powiedział wprost: „My ze swoimi sąsiadami nie rozmawiamy i rozmawiać nie będziemy”. Ale zgodnie z instrukcjami kompromisy zostały znalezione i konwencja podpisana. Dyplomaci są posłuszni.



Podpisuję Europejską Kartę Samorządu Lokalnego
wraz z sekretarzem Rady Europy Catherine Lalumière, Strasbourg 1993

Działalność Rady Europy obejmuje ogromny wachlarz problemów. Ich rozwiązywaniem zajmowały się rozmaite komitety i komisje specjalistyczne. Istniała ich ponad setka. W każdym z nich uczestniczyli delegaci z różnych resortów. MSZ miał koordynować ich pracę. Ale był zupełnie do tego nieprzygotowany. Brak współpracy między polskimi instytucjami stanowił jeden z największych problemów. Każdy uważał się za najmądrzejszego. Ale najgorsze było to, że wielu nie obchodziły sprawy, które mieli załatwić. Wyjazd do Strasburga uważali za okazję do pobrania diet i dokonania zakupów. Uciekali z posiedzeń na miasto i do sklepów. W ministerstwach delegacja do Strasburga była często traktowana jako nagroda. Ludzi delegowano na zasadzie: poprzednio był Staszek, to teraz niech się Marysia przejedzie. I co najgorsze, nikt nikogo nie informował. Byłem ciągle czymś zaskakiwany. Zupełnie nie doceniano i nie rozumiano roli naszego przedstawicielstwa.

Jako przykład może służyć historia z wicepremierem Łuczakiem. Z jego ramienia przyjeżdżał delegat do jednego z komitetów. Komitety obsługiwali urzędnicy średniego szczebla. Na tyle średniego, że był on poniżej poziomu osób, z którym się kontaktowałem jako ambasador. Gdy wynikł jakiś problem ze zwrotami kosztów przyjazdu, delegat spowodował list wicepremiera adresowany do tegoż urzędnika z prośbą, żeby zechciał się zająć tą sprawą. List pełen prawie służalczych zwrotów, których wicepremier nie powinien używać nawet w stosunku do sekretarza generalnego Rady. Nie przesłano mi go do wiadomości, bo po co. O sprawie dowiedziałem się z odpowiedzi owego urzędnika, który przesłał mi jej kopię. Nie mogłem nic załatwić, bo to przekraczało jego kompetencje. Natomiast mnie załatwienie tej sprawy zajęło pięć minut. Wystarczył jeden telefon we właściwe miejsce. Sprawę załatwiono, ale polski wicepremier się ośmieszył. Dowcipkowano w Strasburgu na ten temat dość długo. Brak poczucia własnej wartości jest jednym z najcięższych błędów. Jak się ktoś sam nie szanuje, to trudno, aby go szanowali inni. A tu polski wicepremier ustawił się w pozycji petenta, i to w stosunku do urzędnika któregoś tam kategorii.

Na szczęście nie były to powszechne zachowania. W wielu komitetach obserwowałem z satysfakcją, jak szybko Polacy zdobywali uznanie i osiąkali sukcesy. Szczególną radością były dla mnie osiągnięcia przedstawicieli samorządów. Tacy ludzie, jak Jan Olbrycht, ówczesny burmistrz Cieszyna, czy Leon Kieres z Wrocławia, przynosili Polsce chlubę.

Ale miałem też przygody, w których trudno nawet mówić o kulturze. W 1994 roku odbyła się kilkudniowa konferencja Rady Europy w Warszawie, poświęcona samorządności, z udziałem Sekretarza Generalnego RE. Ze strony polskiej gospodarzem był szef URM, któremu podlegały te sprawy. Zgodnie ze zwyczajem wydawał on oficjalny obiad. Obiad się odbył, tylko gospodarz nie przyszedł i nawet nas o tym nie zawiadomił. Po prostu wyjechał z Warszawy. Znalazłem się w nie-



Z królową Elżbietą II, Rada Europy 1992

prawdopodobnej sytuacji, gdy musiałem usunąć krzesło i nakrycie gospodarza i wygłosić za niego toast. Czy można w tej sytuacji mówić o wspólnocie kultur?

Osobnym wątkiem były wizyty oficjalne składane w Radzie Europy przez szefów rządów i państw. Niedługo po moim przyjeździe przyjmowaliśmy królową Elżbietę II. Jak głosiła plotka, specjalnie dla niej przebudowano łazienkę w budynku Rady, malując ją na fiołkowo, ulubiony kolor królowej. Królowa odwiedziła nas w sali Komitetu Ministrów. Godzina była wyznaczona. Królowa weszła dwie minuty wcześniej na salę, bo tyle czasu potrzebowała, aby bardzo wolnym krokiem dojść do miejsca przydzielonego. I szła dwie minuty, ani sekundy dłużej! Później byli królowie Jordanii i Maroka, prezydenci i premierzy Albanii, Litwy, Irlandii i wielu innych krajów.

Najwięcej pracy mieliśmy, gdy przyjeżdżał ktoś z Polski. Obsługiwałem kilka wizyt. Najpierw przyjechała premier Hanna Suchocka. Potem Zych jako marszałek Sejmu, po nim Struzik z Senatu. Chętnych do składania wizyt nie brakowało i kalendarz Rady Europy był bardzo obłożony. A poza tym nie było w zwyczaju, aby z jednego państwa w jednym roku składało wizytę kilku VIP-ów. Musiałem się namęczyć, aby wcisnąć wizytę marszałka Struzika w kalendarz Rady Europy.

Mieliśmy też wizytę Pawlaka jako premiera. Przekonywałem, aby przyleciał rano i wieczorem wrócił do Warszawy. Taka wizyta jest znacznie łatwiejsza. Ale w ostatniej chwili przysłała depesza, że premier chce przylecieć dzień wcześniej, zanoctwać i prosi o kolację u ambasadora. Trzeba było coś szybko zrobić. Danka stanęła na głowie. Zaprosiliśmy kilku posłów. Mieliśmy kłopot z borowcami, bo trzeba było ich też gdzieś ulokować, a nasza rezydencja była skromna. Nastrój przy kolacji był miły. Rozmowa bardzo familijna. W naszej pamięci utkwiło wyznanie Pawlaka, który powiedział, że on, skromny chłopak ze wsi, nigdy nie przypuszczał, dokąd zajdzie. To było sympatyczne, bo takie zwyczajne.

Wśród wielu spraw poważny problem stanowiła kwestia antysemityzmu. Polaków z definicji uważano za antysemitów. Walka z tym stereotypem była trudna. Gmina żydowska w Strasburgu była najsilniejsza we Francji, a jej przywódcy odgrywali istotną rolę w skali europejskiej. Starałem się tworzyć dobrą atmosferę. Nawiązałem dobre stosunki z wielkim rabinem Alzacji, który reprezentował środowiska otwarte i postępowe. Zaprosił mnie na uroczystości z okazji jubileuszu pięćdziesięciolecia powstania w getcie warszawskim, prosząc o wygłoszenie przemówienia w synagodze, na tle wystawy obrazującej powstanie. Naturalnie, zaproszenie przyjąłem. Przygotowanie takiego przemówienia było szalenie trudne. Liczyły się poszczególne słowa, a przy różnicach kulturowych łatwo jest niechęć obrazić słuchaczy. Napisałem krótki tekst i wysłałem do konsultacji moich przyjaciół Żydów w Stanach. Moja przyjaciółka z Ameryki wprowadziła kilka korekt. Zaprotestowała przeciw słowu „ofiary” w odniesieniu do wymordowanych Żydów. W kulturze żydowskiej

byłoby to obraźliwe, gdyż sprowadzałoby ludzi do pozycji zwierząt ofiarnych. Mnie by to nie przyszło do głowy. Starannie wypracowane przemówienie chyba jedyny raz w życiu czytałem z kartki. Bałem się zmiany jakiegokolwiek słowa. Wzruszenie też nie ułatwiało przemowy. Przytaczam ten tekst w tłumaczeniu polskim, choć po francusku brzmiał on lepiej:

Panowie Prezydenci, Ekszelencje, Panie, Panowie.

Stoimy tu wobec obrazów świata, którego już nie ma, świata, który zginął w dymach Auschwitz, Treblinki, Getta.

Nie ma słów godnych, aby nimi opisać tragedię Shoah. Tragedię ludzi, którzy zostali skazani na śmierć dlatego tylko, że byli tym, kim byli – za to, że byli Żydami. Tę zbiorową śmierć można uczcić tylko głębokim milczeniem.

Ale milczeć nie można. Tej tragedii zapomnieć nie wolno. My, nasze dzieci i dzieci pokoleń, które nadejdą, muszą pamiętać odwagę i determinację Żydów warszawskiego getta.

Porwali za broń w dzień święta Paschy, aby walczyć przeciwko tyranii o godność człowieka, tak jak kiedyś ich przodkowie w Egipcie. Ale tym razem morze nie zostało przed nimi otwarte. Zginęli na oczach świata, a świat obojętnie milczał.

Byłem wtedy w Warszawie i widziałem płomienie i dymy Getta. Czułem zapach pożaru, a w ciszy nocnej zdawało się, że słyszę krzyk mordowanych. Wiedziałem, że kilku mych kolegów ze szkolnej klasy jest tam palonych. A rok później widziałem całe moje Miasto w ruinie. I pamiętam swoje straszne poczucie bezsilności i to pytanie: dlaczego? dlaczego mają ginąć ludzie, tylko dlatego, że są inni? dlaczego świat na to pozwala?

Szum Zygelbojm, przedstawiciel żydowskiej partii socjalistycznej przy polskim rządzie na wygnaniu, popełnił samobójstwo na wieść o powstaniu w getcie. W swym liście pożegnalnym napisał: »Moje życie należy do Żydów w Polsce i im je oddaję... Przez moją śmierć chcę wyrazić mój najsilniejszy protest przeciw bezczynności, z jaką świat patrzy i pozwala na eksterminację ludności żydowskiej... Odpowiedzialność za zbrodnię wymordowania całej żydowskiej ludności w Polsce spada w pierwszym rzędzie na jej sprawców, ale pośrednio ciąży na całej ludzkości. Przez bierne obserwowanie tego morderstwa bezbronnych milionów ludzkość stała się współnikiem tych zbrodniarzy«.

Elsie Weisel, żydowski myśliciel, powiedział: »Obojętność wobec diabła jest diabłem«. A diabeł antysemityzmu, rasizmu, nietolerancji ciągle jeszcze żyje i krąży po Europie. Szerzy nienawiść jednego człowieka do drugiego tylko dlatego, że jest inny. Nie możemy tego diabła nie widzieć. Nie możemy być na niego obojętni.

Budujemy nową Europę. Strasburg jest jednym z najpoważniejszych ośrodków tych prac. I dlatego szczególnie tutaj, czcząc milczeniem pamięć ofiar Shoah, musimy jednocześnie wołać wielkim głosem, aby ta ich śmierć nigdy nie została zapomniana. Aby dymy warszawskiego getta były wieczną przestrożą i wiecznym zobowiązaniem całej ludzkości do stworzenia świata, w którym każdy będzie mógł być sobą i żyć bezpiecznie. I wierzę głęboko, tak jak i inni ludzie w tym Kraju, że ten cel zostanie osiągnięty”.

To przemówienie było dobrze przyjęte. Zapanowała po nim długa cisza. I osiągnąłem swój cel. Podkreślając mocno odpowiedzialność całej ludzkości, rozciągałem ją również na obecnych. Nikt nie śmiał się wychylić z jakimkolwiek oskarżeniem pod adresem Polaków.

Z rabinem miałem bardzo dobre kontakty. Widywali się często. I jeszcze kilkakrotnie odwiedzałem synagogę. Ale istniało też w Strasburgu środowisko żydowskie bardzo Polsce nieprzyjazne.

W Radzie Europy powstała inicjatywa utworzenia komisji do spraw walki z rasizmem, co oznaczało przede wszystkim walkę z antysemityzmem. Podobna inicjatywa narodziła się też w Unii Europejskiej i niektórzy argumentowali, że Rada już nie powinna się w to angażować. Jednak przekazanie tej tematyki Unii oznaczało, iż zostaje ona poza jakimkolwiek wpływem Polski, która wówczas do Unii nie należała. Dlatego bardzo się zaangażowałem, aby taką komisję utworzyć w Radzie, co dawałoby nam możliwość wpływu na jej działalność. Środowisko żydowskie też było podzielone, ale jego liderzy opowiadali się za skoncentrowaniem sprawy w Unii, bo tam można było prowadzić politykę z całkowitym pominięciem rządów z Europy Wschodniej.

Zależało mi bardzo na poparciu mego stanowiska przez Warszawę. Okazją stała się oficjalna wizyta sekretarza generalnego w Polsce. Z dużym wyprzedzeniem wysłałem więc depeszę z listą spraw do poruszenia w rozmowach. Na pierwszym miejscu widniała kwestia komisji do walki z rasizmem. Byłem w czasie wizyty w Warszawie i towarzyszyłem wszystkim rozmowom, u prezydenta, premiera i z szefami MSZ. I okazało się, że żaden z polskich rozmówców nie wspominał o tej sprawie. Każdy starał się błysnąć swoim intelektem, mówił o sprawach, które uważał za ważne, albo o ładnej pogodzie. Nikt nie zająknął się nawet na temat, o które prosiłem.



Moi adwersarze uzyskali dowód, że można się nie liczyć z tym, co mówię, bo nie mam poparcia w centrali. Sekretariat RE uznał, że moje postulaty były osobistymi inicjatywami, bo przecież nikt z liderów o nich nie wspomniał. A więc można je ignorować, nie przejmować się tym, co mówię. I jak tu robić politykę? Ale Komisja przeciw Rasizmowi i Nietolerancji powstała. Polskę reprezentował Andrzej Siciński, który został nawet jej wiceprzewodniczącym. Robili dobrą dla Polski robotę.

* * *

Pracowałem w ramach MSZ, więc stosunki panujące w Warszawie na Szucha miały dla nas duże znaczenie. A były dziwne. Skubiszewski skoncentrował się na sprawach merytorycznych. Zmiana polityki polskiej była konieczna i wymagała silnego akcentu, aby zostać zauważoną. Trzeba było wprowadzić Polskę jako niezależny podmiot na arenę międzynarodową. Trzeba było zawrzeć porozumienia z nowymi państwami, które nas teraz otaczały. Zamiast trzech państw, z jakimi sąsiadowaliśmy przed 1989 rokiem, teraz mieliśmy siedem, i to całkiem nowych.

Ale Skubiszewski zupełnie nie zmienił organizacji wewnętrznej ministerstwa. Oczywiście, jej przebudowa była ogromnym zadaniem. Pokazywano mi instrukcje, jakie obowiązywały polskie placówki za czasów PRL. Jedna z nich mówiła, że w przypadku jakiegokolwiek kryzysu, należy najpierw zawiadomić miejscowe przedstawicielstwo ZSRR, a dopiero potem policję. Ta instrukcja już nie obowiązywała, ale nie istniała nowa. Zmiany personalne zostały ograniczone do ścisłego kierownictwa, kilku dyrektorów oraz sukcesywnej wymiany ambasadorów. Natomiast administracja pozostała w starych rękach. Również w rękach funkcjonariuszy służb pozostała cała łączność. A jeśli kontroluje się przepływ informacji, to znaczy, że kontroluje się całą politykę. Nie wiedziałem, jaka była hierarchia agentury w gmachu, lecz na pewno ważną w niej osobą był szef łączności, siedzący „na górze”, na czwartym piętrze budynku, w otoczeniu szyfrantów i techników. Sposoby ich działania mogłem odczuć na własnej skórze.

Służby wywiadowcze są zawsze zainteresowane podsłuchami. Miałem na to kilka dowodów. Raz przyjechała koparka i wykopała wielki dół na ulicy, tuż przy naszej ścianie. Przedstawiciele miasta bardzo elegancko nas przeprosili, że muszą reperować wodociągi, ale woda nieprzerwanie płynęła z kranów. Tylko przestały działać wszystkie telefony. Drugi raz miałem dziwne zdarzenie, gdy zmieniliśmy kanały łączności. Początkowo nasza łączność pracowała za pośrednictwem dalekopisów. Potem przeszliśmy na łączność internetową. Dwa dni po tej zmianie przyszło dwóch panów – jak powiedzieli – z poczty, z pytaniem, czy się nam dalekopisy nie popsuly.

Powiedzieliśmy, że nie, a oni bardzo się zmartwili, bo – jak sadzę – musieli poszukać, jakim kanałem teraz wysyłamy depesze.

Ale nasi „technicy” też robili dziwne rzeczy. Montaż telefonów był wykonywany przez „naszych” specjalistów. Po pewnym czasie odnotowałem niebezpieczne zjawisko wyciekania informacji z mojego gabinetu. Kazałem obić drzwi, żeby nic przez nie nie było słychać. Nie pomogło. Nic nie rozumiałem. Sprawa wydała się po roku, gdy udało mi się odesłać do kraju mojego kierowcę, który był agentem służb. Przyjechał nowy i zajął mieszkanie swego poprzednika. Wkrótce pod jakimś pozorem ściągnął mnie do swego mieszkania i zaaranżował taką sytuację, że podniosłem słuchawkę telefonu. Był głuchy. Okazało się, że ten telefon był podłączony równolegle do mojego telefonu w gabinecie. Jak rozmawiałem, to pan kierowca spokojnie słuchał rozmowy. Zrobiłem komisyjny opis tej sytuacji. Kiedy telefoniarze przyjechali z Warszawy, wziąłem szefa ekipy na rozmowę i wprost zapytałem, dlaczego to zrobili. A on z uśmiechem politowania mi odpowiedział: „Przecież sam pan tego chciał!”. Zasłonił się moim żądaniem, aby zainstalowali możliwość przełączania telefonu sekretariatu na dyżurny numer w czasie przerwy obiadowej i poza godzinami pracy. Opis tej sprawy z protokołem wysłałem przez okazję do Warszawy. Droga służbową to poszłoby przez tych, co zakładali podsłuch. Ale żadnej reakcji nie było.

Miałem poczucie, że nie tylko podsłuchy, ale i korupcja jest wszędzie wokół mnie. Było to oczywiście dziedzictwo PRL. Liczyło się wszystko, co dało się przywłaszczyć, bo to było państwowe, a więc niczyje. W pokojach gościnnych po każdym gościu z Warszawy trzeba było dawać wciąż nowe rolki papieru toaletowego. Kierowniczka administracyjna mówiła: „Panie ambasadorze, niech pan pomyśli, jacy to ludzie przyjeżdżają z kraju. Żeby zabierać papier toaletowy...”. Jak mi ktoś powiedział, wśród pracowników technicznych istnieje zasada, że nie zaprasza się do domu w Warszawie osób, z którymi się było na jednej placówce. Istnieje bowiem niebezpieczeństwo, że ktoś rozpozna jakiś przywieziony przedmiot.

Okazję stwarzało wyposażanie ambasad. Departament administracyjny robił zakupy w Warszawie i przysyłał to, co uważał za stosowne. Zaraz na początku ciężarówka z Polski przywiozła mi kawałek oszlifowanego marmuru, nazwany Rzeźba bez tytułu. Gdy popatrzyłem na jej wycenę, zatelefonowałem do Warszawy, że to chyba jakaś pomyłka, bo tego nie potrzebuję i jest za drogie. I że zaraz odsyłam. Zrobiła się dzika awantura. Osobiście interweniował dyrektor, że nie mam prawa odsyłać, że ich sprawą jest wyposażać ambasady w dzieła sztuki i oni wiedzą lepiej. Marmur został w Strasburgu, ja zaś dostałem się na czarną listę w administracji. Jak przysłano mi tkane kilimki z obrazkami typu Wilanów w nocy, już nie protestowałem, choć ceny były niebotyczne. Kiedyś dostałem paczkę prezentów, które miałem dawać innym dyplomatom przy różnych okazjach. Jakież było moje zdzi-

wienie, gdy okazało się, że zawiera ona mydła i dezodoranty. Co by sobie pomyślał ambasador Francji, jeśli bym mu dał dezodorant? Strach pomyśleć. Później tłumaczyli się, że to było przeznaczone na Kubę, bo tam dezodorant to szczyt luksusu.

Innym razem przyszło całe pudło srebra stołowego. Komplet na 24 osoby, bez żadnej specyfikacji czy dokumentu. Ot tak, po prostu dodane do przesyłki. Dostałiśmy to do rezydencji. Otworzyła Danka i przybiegła do mnie z pytaniem, co ma robić. Zwołałem komisję do przeliczenia i zrobienia protokołu. Kazałem wpisać do inwentarza i wysłałem notatkę do Warszawy. Nigdy nie otrzymałem żadnego wyjaśnienia ani odpowiedzi. Jestem przekonany, że ta przesyłka była dla kogoś przeznaczona. Łatwiej wrzucić do ciężarówki, niż wynosić skrycie przez bramę. Tylko ktoś się pomylił i srebro wylądowało u nas w magazynie, a nie u kogoś prywatnie.

Największe operacje można było przeprowadzić przy okazji budowy. Dochodziły też do mnie plotki na temat zakupu budynków. W Strasburgu rozbudowywał się korpus dyplomatyczny, a to oznaczało zapotrzebowanie na reprezentacyjne budynki. Pośrednicy zacierali ręce. Mechanizm był prosty. Pośrednik kupował jakiś budynek i sprzedawał z dużym przebicciem. Trzeba było tylko wiedzieć, kto i kiedy będzie szukać nowej siedziby. No i trzeba było mieć obietnicę, że ten ktoś kupi właśnie ten budynek. Ale na szczęście mnie te sprawy nie dotyczyły. Większe kłopoty miałem ze służbami technicznymi odpowiedzialnymi za przystosowanie obiektu do naszych potrzeb. Uważałem, że nam nie potrzeba luksusów, ale dobrego wyposażenia.

Moja wiedza inżynierska była tu przydatna, ale prowadziła do konfliktów, bo mnie tak łatwo nie można było owinąć sobie wokół palca. Tymczasem pchano nas w koszty, i to zupełnie bez sensu. Kiedyś zwróciłem uwagę, że kładzenie w hallu mozaiki nie ma sensu, bo zwykła klepka jest tańsza i praktyczniejsza. W odpowiedzi usłyszałem wprost od inżyniera, że on lepiej wie, co jest w ambasadzie potrzebne, i że ja tu jestem chwilowo i odjadę, a on zostanie i będzie odpowiadał przed moim następcą. Dosyć szczere wyznanie. Chociaż się pomylił. Wyszedł z MSZ, kiedy ja jeszcze byłem w Strasburgu.

Ciekawostką projektu budynku, której celu nigdy nie odgadnąłem, było tajne wejście do reprezentacyjnego apartamentu gościnnego. Apartament znajdował się na poddaszu i miał normalne wejście z ogólnej klatki schodowej. Ale niezależnie od tego miał drugie schody, które go łączyły z mieszkaniem, przygotowanym dla szyfranta, łączące go z przygotowanym dla szyfranta mieszkaniem, które było poniżej. Szyfrant miał też dwa wyjścia, z czego jedno prowadziło na boczne, ukryte schody mające osobne wyjście na podwórze. Po co istniała druga, ukryta droga, tego się nie dowiedziałem. Wiem tylko, że administracji MSZ bardzo na tym zależało. Żeby to umożliwić, wyburzono nawet zabytkowy balkon w sali balowej, służący kiedyś orkiestrom. Mieli duże kłopoty, aby uzyskać zgodę konserwatora, ale dopięli

celu. Czemu te schody miały służyć? Czy chodziło o bezpieczeństwo i możliwość ucieczki drugim wyjściem, czy też o sprawy bardziej przyziemne, a więc możliwość zaopatrywania gości w miłe towarzystwo i alkohole? W ówczesnym MSZ wszystko było możliwe. Gdy odkryłem te schody, kazałem je zaraz zastawić szafą. Ale kiedy mój pierwszy kierowca wyjechał, to okazało się, że szafa była lekko odsunięta, tak aby będące za nią drzwi dało się odchylić. Za nimi na szczycie schodów stało krzesło, na którym pan kierowca spędzał godziny, łowiąc każdy szmer z mieszkania, szczególnie gdy gościli tam nasi ministrowie.

Cieszyłem się tylko z faktu, że w kierownictwie resortu było kilku moich przyjaciół, ludzi już nowych, którzy mnie wspierali radą i pomocą. Ale o ile ich pomoc była cenna w sprawach merytorycznych, o tyle możliwości ich działań w sprawach administracyjnych i gospodarczych były bardzo ograniczone. W tych dziedzinach rządzili starzy.

Szczególnie kłopotliwe były nasze stosunki z Konsulatem. Zostaliśmy umieszczeni we wspólnym budynku, jednak były to zupełnie odrębne placówki. Przedstawicielstwo było akredytowane przy Radzie Europy i jego kompetencje ograniczały się do tej organizacji. Nie reprezentowaliśmy Polski poza budynkiem Rady. Stali przedstawiciele nie używali nawet chorągiewek na samochodach, bo będąc na ulicy, nie byli reprezentantami państwa. Funkcję przedstawiciela Polski we Francji pełnił ambasador w Paryżu i w określonych ramach generalni konsulowie. Stały przedstawiciel przy Radzie Europy był w randze ambasadora. A ambasador ma wyższy status niż konsul, więc władze lokalne były dumne, że w Strasburgu jest tak liczny korpus dyplomatyczny, a nie tylko konsularny. Mer Strasburga oraz inne organizacje miejscowe wołały mieć do czynienia z ambasadorami niż konsulami. Na trybunach podczas święta 14 lipca staliśmy w pierwszym rządzie, a konsulowie za nami, mimo że to oni reprezentowali swoje kraje, a nie my. Takie sytuacje rodzą konflikty. I rzeczywiście konflikty były we wszystkich przedstawicielstwach tych krajów, które miały w Strasburgu swoje konsulaty.

Konfliktową sytuację pogłębiał fakt posiadania całkowicie rozdzielonego personelu. Jeden kierowca był na etacie konsulatu, a drugi przedstawicielstwa. Jedna sprzątaczką w przedstawicielstwie, druga w konsulacie. Kierownik administracyjny był jeden, ale nie mógł wydawać poleceń osobom zatrudnionym w drugiej jednostce. Budynek nie był podzielony, część reprezentacyjna była wspólna. Każdy mógł nią dysponować. I nie wiadomo było, kto odpowiada za bezpieczeństwo. To rodziło problemy. Konflikty były o wszystko. Te konflikty były zmorą całego pobytu. Moją inżynierską duszę denerwowało nieuporządkowanie podstawowych spraw. Nie wiedziałem, za co odpowiadam i do czego mam prawo. Przedstawiałem w Warszawie różne możliwości uregulowania tych spraw, wzorując się na placówkach innych

państw, które miały identyczne problemy. Wszystkie odrzucano. Przedstawicielstwo i konsulat były nadzorowane przez dwa różne departamenty i nikt nie chciał ustąpić. A nasze problemy nie obchodziły centrali.

Brak współpracy w ramach polskiej służby dyplomatycznej był dla mnie wielkim obciążeniem. Polacy uwielbiają obniżać prestiż innych polskich przedstawicieli. Sądzą, że w ten sposób podniosą swój. Naiwnie sądziłem, że w dyplomacji duch współpracy będzie górować. Zawiodłem się bardzo. Miałem wiele tego przykładów. Wspomnę tylko o jednym, który mnie mocno zabolął i przysporzył mi wielu kłopotów. Rada Europy dawała możliwość kilkumiesięcznych staży dla pracowników dyplomacji z kraju. Zaraz na początku swego pobytu załatwiłem taką możliwość dla Polaków. Jeden z wicedyrektorów z MSZ, który zajmował się sprawami integracji, przyjechał i spędził u nas miesiąc już w końcu 1992 roku. Wiele miesięcy później znalazłem przypadkowo w aktach MSZ jego szyfrowaną notatkę, którą rozesał po tym pobycie do wszystkich ważnych osób w resorcie, oczywiście z wyjątkiem mnie. Przedstawiał się w niej jako przedstawiciel MSZ i opowiadał o konsultacjach, jakie przeprowadził z dyrektorem politycznym Rady. Oczywiście nie był do nich upoważniony, bo to należało do moich kompetencji, a on był tylko stażystą.

Podjęcie takich rozmów podrywało mój autorytet w oczach sekretariatu Rady, bo biurokraci z sekretariatu są bardzo uczuleni na pozycję polityczną poszczególnych osób i w zależności od tego albo się liczą z ich zdaniem, albo je ignorują. I dyrektor uznał, że ja się w Polsce nie liczę, można ignorować moje opinie i nawet oświadczył to w obecności innych osób. Nie mogłem zlekceważyć tej sprawy. Złożyłem wizytę sekretarzowi generalnemu, prosząc o interwencję. W efekcie dyrektor spotkał się ze mną i w jakiejś pokrętej formie przeprosił. Pozostał wrogo nastawiony, ale już się ze mną liczył. Głupia, niepotrzebna, i zarazem przykra sprawa.

* * *

Osobną sprawą były kontakty z naszymi parlamentarzystami. Początkowo delegacji przewodniczył Andrzej Wielowieyski, a po wyborach 1993 roku tę rolę przejął Tadeusz Iwiński. Czynił to sprawnie, wykorzystując swoje umiejętności poligloty. Wytworzył się zwyczaj, że w dniu przyjazdu posłów przed rozpoczęciem sesji wydawaliśmy dla nich kolację u nas w domu, w której uczestniczyli też dyplomaci zatrudnieni w placówce. Opowiadaliśmy, co się dzieje w Radzie i na jakie problemy mogą się natknąć. Budowało się w ten sposób współpracę i wspólne spojrzenie na wiele spraw. Było to ważne, gdyż zawsze występowało pewne napięcie między Zgromadzeniem Parlamentarnym, reprezentującym parlamenty, a Komitetem Ministrów, będącym emanacją rządów.

Pytanie, kto jest ważniejszy, powodowało czasami napięcia. Pamiętam takie wydarzenie. Był to okres przystępowania Rosji do RE. Do Strasburga przyjechała po raz pierwszy jej delegacja parlamentarna. Iwiński w czasie każdej sesji parlamentarnej organizował przyjęcia dla innych delegacji. Odbywały się one u nas w Przedstawicielstwie. Tym razem zaprosił delegację rosyjską. Ale się okazało, że w jej składzie jest Żyrinowski. Miejscowa gmina żydowska zrobiła wielką manifestację pod ambasadą rosyjską w związku z jego antysemitycznymi wypowiedziami. Skończyło się na jakiejś strasznej pyskówce, rzucaniu w siebie ziemią i wyrwanymi z ziemi krzakami. Wielka awantura, o której następnego dnia pisały wszystkie gazety. Spotkałem się z Iwińskim i Małachowskim, który był też członkiem delegacji, i powiedziałem, że nie mogę ryzykować przyjęcia w ambasadzie, na którym będzie Żyrinowski. Już widziałem w wyobraźni kolejną demonstrację Żydów pod naszą ambasadą, utożsamienie nas z Żyrinowskim i nowy „dowód” na nasz antysemityzm. Ani Iwiński, ani Małachowski nie zgadzali się ze mną, dowodząc, że to jest przyjęcie parlamentarzystów, że ja powinienem wykonywać życzenia Sejmu, bo parlament jest ważniejszy od rządu. Moje tłumaczenia, że demonstranci tego nie będą rozróżniać, nie trafiły do przekonania. Sytuacja stała się napięta. Zatelefonowaliśmy do Warszawy i rozmawialiśmy z Olechowskim, który był wtedy ministrem. Przyznał mi całkowicie rację, uznając, że nie możemy ryzykować. W końcu nasze zdanie przeważyło. Zdecydowaliśmy, że przyjęcie się odbędzie, ale nie w ambasadzie, tylko w jakiejś restauracji. A sprawa i tak straciła ostrość, bo Żyrinowski wcześniej wyjechał i na przyjęciu już nie był.

Ale zanim wyjechał, spowodował wiele kłopotów. Kluczowym problemem była wojna w Czeczenii. Zorganizowano debatę, w której wzięli udział Żyrinowski oraz Siergiej Kowalow, symbol walki o prawa człowieka w Rosji. Debata zamieniła się w wymyślanie od zdrajców i świń. Ale z Żyrinowskim weszło do gmachu kilku uzbrojonych ludzi z jego obstawy. To było coś niewyobraźalnego, gdyż do budynku organizacji międzynarodowej żadnej broni wносить nie wolno. Nawet obstawa głów państwa zostawiała broń przy wejściu. Żyrinowski o tym wiedział, ale przecież on nie musiał się stosować do jakichś głupich przepisów.

Mieliśmy różne historie z naszymi parlamentarzystami. Można by o nich napisać odrębną książkę. Już na początku odkryłem, że istniał zwyczaj tzw. wyprawek, polegający na tym, że niedopite butelki po przyjęciu były odsyłane posłom do hotelu. Zakazałem personelowi tego robić. Wydawało mi się, że to nie przystoi reprezentantom Najjaśniejszej. Zniechęcili mnie za to. Ale z biegiem czasu stosunki się ułożyły, a z niektórymi nawet się polubiliśmy. Bardzo dobrze rozumiałem się z Cimoszewiczem. Kiedyś przyjechał do Strasburga zaraz po napisaniu artykułu wspólnie z Michnikiem, wzywając do historycznego kompromisu – pogodzenia dawnej ekipy rządzącej z ludźmi z dawnej opozycji. Zaprosiłem go na lunch. Był

dość zmartwiony i zdziwiony, gdy mu tłumaczyłem, że na to nie ma szans. Może kiedyś przyjdzie taki moment, ale jeszcze nie teraz.

Kiedyś przyjechał jeden z liderów dawnej PZPR. Miałem ulubioną restaurację, gdzie serwowano sery – 400 gatunków. Zamawiam więc talerz serów. Na talerzu ułożonych jest kilkanaście gatunków. Przynosi je specjalny *fromagier*, który o każdym opowiada całą historię. Mój gość wysłuchał wszystkiego dokładnie, potem wziął bułkę, zgarnął na nią wszystkie sery, nakrył drugą połową tej bułki i tak sładcznie uformowaną kanapkę z apetytem zjadł. Myślałem, że się zapadnę pod ziemię. Nie pokażalem się tam przez kilka miesięcy, aby zapomnieli o tej historii. Niby to śmieszne, ale właśnie w ten sposób kształtuje się wizerunek polskiego barbarzyńcy.

* * *

Jednym z moich istotnych celów było wprowadzenie Polaków do sekretariatu RE. Istniała reguła, że liczba i stanowiska zatrudnionych w sekretariacie powinny odpowiadać wysokości składki płaconej przez poszczególne kraje. Ale system rekrutacji był bardzo rygorystycznie sformalizowany. W miarę otwierających się wakatów ogłaszano konkursy, w których mogli uczestniczyć kandydaci, którzy wcześniej już przeszli procedury sprawdzające i byli na listach oczekujących. To dotyczyło tylko dwóch najniższych stopni. Na szczeble średnie awansowano już zatrudnionych na podstawie wewnętrznych konkursów. Na najwyższe stanowiska dyrektorskie odbywały się konkursy otwarte, ale wymagania były bardzo wysokie, a presja już zatrudnionych, aby nie przyjmować z zewnątrz, ogromna. Każdy, kto został raz zatrudniony, uzyskiwał pozycję stałą, bez możliwości zwolnienia. Zespół urzędniczy był więc ustabilizowany i rządził się wewnętrznymi prawami. Dlatego wprowadzenie przedstawicieli nowych członków było trudne.

Pierwsza dostała się nasza pracownica. Potem dostało się jeszcze kilka osób, ale na najniższe stanowiska. Odnotowałem ciekawe zjawisko. Wszyscy, którzy stali się pracownikami Rady, starali się dystansować od kontaktów z przedstawicielstwem polskim. Było to coś zupełnie przeciwnego do zachowań przyjętych w innych krajach. Tam ambasadorowie nie ingerowali w sprawy ich pracy, ale stwarzali zaplecze, które wspierało szczególnie młodych pracowników. Organizowali dla nich spotkania, wykłady i pomoc – w zależności od potrzeb. Natomiast nasi zdecydowanie podkreślali, że niczego od nas nie chcą, i nawet niechętnie bywali na różnego rodzaju przyjęciach. Czy to też było dziedzictwo PRL, gdy się stroniło od polskich placówek?

Powoli zwiększająca się liczba młodych polskich pracowników nie satysfakcjonowała mnie. Nawet jeśli osiągaliby sukcesy, to i tak dopiero za kilkanaście, a może i więcej lat mogliśmy się spodziewać, że Polak osiągnie poważniejsze stanowisko w Radzie. Uważałem, że trzeba ten proces przyspieszyć. Rozwiązanie znalazło się dopiero po kilku latach. Miałem kilka zaprzyjaźnionych osób wśród wysokich funkcjonariuszy Rady. Jednym z nich był Klebes, szef biura Zgromadzenia Parlamentarnego. To było jedno z najwyższych w Radzie stanowisk. Spotykaliśmy się często. W styczniu 1996 roku powiedział mi, że się zdecydował na wcześniejszą emeryturę i że pod koniec roku opuści Radę. Natychmiast zapytałem, kto go zastąpi. Odpowiedział, że jego dotychczasowy zastępca. A kto przyjdzie na jego miejsce? Właśnie mają problem – jest kandydat, ale raczej słaby, i mają wątpliwości, czy można go awansować. Natychmiast podchwyciłem temat – czy miałby szansę Polak? Odpowiedział, że tak, jeśli byłby naprawdę mocną kandydaturą.

Zacząłem działać. Trzeba było wykorzystać informację, o której jeszcze mało kto wiedział. Widziałem dwie kandydatury, które mogły mieć szansę: szefowie kancelarii Sejmu i Senatu. Kandydaci z niższej półki nie mieli szans. Zatelefono wałem do obu. Zainteresowanie wyraził Wojtek Sawicki z Senatu. To była dobra kandydatura – młody, aktywny i już z wysoką pozycją międzynarodową. A jednocześnie miał niezbyt dobre stosunki z marszałkiem Senatu, więc jego poparcie uzyskałem łatwo. Bardzo się ucieszył z możliwości pozbycia się Wojtka. Musiałem także uzyskać poparcie MSZ, bo na tak wysokie pozycje poparcie rządu było konieczne. A także parlamentarzystów.

W kwietniu miałem już zapewnione poparcie Warszawy i mogłem przystąpić do lobbingu w Strasburgu. Pod jakimś pozorem ściągnąłem Wojtka do Strasburga i zorganizowałem kilka nieformalnych spotkań, żeby ludzie mogli go poznać. Klebes złożył rezygnację dopiero w czerwcu, a już wtedy miałem świadomość, że przejdzie kandydatura Wojtka. Chociaż w ostatniej chwili wystąpiły problemy. Sprzeciwił się bardzo silny związek zawodowy pracowników Rady. Przyjęcie kogoś z zewnątrz oznaczało zablokowanie awansu już zatrudnionych pracowników. Mie liśmy jednak mocnych sprzymierzeńców i znaleziono kompromis. Jedno stanowisko rozdwojono i jednocześnie przyjęto Wojtka oraz awansowano jego konkurenta. Zaowocowało to wszakże obniżeniem jego pozycji i uposażenia. Ale i tak był najwyższym funkcjonariuszem Rady spośród wszystkich nowych państw członkowskich. Nawet Rosjanie nie mogli go dogonić. W 2010 roku został sekretarzem Zgromadzenia, a więc objął drugą najwyższą pozycję po sekretarzu generalnym. To był jeden z największych sukcesów. Ludzie z Sekretariatu gratulowali mi. Opisałem go tu nie po to, żeby się chwalić, tylko aby wskazać, jak się załatwia tego typu sprawy. Podstawowa sprawa to dostać odpowiednio wcześniej informację.

Potem przygotować w sposób nieformalny dobrą atmosferę. Trzeba to zrobić też z odpowiednim wyprzedzeniem. Cała operacja „Sawicki” trwała blisko rok.

Ale miałem i negatywne doświadczenia, gdy duży wysiłek był marnowany przez brak współpracy. Taki przykład miałem z wprowadzeniem polskiego kandydata do Izby Praw Człowieka w Bośni. To było wówczas bardzo ważne i prestiżowe miejsce. Dzięki naszym wielkim wysiłkom nominację dostał profesor Adam Zieliński. Upowiedział mnie, że możliwe jest, iż zostanie powołany w Polsce na stanowisko rzecznika praw obywatelskich. Było oczywiste, że te dwie funkcje są nie do pogodzenia. Prosiłem tylko, aby mnie odpowiednio wcześniej poinformował, zanim się zrzeknie, abyśmy mogli przygotować kogoś na jego miejsce. Ale tego nie zrobił. Dowiedziałem się o tym z sekretariatu, gdy sprawa była już przegrana. Jego miejsce przejęli Węgrzy. Tak się marnuje okazje.

* * *

Wśród tych wszystkich wydarzeń prowadziliśmy też własne życie. Dobrą stroną była lokalizacja rezydencji. W ciągu półtoragodzinnej przerwy nie tylko mogłem przejść do domu, zjeść lunch, chwilę porozmawiać z Danką, ale także przespać się 15 minut. To był mój stary zwyczaj. Relaks w ciągu dnia. Wracałem z pracy o piątej po południu. A prawie co wieczór mieliśmy jakieś zajęcia towarzyskie. To było męczące.

Życie towarzyskie w korpusie dyplomatycznym było intensywne i bardzo zhierarchizowane. Ambasadorowie spotykali się między sobą i z pracownikami sekretariatu od dyrektorów w górę, nasi zastępcy ze sobą i z niższymi pracownikami sekretariatu. Stosunki były familiarnie. Natychmiast przechodziło się na ty. Przyjaźnie absolutne. Ale miałem pełną świadomość, że jak coś powiem ciekawszego, to zaraz mój przyjaciel wyśle odpowiednią depezę do centrali. Ja robiłem to samo. Owe przyjaźnie ograniczały się do okresu wspólnego pobytu na placówce. Gdy po dwóch latach po powrocie do kraju wysłałem życzenia i krótkie informacje o sobie do kilku najbliższych kolegów ze Strasburga, to dostałem tylko jedną odpowiedź.

Wydawaliśmy po kilka obiadów miesięcznie, aby móc przyjąć w rezydencji wszystkich ważnych. Nie było to proste. Nie mieliśmy kucharza. Trzeba było wynajmować go z innych ambasad. A poza tym nasze wyposażenie było ubogie. Ale Danką jakoś potrafiła wszystkiemu zaradzić, wspierana przez naszą Małgosię, która zdobywała coraz wyższe kwalifikacje.

Musieliśmy sprostać obowiązującym standardom, nie mając odpowiednich środków. Większość ambasad funkcjonowała już od wielu lat i była dobrze wyposażona. Kolekcje sreber stołowych, jakimi dysponowali Grecy czy Portugalczycy, były fascynujące. Należało stworzyć jakiś inny model stołu, aby nie być gorszym. Danka wpadła na pomysł kupienia w Polsce kilkudziesięciu ptaków z Cepellii i jajek wielkanocnych. I one, wśród kwiatów, stanowiły podstawę dekoracji stołu. To było oryginalne.

Mieliśmy ograniczone środki finansowe, a życie towarzyskie kosztuje. Doświadczyli tego Węgrzy. Ich ambasador był emigrantem, który ostatnie lata spędził w Szwecji. Bardzo mu imponowało życie dyplomatyczne. Chciał dorównać innym, a szczególnie Austriakom. Tylko że Austriacy mieli kilkakrotnie więcej pieniędzy. Któregoś roku umówili się, że razem pojedą na urlop w podróż po Francji. Węgrzy wrócili już po trzech dniach, bo wyczerpali pieniądze, które mogli przeznaczyć na wakacje.

Zaraz na początku pobytu załatwiłem jedną sprawę formalną. Ambasador może się swobodnie poruszać po kraju po akredytacji, ale nie wolno mu go opuścić bez zgody centrali. Ale jak tu mieszkać nad granicą Niemiec i nie móc jej przekraczać. Poza tym moja sytuacja była specyficzna. Byłem akredytowany we Francji, ale przy organizacji międzynarodowej. Wystąpiłem więc do ministra o stałą zgodę na poruszanie się po obszarze również przyległych państw, w promieniu odpowiadającym odległości między Strasburgiem a Paryżem. To w praktyce dawało mi możliwość ruchu po całej prawie Europie Środkowej.

Lubiliśmy góry i mieliśmy je wszędzie wokoło. Więc soboty i niedziele spędzaliśmy z Danką na wycieczkach samochodowych i pieszych wędrówkach. To dawało nam chwilę odpoczynku i możliwości bycia razem, bez podsłuchów i bez kolegów dyptomatów. Alzacja jest piękna, tak samo jak Badenia. Kwiaty i wino w przeuroczych małych zakątkach. Ciągnęło nas też w Alpy. Objeżdżiliśmy więc cały region, a urlopy spędzaliśmy też podróżując we Francji, Austrii czy Szwajcarii. Byliśmy szczęśliwi, jak przyjeżdżały do nas nasze dzieci z wnukami.

W Bernie naszym ambasadorem był Marek Łatyński, też taki spadochroniarz jak ja. Miał podobne problemy ze służbami MSZ. Odwiedzaliśmy się dość często i gadaliśmy o sprawach, których nikt, kto nie trafił na służbę w MSZ, nie mógł zrozumieć. Te kontakty były szczególnie istotne, gdy któryś z nas miał kłopoty albo musiał podjąć trudną decyzję. Ze Strasburga do Berna było niedaleko. Można było przejechać w dwie i pół godziny. Wpadaliśmy do siebie na weekendy. Czasem umawialiśmy się gdzieś w pół drogi. Bardzo żalowaliśmy, że Marek postanowił wcześniej zrezygnować. Nie wytrzymał tego, co mu robiono. Myśmy byli twardsi.

W tradycyjnym świecie dyplomacji, szczególnie we Francji, obowiązują dość archaiczne formy. Na przyjęcia zaprasza ambasador, ale nie podaje się jego nazwiska – Ambasador Polski, i koniec. Na zaproszeniu figuruje też żona, która jednak nie ma własnego imienia, tylko występuje pod imieniem i nazwiskiem męża. Więc na naszych zaproszeniach powinno być: zaprasza ambasador, stały przedstawiciel Polski przy RE oraz Madame Jerzy Regulski. Zbuntowaliśmy się i zaczęliśmy pisać: Madame Danuta Regulska. W efekcie kiedyś dostałem list zaadresowany „Ambasador Danuta Regulska”.

W ogóle był kłopot z naszymi nazwiskami: dlaczego ja jestem na „-ski”, a Danką na „-ska”. A już liczba mnoga – Regulscy – była zupełnie nie do przyjęcia. Używalimy formy: Jerzy i Danuta Regulski. Co innego zresztą pisanie, a co innego mówienie. Moi Rodzice twierdzili, że dali mi na imię Jerzy, bo to dobre imię międzynarodowe, lecz we wszystkich językach zachodnich „Jerzy” to „George” czy coś podobnego. A więc przestałbym być „J. Regulski”, a stałbym się „G. Regulski”, czyli zupełnie kimś innym. Pozostałem przy Jerzym. Tylko jak to wymawiać? W każdym kraju moje imię wymawiano inaczej. Najbardziej lubiłem wersję francuską. Brzmiało to następująco: Żer-zi Regiulski. Nawet się tak przedstawiałem.

* * *

Bliskość Strasburga pozwalała na częste przyjazdy do Warszawy. W pewnym okresie w ciągu roku byłem w kraju 10 razy. Powodów było wiele. Przede wszystkim sprawy MSZ, wizyty oficjalne, jakieś konsultacje czy wydarzenia w Polsce związane z Radą Europy. Obejmując placówkę, zawiesiłem swoje członkostwo w Unii Demokratycznej. Wkrótce przekształciła się ona w Unię Wolności. Nie byłem już jej członkiem, ale łączyły mnie z tymi ludźmi więzy nierządno przyjaźni, a w każdym razie poczucie wspólnoty wartości i celów. Nie zawsze jednak znajdowałem odzew ze strony może nie członków, ale kierownictwa tej partii.

Sprawy Fundacji leżały mi cały czas na sercu. Wyjeżdżając, nie mogłem znaleźć nikogo, kto by mnie w pełni zastąpił. Generalną opiekę przejął Olek Paszyński, ale miał tak wiele różnych pól działania, że nie zawsze wystarczało mu czasu.

Fundacja była zbudowana, jak na organizację obywatelską przystało, na etosie celów i zaangażowaniu obywatelskim. Ale rozrosła się w poważną instytucję, obracającą dużymi pieniędzmi. Mieliśmy sieć 17 ośrodków regionalnych, obejmującą cały kraj. Początkowo szukaliśmy lokalnych partnerów, bo nie bardzo wierzyliśmy we własne siły. Ale wkrótce uzyskaliśmy pełne potwierdzenie porzekadła: „Już mówiły jaskółki, że niedobre są spółki”. Wszystkie po kolei rozlatywały się, bo lokalni działacze chcieli szybkich sukcesów, i to przede wszystkim finansowych i osobistych.

Skala rozwoju zmuszała do rozpoczęcia przekształcania Fundacji w instytucję profesjonalną. Rocznie w naszych szkoleniach uczestniczyło już po 30–40 tysięcy osób. Ten proces okazał się długi i bardzo trudny. Wymagał on wymiany kierownictwa. W 1993 roku nastąpiła zmiana dyrektora. To była dla mnie bardzo przykra sprawa. Z Marysią Ptaszyńską pracowaliśmy razem długo – chyba z 15 lat – i łączyła nas duża sympatia. Powstała jednak kolizja między tą sympatią a interesami instytucji i celami jej działania. Mam w takich sprawach dość pryncypialne podejście. Ważny jest cel – interesy ludzi muszą się jemu podporządkować. Czasami mi mówiono, że traktuję ludzi instrumentalnie. Mogło się tak wydawać. Jednak odpowiedzialność za instytucje, którymi kierowałem, i za realizację ich celów była dla mnie zawsze priorytetową sprawą.

Olek Paszyński zorganizował konkurs, który wygrał Jacek Kozłowski. Prowadził Fundację przez dwa lata. Potem nastąpiła kolejna zmiana. Zmieniało się w Polsce wszystko. Tworzył się nowy ustrój, ludzie dojrzewali do nowych zadań, a w miarę tych postępów pomoc zagraniczna zamierała. Kolejnym dyrektorem został Witek Monkiewicz, który już pracował w Fundacji.

Również zmieniała się moja sytuacja rodzinna. Matka dobiegała powoli końca swoich dni. Jej zdrowie pogarszało się tak, że w 1994 roku zdecydowaliśmy się przyjechać na święta Bożego Narodzenia, aby spędzić je razem. Niestety, spóźniliśmy się o jeden dzień. Matka zmarła, zanim dojechaliliśmy. Gdy wchodziliśmy do domu, to właśnie wynosili jej trumnę. Odbył się zjazd całej rodziny, ale już w innym nastroju. Przyjechali wszyscy z Polski i Ameryki. To było zamknięcie jakiejś epoki rodzinnej. Koniec pokolenia.

Ale miałem też i przyjemniejsze wydarzenia. Już w 1992 roku, w chwili obejmowania funkcji w Strasburgu, zostałem zaskoczony przyznaniem mi doktoratu honorowego przez duński Uniwersytet w Roskilde. Mogłem go odebrać jednak dopiero rok później. A w 1996 roku analogicznym tytułem obdarzył mnie mój rodzimy Uniwersytet Łódzki. To były dla mnie ważne wydarzenia, które potwierdzały, że to, co robiłem, miało swój głębszy sens.

* * *

Jednak czas płynął i w roku 1996 mijały cztery lata mego ambasadorowania i zbliżał się koniec kadencji. W grudniu 1995 nastąpiła w Polsce zmiana prezydenta. Wałęsę zastąpił Kwaśniewski, a Bartoszewski ustąpił ze stanowiska ministra spraw zagranicznych. Zastąpił go Rosati i nastrój w MSZ zmienił się zdecydowanie. Już mało kto pozostał z naszej ekipy. Ci z naboru Skubiszewskiego albo podchodzili,



Otrzymuję doktorat honorowy Uniwersytetu Łódzkiego, 1996

albo wyjechali na placówki. Rozmawiałem kilkakrotnie z Bartoszewskim o swoim powrocie. Uznaliśmy wspólnie, że powinienem zostać w Strasburgu dłużej – rok, a może dwa. W organizacji międzynarodowej trzeba zdobyć osobistą pozycję, aby móc coś załatwić, a to trwa. Traci się na to praktycznie cały pierwszy rok. Moje doświadczenia ze zdobyciem przewodnictwa grupy roboczej wyraźnie tego dowodziły. Po kilku latach osiągnąłem silną pozycję, a nasz proces integracji europejskiej nabierał tempa. Było jasne, że centrum polityki przenosi się do Brukseli. Strasburg będzie odgrywał coraz mniejszą rolę. Ale jeszcze odgrywał i trzeba było to wykorzystać. Zmiana ambasadora oznaczała, że się wyeliminujemy właśnie na ten końcowy okres, gdy jeszcze coś można było załatwić. Bartoszewski zapowiedział więc, że przedłuży mi pobyt na placówce do 1997 albo 1998 roku. Ale zapomniał to zrobić albo już nie mógł, bo premier ograniczył mu kompetencje jeszcze przed dymisją.

Nasze stosunki z Rosatim były chłodne – nic nas nie łączyło, a wiele dzieliło. Na początku roku nie odwołał mnie jednak, więc ciągle nie wiedziałem, kiedy mam wracać. Sytuacja zawieszona nie pozwalała na poważne zaangażowanie. W dodatku zaczęli się zjawiać potencjalni kandydaci na moje następstwo. Niektórzy zjawiali się nawet z żonami, które przeprowadzały wywiady z Danką. Danka z całą szczerością opowiadała im o wszystkich plusach i minusach, a także o obowiązkach żony ambasadora. Gdy jednej z nich mówiła o przyjęciach, nakryciu stołu i rozsadzaniu gości, ona ją zapytała z lekkim przerażeniem: „Skąd pani o tym wszystkim wie?”. A Danka jej z rozbijającą szczerością odpowiedziała: „No przecież każda z nas to wyniosła z domu!”. Pani nie podtrzymała tematu, ale odradziła mężowi ubieganie się o to stanowisko.

Przekazałem Rosatiemu notatkę w sprawie najlepszej formuły wymiany ambasadora. Chodziło o wybranie odpowiedniego momentu w nawiązaniu do terminarza prac Rady. Jesień i zima to okres prac nad budżetem. Dlatego uważałem, że właściwy moment na zmianę przedstawiciela to wiosna – kwiecień, maj – aby nowy mógł się zorientować w sytuacji przed rozpoczęciem prac jesiennych. W centrali nikt takimi sprawami się jednak nie przejmuje. Rosati zawiadomił, że mnie odwołuje jesienią, w samym środku prac budżetowych. Dużo plotek słyszałem o powodach wybrania tego niedobrego terminu. Sprawa jednak uderzała tak bardzo w polskie interesy, że posłowie postanowili interweniować. Minister przedłużył mi pobyt, ale tylko do końca stycznia, bo mój następca bardzo napierał.

Ostatnie tygodnie naszego pobytu były makabryczne. Nagle podczas wyjazdu rodzinnego na Filipiny umarła moja siostra. Sprowadzenie zwłok do Polski i organizacja pogrzebu zupełnie zajęły ostatnie tygodnie mego urzędowania. Na pogrzeb poleciałem do Warszawy na kilka dni przed końcem stycznia i zakończeniem swojej misji w Strasbourgu.

Normalnie wyjazd ambasadora jest połączony z różnymi wydarzeniami towarzyskimi. Nas los pozbawił ich wszystkich. Nawet zwyczajowy prezent – tacę srebrną z odpowiednim napisem – dano mi gdzieś przy jakiejś okazji, a nie na specjalnym przyjęciu. To było przykre zakończenie. Normalnie ambasador wyjeżdża w ostatnim dniu swego urzędowania. Ja nie byłem w stanie zdążyć z likwidacją rezydencji i wszystkich osobistych rzeczy. Musiałem zostać kilka dni dłużej, co wymagało odpowiednich zabiegów dyplomatycznych. Obowiązki szefa placówki *ad interim* przejął mój dotychczasowy zastępca. Nawet nie uważał za stosowne pożegnać się ze mną, jak wyjeżdżałem.

Zapakowaliśmy kartony i walizki z meblami i innymi rzeczami. Danka poleciała samolotem z Frankfurtu, a ja z kierowcą pojechaliśmy służbowym busem, wypakowanym najcenniejszymi rzeczami. W tym czasie zdarzały się rabunki samochodów na szosach. Wiadomo było, że specjalną uwagą cieszą się ludzie wracający z zagranicy. Zawsze wieźli ze sobą wiele wartościowych rzeczy. Jechałem więc z obawą. Nocowaliśmy w Zgorzelcu. Miałem tam przygotowane miejsce w garażu, gdzie samochód mógł bezpiecznie stać w nocy. Rano pojechaliśmy dalej. W Warszawie czekali ludzie, żeby szybko wszystko przenieść do domu, aby to nie rzuciło się w oczy. Rozładowaliśmy transport i kierowca pojechał do siebie. Niedługo dostałem telefon, że mu samochód ukradli. Wystarczyło, że poszedł ze swoją walizką do mieszkania i samochód został na chwilę sam. Dreszcz mi przeszedł po plecach. A więc nas śledzili i chcieli okraść, tylko nie znaleźli okazji. Zadzwoiłem do agencji ochrony, która opiekowała się naszym domem. Przesłali agenta, który siedział u nas w domu przez następne dni. Rozpoczyłem nowy etap swego życia w nie najlepszym nastroju.

29.

**Emeryt – Trudne życie staruszka
(1997-20...?)**

W

róciłem do innego już kraju. Zmiany, jakie nastąpiły w ciągu tych pięciu lat nieobecności, były ogromne. Powrót do kraju oznaczał wejście w zupełnie nowe warunki. Zmieniało się wszystko. Czas rewolucji minął. Teraz mieliśmy do czynienia z państwem w dużym stopniu ustabilizowanym, w którym ludzie chcieli uzyskiwać coraz lepsze warunki do życia. Dawni „rewolucjoniści” poznajdowali sobie miejsca w powstającym państwie. Choć nie wszyscy umieli się odnaleźć, bo wymagało to zmiany mentalności i wykazania kwalifikacji zawodowych. To, że ktoś kiedyś zasłużył się dla demokracji, znaczyło coraz mniej dla nowych pracodawców.

Do nauki wracać nie mogłem ani nie chciałem. Wymarły moje powiązania z Uniwersytetem Łódzkim, Instytutem Nauk Ekonomicznych PAN, komitetami panowskiimi, czy Geografią, z którą byłem przez pewien czas złączony. Środowisko samorządowe też nie było dla mnie zbyt otwarte. Przez tych pięć lat dość wyraźnie się ukształtowało. I nagle się okazało, że jestem poza układami interesów i decyzji. Uwidoczniło się wtedy, jak bardzo wpłynęła na mój los decyzja Bieleckiego o mojej dymisji. Zostałem wykluczony z uczestnictwa w transformacji państwa.

Nałożyły się na to osobiste trudności. Popychając samochód, zerwałem ścięgno Achillesa i spędziłem kilka miesięcy w gipsie. Danka miała nawrót nowotworu. W naszym domu rozpoczął się z dawna zaplanowany generalny remont, którego nawet nie mogłem doglądać, będąc unieruchomiony w gipsie. Zamieszkaliśmy chwilowo w domu, który należał do moich Rodziców.

Z MSZ kontakty ustały zupełnie. Po powrocie chciałem złożyć wizytę pożegnalną ministrowi, ale przez kadry dostałem informację, że minister nie widzi takiej potrzeby. Więc moja noga nie postąpiła w alei Suchoa przez kilka lat.

Tymczasem AWS wygrała wybory i powstała szansa na dalszą rozbudowę samorządu. W czasie mojej nieobecności w kraju władze gmin i miast okrzepły i nabrały sił. Efekty decentralizacji państwa były coraz bardziej widoczne. Środowisko samorządowe rozwijało się i przyciągało nowych ludzi. Zaistniały warunki, aby zbudować władze samorządowe na szczeblu powiatowym i wojewódzkim. Michał Kulesza, jeszcze jako pełnomocnik rządu w gabinecie Suchockiej, przygotował koncepcję powiatów. A Janek Rokita stworzył zespół w ramach Instytutu Spraw Publicznych, który opracował projekt ustaw wojewódzkich. Utworzenie rządu Jerzego Buzka umożliwiło przejście do fazy realizacyjnej. Michał został pełnomocnikiem rządu do realizacji reform i zajął się sprawami legislacyjnymi. Reforma finansów była w rękach Jerzego Millera, wiceministra finansów, a sprawy przekształceń instytucjonalnych mieli w swych kompetencjach najpierw Jerzy Stępień, a potem Maciek Płoskonka jako wiceministrowie MSWiA. To rozproszenie kompetencji nie wpływało na reformę korzystnie, w dodatku nakładały się na to różne orientacje polityczne i sprzeczności między premierem, Leszkiem Balcerowiczem, który był ministrem finansów, a Januszem Tomaszewskim, ministrem spraw wewnętrznych. W miarę rozwoju dyskusji o decentralizacji narastały też opory pryncypalnej sejmowej.

Michał zaproponował mi utworzenie Rady ds. Reform Ustrojowych Państwa przy premierze. Miało to być ciało refleksji i wyznaczania kierunków przekształceń. Było dla nas jasne, że reforma wojewódzka i powiatowa, połączona ze zmianą podziału administracyjnego, stanowi istotny, ale nie ostatni krok, który należy wykonać. Po przeprowadzeniu tej reformy marzyły się nam następne reformy związane z decentralizacją oraz reformą władz centralnych. Chcieliśmy o tym myśleć, dyskutować i realizować. Niestety, te nadzieje okazały się płonne.

Rada powstała. Premier Buzek przyjął taką jej koncepcję, jaką przedstawiliśmy z Michałem, i zaproponował mi przewodniczenie. Zaczęliśmy kompletować skład. Przyniosłem na spotkanie z premierem listę kandydatów. Tu nastąpiło pierwsze zaskoczenie. Okazało się, że Buzek nie chce czy nie może sam decydować. Ciągle gdzieś telefonował i odkładał decyzję na później. Miałem z nim kilka spotkań w tej sprawie. Zupełnie nie rozumiałem zastrzeżeń do szeregu moich kandydatów, a przede wszystkim byłem zaskoczony brakiem zdolności decyzyjnych. Dopiero później wyszło na jaw jego uzależnienie polityczne od Krzaklewskiego. Ale w końcu Rada powstała, zaczęliśmy się spotykać i radzić.

Traktowałem Radę jako *think tank*, który ma wspomagać strategię rządu. Buzek był bardzo sympatyczny i wydawało mi się, że istnieją wszelkie przesłanki do stwo-

zenia ważnej platformy. Odbywaliśmy spotkania co kilka tygodni i wydawaliśmy zeszyty zawierające nasze opinie. Po każdym z nich miałem konferencję prasową. Zainteresowanie prasy było dość znikome. Jak zawsze sprawy samorządu nie znajdowały się w centrum zainteresowań. Media zawsze uważały, że nikogo nie interesuje to, co się dzieje u wójtów. I nigdy nie rozumiały, co to jest samorząd, ani tego, że decyduje on o warunkach życia ludzi.

Pierwszym tematem podjętym w Radzie była obserwacja i ocena przygotowań do reformy. Kilka razy Buzek prosił, abym uczestniczył w posiedzeniach komisji sejmowych, wtedy gdy on sam też się tam wybierał. Chodziło mu o pewne wsparcie merytoryczne. Miałem możliwość wysłuchania zaskakujących przemówień kilku przeciwników reform. Byli to posłowie z prawicowego skrzydła AWS. Uważali oni, że decentralizacja zagraża państwu. A ponieważ już wtedy podkreślali, że „Polska jest najważniejsza”, więc samorząd uznali za wroga Polski. Pamiętam, jak posłanka Konopczyńska z Olsztyna głośno wieszczyła klęskę, bo co będzie, jak samorząd województwa olsztyńskiego sprzymierzy się z Kaliningradem i stworzy odrębne państwo? Oczywiście przy wsparciu Niemców, którzy ciągle na nas dybią i chcą zniszczyć Polskę. Takie głupstwa głosili posłowie z trybuny sejmowej. Psuli w ten sposób reformę, bo aby ich zneutralizować, Buzek musiał wprowadzać niedobre korekty, zwiększając uprawnienia wojewody jako przedstawiciela rządu.

Nabrałem wtedy przekonania, że partie prawicowe, szczególnie o nastawieniu nacjonalistycznym, będą zawsze wrogami decentralizacji. Nacjonalizm wymaga bowiem państwa scentralizowanego i silnego swoją administracją, a nie poparciem i zaufaniem obywateli. Lata następne przyniosły tego potwierdzenie. Sprzeciwy wobec decentralizacji podnosiły się też z lewej strony. Lewica chce sprawiedliwości społecznej i rozbudowy opieki społecznej, a to się przekłada na dążenie do wyrównywania wszystkiego w skali kraju, co oczywiście wymaga centralizacji. Tymczasem rozwój samorządności może następować tylko przy uznaniu faktu, wydawałoby się, oczywistego, że państwo ma służyć ludziom i obywatele sami powinni decydować, czego chcą i co im jest potrzebne. I że Polska jest zróżnicowana, a poszczególne sprawy można załatwiać na rozmaite sposoby, w nawiązaniu do warunków miejscowych. A więc popierać to mogą jedynie partie liberalne.

Z chwilą gdy prace sejmowe dobiegły końca, punkt ciężkości przeniósł się na problemy wdrożenia nowych ustaleń. Realizatorami stawali się wojewodowie nowych wielkich województw. Oni rozdzielali lokale, personel, samochody i inne dobra, które przechodziły we władanie samorządów powiatowych i wojewódzkich. Nadzorował ich wiceminister odpowiedzialny za administrację. Takie rozwiązanie było nieuniknione, ale prowadziło do wynaturzania założeń reformy. Wojewodowie bowiem starali się utrzymać w swoich rękach, co tylko mogli. A tymczasem reforma zakładała, że to marszałkowie będą gospodarzami województw i oni powinni

przejąć większość ludzi, budynków i wyposażenia. Tak się nie stało m.in. z tego powodu, że rząd nie był wystarczająco zdeterminowany i bał się narażać nawet swym kolegą z koalicji rządzącej.

Zaczęliśmy zapraszać na posiedzenia Rady poszczególnych ministrów i przedstawicieli resortów odpowiedzialnych za reformę. Okazało się, że przygotowania idą powoli, a w niektórych przypadkach w ogóle zostały zatrzymane. Resorty bojkotowały reformę, bo prowadziła ona do poważnego ograniczenia ich uprawnień. Na samym początku mojej współpracy z Buzkiem powiedziałem mu, że największymi wrogami reformy będą resorty. Miałem w tej sprawie swoje doświadczenia z pierwszego etapu. Buzek się zachnął. Powiedział, że absolutnie takiego sprzeciwu nie będzie. „Rozmawiałem ze swoimi ministrami i wszyscy są za zmianami”. Moja uwaga go tak uraziła, że dalsza dyskusja była niemożliwa. Ale są prawdy niezruszone. Nikt się łatwo nie godzi na ograniczanie własnych praw. Nawet jeśli jakiś minister oświadczy co innego, to i tak będzie musiał inaczej się zachowywać pod naciskiem swoich dyrektorów. Tak było i w tym przypadku.

Odrębne pole sprzeciwu stanowił sprzeciw władz miast, które traciły swój status wojewódzki. One chciały uzyskać coś w zamian, aby móc się wytłumaczyć wyborcom z utraty prestiżu. Było to do przewidzenia, dlatego sugerowałem, aby stworzyć jakiś program w tej sprawie. Ale jak zwykle sprawę dojrzano dopiero wtedy, gdy protesty stały się głośne i trzeba było je gasić. To jest zawsze przykre, jak nikt nie chce słuchać ostrzeżeń tych, którzy już zdobyli doświadczenie. Dopiero ponieważ robi się krzyk, którego łatwo można było uniknąć. Tak było i tym razem. Nie wiem, dlaczego nagle tymi sprawami zaczęła zajmować się Grażyna Gęsicka, która była wiceministrem pracy i polityki społecznej. Ustalono, że odbędą się spotkania regionalne z przedstawicielami tych miast w celu wysłuchania ich potrzeb i podjęcia próby znalezienia sposobu uspokojenia ich sprzeciwów. Chodziło o 33 miasta. Buzek poprosił mnie, abym w tych spotkaniach uczestniczył osobiście albo delegował odpowiednich członków Rady. Chodziło mu o wzmocnienie prestiżu przedstawicieli rządu. Pierwsze spotkanie z miastami Mazowsza prowadziłem osobiście. Później byłem jeszcze w Białej Podlaskiej i w Piotrkowie. W innych spotkaniach uczestniczył Bohdan Gruchman z Poznania.

Niestety, te spotkania niewiele przyniosły. Władze miast chciały załatwienia swoich konkretnych potrzeb. Jednym zależało na wybudowaniu obwodnicy, inni domagali się pozostawienia u nich jakichś instytucji, jeszcze innym zależało na szkołach wyższych czy instytucjach kultury. Wydawało mi się, że ogromną większość można było załatwić, wprowadzając odpowiednie pozycje do planów resortowych. Ale wymagało to woli politycznej. Tymczasem współpraca z Gęsicką nie układała się najlepiej, a premier nie wyposażył nas w jakiegokolwiek środki w celu

zaspokojenia postulatów ani też nie wydał żadnych dyrektyw resortom. Więc wszystko się rozplynęło. Można było wielu konfliktów uniknąć.

Gorzej, że prace Rady zaczęły napotykać opory także w Urzędzie Rady Ministrów. Ekipa tzw. pampersów, jaka w tym czasie rządziła URM pod wodzą Wiesława Walendziaka, nie potrzebowała żadnych rad. Oni sami wiedzieli wszystko najlepiej. Derdziuk kiedyś wprost mi powiedział, że Rada jest niepotrzebna, bo oni żadnych rad nie potrzebują, a jak będą chcieli się o coś zapytać, to sami będą sobie wybierać, kogo zapytają. Szczerość absolutna. Usychały też moje kontakty z Buzkiem. Sympatyczny był Krzysztof Kwiatkowski, który w tym czasie był osobistym sekretarzem premiera. Próbował mi pomóc. Kiedyś zorganizował mi wizytę u Buzka. Przedstawiłem mu listę problemów, które wymagają załatwienia, i zaproponowałem udział Rady w ich rozwiązywaniu. Odpowiedź była żadna: „Dziękuję. Zastanowię się. Dam znać”. Oczywiście nigdy żadnej odpowiedzi nie otrzymałem.

Nastrój kierownictwa URM przenosił się na działania pracowników. Nawet tych, których mi przydzielono do obsługi Rady. Musiałem odwołać sekretarza Rady. Atmosfera wokół Rady powoli gęstniała. Łączyło się to też z atakami na Kuleszę. Wyciągano mu jakieś rzekome związki z ubecją, ograniczano możliwości działania. Rozmawialiśmy wielokrotnie o tym, że zbliża się koniec naszych działań. Ale sądziliśmy, że on odejdzie pierwszy, a moja Rada pozostanie jeszcze przez pewien okres, bo wydawało się, że rząd będzie potrzebował pomocy w realizacji dalszych reform. Stało się inaczej.

Zanim do tego doszło, to podejmowałem wiele inicjatyw, aby reformy wesprzeć. Kilkakrotnie rozmawiałem z Teresą Kamińską, która stawiała się coraz ważniejszą osobistością w Kancelarii. Zajmowała się głównie reformą zdrowia, która napotykała wielkie trudności. Nie wchodziłem w sprawy medyczne ani organizacyjne, ale zwracałem uwagę na nieprzygotowanie reformy z punktu widzenia społecznego. Społeczeństwo było jej bardzo przeciwne, a działania reformatorów – nieporadne. Nie stworzono społecznego partnera dla rządu. Komitet wsparcia reformy został stworzony przez jej przeciwników, którzy bombardowali społeczeństwo negatywnymi opiniami. I oni odgrywali rolę przedstawiciela zarówno lekarzy, jak i pacjentów. A ze strony reformatorów odzywała się tylko administracja rządowa, która dla opinii publicznej była mało wiarygodna. Ludzie odbierali więc sytuację jako próbę narzucenia przez administrację jakichś strasznych rozwiązań, przed którymi broniła ich grupa społeczników. Obraz był zupełnie fałszywy. W czapkę społeczników ubierali się ci, którzy reformy nie chcieli, bo bardzo dobrze im się powodziło w istniejącym systemie. Natomiast grupy lekarzy, szczególnie młodych, którzy naprawdę chcieli zmian, nie miały platformy pozwalającej im zabierać głos.

Moje wcześniejsze doświadczenie wskazywały na groźbę takiej sytuacji. W 1990 roku stworzyliśmy FRDL właśnie jako społecznego partnera wspierającego reformę. Namawiałem Kamińską, aby podjęła wysiłek stworzenia czegoś podobnego. Musiałaby to być inicjatywa polityczna, ale baza AWS była zdolna taką organizację stworzyć szybko. Niestety, inicjatywy tej nie podjęto, a słuszną i potrzebną reformę wprowadzano w atmosferze wrogości.

Koniec Rady przyszedł szybciej, niż się spodziewałem. W styczniu zwołałem kolejne posiedzenie. Właśnie weszła w życie ustawa o reformie opieki zdrowotnej. Wzburzona Anna Fornalczyk zabrała głos, alarmując, że cała służba zdrowia stanęła i dzieją się okropne rzeczy. Wypowiedź Fornalczyk trafiła na podatny grunt. Kilka osób ją poparło, a też trochę uległem temu nastrojowi, mimo że niektórzy starali się zachować zimną krew. Postanowiliśmy przekazać premierowi swoje zaniepokojenie. Został napisany krótki tekst i wysłany do Buzka. Ale zanim do niego doszedł, o dyskusji donieśli mu „życzliwi”. Nagle odzywa się telefon. Dzwoni do mnie Buzek i dość obcesowo pyta się, czy zajmujemy się reformą służby zdrowia. Odpowiedziałem, że tak i że właśnie wysłaliśmy mu nasze stanowisko w tej sprawie. Odpowiedział brutalnie, że nie po to powoływał Radę, aby mu przedstawiała swoje opinie i że dziękuje mi. I odłożył słuchawkę. Poinformowałem Radę o treści rozmowy i zakończyłem zebranie.

Rozeszliśmy się do domów, a ja czekałem na dalszy bieg wypadków. Ale przez następne tygodnie nic się nie zdarzyło. Nie bardzo wiedziałem, co robić. Dopiero na początku kwietnia zatelefonowała do mnie nasza sekretarka i zapytała, czy znam rozporządzenie premiera sprzed kilku tygodni rozwiązujące Radę. Nie znałem, więc kazałem sobie przesłać. Napisałem do wszystkich członków list informujący o zarządzeniu i dziękujący za współpracę. Wysłałem kopię do premiera. Za dalsze dwa tygodnie dostałem wraz ze wszystkimi członkami Rady list z podziękowaniami. Mam nadzieję, że Buzek, którego bardzo szanuję, zorientował się, że go trochę współpracownicy napuścili i że sposób rozwiązania Rady był bardzo nie fair.

Bardzo żałuję tego zakończenia. W Radzie pracowali naprawdę mądrzy ludzie, o dużym autorytecie społecznym, a państwo wymagało dalszej transformacji. Tymczasem grupa rządząca Urzędem Rady Ministrów uznała, że sama jest wystarczająco mądra co niestety nie było prawdą. Ciągłe w Polsce nie szanuje się wiedzy, jeśli ją posiada kto inny.

Reforma nabierała rozpędu. Należało przebudować ogromną liczbę instytucji. W 1990 roku sprawa była łatwiejsza. Gminy przejęły to, czym rządziły, a więc kilka milionów nieruchomości i blisko 100 tysięcy osób w ciągu jednej nocy zmieniło swego pracodawcę – przestali być pracownikami państwowymi, a stali się pracownikami gminnymi. W 1998 roku wraz z utworzeniem władz samorządowych w powiatach i województwach i zmianami podziału administracyjnego zmiany były

znacznie większe. Dotyczyły około 12 tysięcy instytucji. Warto podać to zestawienie, bo mało kto zdaje sobie sprawę z ogromu zmian.

A więc zlikwidowano:

- 49 urzędów wojewódzkich,
- 287 urzędów rejonów administracyjnych;

utworzono:

- 16 urzędów administracji rządowej w nowych województwach,
- 16 urzędów samorządowej administracji wojewódzkiej,
- 308 urzędów administracji powiatowej;

rozbudowano:

- 64 urzędy miast, które przejęły kompetencje powiatów;

zmieniono podporządkowanie i częściowo zreorganizowano:

- 1989 jednostek dotychczas podporządkowanych ministerstwom, z których 392 podporządkowano władzom wojewódzkim, a 1597 władzom powiatowym,
- 7478 wojewódzkich i rejonowych jednostek usług publicznych dotychczas podporządkowanych administracji państwowej, z których 1323 przekazano samorządom wojewódzkim, a 6155 powiatowym.

Pewne zmiany dotyczyły jedynie innego podporządkowania instytucji, która jako taka pozostawała niezmieniona. Ale to wprowadzało nowe rutyny zarządzania, a przede wszystkim nowe zależności personalne, co oznaczało często rewolucję.

Nowa reforma wymagała przygotowania nowych kadr. Trzeba było przeszkolić masę nowych urzędników. Aby nowy system ruszył trzeba było ludziom wytłumaczyć jego sens i zasady, a także wskazać, jak zmienią się warunki, w ramach których dotąd pracowali. Polska miała już dostęp do funduszy unijnych. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych i Administracji wystąpiło z odpowiednimi wnioskami. Unia zgodziła się uruchomić odpowiedni program. Ogłoszono konkurs, w którym wystartowała FRDL wraz z wieloma organizacjami z Polski i z zagranicy.

I nagle zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Mieliśmy wielkie doświadczenie, byliśmy jedyną polską instytucją, która mogła się takiego zadania podjąć. Ponieważ warunki narzucały obowiązek stworzenia konsorcjum międzynarodowego, zaprosiliśmy jako podwykonawców organizacje zagraniczne, z którymi współpracowaliśmy. We wrześniu dostaliśmy wiadomość, że wygraliśmy konkurs. Ale inne konsorcjum, prowadzone przez Włochów, złożyło protest. Powody były wyraźnie naciągane. Podobno na otwarcie kopert zaproszono ich jedynie telefonicznie, a nie listownie, z odpowiednim wyprzedzeniem. Protest uznano i postanowiono całą procedurę powtórzyć.

Było to dla nas zaskakujące. Włosi mieli jakieś specjalne kontakty. Wydawało się nam, że urzędnicy w Unii zrobili umyślnie błąd, gdy zobaczyli, że Włosi przegrują. Czekaliśmy jednak spokojnie, chociaż czas uciekał i potrzeba szkoleń stała się coraz pilniejsza. Rozstrzygnięcie się przedłużało. Weszliśmy już w grudzień, a środki z tej puli musiały być rozdysponowane do końca roku. W ostatnich dniach przed Wigilią na stronie internetowej Przedstawicielstwa Unii ukazała się informacja, że znowu wygraliśmy. Ale radość była przedwczesna. W Wigilię rano przyszedł list z informacją, że wygrali Włosi. Biura unijne były już zamknięte na cały okres między Świątami a Nowym Rokiem, nie było więc z kim rozmawiać. A decyzje musiały być podjęte do końca grudnia. Perfekcyjna robota. Informacja o tym, że wygraliśmy, wisiała jeszcze w Internecie kilka tygodni. Zdjęli ją dopiero po naszej interwencji. Na nasze pytania, co się stało, nigdy nie dostaliśmy odpowiedzi. Natomiast rozpuszczano plotki, że dzięki przenikliwości urzędników unijnych nie dopuszczono do jakiegoś przekrętu, jakiejś zмовy, w której myśmy mieli odgrywać kluczową i paskudną rolę.

Projekt ruszył i wtedy się okazało, że Włosi są zupełnie nieprzygotowani. Nie bardzo wiedzieli, od czego zaczynać. Ministerstwo po kilku miesiącach zaczęło się denerwować. Wtedy Włosi zaprosili nas na rozmowę i zaproponowali wejście do ich konsorcjum jako podwykonawcy. Okazało się, że Włosi chcą nam przekazać całą robotę merytoryczną, zachowując sobie jedynie logistykę, bo z nią wiązały się podstawowe pieniądze. Po kilku spotkaniach się wycofaliśmy. Okazało się zresztą, że jako przegrani nie mamy prawa być podwykonawcami zwycięzców. Włosi okazali się zupełnie bezradni – interesowało ich jedynie wyprowadzenie jak największej ilości pieniędzy. A ich polscy współpracownicy nie mieli doświadczenia w działaniach praktycznych, zaproponowali studia i obserwacje, czym MSWiA zupełnie nie było zainteresowane. Należało szkolić i informować ludzi, a nie prowadzić badania. Po kilku dalszych miesiącach MSWiA rozwiązało umowę. I dopiero wtedy zaczęły się oskarżenia, że to podobno my zablokowaliśmy projekt ze złości, że przegraliśmy. To było przykre doświadczenie, wskazujące, jak brutalne potrafią być firmy, które chcą jedynie zarabiać, a nie czują się odpowiedzialne za rozwiązanie jakichkolwiek problemów.

Kiedyś później złożyliśmy wizytę w Przedstawicielstwie Unii, aby próbować nawiązać normalne stosunki. Ale spotkaliśmy atmosferę, że to my jesteśmy wszystkiemu winni. Tymczasem nie ulegało wątpliwości, że Włosi mieli wygrać od początku, a ponieważ okazali się niezdolni do zrealizowania projektu, to też trzeba było zwalić wszystko na jakiś spisek. Oczywiście afera. Ale byliśmy na drodze do Unii i nikt nie chciał jej komplikować. Ale najważniejsze były straty Polski. Wchodziliśmy w nowy ustrój bez jakichkolwiek szkoleń i przygotowania kadr. Tym się ani Włosi, ani Unia nie interesowali. Ich martwiło tylko to, że ktoś, kto miał zarobić, ostatecznie nie zarobił.

To był okres krzepnięcia naszego nowego ustroju. Występowały wszystkie trudności, jakie trzeba było pokonać, uwidaczniali się przeciwnicy zmian. Każdy chciał takiej Polski, jaka dawała mu największe korzyści. Oczywiście jest zrozumiałe, że każdy dba przede wszystkim o swoje interesy. Ale podstawowym problemem było, ale i jest nadal, że nie powstała wizja państwa powszechnie akceptowana, która byłaby celem transformacji i jednocześnie stanowiłaby punkt odniesienia przy ocenie poszczególnych reform. W coraz większym stopniu szermowano nic nie mówiącymi hasłami pełnymi ogólników. Liderzy polityczni nie byli w stanie sformułować odpowiedzi nawet na podstawowe pytania dotyczące roli państwa. Czy państwo ma wyznaczać cele i wartości, czy też tylko stanowić organizację realizującą potrzeby obywateli? Byłem oczywiście za tym drugim. Tylko w takiej konfiguracji samorządność ma sens. Ale to nie było dla wszystkich jasne. Szczególnie nasze elity intelektualne nie zawsze mogły się pozbyć myślowych reliktyw z PRL, i jednocześnie już nieaktualnych haseł dotyczących odzyskania wolności, która przecież już została odzyskana.

Ustrój kształtował się więc powoli przy ogromnych oporach, chociaż zmiany następowały wyraźnie. Polska się zmieniała w dużym stopniu w wyniku uruchomienia inicjatyw lokalnych. Ale ciągle reliktyw pozostałych z dawnego ustroju było dużo, niektóre bardzo zakamuflowane. Jeden z moich przyjaciół powiedział mi, że analizując strukturę budżetu, odkrył w połowie lat dziewięćdziesiątych zakamuflowany paragraf, w którym przewidziano środki na zaopatrzenie sowieckich łodzi podwodnych w polskich portach. Związku Sowieckiego już nie było, łodzie podwodne do portów naszych nie wpływały, ale paragraf był powielany i co roku jakieś pieniądze były tam chomikowane. Przez kilka lat nikt na to nie zwrócił uwagi.

Niektóre instytucje powstałe jeszcze w okresie PRL chciały trwać w nowym ustroju, chociaż do niego nie pasowały. Wspominałem o FWP, typowym relikcie dawnych czasów, który ciągle trwał, rozsypując się powolutku. Innym przykładem były Hufce Pracy, typowy produkt socjalizmu. Hufce miały lepszych opiekunów, bo utrwaliły swoją egzystencję i trwają do dziś. W jakimś wywiadzie dziennikarz zapytał mnie o opinię na temat Agencji Mienia Wojskowego. Właśnie ukazał się artykuł jednego z jej kierowników, który bardzo się chwalił rozwijaną przez nich działalnością gospodarczą, w tym hodowlaną, która miała dawać dodatkowe środki na utrzymanie armii. Mój rozmówca bardzo się zdziwił, kiedy oceniłem tę działalność jako złą i szkodliwą. Powiedziałem, że każdy powinien robić to, na czym się zna – nie jest rolą pułkowników hodować króliki. „Nie chcę, aby armia polska była utrzymywana przez takich hodowców”.

Groźnym zjawiskiem były próby utrwalenia swej egzystencji przez instytucje utworzone jako przejściowe, w celu dokonania przekształceń w ramach transformacji państwa. Odziedziczyliśmy struktury państwa ukształtowane w okresie PRL, a zgodnie z wówczas obowiązującą konstytucją zadaniem państwa była „realizacja wielkich idei socjalizmu”. Musiało być scentralizowane i wszechogarniające, gdyż realizacja „wielkich idei” zmuszała do wkraczania we wszystkie dziedziny życia. Państwo miało więc wszystkim zarządzać i mieć do tego odpowiednie instytucje i narzędzia. Od takiego państwa odchodziliśmy. Państwo ma się zajmować tylko tym, czym dla dobra obywateli musi się zajmować, tym, czego kto inny zamiast niego wykonać nie może. Ale aby państwo odpowiednio przekształcić, aby sprywatyzować to, czym zajmować się nie powinno, potrzebne były rozwiązania przejściowe.

W 1998 roku wpłynęły do Sejmu projekty ustaw dotyczących Agencji Własności Rolnej Skarbu Państwa, która została powołana, aby zagospodarować majątek i ziemię po państwowych gospodarstwach rolnych. Były to ogromne obszary, szczególnie na terenach zachodnich. Należało się zastanowić nad jej przyszłością i odpowiedzieć na pytanie, czy państwo powinno być wielkim właścicielem ziemskim, czy też Agencja powinna jak najszybciej przekazać ziemię w ręce prywatne. Odpowiedź wydaje się oczywista. Państwo nie ma prowadzić własnej działalności gospodarczej, bo nie może konkurować z własnymi obywatelami. Państwo ma się utrzymywać z podatków, a te powinni płacić ci, którzy taką działalność prowadzą. Należało jednak wykonać skomplikowane operacje transformacji i dla wykonania tego zadania potrzebne były instytucje takie, jak AWRSP, jako instytucje czysto zadaniowe, które wraz z wykonaniem zadania powinny zniknąć. A więc przyszłość Agencji wydawała się jasna – musi zniknąć z chwilą wykonania zadania, do którego została powołana. A miarą efektywności jej działań powinna być długość czasu, jaki będzie jej konieczny, aby się zlikwidować. Tymczasem w artykułach publikowanych przez szefów Agencji (w tym i bardzo przeze mnie cenionego profesora Antoniego Leopolda) mówiło się o jej przyszłości co innego. Z przerażeniem czytałem twierdzenia, że „forma dzierżawy będzie się utrzymywała”, czyli zakładano, że państwo na zawsze pozostanie właścicielem wielkich obszarów, które będzie dzierżawić. Jako sukces podkreślano, że Agencja utworzyła ponad 100 spółek, a więc nie likwidowano pozostałości PRL, ale je utrwalano. Zabrałem w tej sprawie głos publicznie. Wywołało to polemikę i dość silne pretensje, że atakuję naszych ludzi, którzy wyprowadzają Polskę z komunizmu. Zgadza się. Wyprowadzali. Ale jednocześnie wprowadzali w ślepe uliczki, które utrudniały rzeczywistą transformację. Do tej samej sprawy wracano później wielokrotnie, coraz bardziej rozumiejąc narastający problem. Szkoda tylko, że tak bardzo utrudniano i nadal się utrudnia tworzenie silnych gospodarstw produkujących na rynek. Ale te poważne zmiany są sprzeczne z interesami osób, którym jest dobrze w układach hybrydowych i nie zawsze czystych.

Rok 1999 zamykał pierwszą dekadę reform i zmian politycznych. Dziesięciolecie przełomu chciał też uczcić prezydent Kwaśniewski. Wiosną zorganizował spotkanie z okazji jubileuszu Okrągłego Stołu. Byłem na nim i widziałem, jak bardzo różniliśmy się w spojrzeniu na te same wydarzenia. Cały przebieg spotkania miał pokazać sukces ludzi dawnej PZPR, którzy tak sprawnie przeprowadzili Polskę od komunizmu do demokracji. Mówiono więc jedynie o tym, jak to mądrze Kwaśniewski z Kiszczakiem wszystko zorganizowali i jaki odnieśli sukces. Dla mnie Okrągły Stół był czymś zupełnie innym. Przykro mi też było, że kilku jeszcze innych uczestników brało w tym chórze udział. Takie zacieranie granic jest wysoce nieprzyjemne. Ale patrzyłem na to wszystko z boku. Nie wytrzymałem dopiero, gdy zaczęto wyświetlać film z Magdalenki, na którym pokazywano Michnika i kilku innych uczestników z kieliszkami w ręku. Film nagrany ukrytymi kamerami miał pokazać, jak to się w rzeczywistości bratano i jak się wspólnie bawiono na zapleczu niby poważnych rozmów. Nie wytrzymałem i wyszedłem. W tym towarzystwie protestować nie było sensu.

Później sprawa oceny Okrągłego Stołu i naszej pokojowej rewolucji jeszcze bardziej się skomplikowała, gdy włączył się PiS i jego środowisko. Wtedy te wydarzenia zaczęły być kwalifikowane jako zdrada i zmowa. Rzeczywiste oceny stały się niemożliwe. W dodatku zaczęto atakować poszczególne osoby. Wałęsa stał się wrogiem podstawowym.

Nie wiem, czy on w rzeczywistości coś podpisał, czy nie. Pewnie podpisał, jak podpisywało wiele tysięcy osób. Czy to, co podpisał w 1970 roku, miało jakiegokolwiek znaczenie? Oczywiście żadnego. I dziw bierze, że nawet stosunkowo inteligentni ludzie kupowali tę bzdurę o rzekomym przywiezieniu Wałęsy do Stoczni motowózką UB. Przecież to oznaczałoby, że PRL zostało obalone przez UB.

I zastanawiałem się, dlaczego uznajemy Kmicica za pozytywnego bohatera, a do św. Pawła się modlimy, podczas gdy niektórzy uważają Wałęsę za zdrajcę. Przecież i Kmicic, i św. Paweł zachowywali się w pewnym etapie swego życia w sposób rzeczywiście obrzydliwy. Przecież Paweł, jeszcze jako Szaweł, kamienował chrześcijan, a Kmicic walczył z legalną władzą. I im przebaczone. Tymczasem Wałęsa, który nic konkretnego nie zrobił przeciw kolegom i społeczeństwu, takiego przebaczenia uzyskać nie może, mimo swoich ogromnych późniejszych zasług. Nienawiść wyklucza logiczne myślenie, gdyż nie chodzi wcale o prawdę.

Sprawy ocen przełomu odżywały w okresach kolejnych jubileuszy. Szczególnie ostro wystąpiły w 2009 roku, bo obchodzono jubileusz w warunkach ostrej walki politycznej. I znów się okazało, że różne grupy patrzą na tamte wydarzenia w spo-

sób zdecydowanie różny. Historia ma służyć bieżącym potrzebom. Nie mogłem wytrzymać na konferencji w Sejmie, gdy Reykowski zaczął opowiadać, jak to spotykał się na Żoliborzu z Geremkiem i jak omawiali wspólne programy przebudowy państwa. Obraz zupełnej idylli. Zabrałem głos i opowiedziałem, jak nas strona partyjna chciała wykołować, jakie kruczki stosowano i jak bardzo chciano tak reformować Polskę, aby nic się nie zmieniło. Nastąpiła chwila ciszy, jednak potem wszystko wróciło w stereotypowe koleiny. Ale prezydent Kwaśniewski sprawił mi osobiście dużą satysfakcję. Rok 1999 to był też rok mego siedemdziesięcioletnia. Miałem wielką satysfakcję z różnych form uznania, jakie otrzymywałem. A 11 listopada Kwaśniewski udekorował mnie Krzyżem Wielkim Orderu Odrodzenia Polski. Byłem zaskoczony, szczególnie gdy poproszono mnie, abym przemówił w imieniu odznaczonych. Powiedziałem kilka słów, nawiązując do Okrągłego Stołu, którego obrady miały miejsce właśnie w tej samej sali, gdzie odbywała się uroczystość, a szerzej: do przełomu politycznego, któremu zawdzięczamy demokrację. Geremek, obecny na uroczystości, powiedział do mnie potem, że nie jest pewien, czy to, co mówiłem, zgadzało się z odczuciami większości odznaczanych. Bo oni pochodzili głównie ze środowiska PZPR, którego wcale nie zachwycały te zmiany. Takie były paradoksy owych lat.

Igranie z historią stawało się, niestety, dość powszechne. Waldemar Kuczyński podjął inicjatywę opracowania monumentalnej monografii opisującej to, czego Polska dokonała w ciągu pierwszej dekady. Przez Michała Kuleszę dowiedziałem się o niej i o tym, że również reforma samorządowa ma być opisana. Dostałem też tekst, który miał być zamieszczony. Dowiedziałem się z niego, że inicjatorami reform wcale nie byliśmy my, ale profesor Ehrlich, do którego ja później dołączyłem z paroma innymi osobami. A w rzeczywistości ja Ehrlicha w ogóle nie znałem i nic o nim nie wiedziałem. I on nic dla reform nie zrobił. Niestety, ten nieprawdziwy artykuł w księdze się znalazł. Nie mieliśmy ani siły, ani ochoty rozdmuchiwać sprawy. Zażądaliśmy tylko, aby został również opublikowany nasz tekst, opisujący rzeczywistą historię.

Znalazło potwierdzenie porzekadło, że sukces ma wielu ojców, a porażka jest sierotą. Do ojcostwa naszej udanej reformy przyznawało się coraz więcej osób. To było przykre, choć z biegiem lat zacząłem się do tego przyzwyczajać. Ostatnio modne stało się wiązanie odbudowy samorządu ze Zjazdem Solidarności w 1981 roku, a konkretnie z uchwalonym wtedy dokumentem Samorządna Rzeczpospolita. Jego tytuł ładnie się komponuje z dzisiejszym samorządem, ale mało kto go czytał i wie, że dotyczy on ogólnie udziału obywateli w zarządzaniu państwem, a zwłaszcza samorządu, ale pracowniczego w państwowych zakładach pracy. Na szczęście dla nas wszystkich ten typ samorządu został odrzucony przez reformy Balcerowicza.

A tam, gdzie taki samorząd powstał, bankructwo szybko się zbliżało. A o samorządzie terytorialnym to były dwa zdania. Ale ta historia dobrze się komponuje.

Jednak gra historią, ładnie nazywana „polityką historyczną”, ma niestety u nas znacznie szersze zastosowanie. Politycy starają się przyciągać wyborców, grając na ich sentymentach i dostosowując naszą historię do swoich aktualnych potrzeb. Nie jest to nic nowego. W ciągu wielu lat życia widziałem najrozmaitsze wersje historii Polski. Raz za bohaterów uznawano tych, którzy walczyli z Moskwą. Ale wkrótce ich miejsce na piedestale zajmowali ci, co walczyli z Niemcami, a poprzedni byli uznawani prawie za zdrajców.

Tymczasem Polska to realne, dzisiejsze życie, a nie ciąg mesjanistycznych zrywów, rzeczywistych i zmitologizowanych, ponadto w większości przegranych. Mity są bez znaczenia dla teraźniejszości i aktualnych problemów, ale są kluczową siłą budującą tożsamość, kulturę i tradycję. Są siłą mogącą ludzi łączyć, ale też można je wykorzystywać do pogłębiania podziałów, szczególnie gdy mitologizuje się niektóre bieżące wydarzenia. Powstają wtedy siły hamujące rozwój i integrację społeczną, zamiast je wspierać poczuciem wspólnoty.

Dlatego nauka historii ma tak wielkie znaczenie. Ale historia to poznanie związków i praw rządzących procesami rozwoju społecznego i gospodarczego. A w naszych szkołach uczy się jedynie historii królów i wojen, jakby tylko one o wszystkim decydowały, w oderwaniu od zachodzących procesów. A szkoda, bo gdyby tłumaczono wpływy wojny trzydziestoletniej na polską gospodarkę i politykę, to może lepiej by rozumiano globalizację i współczesne uzależnienie Polski od procesów światowych.

* * *

Rok 2000 przyniósł wiele zmian. Rząd Buzka zaczynał mieć coraz większe kłopoty. AWS powoli się rozlatywała. Krzaklewski fatalnie przegrał w wyborach prezydenckich. Unia Wolności wystąpiła z rządu, ale i sama się rozpadała.

Osobiście byłem zawsze trochę na marginesie działań politycznych. Niemniej jednak łączyły mnie bliskie więzy emocjonalne i przyjacielskie z wieloma osobami. Stąd też z dużą przykrością patrzyłem na zupełnie bezradne ruchy ludzi, którym się wydawało, że jeszcze rządzą krajem. Całkowity brak zdolności AWS w tym zakresie był rozpaczliwy, a działalność Krzaklewskiego z tylnego siedzenia wręcz infantylna.

Zapraszano mnie na kolejne zjazdy Unii jako zaprzyjaźnionego gościa. Pamiętam zjazd w 2000 roku w sali Politechniki na rogu Wołoskiej i Madalińskiego, gdy dyskutowano sprawę uczestnictwa w wyborach prezydenckich. Balcerowicz jako

szef partii naciskał, aby nie zgłaszać własnego kandydata, tylko poprzeć Olechowskiego, który startował jako kandydat niezależny. To była bardzo wątpliwa decyzja. Rezygnacja ze swojego kandydata oznaczała, że Unia nie zaistnieje w wyborach.

Następny krok Unii w stronę upadku miał miejsce na Bielanach w styczniu 2001 roku, gdy wybierano nowe władze. Podział w partii był wyraźny. Jedną grupę tworzyli ludzie związani z tradycyjną Unią i jej etosem, a drugą ci, których nie zadowalało dotychczasowe kierownictwo, w związku z czym, chcieli zmiany i sami byli żądni władzy. Przeżywałem bardzo sytuację, obserwując zacietrzewienie obu stron, wzajemne wycinanie się kandydatów do władzy i wspólne dziurawienie łódki, na której jeszcze płynęła Unia. Powstał rozłam. Młodsze i aktywniejsze środowisko stworzyło Platformę, a tradycyjna Unia powoli tonęła.

Osobiście byłem związany z tradycjonalistami. Na moim stosunku do liberałów ciążyły wspomnienia o tym, jak w 1991 roku Bielecki potraktował mnie i, co ważniejsze, ideę samorządową. Ale byłem krytyczny także w stosunku do Balcerowicza jako lidera partii. Miałem też wątpliwości, czy Geremek podoła nowym wyzwaniom.

W tym czasie niejednokrotnie kontaktowałem się z Leszkiem Balcerowiczem. Były to bardzo przyjacielskie spotkania i dotyczyły spraw konkretnych. Ale jedno, chyba ostatnie z tego cyklu spotkań, utkwilo mi w pamięci szczególnie. Było ono charakterystyczne dla Leszka, jego mentalności i pryncypialnego postępowania. Leszek już wystąpił z rządu, ale bardzo się interesował dalszym ciągiem reform finansów publicznych. Jerzy Miller przygotował projekt ustawy dotyczącej finansowania samorządów. Został on oprotestowany przez związki samorządowe, z czym się całkowicie zgadzałem. Leszek zaprosił mnie do siebie i zapytał, czy mogę podjąć się próby porozumienia z samorządowcami. Odpowiedziałem, że chętnie, bo sprawa była ważna, a poszukiwanie dróg do porozumienia zawsze uważałem za swój obowiązek. Ale gdy zapytałem, gdzie są granice ustępstw, na które może się zgodzić, odpowiedział, że na żadne ustępstwa się nie zgodzi. Projekt ustawy jest dobry i ma być przyjęty bez zmian. Odpowiedziałem, że to niemożliwe, a poszukiwanie kompromisu polega na obustronnych ustępstwach. Ale do tego Leszek nie był zdolny. Jego pryncypialność i niezachwiana wiara we własne racje umożliwiła jego reformy z okresu przełomu. Bez tych cech nie byłby zdolny do ich przeprowadzenia. Ale te same cechy wykluczały możliwość prowadzenia polityki, polegającej właśnie na zawieraniu kompromisów.

* * *

Zarysowująca się realna szansa na polskie członkostwo w Unii Europejskiej spowodowała, że problem integracji europejskiej znalazł się na ustach wszystkich.

Odmieniano ten termin na wiele sposobów i szermowano nim przy każdej okazji. Ale tak naprawdę mało kto zastanawiał się nad jego rzeczywistym znaczeniem. Na ogół rozumiano go jedynie jako proces naszego przystępowania do Unii Europejskiej, a problemy integracji sprowadzano do pytań o dopłaty dla naszego rolnictwa, o wykup ziemi przez cudzoziemców czy o możliwości dostępu do funduszy unijnych. Co gorsza, nie starano się też wytłumaczyć społeczeństwu, co to oznacza, szermując jedynie sloganami, ulotkami i sprowadzając wszystko do haseł politycznych.

Tymczasem trzeba się było przygotować do członkostwa. Powstał Komitet Integracji Europejskiej i urząd, który go wspierał. Początkowo jego przewodniczącym został Czarnecki. Miał on być przeciwwagą dla Geremka, który był ministrem spraw zagranicznych. Jeśli jeden był Żydem o poglądach lewicowych, to drugi musiał być prawicowym katolikiem. Czarnecki na szczęście urzędował dość krótko, bo gdyby trwało to dłużej, to napsułyby więcej. Premier Buzek go odwołał. Zbulwersowała mnie wówczas reakcja prawicowców w Sejmie. Poseł Urbański wygłosił emocjonalne przemówienie, które sprowadzało się do tego, że co sobie Buzek myśli, jak on może zwalniać Czarneckiego i jeżeli się z tego szybko nie wycofa, to straci poparcie wszystkich posłów prawicy. Pomyślałem sobie o poziomie poczucia odpowiedzialności posłów, którzy byli gotowi obalać rząd dlatego, że premier zwolnił kogoś, kto się nie nadawał na zajmowane stanowisko. Tacy posłowie bywali i niestety nadal są. Na szczęście Buzek się nie ugiął, a inicjatywę Urbańskiego jakoś wyciszono.

Funkcję szefa Urzędu Komitetu Integracji Europejskiej (UKIE) przejął Saryusz-Wolski. Nawiązałem z nim kontakt. Uważałem, że mam poważne doświadczenia, które mogą być przydatne w okresie integracji. Wynikały one nie tylko z faktu, że budowałem samorząd w Polsce, ale też z tego, że przez ostatnie lata w Radzie Europy byłem osobą wiodącą w sprawach integracji i rozwoju samorządności według standardów europejskich. Ale okazało się, że moje poglądy nie bardzo pasują do orientacji prac Komitetu. Koncentrował się on na kontaktach z instytucjami europejskimi, a według mnie głównym zadaniem UKIE powinno być dostosowanie Polski do standardów europejskich, a więc skoncentrowanie się na procesach zachodzących w kraju. To było jednak znacznie mniej interesujące niż kontakty z Brukselą, za to o wiele trudniejsze i bardziej absorbujące.

Uważałem, że integracja to nie tylko uzgodnienia międzyrządowe, także proces, w który musi być zaangażowane całe społeczeństwo. I że należy mu w tym pomagać. A samorządność stwarza znakomite pole do tego. W pewnym momencie do UKIE została też powołana Kasia Skórzyńska. Z nią się dogadałem błyskawicznie – powstała Środowiskowa Rada Integracji Europejskiej ds. Samorządu Terytorialnego, której zostałem przewodniczącym. Opracowaliśmy program pod nazwą *Samorządowa droga do Unii. Każda gmina i powiat opracowuje swój plan przygotowania do członkostwa w Unii Europejskiej*. Chodziło o to, aby włączyć jak najszersze środo-

wiska w proces integracji. Trzeba było wykorzystać wielki zapał, jaki istniał wszędzie. Podstawą i celem działań miały być określone standardy, które gminy miały spełnić. Jeśli bowiem mówimy, że gminy mają się przygotować do członkostwa, to trzeba było ustalić, co konkretnie powinny i jakie standardy osiągnąć. To wymagało studiów, bo gotowych recept nie było. I tu natknąłem się na ogólną niemożność, brak zrozumienia i dobrej woli.

A wkrótce przyszły wybory i rząd się rozleciał. Kierownictwo UKIE objęła Danuta Hübner, osoba wysoce kompetentna i konstruktywna. Pozostałem członkiem Rady ds. Integracji, ale Rady Środowiskowej ds. Samorządu już nie odtworzono. Koncepcje rządu Leszka Millera były chyba inne. Duże pieniądze skierował na propagandę w ręce młodego Wiatra. Co on z nimi zrobił, to trudno zgadnąć. Popularyzacja integracji była fatalna, a przygotowania szły też złą drogą. Unia przeznaczyła poważne pieniądze na przygotowanie również samorządów. Dostali je Duńczycy, którzy mieli być opiekunami naszych samorządów. Nie brałem w tym udziału, ale opinie, jakie do mnie docierały, nie były dobre. Zagraniczny opiekun może odegrać bardzo pozytywną rolę, pod warunkiem że się wie, czego potrzeba, i właściwie określa adresowane do niego pytania. Ze strony polskiej nie umiano jednak takich pytań postawić, bo to wymagało przygotowania merytorycznego, którego na pewno UKIE nie miał.

Tymczasem polskie gminy okazały się bardzo dobrze przygotowane. Ustrój wprowadzony w 1990 roku był zgodny ze standardami europejskimi. Nasze założenia, wypracowywane w teorii, okazały się słuszne i uzyskały potwierdzenie w praktyce. Nie było większych problemów z dostosowaniem się do wymogów Unii. Polegały one nie na jakichś zmianach instytucjonalnych czy prawnych, lecz raczej na nabraniu umiejętności w korzystaniu z zalet, jakie członkostwo dawało, i związanych z tym zmian w mentalności. Wszystko to okazało się dość łatwe. Reforma 1990 roku nieźle nas przygotowała do integracji europejskiej.

* * *

Po powrocie pracowałem, opierając się na Fundacji, ale raczej jako osoba indywidualna. Bardzo mi to odpowiadało, ale w pewnym momencie zauważyłem, że coś zaczyna się psuć. Zacząłem być wypychany na margines życia publicznego. Musiałem postawić sobie pytanie, czy można w Polsce funkcjonować jako osoba indywidualna, wspomagając się własnym autorytetem, czy też konieczne jest wsparcie instytucjonalne. Okazało się, że to wsparcie jest konieczne. Mogłem funkcjonować jako prezes Fundacji, natomiast jako Jerzy Reguński już niekoniecznie, mimo że uznawano mnie za twórcę reform. Mój przypadek jest dość charakterystyczny dla polskich zwyczajów – człowiek się liczy dopóty, dopóki ma mandat instytucjonalny. Człowiek był już nie.



Premier Jerzy Buzek wręcza Jerzemu Regułskiemu nagrodę „Pro Publico Bono”, przyznaną Fundacji Rozwoju Demokracji Lokalnej w roku 2000

Może to jakieś dziedzictwo z PRL, gdy zwolnienie z funkcji oznaczało niełaskę, a tym samym zwykle utrzymywanie kontaktu stawało się niebezpieczne.

Fundacja wymagała mojego zaangażowania. Powstała na bazie etosu i społecznego zrywu, gdy ludzie chcieli uczestniczyć w reformowaniu państwa. Ale czasy się zmieniały. Rozwijał się rynek, wzrastała konkurencja, etos przemijał. Trzeba było podjąć wysiłek przekształcania Fundacji w organizację profesjonalną, zdolną do sprawnego funkcjonowania w nowych warunkach. Trzeba było zmienić kulturę organizacji i mentalność zatrudnionych w niej ludzi. Musiałem zainicjować proces, który, jak się okazało, był znacznie trudniejszy, niż przypuszczałem, i który trwa nadal, mimo że upłynęło już ponad 10 lat.

W tym czasie podjąłem pracę nad podsumowaniem doświadczeń pierwszego dziesięciolecia. Uważałem, że odbudowa samorządu jest sukcesem i że trzeba go udokumentować, bo za chwilę wszystko pójdzie w niepamięć. Udało mi się uruchomić spory program, obejmujący wiele analiz w różnych dziedzinach. Na ich podstawie napisałem książkę *Samorząd III Rzeczypospolitej*. Dwa lata później udało mi się przygotować wersję angielską, którą wydał Instytut Sorosa w Budapeszcie. Uważałem to za wykonanie zobowiązania. Trzeba dokumentować przeszłość.

W 1998 roku dostałem zaproszenie do uczestnictwa w Komitecie Sterującym Local Government Initiative, działającym w ramach Open Society Institute w Budapeszcie. Była to inicjatywa wsparcia dla rozwoju samorządności w krajach Europy Środkowej i Wschodniej. Ciekawe doświadczenie – dało mi możliwość kontaktu ze środowiskami w krajach, o których nie miałem dużego pojęcia. Miałem możliwość nie tylko odwiedzenia państw sąsiednich, ale również spotkania się i dyskusowania z przedstawicielami tych bardziej odległych.

Przełom stuleci był okresem wielkiego zainteresowania doświadczeniami Polski. Nasz kraj uznawano za kraj wielkiego sukcesu, a doświadczenia w zakresie budowy samorządu były dla wielu szczególnie interesujące. Procesy demokratyzacji objęły całą Europę Wschodnią, a nawet Azję Centralną. Zaczęło się zapotrzebowanie na polskie doświadczenia. W tych latach odwiedziłem wiele krajów, które wchodziły na ścieżkę przemian. Bardzo poruszające były wizyty w Albanii. Ten najbardziej zamknięty kraj Europy też się otwierał. Wszystko tam było inne i strasznie biedne. Poznałem w Strasburgu jednego z albańskich ministrów. Teraz przyjeżdżałem jako ten, który ma im pomagać. Opowiadał mi niesamowite historie o ich problemach, zupełnie dla nas niezrozumiałych. W Polsce w 1989 roku przejmowaliśmy państwo zorganizowane źle, ale funkcjonujące. W Albanii po upadku dyktatury wszystko się rozleciało. Do Tirany napływały masy ludności z gór. Ludzie osiedlali się gdziekolwiek albo wprost koczowali pomiędzy domami. Wszystkie nieruchomości należały do państwa, więc nikt się nimi nie zajmował. Wszystko było pozostawione na pastwę losu i przygodnych mieszkańców. Ulice nie istniały, z wy-



Joanna przy pracy, USA 2004

jątkiem głównych alei, przy których stały budynki rządowe i rezydencje bonzów partyjnych. Najgorsza sytuacja była z wodą. Wodociągi nie wytrzymały zwielokrotnionego zapotrzebowania. Przybysze z gór byli przyzwyczajeni do czerpania jej z płynących potoków, więc robili takie potoki, wierząc dziury w rurach czy po prostu nie zakręcając kurków. Woda płynęła wszędzie. Tylko nie było jej w rurach.

Byłem w Tiranie kilkakrotnie. Gdy przyjechałem pierwszy raz, to uczestniczyłem w uroczystości nadania reprezentacyjnemu skwerowi w centrum miasta imienia Rady Europy w podzięcie za pomoc. Jak przyjechałem następnym razem – skwer nosił już inną nazwę. Nadawano mu kolejne nazwy w zależności od aktualnej potrzeby. To było łatwe i efektowne. Byłem także w Macedonii i kilkakrotnie w Serbii. Opracowywałem koncepcję komunalizacji mienia, a szczególnie przekazywania gminom nieruchomości. W Serbii własność gminna miała długą tradycję. Gminy posiadały majątek aż do lat dziewięćdziesiątych, gdy Milošević wszystko upaństwowił. Teraz trzeba było na nowo zwracać im majątek. Ale jak to robić? Uczestnicząc w tych dyskusjach, nabierałem przekonania, że w Polsce to bardzo mądrze przeprowadziliśmy. Serbowie chcieli to też sprawnie zrobić, ale ogłupiali ich różni eksperci z krajów zachodnich, którzy nie mieli żadnego doświadczenia, bo skąd je mogli mieć. Za to byli tak pewni swej wiedzy, że nie było ani z nimi dyskusji, ani żadnego z nich pożytku. Byłem kilkakrotnie na Ukrainie. Z żalem patrzyłem, jak marnują swoje historyczne pięć minut po pomarańczowej rewolucji, gdy można było dokonać reform. Nic się tam nie działo, tylko wszyscy zapamiętali dyskutowali. Nie było ani koncepcji reformowania państwa, ani co gorsza woli politycznej, aby to zrobić. Na Ukrainie podjęliśmy kilka inicjatyw. Wspomnę tylko o jednej. Joanna weszła w porozumienie z amerykańską fundacją założoną przez Ukraińców na rzecz pomocy Ukrainie. Chcieliśmy odtworzyć model naszej Fundacji, który tak dobrze się sprawdził. Spowodowaliśmy założenie kilku szkoleniowych ośrodków regionalnych, które skojarzyliśmy z naszymi. W ten sposób Kraków opiekował się Lwowem, Szczecin Czerkasami, ktoś inny Donieckiem i Chersoniem. Niestety, amerykańscy Ukraińcy zupełnie nie doceniali znaczenia władz lokalnych i przerzucili się na pomoc ściśle gospodarczą. Zostawili te ośrodki samym sobie. Niektóre z nich upadły, inne wegetowały. To było dość typowe dla myślenia zachodniego.

Najbardziej ekscytujące podróże odbyłem do Azji. Dwukrotnie do Kazachstanu, a także do Kirgistanu i Pakistanu. Trudno opisywać wrażenia z tych zupełnie innych kultur. W Kazachstanie latałem samolotami. Przy tamtejszych odległościach, braku dobrych dróg i kolei to jedyny środek lokomocji. Każdy lot był przygodą. Samoloty należały na ogół do zaprzeszłej epoki. Podstawiano je nieogrzone. Jak się do nich wchodziło, to temperatura niewiele odbiegała od zewnętrznej. Wszyscy byli okutani w szale i futra. Każdy zajmował więc dwukrotnie więcej miejsca. A że kandydatów było znacznie więcej niż miejsc, toteż upychano pasażerów, jak się

dało. W samolocie był taki tłok jak w tramwaju. O jakimkolwiek ruchu nie było co marzyć. W miarę upływu czasu wewnątrz się ogrzewało. Było coraz cieplej, ale wszyscy pozostawali w kożuchach. Nie było jak ich zdjąć. Po pewnym czasie wszyscy więc płynęli potem. Nie trzeba dodawać, jak się zmieniała atmosfera. Zaduch zapierał oddech. Po godzinie lotu wszyscy sapali i wzdychali. Ledwo mogłem to wytrzymać. A po przylocie wysypywali się wszyscy na zewnątrz w mróz, głęboko oddychając świeżym powietrzem.

Pierwszy raz pojechałem do Kazachstanu z grupą Amerykanów realizujących program pomocy. Polecieliśmy z Ałma Aty do Astany, a stamtąd pociągiem do Pawłodaru nad Irtyszem i z powrotem samolotem do Ałma Aty. Przelot nad zaśnieżonym Kazachstanem obfitował w niesamowite widoki. Śnieżna biel rozciągała się aż po horyzont. Biała płaszczyna. Żadnych dróg ani lasów. Nic, tylko biel. Co pewien czas oderwane grupy jakichś zabudowań, całkowicie odizolowanych od otoczenia. Żadnych wychodzących dróg ani śladów kontaktów z otoczeniem. Jak ci ludzie tam żyją?

W Astanie spędziłem kilka dni. Składaliśmy wizyty w różnych urzędach. Miałem też wykład w Senacie. W Kazachstanie wszędzie trzeba się legitymować. Okazało się, że nie można nawet anonimowo kupić biletu na pociąg. Sekretarka Amerykanów zebrała więc paszporty, gdy byliśmy w Senacie, i pojechała na dworzec, żeby kupić bilety do Pawłodaru. Jak dojechała, to okazało się, że paszportów nie ma. Po prostu wyparowały z jej torebki. Paszport na czarnym rynku kosztował dwa tysiące dolarów, a amerykański nawet trzy. Więc to była atrakcja. Ukradziono je prawdopodobnie już w gmachu parlamentu. Gdy kilka dni później nasza ambasada zadzwoniła do parlamentu w ramach procesu odtwarzania mego paszportu, to jej odpowiedzieli, że nigdy tam nie byłem, że nie ma żadnych śladów mojej bytności, a oni bardzo dokładnie wszystkich notują. Więc sprawa wydała się jeszcze bardziej podejrzana. Jak podróżować bez paszportów? Poszliśmy na policję. Nie przejmowałem się, bo byłem w grupie amerykańskiej, a Amerykanów traktowano tam jak książąt. Ale nie chcieli nam wystawić zastępczych dokumentów. Dla Amerykanów to nie był problem. Wyprawiono dla nas bankiet w jakichś zamkniętych salonach na dworcu. Pojechaliśmy bardzo porządnym sypialnym, lecz za darmo, bo przecież bez paszportów nie mogli nam sprzedać biletów. Ale pojechać mogliśmy. Następnego dnia dowieziono nam papiery do Pawłodaru i wracaliśmy samolotem już legalnie do Ałma Aty.

W Pawłodarze miałem fascynujące spotkanie. Okazało się, że w amerykańskim programie pracuje tamtejszy Polak, Stanisław vel Siergiej Midelski. Zaprosił mnie do swego mieszkania. Mieszkanko skromniutkie, podobne do naszych blokowisk. Spotkałem jego ojca, Polaka wywiezionego z Kresów Wschodnich po 1939 roku. To było bardzo smutne spotkanie. Gdy byłem po raz drugi w Astanie, przyjechał

do mnie rano do hotelu. Jechał z Pawłodaru całą noc w mrozie. Gdy wyraziłem swój żal, że ten mróz, koszt, wysiłek, a my możemy odbyć tylko krótkie spotkanie przy śniadaniu, powiedział: „Ale tu chodzi o nadzieję!”. Był w trudnym położeniu – nie miał żadnych dokumentów o swojej polskości. Ojciec w pewnym momencie przyjął obywatelstwo radzieckie. Nie miał podstaw, żeby się starać o repatriację, o której marzył. Nie mogłem mu pomóc, ale załatwiłem mu pobyt w Polsce. Nasze szkoły w Białymstoku i Szczecinie zafundowały mu cztery miesiące w Polsce. Nie mógł się jednak jakoś tu odnaleźć. Był szalenie ambitny. Danka chciała zorganizować zbiórkę rzeczy dla niego i jego rodziny. Twardo odmówił, nie chciał dać sobie pomóc. W Pawłodarze utworzył grupę dla kształcenia w samorządności. Nie wiem, jak długo przetrwała.

Byłem też w Pakistanie, w górach nad Islamabadem, z widokiem na szczyty Kaszmiru. Tam również chodziło o zwiększenie siły władz lokalnych. Jak się okazało, głównym przeciwnikiem nie była administracja centralna, tylko lokalna policja. Policja stanowiła państwo w państwie i miała rzeczywistą władzę. Powstawał problem, kto jest ważniejszy: lokalny komendant czy wójt? A właściwie problemu nie było – to komendant rządził.

* * *

Ten okres był fascynujący. Polskę powszechnie uznawano za kraj sukcesu. A odbudowę samorządu za jedno z naszych największych osiągnięć. Niestety – to, co dla osób z zagranicy było oczywiste, nie docierało do świadomości naszych decydentów w kraju. Chciałem napisać przewodnik o tym, jak się przeprowadza reformy, dla innych zainteresowanych krajów. I mimo wielu zabiegów żadna z polskich instytucji nie chciała owego zamierzenia wspomóc finansowo. Napisałem go dopiero wiele lat później za pieniądze Instytutu Sorosa w Budapeszcie. Ale wtedy nie było już takich potrzeb.

Kilkakrotnie rozmawiałem z kierownictwami MSZ na temat powołania odpowiednich instytucji, których celem byłby eksport naszych doświadczeń. I nic nie powstało. Straciliśmy moment historyczny dla zbudowania swojego wizerunku. A szkoda. Takie momenty nigdy nie wracają.

* * *

Powrót do Warszawy wymagał też zorganizowania naszego życia na nowo. Musieliśmy dokonać tego sami. Dzieci były daleko. Hanka zmarła. Trzeba było wyremontować nasz dom, który istniał już ponad 50 lat. Kiedyś mieszkaliśmy w nim z dziećmi i cieszyliśmy się, że jest taki duży. Teraz byliśmy we dwójkę i dom się okazał bardzo ciasny. Standardy i oczekiwania zmieniły się w ciągu tego półwiecza radykalnie. Ale nawet w dużym domu nie jest łatwo mieszkać samotnie, szczególnie gdy zdrowie zaczyna się psuć. Na szczęście mamy grono przyjaciół i znaczenie ich przyjaźni mogliśmy ocenić w chwilach dla nas trudnych. Jesteśmy im wdzięczni. Codzienną opiekę zawdzięczamy zaś naszej Małgosi, która jest stale z nami.

A dzieci są daleko. Następne pokolenia rodziły się i wzrastały już za oceanem. Joanna rozwijała linię żeńską. Jej córka Annemarie, powszechnie zwana Budi, po studiach spędziła wraz z Willem Haarem kilka lat, podróżując po Dalekim Wschodzie. Przez rok uczyli Chińczyków angielskiego, a później Will, rodowity Amerykanin, uczył się polskiego na Uniwersytecie Jagiellońskim. I teraz pilnuje nas, żebyśmy przestrzegali wszystkich reguł gramatyki i mówili ładną polszczyzną. Mieszkają w Kalifornii. Annemarie robi karierę jako ekspert od digitalizacji archiwów, a Will specjalizuje się w polityce i opiece społecznej. Mają dwie przeurocze córeczki, a nasze prawnuczki: Beatę i Gemmę. Najpiękniejsze prawnuczki na świecie!

Z kolei Michał rozwija męską linię rodu. Sam ciągle wojuje z genami w prestiżowym instytucie Cold Spring Harbor Laboratories, uważanym za numer pierwszy w amerykańskiej genetyce. A Ewa prowadzi własną firmę organizującą pozaszkolne zajęcia dla dzieci i ich rodziców. Mają dwóch synów, którzy wykazali zainteresowania i zdolności artystyczne. Tomek uzyskał doktorat muzyczny i aktywnie buduje podstawy swej kariery kompozytorskiej. Paweł rozpoczął studia rzeźbiarskie, ale zmienił kierunek na grafikę, oczywiście komputerową. Na następne pokolenia linii męskiej musimy jeszcze poczekać.



Moje dwie miłości: Danka i góry. Osiemdziesiąte urodziny Danki w Tatrach,
Lejowa Dolina 2007



Cztery pokolenia linii żeńskiej: ja z Danką, Joanna z Mikiem, Annemarie z Willem oraz dwie prawnuczki – Beata i Gemma. Warszawa, Boże Narodzenie 2013



Męska linia rodziny: Michał z synami – Tomkiem i Pawłem. Boże Narodzenie 2012

Zakończenie

Im bardziej w swoich opisach zbliżałem się do dnia dzisiejszego, tym trudniej było mi formułować oceny. Wymagają one bowiem spojrzenia z pewnego oddalenia, które pozwala na nieuleganie bieżącym emocjom. Muszę więc z tej opowieści wyłączyć ostatnie, bardzo aktywne lata, choć moje uczestniczenie w sprawach publicznych nasuwa wiele tematów. Zaszczyt służenia jako doradca Prezydentowi Rzeczypospolitej stwarza okazję do szeregu obserwacji i refleksji, ale jednocześnie ogranicza swobodę wypowiedzi, jeśli nie chce się wpaść w bieżące spory i dyskusje.

Źródłem mojej traumy jest niemożność odzyskania domu Rodziców, który był oczkiem w ich głowie. Dom przejęto na podstawie dekretów Bieruta i przeznaczono na mieszkania dla wyższych dygnitarzy PRL. Boli mnie, że nasze państwo nie było zdolne do uregulowania zwrotu zagrabionego majątku. Ale jeszcze bardziej mnie boli, gdy warszawski Urząd Miasta utożsamia się z władzami PRL, tłumacząc i usprawiedliwiając nawet ich bezprawne działania. To przykre.

Radość sprawiały mi (i nadal sprawiają) powrozenia dzieci i wnuków. Przede wszystkim jednak cieszę się z sukcesu Polski, a samorządu w szczególności. Dzięki uruchomieniu ogromnych rezerw, jakie tkwiły w społecznościach lokalnych, nastąpiło znaczne przyspieszenie rozwoju kraju. Dziś nikt nie pamięta studni, do których ogromna część społeczeństwa chodziła po wodę. A jak się patrzy na drogi, chodniki, szkoły czy nawet wyśmiewane aquaparki, to serce rośnie. Poświęciłem samorządowi wielką część swego życia. Już minęło 35 lat, odkąd się nim zajmuję. Stał się on moim hobby, a nie tylko przedmiotem badań. Mam poczucie dużej satysfakcji i każde spotkanie z lokalnymi władzami i aktywistami jest dla mnie potwierdzeniem, że ów wieloletni wysiłek miał sens. Utwierdzają mnie w tym także rozmaite odznaczenia i honory, które mnie ciągle spotykają. Odznaczenie Orderem Orła Białego stanowiło kulminację. A poczucie, że warto było pracować, przynosi mi największą satysfakcję.

Sprawy Fundacji, która w tym roku obchodzi już ćwierćwiecze swego istnienia, leżą mi szczególnie na sercu. Przez jej kursy, seminaria i programy przewinęło się ponad milion trzysta tysięcy osób. A trzeba jeszcze dodać tych, którzy z nami współpracowali i zdobywali nowe kwalifikacje jako trenerzy, konsultanci czy eksperci. W sumie jest to wielka liczba, wskazująca na skalę oddziaływania Fundacji na nasze społeczeństwo. Cieszę się też z wielu dowodów uznania dla niej, licznych odznaczeń państwowych, nagród i wyróżnień ze strony władz samorządowych, a także z jej sukcesów w realizowaniu rozmaitych programów.



Prezydent Bronisław Komorowski dekoruje mnie Orderem Orła Białego, 2012

ZAKOŃCZENIE

Częste uczestnictwo w konferencjach i wydarzeniach lokalnych pozwoliło mi stwierdzić, jak wielki wpływ na rozwój kraju wywarła odbudowa samorządu. To dzięki inicjatywom miejscowym wsie i miasteczka zmieniły wygląd, a warunki życia uległy tak znaczącym zmianom. Gdy podejmowaliśmy inicjatywy samorządowe, właśnie o takich zmianach marzyliśmy. Dziś, kiedy te marzenia stały się rzeczywistością, to z jednej strony uderzają swoją skalą, a z drugiej przyjmuje się je jako coś oczywistego i w dodatku niewystarczającego. Oczekiwania rosną zawsze szybciej, niż można je zaspokoić.

Moje zaangażowanie w sprawy publiczne jednak się nie kończy. Prezydent Komorowski zaprosił mnie jako swego doradcę. To nowy rozdział, który się dopiero zaczyna, bo samorząd obok wielkich sukcesów napotyka bariery w rozwoju. I to bariery wynikające nie tylko z przyczyn zewnętrznych, ale też z własnych win. Trzeba podjąć wysiłek, aby przywrócić ewolucji właściwy kierunek. Są to już jednak zadania następnych pokoleń samorządowych.

Rok 2005 przyniósł zmierzch rządów lewicy, wybory parlamentarne i prezydentkie. Wszyscy oczekiwali dużej koalicji centroprawicowej, która podejmie trud naprawy kraju po poprzedniej władzy. Niestety, tak się nie stało, a próby wprowadzenia autorytaryzmu, dzielenie ludzi na lepszych i gorszych, szermowanie demagogicznymi hasłami i pseudopatriotyzmem było przerażające.

Mnie ciągle uwiera brak wykrystalizowanej wizji Polski, niezdolność polityków do określenia, jakiej Polski chcemy i do jakiej dążymy. Elity nie potrafią wyjść poza nic nie mówiące ogólniki, skupiając się na głoszeniu haseł wolności i solidarności, a nie wskazywaniu tego, co trzeba konkretnie zrobić i co się chce osiągnąć. Politycy obrzucają się oskarżeniami, partie roztaczają upojne wizje świetlanej przyszłości, a media koncentrują się na wzajemnym judzeniu i podsycaniu konfliktów. Wszystko się odbywa w jakiejś wirtualnej rzeczywistości, która skrywa prawdziwe interesy i twardą walkę o ich realizację. Gdy słyszę o rozpadającym się kraju, a równocześnie widzę efekty polskiego sukcesu w transformacji, to nie jestem zdolny do skojarzenia, że obie oceny dotyczą jednego państwa. A zarazem rozweselają mnie opowieści, iż wystarczy zmienić premiera, a wszystko się rozwiąże samo.

Ciągle słyszałem i nadal słyszę stanowcze stwierdzenia polityków, że trzeba dokonać w społeczeństwie moralnego przełomu. Zgadzam się całkowicie, że jakaś zmiana w społecznej mentalności jest niezbędna. Ale nigdzie nie mogłem się dowiedzieć, co konkretnie politycy zamierzali zrobić, aby ten przełom się dokonał. A to właśnie chciałoby się wiedzieć, bo już naprawdę wszyscy mają dosyć tylko mówienia i mówienia.

ZAKOŃCZENIE

Przypomina mi się historyjka, gdy pewien pop został przyłapany, jak w dzień postu zajadał wieprzowinę. Zupełnie nie skonfundowany wstał, wyciągnął ręce nad stołem i doniosłym głosem zawołał: „Prosiaku, stań się rybą!”, po czym kontynuował obiad w spokoju. Przecież jadł już rybę! I oczami duszy widzę taki obraz z przyszłości. Grupa liderów wychodzi na dach Sejmu, wyciąga ręce nad głowami miasta i wielkim głosem woła: „Przełomie, dokonaj się! Niech społeczeństwo się odnowi!”. A następnie schodzi do restauracji sejmowej i w poczuciu spełnionego obowiązku spożywa należny posiłek. Przecież przełom się już dokonał, a społeczeństwo jest jak nowe.

W pełni rozumiem stwierdzenie premiera Tuska, że Polska potrzebuje ciepłej wody w kranie. Rzeczywiście potrzebna jest stabilizacja i dobre warunki życia. Nie potrzebujemy już rewolucyjnych zmian, ale spokojne i mądre sterowanie rozwojem to konieczność. Należy zlikwidować ostatecznie różne relikty PRL i ciągle funkcjonujące nieuzasadnione przywileje i immunitety. Równocześnie jednak brak sformułowania perspektywicznych celów, brak wizji działającej na wyobraźnię sprawił, że nie wytworzył się etos, który by przyciągał ludzi aktywnych do wspólnego tworzenia przyszłości. U nas, niestety, ciągle bardziej się liczą wielkie słowa niż codzienna praca. A właśnie przez tę pracę Polska osiągnęła swoje sukcesy, choć można było osiągnąć więcej.

Brak wizji państwa jest dla mnie szczególnie bolesny. Przecież walczyłem o decentralizację kraju, o uznanie prawa do samorządu, a więc do decydowania przez lokalne społeczności o tym, co dla nich ważne, i prawa do samodzielnego zaspokajania tych potrzeb. Ale to jest możliwe tylko w państwie, które istnieje po to, by obywatelom służyć i realizować ich potrzeby, a nie narzucać im wzory zachowań i autorytarne oceny. Próby wprowadzenia IV Rzeczypospolitej niosły niebezpieczeństwo, że te siły tkwiące w społeczeństwie będą zniszczone i zmarnowane.

Uderzał mnie zawsze brak poszanowania dla reguł demokracji. I to właśnie ze strony osób, które miały hasła demokracji na swych sztandarach. Demokracja polega na rządach większości, zatem jeśli jakaś grupa okaże się w mniejszości, powinna uznać wolę większości i lojalnie się jej podporządkować. Ale nie wszyscy chcą to zaakceptować, więc gdy przegrają, wtedy zaraz twierdzą, że doszło do oszustwa, że ludzie tak naprawdę chcieli zupełnie czego innego i że tych, co wygrali, trzeba oddać pod sąd. Takie stanowiska są zaprzeczeniem demokracji. I to stałe wynajdywanie różnych straszaków, aby utrzymać społeczeństwo w poczuciu ciągłego zagrożenia... Ludzie powinni się bać, bo wtedy będą się garnać pod skrzydła tych niby-opiekunów. Zastraszonymi ludźmi łatwo jest kierować. Więc trzeba straszyć. A jak nie ma czym, to straszak należy wymyślić.

ZAKOŃCZENIE

Dlatego rozumiem trudności w formułowaniu wizji państwa. Każda koncepcja jednej partii zostanie zaatakowana przez inne. I to, że większość coś zdecydowała, nie ma znaczenia. Brak możliwości dialogu, a więc i prezentacji jakiejś wizji, oznacza otwarcie nowego pola do ataków. Ale trzeba zacząć dyskutować o wartościach, na których powinno się opierać państwo, oraz o skutkach praktycznych wprowadzania tych wartości w życie, a o tym na ogół się nie mówi i, co gorsza, nie myśli. Weźmy hasło „Polska jest najważniejsza”. Jego przyjęcie oznacza, że najważniejsze jest państwo, nie jego obywatele. To zaś eliminuje samorządność, bo każda gmina ma swoją specyfikę i powinna mieć prawo do rozwiązywania własnych problemów, bez konieczności czekania na decyzje władz centralnych. Wspomniane hasło ogranicza prawa obywateli, którzy są podporządkowani priorytetowi instytucji państwa.

Nastąpił zanik politycznej woli dokonywania dalszych niezbędnych kroków w transformacji państwa. Każda bowiem zmiana stanowi zagrożenie dla jakiejś grupy społecznej czy grupy interesów, co może obniżyć poparcie dla danej partii. Wygrywają więc ci, którzy faktycznie nie chcą nic zmieniać, jakkolwiek w swojej demagogii wzywają do gruntownych reform. Stąd stałe majstrowanie przy systemie prawnym i tworzenie ustaw zorientowanych nie na sterowanie rozwojem, lecz na załatwianie interesów.

W poszczególnych okresach różne sprawy wybijały się na pierwsze strony dzienników, aby wkrótce ustąpić miejsca innym. O kwestii biopaliw nikt już dzisiaj nie pamięta, chociaż w przeszłości tak bardzo rozpaliała nastroje. To poczucie przemijania jest dla mnie i ważne, i obciążające. Obserwowałem wiele podobnych spraw, które wydawały się kluczowe, a które szybko znikwały w zapomnieniu. Widziałem wielkich ludzi o ogromnych zasługach, którzy nie zaistnieli w świadomości społecznej, i obserwuję tworzenie się mitów wokół pamięci osób niewiele znaczących. Mam pełne poczucie, że to, co nazywamy naszą historią, jest raczej zbiorem mitów niż opisów tego, co się wydarzyło w rzeczywistości. Wielka szkoda, że owe mity dzielą społeczeństwo, że spory o przeszłość zasłaniają problemy przyszłości. Dużą za to odpowiedzialność ponoszą media, które się kierują swymi jedynie interesami, nie myśląc o odpowiedzialności za przenoszone treści.

Katastrofa smoleńska była największą polską tragedią w ostatnich latach. My też straciliśmy w niej naszego przyjaciela, Staszka Komorowskiego. Ale zamiast się zjednoczyć, rozpocząć wspólną pracę nad naprawą państwa, ludzie zaczęli się oskarżać i siać podejrzenia. Niedawno patrzyłem, jak Norwegowie obchodzą rocznicę swojej tragedii na wyspie Utøya. W ciszy i skupieniu, połączeni bólem i troską o własne społeczeństwo i państwo. I nikt nikogo nie oskarżał.

Na następnej stronie: Zawsze razem. Z Danką, Warszawa 2013



ZAKOŃCZENIE

Dzisiaj ludzie zapomnieli, jak żyli w przeszłości, a młodzież tego w ogóle nie wie. Jeden ze znajomych opowiedział mi o rozmowie z kilkunastoletnim synem. Gdy mówił mu, że w okresie stanu wojennego nic w sklepach nie było, a na półkach stał przede wszystkim ocet, to chłopiec mu w nos się roześmiał. „Co ty opowiadasz, tato, w Carrefourze nic nie było? To z czego oni żyli?” Wypowiedź niby logiczna, ale jednak daleka od rzeczywistości, której młody człowiek ani nie znał, ani nie rozumiał.

Zapomnienie przeszłości i niedocenywanie rzeczywistych osiągnięć stało się w Polsce istotnym czynnikiem politycznym. Na to nakłada się brak zrozumienia przez dużą część społeczeństwa, że rozwój jest wynikiem pracy. Trudno zatrzeć głęboko zakorzenione w okresie komunizmu przekonanie, iż są to dwa niezależne czynniki. Wtedy uważano, że należy minimalizować swój wysiłek, bo nie trzeba się męczyć. A za rozwój odpowiada państwo, więc zupełnie ktoś inny. Owo mniemanie jest podbudowywane nieustannym krytykowaniem rządzących zarówno przez opozycję, jak i przez media poszukujące newsów.

Ta mieszanka różnych czynników daje efekt społeczeństwa niezadowolonego i nie uznającego własnych sukcesów, krytycznego w stosunku do władz i polityków, jednocześnie zaś nie rozumiejącego, że ono samo ponosi odpowiedzialność za własną przyszłość. A tymczasem Polska jest krajem sukcesu.

I to jest najważniejsze.

Spis treści

Wstęp	4
1. Korzenie	7
2. Ojciec	20
3. Dzieciństwo (1924-1931)	39
4. Dorastanie w Warszawie i Rabce (1932-1938)	52
5. Przed końcem starego świata (1938-1939)	73
6. Wojna (1939-1941)	99
7. Studia i okupacja (1942-1944)	113
8. Powstanie warszawskie i koniec okupacji (1944-1945)	132
9. Zaraz po wojnie (1945)	144
10. W więzieniu (XI 1945 – X 1946)	157
11. Na wolności – Danka (1947)	183
12. Ojciec w więzieniu – Ślub – Inżynier (1948-1950)	197
13. UB czuwa – Narodziny Joanny – Tatry, moja miłość (1950-1953)	213
14. Projektant – Ojciec wolny – Sprzedaż Zarybia (1953-1959)	234
15. Urbanista – Pierwszy samochód – Francja (1959-1965)	251
16. Urbanistyka i planowanie – Marzec '68 – Propozycja UB (1965-1970)	265
17. Dyrektor – Zagraniczne przygody – Ubeckie prowokacje (1970-1975)	281

SPIS TREŚCI

18. Ekonomista na uniwersytecie (1975-1979)	299
19. Solidarność i samorząd (1980-1981)	314
20. Stan wojenny – Samorząd moim hobby (1981-1988)	327
21. Komitet Obywatelski – Okrągły Stół (1988-1989)	343
22. Kampania – Wybory czerwcowe (IV-VI 1989)	361
23. Senat – W drodze do rządu (VII-IX 1989)	385
24. Budujemy samorząd: teoria i praktyka reformy (X-XII 1989)	405
25. Samorząd powstaje (I-V 1990)	420
26. Samorząd powstał – Rząd upadł (VI-XII 1990)	434
27. Dymisja – Co dalej? – Propozycja MSZ (XII 1990 – IV 1992)	451
28. Dyplomata – Rada Europy (1992-1997)	465
29. Emeryt – Trudne życie staruszka (1997-20...?)	501
Zakończenie	528